PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

AMERYKA POŁUDNIOWA

WARSZAWA 1939
INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

Redakcja
„Dziennika Zachodniego"
Katowice, ul. Młyńska 9
Telefony: Redaktor Naczelny 31-11-88, Centrala 309-73

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Ameryka Południowa

INSTITUT D'ECONOMIE SOCIALE

MEMOIRES DES EMIGRANTS POLONAIS

AMERIQUE DU SUD

No 1 — 27

1939
VARSOVIE

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

AMERYKA POŁUDNIOWA

Nr. 1 — 27

BIBLIOTEKA
Redakcji
„Dziennika Zachodniego"
No 284

1939
WARSZAWA

DRUKARNIA
EKONOMICZNA
J. KUBIAK i S-KA
WARSZAWA
UL. LESZNO 20
TEL. 11-48-33
193

Odczytywanie pamiętników wychodźców polskich w Ameryce południowej skończyłem przejęty poważaniem dla siłaczy-chłopów.

Błąka się jeszcze u nas opowieść o dwóch wielkich mocarzach czasu bajecznej przeszłości: o Wyrwidębie i Waligórze. Ale ani źdźbła ich tężyzny nie dostrzeżemy obecnie wśród ludu naszego: zapracowany i, jak mówią, zaharowany, przygięty do ziemi wielorakimi troskami, zaplątany w sieciach niedostatku, gdzie złotówka jest już „kwotą", nawykły do tego, ażeby ciosano mu kołki na głowie, człek ze wsi wygląda na istotę bierną, która nawet nie ośmiela się wziąć za bary z własnym losem o lepszą dolę. Na wszystkie dolegliwości znajduje jedną odpowiedź: silniej zaciska pasa... Ale starczyło, ażeby opuścił kraj rodzimy i znalazł się w dalekiej Brazylii lub Argentynie, a już znika jego bierność, człowiek nabywa nieznanego rozmachu, jak gdyby weń wszedł duch zapomnianych Wyrwidębów, z tą różnicą, że nie o dęby tu chodzi, lecz o gęstwinę lasów dziewiczych, wśród której porastają między innymi drzewa oporniejsze od dębu. Wypadło mi w przedmowie do pamiętników wychodźców naszych, przebywających we Francji, wypowiedzieć przypuszczenie, że gdyby wielu naszych wywędrowców zdobyło się na taką energię w rodzimym kraju, jakiej składają dowody we Francji, to i w ojczyźnie znaleźliby kawałek chleba. I to samo wypada mi powtórzyć obecnie po zaznajomieniu się z losami naszych wychodźców do Brazylii lub Argentyny. To przecież siłacze! Wstępują w zapasy z dziką przyrodą nieraz na kompletnym pustkowiu w odległości wielu dziesiątków kilometrów od najbliższego niewielkiego ośrodka ludności, przynagleni do wydostania skądciś pieniędzy na spłatę rat za wyznaczony im szmat ziemi i środków na wyżywienie rodziny. Idą więc szukać zarobku na przestrzeni wielu kilometrów od domu, a jednocześnie muszą dbać o karczunek kniei, o uprawę wydobytego kawałka ziemi, oraz za-

znajamiać się z uprawą nieznanych roślin. I wychodzą z tej walki często zwycięzcami. Ukazują się zabudowania, pojawia się koń i krowa, trzoda chlewna, drób — rodzina zaczyna opływać w dostatek. Chyba iż znienacka zmoże siłacza inny wróg, — choroba. Ciało podupada z dnia na dzień, ale duch nie poddaje się i walczy do ostatniej chwili.

Ponownie pojawia się na uściech pytanie: dlaczego ocknęła się w tych wychodźcach tężyzna Wyrwidębów dopiero na obczyźnie, gdzieś na odludziu, wśród braku środków pieniężnych i jakiejkolwiek pomocy?

Na to mam tylko jedną odpowiedź.

Oto człowiek wyzwolił się z więzi tradycyjnej, poczętej za poddaństwa i pańszczyzny, wzmocnionej w ciągu niewoli politycznej, a z roku na rok coraz bardziej doskwierającej z winy rozdrobnienia kawałków ziemi, braku zarobków, kiedy wszystko się tak ułożyło dokoła chłopa, iż jak głową muru, tak staraniami swymi nie przebije tej sieci stosunków realnych, a jeszcze bardziej różnych imponderabiliów, nie gorzej od tamtych zagłuszających drzemiący gdzieś w głębi hart ducha. Ale oto przepłynął Atlantyk, na wyspie Kwiatów, a właściwie na wyspie Śmierci ubył mu niekiedy ktoś z najbliższych, uszczupliły się niezmiernie skromne zasoby pieniężne, z jakimi puścił się za morze na podbój dostatku, a gdy przywieziono go do miejsca, gdzie miał wybrać sobie szmat ziemi, znalazł się sam jeden z rodziną lub w towarzystwie kilku tak samo ubogich i niedoświadczonych rodzin rodackich. Przed nim sterczała przeogromna puszcza, spod której winien był wydobyć, — „wyharować" — swój kawałek ziemi. Zadanie na pozór nad siły! Ale człek wyzwolił się spod wszelkich więzi tradycyjnych, spod nieważkich, jednakże dławiących imponderabiliów, poczuł, że los jego rodziny zależy od jego wysiłku, poświęcenia, obrotności i że zdoła wysiłkiem swoim wykrzesać dla niej dobrobyt. Spoczywające gdzieś w głębi jego jestestwa zarodki na siłacza wydostają się na wierzch — wprawdzie i poprzednio był zapoznanym, biernym siłaczem, który w niedostatku, z dnia na dzień, orał swój zagon, oprzątał gadzinę, łatał lub podszywał chałupę — i to przez całe życie, bez wytchnienia i bez złudzeń, iż rzeczy ułożą się jakoś pomyślniej w przyszłości. Tutaj na obczyźnie dojrzał przed sobą inną przyszłość — przecież możliwość dobrobytu miał w swoim ręku,

bezwładny, spętany silacz w ojczyźnie, ujarzmiał knieję dziewiczą i stawał się twórcą dostatku rodzinnego. Naturalnie, nie wszyscy dosięgają takiej fortuny, lecz odsetek tych którzy wydobyli się z nędzy jest bądź co bądź bardzo poważny.

Koleje naszego wywędrowca na obczyźnie są niezwykłe. A tak samo na niezwykłej i niecodziennej drodze doszła go wieść o Brazylii — do tego kraju wprawdzie od dawna Polacy przybywali pojedyńczo, ale nam chodzi o podnietę, która poruszyła tysiące.

Bodaj w drugiej połowie r. 1889 zaczynają krzewić się wśród ludu w Kongresówce dziwne pogłoski, które po kilku miesiącach wywołują w umysłach włościańskich i małomiasteczkowych prawdziwy obłęd srożący się jak zaraza — „gorączkę brazylijską". Pobudkę dał rząd brazylijski, pragnący ściągnąć wychodźców na swoje obszary. Obiecywał przybyszom wydzielić grunta pod osady na niezmiernie dogodnych warunkach i ułatwić pierwsze zagospodarowanie się. Agenci działający z jego ramienia zaczęli uwijać się wśród naszej ludności, a po wsiach i miasteczkach szły gadki, które wyolbrzymiały niesłychanie te obietnice. Bo to, ulitowawszy się nad niedolą luda chrześcijańskiego, papież nakazał cesarzowi (brazylijskiemu) rozdać Polakom ziemię, ażeby mieli jej do syta. Brazylia w wyobraźni tłumów była jako ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, a oczekująca na przyjście chrześcijanina-Polaka. Na przestrzeni kilku miesięcy zrywa się ze swoich sadyb około 30.000 ludu gotowego do odejścia w daleki a nieznany świat zamorski. Ludziska po wsiach, nawet mający większe gospodarstwa, sprzedawali je po niskiej cenie, pozbywali się swoich domków i warsztatów po miasteczkach i z rodzinami ławicą parli ku Brazylii. Nadaremne były perswazje, ażeby byli ostrożniejsi i zechcieli przeczekać pierwsze bałamutne wieści. Niestety, pierwsi na alarm uderzyli obszarnicy, którzy nie chcieli i nie umieli się pogodzić z grożącym im brakiem taniego najemnika i zwyżką płacy roboczej. Wystąpili wprost do wieśniaków, ostrzegali ich zbyt namiętnie, tak iż przemowy ich nie tylko nie przekonywały, lecz raczej zachęcały do wędrówki. Nieliczni przyjaciele chłopa twierdząc to samo w tym chórze zleli się wbrew własnej woli w jedno z panami dziedzicami. Bawiłem podczas największego nasilenia „gorączki brazylijskiej" na wsi we dworze. Słyszałem opowieści, nie wiem, czy prawdziwe, lecz powtarzam je, gdyż są przewyborną ilustracją

nastrojów ówczesnych, iż chłopi, spotykając trudności przy otrzymywaniu kart wyjścia z kraju, nie czekali na przyzwolenie, lecz gromadami, z kosą w ręku, przebijali się przez granicę. Nieufność względem inteligentów była niepomierna. Ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że rzeczy bynajmniej nie mają się tak prosto i tak gładko, jak mniemali opętani szałem brazylijskim, więc ci nie im ufali. W odległości kilku mil od granicy gospodarował mój przyjaciel, o przekonaniach mocno czerwonych, który na dzień 1 maja, po raz pierwszy świętowany, dał parobkom swoim zupełny odpoczynek. Wspominam o tym, ażeby wykazać, jak musiał być daleki od wszelkich zamiarów powstrzymywania chłopów od wyjścia w imię interesów dworu. Świadom forteli agentów i obłędu tłumów, przemawiał do włościan, przekładał im. I oto krążyć zaczyna w okolicy gadka, iż on właśnie kieruje machinacjami pogranicznymi, nie wypuszczającymi chłopa z domu niewoli ojczystej! Zbyteczna tutaj zatrzymywać się nad ciężkimi doświadczeniami, które stały się udziałem gromad wychodźczych. Wiadome bowiem powszechnie są losy tłumów zwabionych do Brazylii. Kraj ten liczył na przyjście powolne paru lub kilku tysięcy rocznie, ale nie był przygotowany, iż zwali się w krótkich odstępach czasu około 30.000 chłopa. Ani grunta nie były tam wymierzone dla nich, ani nagromadzony materiał na budowę domów, ani nie powołano do życia sumiennej informacji, któraby wskazywała wychodźcom, gdzie znajdą dla siebie najodpowiedniejsze miejsce bądź gdy szło o klimat, bądź pod innymi względami. Wyspa Kwiatów przekształcała się w wielkie cmentarzysko przybyszy. Zresztą wywędrowcy pozostawiali cmentarzyska po sobie na każdym postoju. Zwłaszcza wymierały dzieci. Konopnicka poświęciła tym ponurym obrazom swój największy utwór poetycki, „Pana Balcera", tę epopeę wzlotów i niezniszczonych marzeń chłopskich, ciężkich zawodów i łez chłopskich. A opowieść Konopnickiej powtarza się u wielu pamiętnikarzy w nieokrzesanej, niepowiązanej opowieści o ich losach na ziemi brazylijskiej, o borykaniu się z przyrodą i — często — zwycięstwie nad nią. Zresztą i ci, którzy w okresie „gorączki" przybyli do Brazylii i zdołali przetrzymać pierwsze lata, nie mogą powiedzieć, ażeby obczyzna tamtejsza obeszła się z nimi zbyt po macoszemu.

Nie będziemy tutaj zastanawiali się nad kolejnym kształtowa-

niem się wychodztwa naszego do Brazylii, Argentyny i innych dzielnic Ameryki południowej. Ani nie zatrzymamy się nad sytuacją naszego wychodztwa, tak jaskrawo odtworzoną przez niektórych pamiętnikarzy, ani nad liczebnością tej „Nowej Polski". W ogóle, gdy chodzi o pamiętniki nadesłane w liczbie 39 (z których 27 przeznaczono do druku, niewiele jest pomiędzy nimi spójności terytorialnej. Przecież obejmują Argentynę (z liczby 8 pamiętnikarzy tamtejszych, pięciu przebywało w Buenos Aires), Brazylię (28 pamiętnikarzy, z których czternastu osiadło w Paranie, ośmiu w Santa Catharina i sześciu w Rio Grande do Sul), w Paragwaju i Urugwaju (z obu tych krajów nadeszły wszystkiego trzy pamiętniki). Osoby, które, poza obecnym miejscem pobytu swego, już doświadczały życia emigracyjnego bądź w Niemczech i Francji, bądź w Stanach Zjednoczonych, tworzą bądź co bądź część dziesiątą (10,3%) wśród autorów. Rdzeń pamiętnikarzy wyszedł spośród ludności wiejskiej w kraju rodzimym, bo aż 51,3% przypada na wychodźców z takiego środowiska, robotnicy wiejscy i miejscy stanowią 10,3%, drobni urzędnicy administracyjni i przemysłowi 7,7%, reszta to wychodźcy częściowo spomiędzy nie określonego szczegółowiej środowiska wiejskiego lub miejskiego, w tej liczbie strycharz, dorożkarz, handlarz, a nawet „dworzan" (szlachcic) z Kowieńszczyzny. Niektórzy wyjeżdżali na własną rękę, zachęcani listownie przez krewnych i przyjaciół, którzy usadowili się już byli po tamtej stronie Atlantyku; blisko trzecia część, tj. 33,3%, uległa namowom agentów towarzystw emigracyjnych lub obietnicom w rozszerzanych przez nie broszurach i artykułach; 5% korzystało z usług „Biura emigracyjnego" (prawdopodobnie jest to Syndykat Emigracyjny). A znalazłszy się na ziemi amerykańskiej, zgodnie z tradycjami swojego otoczenia w ojczyźnie, poważny odłam, bo 43,6%, osiadł na roli, a wszyscy prócz jednego w charakterze osadników-kolonistów; około 18,0% są to robotnicy wykwalifikowani (brukarz, kowal, mechanik), bądź niewykwalifikowani zatrudnieni przy budowie dróg i kolei (z nich większość siedzi w Argentynie); 10,3% poświęciło się nauczycielstwu — ci wszyscy w Brazylii. Wychodźcy wyjeżdżali całymi rodzinami, a więc z żoną i dziećmi lub wchodzili w skład takich rodzin jako jeszcze dzieci lub wyrostki. W ogóle obarczeni w drodze i przy osiedlaniu się rodzinami, wychodźcy tworzą wśród pamiętnikarzy 48,7%,

a właściwie nieco więcej, bo do grupy osób samotnych, wynoszącej 43,6%, zaliczono wielu żonatych, którzy zostawiali żony w kraju i tylko sami przybywali jak gdyby na zwiady. Rzecz znamienna, w liczbie pamiętnikarzy nie ma ani jednej kobiety, wówczas gdy we Francji znalazły się aż trzy pamiętnikarki w ogólnej liczbie 49 osób, które nadesłały przyczynki o swoim doświadczeniu. Niektórzy siedzą już przeszło lat 30 na wychodztwie, a mianowicie 20,5% przybyło jeszcze przed rokiem 1900, wszyscy — w Brazylii; 25,6% osiedliło się w latach 1900 — '14 i również wszyscy prócz jednego w tym samym kraju; 30,8% wyszło z ojczyzny za czasów Niepodległej Polski, lecz przed rokiem 1930, pozostali po roku 1930 lub nie podali w ogóle daty swego wyjazdu. Słowem, prawie blisko połowa siedzi na obczyźnie co najmniej lat dwadzieścia parę, innymi słowy, mieli dość czasu, ażeby dużo doświadczyć i dużo widzieć.

Na zakończenie jedno warto zaznaczyć: nasi zesłańcy polityczni na Syberię kładli kiedyś fundamenty pod kulturę tamtejszą. I nasi wychodźcy do Brazylii w niektórych okolicach pracowali jako pionierzy nad stworzeniem w kniei dziewiczej ognisk kultury rolniczej, w innych przyczyniali się do jej wzmożenia. Dokonywali tego obok wychodźców z innych krajów. Ile z tych wysiłków przypada na nich, ile na innych, o tym trudno nam wyrokować z braku odpowiednich materiałów liczbowych. A jako uwieńczenie tych ich starań spotykała ich w Brazylii w ostatnich czasach niespodzianka po niespodziance, a więc doczekali się zamykania szkół polskich, rozwiązywania organizacji... Zresztą te dobrodziejstwa spadły nie tylko na nich, lecz również na wychodźców spośród innych narodowości.

Ludwik Krzywicki

Dn. 20 grudnia 1938 roku.

PAMIĘTNIKI I PAMIĘTNIKARZE

Wydane dotąd przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie trzy grube tomy *Pamiętników bezrobotnych* i *Pamiętników chłopów* zawierają wymowny, niekiedy wstrząsający obraz tego, jak żyje i radzi sobie człowiek pracy w Polsce, gdy jest tej pracy pozbawiony, jak żyje na wsi chłop w ciężkich latach kryzysu powojennego, co obaj czują i myślą. Obecnie tenże Instytut zebrał również drogą konkursu, ogłoszonego w jesieni 1936 r., spory — na kilka tomów — materiał, obrazujący życie naszych emigrantów w trzech głównych siedliskach polskiego wychodztwa — Francji, Ameryce Południowej i Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki z Kanadą.

Jakkolwiek nazwa pamiętników się zmienia, piszący je należą do tej samej warstwy narodu, o której się mówi, że „żywi i broni", do pracującego ludu polskiego — robotników i chłopów. Jeżeli zsumujemy wszystkie ich głosy zawarte w trzech konkursach, to otrzymamy imponującą cyfrę 1496 wypowiedzi robotników i chłopów o sobie i swoim życiu. Wartość tych wypowiedzi zależna jest od szczerości i rzetelności ich autorów. Otóż trzeba stwierdzić, że Instytutowi Gospodarstwa Społecznego udało się znaleźć właściwą drogę do serc i umysłów pamiętnikarzy: zamiast suchego, krępującego kwestionariusza rozesłał on odezwę, w której zachęcał: „Nie wstydźcie się tego coście przeżyli. Opowiadajcie śmiało, piszcie szczerze, od serca, tak jakbyście opowiadali troski swoje najbliższemu przyjacielowi". Czy sprawił to serdeczny ton tej odezwy, czy zaufanie do instytucji społecznej, dającej gwarancję, że szczerość pamiętników nie zostanie wyzyskana na szkodę ich autorów; czy może podziałała tu niespodziana radość, że ktoś przecie ich losem życzliwie się zainteresował — dość że się języki rozwiązały i zaskrzypiały pióra, najczęściej w warunkach pisaniu zgoła nie sprzyjających, zważywszy, że autorzy niezbyt biegli

w piśmie przezwyciężać musieli trudności techniczne, a niekiedy nawet — jak np. emigranci — i językowe.

Czytając pamiętniki ma się wrażenie, że jakiś szał szczerości i prawdomówności ogarnął te rzesze, które po raz pierwszy dorwały się do głosu. Niekiedy, z trudem i niechętnie rozpoczęty pamiętnik budzi naraz drzemiące dotąd wspomnienia lat dziecinnych, zapomnianych przygód i doznań, pisanie porywa i staje się stopniowo codzienną potrzebą, zaspakajaną odkradaniem godzin snowi po ciężkiej pracy. „Do czego moje serce tęskniło i czego żądało, tego i doczekało się, chciałem już dawno podzielić się swoim nieszczęśliwym losem, który spotkał mnie tu z rodziną w tym dzikim kraju" — pisze emigrant z Brazylii. „Po przeczytaniu ogłoszenia o konkursie — pisze jedna z emigrantek — to sobie popłakałam i myślę, że chociaż to ciężko przychodzi wszystko sobie przypominać... postanowiłam wysłać swoje bóle i troski od lat dziecięcych... i zaraz tego samego dnia zaczęłam pisać... ani jedno słowo nie jest zmyślone". Taki we wzruszeniu poczęty pamiętnik, natchniony porywem do wypowiedzenia całej prawdy swego życia — osiąga niekiedy nadzwyczajną plastyczność, a zatem i poziom prawdziwego, acz nieświadomego artyzmu.

Szczerość i prawdziwość zawartych w P a m i ę t n i k a c h wynurzeń o życiu robotników i chłopów w Polsce i na emigracji czyni z tych P a m i ę t n i k ó w niezwykle ważny materiał socjologiczny dla uczonych badaczy, dla praktycznych polityków i dla sfer kierujących losami państwa. Zaś we wzruszeniu poczęty artyzm prostych dziejów jest jakby próbą zbiorowego eposu Polski pracującej. O takich właśnie pamiętnikach Maria Dąbrowska pisała: „Wyróżnia je spomiędzy innych w polskim piśmiennictwie istniejących to, że wyszły one ze sfer, które dotąd wobec postronnego świata milczały... Dziś w P a m i ę t n i k a c h przemówił do wszystkich, mających uszy ku słuchaniu, Wielki Nieznany — chłop, którego nazwać warstwą narodu — to właściwie za mało. Gdyż stanowi on tak olbrzymią większość narodu, że czytając jego rozpamiętywania naród siebie samego dopiero w pełni poznaje, ogląda i sądzi".

Takie jest ogólne znaczenie P a m i ę t n i k ó w, wydanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Jeżeli zaś chodzi o Pamiętniki emigrantów, zwłaszcza tych zza oceanu, to chcielibyśmy tu zwrócić uwagę na panujący w nich klimat moralny. Oto ludzie, od lat i na zawsze oderwani od ojczyzny, podejmują ciężki, niepraktykowany dotąd przez nich trud spisywania spowiedzi ze swego życia — nie dla nagrody, lecz prawie zawsze z poczucia, iż opisując swe przeżycia dają świadectwo prawdzie, informują, ostrzegają, słowem — służą czemuś, co ma znaczenie ogólne, czemuś, co jest ważniejsze niż osoba autora i jego losy. To poczucie odpowiedzialności i wciąż istniejącej więzi z krajem sprawia, że Pamiętniki są pisane sumiennie, pełne są treści, że obiektywnie są pożyteczne. Znać w nich rzetelny wysiłek, by zgromadzić i podzielić się wszystkim swoim doświadczeniem, które się zdobyło tak wielkim ryzykiem i kosztem. Nawet tam, gdzie zjawia się, zrozumiała zresztą u self-mademan'ów, chęć samochwalstwa — jest ona raczej swego rodzaju hołdem składanym jakiejś ogólnej sprawie, jakby oświadczeniem: „oto co osiągnąłem, czym stałem się w przybranej ojczyźnie ja, ciemny chłop, poniewierany we własnej. Jej, niezapomnianej i umiłowanej, te zdobyte gdzie indziej godności składam tu w ofierze". Ten właśnie klimat Pamiętników emigrantów daje miarę wartości społecznej tego materiału ludzkiego, który niedola wyrzuciła z ojczyzny za ocean.

W pamiętnikach emigrantów z Południowej Ameryki — bo o nich tu mówić chcemy obszerniej — rzucają się w oczy trzy główne momenty. Pierwszy — to zetknięcie się emigranta ze światem zupełnie odmiennym niż wszystko co dotąd widział: podróż morska, kwarantanna na Wyspie Kwiatów, którą jeden nazywa „mordownią dzieci polskich", inność klimatu i całej przyrody, odmienność stosunków, nieznajomość języka, walka z puszczą, z tubylcami, z nieznanymi chorobami i pasożytami — wszystko to oszałamia niby jakiś młyn diabelski, podcina wiarę w siebie i wywołuje pierwszy odruch, żeby za wszelką cenę wracać do kraju. „O jakże nam to stało dziwno i boleśnie — zwierza się emigrant — gdy my zobaczyli tę ziemię. Ja pytam się — to jest ziemia? Kiedy tu las, góry, krzaki, zarośla, przepaście bezdenne, bagna, paproć na parę metrów. Zacząłem płakać jak małe dziecko na swój gorzki los. Chciałem zaraz powrócić do kraju, ale za mało zostało mi pieniędzy, a rodzina — dziewięcioro dusz". A oto pierwsza noc

innego w emigranckim baraku: „O spaniu nie było mowy, łóżek barak nie miał a miejsca na ziemi niewiele dla tylu ludzi. Tak zatem zaczynaliśmy zapominać, żeśmy ludzie". Pierwsza noc w puszczy: „Było nas parę famielii i zaślim na tę ziemię a tam nie było nigdzie żadnej chałupy, tylko bez początku i bez końca same dziewice bory. Stanęlim wszyscy bezradni a było już pod wieczór, wtencas nacienim drzewa, napalilim ogień i przy tym ogniu wszyscy nocowalim".

Drugi moment — to wewnętrzne dojrzewanie emigranta do opanowania rozpaczliwej sytuacji, w której się znalazł: wracać nie ma za co i nie ma już do czego. Jest mus pozostania w tym „robaczywym" — jak piszą — kraju. Zacisnąć zęby i nie dać się. Pouczające są ustępy pamiętników, w których opisane są sposoby ratowania się i najprzeróżniejsze rodzaje prac, podejmowanych przez ludzi — bez języka i bez opieki — by ocalić siebie i rodzinę od śmierci głodowej. I wciąż to rzucanie się na oślep za jakimkolwiek bądź zarobkiem. „Nowoprzybylec — pisze emigrant z Argentyny — nie znając języka ani kraju, jechał gdzie go wysyłano i tam pracował ile mógł a później uciekał pieszo i to czasem po paręset kilometrów a w jego miejsce wysyłano drugiego i ten drugi po paru dniach znów maszerował w ślad poprzedniego". Poczem dodaje: „tylko pokorą i pracowitością wyrobielim sobie opinię dobrą i chętnie nas przyjmują do pracy". Do najcięższej pracy fizycznej — dodajmy. A przy tym emigrant bywa zazwyczaj w pierwszych swych krokach na obcym gruncie wyzyskiwany i oszukiwany.

Wreszcie trzeci moment, który przenika wszystkie poczynania pamiętnikarzy — to niezłomna ich wiara, że praca wyzwoli z najcięższej opresji. Byle ją znaleźć. I tu rozsnuwa się przed nami już aż do końca pasmo zawziętego borykania się z twardym, czasem okrutnym losem. Niekiedy są to przygody jakby wyjęte z sensacyjnych powieści, a zawsze są to historie niesłychanych cierpień, nieustannych trudów, wielkiej cierpliwości i wytrwania. Rzadko bardzo udaje się emigrantowi polskiemu trafić od razu na zajęcie, któremu może się oddać na stałe. Oto np. jakże urozmaicony przebieg prac, które wykonywa chłop spod Tarnowa w Argentynie, zanim osiądzie u „Hiszpańczyka" na wyspie: buduje drogi, rwie kukurydzę, kopie tunel (jako Niemiec, bo Polaka Niemcy nie

chcieli), buduje „lewadory", po pas w wodzie ścina wierzby, obrządza we trzech czternaście tysięcy kaczek, „a spanie gorsze jak u nas mają psy, bo na dole są kaczki a na wierchu mieszkanie, smrud... i kaczki mówią do siebie całą noc".

Nie łatwiejszy, lecz bardziej „malowniczy" bywa żywot innych emigrantów.

Oto kilkunastoletni chłopak, który „do wyjazdu z kraju nigdy nie miał butów", zostaje sprzedany przez ojczyma fazenderowi jednemu, potem drugiemu, wreszcie dostaje się do sklepikarza w mieście a że „nie znał się na numerkach", dopiero w Brazylii uczy się czytać i rachować po portugalsku i... po polsku. Potem z handlarzem Turkiem rozwozi towary po koloniach i traci pryncypała w walce z bandytami. Biorąc udział w ekspedycji, wyznaczającej trasę kolei przez puszczę, przeżywa fantastyczne przygody — walki krwawe z bugrami, odwrót o głodzie, spotkanie z niszczącym wszystko po drodze stadem dzikich świń i z tygrysem, ogląda obóz wymordowanej części ekspedycji itp. Oto drugi z dwoma Włochami, którzy go nocami uczą mówić po włosku i po portugalsku, wyrusza z Parany do Sao Paulo szukać pracy a gdy towarzysze go z czasem opuszczają — jeden żeni się, drugi wraca do kraju — puszcza się pieszo w powrotną drogę do Parany. Podróż ta, trwająca parę lat, pełna jest przygód godnych pióra Jacka Londona i kończy się refleksją: „ten naród jest szczery, można w tym kraju podróżować bez pieniędzy". Innego losy rozgrywają się na tle przygód i walk, które proszą się o pióro Fenimora Coopera: żeby ulżyć rodzicom, małym chłopcem poszedł do fazendera za poganiacza mułów, wśród walk z przyrodą i z Indianami zdziczał, a gdy po ośmiu latach wraca do rodziców — „wszedłem na próg — wspomina — i poczułem się bardzo obcy... pochwaliłem Boga, to mnie ośmieliło i dzikość złagodniała". Wreszcie inny jeszcze, kowal z fachu i człowiek zaradny, dwukrotnie zmieniać musi miejsca pobytu, porzucając za darmo kupione działki: raz po walce z krokodylem, drugi — po napadzie rozbestwionych Niemców. Na trzecim miejscu zakłada sklepik i gdy po ograbieniu tego sklepu żona namawia go do ucieczki po raz trzeci, tak jej odpowiada: „od złego trudno jest gdziekolwiek uciec bo zle wszędzie jest". I zostają. „A czas szedł swoim porządkiem — urodził mi się szósty syn".

Czytając te trudne żywoty, których dla przykładu streściliśmy tu drobną cząsteczkę, szuka się odpowiedzi na pytanie, co tych ludzi ratuje od zwątpienia, rozpaczy, od zguby? Co im daje moc trwania i powolnego zdobywania znośnego bytu a w rzadkich bardzo wypadkach — i fortuny? Pośrednio na to pytanie dają niekiedy odpowiedź sami pamiętnikarze. Niechże mówią. „Tak żylim (w puszczy) abym od głodu nie umarli, a tych biednych zarobków (przy drodze) to było od grudnia aż do maja i jak przyszła niedziela albo święto, to schodzili się jedni do drugich i opowiadali sobie o Polsce". „Tworzyliśmy jakby jedną wielką familię (w puszczy), bo w cudzym kraju odczuwa się dopiero przyjaźń bliźniego". „Dzieci chodziły do szkoły, przy nich zacząłem przypominać sobie sztukę czytania. Nieraz koguty piały a ja przy kopciuszku czytałem Sienkiewicza". „Przyjechałem na tę kolonię już 40 roki temu, ale mi się nie przykrzy bom już trzy syny i jedną córkę na pierwszych latach pożenił a mi najstarsza córka pożeniała trzy syny i ma wnuków 9, młodszy syn 2 córki i syna i ma wnuków 4, trzeci syn ożenił syna i córkę ma jednego wnuka. Najmłodszy syn ma 11 dzieci, ale jeszcze nie żeniate... Moja rodzina cała umie jak po polsku tak i po brazelsku, jak moje dzieci tak samo i wnuki". Najnieszczęśliwszy z nich tak pisze: „Ja sam jeden tu Polak i czytam gazetę Kurier Polski w Argentynie i mam Biblio — to cała moja rozrywka bo inaczej to bym zgłupiał... Kończę już, bo nie mam czasu pisać, pracuję od nocy do nocy a w niedziele do południa, a potem koszule wyprać i już wieczór, to taka kochana Ameryka". Istotnie, niepożyta jest moc trwania żywiołu polskiego, który od wieków wciąż odrasta z pnia ludowego.

Staraliśmy się słowami samych emigrantów scharakteryzować pokrótce treść i ducha ich pamiętników. Chociaż czyta się je z niesłabnącym zaciekawieniem i nawet wzruszeniem estetycznym, jest to lektura ciężka i poważna, jak poważnymi są zawarte w niej sprawy. A jednak pozostawia ona po sobie ogólne wrażenie krzepiące i nawet radosne. Daje bowiem wiarę w człowieka — rzecz tak niezwykłą w czasach „człowieka masowego", który sam przez się nie ma żadnej wartości i może żyć, smucić się, radować i działać tylko tłumem, masą, jak ławica śledzi czy sardynek tamująca ruch statku na morzu. A tu mamy do czynienia z ludźmi oderwanymi od rodzimego zespołu, samotnie rzuconymi w przestwór nie-

znanego i wrogiego świata — i okazuje się, że są jak żołnierze w rozsypce, pozostawieni bez komendy, a jednak każdy nosi w sobie nieomylną busolę, jakby mądrość gatunku, oraz pewność płynącą z wiary we wszechmoc pracy. Wyczuwa się tę mądrość, między innymi, w trosce o sprawy ojczyste, która coraz to się wyłania spośród trosk o byt materialny. „Zrozumiałem dobrze co są narody, co jest ojczyzna. Serce moje nieraz było przebite słowami innej narodowości gdyby bagnetem, wszędzie było można usłyszeć (mowa o 1911 roku) polako nao tei bandera — Polak nie ma sztandaru". Pełno w pamiętnikach rad, jak obronić emigrację od wynarodowienia, pełno ostrzeżeń, skarg. „Brak książek polskich i pomimo że prowadzimy z Polską korespondencję nie odnosi rezultatu", proponuje tedy tenże autor wymianę książek na kolekcję motyli, owadów, wszystkiego czym by się społeczeństwo polskie zainteresowało. „My darmo z kraju nie chcemy nic".

* * *

Przy końcu musimy dać pewne wyjaśnienie. Wszystkie prawie nadesłane z Ameryki Południowej na konkurs pamiętniki zostały w tym tomie bądź w całości, bądź częściowo zamieszczone bez zmian i poprawek, o które autorzy prosili. Jeden wszakże pamiętnik najobszerniejszy, bo zawierający 264 stronice maszynowego pisma, musiał być wyłączony z konkursu, gdyż w znacznej części jest opisem przejść doznanych w kraju podczas wojny światowej i wojny 1920 roku i tylko w nieznacznym ułamku dotyczy życia na emigracji. Całość jednak jest tak żywo, plastycznie i z takim talentem napisana, że powinna być wydrukowana osobno w innej może serii wydawnictw Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

Stanisław Stempowski

ZAŁĄCZNIK 1.

JĘZYK PAMIĘTNIKÓW

W wielu pamiętnikach z Ameryki Południowej znać zmaganie się autorów z trudnością pisania po polsku. Być może, opuszczając przed laty ojczyznę, jako ludzie pracy fizycznej, nie byli zbyt biegli w piśmie, a zmuszeni koniecznością życiową do posługiwania się codziennie mową obcą zapomnieli, jak brzmi i toczy się mowa rodzona. To też z 27-miu pamiętnikarzy czterej nie odważyli się sami pisać (są to nr 10, 12, 14 i 16) i dyktowali swe wspomnienia, dwudziesty ósmy zaś, licząc zapewne na to, że dopiero w 1926 roku wyemigrował, odważył się i próba zawiodła. Musieliśmy pominąć ten trudny w czytaniu a miejscami zgoła niezrozumiały pamiętnik.

We wszystkich pamiętnikach ogłoszonych zachowaliśmy ściśle język i styl oryginału, wprowadzając jedynie poprawki ortograficzne tam, gdzie nie zniekształcały osobliwości wysłowienia autorów. Dzięki temu pamiętniki te dostarczyć mogą również wiele materiału oświetlającego przemiany, jakim ulega język wychodźców pod wpływem obcego środowiska. Dla interesujących się tą sprawą przytaczamy nadto nieco wyrażeń i ustępów wybranych ze szczególnie charakterystycznego pod tym względem pamiętnika nr 28 (Argentyna).

W y r a ż e n i a

Ciężkie czasy transformalne — my się ubikowali w piwnicy — siadł sobie na koczubki musiał chodzić kulcy — rozmawialiśmy o wszystkim co na świecie tylko jest w śmiechu i karkachady — wprowadził na do wewnącza — nie wyrażałem żadnej powady lecz słowa leciały bardzo łagodne santuarne — za to cię felicytujem że jesteś dobry — zabłyszczyłem lampę — do stacji kompanowali mi matka i siostra — naco tu wyląg wrzask z ust tłumu — było tu wiele karkachady — tumulty centynarne emigrantów — oddychnąć powietrzem w swojej Patrji — hawegowaliśmy bardzo daleko — kucharz entrerian brudny — dano interiornej oliwy — tu jest taki układ kryolda — mówić po kastylju — przeglądałem mapę perowiatyczną — masy różnej klasy humanitarnej czarnej i czerwono skórcy i bardzo bogaci eskorcioniś-

ci — na wagonie kilkanaście tamboty i tu ja się zobukowałem — patrzyłem na giję jak daleko jeszcze Montewideo — zubikowałem się w tem wozie — kilka matrymon widno było — chodziło sentanorne tysiące bydła — nawidzieli mi wszystki — soli i polewa salsą — poprawiają wiję — nic nie widno humanitarnego tylko żółta trawa dzika, itp.

Ustępy wybrane

1) ...„Ale tu wam podaję mniej więcej o owych przeszłościach mnie a coby można opisać nawet w potężny i prawdziwy sposób o życiu południowej Ameryki czyli nowego świata co się różni kompletnie z życiem europejskim lub inne części świata a jedynie jest opisany w sposób szybki i krótki co i z tego można wyciągnąć niektóre kopie resumen".

2) ...„Po paruch miesiącach zimowej pory 1914 w czerwcu pokazało się ponownie wojsko co już nie było wycieczkowych żołnierzy tylko tak jak na serio zbrojnie i ciągli ze sobą ciężkie kanony i inne cele pacyfistyczne, maszejrowali około cztery godzin przez wioskę Piwoda i na każdym odcinku szeregu dzwięczyła muzyka pięknie. Na strząsienie ziemi się pod ciężkiemi działami pacyfikacyj i dudnienie chałup wioski wyszedł chyba każdyn z osób, matki z dziećmi na rękach, tam nie było ni chorego jak małe tak wielki każdyn wyszedł do drogi przed wrota obejścia swego na tyn niby taki cud, nie widziany jeszcze w zagrodach wiejskich i innych, co każdego przejęło zdrętwiałym sercem i obólewającym nijedny kobiety na miejscu poczęły płakać i wzywać Boga na coś okropnego".

3) ...„w tych lasach błąkaliśmy się co nikt nie myślał ujść z życiem bo grały kule ponad głowami ludu pewien żyd naplątał się koło nas uciekającymi które gromady śpiewały pieśni nabożne Serdeczna Matko i inne w popłochu naszym tu było i do śmiechu przeprowadzało z owego żyda Jabrama, mówił do gromad ludu „proście waszej Matki Boski ażeby mas zachowała przy życiu" i razem śpiewał ze rzeszą i modlił się po polsku w popłochu".

4) ...„W dalszych tygodniach zaczęli wojska wykopywać trupy ofiarne z pól i obyjść zewsząd było coś okropnego że nie można było się nadchnąć na powietrzu tak śmierdzącym, te odkrycia ofiar przez ten tak niezdrowy olfat wywołało wielką zarazę dla ludzi".

5) ...„przyszedł rok 1917 co usłyszano wielką nowinę o Zmartwychwstaniu naszej Ojczyzny, a za przewodem wielkiego Kolaborara za Józefa Piłsudskiego. Każdyn z rozumnych cieszących się że w długotrwałej podległości pod batem austryjskiem a tem bardziej daleko gorzej pod knutem bolszywickiem, przerwano te ciężkie kajdany i postanowiono i przyznano że jest niepodległe Państwo Polska o swoich rządach. Ja chodziłem do szkoły i uczyłem się pilnie, byłem już w drugim stopniu, co bardzo lubiałem słuchać nauczycielki...".

6) ...„Ja sam przywidywałem że co jest nie perfektywnie, a co

jest w moich małych latach, wiele razy złościłem się i mówiłem o porządku w domu i obejściu, utrzymania czystości również humanitarnie kąpiel i dobrze się mycia ciała i gotowania bielizny w ługu i t. p. tak i jedzenia przygotowywać w porządku".

7) ...„Matka mi odpowiedziała na to moje ideje. Nuż cóż ty robisz i myślisz tu, zasmuciłeś mi zmień twoje ideje i nie zadawaj mi tak ciężaru na serce. Ja uciskałam się z wami przez całą wojnę, co na szczęście zachowałam was aż do dziś a teraz mi chcesz zostawić coś mi jest z najlepszych z dzieci dzieckim i miałam zaufanie w tobie w każdym razie a nawet i w obrocie domowych i t. d. Ja odpowiedziałem jest trudno mamo chce wyjechać zagranicę i myślę że nie na długo a zwłaszcza chciałbym zobaczyć nieznany mi ojca mego że jest tam daleko za ocejanami obcych kontynentach".

8) ...„Dla Katarzyny i z jej strony ja byłem kochany. Jej braci zapraszając mi na ten balet i także zapraszała siostrę moją przez wyskoczną Katarzynę a zarazem proszono starszych z mego domu a co tu moja matka była nie wrogą tego. Ja poszedłem na tą farę i także siostra przysła ażeby zaobserwować coś na jakiś wypadek. Kiedy byłem przyszedł do wysołego domu ukłoniłem się którzy mi odpowiedzieli z całą zbiórką witając ja ich w drugim mieszkaniu siedzieli starsi i gospodarzy przed którymi pochwaliłem Boga na co odpowiedzieli amen, w przebyłem czasie zaczęła się funcja zabawna. Wszyscy okolokowani przy stołach gospodarzy...".

9) ...„Z naszym przewodnikim dużo razy przechadzaliśmy się nas pięciu zewsząd nas targają białe gąski humanitarne co tylko było pełne ulice syku cmokania wid — di wid co daliśmy sobie z tego sprawę. Ja mówię do kolegów cóż za wstydny układ — pełno wszędzie publicznie tych białych gąsk, zgorszają tylko młodych chłopaków i namawiają tylko na stratę kieszeni tak odpowiedzieli koledzy z uśmiechem, nuż tu podskokła jedna z tych francesitów tak zwinna oczy u niech zapalne jak siarka i łapie mi za rękę i idzie sobie obok, szwargoli jakiś rzeczy a wiedziałem o tem że owa gąska chce ażeby ją odmianować nie dużo choć dziesięć franki, co zrobić iż by się odczypiła, chociaż nie rozumiała ona i mnie ale w stypie w szpilkach była zmuszona odejść".

10) ...„tu nam wydano narzędzia, szpadel i dzigę wyrychtowano wózek na wiję wszyscy na niego i jazda daleko w pole po wije pomiędzy pietnastoma km. i zatrzymano sorę zrucono z szyn zabrano każden swoją rzecz co tu nam wizer okazał jak się podbija progi...".

11) ...„mój pan był zawodu pintor artysta robiuł on tu w domu na ciężkich kwadratowych dyktach ładne pajsaże i potrety ludzkie pirograbalnie...".

12) ...„Od roku 1928 zaczęłem uczęszczać do szkoły na kursa języka hiszpańskiego czyli Castylli w pierwszym roku pierwszy kurs i w drugim drugi skończyłem tych dwa należące kursa wstąpiłem do pierwszych nauk szkolnych, co jeszcze naprzód uczyłem się sam par-

tykularnie arytmetyki i matymatyki z książki i historji tutejszy także geografji. W trzecim roku wstąpiłem do trzeciego stopnia ale na moje wysiłki chętnej chciwości awansować na czwarty rok mego zajęcia się estudją przeskakiwałem gradualne nauki roczne tak że przeszedłem szkolną naukę powszechną co wstąpiłem do studjów klasowych. Tu w tej dużej szkole przy ulicy Pueyrzedon pod tytułem Vicenty Lopes y Planes zawiera kilka oddziały, są pierwsze i sekundarjos nauki nacional jest tu dom o kilku auli naukowych, są studja handlowe, języki angielski i francuski, archutektura, chimika i t. d. Uczyłem się późni francuskiego i włoskiego języka i stąd poszedłem do Akademji Pitman".

ZAŁĄCZNIK 2.

ODEZWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

w sprawie konkursu na Pamiętnik emigranta w Ameryce Południowej, ogłoszona w kwietniu 1936 roku.

KONKURS NA „PAMIĘTNIK EMIGRANTA"

W wielu bliżej położonych i dalszych, zamorskich krajach żyje rozproszony polski lud pracujący, który dla znalezienia zarobku szukał pracy u obcych, bądź to na roli, bądź przy innym warsztacie pracy, w fabrykach i kopalniach, przy budowie dróg itd. O położeniu tych wychodźców dochodzą nas wieści bardzo niedokładne, nieraz nawet fałszywe, i to najczęściej nie od nich samych, do zabierania głosu w swoich sprawach najbardziej powołanych a zatem i najbardziej miarodajnych.

Ażeby dać możliwie dokładny opis warunków bytu naszych wychodźców, postanowił INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO zwrócić się bezpośrednio do was wszystkich wychodźców przebywających za granicą, abyście dostarczyli materiału do takiego opisu własnymi wspomnieniami, przeżyciami i doświadczeniami.

Podejmując się takiego opisu Instytut pragnie spełnić jedno z zadań w imię których powstał przed kilkunastu laty. W ciągu całej swej działalności dotychczasowej prowadził Instytut badania naukowe w dziedzinie spraw gospodarczych i społecznych, dążąc przede wszystkim do tego, aby wyniki tych badań mogły być pomocą klasie pracującej. Niedawno Instytut wydał książkę pt. „Pamiętniki chłopów", w których zebrał wszystko to, co napisali o sobie i o swych dzisiejszych warunkach życia mieszkańcy wsi polskich. Jeszcze dwa lata wcześniej Instytut ogłosił książkę, zawierającą „Pamiętniki bezrobotnych", napisane przez robotników miejskich, pozbawionych pracy. Obie te książki stały się ważnym świadectwem o naszej polskiej rzeczywistości i obie wstrząsnęły głęboko sumieniem naszego społeczeństwa.

Obecnie Instytut przystępuje do zebrania materiałów, które dałyby obraz życia wychodźców Polaków, przebywających na obczyźnie, dokąd doprowadził ich twardy los, zmuszający niektórych spośród nas szukać pracy i chleba aż po za granicami kraju. Opracowanie zebranych tą drogą wiadomości da obraz rzetelny warunków waszego życia na obczyźnie i pozwoli społeczeństwu wyrobić sobie sąd o waszym położeniu. Piszcie szczerze, otwarcie, prostymi słowami, jakimi przemawiacie do ludzi życzliwych a bliskich, opowiedzcie jakie jest wasze życie obecne, jaką drogą doszliście do obecnego położenia.

Ażeby wam, wychodźcy, ułatwić opis dni waszego żywota, pozwalamy sobie podsunąć wam niektóre z waszych przejść i doświadczeń. Nie są to z naszej strony pytania, na które z waszej strony napisanie: „tak" lub „nie" wyczerpałoby już wszystko. Jest to tylko przypomnienie o tym lub o innym waszym przeżyciu, i na każde takie przypomnienie odpowiadajcie opowieścią chociażby na paru stronicach papieru. Rozpisujcie się o wszystkim, co pamięć wskrzesi z waszej przeszłości. A nie krępujcie się, iż niekiedy o jakichś przejściach nie ma z naszej strony żadnego przypomnienia. Przecież rzeczą trudną jest przewidzieć wszystkie możliwości życia! Pamiętajcie więc o tym, iż naszymi pytaniami nie mogliśmy wyczerpać każdego waszego doświadczenia i że od was zależy rozszerzyć zakres waszej opowieści.

Przechodzimy do tego przypominania wam o doświadczeniach, które spotkały was podczas dni waszego życia.

A zatem zacznijcie opowieść swoją od czasów dzieciństwa, a więc powiedzcie coś o rodzicach i rodzeństwie, o stosunkach w rodzinie, czyście opuszczając kraj, wyjechali z żoną, czy może ożeniliście się dopiero za granicą, i czy z polką czy cudzoziemką, czy zawarliście ślub kościelny, czy cywilny.

Napiszcie, jak zarabialiście na utrzymanie przed wyjazdem za granicę i co skłoniło was do wyjazdu. Napiszcie czyście sami powzięli ten zamiar, czy z czyjej namowy, albo może zachęciły was do tego listy krewnych lub znajomych, przebywających już na obczyźnie i czy przed wyjazdem otrzymaliście jakie informacje i od kogo. A może, jeśli pochodzicie ze wsi, przyczyną waszego wyjazdu z kraju były stosunki w waszej rodzinie, takie jak niemożność utrzymania się na gospodarstwie, konieczność dojścia do pieniędzy dla spłaty braci i sióstr, długi lub inne tego rodzaju kłopoty. A może pchnęła was ku wychodztwu chęć poznania innych krajów?

Jeśli w kraju pracowaliście jako rzemieślnik lub jako robotnik w fabryce, w kopalni lub w końcu jako wyrobnik bez zawodu, czyście zamierzali zmienić na obczyźnie sposób zarobkowania?

A wyjeżdżając może mieliście już zapewnioną pracę i byliście z góry zakontraktowani czy też jechaliście zgoła nie wiedząc, gdzie i na jakich warunkach będziecie pracowali. Napiszcie też, czy jechaliście na koszt własny czy na koszt pracodawcy, czyście mieli dosyć pieniędzy na opłacenie kosztów przejazdu, skąd wzięliście na to pieniędzy, czy wyjechaliście z kraju za paszportem, czy może nielegalnie i jakeście wyobrażali sobie wyjście z położenia, w którym znajdowaliście się w kraju. Wymieńcie możliwie szczegółowo wszystkie trudności i niepowodzenia lub powodzenia, z jakimi spotkaliście się w podróży lub w pierwszych czasach przy przybyciu na obczyznę zacząwszy od trudności przy wyjeździe z kraju. Czyście jechali w transporcie zbiorowym a po przyjeździe osiedliliście się od razu na stałe w danej miejscowości lub przejeżdżaliście z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pracy.

Opiszcie gdzie osiedliliście się na stałe na wsi czy w mieście, jakie są wasze warunki zarobkowe, a więc rodzaj pracy waszej, wysokość zarobków, stosunek do pracodawcy, pomoc w razie choroby, przy czym nadmieńcie czy chorowaliście kiedy i gdzieście leczyli się wówczas i na czyj koszt, w szpitalu czy w sanatorium. Czy korzystacie z ubezpieczenia społecznego, z zapomóg z innych źródeł dla siebie, czy rodziny. Jaki jest stan zdrowia waszego i waszej rodziny. Jakie są wasze warunki mieszkaniowe, czy macie własne gospodarstwo, ogródek itd., jeśli posiadacie własne gospodarstwo rolne, to napiszcie od kogo kupiliście ziemię, ile jej posiadacie, jak wam się powodzi na gospodarce. Przy tej sposobności napiszcie, czy poziom waszego życia obecnego różni się od poziomu życia w Polsce i pod jakim względem.

Opowiadajcie, jaki jest stosunek wasz do otoczenia, czy macie przyjaciół wśród ludności miejscowej, czy odczuwacie różnicę w stosunku do was władz miejscowych i czy należycie do organizacyj zawodowych polskich i obcych. Czy byliście bezrobotnym podczas pobytu na obczyźnie i napotykaliście na trudności przy otrzymywaniu zapomóg, a także jakie mieliście trudności przy poszukiwaniu pracy.

A jeśli wam kazano wyjeżdżać z danego okręgu, w którym przebywaliście, jak z wami wtedy postępowano. Czy zarobek wasz umożliwia robienie oszczędności, a jeśli tak, to czy przesyłacie je do kraju, do bliskiej rodziny, czy też umieszczacie pieniądze w miejscu zamieszkania. Czy straciliście może swe pieniądze zaoszczędzone i w jaki sposób (bankructwo banku, spadek cen realności, spadek wartości akcji, oszustwo), czy zamierzacie kupić grunt w kraju, czy za granicą, osiedlić się na roli jako dzierżawca lub nabyć sklep, warsztat.

Obok dochodów jakie macie, opiszcie także jakie są wasze wydatki, a w związku z tym, jak liczną macie rodzinę, czy dzieci chodzą do szkoły, czy uczą się także poza szkołą, czy uczą się języka polskiego i gdzie, jakim językiem mówicie w domu z rodziną, jaki jest stosunek wasz do nauczyciela, do księdza, czy należycie do jakiego kościoła, czy zmieniliście wyznanie i dlaczego, czy należycie do parafii jakiej.

Jak spędzacie czas wolny po pracy, czy macie radio, gramofon, czy chodzicie do kina, teatru, na koncerty, na wycieczki, czy należycie do stowarzyszeń i jakich, czy macie w nich jakie stanowisko (sekretarz, prezes, kasjer), czy kupujecie książki, pisma, czy na emigracji uczyliście się języka miejscowego. Czyście korzystali z pomocy polskich organizacyj społecznych i w jakiej okazji, i czy pomoc ta była dostateczna.

Czy zwracaliście się z czym do władz polskich za granicą i czyście osiągnęli cel zamierzony, a jeśli nie, to z jakiego powodu.

Każdy z was kto chce opowieścią swoją przyczynić się do odtworzenia rzetelnego obrazu wychodztwa naszego, nie powinien przemilczeć także tego, czy zadowolony jest z pobytu swego na obczyźnie, czy znalazł to, czego oczekiwał i jakie ma widoki na przyszłość dla siebie i swojej rodziny. Napiszcie też, czy przyjęliście obywatelstwo obce, a może wystaraliście się

o to tylko dla swoich dzieci i to w jakim celu i czyście mieli pod tym względem jakieś trudności. W związku z tym powiedzcie, czy zamierzacie pozostać na stałe na wychodztwie, jeśli nie, to jak pragnęlibyście urządzić się po powrocie, w kraju. Czy z miejscowości, w której mieszkacie, wielu wychodźców wróciło do kraju i z jakiej przyczyny. W końcu opowiedzcie, czy interesujecie się tym, co dzieje się w kraju i w jakich pozostajecie stosunkach z krajem, czy sprowadzacie pisma, gazety, książki, czy tę łączność utrzymujecie przez Światowy Związek Polaków Za Granicą. Co zdaniem waszym należało by czynić w kraju dla wychodźców, przebywających w obcych krajach a także dla powracających z emigracji.

Szczere wasze wypowiedzenie się może być pożyteczne dla nawiązania ściślejszych stosunków wychodztwa z krajem i kraju z wychodztwem. Dlatego prosimy was jeszcze raz: piszcie otwarcie, szczerze o wszystkim, co wam leży na sercu, bez obawy. Nie myślcie, że idzie tu o opis dla jakichś celów ubocznych, mogących przynieść wam szkodę, lub obłożyć jakimiś ciężarami podatkowymi. — Bynajmniej! INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO pragnie opisy otrzymane od was opracować i po tym wydrukować, ażeby społeczeństwo dowiedziało się, jakie jest istotne położenie tych, którzy z kraju wywędrowali, zmuszeni różnymi przyczynami do opuszczenia jego granic na czas krótszy lub na zawsze.

Prace wasze nadsyłajcie pod następującym adresem:

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W WARSZAWIE
WARSZAWA, ULICA CZERWONEGO KRZYŻA 20.

do dnia 1 grudnia 1936 r.

Z prac nadesłanych uznane za najlepsze otrzymają nagrody pieniężne, a mianowicie:

1 najlepsza praca otrzyma 100 złotych
2 dobre prace otrzymają po 50 złotych
3 dobre, ale mniej zadowalające po 25 złotych.

Warszawa, kwiecień 1936 roku.

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Pamiętnik Nr. 1

Robotnik w prowincji Cordoba, syn małorolnego gospodarza z województwa kieleckiego, ur. w 1899 r.

Ja jako emigrant polski z Południowy Ameryki, to jest Argentyny zasyłam wam pobieżnie kolejne przejście w życiu mojem od lat dziecięcych aż po dziś dzień.

Ja jesdem wyznania rzymsko-katolickiego, urodzony w 1899 roku we wsi Chyby, gminy Miedzieży, powiatu Końskiego, województwa Kieleckiego.

Na wstępie chcem powiedzieć coś o moi stronie rodzinnej. W stronie rodzinnej mojej tak szeroko jak ja osobiście znam, w całej gminie Miedzieżki, życie wieśniaka jest biedne, a osobiście wioska moja jest to zakątek w położeniu niskim i pomiędzy lasami. Do najbliższej stacji kolejowej mamy 14 kl., a do miasteczka 20 kl. Cała ta okoliczność jest zamieszkała przez małorolników. Ziemia w tech stronach przeważnie 3-ciej klasy i pewien procent nieużytku, ziemia tamtejsza za odpowiedniem doprawieniem jej nadaje się tylko pod żyto i zimniaki i temu podobne, a co do pszenicy to są małe wyjątki. Dużo czasu by trzeba poświęcić chcąc dokładnie opisać położenie wieśniaka tamtejszego. Można sobie wyobrazić życie ich jeżeli z pośród całości 80% probuje trzy razy do roku chleba, a co mięsa to i tego nie. Są to święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc i Zielone Świątki, w te same święta się probuje również cukru, jajka, masło no i kawę z mlekiem. Po skończonych świętach z powrotem zalewajki no i słoninę daje się poczuć kiedy ją ktoś przypraży z cebulą lub ze szczypiorem.

Jaki bądź przychowek czy to zaoszczędzenie jajka czy masła to już Żyd na to czeka i takie dochody służą na domowe rozchody, a przeważnie na sól i na naftę co bez tego ani rusz, a na podatek to stale brakuje. Lepsze czasy były przed wojną, bo ludność tamtejsza wyjeżdżała na roboty polne sezonowe i letnie przeważnie do Niemiec, inni zaś do takich robót rozjeżdżali się w Polsce po dworach i to tak prawie każdy gospodarz o ile miał dorosłe dziecko już go wysełał za zarobkiem. Zimą szły cięcia lasów, kto miał konia stale na podatek mógł zarobić co do opału można było się postarać za małym kosztem. Dziś zmieniło się zupełnie, lasy szlacheckie częściowo są oddane pod serwitut, pozostałe ogrodzone wstęp wzbroniony, lasy zaś rządowe jeszcze pod większym nadzorem, drogi pozarastały, znać tylko gajowego. Emigracja w ostatnich latach zupełnie zamknięta a choć nawet tak jak do Francji do 1928 roku było można wyjechać ale tylko mężczyźni, jako też i powyjeżdżali, a co do Ameryki przed wojną do Północnej a po wojnie do Południowej można było wyjechać ale na tak poważny koszt mało kogo było stać. Tak że w Północnej Ameryce ze stron moich nie ma nikogo. A co do Południowej tu do Argentyny o rok przede mną wyjechało dwóch. A co się tyczy mnie osobiście, wioska moja jest najbiedniejsza. W tech stronach ojciec mój posiadał 6 morgów ziemi. Rodzina była nas 10 braci i 6 siostrów, pozostało nas przy życiu połowa. W roku 1929 zmarł ojciec, a dwa lata później siostra, jako młodziutka mężatka licząca zaledwie 17 lat życia pozostawieła córeczkę jeszcze niemowlę pod opieką matki, o dwa lata po tej zmarła siostra najstarsza równie mężatka wdowa od roku 1916-go pozostawiła troje dzieci małoletnich, dwa synki i jedną córeczkę. Najstarszy synek liczył wówczas 18 wiosen życia. Pozostało nas czterech braci i dwie siostry, ja najstarszy z pośród pozostałych i brat o dwa lata młodszy, są my tu w Argentynie. Wszyscy my są żonaci oprócz najmłodszy siostry, która liczy 17 lat i prawdopodobnie każde swoją część po ojcu osobiście korzysta i matka z niemi. Nie jeden nie znając biedy by się zastanowieł nad tem jak tam te ludzie żyją. Ja znam osobiście życie ludzi tamtejszych, bo przecież tam żem się chował od małego i również dzisiaj to samo mówię jak tam dziś te ludzie żyją bo przecież dziś o wiele jest im ciężej, i o wiele więcej ludzi tam przybeło i zarobków

tam w całej okolicy nie ma, tak żyją jak i my żyli dach nad głową żeśmy mieli, obleczenie choć niebogate, również żeśmy mieli bądź kupne bądź też swoi roboty ufarbowane na czarno i to było dobre, obuwie przeważnie do kościoła, a koło domu w trepkach, a latem boso my mali, a co dorośli to kupił buty za trzy ruble starczeły mu na 10 lat, ubranie cajgowe za 10 złotych, palto na zimę za dwa ruble i to mu też na taki czas wystarczeły jak i butów i tak żeśmy się wychowali i nie biedniej od innych i zamożniejszych gospodarzy choć nas rodzina tak dużą była, a najwięcej ucierpieli rodzice i to tylko im możem zawdzięczać za ich pracę i zapobiegliwość. Wioska moja jest nie dużą jest 22 numery — 15 i 12 morgowe numery i te numery wówczas już podzielone były pomiędzy dwóch gospodarzy. Jak również numer ojca był 12-to morgowy i również był podzielony pomiędzy dwóch braci. Co do życia pomiędzy niemi od samego podziału aż do samej śmierci nie prowadzieli po bratersku, spędzieli większą połowę swego wieku w kłótniach i w nienawiści wzajemny. Który z nich był gorszy tego nie chcę sądzić. Ale o podłości stryjka i jego dzieci to dowiodę poniżej. Z opowieści ojca początki były następujące: gospodarka po ich ojcu w całości prowadzona przez dłuższy czas przez stryjka, a ojciec wówczas odbywał służbę wojskową, ziemia w jednej działce, jedna połowa była o wiele lepsza i o tej już stryjek marzył i ją lepiej uprawiał. Kiedy przyszło do podziału jeden musiał pozostać na tej lichej, bo inaczej nie dało się podzielić, tu stryjek wparł ojcu dobrowolnie część lichszą na tych warunkach ustnych i braterskich, że ojcu pomoże i będzie większe podatki płacieł o tem stryjek w duchu nie marzeł ni też tego z miejsca po podziale nie dotrzymał i to ojciec zrozumiał później, że jeden czy drugi musiał by się był tu zostać i by się był zgodzieł, żeby nie postępki przeciwnie jak to ma miejsce pomiędzy sąsiadami o ile kto tego pragnie. Mamy dowód z ich podłości z krzywdy jaką nam wyrządzieli w czas wojny w roku 1915-tym i to przy pewny kłótni już nie stryj ale syn jego dorosły się zaprzysiągł, że ojciec nie będzie wozieł z lasu drzewa co im to było solą w oczach. A wówczas ojciec się dorobił pięknego konia i wozu według konia i to na to oni nie mogli patrzeć i już o tym marzyli przed kłótnią, kiedy się zaprzysiągł zemścić, co mu się to udało i uszło bezkarnie a to mogą zawdzięczać pore która im sprzyjała.

Ale ojciec nie zważał na te groźby i zupełnie się nie obawiał. Tegoż roku w porę jesienną, noc cicha i ciepła, księżyc świecił w pełni blasku wszystko w zagrodzie poodpierane, każdy po pracy snem twardym spał. Drzwi u mieszkania podparli z zewnątrz wyprowadzieli wóz z sobą na pastwiska i skradli konia, drugiego starego zaprzęgli do wozu, a naszego co był niespokojny i bez chomąta bo było w mieszkaniu, przywiązali i zabrali cygani do lasu sąsiedzkiego, bo tam wówczas się kwaterowali i tej samej nocy wyjechali w stronę Rosji na Grójec o ile się nie mylę, wczesnym rankiem, kiedy ojciec chciał wyjść na dwór a tu dzwi zamknięte. Ojciec wówczas w alarm przez okno się wydostał na podwórze do woza nie ma, do konia nie ma, za śladem po rosie do drogi, na drodze ślad zginął. Ojciec wpadł na pomysł w pogoń za cyganami i już ludzie utorowali drogę ojcu i już ojciec wiedział że cygani zabrali, bo koń był dość znaczny i wyróżniał się pięknością jak również i wóz nowiutki i na czarno wymalowany, tak że ludzie to dobrze zaobserwowali. I tak ojciec po kilku dniach dopędził całą bandę cyganów, wówczas po strażników, a kiedy cygan został przyciśnięty do muru wyśpiewał wszystko, jak ta kradzież się odbywała i nawet jak to zabudowanie wygląda i to dokładnie bo on sam po to był i że dzień wcześni przed kradzieżą, syn stryjka się porozumiał z niemi w lesie i że oni osobiście nie beli tylko że obserwowali z pod woza swojego cały przebieg kradzieży. Ale ojciec konia nie odebrał, bo połowa cyganów z tej bandy o dzień wcześniej odjechała i konia z wozem zabrali oraz dwóch wspólników tej kradzieży, strażniki tego cygana zabrali a ojciec musiał powrócić, bo już nie było czasu, bo Niemce ich ścigali i cała sprawa musiała być zaniedbana i to się nieskończeło. Stryjek był wrogo przysposobiony prawie do samej śmierci, ja nigdy z niemi nic nie miał i to w roku 1921, wyjechalim z bratem na Kresy do prac leśnych i miał powiedzieć do siostry swojej że my nie wyjechali na robotę a rabować na Kresy. Pan Bóg tylko wie jaki to był rabunek w tych puszczach zaczem my parę złotych zapracowali. Pomimo takich postępkach i zarzutach my już dorośli bylim, lubiani przez ludność tamtejszą a na nich każdy stale miał jakiś zarzut. My nie zważając na nic zapomnielim o wszystkim i w ostatnich latach żeśmy się nie gniewali i my nawzajem żeśmy się odwiedzali i zawsze żeśmy się do nich odnosieli po bratersku, czego się ludzie nigdy nie spodziewali. Następnie

chcem powiedzieć coś o sobie. Co do oświaty. Nie tylko ja ale cała okoliczność moja za czasów rosyjskich, szkoły rządowy ni też prywatny nie znała i prawie z tech czasów 60% ludności tamtejszy jest analfabetów a inni choć umią czytać bądź pisać, ale słabo, organizacji żadnych wówczas nie było to też naród tamtejszy nigdy nie był przygotowany do walki z wrogiem i dziś jeszcze patrjotyzm polski w tech stronach jezd słaby i to świadczy o braku oświaty. Ja również jezdem z tych, ojciec mój był analfabetą, matka umiała czytać druk. Ojciec mój wówczas rozumiał że człowiek analfabeta równa się zwierzęciu to też surowo naciskał nas do nauki i prawie wszyscy z domu naszego umieją choć słabo pisać, nauka taka odbywała się tylko zimą, bo w tę porę nam czasu tylko zbywało, nauczycielami byli wszyscy kto trochę umiał, starszy młodszego uczeł co sam umiał i tak się prowadzieło. Nauka moja była trzy zimy po trzy miesiące, każdy zimy nauczycielem moim był sąsiad inwalida bez nogi. Nie uczeł on nas nic więcej jak czytać i pisać po polsku i rosyjsku i rachonki. Co do religji nauki kościelne według postanowień i wymagań kościelnych odbywały się po kościołach i takie nauki każde dziecko katolickie obowiązkowo musiało przejść, jak również i ja przeszedłem i to była cała szkoła moja. A co do rodziców to mogę się zaszczycić że byli dobremi rodzicami, starali się o nas byśmy byli nakarmieni i obleczeni nie biedniej od innych dzieci zamożniejszych gospodarzy. I to tylko można zawdzięczać rodzicom za ich lwią pracę tak zimą jak i latem bez przerwy. A przeważnie ojciec wciąż dorabiał bo ta skromna gospodarka nie pokryła wymaganych potrzeb, a ojciec lubiał być przyszykowany z parema rublami czy to złotemi w razie jakiej potrzeby nie przewidziany. To też na stare lata jego tak potężne i szykowne bary skręciełło, że nikto by nie powiedział że to były białogwardzista carski i już kilka lat przede śmiercią cierpiał na chorobę astmę, a rok przed śmiercią to z łóżkiem i piecem prawie się nie rozstawał. Od czasu kiedy ojciec zaczął podupadać na zdrowiu, zaczęła podupadać i gospodarka. A w końcu już prawie po większy części była prowadzona przez matkę, pomoc była słaba bo jak zazwyczaj dokąd sobie które nie dało rady było przy rodzicach, a kiedy sobie już mogło dać radę wyjeżdżali na zarobki. A rodzice się temu nie sprzeciwiali, a rozumieli że to wymagała

potrzeba i chętnie nas wysełali i z powrotem przyjmowali i kto sobie co zarobił to mu rodzice przechowali i w razie potrzeby był mu oddany. Najstarszym emigrantem jezdem ja. Najstarsza siostra była dwa razy w Niemczech i wyszła za mąż. Pozostałem ja, miałem wówczas 11 lat życia i już obmyślałem plan na przyszłość. I możeby mi się i udało żeby nie wojna europejska. Początki planu mojego powstały z przyjaciela ojca, który powrócieł z Ameryki Północny i często opowiadał ojcu o Ameryce, a ja to pilnie się przysłuchiwał i to mi się podobała Ameryka i od tego czasu wciąż żem marzeł, bym jak najprędzy dorósł i zarobił na podróż i wyjechać do Ameryki. A kiedy doszedłem do niepełna 14 lat życia za pośrednictwem ojca pod opieką pewnego przewodnika Antoniego Kołodziejczaka w on czas starego Prusaka, przyjęto mnie w miejsce kobiety i wyjechałem do Niemiec na robotę polną na okres ośmiu miesięcy w 1913-tym roku, po przybyciu na miejsce i przy przyjęciu nas przez zarządcę dworu zauważyć można było co do figury mojej pewne niezadowolenie co go to zawiodło, jak się przekonał później, pomimo że praca w tem dworze była nie łatwa, bo było dużo buraków cukrowych, obróbka ich wymagała dużej wprawy i wytrzymałości i taka obróbka odbywała się pospólnie i każdy swoje rządki musiał dociągnąć i to razem do końca i to kiedy ustawieli rząd ludzi na czele stary i doświadczony przodownik, a z zadu wudarz z lachą jako kontrola i ruszyli naprzód. I to tak 14 godzin dziennie było to nie lekko, a oszukać się nie dało bo z zadu kontrola, ale ja zahartowany z małego — prędkom się wyprawieł i nieugięcie żem wykonał pracę przez zarzutu i pomocy innych i byłem dumny z podziwu innych. Na zimę żem powrócieł do domu z zaoszczędzonemi 45 rublami i oddałem ojcu na przechowanie. I znów żem czekał na przyszłe lato. W roku następnym to jest 1914-tym — znów wyjechałem i to już z drugim kontraktowym również pod nadzorem jego i to o wiele większą partyją liczącą 120 ludzi i już w drugą prowincję. Tem razem się nie powiedło tak pomyślnie i skończyły się marzenia o Nord Ameryce. Po przybyciu na miejsce do dworu tak zwany Stapen, odłączono nas 20 ludzi i odesłano do drugiego dworu Bejzerycz, takie rozłączenie i przyjęcie nas w Bejzerycz było smutne bo jak raz zastalim krzyk i bitwę pomiędzy ludźmi, których tam już było ich 25 i byli

to ludzie zganiani i po większy części kundy i pomieszany narodowości. My z miejsca postanowielim zbiec i tej samej nocy zbieglim. I to w obawie przed pościgiem każdy biegł co siły miał, ja mając pakonek ciężki pozostałem w zadzie a w końcu nie znałem drogi i musiałem się wrócić z powrotem. Jak również i ci zbiegniery w dniu następnym powrócieli, ale już z przewodniczącym, który nas z Polski przywiózł i pozostał z nami całą wojnę był to właśnie opiekun mój ale malowany i smyk, on mieszkał w drogim mieszkaniu vis a vis i to potrafieł zaopiekować się mojemi 53 markami, którem zaoszczędzieł i miałem w kuferku pod zamkiem i to mi je skradł też mu to nie uszło tak jak mu się to zdawało, ja za pomocą innych żem to wykrył i pieniądze odebrał, a pana na trzy miesiące do więzienia wsadzieł. My odstawieni w dwudziestu w Bejzerycz, bylim o wiele szczęśliwsi aniżeli nasi koledzy pozostali w Stapen. Stapen był dwór duży i obsiewał dużo buraków cukrowych a to była największa męka dla robotnika podczas wojny. Na takie roboty do Niemiec wyjeżdżali przeważnie Polacy z pod trzech zaborów i to już kilka lat przed wojną, a przeważnie z pod zaboru rosyjskiego wyjeżdżali nielegalnie. Dopiero krótko przed wojną europejską co żeśmy mogli wyjeżdżać legalnie, ale tylko na jeden okres letni. Według ustaw niemieckich żaden robotnik polski czyli zagraniczny na pewien okres zimowy nie śmiał figurować przy żadny pracy, a o ile kto pozostał pod ukryciem to na przyszły rok musiał figurować jako nowoprzybylec. Opieki żeśmy prawie zupełnie nie mieli i nie było komu się użalić choć komu jaką krzywdę wyrządzono. Traktowano nas jako bandę świń i psiarzy, takie słowa dało się słyszeć od Niemca na każdym kroku. Pomimo że tacy robotnicy nie potrzebowali mieć duży styczności z Niemcami bo mieli pobudowane mieszkania poza wioską i w rodzie koszar wojskowych i tam mieszkali wraz z wudarzem na czele. I tu zależało dużo od wudarza, bo oni mieli duży wpływ i prawie co chcieli to robili z ludźmi i w dodatku jeszcze podczas wojny. Takiemi władarzami byli po większy części Polacy i to z pod zaboru niemieckiego. Takich władarzy było dużo ludzi poczciwych, było dużo i draniów przed wojną i na okres jedno letni pod takim draniem musiał człowiek przecierpieć, ale bieda było tym którzy się dostali pod takiego łotra i musieli cierpieć całe pięć lat. A takim

łotrem był właśnie władarz (w Stapen). Nie byłem pod nim ale wiem z opowieści moich znajomych co pozostali i co tam z nimi wyprawiał a przecież był Polak jak świadczy jego nazwisko (Kataroski) i wiele innych takich co przez nich niewinnie tysiące naszych braci ucierpiało przy pracy bądź też w więźniach i obozach koncentracyjnych, zginęli jak to miało miejsce w wojnie za najmniejsze niezastosowanie się według wskazówek i życzenia nawet takiego fornala dworskiego, przez żadnych dowodów i sądów pakowano w miejsca powyżej wymienione i dużo że i nie powróciło i nie można było się dowiedzieć co się stało z niemi. My Polacy starsi wiekiem w wyż 30 lat życia pamiętamy wojnę europejską i wiemy cośmy ucierpieli w niej a przeważnie my z pod zaboru rosyjskiego, ale nie wszyscy wiedzą cośmy ucierpieli w Niemczech. Nas trzymano i traktowano jak cywilnych niewolników. W pierwszych dniach wybuchu wojny obstawiono nas silnym kordonem wojska i zrewidowano nam każden zakątek i od tej pory pozbawiono nas wszelkiej swobody i wolnego ruchu i napróżno my oczekiwali prędkiego oswobodzenia i z roku na rok nam się pogarszało, wzbronione nam były wszelkiego rodzaju przejazdy jak również przechadzki nawet do naszych rodaków do sąsiedzkich wiosek. O jakij bądź zabawie nie było mowy, wszystko to się odbywało wyjątkowo i za przepustkami, których trudno było można dostać. Zarobki latem nam zmniejszeli a co zimę przez 4 do 5 miesięcy nawet jedna czwarta tego co latem żeśmy nie zarabiali, a co dzień żeśmy musieli pracować. Wszystko na początku wojny podrożało i co do żywności nam było ograniczone, na wszystko nastały kwitki i tak z roku na rok nam zmniejszano co do żywności to wszystko co świnie jadły żeśmy próbowali bo i tego nie było pod dostatkiem, całym poparciem były ziemniaki i przy najmniejszej okazji żeśmy ściągali skąd się komu dało, to znów brak było tłuszczów, co do zboża można się było postarać nie było jak go wykorzystać, pszenicę gotowalim w skórach i nawet nieźle smakowało ale z cukrem i tego nie beło, mięsa probowalim, kiedy świnia czy bydło co zdechło. Dwór w którym ja byłem był niezbyt duży, nas przyjezdnych było 45 z początku wszyscy my mieszkali pod jednym dachem wraz z wudarzem. Właściciel dworu (graf Benstorf Bejzeryc) był oficerem armji niemiecki i brał udział w wojnie i również miał duży wpływ

w rządzie niemieckim, dbał on więcej o swoją sukę, którą miał aniżeli o nas, bo za rzucenie kamieniem na nią wtrącieł do więźnia Antoniego Kocyjana z pośród nas na trzy miesiące, który po paru tygodniach zmarł w więźniu. Pomimo to czulim się lepiej od naszych kolegów pozostałych w Stapen i wiele innych sąsiadów, jak również czulim się dobrze pomiędzy naszemi współpracownikami, których tu już zastalim i tak się ich przelękłim. Z czasem się do nich a oni do nas przyzwyczailim i dobrze szło, zaraz na początku wojny tych najgorszych awanturników zabrali na wojnę, a pozostali byli prawie wszyscy Polacy.

I takie ludzie jak i my, my na tyle lepiej się czulim od naszych pozostałych w Stapen, jak również i innych sąsiadów że nie mielim buraków cukrowych do obróbki, na które ludzie najwięcej narzekali a nam zazdrościeli. W dodatku że mielim władarzy niezłych, pierwszy był Polak z ziemi Kaliskiej (Kubacki), ale niedługo żeśmy się z nim cieszyli bo nie całe dwa lata i zmarł. Drugi był również Polak z pod zaboru niemieckiego (Trzaskalski), ten tylko był przyczyną do wtrącenia do więźnia Antoniego Kocyjana. Z pośród nas było więcej takich co odsiadywali w więźniach, ale ja sobie nie przypominam dokładnie za co i ile oni odsiadywali. Największą rozrywką naszą był kościół polski, który zbudowalim na początku wojny w miasteczku Frydland, jak również mielim księdza Polaka budowniczego tego kościoła, częste pogadanki, śluby chrzty, coroczna spowiedź odbywała się w polskim języku jak również na każdy pogrzeb przyjeżdżał rowerem na miejsce. Ja przez cały czas wojny miałem jeden list od rodziców i to połowę słów było wymazane. Ojciec probował mnie zabrać na co otrzymał pozwolenie i już był w połowie drogi i zaszła zmiana i go wrócono z powrotem. Ja do połowy 1918 roku cieszyłem się ogólnym zdrowiem z wyjątkiem dwóch wypadków, jeden raz miałem zerwany czubek palca z paznokciem u ręki, po paru tygodniach z pozostałym znakiem powróciełem do pracy, drugim razem spadłem z wysokości 5 metrów i to na bruk, tu mi sprzyjało szczęście że tylko została potłuczona noga prawa powyżej kolana. Ten raz do operacji cierpiałem ból duży i również po pobyciu trzy miesięcy w szpitalu zostałem zdrów przez żadnego defektu. Praca mi szła z roku na rok lepiej bo mugłem sobie lepiej na wszystko radzić. Ostatnie dwa lata pracowałem przy ko-

niach jako fornal i tu mi było na jedno lepiej a na drugie gorzej. Obsługiwałem cztery konie i tu zupełnie mało wolnych chwil miałem. W połowie 1918 roku kiedy Niemcy przestali śpiewać Deutschland über alles, rzuciłem konie i wróciełem w stare miejsce i w to samo gniazdo. Wówczas w Niemczech powstały choroby a przeważnie choroba tak zwana hiszpanka i ta choroba beła dość niebezpieczna a gdy się dostało do takiego gniazda gdzie się mieściło dużo ludzi w przeciągu krótkiego czasu już ją odczuwali prawie wszyscy a brak było opieki lekarskiej. I tak zdrowszy słabszego, krewny krewnego i tem podobnie się ratowali, tak samo się działo i u nas. Ja nie mając żadny pomocy bo każdy miał swojego dosyć, wyleżałem pięć dni o wodzie com się o nią sam postarał. Przez całe pięć dni z przerwami broczyła mi krew nosem pomiędzy łóżka i nikt to nie zauważeł. Ja leżał spokojnie przez żadnego dania znaku, że mnie co dolega bo mnie nic nie bolało tylko z dnia na dzień czułem się słabszy i mało co już o świecie wiedziałem. Miałem pragniączkę ale już o filiżankę wody o własnych siłach nie mugłem się postarać. Wówczas już w szóstym dniu niejednemu stan zdrowia się poprawieł. Dopiero zwrócono uwagę na mnie. To ja już tego nie pamiętam, tylko mnie mówiono po powrocie ze szpitala, że pomiędzy łóżkami była kupa krwi zastygnięty i że byłem na pół nieprzytomny i mnie odwieziono zaraz do szpitala. Ja chyba Bogu tylko mam zawdzięczać temu żem powrócieł do zdrowia, bo w ostatnich dniach wojny i tygodniach przed powrotem do kraju śmierć zmusiła tysiące ludzi naszych do pozostania się w spoczynku wiecznym i na obczyźnie. To tylko z pośród nas 30-tu cośmy zachorowali razem na tę samą chorobę, zmarło dwóch nie mówiąc już o tych co wymarli w przeciągu cały wojny, a było ich napewno taka sama ilość, bo z pośród nas było ich trzech czyli razem pięciu i to ludzie wszyscy młodzi. My pozostalim przy życiu doczekalim końca wojny i moglim jechać gdzie kto sobie życzeł. Wówczas musielim się zastanawić, bo wszyscy prawie w jednakowym położeniu się znajdowalim na pół prawie nagie i przy paru markach. Kto niema zupełnie do kogo jechać pozostawali, inni nie zważając na nic powyjeżdżali do kraju, po pobycie przez zimę na wiosnę w 19-tym roku komu się tylko dało wialim z powrotem do Niemiec. Z pośród nas większa połowa wyjechała. Po przybyciu do domu, rodzice ni też prawie

nikt mnie nie poznał, ja nie przyznawałem się a prosiełem o wskazanie mi drogie na następną wioskę i ojciec mnie wyprowadzieł na wskazaną drogę. Ja po chwili wrócieł i mnie przyjęli ze łzami w oczach i z niedowierzaniem. Przebyłem przez zimę, na wiosnę niema gdzie się podzieć, po wojnie bieda aż kwiczy, do wojska na ochotnika rodzice mi odradzają o poborze rocznika mego ani słychu. Nie było dla mnie innego wyjścia, tylko powrócić do Niemiec jako też dołączełem się do pewnego przewodnika i wyjechałem z powrotem do Niemiec. Wyjazd taki nie był legalny jednak to się odbywało tak jak to kilka lat przed wojną. Na niemiecki stronie na punktach zbornych było dosyć ludzi i przyjeżdżali i odjeżdżali w głąb Niemiec. Ja tem razem przebyłem 1½ roku i powróciełem w celu odbycia służby wojskowej. Wówczas wojna była na ukończeniu, rocznik mój był w wojsku w służbie czynnej. Ja byłem zaliczony do rocznika dodatkowego i musiałem czekać na zawołanie. I tak obijałem się przez zajęcia całą zimę. Na wiosnę w roku 1921-szym wyjechałem z bratem młodszym na Kresy Wschodnie do robót leśnych. Roboty leśne jak zazwyczaj na wiosnę były na ukończeniu. Nam szczęście sprzyjało, spotkalim dwóch cieśli z naszych stron, obaj młode chłopaki jak i my, obaj mieli topory i oba robieli niemi. Robota którą robili nie wymagała duży fachowości bo była krajowa, podkłady na wąską torówkę. Przyłączelim się do nich jako pomocniki. My nie zasypiali, pomimo że niechętnie nas dopuszczali do toporów, ale my kiedy tylko się dało wkładalim się do toporów. My mielim ogólne pojęcie do tych robót brak było rozpoznać rozmiar i wprawę do topora i nam to przy nich szybko poszło. Kiedy się czulim na sile kupielim topór stary i odłączelim się od nich i wzięlim warsztat na własny rachunek. I nam bardzo dobrze szło i nawet dobrze zarobielim. Na jesień tego samego roku powrócielim do domu. Ja zostałem powołany do wojska do służby czynnej jako rocznik dodatkowy wstąpiełem 3/XII 1921 do 26 p. a. p. do Skierniewic. Po odbyciu trzy miesięcznym kursie rekruckim, wstąpiełem na sześcio miesięczny kurs podoficerski pułkowy. Po 4½ miesiącach przeprowadzono egzamin, ja zdałem z wynikiem dobrym i zostałem przedzielony z rangą bombardjera do 9 baterji, pełniłem funkcje jako celowniczy. Na początku drugiego roku służby zostałem kapralem do końca służby. Służba na ogół mi szła bardzo dobrze,

było trochę ciężko bo było mało podoficerów. Korzystałem z przepustek jak również z czternasto dniowego urlopu wypoczynkowego i dwu miesięcznego urlopu rolniczego, to świadczy za dobre sprawowanie się w służbie. I chętnie mnie chcieli pozostawić w służbie zawodowy lecz ja to odmówił i po dwu letniej służbie zwolniłem się do cywila. Po pobyciu paru tygodni w domu znów na Kresy, po powrocie na ćwiczenia wojskowe na sześć tygodni, po powrocie z ćwiczeń postanowiłem wstąpić do wojska z powrotem na służbę zawodową, jako też zwróciełem się do tego samego pułku gdziem odbywał służbę czynną, ale to było wówczas za późno z powodu redukcji nie mogłem być przyjęty ja nowy. Pozostałem nadal to przy rodzicach to na Kresach i tak aż do roku 1926. W tym czasie pomoglim ojcom budować mieszkanie. I ja postanowiełem zmienić swój tryb życia. W połowie 1926 roku za zgodą rodziców poślubiłem pannę o sześć lat młodszą ode mnie, którą już znałem parę lat przed ślubem, jest również wieśniaczka z wioski sąsiedni i córką gospodarza i dobry famielji. Trzy lata przed ślubem umarli jej rodzice, gospodarzyła się z bratem starszym. Majątek ich był niebogaty, trzy morgi ziemi z zabudowaniem i do tego należał się serwitut, który otrzymali w roku 28-m, na to ich było ośmioro ludzi. Z pośród nich sześcioro było już na swych gospodarstwach, żona skwitowała się bratu pozostałemu na ojczyźnie za co otrzymała posag blisko 1.000 złotych. Zaczelim pracować u rodziców w zamiarze pozostania się na gospodarstwie po ojcu, z biegiem czasu się to zmieniały zamiary od kiedy matka zaczęła siać niezgodę, zamiary moje były do czasu. Bo ja to rozumiał dobrze że dla mnie przy rodzicach niema wyjścia, bo jeszcze oprócz mnie pozostało trzech braci i trzy siostry młodsze ode mnie. My przepracowali przeszło rok czasu. Dorobiclim się synka i podziękowalim rodzicom za ich chleb, żona z synkiem pozostała u jej siostry wdowy na gospodarstwie a ja już przed tem słyszałem o Argentynie i że można wyjechać bo o rok wcześni już wyjechało dwóch z moich stron i że roskoszy tu w Argentynie nie było, to ja tak przeczuwałem, ale dla mnie nie było innego wyjścia, szybko się poinformował z biurem w Kielcach, Rynek Nr. 5 i wyjechałem 12-go października, linją francuskiego towarzystwa okrętowego, główny urząd Warszawa, Królewska 10. Po pobyciu dwa dni w Warszawie wyjechalim po suchym lądzie do

Marselji, jechalim przez Niemce—Berlin przesiadka Belgja. Francja—Paryż, przesiadka Marselja port i stąd wyjechalim okrętem Alsyna. Przybelim do Buenos Aires 7 listopada. Ja całą podróż byłem zdrowy nawet na chorobę morską nic nie odczuwałem. Co do porządku i żywności na okręcie było bardzo dobrze, tylko nam beły obiecane kabiny na mniej ludzi a wpakowali nas 200 chłopa na ogólną salę i na sam spód okrętu to było niewygodne. Po przybyciu do Buenos Aires zastalim w hotelu emigracyjnym pełno ludzi i liczono na parę tysięcy i niektórzy przebywali po parę tygodni. I co dzień przybywało po parę okrętów z emigrantami nowemi, kto miał jakiego znajomego wyjeżdżał i mu to łatwiej poszło. A inaczej znów się wiodło tym co nie mieli nikogo, poczekał parę dni w hotelu i pokręcieł się po mieście a późni wyjeżdżał gdzie go wysłało biuro miejscowe pośrednictwa pracy. Takie biuro wysełało po najrozmaitszych zakątkach państwa i to w najgorsze miejsca bo tam nikto miejsca nie zagrzał. Nowoprzybylce nie znając języka ni też kraju i ni też nie mają czego się oczekiwać w hotelu, bo pobyt w hotelu był ograniczony. Każdy jechał gdzie go wysłano i tam popracował ile mógł a późni uciekał pieszo i to czasem po parę set kilometrów, a w jego miejsce wysełano drugiego i ten drugi po paru dniach znów maszerował w ślad poprzedniego, a do hotelu wciąż przybywali i w ten sposób ubywali. A chlebodawce wciąż krzyczeli że brak ludzi do pracy a nie wspominając o tem, że Argentyna tak duża i że tam setki tysięcy chłopa ją krzyżuje z worami na plecach. A to cierpią najwięcej emigranci polscy, bo najbiedniejsi jesteśmy i najmniej opieki i przytułku mamy. Wszystkie majątki i handle są w rękach najrozmaitszy narodowości i każdy swój swojego popiera i zatrudnia bądź też rekomenduje do drugiego i w ten sposób takie narody zajmują najlepsze posady i najlepiej płatne i lżejsze roboty i najmniej ich z worami się ciąga, a my Polacy musim do nich się tulić i być pokorni. I tą tylko pokorą i pracowitością wyrobielim sobie opinię dobrą i chętnie nas przyjmują do prac. I już zrozumieli że my są Polacy a nie ruso jak to nas parę lat prędzej nazywano. Ja przebywałem trzy dni w hotelu emigracyjnym i ten czas wykorzystywałem dla ogólnej orjentacji się w tem państwie oraz o warunkach klimatycznych jak i w jakich prowincjach się znajduję, a gdy ja to już mniej więcej się orjentował, pilnowałem więcej biura i oka-

Muzeum Ir... Warsz...

zyji dostać się w pomyślną stronę. Wychodziełem też na miasto w poszukiwaniu pracy ale to wówczas było trudno, w trzecim dniu nadeszło zapotrzebowanie na kilku chłopów do jednej kompanji, która przeprowadzała drogę przez góry w prowincji Kordobejski, kompanja była niemiecka G.O.P. mnie się to nadawało bo mogłem się zmówić po niemiecku i klimat w tej miejscowości jest uważany za najlepszy w całej Argentynie i na dobrych warunkach zarobkowych. Ja i kilku moich kolegów z podróży wyjechalim na tę robotę. Od stacji wywieźli nas 35 kilometrów w głąb gór. Tam wówczas znajdował się cały obóz robotniczy oraz urząd tegoż przedsiębiorstwa i ogólna kuchnia dla robotników.

Mnie to na pierwszy rzut oka się nie podobało taka robota i takie życie. Po spożyciu obiadu zawezwano nas do podpisu, ja to stanowczo odmówił. Miałem wymowę bo warunki płacy się nie zgadzały z prawdą jak nam obiecano było na miejscu wyjazdu i tego samego dnia i tą samą drogą ja i kilku moich towarzyszy z całym bagażem na plecach wrócielim na stację kolejową, następnego dnia bylim już na stacji i odjechalim do miasta Kordoby. Miasto Kordoba jest prowincjonalne i dość duże miasto, pod względem wielkości jest trzeciem miastem w Argentynie. My wszyscy już prawie bez centa rozkwaterowalim się obok dworca kolejowego i tak na zmiany wychodzielim za pracą. Noce pogodne i ciepła nam sprzyjały, tylko to najgorsze że rankiem nie moglim jeden drugiego poznać tak bylim od aut i pociągów kurzem popiołkowatym na parę milimetrów przysypani, w przeciągu trzech dni rozeszlim się każdy gdzie mu się dało ja również otrzymałem pracę obok tego miasta przy kanałach, które wówczas były przeprowadzane do tegoż miasta. Ja z podróży wymęczony, gorąc powyżej 35 stopni, ziemia twarda i sucha popiołkowata, za każdym ruszeniem bałwan kurzu się unosi i to prosto w oczy ja nie chcąc się zostać w tyle ryję swój działek ile mi sił starczyło, pot ze mnie broczeł truczkiem, wodą z kanału obok przechodzącego pragniączki nijak nie mogłem zagasić aże po trzech godzinach nie mogłem więcej, rzuciłem łopatę, wykąpał się w kanale wraz z obleczeniem, wysuszył się, pozostawieł bagaż przy zaczętej pracy a sam poszedł w stronę Kordoby. Po odejściu kilkaset metrów naszedłem robotę w ogrodzie kwiatów jednego Niemca, jak również i ogrodnik był Jugosłowak mówił po niemiecku. Ta

robota mi się podobała pomimo że do 12 godzin dziennie żem pracował, ale mieszkanie miałem na miejscu i robota była nieciężka. Tam przepracowałem dwa miesiące. W tem czasie dostałem robotę w Kordobie w jednej piwiarni niemieckiej. Tam przepracowałem osiem miesięcy i mi się powiodło pomyślnie, pracę miałem lekką ale 14 godzin dziennie trzeba było na nogach być i to tak wszystkie dni bo byłem miesięcznie, czem większe święto tem miałem więcej pracy. Miałem cztery godziny wolne każdego tygodnia i każdy wtorek ja to chętnie spełniał i Niemcy byli zadowoleni ze mnie a ja z nich a późni czułem się już lepiej rozpoznany i pieniądze miałem, podziękowałem za pracę. Byłem miesiąc przez pracy, późni zacząłem pracować w jednym warsztacie za pomocnika kowala, bo ja do tego dążeł bym się czego nauczeł. Po paru dniach przeszedłem do drugiego warsztatu ślusarskiego za pomocnika, tam przepracował blisko dwa lata i mi się wiodło pomyślnie. Z początku zarabiałem jak zwykły robotnik a późni zarabiałem jako pół rzemieślnik i jednocześnie się uczełem pracy rzemieślniczej. W roku 1930-tem jak nam wiadomo zaczął zaglądać w oczy kryzys światowy, zaczęło się skurczać i po dziś dzień nie wiele się poprawieło. Wówczas nastąpiła redukcja personelu, ja zostałem urlopowany na miesiąc, ja i ten miesiąc wykorzystał, bo za rekomendacją znajomego mnie Polaka przepracowałem jako murarz w szkole rolniczej, to mi nie szło pechowo z powodu braku prachtyki. Po miesiącu wróciełem z powrotem do tarieru, gdzie pracowałem poprzednio, po przepracowaniu pare dni miałem być zwolniony z tej pracy. Wówczas obok Kordoby była w budowie wielka cementownia na dwa piece oraz kotły parowe wraz z turbinami. Dostałem pracę na 5 pesy przy składaniu kotłów. Po dziewięciu miesiącach kiedy fabryka poszła w ruch ja pozostał jako palacz pierwszy z dwoma pomocnikami, pierwszy rok zarabiałem 7 pesy na 8 godzin, późni nastąpiła redukcja zarobku pozostałem przy 6 pesach i to mi idzie pomyślnie. Tu ja wyrabiam wszystkie dni od czasu wstąpienia, to jest od 8-go maja 1930 roku. Kotły są dwa, tak że jeden nigdy nie staje i obsługujemy je na trzy zmiany. Właściciel fabryki jest miljoner dobrze tu znany, narodowości włoskiej, zaś fabrykę budowały zakłady niemieckie jak również jest prowadzona przez Niemców od dyrektora wyłącznie aż do kapotasów. Po za fabryką są też Włochy, co do

robotników tu w fabryce wraz w kamieniołomach pracuje blisko 600 chłopa i to różny narodowości. My Polacy są tak traktowani na równi z innemi, w samej fabryce na 150 chłopa jest nas 35 Polaków i to przy obsługiwaniu jakiś maszyny i każdy zarabia więcy jak prosty robotnik od 3.50 do 6.50 pesów na 8 godzin pracy. A co w kamieniołomach to w ostatnich latach się pozostało mało Polaków z powodu wyjazdu do kraju a nowych emigrantów niema w ostatnich latach tak że parę lat w zad pracowało tu 80% Polaków, teraz przeciwnie na 100 pozostało 5% i to wszyscy zajmują lepsze miejsca i lepiej płatne jak zwykły robotnik, samych minerów jest większa połowa Polaków. Są tu i inne kamieniołomy po sąsiedzku i również jest dość Polaków i wszyscy prawie w jednej wiosce zamieszkują, jest nas tu przeszło 150 chłopa, w tem 15 z rodzinami, 7 rodzin którzy się pożenieli w kraju, pozostałych ośmiu są chłopaki młode, którzy pożenieli się w ostatnich trzech latach tutaj i z tutejszemi. Wszyscy żyjem z pracy rąk, najlepi zarabiamy u Minettego i w fabryce, bo fabryka idzie przez przerwy i wszyscy wciąż pracują i w dodatku że tak urzędnicy jak i robotnicy korzystają z mieszkań fabrycznych bezpłatnych. My Polacy nie mamy tu żadny własności nawet radja i nie pragniemy nabywać w tej miejscowości. Ta miejscowość jest w oddaleniu 15 kilometrów od miasta Kordoby i są tu góry i same kopalnie kamienia i ta fabryka. I tu robotnik nigdy nie jest pewny w robocie, kiedy chlebodawcy się podoba wyrzuci robotnika i bez żadnego protestu i to tak się odbywa w cały Argentynie. Robotnicy są ubezpieczeni w kompanjach prywatnych i to opłacają chlebodawce. Chory potłuczony czy okaleczony przy pracy otrzymuje pół dniówki płatne za czas trwania tej choroby. Za uszkodzenie na zdrowiu czy zabicie również się należy zapłacić, ale nim to kto wydrze co, to połowę z tego straci i to według życzenia kompanji. A tu w kamieniołomach o takie wypadki nie trudno, samych ubitków w ostatnich siedmiu latach tu było kilku i w tem trzech Polaków i nikomu nic kompanja nie zapłacieła, bo oni tu byli samotni i nie miał się kto o to starać, bo do takich spraw są potrzebni ludzie wyższego pojęcia i to prawdziwi Polacy. My tu w Kordobie nie mamy ni jednego takiego Polaka, by mógł nas w takich czy innych sprawach zastąpić. My robotnicy nie umiemy na tyla dokładnie się zmówić i też nie mamy dostępu do takich spraw,

a przecież tu w samym mieście Kordobie jest dużo Polaków samych rodzin prawdziwo polskich jest do 50. Największe skupisko rodzin polskich i najlepiej się mają tak zwane Barjo Ingles, pracują oni w fabryce kolejowy towarzystwa angielskiego i w tej fabryce robotnicy mają pracę zabezpieczoną i już niektórzy Polacy pracują po kilka lat. I oni tam utrzymują związek polski i to w własnym zabudowaniu. Nie chcę im ubliżyć że źle prowadzą ale i tam potrzebny ktoś, by mu więcej czasu zbywało i mógł się więcej tem zająć a o wiele by to lepiej szło. Ja jak już wymieniałem jezdem w zamiarze jeszcze popracować jakiś czas dokąd będę mógł, bo robota w ostatnich czasach się tu dla nas palaczy znacznie poprawieła i to z powodu polepszenia fabryki. Najwięcej nam dokucza gorąco i to latem sięga do 55 stopnia, ale to my są przyzwyczajeni i że to tak parę godzin potrzyma i znów spada temperatura i znów to samo.

I o polepszeniu bytu tu w Argentynie nie ma mowy, bo my tu w fabryce są prawie najlepsi kto ma zdrowie i chce pracować i zaoszczędzić jaki grosz na taki zasłudze jak ja, zawdy można coś dorobić. Zamiary moje są nie do określenia. Ja z Polski wyjeżdżał na krótszy czas i nigdy nie marzyłem sprowadzać tu żony. Ale z czasem zacząłem marzyć i o tem gdy tylko dostanę się do jakiś stalszy pracy jako też się i doczekałem. A kiedy miałem powierzoną tę pracę sprowadziełem żonę z synkiem w roku 1930 na początku grudnia. W tem czasie dorobiełem się synka, który liczy pięć wiosen życia, a starszy ma 10 lat i ten już chodzi do szkoły tutejszy do 3-go oddziału, obaj mówią po polsku i będę się starał ich nauczyć po polsku czytać i pisać to co umiem, bo tu szkoły polskiej nie ma. Życie moje tu nie jest rozrzutne, cały czas mieszkam w kampamencie robotniczym tejże fabryki, czasu co mi zbędzie poza pracą mam stałe coś do zajęcia przy domu, mam trochę naczynia zajmuje się ślusarką to kowalką to dla mnie to dla kogo, zrobiełem parę kuchen ekonomicznych. A pozatem mam prenumeratę roczną codziennego Niezależnego Kurjera Polskiego w Argentynie jak również i inne pisma kupuję z Polski, które tu można nabyć a pozatem nie uczełem się specjalnie mowy tutejszy, ale że umię pisać jak i czytać po tutejszemu, kupuję pisma tutejsze. Tak że tu kto chce nawet w tej samej godzinie może wiedzieć wszystko co się dzieje albo co zaszło gdzie nowego i to w cały kuli

ziemskiej, ja radja nie mam ale go można słyszeć co dzień bo ich tu nie brakuje. Na zabawy ni też w towarzystwa żadne prawie nie uczęszczam, a odwiedzamy się z bratem młodszym który tu przyjechał rok później ode mnie. On jako stolarz, dwa lata jak się ożenił tutaj z panną Polką, ma swoją własną stolarnię z jedną maszyną stolarską i w swoim własnym zabudowaniu, jemu idzie na tyle lepi że jest swoim panem i nikogo o robotę nie prosi bo u nikogo dzisiaj nie zarobi więcy a na utrzymanie domowe sobie zarobi i w swoim własnym zakładzie, położenie to nie jest w mieście a na przedmieściu Kordoby, ja również mam tam po sąsiedzku z bratem plac z mieszkaniem wartości 2000 pesy tutejszych i to właśnie nabyłem kiedy zamiarowałem sprowadzić żonę z kraju i to na spłaty pięcioletnie, a później żem pobudował mieszkanie i trzymam lokatora w nim do tego czasu, a oprócz tego mam zaoszczędzone blisko 3000 pesy, połowę tego mam na pożyczce.

U brata część, a część u drugiego Polaka, a pozostałą połowę mam w banku państwowym tu w Kordobie. Do kraju żem wysłał dla żony na podróż blisko 2000 złotych i to właśnie wszystko za dziewięć lat mojej pracy nieustannej. Ja dokąd pracuję na miejscu rozmaite mi myśli wpadają, ale kiedy bym został wcześniej zwolniony z pracy o co to nie jest trudno i nieprzewidziane musiałbym swoje życie zmienić, założyć jaki sklep względnie nabyć gdzie kawałek ziemi. Chętnie bym powrócił do kraju, przez którego tak tęsknię, ale ja rozumię i w Polsce jest ludzi dosyć, nabyć kawałek ziemi trzebaby parę złotych więcy mieć, do służby rządowy jezdem już za stary, tak że do czasu pozostaje na miejscu i wszystko to jakoś musi być byle tylko zdrowie służyło.

Dn. 19 listopada 1936 r.

Pamiętnik Nr. 2

Robotnik w Buenos Aires, z województwa tarnopolskiego, ur. w 1897 r.

Ze źródeł poinformowanych dowiaduję się że Sz. I.G.S. prosi o nadesłanie opisu przeżycia emigranta na obczyźnie. Nie jestem powieściopisarzem, ale w prosty sposób coś mogę opisać. Otóż Ż. J. urodzony 17 grudnia 1897 roku we wiosce Czernielów Mazowiecki, powiat Tarnopol. Na szóstem roku życia zacząłem uczęszczać do szkoły ludowej czteroklasowej. Czas mijał, szkołę ukończyłem na 12-m roku z wynikiem dobrym. Chciałem pójść do wyższej szkoły, ale ojciec był za biedny i jeszcze dług do tego. Musiałem pozostać w domu i pomagać na utrzymanie. Pomimo tego, jeszcze chodziłem przez trzy zimy na naukę dopełniającą. Mój dziadek posiadał trzy klasy gimnazji tak nie brakowało książek ani kalendarzy u niego. Nieraz czytałem różne powieści i historje za obce kraje miasta i wojny. Przy czytaniu nieraz się zastanawiałem nad tem, czy ja mogę kiedyś bodaj jakąś część tego cudu zobaczyć. W 1914 roku nastała wojna, wkroczyli do nas moskale, biedy nie było, ale gonili do okopów kopać i czasami pod samą pozycyję. W 1916 roku nabawiłem się tyfusu trzy miesiące wyleżałem w łóżku, mało już brakowało, żem nie dostał przepustki od św. Piotra. W 1917 roku wkroczyli do nas niemcy i urządzili sobie front we wiosce, mieszkaliśmy wśród huku granat i szrapnel. We wrześniu ewakuują, ostatni wyszedłem i pożegnałem swą wioskę i udałem się odnaleść swą familiję. Po dwudniowym marszu odnalazłem we wiosce Władyczyn 5 mil wstecz, ale niedługo mogłem obcować razem, bo za dwa dni znowu wypędzają. Ojciec nie miał ochotę daleko

się oddalać od domu musiał uciekać z familiją a mie z rzeczami wywieźli do wsi Wola Starzyska pow. Jaworów. Za siedem dni pobór odrazu przysięga i odsyłają do kadry. W podróży zwiałem, ale nie było rady, powziąłem sam stawić się do wojska gdzie miałem wskazane. Przejeżdżałem Lwów—Kraków aż na Morawę do Czech. Na dworcach kolejowych potrzeba było czekać czasami cały dzień. Tak miałem możność widzieć to, co kiedyś przy czytaniu książki marzyłem. Byłem dwa miesięcy w kadrze 35 puł. austr. Schutze, złość do ukraińców, zameldowałem się na ochotnika w pole na Italijański front, przydzielony do 6 puł. austr. inne traktowanie żołnierza. 1 listopada 1918 roku dostałem się do niewoli, nędza głód. 5 marca 1919 roku zapisałem się do obozu Polskiego jako ochotnik. Armija Hallera, powodzenie-wesołość. W czerwcu wyjechałem do Polski, przydzielony do 52 pł. szkoła — awansy — wojna bolszewicka. 1 maja 1921 roku zostałem zwolniony z wojska, powrót do domu. Założenie drużyny Strzeleckiej, ale chociażby najmądrzejszy, ale jak biedny nie wart nic we wsi. Ojciec posiadał pięć mórg roli i był budowniczem, ja mu pomagałem, ale zawsze były braki. 1923 roku 5 listopada wyjechałem do Francji pracowałem w kopalni fabryce i na roli, powodzenie niezgorsze. Tęsknota, powrót do kraju. 1927 roku pochowałem ojca, — na drugi rok brat poszedł do wojska a dla mnie pozostała jedna myśl wyjechać, bo przeczuwałem, że z biegiem czasu emigracyja może być zamknięta. Matka sprzedała pół morgi roli, zabrałem piniądzy i udałem się do Argentyny polepszyć byt.

W podróży prowadziłem transport ludzi ze Lwowa do Warszawy — dalej podróż szczęśliwa, pracowałem na okręcie podczas podróży. 8 sierpnia w roku 1928-m wylądowałem, oczom moim przedstawił się niewłaściwy wygląd, bo odrazu zobaczyłem bezrobotnych, ale wkrótce swą obawę zaspokoiłem. Za pięć dni ja i moi koledzy z podróży znaleźliśmy pracę w agencyji, każdy musiał złożyć 4 pesos, a podróż zapłacił rząd. I wysłano nas do Chaco-Salta również prowadziłem transport w liczbie 90 osób. Przez tę podróż mieliśmy możność widzieć wielkie przestrzenie ziemi, na której sucha trawa wypalona od słońca, a na niej stada bydła i strusi, jak również czcina cukrowa i góry. Ale nie taki obraz się przedstawiał gdyśmy dojeżdżali na miejsce, nie było tam ani wioski ani ludzi ani bydła, tyle dziewiczy las — a w nim różne dra-

pieżne zwierzęta, gady i mrówki. Praca na nowej drodze żelaznej. Zostałem dozorcą, zarabiałem 5.50 p. a drudzy 4 p. i 4.50 p. powodzenie niezgorsze, ale praca ciężka i gorąc. Za dwa i pół miesiąca opuściłem tę pustynię i drudzy również, chociaż mie proszono ażebym pozostał alem tego nie uczynił. Za osiem dni wędrówki znalazłem pracę chociaż płata marna ale nie brak wody i wszystko taniej i przespać się można spokojnie. Mogę powiedzieć, że zmieniałem kilka razy pracę. Ale wtenczas nie pracował ten co nie chciał. Zawsze myślałem o pracę w mieście, ale zawsze trudno było znaleść, aż wreszcie stało się zadość, że znalazłem w stolicy. Pracuję już sześć lat na miejscu, we fabryce cegły ogniotrwałej, jestem młynarzem zarabiam 4.50 p. Co się tyczy stosunku pracodawcy do robotnika Polskiego, to mogę powiedzieć, że nie jest jasne, bo wielu niema pojęcia o Polsce. A po drugie że mamy dużo wrogów — jak obcych — tak i swoich, którzy wypuszczają złą propagandę i poniżają nas. I dlatego nie tyle ja sam, ale ogół odczuwa różnicę od władz tutejszych. Ale dobry robotnik Polak to sobie sam opinję wyrabia. Zaś z drugiej strony, ludzie wyższej sfery — intelegencja — pochodzenia Europejskiego, mają wielkie zaufanie do elementu Polskiego. Teraz co do wypadku, jeżeli zachoruje, albo się skaleczy przy pracy, to odsyłają do sanatorjum, a jeżeli ciężko to do szpitala. A kasa ubezpieczenia płaci połowę zarobku, a kasę opłaca kompanija. Często się zdarza że kasa nie chce wypłacić, po największej części to się zdarza na prowincji. Zapomogi rządowej tu niema, chyba ze źródeł publiczności. Co się tyczy do mie to jeszcze nie chorowałem i nikogo o nic nie żebrałem, raz mi się wydarzył wypadek, wyleczyłem się za 12 dni na koszt kompanji. Otoczenie moje z ludnością tutejszą jest normalne, mam przyjaciół i opowiadam im o Polsce i jej bogactwach i sławie. Ale się z nimi bardzo nie zawdaję, bo tu chcą takiego co się daje wykorzystać. Po mojem zdaniu, tu jest człowiek szanowany, jeżeli jest młody zdrowy i ubrany. W teraźniejszym czasie na obczyźnie potrzeba być bardzo ostrożnym, pracę znaleść bardzo trudno, a przeważnie dla ludzi we wieku podeszłem, wszystko drogo z powodu zaburzenia w Europie i taka zgroza wdziera się do emigranta na obczyźnie. Jeżeli nie posiada się zabezpieczenia, grozi nędza i port nowy, który jest nazwany willa esperanza. Podczas mego pobytu w Argentynie byłem bez pracy dwa miesięcy.

Czasami wysłałem pieniądze dla rodziny, a teraz złożyłem sobie na drogę i na czarną godzinę. Poszkodowani zostaliśmy bardzo z powodu upadku tutejszej waluty, pierwiej 100 zł. p. kosztowało 28 pesos, a dziś 69 p. Teraz co do oświaty, bez Polskiej gazety niema u mnie niedzieli, czasami kupuję z kraju, mamy tu księgarnię Polską, także kupiłem kilka książek dla zabicia czasu. I czasami jak jest interesujący program idę do kina. Miałem możność widzieć tu różne obchody, jak święta narodowe i defilady. Ten moment był dla mie najgorszy, bo tęsknota i wspomienie w sercu odżywały. Ale musiałem się z losem pogodzić. Ponieważ mam już 39 lat, jeszcze nieżonaty, przechodziłem różne koleje życia — drogi — cierniowe — tajemne i nieznane, jak również cudne rozkoszne doliny, rajzuję już około 16 lat, ale rzeczywistego zadowolenia i tego com oczekiwał, jeszcze nie znalazłem. Nie wiem co mi teraz los przeznaczy, jak zabłyśnie? A jeżeli nie, to nie chciałbym być ciężarem dla nikogo, będę pracował dokąd się da, a w razie niemożności chciałbym powrócić do kraju i złożyć kości na Polskiej ziemi... Przecież Polskie ziemice zawierają węgiel — kruszcze sól i pszenicę. I ci emigranci którzy powracają do Ojczyzny jako syny marnotrawne — powinny się pomieścić. Radziłbym zastosować się do systemu niemieckiego, mamy dużo wrogów w kraju, którzy żyją na dobrych posadach i pracach, jeszcze są wrogo usposobieni do Państwa. Drzewo które nie nadaje się na nic, ma woń nieprzyjemną i nie pozwala drugim rosnąć — potrzeba wykarczować a ono samo zeschnie i w jego miejsce zasadzić dobre drzewa ażeby przynosiły pożytek. A dla tych emigrantów którzy pozostają w obcych krajach potrzeba gwiazdę przywodnią, ażeby zgromadziła wszystkich i swojem blaskiem nieznikającem prowadziła do portu szczęśliwości. Na to potrzeba Polaka z krwi i kości. Wtenczas będą nas szanować i będziemy narówni drugim narodom. Niepotrzeba pogardzać tą szarą masą, ale pouczyć i być przychylnym dla niej. Patrzmy na niemców, jeżeli się odbywa ich jaka rocznica, to rozstawiają swoje pikiety na kilometr od punktu. I zwabiają wszystkich jak pszczoły na słodycz słów, oni się nie wstydzą szarego, a jak któremu z nich dzieje się jaka krzywda chociaż słusznie — to krzyczą na cały świat. Dlatego silni zjednoczeni i lęka się ich cały świat...

Zasyłam Sz. I.G.S. serdeczne pozdrowienie i prośbę do wytrwałego i niezłomnego dążenia i do zdobycia w Polsce pełnych praw dla ludu włościańskiego. Ażeby ten nie tułał się po świecie — lecz we własnem kraju znalazł warstat pracy. I zaś proszę zwrócić więcej uwagi... Przepraszam bardzo, może tu jakie słowa nie nadają się, albo są hardy — tak proszę nie brać pod uwagę.

Niech żyje Rzeczpospolita Polska!

Dn. 23 czerwca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 3

Robotnik przy kolei, działacz społeczny oraz korespondent pism w Buenos Aires, syn czteromorgowego gospodarza spod Borysławia, ur. w 1900 r.

... Przykre są momenty jeżeli człowiek przyjeżdża do obcego kraju bez znajomości języka i obyczajów. Na każdym kroku widać bezradność tułających się emigrantów w poszukiwaniu pracy. Trudności do pokonania są olbrzymie, większość przedsiębiorstw w Argentynie jest zagranicznych, w których każde stara się zatrudniać swych rodaków. Dla Słowian w ogólności a dla Polaków w szczególności pozostawały najcięższe i najgorzej płatne prace. Do roku 1930 Polak był mało znany, na co składało się cały szereg powodów, było dużo takich emigrantów którzy błędnie pojmowali sprawy i sami sobie szkodzili podając się jako „alemanos" (niemiec) „austriaco" i t. d. co w przeciwieństwie do posiadanych dokumentów było kompromitujące, nietylko dla jednostek, lecz dla ogółu wychodźctwa polskiego, stwierdzające że Polacy się wstydzą swego mienia. Wygląd zewnętrzny i zachowanie się emigrantów ze wsi, szczególnie z Kresów Wschodnich, pogarszało opinję o „rusos" (rusini) których później ogólnie przemianowano na „polakos" (Polacy). Myśli i dążenia prawie każdego z emigrantów były, żeby zarobić pieniędzy i wrócić do kraju, stąd też ci którzy lepiej zarabiali nie wiele dbali o wygląd zewnętrzny.

Robotnicy polscy zatrudnieni w przeważającej większości przy budowie i konserwacji dróg kolejowych, narażani byli na szykany źle wychowanej młodzieży argentyńskiej, która rzucała kamieniami i pluła z okien pociągów podmiejskich. Jednego razu zdarzył się tragiczny wypadek. Jeden z młodzieńców stojąc na

stopniach wagonu podmiejskiego pociągu kolei południowej „Fevoo Earvil Lud" wyciągnął nogę z zamiarem kopnięcia pracującego na drugim torze robotnika, w tym momencie pociąg się zbliżył do otwartego mostu, nieszczęśliwy zawadził nogą o most, upadł z pociągu i poniósł śmierć na miejscu. Robotnicy jednak nie podali tego w protokule policyjnym i rodzina zabitego otrzymała od kompanji odszkodowanie. Wytrwałość robotnika polskiego zjednywała powoli sympatję u przedsiębiorców, lecz w rzadkich wypadkach Polak mógł liczyć na awans w pracy. Poza koleją najwięcej robotników jest zatrudnionych w rzeźniach t. zw. „Fugovificos", oraz sezonowo przy zbiorach zboża i kukurydzy. Zbiór kukurydzy trwa do 3 miesięcy i więcej, ostatnie lata kryzysu dały się odczuć i w tym dziale pracy. Jest również pewien odsetek Polaków, którzy pracują na dobrych robotach i mają dobrze płatne pensje. Chęć szybkiego wzbogacenia się wykoleja poważną liczbę polskiego wychodźctwa. W Argentynie jest w przeciągu tylko jednego miesiąca około 20 ciągnień loteryjnych, państwowa i prowincjonalne. Emigranci kupują za krwawo zapracowane pieniądze bilety loteryjne, a fortuna jednak rzadko się uśmiecha, co w rezultacie przyprowadza emigranta do zatracenia trzeźwych myśli i planowanej pracy. Prócz loterji istnieją jeszcze bardziej zabójcze gry t. zw. „guinela". Gra ta jest tembardziej niebezpieczna ponieważ można grać począwszy od 5 centów do kilkudziesięciu a nawet set pezów. Aczkolwiek gra powyższa teoretycznie jest zakazana, to w praktyce się nie uwidacznia chyba jeżeli chodzi o wypłacenie większej sumy wygranej, wtenczas wypłacający trzyma się litery prawa. Grę „guinela" praktykuje się w ten sposób, gracz spisuje sobie na kartce kilka podwójnych numerów które śnił w nocy (zawodowi gracze bardzo dużo śnią) idzie do spelunki i stawia np. 25 do 10 premji po 25 ct. = 250 drugi numer np. 46 do 5-ciu premji po 10 ct. = 50 ct. i t. p. czeka niecierpliwie wieczora — nic nie wyszło, jednak to go nie przeraża, ja to jutro odbiję, mówi. Pocieszając się mówi a co, dobrze śniłem tylko durna głowa, źle zapisałem zamiast 25 wyszło 52 i t. d., na drugi dzień poprawia, gra przechodzi w nałóg i ostatnie 10 ct. przegrywa, są tacy co pożyczają i grają a nawet żebrzą i grają. Ujemną opinją siłą faktu dla Polaków są domy publiczne, w których nie brak kobiet z dowodami osobistemi polskiemi, aczkolwiek są przeważnie

żydówki. Te osoby dopóki się znajdują w domu publicznym nie wstydzą się podkreślać „swej" narodowości że są „polacas" (Polki) do licznie odwiedzających je gości, z chwilą jednakże gdy po kilku latach opuszczają ten przybytek i za „ciężko" zapracowane pieniądze otwierają interes handlowy, wtenczas już nie są „polacas", wtenczas się przedstawiają jako „alemanos" t. j. Niemki. Żeby Hitler wiedział jaką mu propagandę robią, toby im kazał swastykę na biodrach powypalać. Lecz nie tylko kobiety odznaczały się tym „patrjotyzmem" bo ich opiekunowie handlarze żywym towarem posunęli się jeszcze dalej dając swej organizacji nazwę „Varsovia" t. j. Warszawa. Na szczęście policja zdołała po pewnym czasie tą bandę rozpędzić, lecz nazwy związku handlarzy żywym towarem „Varsovia" nikt nie wymaże z archiwów policji w Buenos Aires.

Skoro już natężenie emigrantów doszło do dużych rozmiarów w Argentynie, życie gospodarcze zaczęło się kurczyć. Emigranci jeszcze nie zaczęli dobrze pracować i już tracili pracę. Rok 1931 i 32 był dla emigracji polskiej bodajże najcięższy. Fałszywe pogłoski o rzekomym wysyłaniu emigrantów przez rząd argentyński do rodzinnych kraji bezpłatnie zgromadziły w stolicy tysiące emigrantów chętnych do wyjazdu bez względu czy mieli pieniądze czy nie. W ten sposób powstały w stolicy Argentyny olbrzymie kadry bezrobotnych, których około 4000 umieszczono w magazynach portowych, wydając dla tychże jeden raz na dzień pożywienie, reszta zaobozowała na krańcach miasta w naprędce skleconych budach z odpadków drzewa i blachy wyrzuconych na śmietnisko. Kolonja polska przy pomocy Poselstwa R. P. zorganizowała bezpłatną jadłodajnię, lecz to nie rozwiązało problemu bezrobocia, najbardziej potrzebujący, którzy biedakowali na peryferjach Buenos Aires, nie mogli korzystać z bezpłatnych obiadów, natomiast były wypadki że emigranci pracujący w pobliżu chętnie korzystali z bezpłatnych obiadów. Na następny rok otwarto bezpłatną jadłodajnię bez pomocy Placówki przy centralnej organizacji „Dom Polski". Co jednakże nie okazało się praktyczne o czem może świadczyć fakt, że na otwarcie tejże brakowało chętnych do bezpłatnych obiadów. Organizatorzy sprowadzili kilkunastu bezrobotnych ze schroniska polskiego płacąc dla każdego po 20 ct. obiad kosztował ogólnie 13 ct. czyli że lepiej było pomagać w na-

turze na miejscu aniżeli sprowadzać na obiady. Obóz bezrobotnych powiększał się z każdym dniem. Pomoc dla tych ludzi była konieczna lecz utrudniona. Powstaje Komitet Pomocy Bezrobotnym, do którego weszli przedstawiciele miejscowych i pobliskich organizacji polskich pod przewodnictwem dyrektora banku P.K.O. p. Juljusza Nowińskiego. Komitet P. B. w okresie największego natężenia kryzysu rozdał pomiędzy bezrobotnych obywateli polskich kilka tysięcy par bielizny, spodni szmacianego obuwia t. zw. „alpargatus", kilkanaście skrzyni mydła, zaopatrzał w czasopisma i t. d. Tu jednakże byli brani pod uwagę najbardziej potrzebujący, ponieważ bezrobotni emigranci dzielili się na różne kategorje: byli tacy którzy mieli na książeczkach oszczędnościowych w bankach po kilka set pezów. Byli którzy nie przywykłszy ciężko pracować woleli spędzać życie w tem otoczeniu, nawet między bezrobotnymi byli spryciarze którzy utrzymywali na własną rękę „guinelę", były wypadki że policja podczas rewizji znajdowała bilety gry w „guinela" i setki pezów które pospisywano. Większość jednak stanowili ci, których los prześladował i nie mogli znaleźć zajęcia by zarobić na kawałek chleba, a pobyt dla tych między wyżej wspomnianem towarzystwem nie był do pozazdroszczenia. Obóz bezrobotnych przemienił się w ciągu kilku miesięcy w miniaturowe miasto, nazwane przez bezrobotnych „Villa Esperanza" (miasto nadziei), ludzie pracy nie spoczywali i tutaj budowali domki z odpadków wyrzucanych na śmietniska, wybrali niektóre przybory kuchenne, naprawiali buty, zegarki. Ze względu na bezpieczeństwo specjalny posterunek policji został przydzielony do „Villa Esperanza". Kryzys się z czasem zmniejszył, niektórzy wyjechali w poszukiwaniu pracy, resztę na skutek rozporządzenia Rady Miejskiej Buenos Aires usunięto przemocą, „Villa Esperanza" przestała istnieć. Między rozbitkami „Villa Esperanza" są jednak ludzie, którzy chyba nigdy pracować nie będą, dawniej zarabiali po 8 do 10 pezów dziennie, ubierali się bawili... grali, dziś za dwa lub trzy pezy nie będą pracować, co zarobili łatwiej poszło niż przypuszczali.

Dziś złamani na duchu prowadzą żywot włóczęgów. Nie wszyscy emigranci polscy w Argentynie patrzą na wielkie zarobki i chęć wzbogacenia się. Przeciętny emigrant patrzy aby pracować i ile możności oszczędzać. Do roku 1931 była tendencja zarabiać

pieniądze i wysyłać do Polski, lub składać je do banków, bo to się opłacało, za 100 złotych płaciło się 26 pezów. Z chwilą gdy waluta argentyńska zaczęła spadać, zmysł spostrzegawczy zwrócił emigrantów polskich w innym kierunku, zamiast wysyłać lub trzymać pieniądze, kupowano nieruchomości z zamiarem osiedlenia się na dłuższy okres czasu lub na stałe. Wysyłka pieniędzy nie opłaca się, za 100 złotych trzeba płacić 70 pezów. Więc emigranci kupują domy, place pod budowę domów by nie opłacać drogiego komornego. Powstają polskie instytucje handlowe i polskie zakłady przemysłowe, przeważnie wyroby stolarskie i zakłady krawieckie. Ponad tu i ówdzie, szczerzącą zęby nędzę — uwidocznia się coraz bardziej dorobek wychodźcy polskiego w Argentynie.

Dn. 10 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 4

Mechanik w Buenos Aires, syn naczelnika gminy z okolic Tarnopola, ur. w 1879 r.

Pisząc ten Pamiętnik Emigranta Polskiego z Argentine skieruję me myśli o 36 lat wstecz, tuż że pewny młodzieniec w dziewiętnastem wieku, urodzony w Bucniewie koło Tarnopola w roku 1879, syn rolnika Mikoly Prokopowicza i matki Karolina Witkowska. Ojciec mój piastując przez 12 lat urząd naczelnika gminy, był także kilka razy wybrany do sądu zaprzysięgłego w Tarnopolu. Po skończonej szkole 4 klasy w Bucniewie chodziłem dwa lata do gimnazjum w Tarnopolu, lecz niestety nie każdy ma głowy i zamiłowanie do nauki szkolnej, moje zamiłowanie zawszy było więcej do maszyn i ich kierowania. Otóż w miesiącu marcu 1891 przystawiłem memu ojcu silne postanowienie wystąpić ze szkoły, i iść do nauki mechanicznej i ślusarskiej. Znając znajomość wielką mój ojciec z p. Olszańskim który miał warsztat mychaniczny w Chorostkowie, po srodzym skarceniu ze strony ojca, który marzeł i chciał ażebym się uczeł na księdza bo był gorliwem katolikiem na który jest ze kościół pobudowany w Bucniewie, tylko jemu się zawdzięcza. Po wstawieniu się mojej dobrej matki, mój ojciec się zrezognował, i postanowili w dniu 20 kwietnia 1891 odwieź mnie do Chorostkowa do nauki mechanicznej, który zrobili kontrakt na cztery lata. Mając wielkie zamiłowanie do maszyn parowech i robocie ślusarskiej, już po dwóch lat nauki majster mój Olszański mając zaufanie wysłał mnie do młócenia po dworach z całą maszyną jako kierownik maszyny do młócenia, ale zawszy pod nadzorem jego. Po cztyrech lat nauki dostałem mój dyplom

jako ślusarz maszynowy i kierownik do maszyn parowych na który złożyłem egzamin przed kilkoma majstrami w Kopyczeńcach. Występując z Chorostkowa wstąpiłem do wykształcenia się więcej do warsztatu we Lwowie pracując niepełna 5 miesięcy, tam dowiedziałem się że firma Rogowskiego w Tarnopolu potrzebują ślusarza maszynowego do prowadzenia maszyn parowych. Wstępując tam w miesiącu 15 czerwca, który pracowałem aż do miesiąca października w roku 1896. Znając że w Otyni znajduje się wielka fabryka firmy Emil Bret Cia, który wyrabia i odlewa kotły parowe i maszyny do browarni postanowiłem pisać do tej fabryki do direktora Lorensa, którego syna zapoznałem we Lwowie, odpowiedź była dobra, bo otrzymując list ażebym przyjechał dostanę zatrudnienie w tej fabryce. Znając już syna tego dyrektora Julusz Lorensa, zrobiła się wielka przyjaźń pomniedzie nami. I zawszyśmy marzyli do wyjazdu do Ameryki Południowej omawiając sekretnie pomniedzie sobą że musimy wyjechać przed służbom wojskowo, na którzyśmy sobie przyrzekli i dali słowo że nie będzie służec przy wojsku awstriackim, po omówionym planie, którzy także przystępili do nas niejaki Sewerin Wróblewski. Nabierając dobrej wiadomości w tej fabrycy koło maszyn i także przy elektryczności która w tych czasach bardzo mało była znana, elektryczność w Galicji i po całech miastach, po długim namyśle i rady mając już znajomość z jednem agentem w Stanisławowie który nam dał instrukcji jak mamy się zachować przed wyjazdem przez granicy do Włoch Italji. Otóż dnia 20 maja 1902 roku o godzinie 10.30 min. wyjechałem razem z mymi kolegami w sekrecie, znając tylko nasz wyjazd derektor Lorens ojciec mego kolegi, przejeżdżając całe Węgry zatrzymaliśmy się w Budapeszcie, jeden dzień do zapoznania się z tym wielkim mieście stolicy Węgier i zarazym porozumić się z jednem agentem jak mamy się zastanowić na granicy, który nam naradził aby nasze walizki odesłać innym pociągiem z innymi imigrantami, którzy wyjeżdżali z Otyni rolnicy i im powierzeć naszy walizki. Radząc nam ażeby jedny stacji przed granicą wysiąść i iść piechotam jako na spacer do zwiedzania jednej fabryki wiejskiej poblisku granicy włoskiej, i tak idąc przez góry przeszło dwie godziny prawie jako wygnańcy doszliśmy do granicy tam nas zatrzemano i wypytując się gdzie dążymy. Odpowiedź była stanowcza że na spacer i do zwiedzenia

fabryki włoskiej koło granicy. Mając szczęście i nadzieje w Panu Bogu doszliśmy do pierwszej stacji i wsiedliśmy w pociąg kolejowy aż do miasta Udina, tam zatrzymaliśmy się trzy dni, czekając na przyjazd dużo rodzin z Otynji i Stanisławowa i po przejeździe tych dużo rodzin na stacji Udina sercy się krajało z boleści tych biednech ludzi którzy wyjechali ze swoimi synami mając 19 — 20 lat tam na granicy zatrzymali około diesięć młodzieńców i odstawili na swoje miejsce i zaraz wcielili do wojska.

Maja 25 w nocy widzieliśmy pociąg i wszyscy imigranci przeszło 250 osób wyjechaliśmy z Udiny do portu włoskiego Genowe*), tam po przebyciu do portu odstawiono nas po kwaterach bo musiało się czekać trzy dni na okręt la Plata, korzystając tych trzy dni zwiedzając to wielkie miasto portowy włoskie i z zapoznania się z agentem Polakiem tam nam pokazywał wszystko co jest najnowszego, 28 maja 1902, o godzinie 9,30 minut opuściłem porto Genewa i zatem mą drogą ziemię polską pod zaborem austryjackim. Smutnie przypomnie ten wyjazd z Genewo bo na drugi dzień na morzu zerwał się wielki wijor który miotał tym okrętem szalenie i ludzi nie przyzwyczajeni do tej jazdy płakali i narzekali na swoją zła dolę, ale to nic z porównaniem z dnia 2 czerwca zerwała się ogromna burza trompa marina która miotała tem okrętem jak piórkiem i zdawało się że lada chwili idziemy wszyscy na dno morskie, jaki to był jęk i płacz i narzekanie pomniedzie naszem narodem, było ich jak piszę przeszło 250 osób z mężczyznami i dziećmi, którzy na tym okręcie jechali, ale jak oni jechali to sercy bolało widzieć jak bydło, w tych czasach nie było gabinów oddzielnych, zapakowano ich na dole okrętu w jednem wielkim salonie bez łużek, spali te ludzie na żelaznej podłodze z małemi kocekami ze słomy, razem mężczyźni i kobiety i dzieci to wszystko razem. Po trzech dniach tej straszliwej burzy wypogodziło się ale te nasze ludzie sercy bolało widzić ich we wielkiej rozpaczy że niektórzy kobiety chciały się rzucić do morza. Nadeszły chwile pogodny, ludzi się bawili i zapomnieli na chwilę te ciężkie dni wielkiej zgrozy burzy morskiej, nadchodzi dzień zbliżenia się do portu sławnego w Argentynie Buenos Aires, to przetłumaczeć po polsku (Dobre Powietrze). Otóż zbliżał się dzień 24

*) Prawdopodobnie Genua.

czerwca roku 1902 zobaczyło się zdaleka Porto Grato Buenos Aires, tego samego dnia o godzinie 11-y, 30 minut wstąpił nasz okręt La Plata do portu, po zarządzeniu spraw rządowych odstawiono nas wszystkich bez wyjątku różnicy stanu do emigracyjnego domu budowy z drzewa, jeszcze mi stoi przed oczema ten straszliwy gmach nieczystości, w tym domu nędznym bo proszę sobie wyobrazić że w tej samej nocy, ja z memi kolegami na imię mych kolegów jest Julio Lorenz, Sewerino Wróblewski, i trzeci zapoznałem go na okręcie Michał Strutyński lat 35 jadąc do Mendozy kopalni benzyny i węgla. Człowiek światowy który był kilka lat we Francji przy kopalniach nafty, który mówił bardzo dobrze po francusku. Jak mówię tej samej nocy musieliśmy opuścić ten nędzny gmach imigracji nie do wyspania. Chociaż nas zatrzymał stróż na bramie, ale my poszli jednakowo do bliskiego restawrantu i tam przespaliśmy reszty nocy. Dnia 26 czerwca była rozprawa kto i gdzie żąda jechać i do jakiej pracy, to naszy biedni ludzie rozszarpali ich po sześciu w grupach, jedni zostali w Buenos Aires rozesłano ich do robót kolejowych, a większa część wyjechano do Miciones gdzie dzisiaj są koloniści polscy, herwa maty do picia i gdzie niektórzy dobrze stoją. Ja z mymi trzema kolegami wyjechałem do Mendoza, prowincja blisko gór Los Andes, gdzie tylko się zatrudniają przy plantacji winogradu. Mój kolega starszy Strutyński wyjechał w góry do kopalni firmy niemieckiej w mieście górskim Lochan, mój kolega Lorens jako dobry tokarz dostał zaraz zatrudnienie przy koleji, i także kolega S. Wróblewski jako rzeźbiarz i modelista także dostał zajęcie. Tylko ja nie miałem szczenścia dostać zajęcia natychmiast i już się zaczynały chwile groźne bo byłem bez grosza, ale szef kolejowy nijaki Gijermo Szmit, mnie pocieszał i rekomendował mnie że za jakich dwa tygodni da mi zatrudnienie, na razie mnie posłał do swego znajomego Niemca który miał warsztat mechaniczny, miasto małe Majpu, dnia 29 czerwca świętego Piotra moje imieniny, pojechałem do tego miasteczka i przybyłem w nocy o godzinie później, muszę to zaznaczeć że czerwiec jest to miesiąc zimowy. Wysiadając na stacji bez języka hiszpańskiego wypytuje się, gdzie jest ten warsztat tego pana Szmita, ale rozpacz mnie ogarnęła idąc po ulicach tak mało zaludniony i palący ognie na ulicach z wielkiemi koszami, viva san Pedro, to znaczy niech żyje święty Piotr,

w tyj chwili mnie się przypomniały z historji że w Ameryce Indjani łapali białech ludzi i ich piekli, bo po ulicach tylko widziałem czarnych ludzi z brodami, nabierając odwagi zbliżyłem się do ogniska palącego i pytam się o panu Szmit, dwóch mnie złapało i mówiąc komo to wa Gringo i toma wino (to znaczy jak się masz cudzoziemcze, pij z nami wina za świętego Piotra). Nabierając więcej odwagi zapytuję o pana Szmit, który ten ogon palili na święta jego sąsiada który się nazywa Piotr. Ten pan Szmit mnie wytłumaczeł po niemiecku że tu jest taki zwyczaj, że na świętego Piotra i Pawła palą ogniska przed domem ale za to potrzebne im dać 10 liter dobrego wina. I proszę sobie wyobrazieć że to wino kosztowało 10 centum za litre, to znaczy za jednego pesa kupił 10 liter wina. W tym mieście pracowałem trzy tygodni zarabiając trzy pesy dziennie, potem otrzymując telegram od chefa koleji ażebym się stawił dnia 15 lipca do zajęcia na koleji jako mechanik kolejowy. Obejmując miejsce przy maszynach prawie bez języka dano mnie do pomocy dwóch pomocników i dwa chłopy do nauki i pomocy — rozbieranie maszyn i do poprawy. Pierwszy miesiący były dla mnie tak trudny do porozumienia się z tymi ludźmi że czasem były chwili w rozpaczy, bo nie znając dobrzy języka brali człowieka na żarty, widząc że mi potrzebne mowy zapisując się do szkoły nocnej do nauczania się dokładnej mowy i zarazem był jeden nauczyciel Anglik który dawał takży dobry wykłady nowoczesnych maszyn i elektryczność, która już tu w Argentynie odgrewał wielką rolę, bo wszystkie pociągi nocny już miałe oświetlenie elektryczne. Chef mój Niemiec Gijormo Szmit miał wielkie zaufanie we mnie, po zapoznaniu mnie dobrze po jednem roku pracy, nieraz mówił mi poufnie że z takim zapałem jak ja pracuję dojdę do czegoś większego i w rzeczywistości po dwóch latach pracy i trudów pewnego dnia woła mnie do swego biura, zapytując mnie czy się nie znam z wagami i ich zarządzenie co do zrewizowania i jak mają funkcjonować, z wielkim zadowoleniem odpowiedziałem że znam się co do wag bom praktykował we fabryce w Otynji. Zaproponował mnie na praktyki na jeden miesiąc, bo inspektor jeden w tem zawodzie zachorował nagle pod nazwiskiem Józef Czluck, Czech, wziąłem się bardzo gorąco do tego nowego zawodu, i po miesiącu mej praktyki i dobrego zapoznania się z regulowania dobrze tych wag po sta-

cyjach, których na każdej stacji szef musiał mi dać pokwitowanie. Dnia 25 lipca 1905 mianowano mnie jako inspektorem wag kolejowech na prowincji Mendoza y San Juan, oddano mnie do mojej dyspozycji jeden wagon z całem przyrządem i naczeniami i z małą izbą do spoczynku i spania, z pensyją 150 pesów argentynskich to znaczy w tych czasach dużo piniedze i wielka pensyja, po niespełna roku tego mego obowiązku zachorowałem na żołądek, lekarzy mnie radzieli ażebym opuścił prowincje Mendoza i udał się na prowincji Santa Fo, bo tam jest lepsza woda, choroba moja jak mnie opisywali lekarze żołądek z powodu niezdrowej wody, która miała dużo salitry. Porzucając Mendozy szef mój pan Szmit żałował mnie bardzo ale trudno, naprzód jest zdrowie, ten pan dał mnie rekomendacji do szefa kolejowego w Rosario. Przyjeżdżając do Rosario w roku 1905 w miesiącu grudniu wielkie upały były w tym roku, zapominam o opisanie że już w roku 1905 w miesiącu lutem ożeniłem się z niejaką Józefą Ponte z familja italjańska, która już miała swoje rodzine w Rosario. W Rosario zachorowałem bardzo i będąc we szpitalu operowano mnie na żołądek który Bogu dzięki wyleczełem się i dziękując czułości mej żonie, lecz niestety każdy człowiek ma swoją krzyżową drogie, i oto dnia rozpaczy żona moja powiła mi córkę na imię Helena, ale ona zachorowała bardzo ciężko. Pracując niespełna rok przy koleji, który mnie się nie podobało, bo tu już było dużo ludzi niemieckich a przeważnie włoskich, hiszpańskich i angielskich i nie mając protekcji, zarabiałem 4 pesów dziennie. Szukając zawszy innej posady bo czując się w możności czego innego zgłosiłem się w gazetach ofiarując moją wielką znajomość przy maszynach parowech i pewnego dnia otrzymując list z wielką uciechą że pewna firma młyna parowego z Casilda żąda kierownika maszyn w swem młynie parowym. Otóż dnia 1 listopada 1906 roku zgłosiłem się do zarządu młyna tej firmy Ferrando y Srrot i po krótkiej mowie zapytał się mnie właściciel czy mogę natychmiast objąć derekcję jako pierwszy maszynista zarządu maszyn, odpowiedz moja była że chce napierw zobaczyć dobrzy wszystkie maszyny, po jednym dniu namysłu i zbadaniu maszyn która była werobu szwajcarskiego 150 koni siły i kotły 160 h.P. wyrobu angielskiej, wieczorem przyszedłem do biura i dałem odpowiedź stanowczą że się zobowiązuje wziąść pod mój kierunek maszyny i ko-

tły ale zapytuje się jakie warunki, właściciel odpowiedział mi że on miał chefa maszyn Niemca tylko go musiał oddalić bo lubiał się upijać płacąc mu 180 $ pesów miesięcznie i pomieszkanie światło i co było potrzebne dla rodziny, zażądałem pensji miesięcznej 200 $ pesów, po krótkiem namysle zrobiłem kontrakt na jeden rok i jeżeli mu się podobam i będzie zadowolony sam mnie przyobiecał pensji 250 pesów miesięcznie. Z wielkiem zapałem wziąłem się do prowadzenia mego wielkiego obowiązku, mając trzech pomocników do rozporządzenia, których musiałem kontrolować bardzo ściśle, bo pomocnicy wszyscy byli Italjanie (zapominając o moich kolegach podróży będąc jeszcze w Mendoza, Struteński po dwóch latach odjechał od swej rodzieny Stanisławowa, Juljusz Lorens wyjechał do Nowego Jorku i S. Wróblewski wyjechał do Australji). Będąc jeszcze w Mendoza gdzie niegdzie spotkałem naszych ludzi polskich ale tu nazywano ich Ruso Polaco o Austryjako Ukrainos żyli w jak największej biedzie posyłając swe dzieci na żebraniny który ja nieraz idąc do ich domów skarciłem i naradzałem po dobremu ażeby tego nie robili bo to wstyd dla polskiego narodu, chociaż za Polskę w tych czasach nikt nie znał. Wracając do mego zawodu jako chefa maszynisty w Casildzie po jednem roku mej szczęśliwej i uczciwej pracy obywatel młynu dotrzymał słowa i podwyższył mi moją pensyję na 250 pesów, ale znowu po szczęściu zawinęła do domu mego wielka boleść, żona moja zawszy chorując powiła mi syna na imię Antonio Karlo, i po dwóch miesiącach z wielką boleścią dla mnie umarła. Zostając wdowcem z dwojgiem maleńkiemi dziećmi w jednej strony wielki obowiązek we młynie i drugi me dzieci, tak walczyłem aż do roku 1909 miesiącu lipcu. Młyn ten ogromny i w wielkim ruchu bo się wyrabiało 500 korcy mąki na 24 godzin, sprawa polityczna i do zakładania innych większych młynów musiał zatrzymać ruch bo było w magazynach przeszło 25 tysięcy worków mąki nie sprzedanej. I tak w roku 1910 w miesiącu styczniu zatrzymano młyn na sześć miesięcy, nie mając nadzieji puszczenia w ruch więcej, zapłacono mnie z góry dwa miesiące pensji na który jeszcze obywatel dał mnie nagrody więcej 100 razem $ 500 pesów. Ogłosiłem w gazetach poszukania posady i mając szczęście za kilka dni trzymając list ażebym się zgłosił do Rosario firma niemiecka Emil Werner i Cia, potrzebują kierownika maszyn parowych w Rio

Cuarto prowincja Cordoba. Zgłosiłem się do biura z bardzo dobremi świadectwami zaraz umówiłem się z tem dyrektorem tej firmy z pensją 250 pesów miesięcznie pomieszkanie i to co potrzebne dla familji. Po dwóch latach uciążliwej pracy jako kierownik tych wielkich maszyn parowych i było ich trzy jedna wyrobu Dizel niemiecka, druga szwajcarska i trzecia wyrobu angielskiego, te maszyny były do młyna i także wielka elektrownia która dawała światło na całe miasto 40 tys. ludności.

Dużo odpowiedzialności za kierowanie we młynie i elektrowni, me dzieci zostawiłem w domu mego teścia, wyjeżdżając do Rio Cuarto na te posady młyna i elektrowni. Po dwóch latach zrezygnowałem z mego zatrudnienia dając czas dyrektorowi na dwa miesięcy na wyszukanie sobie drugiego kierownika i przyrzekając być 15 dni do zapoznania się zastępca dobrze ze wszystkim. Powracając napowrót do Rosario bo miałem wielkie zamiłowanie do tego miasta Rosario y Casilda, otrzymując posadę w jednej firmie angielskiej The River Platy y Cia, fabryka wielka masła, seru i herwa maty, było dwie maszyn gazowych sto koni siły, mając kontrakt na jeden rok z pensiją 250 pesów, i co niedziela jadąc do Casildy oddalony 50 km. od Rosario, tam zapoznałem się z jedną rodziną szwajcarską, mając jedną córkę Herminia Gay de Kutel, i w roku 1913 w miesiącu listopadzie wstąpiłem po drugi raz w ślad małżyński, z który mam dwie córki Maria Teres i Lea Asencion. Po skończonym roku mego kontraktu w tej fabryce masła i etc. otrzymałem posadę do wielkiego młyna parowego firma niemiecka Dijermo Baver, San Carlo Sud, gdzie także była wielka browiarnia piwa której dyrektor był Polak z Francji, to było całkiem odrębny od młyna i inna firma spółka francuska. Będąc w tym młynie dwa lata i czując się zmęczonym pracować zawszy na obywateli wielkich zakładów, mają już oszczędzonych pary tysięcy pesów myślałem zawsze założyć jaki zakład elektryczny na właściwą rękę, będąc przez te dwa lata w San Carlo Sud zrobiłem wielką znajomość z tym Polakiem dyrektorem browarni, który on nieraz mnie radził założyć coś na swoje własne rękę. Otóż powracając napowrót do Casilda w roku 1916 w miesiącu marcu koło Rosario założyłem w Casildzie mały warsztat do ustawienia motorów elektrycznych i do ustawiania światła elektrycznego, i zarazem do pomocy utrzymania się lepi zapoznałem się z obywate-

lem elektrowni, którego poznałem jeszcze mego pobytu w Mendoza. Ten obywatel francuski Pedro Rozzie dał mnie nominacje na inspektora instrumentów elektryczności postawionech po domach rodzinnych, który ja kontrolował w wolnych czasach co końca miesiąca mając do pomocy dwóch ludzi do mego zaufania, pełniąc ten mój obowiązek przez 14 lat aż do roku 1930 kwietnia prowadząc mój własny handel ustawienia motorów i światła który aż dotychczas prowadzę mając zawsze do pomocy aż sześciu pomocników. Po wojnie w roku 1920 sprowadziełem do siebie mych dwóch siostrzeńców którzy pracowali koło mnie i w roku 1927 i 28 sprowadziełem drugich mych dwóch siostrzeńczy którzy także pracowali kilka lat koło mnie aż do wyćwiczenia się dobrze przy elektryczności. W roku 1918 kupiłem jedna realność domek za 8.500 pesów i w tym domu pracowało się aż do roku 1926 który kupiłem plac na budowę mego zakładu na ulicy głównej ul. Buenos Aires n-2428. ut. 69... Pracując zawszy nie zapomniałem nigdy o polskości bo otrzymując dzienniki polskie pochodzący z Buenos Aires „Głos Polski" i puźniej „Niezależny Kurjer Polski". Po tej krwawej wojnie europejskiej przybył pierwszy konsul honorowy, dr. Józef Włodyk, który jest obecnie w Krakowie. W roku 1922 w maju przybył do Buenos Aires pierwszy minister dr. Władysław Mazurkiewicz, który był na swoim posterunku jako poseł Rzeczypospolitej 14 lat w Argentynie. W roku 1922 w miesiącu listopadzie przyjechał do Rosario odwiedzić kolonje polską, w której w tych latach były małe towarzestwa polskie skupiony zaledwie 20 członków. Po przyjęciu posła Mazurkiewicza i po jego przemówieniu do zachęcania jedności i rozszerzenia coraz więcej naszego „Towarzystwa Polskie", wyszła wielka myśl, będąc w tych czasach prezesem pan Michał Król rodem z Krakowa. Otóż w roku 1925, w czerwcu wybrano komisję do budowy Domu Polskiego. Prezesem wybrano M. Króla, Prokopowicza vice i czterech członków jako radni, rozesłano listę do zbierania funduszów na ten cel. Misja była to dość trudna a przeważnie mnie, będąc oddalony od Rosario 50 kilometry, ale pomimo tego biorąc udział co niedziela na naradach i zbieraniu funduszu na ten cel zachęcając rodaków naszych ażeby nie żałowali i oddawali swe drobne groszy zapracowane na Dom Polski który ma być siedzibą wychodźstwa polskiego w Rosario. Po uciążliwej pracy nas kilkuch,

zwołaliśmy walne zgromadzenie na dzień 15 marca 1928 roku, przedstawiając że mamy gotówki około 3.800 pesów i tą małą sumą musimy zacząć budowę. Po dłuższej dyskusji, jedni się zgadzali, a drudzy byli przeciwni, ale nasza silna wola zwyciężyła całe walne zgromadzenie około 50 członków, i nas było M. Król, Prokopowicz, Moteka, Pogorzelski i Socha, nabyło się ziemi na Ul San Nicolac 836, na wypłat 120 miesięcy za kwoty 80 pesów miesięcznie. Budowa domu miała kosztować 9.545 pesów to poprostu było szaleństwo mieć na to odwagę, ale że silna wola walcząc ze wszystkimi dom się budował, i otóż w miesiącu listopadzie było poświęcenie Domu Polskiego w obecności naszego posła pana W. Mazurkiewicza, który za jego protekcją i pomocą ten dom częściowo był zapłacony. Będąc w Buenos Aires w roku 1930 na uroczystości 3 maja zrobiłem jedne liste na ten dom i z gorącym zapałem zebrałem z wielkimi trudnościami $ 1.234.00 i tak w tem roku zapłacono całkiem ten Dom Polski w Rosario. Pomimo tego że mówiłem że mam dom handlowy pracuję zawszy dla społeczeństwa wychodźstwa polskiego gdzie potrzeba, będąc przez cztery lata prezesem tego Tow. wystarałem się dla niego personeria Juridigo przed rządem argentyńskiem, który to dużo trudów i pracy kosztowało. W roku 1932 założyło się drugie towarzystwo w Rosario Pueblo Nuevo koło fabryki „Świt" dyrekcja angielska wielka rzeźnia wyrobów mięsnych, który odsyłają do Anglji, tam pracuje około 200 ludności polskiej, Pueblo Nuevo, to znacze miasto nowe dużo naszech ludzi pobudowali sobie domki i tak żyją i pracują, dlatego w roku 1934, pobudowano także własny dom z wielkim wytężeniem i wielkiemi siłami, koszta są około 10 tysięcy pesów, który już są spłacony prawie do połowy. Rosario od stolicy Argentyna, Buenos Aires, jest oddalony 400 kilometrów siedziba poselstwa i kosulatu jest Buenos Aires, w Argentynie jest przeszło Towarzystw Polskich około trzydzieście (30). Najstarsze z tych towarzystw jest „Wolna Polska", Tow. Dock Sud y Rosario, inne t-wa założone po kilku latach i powoli pracują do rozszerzania coraz więcej polskości polskiej. Te t-wa zjednoczone są w jedną Federację ze siedzibą w Buenos Aires, prezes, vice i ośmiu członków, odbywa się co roku zjazd na 25 maja mały sejmik. Każde towarzystwa mając po 50 członków mają prawo wysłać dwa delegaty na ten zjazd. Na tem zjeździe który trwa zawszy dwa dni

obrady, każdy delegat przedstawia sprawozdanie działalności przez cały rok jak równie potrzeby i w jaki sposób możliwa i lepsza organizacja jest możliwa. Będąc delegatem pięć razy na ten sejmik i w roku 1934 na tem sejmiku byłem wybrany delegatem na drugi zjazd do Warszawy, który obrady trwały w parlamencie waszawskim przez sześć dni. I przy tej sposobności zwiedzając Warszawę i cały kraj polski po 30 latach, powracając z kraju i zwiedzaniu dużo miejscowości sławnych z historji polskiej, który mnie bardzo interesowało. Po zwiedzeniu naszego portu Gdynia zainteresowałem się bardzo sprawą chłopską, naszego biednego rolnika. Jako rodem z Bucniewa koło Tarnopola bardzo mnie interesowała sprawa rolnictwa i jego traktowanie, a przeważnie naszego rolnika chłopa. Tutaj potrzeba się zastanowić bardzo dobrze, ze łzami w oczach patrzałem się na nędzę po wsiach, że to biedni ludzie nie mając soli, ani za co kupić sobie światła do oświetlenia swej komnaty. Widząc te biedy i rozpaczy w naszej dawnej Galicji i teraźniejszej Małopolski, przedstawiało mi się przed oczyma ta wielkość Argentyna, tu rolnik na polu co najmniej ma 20 hektary ziemi i są po największej części że mają 50 ht 100 ht do 300, 500, 1000, te maleńkie obywatele jak oni żyją to nie do porównania z naszemi rolnikami, przeważnie każdy ma swój auto już nie mówię że są tysiący wielkich obywateli ziemskich począwszy dwa tysięcy, są tacy co mają swoją ziemi obszarności aż do 20 tysięcy hektarów i więcej ale jest tylko ta różnica moi panowie że tego małego rolnika z 20 hektarami i który ma 500 aż do 1000 hektarów wszystkich się traktuje zarówno, tu jest taka demokracja wielka że z rolnikiem zasiada do stołu lekarz, sędzia, poseł i gubernator a senator, to jest traktowanie bez różnicy stanu. Są tu zasiewy tak ogromne łany pszenicy i lnu że patrzeć się na te pola kwitnące to zdaje się że to jest morze i oceany, co do kukurydzy to zasiewy tego ziarna to są tak znaczne, że nie jest w stanie to opisać. Będąc w kraju opowiadałem że zasiewy kukurydzy są tak wielkie że jeździć po polu w miesiącu styczniu to zdaje się że człowiek jest w lesie, kukurydza dochodzi wielkości przeszło dwa metry wysokości, w tem roku 1935 są zasiewy w Argentynie bardzo wspaniałe. Na hektar ziemi kukurydza dała 80 korcy ziarna, ale nie wszędzie w innych miejscowościach dała 40 do 30-dzieście, pszenica da 20 do 30 korcy na hektar len mniej

więcej taki sam. Robotnik polski jest dość dobrze w Argentynie szanowany i zarazem szukany przy kolejach i innych przedsiębiorstwach, ale brak naszemu rolnikowi oświaty i najwięcej śmiałości i rozwagi.

Robotnik jako rolnik jest zawszy bojaźliwy, mówię to z doświadczenia że mi dyrekcja a szefowie nieraz opowiadali że Polaco jest dobry do pracy ale nima odwagi i wymówienia się, jak Niemiec i Czech i Jugoslaw, po drugie nasze ludzi są porozrzucani prawie po całej Argentynie. Poselstwo i konsul mając swą siedzibę w stolicy Buenos Aires prawie na całą Amerykę Południową. Konsul w Buenos Aires jest nie tylko na Argentynę, ale także na Chile, Peru, Boliwia, Paraguay, Uruguaj i Escuador, inne małe państwa europejskie mają swe przedstawicielstwa, prawie po całych większych miastach vice konsul i agenci konsularne, polacy nie mamy tego, i nieraz traciły się małe majątki obywateli polskich po ich śmierci wypadkowej, dla tego że nie było komu wstawić się do urzędu tutejszech, jak również wypadkowych śmierci, kalectwa przy robotach kolejowych a przeważnie w przedsiębiorstwach prywatnych gdzie polskiego robotnika wykorzystywali na wysokim stopniu. Dziś poselstwo i konsul dużo się zajmuje w tych sprawach, ale narazie nie może wszystko załatwić tak jak powinien z powodu że niema swych reprezentantów po większych miastach. T-wa Polskie robią co możliwe w danym wypadku, w roku 1930, 31, i 32 były dla naszego robotnika bardzo trudne czasy, z powodu tego ciężkiego kryzysu jaki panował po całem świecie, tu takży odczuwa się dla naszego społeczeństwa wielka bieda, chodzili te biedny ludzi po sztrekach kolejowych gromadami i po nocach żebranina po ulicach, proszą żeby im dać co do zjedzenia, to było coś strasznego i wstydliwie patrzyć się na to, dużo wskazywano palcami pobry Polako (biedny Polak). To nieraz był wstyd patrzyć się na te gromady ludzi szukając kawałka chleba po ulicy, w roku 1933 w kwietniu pewnego dnia zawiadomiono mnie że policja złapała na stacji kolejowej 20 ludzi narodowości polskiej i wzięli do komisarjatu w głodzie nędzy, wstawiłem się za nich do inżyniera kolei czy by nie mógł dać jakiej pracy dla tych ludzi. Był zacny Anglik i za wstawieniem moim i znajomością, na drugi dzień dał zajęcie po sztrekach kolejowych, na który rozesłał ich po kilku stacjach do robót spisując pilnie ich paszporty i nazwiska

odsyłając do konsulatu wydziałowego będąc konsulem Władysław Kicki. Dziś już czasy polepszyły się i nasi ludzie pracują po wszelkich przedsiębiorstwach. Przeważnie przedsiębiorstwa niemieckie i angielskie szukają naszego robotnika. Rząd argentyński dużo się zajmuje ażeby polepszyć i dać pracy dla wszystkich, buduje się dróg kamiennych po wszelkich kierunkach, który zajmuje dużo ludzi. Do budowania dróg jest kilka przedsiębiorstw niemieckich i ci zatrudniają przeważnie robotnika polskiego. Rząd argentyński stara się polepszyć i dać pracy robotnika ale nie zapomniał takży o rolnikach bo już w roku 1936 podwyższył ceny zboża żeby zapobiec szpekulacji prywatnej postanowił ceny jednakie jak na pszenicy i kukurydzy ażeby nic nie wykorzystywano rolnika, tu widzi rząd jasno że podstawa i siła całego państwa zależy na rolniku i robotniku, podstawa fundament tak wysocy widzą rządy amerykańskie na rolniku. Rząd Polski powinien z całą siłą i powagą skierować swe oczy na rolnika, zrobić mu ulgę na podatkach i starać się więcej o wykształcenie, nie dopuścić ażeby po jarmarkach żydzi wydzierali im swe prace roczną za bezcen, tom widział swemi oczami po jarmarkach w Tarnopolu i we Lwowie i także Stanisławowie. Zauważyłem jeszcze że u nas w Polsce panuje ta głupia duma i pycha szlachecka z pogardą dla rolnika chłopa. Starajcie się podać jemu rękę śmielej i starajcie się o większe wykształcenie, to już widzi nasz Wódz Rydz-Śmigły i takży nasz premier gen. Sławoj Składkowski jak również minister rolnictwa to czytam z dzienników polskich. Przepraszając szanownego Instytutu Gospodarstwa Społecznego żem skoczył w bok mieszając się w sprawy głębokie do naszego rolnika chłopa w naszem kraju. Robię to tylko porównanie, bo widzę jasno jako fachowiec i człowiek z wielkim doświadczeniem i znającem świata i powiem głośno że podstawa jakiego bądź kraju leży na fundamencie rolniku, robotniku, rzemieślniku i do rozszerzenia przemysłu swych wyrobów to Polska musi dążyć z największymi siłami. Co do tego także potrzebny jest coraz większy kontakt z kolonją polską na wychodźstwie. Biorąc udział przeszło 15 lat czynny w społeczeństwie Polski z boleścią na sercu powiem że tu na wychodźstwie panuje od kilkunastu lat nieporozumienie i bolączki bardzo szkodliwe naszemu społeczeństwu, są takie dwa obozy, którzy nie mogą się porozumieć, Głos Polski ma swoich społeczników i sympatyków, Nie-

zależny Kurjer Polski ma swoich i biedna i bezsilna Federacja utworzona w roku 1928. Ta Federacja zjednoczona ze wszystkimi Twa Polskiemi w jedną grupę około 20 związków polskich, początkowo to zdawało się że już jest wszystko w zgodzie, w roku 1929 przybywa do Buenos Aires pan radca emigracji na Amerykę Południową. Po dużych konferencjach i sejmików do pojednania wszystkich, dążył uskutecznić zamiar dawny ale zapomniany i na który już było złożony przy poselstwie około 20 tysięcy pesów. Otóż w miesiącu grudniu w tym samym roku zwołał się wielki sejmik na obrady do kupna Domu Polskiego z siedzibą dla Federacji, po długich naradach i propozycjach postanowiono zakupić jeden pałac na ulicy San Jose 1455 za ogromną sumę $ 262.000 tysięcy pesów, do tej cudownej myśli zgłosiła się pewna szlachetna wdowa po Włochu ale z rodu polskiego, która zaofiarowała $ 100 tysięcy pesów, i spłacać interesy przez pięć lat za sumy 162 tysięcy który miała Federacja i wychodźstwo polskie spłacać, po ratach przez 5 lat. Po tych propozycjach znowu zwołane wszystkie Towarzystwa o nadesłania delegatów na ten sejmik, biorąc udział jako delegat z Rosario, po zbadaniu sprawy nabycia tego domu i jego warunkach i jako człowiek z większego doświadczenia handlowego, sprzeciwiałem się tego nabycia tej realności dla wychodźstwa polskiego, znając bardzo dobrzy naszego robotnika i całą kolonję polską. Że to jest szaleństwo nabycia tego domu za tak ogromną sumę, bo wiedząc dobrze że nasza biedna kolonja i wychodźstwo nie jest w stanie spłacać tej sumy nie tylko przez pięć lat ale takży i za 10 lat. Nie posłuchano mojego od serca narady i przestrogi i tragedia się spełniła. Nadszedł dzień poświęcenia i oddanie tego nabytego Domu Polskiego w miesiącu styczniu w roku 1932. Zaproszono wysokich władz rządowych w Buenos Aires i zrobiono z wielkim hukiem bankiety. Z rozdawaniem orderów kilku wysokim osobom poselstwu i radcy i na tem się skończyło. Wszystkim się zdawało że dzieło wielkie się spełniło i że my Polacy mamy wielki Dom Polski, Casa Polaca. Po dwóch latach nabycia tego domu zaczęły być we Federacji wielkie nieporozumienia, pan radca został odwołany z Argentyny w roku 1933 w lipcu. Zarząd Federacji który administrował sprawami tego domu doszedł do nieporozumienia z panią Rocowa dobrodziejkom i ofiarodawczynią 100 tysięcy, nie umielim robić dobrej polityki i już dom był za-

grożony do upadku. Twa na prowincji straciły zaufanie do Federacji i jej gospodarki i nieporozumienia się z panią Rocową darowczynią ze 100 tysięcy pesów, zwołano zjazd tak jak co roku się odbywał do zmiany zarządu Federacji i obrad co do Domu Polskiego to się działo w 25 maja roku 1934. Będąc delegatem z Rosario zaatakowałem silnie zły zarząd przez cały rok Federacji i jej nieporozumienie z ofiarodawczynią. Przewodniczący zjazdu był zacny i bardzo miły człowiek p. vice konsul Karol Kraczkiewicz i ja jako vice przewodniczący i drugi p. Kowalski. Po wyborze nowego zarządu i wejścia do tegoż kilka osób z pojedyńczych towarzystw zdawało się że to się polepszy. Na tem zjeździe w roku 1934, miano także wybrać dwóch delegatów do Warszawy na II zjazd Polaków z zagranicy, było sześciu kandydatów i piszący, po ścisłym głosowaniu wybrano dwóch panów większością głosów, p. S. Kowalski 21 głos, p. Prokopowicz 23 głosy, po otrzymaniu tego mandatu jako delegat na drugi zjazd do Warszawy wziąłem na siebie surowy obowiązek zbadać dokładnie sprawę nabycia tego domu dla kolonji polskiej, ale było dość trudu z powodu że naszego posła dr. W. Mazurkiewicza nie było obecnie w swoim urzędowaniu bo wyjechał w sprawach poselstwa do Warszawy. Postanowiłem udać się do pani Rocowej i mieć z nią konferencję co do sprawy tego domu, po wytłumaczeniu tej szlachetnej pani widziałem, że sprawa ma się bardzo źle i ta sama pani Rocowa mnie naradziła ażebym przedstawił Zarządowi Federacji i takży poselstwu że ona widzi to bardzo jasno, że kolonja ani Federacja nie jest w stanie te resztc sumy spłacić, ale ona ze swojej strony przyobiecała na piśmie zapłacić jeszcze 40 tysięcy pesów dla wychodźstwa i Federacji, ale ażeby się naradzili w krótkiem czasie i odstąpili z tego domu. Przedstawiłem te sprawy prezesowi Federacji i takży vice konsulowi K. Kraczkiewiczowi, że jak powróci pan minister Mazurkiewicz w miesiącu lipcu niech się zajmie tą sprawą. Wyjeżdżając do kraju 9 lipca na zjazd do Warszawy i na tem samem okręcie spotkałem się z panią Rocową, która jechała do Rio de Janeiro Brazil, ta mi odpowiedziała stanowczo, że jak przyjedzie pan poseł to niech się porozumi z nią razem z prezesem Federacji, bo ona dotrzyma mi danego słowa, która mi takży i na piśmie dała, będąc w Warszawie przedstawiłem całą sprawę naszego wychodźstwa dyrektorowi Światowego Związku Polaków

Zagranicą, Panu Lenartowiczowi. Nie wiem czy to mnie uwierzono czy nie, bo wiedziałem że były tam pewne osoby który mnie tam przeszkadzały, ażeby mnie nie uwierzono i moje krystaliczne słowa, pochodzący od serca dla dobra wychodźstwa, musze zaznaczyć jeszcze dom ten polski gościł naszego polskiego lotnika kapitana Skarżyńskiego, który był przyjęty dnia 23 czerwca 1933, i roku 1934 w miesiącu marcu był nasz prezes Światowego Związku Polaków Zagranicą i jako marszałek senatu warszawskiego, tam mu przedstawiono złoto na górach ale rzecz prawdziwą ukrywano. Po powrocie z kraju jako delegat w miesiącu 15 października i po sprawozdaniu prędkiego mego pobytu w kraju, miałem krótką konferencję z p. posłem i prezesem Federacji którzy zdawało się że wzieli te sprawy do serca i to wszystko się poprawi, powracając na prowincje i po przedstawieniu spraw naszemu towarzystwu, i innych porozsiewanych na prowincjach że z domem Polskiem i Zarządem Federacji jest źle. Nadchodzi dzień Eukarestyczny i zjazdu do Argentyny Prałatów z całego świata, i dnia 16 przybył do Buenos Aires nasz Prymus Kardenał Hlond razem z biskupem Kubiną z Częstochowy i innym duchowieństwem. Był to honor wielki ugościć tak wysokich dostojników duchowieństwa prymusa i kardynała polskiego, marszałka senatu i kapitana Skarżyńskiego, takży i towarzystwo w Rossario miało honor przyjąć naszego biskupa Kubiny, który przejechał do zwiedzenia kolonji Rosarejskiej i poświęcenia Domu Polskiego Pueble Nueve, który się pobudował w tym roku, to przyjęcie spadło na moje barki, jako prezesa honorowego tegoż towarzystwa i przewodniczącego na przyjęcie. Po trzech dniach pobytu w Rosario biskupa Kubiny, który był przyjęty w zakładzie księży Salezianów, odjechał do zwiedzenia kolonji polskiej w Santa Fe, y Cordowa i takży Micieos i Brazylji. Nadszedł miesiąc maj i zjazdu na 25 maja 1935, zwołane ponownie wszystkie towarzystwa do nadesłania delegatów na zjazd, biorąc udział ponownie jako delegat z Rosario po sprawozdaniu rocznym wybrano na przewodniczącego pana konsula Dostala w obecności pana posła Mazurkiewicza. Po wysłuchaniu sprawozdań rocznego działania Federacji rzecz się przedstawiała tragicznie dla Federacji i Domu Polskiego. Żaliłem się i atakowałem zarząd i poselstwo dlaczego nie zlikwidowano tego domu, który lada dzień wisi na licy-

tacji. Po długim zaburzeniu i dyskusji wybrano nowy zarząd z obydwóch parteji i kilku towarzystw do pojednania się i wzięcia się do pracy i ratowania realności nabytej w pocie czoła całej kolonji polskiej, po wybraniu 20 osób do skonstitowanie się legalnego zarządu, i wybranie drugiej komisji na czele pana posła ażeby się porozumieć z panią Rocową co do zlikwidowania tegoż. Po dwóch miesiącach obrad tych 12 osób do ukonstituwania się legalnego zarządu połowa zrezygnowała, i zarządu legalnego powiedzieć stanowczo nie było. Misja jaka wzięła druga komisja nie mogli dojść do porozumienia i pan poseł wyjechał w sprawach poselstwa do zwiedzenia krajów jak Chile, Peru, Boliwia, Paraguy, Ekwador i Uruguay, co to trwało przeszło sześć miesięcy, misja spadła na prezesa p. F. Marusa, który stracił zaufanie p. Rocowej i prawie całego społeczeństwa na prowincji. Po zwołaniu na zjazd roczny na miesiąc 25 maja roku 1936, Twa z prowincji nie nadesłali żadnych swech delegatów na zjazd. Zjazd odbył się w obecności tylko kilkuch towarzestw około Buenos Aires, wybrano ponownie Zarząd Federacji i na prezesa wybrano ponownie p. F. Marusa który nie mając silnego charakteru na to prezesostwo. Twa z prowincji nie mają nic łącznego z Federacją prawie nie legalna bo nie była według statutów i praw, na tem zjeździe większości Towarzystw nadeszła tragedja w miesiącu czerwcu. Pan poseł Mazurkiewicz został odwołany do Warszawy w miesiącu 30 maja odjechał do kraju 1936, Federacji zamiast zwołać wiec co do sprawy domu, który ja pisemnie pisząc dwa listy do Federacji na ręce prezesa p. Marusa, pan prezes opuścił ręce i inni pewny osoby, którzy są w tym najbardziej winny i ze swą głupią ambicją osobistą nic nie dopomogli, i tragedja się spełniła, tak jak ja to przeczuwał przed kilkoma laty. Dom Polski, ze siedzibą Federacji w Buenos Aires, na wstyd całej kolonji i wychodźstwa polskiego w Argentynie w miesiącu lipcu zlikwidowano na licytacji, ze wstydem Federacja musiała się wynosić i całe społeczeństwo polskie i wychodźstwo straciło przeszło 35 do 40 tysięcy pesów zapracowanych w pocie czoła robotnika, rzemieślnika, fachowców i wogóle całego społeczeństwa porozsiewanego po całej Argentynie. Po wyjeździe i odwołaniu naszego posła Mazurkiewicza już mija przeszło pięć miesięcy i o jego zastępcy ani słychu. Pomimo tego że się mówiło już w ro-

ku 1923 że ma być podwyższone poselstwo na ambasady w Argentynie, to opuszczenie tak wysokiego stanowiska dla nas Polaków zamieszkałech tu jest do podziwu, pomimo tego że mamy w osobie konsula Dostala, bardzo człowieka pracowitego i zdolnego który takży piastuje jako charge d'affaires a i w zastępstwie poselstwa, na który ma najlepsze zamiary, ale nie możliwe do spełnienia z kilku urzędnikami w Buenos Aires, w roku 1933 jeszcze za konsula W. Kickiego, który miał zamiar założyć Agencję Konsularną w Rosario Santa Fe i Cordowa. Ale po odwołaniu jego przybył drugi konsul K. Kraczkiewicz, ale nigdy nie wspomina o tym projekcie Kickiego. Po odwołaniu konsula Kraczkiewicza do kraju w miesiącu styczniu 1935, w tym samym miesiącu objął wydział konsularny pan Wacław Dostal, który jest obecny na tem posterunku i po odwołaniu p. W. posła Mazurkiewicza piastuje urząd takży jako charge d'affaires. W roku 1931 została założona przez inicjatywę dr. Henryka Grubera prezesa, Pocztowa Kasa Oszczędności pod nazwą P. K. O. i od samego początku pod przewodnictwem dyrektora pana Bączkowskiego i vicy dyrektora p. Juljusza Nowińskiego rozpoczął ten bank polski wielką inicjatywę transportacji pomiędzy Polską i Argentyną i muszę to przyznać to było dużo do robienia i wiele trudów i fakt był ten że eksperty z Polski przychodziły przez obce kraje i obce banki. Po wyjeździe do kraju dyrektora Bączkowskiego został na jego miejscu jako pierwszy dyrektor pan Juljusz Nowiński i zarazem jako vice prezes banku P. K. O. który wdał się do silnej pracy i to z wielkiem podziwem, zakupiono w samym centrze miasta Buenos Aires stary gmach, który po kilku miesiącach został odnowiony na cztere piętrza, który teraz się pomieszcza Bank Polski, P. K. O. i także poselstwo i konsulat polski, który było bardzo huczne poświęcenie, który na tem poświęceniu wziął udział pan vice prezydent dr. Bulie Roca ministrowie i poświęcił biskup Dovota. To był prawdziwy podziw i wielki honor dla kolonji i całego wychodźstwa polskiego ta wielka inicjatywa bo teraz śmiało możema powiedzieć że my Polacy mamy właściwą instytucję Banka Polska, która dotychczas ma bank około dwadzieścia tysięcy klijentów, emigrantów, robotników, kolonistów i drobnych kupców, których wkłady dochodzą do sumy 1.600.000 pesów, i także do podziwu że od roku 1932 był zaledwie obrót cztery mil-

jony i w roku już 1935 przykroczył wielką sumę około 24 miljony i obrót ogólny doszedł w tym roku 114 miljonów pesów, to jest prawdziwy podziw bo przed rokiem 1932 nie było całkowicie żadnej wymiany pomiędzy Polską a Argentyną, bo tylko odbywały się za pośrednictwem obcych krajów i gdzie może się poszczycić z radością bank P. K. O. i każdy obywatel polski na wychodźstwie, że teraźniejszy obrót wartości eksportu z Argentyny dochodzi do 12 miljony i wartość zaś importu mniej więcej do tej samej sumy czyli wymiana handlowa pomiędzy obydwoma krajami przekracza sumy do 24 miljonów pesów i nasza Polska importuje produkty argentyńskie zajmuje zaś ósme z rzędu miejsce jako importujący i eksportujący kraj.

Spomnę jeszcze co do stronicy 40, że w roku 1926 i 25 przybyło dużo ludzi jako imigranci i tam ich odsyłały do jakich bądź robót, byle gdzie, niektóre przedsiębiorstwa bez serca i litości, którzy korzystali z niedoświadczenia naszego rolnika i robotnika, oddawali im ziemię w prowincjach Cordoby i Boliviai, i inny miejscowości nie nadając się do roli uprawnyj i tam po wielkich trudach powracali do Buenos Aires w największej rozpaczy i nędzy do poselstwa i konsula, którzy nie mogli czasem wszystko załatwić. Dziś czasy się zmieniły, naszy obywatele powoli się dorabiają, pracują i kupują sobie domki na swoją własność, tu około Casilda gdzie ja mam swój zakład elektryczności jest kilka którzy kupili sobie rolę po 10 i 20 hektary i dobrzy im się powodzi, co do kolonji na Misiones to tam są ludzie dość zamożni, mają dużo swej własności wyrobu herwa maty i gdzie niektórzy mają swój własny młyn do mielenia tego produktu. Co do kolonizacji polskiej w Argentynie, to jest dość terenu do działania i kolonizowania polskiej narodowości, nie potrzeba robić kolonizacji w daleki strony jak Micienes, która komunikacja handlowa jest bardzo oddalona od Buenos Aires. Mamy dużo obszernej ziemi w prowincji Buenos Aires, prowicji Santa Fe, prowincji Cordowa, potrzebna tylko ażeby poselstwo i konsulat się zajął i zorganizował przedsiębiorstwo kolonizacyjne, z nadzorem ludzi dobrego i uczciwego serca, prowadzić tę sprawę z wielką rzetelnością i uczciwością dla dobra rolnika polskiego i zarazym mienia naszej odrodzonej Macierzy. Banki hipotekarne rządowy dają na wypłat wielkie obszerności ziemi na bardzo długie lata, to zna-

czy 25 do 30, spłata roczna sześcio miesięczna. Z drugiej strony potrzebna jest wielka tam gdzie jest już we wielkich okolicach założyć vice konsulata i agencje konsularne, ażeby się opiekowali naszymi obywatelami. Szukać ludzi odpowiednich i uczciwech, którzy mają znajomość po prowincjach, ludzi starszych z nabytem i wielkim doświadczeniem i takży ze znajomością krajowem i politycznem, nie rozchodzi się tu tylko ażeby przysłać z Polski urzędnika młodziutkiego i niedoświadczonego i nie znając języka krajowego, i z wielką dumą i ambicją traktując robotnika i rolnika w białech rękawiczkach i czasem z pogardą. Chodzi tu ażeby utworzeć vicy konsulaty z ludzi starszych z doświadczeniem znających dobrzy sytuację krajową i którzy sami zamieszkali po 20 do 30 lat to obywatele mogą zrobić dużo na tem posterunku dla wychodźstwa i kolonizacji rolnika polskiego. Jako zamieszkały w Argentynie przeszło trzydzieści pary lat i jako fachowiec mechaniczny i elektryczny, mając żonę z rodziny szwajcarsko-francuska, ale urodzona już w Argentynie, mając z nią starszego syna lat 26 i córki Marja Teresa lat 22, nauczycielka normalna która jest na posadzie z pensja $ 150 pensów miesięcznie, i druga córka Lea Asencien lat 20, także nauczycielka normalna i zarazym nauczycielka fortepianu, ale narazie bez posady. Syn mój pracuje koło mnie po skończonej nauce handlowej, także mam koło mnie trzech siostrzeńców których sprowadzieł z kraju i po nauce elektrycznej pracują w mem domu zarabiając teraz miesięcznie $ 100 i 120 pesów. Widząc że mi potrzebne jest obywatelstwo krajowe i mając dobrą znajomość z posłem Mazurkiewiczem radziełem się go czy mogę wziąć obywatelstwo argentyńskie, i na moje zapytanie przeciwnie radzieł mnie ażebym wziął to obywatelstwo potrzebne mnie w mem zawodzie. I tak już w roku 1929 wziąłem obywatelstwo argentyńskie, bez żadnych trudności bo mając duże znajomości we sferach politycznych w których biorę zawszy czynny udział, po trzech miesiącach otrzymałem obywatelstwo argentyńskie. Ale nie zapominając o polskości bo jak opisywałem że byłem prezesem od roku 1929 i ponownie wybierany aż do roku 1934, rezygnując w tem roku i za me pracy i uznania, webrany w tem samem roku prezesem honorowem i zarazem w tym samem roku w maju wybrany delegatem do Warszawy na drugi zjazd, mając często koresponden-

cje ze Światowego Związku Polaków Zagranicy. Co do powrotu na zawsze do kraju to prawie nie jest możliwy, mając moją rodzinę całą w tym kraju, ale moje myśli, moje czyny, moje nadzieje są zawsze dla Polski. I nieraz marzę w nocy w jaki sposób można coraz dopomóc naszemu rolnikowi i wydrzeć go z tej rozpaczy, który widziałem będąc w kraju w roku 1934 w miesiącu wrześniu, widziałem tę ciężką niedolę biednego chłopa rolnika że ten obraz zawsze mi stoi przed oczyma i zdaje mi się nieraz że z tem mojem doświadczeniem i znajomością po innych krajach można coś zrobić wielkiego, pierwsze kroki nie dopuścić ażeby rolnicy byli wyzyskiwani przez przedsiębiorstwa żydowskie bez serca, zakładając wielkie kooperatywy i szpichlerzy, ażeby tam rolnik wprost oddawał swój towar za ceny stałe który rząd ustawi i z ścisłą kontrolą, nie dopuścić ażeby po jarmarkach wydzierać im towary w pocie czoła zbierane po polu i te kupcy robiąc wielkie majątki. Starajcie się wszystkimi siłami o połączenie od wsi do wsi i miasta, dobre drogi kamienne, bo takie a i szybkie połączenie jest wielka ulga dla transportu rolnika jak zarazem i kupca, nauczcie ich do zmiany ziarna, zasiewu rocznego, bo ziarno zawszy to samo nie da dobrego urodzaju, dać im nagrody który produkuje lepsze gatunki ziarna. Pszenica, żyto i kukurydza a przeważnie kartofle. Tu w Argentynie są tacy rolnicy że mają po 20 aż do 40 wielkich orderów złotych jako nagrody na wystawie za swój wyrób na polu. Te wystawy rolnistwa to odbywają się co rocznie w Buenos Aires i w Rosario w lipcu i sierpniu i proszy mi wierzyć że podstawa kraju to jest rolnik, chłop, robotnik i rzemieślnik, i handel uczciwej produkcji i eksportacji dobrech towarów do obcych krajów i tem surowem ojcowskim prowadzeniem rządowem bądźcie pewni że komunizm i anarchizm i ukrainizmo się zniszczy, tylko tym sposobem bo lud biedny wie że ma dobry i uczciwy rząd który tylko myśli o dobrobyt krajowy. Kończąc moje pisanie me myśli są były i będą, zawżdy na dobroć kolonji polskiej i dla dobra naszego kraju i tej drogiej Macierzy, którą nam zostawił nasz drogi Wódz Marszałek Józef Piłsudski i rządzi dzielny Prezydent Mościcki.

Spodziewam się że to moje pisanie życiowe da dobry owoc dla drugich imigrantów, którzy opuszczając kraj polski jadąc do Argentyny, już będą mieli w pamięci to że kraj Ameryki Połud-

niowej, a przeważnie Argentyna może z całą swobodą umieścić 100 miljonową ludność na tej wielkiej obszerności i cudnej ziemi argentyńskiej bo dziś zaledwie jest 12 miljony ludności, proszy sobie wyobrazić wielkości tego kraju że są 14 prowincji i tylko sama prowincja Buenos Aires ma większą obszerność ziemi aniżeli kraj Italji (Włochy). Kończąc mój opis i zarazem przepraszam szanownego Instytutu Gospodarstwa Społecznego, że jeżeli jakieś słowa nie są do zrozumienia a źle napisane to proszy mnie to przebaczyć i wziąć to na sumienie że jestem trzedzieście cztyre lat w Argentynie, przyjeżdżając w 19 wieku młodzieńcem, kreślę się z szacunkiem i zarazym prosiłbym jeżeli ten opis życiowy wyjdzie z druku przysłanie mnie do Casilda Argentyna.

Dn. 21 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 5

Robotnik z prowincji Buenos Aires, pochodzący z Tarnowa, ur. w 1883 r.

Pisze do was te pare słów com wyczytał w kurjerze Polskim w Argentynie i ośmielam się do was opisać moje przejście ja urodzony w Tarnowie dolny urodzony w roku 1883 i chodziłem do szkoły Polskie do roku 1893 a późni pracowałem w niemcach jeden rok pracowałem powiat Ratibor jeden rok, drugi rok powiat Guben trzeci rok powiat Grottkau czwarty rok powiat Opel pionty rok Frankwort n/O tam żem pracował sześć lat tom pracował na dworach i powodziło mi się dobrze i zarabiałem tyż dobrze, w szóstem roku pracowałem w cegielni powiat Glatz trzy lata a późni pracowałem na Pomorzu we dworze powiat Gniew a późni pojechałem do Polski do ojca i stajałem do Asenteronku powiat Wadowice bo ja musiał pracować bo mój ojciec miał jedne nogę swoją a drugą miał z drzewa i nie byłem pobrany do wojska Austryjackiego i pojechałem do Hamburgu i pracowałem przy nasypie streki i kopali kanał to ja tam pracował trzy lata a późni z Hamburgu pojechał do Kila i tam żem pracował Kaiser Wilhelm Kanal i tam mię rozbolały oczy i byłem w spitalu w Kilu 24 tygodnie i zostałem wylecony i wróciłem nazad do Hamburga i pracowałem i robiłem staw i pracowałem pół roku i przysło awizo że wojna i przyjechałem do ojca ale ojca żem już nie zastał tylko Matkę. W roku 1914 ożyniłem się w Zembrzycach i to imię mojej żony Józefa pochodzi z famielije Ficków i byłem przy wojsku Austrjackim rok to ja mam w Zembrzycach 1 i ½ morgi grontu i dom ja i żona, i ja pracował w domu

i poza domem. Pracowałem na gościńcu i koło mostów a jak był czas żniw kosiłem gospodarzom żyto pszenicę jecmień owies i trawę. Ale to był mały zarobek ja chciał dużo zarobić i pojechałem do Argentyny to piniondze na rajzę do Argentyny to się żona postarała to ja o tem nie wiem czy ona miała swoje czy się pożyczyła, to ja tego też nie wiem. I przyjechałem do Buenos Aires w roku 1926 1 listopada i pojechałem z emigracją ku Bahii Blance i pracowałem na strece i miałem na 8 godzin 2.80 ct. a za życie płacił jednego pesa to się dostało ze dnia 1 pes 80 ct., przerobiłem 6 miesięcy i pojechałem rwać kukurydzę ale po piersze raz to każdy mówi gringo mierda polako to się wcale nic nie zarobił to co zarobił to musiał kupić koszule spodnie koce bo w marcu jest trochę zimno w Argentynie. A przyjechałem od kukurydzy tom dostał roboty Buenos Aires F. C. P. i robiłem jako niemiec bo polaka niemcy nie chcieli koło tunela i tam żem został ranny w nogę, chodziłem na siguro jeden miesiąc i com miał parę centów to się rozesło bo czeba było zapłacić izbę i kupić łużko i życie to co zarobił to się rozesło i po wygojeniu poszed znowu do te same roboty. Przerobiłem dwa miesiące to żem zaś został okalecony na drugą nogę i zaś byłem na sigurze dwa miesiące i to tak co zarobił to przez chorobę przepuścił a po hiśpańsku nie rozumiałem wcale nic tylko po polsku i po niemiecku to ja jak co poczeba było mówić to wnet przysed niemiec tłomac i o co się rozchodziło to wypełnił i po wyleczeniu znowu pojechałem do Bahije Blanka bo tam budowali lewadory na pszenice i czekałem na tę robotę dwa miesiące. Com miał parę pesy to się rozesły i tak zawsze com zarobił to jeżeli dostał drugo robotę to te pieniondze co były zarobione to się zaś rozesły i o co jak się komu poskarżył to każdy mówi to Amerika. W roku 1929 pojechałem na streke do prowincje San Luis F. C. P. skwadrila wolnte, tak się nazywa ta robota, robota kompanijna i zarabiałem na osiem godzin 3 pesy 50 ale z tego gotowałem sam sobie jeść to mi się rozesło dziennie 1 p. 50 ct., pracowałem siedem miesięcy i zarobiłem 300 pesy i pracowali ukraincy i namówili mie ażebym jechał na kukuredze rwać i 200 pesy wysłał poctom do Buenos Aires do Banku Boston a sto pesy miałem przy sobie i jechałem pociągiem trzecią klasom z prowincje San Luis aż do Santa Fe Prowincji i pła-

ciłem bielet 40 pes tom jechał dwa dni i jedne noc i przyjechałem do miasta Alkorta i tam czekało robotników 700 i 60 na kukuryce. I jak my już wysiedli z pociągu to my pośli ku magazynowi to był skład zboża i jak nas zobaczyła policja to nas tak rozegnała jak lis kury i to nas było 14 chłopów to było 13 ukraińców a ja sam jeden Polak i pośliśmy trzy kilometry za miasto i tam był most i woda i tam był nas dom pod gołem niebem, trzy tygodnie czekaliśmy na robotę tom bilet zapłacił 40 pes i na życie poszło 10 pes, za 10 pes kupił maletę worek skurzany co się do niego rwie kukurydza i późni ten worek czeba przymocować w pasie przed sobom i puścić go między nogi i tak go czeba ciągnąć po ziemi a jak już pełno to się sypie do worka gospodarzowego to jeśli żem robotę dostał to i piniędzy nie było tom jeszcze trzy dni pracował za wicht i przerobiłem jeden miesiąc i zrobili sztrajk i to my się porozchodzili to mi się rozesło 100 pesy i nie pracowałem miesiąc i za jeden miesiąc zarobiłem 60 pes przy rwaniu kukurydzy i tak nazad my się wrócili do Alkonty i przyszliśmy do jednego Jugosłowaka i łon nam znalaz prace i pojechaliśmy trzy chłopów i rwałem kukurydzę trzy miesiące u Jugosłowaka dawał jeść i 50 ct. od worka i zarobiłem 250 pes tom zaś przyjechał do Buenos Aires i kupiłem ubranie spodnie koszule trzy pary kalisonów trzy pary czewiki i pobył trzy dni w Buenosie i piniądze się rozesły i to taki zarobek w Ameryce del Sud. Kina i tijatru to ja tego nienawidze bo to są hudzi grose ani niejakich barów bo ja muszę ciężko na ty pesy pracować. W roku 1929 pojechałem na wyspę Paranaguasu i pracowałem u jednego niemca w lesie wierzbowem i topolowem i płacił mi miesięcznie 35 pesy i życie to była robota, po pas czeba było chodzić po wodzie i ścinać wierzby tom pracował 10 miesięcy za pieniądze a trzy miesiące za życie to mie jeszcze do tego nie wypłacił wszystkiego bo zostało u niego 50 pes. Ten niemiec się pisał Emilio Hoppe Kinta Los Maturales Wapor Oliwera Parana Guazu. A w roku 1930 pojechałem do hodowli kur stacja Florenco Warela Estancia Marja Luisa, tom dawał kurom jeść i wode i czyścił kurniki i bielił w każdy dzień i święta i niedziele bo w Argentynie taki zakon że w niedziele się pracuje do południa i święta a po południu to poczeba wyprać koszule i połatać portki to tylko w nocy jest trochę odpoczynek i zarobiłem miesięcz-

nie 30 pesy i życie a rozchodu było miesięcznie koło osiem pes. Pracowałem osiem miesięcy i rzuciłem te kury i poszedem na Agencjo i zapłacił 4 pesy i dostawałem robotę F. C. C. C. Ingiriero Matwitz do hodowli kaczek 30 pes i życie, rano poczeba wstać o 4 godzinie i futrować kacki i pucować stawki co się kąpają. To jak się pracuje do jedenaste na południe i obiad zupa z makaronem i drugie mieso ziemniaki bania gotowana i chleb ale nie taki jak u was Warszawie tylko okrągły i mały a twardy jak kamień ale się chce jeść to smakuje i po obiedzie zaraz do roboty zakrywać te dziury co porobiły kacki do 4 godziny po południu, o 4 po południu mata i gazeta to jest chleb a po macie jest nas trzech robotników i jeden robi futer to otręby pszenicne i kukurydzne i ryzowe to miesza łopatom a my dwaj nosimy we wiadrach to jest 14 tysięcy kaczek to jest robota ciężka i to czeba nie chodzić po mału ale drap trzy godziny a po odfutrowaniu to pucować stawki co się kąpią kaczki po pas do wody i myć szczotkami i wypuścić wodę a napuścić świeże to ta robota trwała cztery godziny i to boso a nie w butach za 30 pesy miesięcznie a spanie gorsze jak u was mają psy bo na dole są kacki a na wierchu nad kaczkami mieszkanie a na goły podłodze i światło się świeci całą noc i smród i do tego kumary i kaczki też do siebie mówią całą noc i to jeżeli trochę zasnon a tu woła ołw to nas było trzech chłopów jeden niemiec jeden rusin i ja jeden polak a późni pojechałem do kur i świń Fero Caril Pacifiko miejscowość Korlines, 40 pes na miesiąc i życie było dobre tom tam karmił kury i świnie to kur było 7 tysięcy a świń 150 to tam była robota dobra i letka. I w każdy tydzień to się czyściło kurniki i ten chodnik co się po nim chodziło i ja czyścił a był za zarzącego Jugosłowieniec i te śmieci kład na taczki i woziłem do dołu a w dole się to paliło i ja mówię temu przełożonemu Estafan ja te śmieci tam sypał nie byndę bo jest wielki wiatr, to się spali kampa to jest gospodarstwo a łon mi odpowiedział dwa razy nie byndziesz dzielał jedne roboty, to ja sypał i paliło się bardzo bo był wielki wiatr i doszed do mnie Pan i mówi Hoze weź kosę i skoś te kawałki koło mojego domu bo jutro przyjadą goście a tu taki nieporządek. To ja wziął kose i zaczołem ostrzyć a tu pan idzie i mówi mi Hose aj ustede trawacho uste aj uno bolsa surwa mała fogo i ja spojrzał i pali się i wziąłem worek

mokry co mi go dał ten pan i poszedem gasić. A tu gorąc słońce grzeje bardzo mocno i wiatr gorący i ogień i dym a ja pad na ziemię od gorąca i od dymu a tu się naokoło mię pali i tam było bydła na tem paświsku koło 6 tysięcy bydła, to się zjechali ci gospodarze co były ich krowy i mię znaleźli to przynieśli worki i wodę i te worki nakładli mi na piersi i na głowę i zlali wodom i szukali tego mojego pana i przyjechał autem i zabrał mię i dał mi późni w domu ten pan pół litra koniaku i przysedem do siebie bo argentyniec jest dobry na polaków. I jak byłem zdrowy tom sam stamtąd odjechałem a w roku 1931 pojechałem kanał Santa Rosa na wyspie 50 pes i buda z gliny i pokryta trochę trawom to jak był deszcz to taki był mokry w budzie jak i na dworu to z tych 50 pes czeba sobie kupić życie na miesiąc to przewiktował 35 miesięcnie i zostało się 15 pesy. A robota po kolana we wodzie to nas tam pracowało dwóch polaków i musiałem tam pracować bo inne roboty dla mnie nie było i pracowałem tam trzy miesiące przez przeskody. Na czwarty miesiąc kosiliśmy sit był wysoki dwa metry i gruby jak palec i kosiłem koło rowu i nogi się mi pośliźły i spadem obiema nogami w rów po pas w błoto, wbiłem w oko sit ale nato szczęście że ten sit był słomany to tylko żem go potuk bo jak by był cały to by już oka nie było i ten gospodarz był grek i mówi żebym przyłożył mięso bydlęce ja to zrobił i oko spuchło i drugie tyż rozbolało i o mało wnet byłbym ślepem żebym był słuchał gospodarza i poszedem na stację Skorbar F. C. Central Cordoba zapłaciłem bilet 1.80 do Buenos Aires i szukałem w Buenosie spitala ocznego i to bardzo źle jak to człowiek nie umie po hiszpańsku bom zapytać się potrafił, jak się spytał dzie spital to mi odpodzieł ten człowiek dzio no se i poszed do policji i zapytam się policjanta a łon tak samo mówi dzio no se i ja poszed do polskiego patronatu a łoni mówią że na oczy spitala niema tylko czeba szukać doktora co leczy oczy to taka była dorada i odpowieć a tu oczy bolą i spuchły i nie było można ani patrzeć. I z tego poszedem do resteurantu Jugosławkiego i ten resterat mi mówi że jest spital na San Hłan nomero atomobusu 36 ale jak to ałto zaczymać jak nie widzę nomeru i tak stoję jak słup i nic nie widzę tak dochodzi człowiek i mówi kie pasa a ja mu odpowiadam dolor mijo ocho, choć ja cie zaprowadzę na ałtomobus i łon cię zawiezie

do śpitala i łon tyn robotnik to był talijan i przysed zemnom do ałta i powiedział głardzie tego człowieka masz zawieś na San Hłan pod nomero 202 i ja mu podziękowałem i pojechałem i zaraz przysło trzech doktorów i mówią kie pasa com zrozumiał tom odpowiedział a co nie zrozumiałem tom odpowiedział no kompryndy nie rozumiem i chodziłem do tego spitala miesiąc, spitala żem nie płacił bom chodził na wizyte tylko nomer żem musiał wykupić tom płacił 20 ct. i ałto 20 ct. i com miał 60 pes w Banku Holenderskim to mi mało co z tego dostało wszystko się rozesło i po wygojeniu oczów pojechałem nazad do tego samego gospodarza com robił a łon mi mówi że mi nie może teraz płacić 50 miesięcnie bo mie oczy bolą tylko 40 pes i ja posieł gdzieindzie do roboty ale 25 pes miesięcnie i wicht tom pracował w lesie wierzbowem, robota ciężka bo czeba było dźwigać budulce po wodzie czeba było chodzić i to drzewo wynosić ku rowowi i późni ładować na łódź i wozić na skład tom tam pracował trzy miesiące i późni poszukałem inne robotę do hodowli królików to się zwał ten Stacion Berazategi F. C. Sud, tom się zgodził 20 pes miesiecnie i ile królików sprzeda to z każdego królika 25 ct, życie było dobre tak jak w hotelu i izba porzonna i elektryka się świeciła i czeba było wstać rano przed wschodem słońca i wszystkie te budki wypucować i późni dać trawę dla nich do jedzenia i wodę potem śniadanie po śniadaniu kopać trawę motykom i wyczepać z gliny to jak ja przyszed do roboty do tego gospodarza to miał 35 królików, pracowałem cztery miesionce to za cztery miesionce mi zapłacił 80 pes i za mój pobyt u niego com pracował te cztery miesionce to miał królików 1000, 700 i jednego królika przedawał za 1 pesa i mnie 25 centów nie płacił i ja odszed i zaś znalaz robote na strece eletrycny w roku 1936 Estacijon Kawazito F Caril Oeste 3 pesy na łosiem godzin. Ale czeba było płacić za wicht 1 p. 20 ct. dziennie a spanie pod celtom na goły ziemi tom pracował trzy dni i popaliła mi eletrika jeden palec u prawe ręki a drugi palec u drugie ręki to tak było kopaliśmy rów pomiędzy dwoma torami a pociągi chodziły co pięć minut jeden i była deska nad szynom eletrycnom a ja nie wiedział bo tego nikt nic nie mówił że tam są takie przeklęte sidła na każdego bo do roboty rano ja po ty samy desce szed i nic mi nie było a ja stał w rowie 1 metr głęboko i trochę

było błoto i ręce były mokre i ja jak przechodził pociąg tom się spar rękami na deskę i zaraz mi pociogło palce na tę szynę i czonsło mnom tak żeby mię fybra cząsła to ja tylko tela miał siły zawołał oł i wiency nie miał siły to jeden ukrainiec położył deskę pod ręce i eletrika mię puściła to tylko jedne sekundy brakowało to by mię było zabiło i jeden z robotników wzion mie pod pachę i poprowadził ku policjantowi a polikier mię zawiód do spitala i palce owinyli i bełem na policji, policja spisała protokuł i na drugi dzień poszedem piechty koło 60 kłader sześć tysięcy i sześćset tom tam i nazad żem chodził do kasy chorych do doktora a na drugi tydzień tom ani nie chodził ani nie mógł siedzieć ani leżeć za przeproszeniem anim się nie mógł wyszczać i przysło ałto ze spitala i zabrało mię i kazali w spitalu że się mam iść kąpać a ja się ani ni mogę podnieść, tom na rękach i na nogach szed a krzyczałem od bólu i po kąpieli żem się ni mógł ruszyć, ja mówię że ja się nie mogę ruszyć tom wszystkie gwiazdy widział na niebie choć była 9 godzina rano, tom leżał 11 dni i późni żem jeździł do kasy chorych do doktora i byłem miesiąc na sigurze i dostałem wypisany że mam iść do roboty a tu brakowało dwóch skórek na palec i robiłem jeszcze trzy dni i wypłacił że nie potrafie robić bom nie mógł nic chwycić bo bolały i lała się krew z końca palca i teraz pracuję Isla Carapachay, mam 35 miesiecnie i życie dobre i spanie dobre i robota tyż nieciężka a od września 45 ale zawsze rozchodu jest 10 pesy i gospodarz Hispańczyk, to jest wyspa to ja kose trawę w ogrodzie i czyści się rowy. To ja piniedzy nie mam 1 pesa w banku Polskim i pracuje. Gdzie ja teraz pracuję jest bardzo klimat gorący to jak kupię koszulę za 3 pesy to tylko jeden miesiąc można w ni chodzić i spęka na plecach i załatam tylko dwa dni w ni pracuje to skoda czasu i nici to przez siedem miesięcy bardzo wielkie gorąco to są miesionce od października aże do marca i te przeklęte owady te dokuczają więcy jak gorąco to są wielkie kumary i te człowiekowi wypiją krew a drugie jeszcze gorsze co się nazywają wicikomadores to te wcale nie widać to taka mała i wlezie za skóre i tam pali jak ogień to tak cztery dni że ni można i spać w nocy.

Zakończam swoje pisanie późni opiszę ostatek bo ja wcale nie mam czasu pisać listu, bo pracuję od nocy do nocy a w nie-

dziele do południa a po południu prawie koszule wyprać i wiecór, to taka kochana America.

* * *

Piszę do was te parę słów o mojem powodzeniu w Argentynie, w roku 1936 to było 14 marca kosiłem trawę wielką dwa metry wysoka i jednem cięciem kosy uderzyła mię trawa w oko i za jakie pieć minut ukonsiły mię dwie osy w oko i na drugi dzień oczy zapuchły i musiałem jechać do doktora i doktór oko wyleczył i ja musiałem zapłacić i to taka jest Amerika choć się zarobi to 35 pes. miesięcnie to jak się trafi jakie niebezpieczeństwo to te piniondze idą na lekarza i na medecyny i na życie i na spanie i choć co włoży do banku to musi wyciognoć nazad a tu żona pisze po piniondze a tu piniendzy już nie ma i tak się mi już trafiło co ani piniendzy ani i roboty niema i to nicht nie chce ani pożyczyć jest i polski patronat to łon z prawdziwem Polakiem mówił nie bendzie tylko jakiem ukraincem albo jaki przydzie mówi daj robotu wołyńczykowi to łon zaraz dostanie ale polak to może zdechnoć od biedy to go ani nikt nie żałuje i go nie poratuje. Bo są tacy w Argentynie co zarobią dobrze i są tacy co tylko zarobi dla siebie a dla rodziny nic, bo młody chopak to ten ma miesięcnie 60 pes i życie i spanie i pracuje 10 godzin ale stary to dostanie 35 i życie i spanie i pracuje od słońca do słońca czy dzień mały czy dzień wielki to niema różnicy. To było w roku 35 to ich było przez roboty cztery tysionce to mieszkali w nowem porcie to im dawał rząd jeść, na rok 36 wszystko wygnali to tak jedni pracują a drudzy leżą po pod mosty i około sztreki i porobili budy z trawy to drudzy z blachy i tak śpiom i chodzą po żebraniu i panowie dawają odzienia i piniondze i chleb mięso, to tylko tyle szczęście co nima śniegu boby wszyscy pomarzli to tak wiara żyje gorzy w Europie cygany. A ja pracuję na wyspie to się zwie to miejsce Isla Carapachay to ja pisałem do was szanowni Panowie dwa listy a teraz piszę czeci i ja pracuję u gospodarza Hiśpańczyka ja tylko sam jeden Polak i czytam gazetę kuryer polski w Argentynie i mam biblio to cała moja rozrywka bo inaczej tobym zgupiał.

* * *

Pisze do was jeszcze parę słów którem sobie przypomniał moją tułackę w Argentynie to było w roku 1934 przyjechałem do Buenos Aires i poszedem szukać roboty i z retira wziołem tranwije Nr. 29 i pojechałem za 10 ct na Wizia nedę i tam poszedem na oficenę i kupiłem robote za 5 pesy na islę Santa Rosa i to płaci 50 pesy na miesiąc i dom do mieszkania a życie czeba sobie kupić samemu z tych piendziesięciu pesów. Przyjechałem nazad na retiro i zapłaciłem bielet do Skobar i zato szczęście że nas było dwóch ja był jeden a drugi był ze Zawoja powiat Myślenice było mu imię Roman a jak się pisał tom już zapomniał i przyjechaliśmy do Skobar kolejom i czeba było iść pieszo trzy mile a była 4 godzina na popołudniu i dzień mały to ten gospodarz miał konia siadł i jechał a my piechtom musieli iść za nim i każdy swoje gospodarstwo musiał nieść na swoich plecach a błoto po pas i widzieli nas chłopi argenczyki i nam mówili gdzie wy idziecie w nocy tam gdzie wy idziecie jest wielka woda ale ten gospodarz mówił że to nieprawda co łoni mówią bo tam są cztery rówki płytkie a tu się zrobiło ciemno i nic nie widać ani gdzie droga ani gdzie gospodarz i do tego zachmurane i tak wołamy za nim Patron adondy uste a łon odpowiada weni para kamino dio aki i późni mówi do nas że już nie jest daleko a teraz pójdziemy przez te rowy a tu ciemno jak w piwnicy to zato szczęście że ja miał czewiki na nogach i to błoto jeszcze się lało za cholewki ale mój kolega miał półczewiki to łon szed więncy boso i to wszystko nic ale teraz idziemy do wody a ten na tem koniu ucieka przed nami bo miał strach z nas bo my bardzo kleni toboły my mieli ciężkie a tu idziemy i naraz buł po pas do wody i do mułu i sit trawa wodna wielka i ciemno i zimno to my tak zmarzli w ty wodzie co jeden do drugiego nie mógł mówić i to my się czymali za ręce tak jak to te małe dzieci co idzą parami i czymają się za ręce i wołamy na niego patron odonty usty a łon odpowiada dzio aki a my mu mówimy gdzie jest droga a łon odpowiada po hiszpańsku kamino derecio para palo telefoniko. A tu ciemno ani słupa telefonicznego nie widać a woda bardzo zimna i już pali w golenie jak żeby na ogniu piek i to

tak całą godzinę my oba maszerowali po wodzie i po mule a patron uciekał na swojem koniu, to już upłynyło dwa lata od te moje raise i jak sobie przypomnię to mi się aż niedobrze robi i jak my już prześli to bagno i przyśliśmy ku kanałowi szeroki 10 metrów a głęboki sześć to ten gospodarz tu jest mój dom i konia odsiadłał i przez ten kanał jest ława na linie i my po ty ławie prześli na drugą stronę a ten koń wlaz w ten kanał i przepłynon na drugą stronę. I my mu mówimy otwórz bramę bo nam bardzo zimno a łon mówi poczekajcie na chwilę aż konia osiodłam i jak już swoje zrobił wtedy siad na konia i pojechał o jakie 10 metrów przed nas i mówi ten dom nie jest mój jeszcze mamy iść trzy kilometry a tu ciemno jak we worku i tak idzie przed nami i mówi aki kamino derecio no aj agła i tak my śli pomiędzy topole i wierzby i drzewo owocowe ale to w nocy i pierwszy raz to o pniaka uderzy nogą to zaś kawałek ujdzie to zaś głowom uderzy o konar wierzbowy i w nocy to biednemu podróżnemu wszystko zawadza jak kto idzie pierwszy raz tom drogom i w nocy i jak my już przyśli do tego ogrodu i wprowadził nas do domu. Ale to dom że w Europie mają owcarze piekniejsze szopy na owce jak w Argentynie gospodarz to ten dom z gliny a dach trawom pokryty, jak jest pogoda to i w domu sucho a jak deszcz to i w domu mokro i woda się leje po podłodze i tu robotnik. I pierszo noc spałem na goły ziemi a na drugą noc przyniosłem trawy ale to nie taka trawa jak w Polsce bo w Argentynie trawa ostra jak brzytew bo kto nie wie że ta trawa rznie to porznie ręce aż do kości i bardzo boli to co pokalecone od te trawy bo kto wie że ta trawa tak rznie to ma ze sobom worek i przyścieli i śpi jak w fotelu a kto nie wie i ułoży się na ty trawie to rano wstaje cały skrwawiony to tak wyglonda żeby kto nożem pożnon, to tam na ty iśli pracowałem trzy miesiące, dali pracować się nie opłaciło bo nas sam wicht kosztował miesiecnie 35 pesy to się zostało 15 pesy z miesionca to zarobek w Americe i rano wcas tylko się zorza robiła to już śniadanie musieli zjeść i do roboty a o dwunasty południe pół godziny i robić do ciemna. A w nocy czeba było gotować jeść na cały dzień kawę my gotowali obiad my przygrzewali a kolacja była o 10 godzinie wieczór. A jakie my to życie mieli to tego opisywał nie byndę bo aż wstyd o takim wichcie pisać to ten gospodarz był

grek. A teraz pracuję dziewięć miesięcy na isli Karapachay i teraz przez zimę mam 35 pesy miesięcnie i pracuje sam, nicht nie przydzie ku robocie i nie stoi nicht nademnom bo ja pracuje zawsze jednako, życie mam dobre i mieszkam jak człowiek, w domu mam łóżko mam krzesło i stół co na nim piszę listy tylko mi trochę niekiedy się cnie bom tylko sam jeden Polak, ale mi teraz trochę lepi bo się już rozmówię z tem Patronem i z jego famielijom. Patron to się zwie gospodarz. A teraz pracuję kosom opatom i kopackom, te trzy rzecy zawsze muszę nosić ze sobom, kosom okosę dokoła trawę gdzie ma być szczep sadzony, a opatom zryć ziemię i zrobić kopiec z gliny, a kopackom ten kopiec ziemię rozkopać i korzenie z te ziemię wybrać i kopiec nazad usuć. A jak deszcz to młocę kukurydzę. Więcy nie opisuję bo jak bym chciał wszystkom tę moją biedę amerykańsko opisać to najmni miesiąc bym musiał pisać.

Dn. 16 czerwca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 6

Rolnik w Paranie, syn gospodarza wiejskiego z województwa białostockiego, ur. w 1874 r.

Do czego moje serce tęskniło i czego żądało tego i doczekało się, chciałem już dawno podzielić się swoim nieszczęśliwym losem który spotkał mnie tu z rodziną na obczyźnie w tym dzikim kraju, a także opisać podróż do Brazylji i życie nasze na obczyźnie. Nareście spełniło się moje żądanie bo znaleźli się dobrej woli ludzie co jeszcze mają iskierkę pamięci o swoich rodakach żyjących zagranicą. Jestem bardzo kontent z tej okazji i z chęcio opisze bo chce przestrzedz swoich rodaków aby uwierzyli memu opowiadaniu i nie jechali do tego dzikiego kraju na takie katorżne pracy na szyderstwa i poniewierkę od dzikusów i na te słońce które na każdym kroku zabić chce człowieka krajowego. A dopiero Szan. państwo chciałbym jakokolwiek opisać opowieść swoją zaczynając ją od lat dziecinnych. Od najmłodszych lat dzieciństwa hodowany byłem przy rodzicach którzy mieszkali na wsi, posiadali swoje własne gospodarstwo, pracowali na nim na utrzymanie rodziny. Kiedy dorosłem lat większych chodziłem do szkoły rosyjskiej bo polskie szkoły w naszej miejscowości były wzbronione i prześladowane od rosjana, po polsku czytać i pisać nauczyłem się w domu przy rodzicach. W latach dorosłych byłem powołany do wojska rosyjskiego w 1895 roku. Wróciwszy z wojska pare lat żyłem przy bracie bo rodzice pomarli, nie podobało się dla mnie żyć przy bracie, ożeniłem się z dziewuchą polską i pracowaliśmy dla siebie. Szlub brałem w kościele katolickim w 1902 roku w Krypnie Kościelnym. Przed wyjazdem za granicę nie chodziłem na żadne za-

robki pracowaliśmy na swojej własnej gospodarce którą miałem po ojcu. Do wyjazdu za granice skłoniły nas namowy i listy sonsiadów którzy są od kilku lat w Brazylji w Espiryto i w Paranie, oni często pisali do swoich krewnych i sonsiadów że dla nich jest bardzo dobrze. Dowiedziałem się ja o tych listach, więc mnie to bardzo zainteresowało i postanowiłem dowiedzieć się czy to jest rzeczywiście tak, pojechałem do nich aby przeczytać te listy, przeczytałem jeden drugi bardzo dobrze piszo, ziemi jest bardzo dużo, tania jest do wyboru, roboty na polu mało bo zawsze jest ciepło, zima nie dokucza. I wzieła mnie chęć pojechać pomyślałem sobie tak, rodzine mam liczną, a tem bardziej synów porosno to nie będo mieli czem podzielić się i na czem gospodarzyć, bo w kraju ziemi miałem bardzo mało. Poradziłem się z żono jak mamy tu postąpić jechać czy nie, no i stanęło na tem że pojedziemy. Gdy dowiedzieli się sonsiady że my mamy jechać do Brazylji zaczeli nam to ganić, a tem bardziej Proboszcz nasz i kierownik naszej szkoły w Krypnie. Powiadają to jest nieprawda co oni piszą tam jest życie bardzo ciężkie, człowiek musi pracować ciężej konia i jest bardzo gorąco a tem bardziej w Espiryto jak w piekle, roboty bardzo dużo bo cały okrągły rok trzeba być na polu przy pracy, a ta praca daje marne plony bo dużo psują plonów rozmaite pasożyty, a najbardziej mrówki których w Brazylji jest bardzo dużo, wylatają całemi rojami skrzydlate jak pszczoły, obsiadają na pola zakładają nowe gniazda i niszczo wszystko dookoła siebie, a najbardziej bawełne ten najdroższy skarb dla rolnika z którego musi mieć całoroczne utrzymanie, a do tego tam są bardzo górzyste grunta bagna przepaści bezdenne, drogi wozowe jest bardzo niedobre, ziemia do wyrobu jest bardzo ciężka dla naszego Polaka. I nagadali dla mnie tak dużo wszystkiego że co prawda odpadła ochota i postanowiłem nie jechać. Na nieszczęście przyniosło licho, a nie Pan Bóg instruktora z Warszawy do mnie pyta się czy my mamy jechać do Brazylji, tak ja powiadam mieliśma jechać, ale dopieru nie pojedziemy, bo ludzie o Brazylji bardzo kiepsko mówio, powiadają że tam jest bardzo ciężkie życie dużo pracy gorąco klimat jest niezdrowy nie umiarkowany często trzeba chorować na ból głowy od gorąca no i febra tam często panuje. A instruktor odpowiada do nas że to jest wszystko nieprawda co ludzie mówio, tam jest roboty mało bo zawsze ciepło nie trzeba tyle piniądzy na ubra-

nie i obuwie jak w kraju no i wzioł nam opowiadać rozmaite rozmaitości, wzioł chwalić, jak wzioł gadać, a co prawda na język nie chorował. My jako wiejskie ludzie uważali go jako człowieka uczonego to i sprawiedliwego uwierzyli jego fałszywej namowie i zgodzili się na wyjazd do Espiryta na gospodarstwo kupić działkę ziemi i pracować na roli, to był cel naszego wyjazdu do Brazylji. Podróż nasza zagranicę była na swój koszt płaciłem po 107 dolary za jeden bilet, których miałem siedym i pół (słownie sto siedym) dolary. Tak że podróż wyniosła bardzo drogo. Na podróż piniądze miałem swoje bo sprzedałem gospodarstwo które posiadałem w kraju, inwentarz żywy i martwy, po bardzo niskich cenach, bo było na prędce przed wyjazdem a reszte drobne rzeczy trzeba było podarować za darmo. A do Brazylji wyjechaliśmy za paszportem który otrzymaliśmy od Syndykatu Emigracyjnego w Białymstoku i 25-go października 1931 roku pożegnaliśmy swoje rodzinne strony ze łzami w oczach. Na wieczór tego samego dnia zajechaliśmy do Warszawy zaraz odwieziono nas autobusem do hotelu emigracyjnego na Powązkach. No i 27-go tego miesiąca odjechaliśmy do Francji do Paryża skąd nas autobusem odwieziono do portu Hawru gdzie mieliśmy nocleg i kolacje byliśmy tego samego dnia u doktora na rewizji opatrywał czy jesteśma zdrowi na oczy czy możemy siadać na okręt. Na drugi dzień 30-go o godzinie 10 rano siadaliśmy na okręt zbiorowy Francuski Belle-Isle który zaraz w prędkim czasie opuścił port i odpłynoł na fale i bałwany morskie z którymi walczył 10 dni, a dwa dni stał, jeden dzień na Wyspie Maderze gdzie ładowano węgiel a drugi na Wyspie Ś-go Wincentego. Podróż na morzu była dla nas bardzo ciężka i niezdrowa chorowaliśmy prawie całe drogę na wodzie tak że wcale mało jadali, karmili na okręcie średnio, za te zapłate co my popłacili to powinni karmić lepij a w pociągu z Warszawy do Francji to wcale marnie trzeba było żyć na swój grosz. Okręt w którym jechaliśmy choć był stary szedł pomalu, ale dzięki Panu Bogu i tej Matuchnie Najświętszej podróż na morzu była dla nas szczęśliwa i pomyślna bo żadna burza nie spotkała nas na wodzie. Do portu Rio de Janeiro przybył okręt 18-go listopada, kazano wysiąść nam do łodzi motorowej i odwieziono na Wyspę Kwiatów do hotelu emigracyjnego. Na drugi dzień odwiedzili nas p. Koszarowski przedstawiciel kolonji Espiryto-Santo i p. kierownik patronatu w Rio,

najprzód pytali się nas czy mieliśma dobrą podróż czy karmili nas dobrze na okręcie i w pociągu no i obznajmił nam p. Koszarowski, że nie pojedziemy do Espiryto, a do Parany, powiada że stamtąd w tych czasach pouciekało dużo ludzi pomimo woli administracji. Więc dopieru rząd Brazylijski postawił bardzo ciężkie warunki dla emigrantów jeżeli kto chce jechać do Espiryto Santo to musi złożyć podpisy na papierze że tam musi żyć albo zginoć, powrócić tylko będzie mógł do Europy a w żadne stany Brazylji nie. I radzi nam byśmy pojechali do Parany powiada tam jest dużo ziemi tania, kupić można z wolnych rąk ile kto zechce i na dogodnych warunkach. Tak i stało się wszyscy my zgodzili się jechać do Parany na nowe kolonje Senges a na Wyspie Kwiatów byliśmy niedługo czasu bo tam nas bardzo licho karmili co dzień czarny fizon z robakami i jakaść mąka. Więc zmuszeni byliśmy prosić p. Koszarowskiego i p. kierownika aby nas z tej wyspy czem prędzej zabrali bo bardzo licho karmio, naco oni zgodzili się i zaraz na drugi dzień porozumieli się przez telefon do Sao-Paulo do patronatu i tego samego dnia pod wieczór odjechaliśmy pociągiem przez Sao-Paulo do Senges na te nowe kolonje. Tam na stacji miał nas spotkać polski giometra Charko, ale za prędko przyjechaliśmy, zamiast w poniedziałek w sobotę na godzine 5-te rano prawie było jeszcze ciemno 18-go listopada 1931 roku. Więc go na stacji nie było, wysiedliśmy z wagonu pociąg odszedł a my zostali jak na lodzie bez żadnej opieki jak jakie wygnańcy, bagażu tyż nam nie zdjeli nie wiemy gdzie go szukać, a zapytać się nie umiemy, zaczeło zimno nam dokuczać głodni że aż kiszki walca grają, u każdego łzy w oczach stanęły i nie wiemy co mamy począć i do kogo udać się. Nareście po długim poszukiwaniu nadarzył się nam polski człowieczyna prosimy go aby nam dopomógł odszukać tego Charka, nie odmówił nam prośby naszej no i zaraz odszukał go, no i ten Charko poprosił nas do swojego mieszkania które było niedaleko stacji, myśleliśmy że to mieszkanie jak w kraju, a to budka, kurnik u dobrego gospodarza lepszy i większy, a nas coprawda niemało pięć rodzin, ale jakokolwiek rozmieścili się na podłodze bo krzeseł ani ławek nie było ani stołów ciasnota do niewytrzymania, łóżek niema ani słomy spać trzeba było na gołej podłodze na łachmanie kto jaki miał, to był spoczynek taki przyjemny po takiej podróży. Po krótkim spoczynku nagotowaliśmy

obiad na kuchni Brazylijskiej z kilku cegieł trzy zielazne szapy no i wszystko dymu pełna kuchnia mało oczy nie powyjadał jakby w kurnych chatach. Po obiedzie chcieliśmy pójść na kolonje aby oglądać ziemie którą mamy kupować i na niej żyć i gospodarować a od miasta do kolonji 10 kilometrów drogi, nogi bolo zmęczeni, ale na szczęście nadarzyli się nam furmanki Ukraincy, zapłacili im i oni zawieźli nas na kolonje. O jakże nam to stało dziwno i boleśnie gdy my zobaczyli tą ziemie. Ja pytam się to jest ziemia? kiedy tu las góry krzaki zarośla przepaście bezdenne bagna paproć po pare metrów a może i lepiej. Tu nam dopieru stało wszystko przed oczami wszystkie przestrogi i napomnienia dobrych ludzi co nas przestrzegali to byli ich święte słowa, a my to lekceważyli i aż dopieru przekonali się kiedy zobaczyli na własne oczy. Szanowni panowie czy dacie wiarę tu stałem jak trup długi czas bez mowy i żadnego ruchu jakby w letargu, nareście ocknołem się i sam sobie nie wierze pytam się jeszcze raz czy to ma być ta ziemia co my mamy kupować, tak ci ludzie którzy byli z nami powiadają tak jest. Ach Boże dobrotliwy tak westchnołem ciężko i powiadam jaka nas spotkała gorzka i ciężka niedola. I tu moi Szanowni panowie zaczołem płakać jak małe dziecko na swój gorzki los który mnie spotkał w tej tu dzikiej Brazylji na stare lata. Chciałem zaraz powrócić do kraju, ale niestety nie miałem sposobu za mało zostało mi piniądzy, a rodzina dosyć liczna dziewięcioro dusz. Więc musiałem pogodzić się z losem i pozostać na tymczasem tu gdzie przyjechałem, a może Bóg Dobrotliwy zmiłuje się nad nami da sposób wyjść stąd za pomoco dobrych ludzi miłujących swoich rodaków. Później chodziłem jeszcze przez pare tygodni z żono na te tu kolonje, bo zaraz bałem się kupować chciałem aby obejrzeć dobrze zrozumieć i poznać tutejsze ziemie. Po paru tygodniach kiedy dobrze obejrzałem kupiłem u jednego bogatego fazendera nazwisko jego Mova 15-cie ankrów po 300 milrejsów zapłaciłem za ankr, zaraz zrobiłem opisy notarjalne kosztowały 200 milrejsów. Kupiłem drzewa pobudowałem domek na swojej ziemi i tu obsiedliłem się w 12-tu kilometrach od miasta i stacji kolejowej, kupiłem koni pług i zaczeliśma tymczasem gospodarzyć i pracować na kawałek chleba na tych tu pustyniach. Jeździć nie chciałem po rozmaitych stanach Brazylji i tracić piniądze szukać tego czego nie zgubiłem, bo tu niema nigdzie dobra, pracować trzeba wszędzie

ciężej konia a z tej pracy pożytków wielkich niema ledwie starczy na życie i to na marne setnej doli nie dorównać do krajowego. Wydatki jest duże i ciągłe, a urodzaje marne sadzimy bardzo dużo, a zbieramy mało i przez to piniądzy złożyć tu jest bardzo trudno, a jeszcze chorujemy często od gorąca pracy i klimatu który jest bardzo nieumiarkowany, to lepsze życie trzeba kupić, lekarstwa w aptece tyż kupić, a to wszystko drogo nie tak jak w kraju, bo doktorów i szpitalów blisko niema jest w innych miastach, ale daleko o cztery godzin jazdy pociągiem to dla nas jest bardzo trudno i drogo, a gotówki niema i przez to człowiek upada prędko na zdrowiu chorujemy prawie tygodniami na bóle głowy i febra często grasuje prawie każdy rok, a to od tego że klimat jest nieumiarkowany, nocy wieczory i ranki jest bardzo chłodne, a dniami gorąco do 50-ciu stopni i to wtedy kiedy najwięcej pracy na polu koszula na karku prawie nie wysycha od potu, zato musimy często chorować. Ja to jeszcze jakokolwiek trzymam się, ale żona i dzieci to prawie co dzień słabują, a najbardziej żona cierpi na ból głowy, tak że często łapie jakiść odur robi się ciemno w oczach kręci się w głowie jakby pomieszanie zmysłów i coprawda kobieta młoda a do pracy niezdolna i przez to musimy marnować się jakby jakie bydlaki przez pomocy doktorskiej i szpitalnej a z innych stron tyż niema bo udawali się niektóre do władz polskich, ja to nie, o pomoc to powiedzieli im że nie trzeba było jechać do Brazylji a o brazylijskich władzach to i mowy niema. I przez takie życie marne poziom życia naszego tu w Brazylji obecnego rozróżnić od poziomu życia w Polsce, to jest trudne bardzo zadanie, ale cokolwiek ogranicze państwu aby mogli zrozumieć co to jest Polska a co Brazylja. Polska choć jest kraj jeszcze młody, ale piękny rozwity na umyśle silny i kulturalny tak dalece w porównaniu od Brazylji jakby niebo od ziemi, czyli powiedzieć w prostej mowie, Polska to jest ładna i młoda panna w jedwabiach kraj złocisty, a Brazylja to jest stara obdarta, a do tego i ślepa wiedźma, kraj dziki bez żadnej kultury i wychowania religijnego i moralnego jest bardzo ciężki dla naszych Polaków którzy dopieru przyjeżdżają do tego kraju. Ci co tu są od dawnych lat albo co tu rodzeni nie znajo Polski i obyczajów tamtejszych to dla nich i tu dobrze, bo oni tak zdziczeli we wszystkiem życiu jak i tutejszy lud, a najbardziej w religji

to i stosunki nasze w otoczeniu naszem i przyjaciele nasi to tylko ci co razem z nami przyjechali do Brazylji i mieszkamy tu na kolonji niedaleko jedni drugich, a reśta to tacy przyjaciele dla nas Polaków jak z diabła zakrystjan bo inaczej nie nazwie na Polaka, a tembardziej na takiego który niedawno przyjechał i nie umie rozmawiać w tutejszym języku polako buru (dureń) polako sużo (brudny) to jest cała zapłata dla Polaka zato co zbogacił Brazylje i zaprowadził kulture. Dopóki Brazylja nie znała Polaka była ciemna jak tabaka w rogu dziś co innego jest, ale mieć gotówkę, czyli oszczędności robić trudno bo nie te czasy, urodzaje marne, a wydatki bardzo duże do życia i na ubrania, bo tu rosnoć wszystko jak w kraju nie da się, nasiejesz żyta pszenicy to zje ptactwo albo myszy na pniu, posadzisz kartofle pozjada robactwo, posadzisz kapusty buraków zje koza albo zając i t. d. i tu hodować to wszystko jest bardzo trudno tylko kukurydza fiżon ryż bataty mandzioka to jakokolwiek, mleczywa tu jest bardzo mało bo są pastewniki marne traw niema żyznych, krowy są bardzo chude. A co się tyczy nauki dzieci to jest bardzo marnie, szkoły na kolonji niema, a posyłać do miasta daleko 12-cie kilometrów i drogi są niebezpieczne dla dzieci przez lasy, nauka w szkołach tylko w tutejszym języku, co dla naszych polskich dzieci którzy nie umieją rozmawiać w tutejszym języku jest bardzo trudno, a pobudować szkoły nie możemy bo nas jest bardzo mało Polaków na tej tu nowej kolonji. Pare miesięcy mieliśmy polskiego nauczyciela, uczył po polsku i po brazylijsku i co prawda dobrze było dla dziatwy bo było blisko chodzić i mowa ojczysta, dla nas starszych tyż było gdzie spędzać czasy wolne od pracy i dnie świąteczne bo i biblioteka była przy szkole, mieliśmy książek polskich niemało do czytania no i to wszystko poszło na marne bo za ciężko było dla nas że za mało było nas, a opłaty dużo prawie po 10 milrejsów od dziecka na miesiąc, bo pensja dla nauczyciela miesięczna 150 milr. i za lokal szkolny 10 milr. i jeszcze inne wydatki a nas gospodarzy polskich było tylko sześciu, a Ukraińcy i Rusini przyłączyć się do nas nie chcieli, bo i zmuszeni byliśmy to wszystko zakryć do czasu, pomocy żadnej znikąd nie mieliśmy, pisali co prawda do Kurytyby do p. Gajdy prosili go aby nam dopomógł, to wysłał co prawda pare dziesiątki odczepnego i na tem

skończyło się. Mieliśmy założone towarzystwo na kolonji pod nazwaniem 3-go Maja był wybrany zarząd, byliśma połączeni z zarządem w Kurytybie i to wszystko musi tymczasem spać, może Bóg pozwoli lepszych czasów, a może i nas więcej będzie to wszystko obudzi się do życia. W domach naszych polskich, a także przy spotkaniu z sąsiadem Polakiem rozmawiamy w języku ojczystym i pochwalony tyż nie zapominamy gdy przechodzimy do polskiego domu, tylko jedne nieszczęście że ni mamy kościoła polskiego poblisku, ani księdza nie słyszymy kazań ani nauk polskich pięć lat, są kościoły i księża blisko, ale brazylijskie, a więc i spowiedź dla nas musi być utrudniona, parafja nasza do której należymy jest daleko o cztery godzin jazdy pociągiem a do naszego kościoła do Senges przyjeżdża ksiądz raz na miesiąc a inne dni niedzielne świąteczne i wolne chwile od pracy spędzamy na czytaniu książek i gazet polskich, które prenumerujemy z Kurytyby Gazeta Polska i Lud. Teatry kina i radja i inne wesołe zabawy to my spędzamy najprzód na modlitwie a reszte na płaczu i narzekaniu że nas tu nieszczęście przyniosło w tak daleki zamorski kraj i do tego dziki i niezdrowy i gorący, a do kraju powrócić tymczasem niema sposobu. Gdybyśmy byli jaskółkami tobyśmy dawno stąd pouciekali ale niestety jesteśma ludźmi to trudno, a piniądzy narazie niema na powrót i nabyć ich w prędce nie możemy, a jeszcze gdyby nie ta kałuża taka duża to dawno by powędrowali na piechote do swojej ojczyzny, do której tęsknimy dzień i noc, a na wspomnienie o kraju łzy oczy zalewają. Pomocy i ulgi na przejazd ni skąd żadnej niema, pisałem pare razy do konsulatu do Kurytyby i prosiłem pana Staniewicza a i pana Kulikowskiego by odesłał mnie z rodzino na koszta rządowe do kraju, to powiedzieli że oni tego uczynić nie mogo to chociażby człowiekowi żyć tu było i najgorzej to musi bo co pocznie, śmierci sam sobie nie zrobi chociaż tu bywa to bardzo często, pożalić się tyż niema do kogo chociaż konsulowie powinni być naszymi ojcami i opiekunami, ale tak nie jest i z dnia na dzień czekamy lepszego jutra, może kiedykolwiek zabłyśnie słoneczko i nad naszą głową, że i o nas wspomno ludzie dobrej woli które mają serca miłosierne i szlachetne, zabioro nas z tego raju bolszewickiego bo tak instruktor nazywał kiedy był u mnie. Kto ma piniądze to i sam

ucieka do kraju, z naszej kolonji dwie rodzin odjeżdża na marca którzy byli w Espiryto, stamtąd uciekli, opowiadali nam jaka tam jest dobroć, powiadają dziękujcie Bogu żeście tam nie pojechali bo gorzej niema w całej Brazylji jak w Espiryto, tu w Brazylji człowiek tak żyje jakby ten ptaszek w klatce w niewoli i czeka szczęśliwej godziny aby wydostać się na wole tak i my tu w Brazylji modlimy się dzień i noc i prosimy Pana Boga i tej Matuchny Jego Cudami słynącej Częstochowskiej aby nas jak najprędzej stąd wyrwała, aby my jeszcze mogli oglądać swój kraj ojczysty i złożyć kości na swojej ojczystej ziemi. Moi Szanowni Państwo trzeba o tem dobrze wiedzieć kiedy ja tak opisuje to widać że tu dobry smak a kłamstwa w tem opowiadaniu niema. Chciawszy opisać wszystko podrobno jak tu w tym kraju jest, jak ludzie żyją jak pracują, jakie tu domy, jak w domach, jakie posłania na czem sypiają, jak tu żyją w stanie małżeńskim, co miasto albo stan to i żona i t. d. i wogóle wszystko dziko i brudno pomijając miasta to trzeba by jeszcze trzy razy tego zapisać i to jest bardzo trudno do wykonania. Teraz przepraszam bardzo może co zboczył to prosze naprościć i przebaczyć dla mnie że tak szeroko rozpisał się. Pochodzę z rodziców polskich szlacheckich, rodak gminy i wsi Krypno-Kościelne.

Teraz mam maleńkie prośbe do Szanownych panów aby na tyle byli grzeczni nie odmówili mojej prośbie. Prosiłem pare razy tutejszej władzy polskiej odmówili dla mnie, więc teraz zwracam się z prośbo do Szanownego Instytutu w pokorze prosze aby mnie z rodzino zabrać stąd z tej katorgi na koszta rządowe, albo ulgowe bilety przejazdowe. I niech Szan. pań. mają miłosierdzie i szlachetne serca o swoim rodaku który przyda się w przyszłości, nie ja ale syny moje których mam pięć którzy będo bronić Ojczyzny w razie potrzeby kiedy wróg stanie u wrot Stolicy. Jeszcze raz prosze aby Szan. Państwo zwrócili uwage na moje prośbe i na moich synów których do obcej armji ni za jakie skarby nie chcę. Po otrzymaniu mego listu prosze o łaskawe powiadomienie mnie.

Zapomniałem napisać Szan. Państwu pare słów o tych brazylijskich pchłach co to opowiadali w kraju o nich to jest żywioł akurat taki samy jak pchła i tylko nie gryzie tak jak ona a włazi w ciało a najwięcej w palcy u nóg w pięte, ciało obiera świędzi i boli i wymować go trzeba igło albo grafko no i muszki małe jak

weszka to w letnie miesiący bardzo wielka ilość jest, mało człowieka nie zagryzo przy pracy tak że rankami i wieczorami mało nie zagryzo i to kiedy największa praca, a praca tu jest dosyć długa i ciężka bo tam nie opisałem podrobno o niej, naprzykład zasadzi się dwa czy może i sześć ankrów ziemi to nie na tem koniec zaorać zabronować i zasadzić, ale trzeba przez sześć albo siedem miesięcy pracować koło tych roślin z motyko całom rodzino i to nie raz ani dwa, a razy cztery te wszystkie ankry co zasadzone, tu nazywają karpinować a w polskiem języku oczyszczać od chwastów które tu bardzo szybko rosno, a najbardziej w bawełnie w której musi być tak czysto przez cały czas rosnięcia jak na podłodze no i w innych roślinach tyż jak w kartoflach kukurydzie ryżu fiżonie batatach mandzioce. A w te czasy kiedy ta praca to słońce takie zabójcze że pali ogniem, a i najwięcej bywają posuchy po kilka miesięcy w te czasy kiedy praca, temu trzy lata wstecz deszczu nie było przez dziewięć miesięcy z rzędu prawie wszystko powysychało, temu dwa lata tyż była posucha ale mniejsza tylko później w listopadzie grad wybił wszystko co było na polu zrobił jak na podłodze trzeba było sadzić na nowo wszystko i tak co rok taka nowina i t. d. na tem kończe może co trocha niedokładnie to prosze darować i jak najprędzej powiadomić o otrzymaniu listu odemnie. W tym roku tyż była posucha i duże wiatry.

Chciałem jeszcze napisać kilka słów do państwa i wyjaśnić o tem pisaniu tych powieści. Dużo ludzi czyta Gazetę Polską i rozmaite tu ludzie ją czytają, a więc prenumerujo ci co przyjechali temu lat 30 — 40 — 50 i więcej, czytają i ci co tu rodzeni i czytają ci co przyjechali do Brazylji temu lat kilka. Więc i te opowiadanie o życiu Polaka za granicą tyż będo pisane rozmaicie, otóż tu na te pisania trzeba zwrócić wielką uwage i dobrze to zrozumieć. Ci co przyjechali temu kilka dziesiątki lat za czasów rosyjskich na koszta rządowe albo ci co tu rodzeni to oni nie mogą napisać prawdy bo oni nie znajo Polski, powstania jej, życia i obyczajów i nie walczyli za nią to oni o Brazylji muszo pisać jak najlepiej bo oni w niej rodzeni i ona dla nich jest ojczyzna, a jeszcze więcej im będzie chodzić o te nagrode czyli o te sto złotych co było napisano w gazecie, co było podano do wszystkich czytelników tej gazety. Tu trzeba baczno uwage zwrócić na pisanie tych ludzi którzy przyjechali do Brazylji temu lat kilka i poznali ją jak najdokładniej i życie Polaka tu na obczyźnie i może rozróżnić życie w Brazylji

i życie w Polsce bo żył w tym ukochanym kraju walczył za niego zasłaniał piersią swojo te Ojczyzne od wroga kiedy stał u bram Stolicy, ten tylko człowiek może opisać prawdę o życiu w Brazylji i odróżnić jedno od drugiego i nie rozdziawiać gęby na te sto złotych bo tu nie idzie o nagrode ale o prawde. Ja sam znałem kilku takich co wcale nie znajo Polski i nie rozumiejo nic o niej, a mówili że będo pisać bo im chodzi o nagrode. Ja tyż pisałem do państwa i nie wiem czy dojdzie ten mój list czy może doszed tego nie moge wiedzieć ale chce tem listem przestrzec Szan. Pan., aby byli ostrożni w wypłacie tej nagrody tym co nie znają kraju i nie walczyli za niego, a tylko znajo go z opowiadania innych. Ja dzięki Bogu przeżyłem na świecie lat nie mało 63 i nie z jednej dzieży jadłem chleb ale fałszem nigdy nie trudniłem się bo to było dla mnie za wielką hańbą, służyłem w wojsku byłem zawsze na prawdzie, zasłużyłem wachmistrza starszego podoficera, byłem w Warszawie w policji pare lat, powróciwszy do domu byłem na kilku urzędach byłem w radzie gminnej członkiem, sołtysem, byłem w dozorze szkolnym zastępco prezesa za bytności księdza Oleszczuka który był w Krypnie i w innych jeszcze urzędach, nigdzie za mną fałszu nie było, więc i w tym pisaniu fałszu niema, ale jeszcze dużo brakuje bo opisać podrobno o Polaku jak żyje w jakim domie na jakim posłaniu jak chodzi jak i co je jednem słowem o wszystkim podrobno to jest bardzo trudno i trzeba dużo czasu na to. Dla mnie co prawda w kraju żyć było bardzo dobrze ale nieszczęśliwa godzina przyprowadziła do mnie tego fałszywego instruktora który mnie namówił wyjechać do tej przeklętej Brazylji, a wyjechać z niej niema sposobu i musze tu marnować się na stare lata i sprzyjać dla cudzego kraju, a nie dla swojego. Bardzo przepraszam może co nie tak prosze przebaczyć ale i pamiętać na moje prośbe.

Poprosze powiadomić mnie czy w kraju jest dużo ziemi do sprzedania w jakich miejscowościach i na jakich warunkach można kupić i jak droga ile ma kosztować hektar na gotówkie czy na spłaty i jak na długie lata jeżeli na spłaty. A jeżeli państwo o tem dokładnie nie wiedzo to prosze powiadomić mnie do kogo mam pisać podać dokładny adres tego biura bardzo prosze nie odmówić dla mnie tego.

Dn. 20 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 7

Rolnik w Paranie, syn wyrobnika
z ziemi siedleckiej, ur. w 1894 r.

Otrzymałem wiadomość o życzeniach instytutu gospodarstwa społecznego w Warszawie zbudowanie pamiętnik Amigranta. Wcem donże dodać miaterjału, przejść w mojem życiu. A wienc zacynam w tem pocontku. Urodzony w zaborze rosyjskiem guberni siedleckiej powiat Łuków gmina Wojcieszków 1894 r. tak świadco dokomanta urodzin.

Rodzice moi byli wyrobnikamy jak pamiętam posiadali jeden mórg grontu, rodzina ich składała się z jedenastu osób, głód i chłód panował w ich mienszkaniu, oboje rodzice opuszczali dom codziennie udając sie na zarobek, aby zaspokoić głód domowy, po dzienny pracy wróciwszy do domu ciężko wzdychali, mówiąc aby dzieci podrosły to ludzie jem dadzą chleba. Tak nastąpiły oczekiwane czasy, lec miśli rodziców znów powzieły nową walkie o dalszą przyszłość w życiu społeczeństwa rodzinnego. Słyszałem jak rodzice mówili z wielkiem zastanowieniem, dzieci dorastają czterech synów, jeszcze jeden nie wróci już drugiego zabierą musą służyć, musą służyć moskalowi bo chłopaki zdrowe, a kiedy powróco do domu nie będo miały swojego własnego dachu nad głową. W 1911 r. zjawili się jakieś agenty namawiając na amigracje do Parany o której u nas nikt nie słyszał ani miał żadnego pojęcia. Agenci objaśniali że każden amigrant famielijny otrzyma ziemie zadarmo, i tak jest dobrze ze nawet i w rajskiem ogrodzie lepij używać nie będzie a koszta podróży zapłaci tylko do portu,

dali będzie wszystko zadarmo. Zaraz ojciec sprzedał swój morg ziemi i wyamigrowaliśmi do Parany. Zaceła sie podróż.

Przybyliśmi do Niemiec miasta Bremen tam spoczywaliśmi pięć dni obchodzono sie z amigrantami bardzo dobrze czystość i obsługa zadawalniająca. Na okręcie Bremen okazała się brutalność marynarzy niemieckich, podróż z Bremen do Rio de Janeiro trwała 31 dni. Stolica Brasili na wyspie kwiat spoczywaliśmi osiem dni w dobrych lokalach i czystości, podróż okrętem, do porto Paranagua trwała trzy dni, w tem porcie spoczywaliśmi pięć dni stąd do stolici parański spoczywaliśmi siedem dni, następnie spocynek w Ponta Grossa siedem dni.

Stąd wysłano nas w podróż 18 mil drogi wozami, w owych czasach podróżowaliśmy pięć dni do Calmon, tam sie znajdywał cały zbór amigrantów w licbie 300 famieli, amigranci ulokowani w dwóch wielkich barakach stodołach chliwkach i kurnikach.

Amigranci byli z zaboru rosyjskiego guberni lubelski i siedlecki, duża ilość amigrantów ocekując na wyznacone działki dla nich, wybuchła choroba tyfuszu i amigranci zaceli wyjezdzać zamiast na działki to na cmentarz nawet i po pięć osoby dziennie, chorych było bardzo wiele, szpitala nie było, lekarz i aptekarz byli ale mało sie interesowali choremi amigrantami, barzo wiele amigrantów patrząc na tak marny widok wracali do miasta, jeżeli nie posiadali piniendzy zapłacić wóz to szykowali taczki o jednem kole usadzając najmniejsze dzieci na taczki sami na siebie zakładając bagaże jem najpotrzebniejsze i maszerowali aż do Ponta Grossa. Pare famieli powróciło do Polski którzy mogli opłacić okręt, reszte amigrantów pozostało oczekując wyznaconych jem działków, w miejscowości Theresina i Apocarana. Miejscowość ta położona jest w pobliżu dużej rzeki Ivahi. Ojciec mój obsiał na koloni już przed trzema lat zakolonizowany przez różne narodowości na działce opuszczony przez dawniejszego amigranta, wiktuały były wyznacone na dziewięć miesięcy przez rząd, odrabialiśmy za nie przy budowie drogi kołowej.

Ja tęskniłem za Europą. Wyjechałem z koloni do miasta, pracowałem w fabrykach pomiędzi ludźmi obcemi, pojąłem prędko mowę portugalską. Zrozumiałem dobrze co są narody, co jest ojczyzna. Serce moje nieraz było przebite słowami innej narodowości, gdyby bagnetem, wszędzie można było usłyszeć polako nao tei

bandera, polak nie ma sztandaru. Polacy nie mieli żadnego uważania. 1918 r. przybył porucznik z Francy Hendryk Apceński werbując ochotników do armi polski w Francy. Zaraz w drugiem dniu zgłosiłem sie werbując jeszcze pięciu ochotników. Staneliśmi w szeregach Armi polski 1920 r. zostałem zdemobilizowany, rozważyłem, zaborcy i wojna, Polskie zrabowali, bardzo wiele rąk pragnie objąć prace lub jaki kawałek ziemi, z wielkiem żalem opuściłem granice Polski, powróciłem do przybrany ojczyzny Brazilij. Powróciwszy z wojny postanowiłem skończyć z wandrówkami, postarałem się o towarzyszkie życia i udałem sie na północny zachód Parany gdzie miała być otwarta nowa kolonizacja obecnie nazwa Candido de Abren, zaraz prosiłem o nomer działki mi przyznany nad rzeką Abasinio. Przerąbałem ścieżkie długości 500 metrów przez las abym mógł przenieść rzeczy które posiadałem co miałem na dwa razy dźwigać na plecach, zbudowałem sałasz dla schronienia sie przed deszczem, udałem sie do pracy z miernikami, abym mógł zarobić na raty za ziemię i potrzeby domowe, reszta czasu oddałem na przyszykowanie dla plantacy produktów, gospodarka mi sła dość pomyślnie, zarobek był dobry, produkta rolne dobrze sie urodzili i dobrze można było sprzedać i było komu bo przybywała amigracja niemiecka. W przeciągu czterech lat spłaciłem dwie działki które ilość 90 morgi w somie 737 milrejsów. W piątem roku mego gospodarowania to w 1927 r. nastąpiła wielko zmiana w mej gospodarce, cały mój dorobek ruchomi i finansowy straciłem spowodu już trzech lat panujący malary. Przez dwa roki broniłem sie własnemi siłami, straciłem dwoje dzieci, pomoc z rządu była przyznana lec koloniści jej nie widzieli, po ustąpieniu strasznej malary która pochłoneła bardzo wiele ofiar, zacąłem nowe walkie z borem dziewicem, lec zdrowie i siły odmawiają posłuszeństwo, z żadnych ubezpieceń nie korzystam żadnych zapomogów. Stan zdrowia mego i rodziny jest lichy bo klimat tu jest zabójcy. Poziom życia mojego jest pustelnicy pod względem że kolonia oddalona od wszelkiej łączności 240 kilometrów drogi wozowej.

Somsiadów mam narodowości niemieckie, ruski i brazelijski, wszyscy som dobremi przyjacielmi. Władze dla mnie są dość przychilne. Istnieje tu cztery organizacje polskie, jedna rolnica, trzy oświatowe, rolnica jest uruchomiona. Oświatowe powiększy

części są zamknięte. Dziecko moje uczonszcza do szkoły niemiecko-brazelijski, bo polskie poblisko są nieruchome, ongiś marziłem o powrocie do kraju, dziś mam pewność że kraju wiency oglondać nie będe bo kapitału nie posiadam a mój majątek w porównaniu w Polscie jest duży ponieważ tu nie starczyłby zapłacić podróży dla czterech osób. W mojej rodzinie istnieje tylko mowa polska, dzieci obowiązane w szkole uczyć sie również języka Brazelijskiego. Nauciciel jest zawsze szanowany, ponieważ są nauciciele co wprowadzają dezorganizacje, wiarę wyznaje rzymsko katolicką. Księdza uważam podług jego postępów, ślub mam zawarty w kościele i u notarjusza. Żona jest naturalna polka. Gramofon radjo teatr i synema tu niema marzenia. Jestem członkiem zwycajnem w towarzystwie rolnico polskiem, prenomeruje jedną gazete polską wychodzącą w Brazylij i organ ligi morski i kolonijalny wychodzący w Warszawie, ale niestety ten tak długo podróżuje że otrzymałem jeden egzemplarz w pierwszem miesiącu bieżącego r. tak więci nie. Z pobytu tutejszego wcale nie jestem zadowolony, tylko mus. O polepszaniu przyszłości wcale nie marze, a co mej rodziny to szczęście chodzi po świecie, ponieważ składa ona sie z niewiast. Obywatelstwa żadnego nie przyjąłem, serce moje tylko dla Polski. Z tej miejscowości prawie wszyszczy amigranci niemieccy wrócili spowodu wielkiej choroby i głodu bo z rządu nie otrzymiwali żadnej zapomogi. Kraj Polska interesuje mnie bardzo i pilnie słucham wiadomości z kraju i pozostaję z krajem w stosunkach patryjotycznych. Ze światowego związku polaków żadnych pism nie otrzymałem i nie wiem cy kto otrzymał.

Do wychodźców z kraju zdanie moje siać oświatę i kulturę polską i zapalać patryotyzm polski. Powracających do kraju Polska winna sie zaopiekować w słusznych wymaganiach.

Szanowni Rodacy! zmęncona i drżąnca ręka polskiego chłopa samouka pragnie doręczyć zdrowy a czysty materjał dla owego pamiętnika. Czołem do Polski.

Cześć społeczeństwu polskiemu.

Dn. 13 czerwca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 8

Rolnik w Paranie, syn małorolnego gospodarza z województwa tarnopolskiego.

Urodziłem się w Kaczanówce wsi leżącej w dawnej Galicji pod panowaniem austryjackiem, będąc synem biednych choć uczciwych rodziców, nie chodziłem do szkół a o ile pamiętam pomagałem w małym gospodarstwie pasząc bydło, przynosząc drwa na opał i tym podobne robiąc przysługi, spędzałem dnie o głodzie a w zimie i o chłodzie bo o ile pamięć mnie nie zwodzi butów nie miałem aż do wyjazdu z kraju nigdy. W taki jak ja sposób żyli setki chłopaków moich rówieśników. Otóż gdy bieda nam dobrze przypiekła a zjawił się agent obiecując święte życie w Brazylji moi starzy a właściwie to moja matka i ojczym bo ojca już pochowałem w Galicji, namyślili się jechać w ten zaczarowany kraj gdzie ziemi w bród i nic nie kosztuje a wszystko się rodzi i zimy niema i opału nie brak. Było jednak płaczu przy wyjeździe nie mało i żegnaliśmy się z pozostającymi w kraju jakby na wieki bo też nie mieliśmy nadziei zobaczyć się więcej. W Kaczanówce wsiedliśmy na wozy i wyjechaliśmy do Podwołoczysk a tam już czekał na nas agent nazywał się Szczerban, który zaopiekował się nami i wpakował nas do wagonów kolejowych i tak dostaliśmy się do Lwowa. A teraz już zaczyna się nasza tragedja, otóż do Lwowa zjechało się emigrantów bez liku a nie było żadnego pomieszczenia, zostawili nas na opiece Boskiej i każdy umieścił się gdzie mógł i żywił się jak się dało. W tej biedzie i nędzy bez dachu nad głową nie wiem jakim sposobem wytrzymaliśmy dwa miesiące i bylibyśmy dłużej pewno tam zostali gdyby nie zjawił się jakiś czło-

wiek porządnie ubrany który nam zaczął tłomaczyć że tu wiekować będziemy jeżeli nie podniesiemy gwałtu. Dał nam taki plan, przyjść wszystkim na tor kolejowy i kobiety i dzieci miały się położyć na szynach nie zważając nic na nadchodzący pociąg co my uczyniliśmy. Przylecieli żandarmi i służba kolejowa ale co nas spędzili to znowu pchaliśmy się i tak nie mogli z nami poradzić a krzyku i hałasu było że ludzie się gromadzili patrząc co się tu dzieje. Widząc więc że nie dadzą rady obiecali nam że wnet nas wyślą dalej i rzeczywiście po kilku dniach wysłali nas w dalszą podróż aż do Genui. W drodze do Genui pojawił się znowu ten sam pan co nas tak nauczył jak mamy robić aby się wydostać ze Lwowa i zaproponował składkę po 10 guldenów od rodziny a on zato będzie się nami opiekować. Ludzie że mu wdzięczni byli za dobrą radę złożyli się a moja Matka jako nie mająca pieniędzy dała tylko 5 guldenów za tą opiekę. W rzeczywistości nic nie robił tylko czuł się w obowiązku wymieniać nam nazwy stacji które przejeżdżaliśmy, ale i tak ludzie byli zadowoleni bo myśleli że opiekuje się nimi. Szło to dobrze aż do granicy włoskiej tam na pewnej stacji nie pamiętam jaka nazwa zjawili się żandarmi i złapali naszego opiekuna, chłopi oburzeni postawili się i krzyczeli żeby go puścić ale żandarmerja zaciągła go gdzieś do naczelnika i po chwili zaczęli wywoływać ludzi po nazwisku i zwracali im to co dali opiekunowi, potem zaś oznajmili że był to zwykły oszust co naciągał głupich i że nie skończyłoby się na tym pierwszym datku ale byłby ciągnął dalej strasząc głupich ludzi. Byli tacy co nie uwierzyli i tak tym gadaniom i płakali za swoim panem. Pamiętam że na jednej stacji powychodzili chłopi i baby zostały w wagonach a pociąg ruszył i zabrał baby a chłopy uczynili wrzask wielki i dalej gonić pociąg. Wtedy zatrzymał się ten pociąg ale chłopi nie weszli do wagonów tylko baby i tłomoki urzędniki wyrzucili na tor a pociąg pojechał dalej, a my dopiero drugim pociągiem pojechaliśmy. Zajechawszy do Genui znowu musieliśmy wyczekiwać na okręt, pierwszą noc spędziliśmy u pewnej krzykliwej italjanki, bardzo dobrze przyjmowała tych co mieli pieniądze ale nas to jest Matkę moją Ojczyma siostrę mą Różkę i małe dziecko wygnała za drzwi i tak staliśmy za drzwiami na chłodzie bo to choć było w Italji ale w miesiącu grudniu i tam zimno, szczególniej że nie było się w co ubrać. Jakoś jednak nad biednym opie-

ka Boska i tu zjawił się jakiś nieznajomy pan który widząc nas drżących ze zimna spytał czego tu stoimy, wtedy Matka moja wyznała mu naszą nędzę jak to bez pieniędzy wyjechaliśmy i jesteśmy w drodze do Brazylji a tak po drodze się poniewieramy bo okręt nie nadszedł a u nas taka bieda że nawet do ust niema co włożyć a już co do mieszkania to ani mowy. Ten obcy człowiek gdy to usłyszał kazał nam w tej chwili wrócić nazad do Italjanki i razem przyszedł rozmówił się z nią a nam powiedział że możemy tu zostać do jutra i kazał nam dać jeść. Więc tak szczególnym trafem mieliśmy noc zapewnioną a ja będąc już od kilku dni chory nic nie jadłem tylko się położyłem i patrzałem jak drudzy zajadają. Na drugi dzień Matka moja wziąwszy moją siostre ze sobą poszły do kościoła, kazała mej siostrze całować przechodniów po rękach i ci widząc że to robi z nędzy dawali jakieś włoskie grosze których sporo się w ten sposób nazbierało. Wtem widzi Mama idzie ksiądz o ile pamiętam nazywał się Duda, rzecz zwyczajna, a jednak tak opatrznościowa spotkać księdza rodaka na włoskiej ziemi. Ksiądz ten dowiedziawszy się o naszej biedzie był bardzo wzruszony, rozpytywał o wszystko i uspokoił Matkę mą mówiąc żeby go oczekiwała gdyż przyjdzie i zrobi co może aby miała dach nad głową dopóki nie wyjedzie do Brazylji. Przed wieczorem tego samego dnia przyszedł i rozpatrzywszy się jak rzeczy stoją coś długo rozmawiał z Italjanką właścicielką tej podrzędnej oberży a przed odejściem zawołał Matkę i powiedział, już wszystko odrobione ten pokój i opał macie na cały wasz pobyt w Genui aż do odejścia okrętu a życie postarajcie się sami i nie czekając na podziękowanie prędko się ulotnił. Jak już wspominałem byłem chory i to co opowiadam wiem z ust mej Matki, dostałem silnej gorączki i miałem jakąś wysypkę którą nazywali nie wiem dlaczego dur, byłem tak słaby że na nogach utrzymać się nie mogłem, więc przez cały czas pobytu w Genui przeleżałem na barłogu. Pewnego dnia odwiedziła nas nasza Italjanka i widząc mnie bardzo słabym pytała się co mi jest ale nikt ją nie rozumiał co mówi, dawała jakieś znaki pokazując na usta pewno czy co jem a gdy jej zaprzeczyli zaczęła rękami machać i powiedziała lata lata co naturalnie nikt nie rozumiał więc ona widząc że nie wiedzą co to jest wyszła i po chwili wróciła z garnuszkiem mleka i mi go dała powtarzając lata, wtedy zrozumieli że powinni mi dawać mleka. Od tego czasu

dostawałem mleka kupionego za wyżebrane przez Matkę pieniądze i troche mi ulżyło. Tymczasem nadszedł termin odejścia okrętu, byłem tak słaby że nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Matka była w rozpaczy, co będzie z nami gdy komisja rewizyjna badając zdrowie pasażerów nie przepuści ciebie, wszyscy wtedy tu zostaniemy, a z czego żyć będziemy, dotąd ludzie dawali jałmużne ale czy ich to nie znudzi, czy nie będą nas uważać za wyzyskiwaczy miłosierdzia ludzkiego i czy nie odmówią wspierać nas. Płakała całymi dniami a ja wstawałem potrochu słaniając się na słabych nogach i próbując sił. Było jednak źle i rozpaczałem razem z Matką nad mą słabością. Nadszedł ten fatalny dzień, zawiadomili nas że jutro mamy wsiadać na okręt i stawić się rano do rewizji. Na drugi dzień rano wybraliśmy się do portu, mnie podtrzymywali aby nie upadł i tak doszedłem. Pełno było ruchu, przeglądali papiery i oglądali oczy, badali czy co komu nie brakuje i już kilku wrócili nazad jako niezdolnych do przejazdu morzem. Trzęsłem się ze strachu i słabości a gdy przyszła na nas kolej zrobiłem nagle plan. Od ziemi na pokład okrętu prowadził pomost po obu stronach stali komisja i matrosy i każdego zatrzymywali badając. Porachowałem odległość dzielącą nas od pokładu okrętowego i postanowiłem nie dać się badać a wybrać chwilę, gdy będą zajęci, puścić się co sił, przebiec dzielący mnie dystans i raz będąc na okręcie schować się gdzieś aż do odjazdu. Nikomu o tem nie mówiłem, więc gdy podchodziliśmy do komisji, puściłem nagle rękę matki i jak strzała rzuciłem się pomiędzy ludzi stojących po obu stronach pomostu, nie wiem skąd mi przyszła ta siła ale pamiętam że jednego tak potrąciłem że zachwiał się nawet. Później Mama mi mówiła że pytali się co to za jeden a gdy się dowiedzieli że to syn emigrantów nie kazali go gonić i powiedzieli że jak taki mocny to i badać go nie potrzeba. I tak udało się dostać na okręt, gdy już byłem na pokładzie, przysiadłem zmęczony i słaby w kąciku a serce to mi tak biło że myślałem że wszyscy słyszą. Nadeszła Matka z Ojczymem gdy mnie zobaczyła uściskała mnie i pochwaliła że tak sprytnie się urządziłem z rewizją. Teraz zaczęli rozdzielać kobiety od chłopów i każden z osobna się lokował we wskazanych miejscach. Ja chciałem iść z Matką to też wziąwszy jeden tłomok niesłem go za Matką a tu przy wejściu matros stojący coś zaczął mówić i na mnie pokazywać, ja nic ide dalej a na-

gle jak dostane w pysk to aż się kilka razy wywróciłem i zacząłem płakać ze strachu i bólu. Moja Matka to widząc rzuciła się do matrosa i dalej go wyzywać i odgrażać się choć sama w strachu była, ale co on tam z tego rozumiał, tyle tylko pamiętam że zjawiło się dwóch matrosów i jakiś starszy pan w pięknem ubraniu, zaczęli coś z mym wrogiem gadać i wzięli go a potem mówili że był uwiązany do pala i tak odcierpiał za swą brutalność. Zaczęło się zwyczajne życie okrętowe, na noc pakowali nas do piwnic na spanie, rano spędzali dawali jeść cobądź i tak dzień po dniu schodził, statek był parowy italjański — mały, byle jaka fala już nim kołysała. Zapomniałem na początku napisać w którym to roku było, otóż było w 1896 r. w miesiącu lutym jak byliśmy na szyfie. Ja gdy mi się lepiej zrobiło kręciłem się po okręcie jak to taki mały wścibski, rano widziałem jak piekarz piecze bułki w żelaznym piecu i ofiarowałem mu się z pomocą a potem to już co dzień pomagałem a piekarz dawał mi za to lepsze bułki i ja nosiłem Mamie i swoim, później poszedłem do kuchni pomagać strugać kartofle, też zato dali mi lepsze jedzenie a gdy moi byli chorzy to i im przynosiłem rozmaite rosoły i inne przysmaki bo kucharze mnie polubieli i dawali com chciał. Tak się to życie wlekło aż nie wiem do jakiego morza ale było to mniej więcej dwanaście dni od wyjazdu, otóż pewnej nocy ludzie się pobudzili bo silnie ciskało okrętem, powyskakiwali z łóżek a na dworze ciemno i błyska się co chwila pioruny tłuką aż strach. Ludzie w krzyk że to już będziemy tonąć, wtedy znowu nas pospędzali do piwnic a woda co chwila to się lała do środka. Strach co to była za noc, nie daj Boże drugiej takiej. Jakoś nad ranem zaczęło ucichać i później całkiem się uspokoiło i już spokojnie jechaliśmy dalej aż do Rio de Janeiro. Dzień przed przyjazdem do Rio de Janeiro kapitan statku dał nam wyprawić bal więc co kto miał tem grał, jedni na skrzypkach drudzy na harmonijkach trzeci na grzebieniach i tak hulaliśmy aż dziwno było jak to na morzu a hula się jakby u siebie w chałupie. Aż tu na drugi dzień kapitan kazał wywiesić fane a od brzegów stolicy Brazylji wyjechał okręt mały nam na spotkanie i zaczęli sprawdzać czy niema chorych. I tak my stali jeszcze dwa dni na morzu a później zładowali nas na ląd, dali bułek i kawy w jakichś barakach a po dwóch dniach wysłali nas do S.Paula do miejscowości zwanej „Piuheiro". Była to jak później dowiedzieliśmy się jakaś sza-

chrajka bo jednych dali w Rio de Janeiro na wyspe das Floresto ci pojechali wprost do Parany a nas to ktoś przeszachrował dla plantatorów kawy do S. Paula. Co się działo na tem Piuheiro w S.Paulo aż strach wspominać. Jeść to dawali każdemu, baraki były duże takie że same stoły miały po 100 metrów długości a żeby je czyścić to brali okrągłego kija i po każdem jedzeniu jeden brał kij z jednej strony a drugi z drugiej i tak szli z tym kijem na stole a co było na nim to spadało na podłogę i stół był czysty. Klimat jednak był zabójczy i woda ciepła niezdrowa rzuciły się choroby na ludzi że umierało po 20 i 30 dziennie to ich wynosili i bez niczego do dołów zakopywali. Strach padł na wszystkich i dalej robić brewerje i krzyki przed kancelarją starszych a odgrażać się a płakać że tu koniec na wszystkich już przyjdzie. Nawet wojsko musieli sprowadzić i robić śledztwo co tu się dzieje. Pewno wtedy się wydało że nas tu nieprawidłowo dostawili bo jakoś niezadługo przyjechał pociąg i zabrał nas z powrotem do Rio de Janeiro, wtedy dopiero dostaliśmy się na Isla das Flores to znaczy Wyspa Kwiatów. Na tej wyspie to było pięknie, duże piękne budynki porządne łóżka pełno wody wszędzie, można się było kąpać i prać bielizne bo mydło dawali a jeść to było w bród i dobre jedzenie a jak kto zachorował to szedł do szpitala i doktorzy go leczyli. Tam to było życie aż człek odpoczął po wszystkich biedach. Szkoda tylko tych co poginęli z nędzy i chorób bo ci tego nie zakosztowali co my. Po jakimś czasie wysłali nas szyfem do Paranaguy a stamtąd do Kurytyby i Ponta Grossy gdzie nie zatrzymując się długo wysłali nas wielkimi wozami do Prudentopolis gdzie byliśmy przeznaczeni do założenia kolonji. W Prudentopolis nowa bieda nas czekała bo choć były baraki to wszyscy zmieścić się w nich nie mogli, więc kopali sobie jamy okrywali zielskiem i tak żyli czekając aż im wymierzą szakry, a tymczasem dawali robotę przy drodze na to żeby było z czego żyć. Ale co to było za życie wszystko drogie i do niczego, słonina cuchnąca i z robakami, fasola pojedzona przez robaki, ryż stęchnięty, ludzie znów chorować z tego zaczęli a jak jeszcze dostali bisze de pe to jest pchły nożne co tak się wczepią w noge że tylko nożem ją wydłubać można, to już zaczęli umierać że nic tylko były same pogrzeby. Co się my namęczyli to trudno opisać ażeby nie piniory co są podobne do włoskich jadalnych kasztanów a których było tu tak dużo że ludzie

całymi worami je zbierali, to i z głodu by dużo poumierało. Były też i grzyby a ludzie jedli i chorowali i umierali od nich bo niektóre były trujące a my się na tem nie znali. Jak tylko wymiary szakrów były skończone to zaczęli ludzi lokować na nich. Żeby się dostać przez gęsty bór do swych działek trzeba było wyrębywać ścieżki i schylonym iść i szukać palika wbitego z numerem i gdy się tam dostał dopiero jako tako wyrąbać kawałek lasu i zbudować bude aby jakoś pomieścić się na noc i na pierwsze czasy. Ludzie het poginęli po tych lasach że jeden o drugim nie wiedział, to nieraz tylko gdy który rozpalił większy ogień to drudzy wiedzieli że tam ktoś mieszka. Ja z Ojczymem i Matką i siostrą bo małego brata co był przy piersiach to już pochowaliśmy w morzu o czem zapomniałem wspomnieć, też dostaliśmy kawałek ziemi no i mieliśmy się zagospodarować. Jak tu zacząć gospodarkę, kiedy do gęby niema co włożyć. Ja chodziłem z początku do roboty na drodze i przyniosłem kwitki na zakup żywności ale potem to i tego nie było i bieda aż piszczała. Razu pewnego zauważyłem że mój Ojczym coś się porozumiewa z jakimś Brazyljaninem coś ze sobą obrabiają i tyle wiem że Brazyljan dał jakieś pieniądze memu Ojczymowi a mnie wziął na konia i choć się broniłem pojechał ze mną w lasy. Nie rozumiałem co to ma znaczyć ale widziałem że mój Ojczym stał spokojnie to widać że się umówił że ma mnie wziąć ten człowiek. Że bieda już mi i tak dużo dokuczyła przestałem się bronić bo już mi było wszystko jedna gdzie skończe. Po całym dniu jazdy zajechaliśmy na brazylijskie gospodarstwo dość zamożne gdzie żona tego Brazyljana nas przywitała i długo patrzała na mnie. Zostałem tedy u nich i było mi dobrze, roboty było mało tylko potrzymać krowe przy dojeniu przynieść wody do szymaronu jak byli goście, a jeść było co ale na sposób brazylijski, fiżon, faryna, mleko ale było tego ile się chciało. Niezadługo zacząłem też ich rozumieć i oni nazywali mnie filko to znaczy syn i dobrze się ze mną obchodzili. Po kilku miesłącach jednak zjawił się mój Ojczym gdym go zobaczył aż mi dziwno było że on tu trafił. Wtedy to on mi powiedział że znalazł mnie bo się dowiedział od pewnego fazendera co miał ziemi bez miary a samych bugrów to jest dzikich indjan to miał setki na swej służbie. Otóż pewnego razu mój stary dostał się do tego fazendera prosząc go o wsparcie i wygadał że ma syna ale go dał nie wie komu za 10 $ 000 milrejsów na

jakiś czas. Więc ten fazender a nazywał się Sereneo zainteresował się tym opowiadaniem i rozesłał ludzi dowiedzieć się gdzie ja przebywam a dowiedziawszy się posłał mego Ojczyma po mnie. Cóż kiedy o tem powiedziałem memu panu to on się rzucił do Ojczyma i dalej mu wymawiać, a to ci nie dałem 10 milów za chłopaka a teraz to on mój filko i t. d. i nie chciał słuchać o oddaniu. Wtedym dopiero się dowiedział że stary mnie sprzedał za te 10 milów ale tęskno mi było do Mamy, więc dalej prosić Brazyljana żeby mnie puścił a ja i tak wróce chce tylko do Mamy bo słaba. A że Brazyljan dobry był to pozwolił i jeszcze na droge obdarzył czem mógł i tak poszłem ze starym do naszej budy na naszej ziemi. Matka dużo się ucieszyła z mego powrotu bo miała mnie za straconego ale na drugi dzień przyjechał na pięknej muli ten fazender Sereneo, piękny był to człowiek, bródkę miał ładnie przyciętą i nosił się górnie, poznać w nim było można pana nie liczącego się z niczem. Zaraz też mój Ojczym przedstawił mi go mówiąc że on chce mnie wziąć do służby, co gdy ja usłyszałem nie zgodziłem się na to i przypomniałem staremu że mi trza wracać do mojego Brazyljana a nazywał się on Jose Machado. Wtedy dopiero wydały się konszachty mego Ojczyma, otóż na konto mojego przyszłego zajęcia już ponabierał od Serenea szmalcu, słoniny, fiżonu, faryny i innych drobiazgów więc właściwie znowu mnie zaprzedał. Byłem tedy w prawdziwych tarapatach jak to pogodzić aby wrócić do Jose Machada i zarazem iść na służbe do Serenea. Ponieważ zaś już potrafiłem o tyle mówić językiem krajowym to opowiedziałem panu Sereneu moje kłopoty pod tym względem co on wysłuchawszy uśmiechnął się tylko i powiedział, na to damy rade, ja temu człowiekowi wróce te 10 milów a ciebie wezme boś mi się spodobał. Zrozumiałem że mnie w ten sposób odkupi od Jose Machada i będzie moim panem, a pewno mój Ojczym w tem umaczał ręce, nie bardzo mnie to bolało bom był młody i nie brałem nic na serjo a swoją drogą uśmiechało mi się życie u tego bogacza co mu dzisiaj ludzie się wysługują więc nawet nie patrzałem krzywo na mego starego a on to tak jakby świętą rzecz uprawiał miał mine najporządniejszego człowieka w świecie. Więc pożegnawszy się z Matką i siostrą i ze starym wsiadłem na konia co pan Sereneo ze sobą sprowadził i puściłem się w droge do jego majątku. Jechaliśmy ścieżkami przez gęsty dziewiczy bór, gdzie światło dzienne słabo

dochodziło i panował półmrok a często gęsto ustępowały się nam z drogi żmije jadowite i różne leśne zwierzęta które nie znałem ale dziś wiem że to były anty, paki, tatety i inne Brazylijskie mieszkańcy dzikiej puszczy. Pod wieczór zajechaliśmy na małą polane i ku memu zdziwieniu mój pan powiedział że tu nocować będziemy. Aż mi dziwno było jak to tak wśród dzikich zwierząt w samym sercu puszczy bez dachu nad głową spać będziemy. Ale nauczony już mało mówić a słuchać rozsiedłałem konia i uwiązałem go do drzewa co i mój pan też zrobił. Teraz żem poznał że mam do czynienia z człowiekiem co wszędzie daje sobie rade sam, że choć był panem całą gębą nie bał się wziąć do roboty co zresztą z późniejszego życia zauważyłem że tu w Brazylji nie są panowie posiadacze wielkich majątków tacy wygodnisie jak nasi i w potrzebie potrafią dać sobie rade i od roboty nie uciekają, a różnicy pomiędzy sługą i panem niema takiej jak u nas, tu wszyscy równi. Pan jada ze służbą, razem się bawią polują i sługa nie uniża się przed swym panem tylko go traktuje z respektem ale podają sobie ręce na powitanie i pożegnanie jakby nie było między niemi żadnej różnicy. Więc teraz zabrał się do roboty i mnie kazał znosić drwa i sklecił mały szałas z chrustów a gdy rozpaliliśmy ogień i położyli się na naszych pelegach to jest skór z baranów to już byliśmy jak u siebie. Podjedliśmy farote to jest takie podróżne jedzenie, mięso świńskie albo kury dobrze wypieczone w kawałkach i do sucha podsypane mąką z kukurydzy, jest to zatem jakby u nas chleb z mięsem. Popiliśmy wody co była w pobliskim strumyku i dodając paliwa do ognia zabraliśmy się do spania na zmiane jeden drzemiąc a drugi pilnując ognia na odstraszenie dzikich zwierząt. Tak doczekaliśmy rana i po krótkim posiłku puściliśmy się dalej. Już się zmroczało gdy dojechaliśmy do siedziby naszego fazendera. Jeżeli by kto sobie wyobrażał że tu taki bogaty dziedzic mieszka w pałacu i jest otoczony liberyjną służbą to bardzo by się omylił, bo tu mieszkają panowie w zwykłych domach obszernych i otoczonych barakami dla służby ale bez żadnych wygód. Ludzie tu prowadzą życie prymitywne polując, wyrębując lasy a po spaleniu obsadzają kukurydzą i fiżonem to jest po naszemu fasolą i tak żyją bez wielkich wygód ale i bez kłopotów. U pana Serenea takie też życie było, gdyśmy przyjechali wypadło kilku dzikusów na spotkanie, rozsiodłali konie i przypatrywali się

ciekawie kogo to pan przywiózł, a mój pan powiedział im że to polakinio i że będę u niego a zapowiedział żeby mi krzywdy nie robili. Zaraz też przynieśli kuje i piliśmy mate a potem jedliśmy wieczerze i zabrali do spania. Dla mnie przeznaczyli pokój w domu pana w bliskości od jego sypialni. Zajęcia nie miałem prawie żadnego, gdy przyjeżdżali goście tom przynosił kuje i wode gorącą i podawał cygarety jak tu jest zwyczaj każdemu gościowi. Cygarety są to papierosy tylko zamiast w bibułce obwinięte są w słome od kukurydzy. Pozatem chodziłem z bugrami na polowania i na łów ryb których było dużo w rzece. Ryby łapaliśmy rękami w taki sposób: do rzeki rzucaliśmy bomby z dynamitu które wybuchały w wodzie, a przy tem wybuchu ryby oszołomione albo martwe wypływały na wierzch, wtedy trzeba się było rzucać do wody a że rzeka była bystra i zabierała ryby z prądem trzeba się było uwijać i łapać prędko i podawać do brzegu ludziom co już na nie czekali i zaraz je patroszyli i solili. Razu pewnego a już pływałem doskonale udało mi się uratować jednego burga (indjanina) od zatopienia, a było to tak. W rzekach są pewne głębiny tak zwane pocos (studnie) otóż jeden bugier dostał kurczy i wpadł do takiego poca gdy to ludzie zauważyli że nie powracał do góry narobili krzyku a ja że umiałem nurkować dobrze, nie namyślając się puściłem się za nim do głębi i wyciągnąłem go za włosy. O mało nie przypłaciłem tego życiem bo on złapał mnie za rękę i utrudniał mi pływanie, ale jakoś dopłynąłem do brzegu a już wtedy mi pomogli się wydostać i tak jego uratowałem i sam nie zginąłem. Polubili mnie zato i zapraszali do siebie te dziki i raz gdy do nich poszłem poczęstowali mnie wódką o bardzo nieprzyjemnym smaku i bardzo mocną, a później to już prosili żebym im pomógł tą wódkę robić. Ciekawym był na to więc poszedłem, zasiedliśmy wszyscy robiąc koło a w środku nas stało naczynie, każdemu dali sporo suchej kukurydzy i patrze a oni kładą ziarnka do ust gryzą a potem spluwają do tego naczynia, gdym to zobaczył pytam na co to, a oni mi wytłomaczyli że po sfermentowaniu będzie z tego kaszas to jest wódka. Aż mnie ciarki przeszły, że ja coś podobnego piłem i nigdy więcej już nie probowałem tego paskudztwa. Tym razem jednak wziąłem się im pomagać a że byłem zły że piłem właśnie takie niechlujstwo to ze zemsty gryzłem kukurydze i nie ża-

łowałem im mojej śliny a plułem do naczynia raz po raz. Były tam i stare baby i małe zasmarkane dzieci a wszystko to pluło uroczyście do naczynia jakby w jakiemś nabożnem natchnieniu. Gdy już naczynie pełne było tych spluwań skończyła się nasza parada i uroczyście i ostrożnie żeby tej świętości nie przelać wynieśli gdzieś na fermentowanie. Taki byłem tem obrzydzony że tego wieczoru nic jeść nie mogłem a później u bugrów tom i tak jeść nie chciał. Pewnego razu wysłał nas pan Sereneo na polowanie a sam został w domu, ja miałem wielki worek z wiradem (jedzeniem) i trzymałem psa a bugry nieśli strzelby i łuki, ja miałem pistolet i kilka naboi. Szliśmy ścieżkami i polowaliśmy przy źródłach gdzie dziczyzna chodziła wieczorem pić wodę. Bugry choć pan im zalecił aby mnie pilnowali, pewne będąc zazdrośni że mnie tak wyróżniał postanowili mnie się pozbyć i kazali mi stać w jednym miejscu a sami gdzieś poszli. Ja czekam na nich już południe minęło a ich niema, zjadłem bom miał przy sobie tę wiradę i czekam a tu nic — już nadchodził wieczór nikogo niema, strach mnie ogarnął zaczęłem hukać po lesie aż mnie brzuch od tego zabolał a tu ani słychać głosu ludzkiego. Widząc że to nie przelewki puściłem się nachybił trafił przed siebie i z psem uwiązanym do mego paska. Ale że to już był wieczór i zwierzęta dążyli do wody więc pies co chwila mnie szarpał, tak się rzucał za zwierzyną, nie było innego sposobu tylko go puścić bo utrudniał mi pochód. Puściłem go i tylem go widział. Zostałem tedy sam, zacząłem strzelać z pistoletu aż skończyły się naboje a tu nikogo nie spotykam ani nikt nie odpowiada, zrozpaczony tedy idę przed siebie zdając się na łaskę Boską. Księżyc świecił to i udało się posuwać i tak już dobrze po północy natrafiłem na leśną bude było to mieszkanie Rabukierskie (mieszaniec bugra z portugalem), po długich moich wołaniach podług zwyczaju Oj de kaza (Oh de casa) pokazał się w progu napół dziki Rabukier, gdym mu opowiedział że się zagubiłem w borze, zaprosił mnie do swej jamy i doczekawszy rana odprowadził mnie do mego pana który myślał że już straciłem się i pożarły mnie w lesie dzikie zwierzęta. Bo też w tych czasach to nie to co dziś gdzie cała puszcza przetrzebiona i tygrysy, pumy i inne dzikie stworzenia albo wyginęły albo przeniesły się dalej. Wtedy było tego drańcia obficie i w nocy nie

każdy odważał się zostać w lesie. Jakoś szczęśliwie udało mi się tym razem ale że byłem trochę mściwy więc obmyśliłem się zemścić na bugrach. Otóż gdy razu pewnego łowiliśmy ryby a na brzegu stał jeden bugier nazywał się Kri-kri niespodzianie pchnąłem go do rzeki, coprawda nie utonął i wnet wydostał się na brzeg, ale że to są ludzie bardzo mściwi zaprzysiągł mi śmierć w duszy. Ja uciekłem do domu ale mój pan dowiedział się o tem i także że Kri-kri chce mnie zabić nie pozwalał mi się oddalać od domu i zapowiedział żeby nikt nic złego nie zrobił. Kri-kri obiecał ale na mnie spoglądał z ukosa i aż ciarki mnie przechodziły na myśl co to będzie. Wtedy to przyszło mi na myśl uciec stąd do Ojczyma i choć mnie pilnowali to pewnego dnia umknąłem i po kilku dniach dostałem się do budy moich rodziców. Tu pozostałem krótko bo i bieda była i zawszem był w strachu że bugier się lada chwile zjawi. Że to jednak był czas robienia herwy więc zostałem pomagać Ojczymowi i nosiliśmy na plecach do kupca. Dystans był wielki i ciężko nosić ale trzeba było bo tak wszyscy robili gdyż koni nie mieli a żyć trzeba było. Po jakimś czasie będąc wciąż w strachu i zmęczony tą ciężką pracą wybrałem się do dalekiego stąd miasta Ponta Grossy która już wtedy była dość wielka. Gdym się już dostał do P. Grossy nie wiedziałem co ze sobą robić coprawda to już rozmówić się mogłem dobrze ale znaleźć zajęcie nie mając znajomych było trudno. Gdy się tak kręce po mieście i rozpytuje gdzie mógłbym się dostać choćby tylko za wikt spotkałem się z jednym bardzo grubym jegomościem który choć tęgi prędko szedł ulicą, gdym go zaczepił czy nie ma jakiej roboty, spojrzał na mnie zdziwiony i kazał iść za sobą. Po jakimś czasie przychodzimy do dużego sklepu pełnego towarów, ludzi się kręci bez liku subjektów kilku obsługuje freguezów, karosów natłoczone na ulicy a wszyscy ładują towary to zładowują herwe z ralgierów (ralgiery są to kosze uwiązane na grzbiecie koni lub mułów). Gruby pan wszedł do sklepu i prosto pakuje się do środka a ja za nim gdyśmy weszli do kancelarji pan mówi, chcesz tu zostać to mój sklep a ja nazywam się Senior Baptista, jak później się dowiedziałem był to bogaty fazenda a zarazem polityk Parański. Bez namysłu powiedziałem że chce i zaraz kazał mi pomagać ładować towary i ważyć herwe. Tu o mało nie straciłem mego miejsca od począt-

ku bo musiałem się przyznać że na numerach się nie znam bo do szkoły nie chodziłem i czytać ani pisać nie umiem. Był z tego niekontent bo właśnie takiego potrzebował coby przyjmował to jest ważył herwe. Ale popatrzywszy na mnie że smutny stałem i pewny że stracę to zajęcie, uśmiechnął się i mówi, no to nic będziesz zamiatał załatwiał sprawunki a czytać i pisać to się nauczysz nocami u mego znajomego profesora. I zostałem u niego, Seniora Baptisty. Był to pan całą gębą a słuchali go wszyscy, policja robiła co on kazał, a tu to nie robią dużo ceregieli gdy kto się nie podoba takiemu szefowi politycznemu. Gdy pan kazał to policja łapała jego przeciwników nabiła nahajami potrzymała w kozie a gdy się chciał skarżyć to drugi raz było gorzej. Cały dzień spędzałem pomagając w składzie a wieczorem zacząłem chodzić do szkoły profesora Rodzigierz Piuto, uczył po brazylijsku, ale miałem jednego znajomego nazywał się Stefan Ludkoski to ten mi pomagał się uczyć po polsku i tak po roku już dawałem sobie rady sam. Żałowałem później że nie kształciłem się dalej w szkołach, byłbym może zdał patent doktorski a tak to zostałem tylko prawdę powiedziawszy samoukiem. Ale była przeszkoda że się uczyć dalej nie mogłem, mianowicie po blisko dwóch latach jak byłem u mego Seniora Baptysty mój pan zaczął coś kwękać i coraz gorzej wyglądać, a ja wieczorami co miałem iść do szkoły to pilnowałem chorego i latałem do apteki. Po kilkunastu dniach mój panisko rozchorował się na dobre, sprowadziłem mu doktora, ale coś kiepsko było z nim bo doktór kazał zawieść chorego do szpitala ponieważ mój pan był kawalerem i nie było komu koło niego chodzić. Ale panisko ani słychać chciało o szpitalu i pozostał w domu a ja zostałem jego pielęgniarzem. Z początku to jeszcze nic, choć mało dał spać po nocach, co chwilę coś żądał że już nie wiem jak wytrzymałem. Choroba nie ustępowała, coraz było gorzej a ja co miałem zamiar uciekać od tego utrapienia, teraz już byłem jak uwiązany, bo wszyscy od chorego uciekli tylko ja sam zostałem. Było z nim tak źle że sam się obrócić na łóżku nie mógł, jakiś czas to lekarstwo do ust dawać musiałem. Choroba Seniora ciągła się bez końca a ja uwiązany do niego wytrwałem całe dwa lata. Miałem nadzieje że wynagrodzi mnie bo był bogaczem. Jest podobno przysłowie polskie „łaska pańska na pstrym koniu

jeździ" tak się i tu sprawdziło bo gdy mu było lepiej i już wstawał zrozumiałem że czas mój był stracony i nic od niego nie dostane. Ponieważ zatęskniłem do swoich więc pożegnawszy mego pryncypała puściłem się do Prudentopolis odwiedzić starych. Znalazłem wszystko inaczej jak zostawiłem. Moje zarobki wysyłałem Ojczymowi a on postawił mały ale porządny domek, lasu kawał wyrąbał i sadził rozmaite zboża, a inni też robili to samo więc widok ogólny się zmienił, już były drogi, koloniści mieli już swoje wozy, powstały też sklepy tu i owdzie. Zapomniałem powiedzieć że ta emigracja co my przyjechali to była estadualna to znaczy stanowa a później przyszła federalna to jest rządowa. Tymczasem zwitawszy się ze swoimi pomagałem im w robocie ale że miałem ducha niespokojnego więc nie mogłem usiedzieć spokojnie w domu. Zachciało mi się nowych przygód i tęskniłem za światem. Zdarzyło się że przyjechali do nas Turki z towarami bo oni mają taki zwyczaj że wożą na mułach swoje materjały płócienne i sprzedają po domach a że sklepów było jeszcze mało to i sprzedawali i robili dobre interesa. Gdy do nas zjechali wyładowali towar i sprzedawali to z kolonji zlecieli się ludzie kupować a ja jako już umiejący po brazylijsku zostałem tłomaczem i pomagałem do handlu. Spodobali sobie Turki bo mieli wygode i sprzedali więcej jak zwykle więc dalej mnie namawiać żebym do nich przystał a będą mi płacić po 40 milów miesięcznie. Po naradzeniu się z matką przystałem i puściliśmy się w świat durzyć ludzi. Ponieważ towaru już było mało, wyprzedawszy reszte wróciliśmy do Kurytyby po nowy sortyment. Jeździłem z nimi pół roku płacili regularnie aż tu raz gdy wjechaliśmy w lasy było to w Anurguy napadli na nas bandyty, zaraz z zasadzki zastrzelili Turka co jechał w tyle a ja widząc że to nie przelewki puściłem się w las bo byłem piechotą i prowadziłem obładowanego muła za uzde. W lesie zaszyłem się w krzakach i choć mnie szukali jakoś im uszedłem a byli bardzo blisko że myślałem jużem przepadł. Widziałem zbliska ich twarze, było ich trzech, jeden biały a dwóch ciemnych. Wstrzymałem oddech i polecałem się Panu Bogu myśląc że to mój koniec ale minęli i w końcu zabrali się zostawiając zabitego Turka a zabierając muła z towarem i pieniądze co Turek miał przy sobie. Myśle źle, trzeba się stąd wydostać i dać znać poli-

cji, bo jeszcze by się do mnie przyczepili a ja niewinny ledwiem z życiem uciekł. Poczekałem tedy do wieczora i puściłem się w droge trzymając się więcej zarośli bom myślał że może mnie gdzie czekają. Błądziłem tak całą noc i aż na drugi dzień około południa dostałem się do małej bodegi (sklepik w lesie). Ale że bałem się mówić com za jeden tom wymyślił że ide za robotą do miasta i pytałem się o droge. Dobrze że tak mówiłem, gdyż właśnie te zbuje byli tam i pili banas w drugiej stancji. Dobrze się im przypatrzyłem i poznałem a oni nie podejrzewali bo mnie nie widzieli i spodziewali się że to im Turek uciekł, posiedziawszy chwile we wendzie poszłem drogą do miasta gdzie zaraz udałem się do delegata i opowiedziałem mu całe zajście. Gdym mu skończył opowiadanie i chciałem się zabierać to mi nie pozwolił i dla wszelkiej pewności zamknął w więzieniu żeby nie uciec, bo myślał że może nieprawde mówie. Sołdatów policji było tylko dwóch na tym posterunku, więc zwerbował ludzi i wieczorem wziąwszy mnie za przewodnika udał się na miejsce wypadku. Doszliśmy już późną nocą, Turek leżał na tem samem miejscu tylko już go było czuć, że to tu gorący klimat. Zostawiwszy przy nieboszczyku dwóch ludzi, puścił się delegat z resztą i zemną do bodegi gdzie mówiłem że widziałem bandytów. Podeszliśmy cicho pod samotnie stojącą chałupę i dopiero gdy drzwi i okna poobsadzał ludźmi zapukał do środka. Długi czas nikt nie odpowiadał ale nareszcie odezwał się głos, że w nocy nie otwiera drzwi. Wtedy delegat już nie ukrywał kim jest i dał rozkaz otwarcia w imieniu władzy. Zrobił się rajwach w środku i za chwile zaczęli strzelać do nas ze środka. Wtedy wywaliliśmy drzwi i strzelając wpadliśmy. Jeden człowiek już leżał ranny a inni wypadli oknami, gdzie zostali uchwyceni przez czekających. Powiązaliśmy ich i czekali rana aby przetransportować do miasteczka. Pokazało się że ten kupiec leśny był wspólnikiem on pierwszy mnie teraz poznał. Wyzywał mnie od psów i odgrażał się za to że ich zdradziłem. Zaraz jak tylko rozedniało, zabrali bandytów powiązanych do miejskiego więzienia a ja musiałem kilka dni zostać aż skończyli śledztwo. Zjechali też Turki z Kurytyby po towary bo i te się znalazły i mało co brakowało a już do mnie to się przyczepili jak pijawki że to niby taki spryciarz zemnie że nie dałem przepaść towarom i znalazłem ban-

dytów. Dużo mnie chwalili i namawiali do dalszej służby u nich ażeby im pokazać że się nie boje to i przystałem do nich na nowo. Przyjechaliśmy do Kurytyby i zgodziłem się znowu ale już po 50 milów miesięcznie. Dostałem za patrona czarnego Turka nazywał się Miguel Jozee paskudny był z twarzy wygląd miał rzezimieszka. Tym razem dali mi pistolet i nóż z pochwą duży i pojechaliśmy znów w lasy. Wcale do przyjemności nie należy takie podróżowanie, ja szłem piechotą ciągnąc muła za uzde a Turek na koniu poganiał go i tak przez góry i rzeki coraz dalej wgłąb zapuszczaliśmy się. Gdy przyjechaliśmy do jakiej miejscowości więcej zamieszkałej, stawaliśmy u jakiegokolwiek Brazyljanina a drudzy wnet się dowiadywali i przychodzili kupować co komu trza było. Za kilka dni dalej w podróż i tak się pchało aż wszystek towar został sprzedany, później znów do Kurytyby po nowy sortyment i znowu de capo. W jednej z tych podróży miałem przygode która o mało nie skończyła się tragicznie. Było to po deszczach dość długo padających, przybyliśmy do rzeki która zwykle była mała ale teraz wezbrała i stanęliśmy dumając jak to będzie z przeprawą. Turek niedawno przybyły z swego kraju nie miał pojęcia o niebezpieczeństwie przeprawy i nalegał abym prowadził muła, zwracałem mu uwage że woda bardzo bystra ale on uparł się, więc zdjąwszy ubranie wpakowałem się w wode i ide, nagle w środku rzeki gdzie prąd był wartki straciłem grunt, zacząłem pływać, ale i muła spłynęła a mnie z ręki uzdeczka wypadła, muła spłynęła w dół z prądem. Widze że źle jeśli nie chwycę za uzde bo muła popłynie a może i gdzie utonie bo miała ciężar na sobie, Turek z brzegu krzyczy jak warjat, nie namyślając się dużo popłynąłem i po chwili już miałem uzde w ręku, po ciężkich tarapatach wydostałem się z mułą na brzeg. Towary pomoczyły się w wodzie i gdy Turek się przeprawił na drugą stronę przyszło do chryi. Rzucił się do mnie wściekły że mu poniszczyłem towary i chciał mnie bić batem, co ja widząc że nie przelewki wyciągnąłem pistolet, z twarzy widać mi poznał że to nie przelewki bo byłbym strzelał, więc ustąpił się, a już ja góre nad nim wziąłem i kazałem zaraz się puścić dalej w drogę. Turek miał zamiar suszyć zmoczony towar ale nie przystałem i puściliśmy aż do pierwszego domu zamieszkałego. Tam dopiero rozkulbaczyliśmy muła i zabrali do

suszenia towarów. W tej okazji opowiedziałem Brazyljanowi że Turek chciał mnie bić ale się nie pozwoliłem i byłem już pewny że uśmierce tego zwierzaka. Brazyljan widząc żem niedobry na Turka wziął mnie na stronę i dalej namawiać żeby go zgładzić ze świata i podzielić się jego majątkiem. Cóż to znaczy taki turkinio, nikt się o niego nie upomni tłómaczył mi i żebym przystał byłoby już po nim. Ale ja wychowany uczciwie na to przystać nie chciałem gdybym go był zabił w złości to co innego ale tak z rozmysłem to do mnie nie pasowało. Teraz to już i ja musze się strzedz tego Rabukiera bo gotów był nas obóch zgładzić. Nagnałem tedy Turka żeby dalej jechać, tak już wziąłem góre nad nim że mnie zaraz usłuchał i wyjechaliśmy. Z powodu tego zajścia tak mi obrzydło to podróżowanie że gdy tylko skończyła się jazda i wróciliśmy do Kurytyby do patronów co dawali towary to już im powiedziałem że więcej w lasy nie jade. Opowiedziałem im nasze zajście zaczęli na mego Turka krzyczeć, hańbić go powstał taki harmider bo i Miguel Jozee też krzyczał, skończyło się na tem że jego wyrzucili ze spółki ale ja i tak nie zostałem z nimi choć pensje mi podnieśli na 100 milów miesięcznie. Zostałem w Kurytybie kilka dni rozpytując się o jakieś zajęcie, trafiały się rozmaite ale nie do mojego gustu. Nareszcie dowiedziałem się że jeden inżynier organizuje ekspedycje na budowe kolei Sao Paulo Rio Grande która już była zaczęta ale dopiero doszła do Fernandes Piuheiro a teraz trzeba było prowadzić dalej aż do Porto Uniao z drugiej zaś strony to jest przez stan Santa Cathariny była druga turma ludzi na spotkanie się z naszą. Brakowało tylko kucharza, bo innych ludzi już było w dostatku. Ja kucharzem specjalistą nie byłem ale u Serenea nauczyłem się troche gdyśmy polowali albo wyjeżdżali w dalsze drogi, więc nie namyślając się przyjąłem ten poważny urząd. Po załatwieniu drobnych spraw i po zakupie rozmaitości żywnościowych jak to suszonego mięsa, konserw, fiżonu, ryżu, szmalcu etc. wyjechaliśmy koleją do Ponta Grossy a stamtąd prowizoryczną kolejką do Fernandes Piuheiro. Jak wspomniałem nie byłem specjalistą w kucharowaniu ale smak miałem dobry i potrawy gotowałem proste więc smakowało wszystkim i byli zadowoleni. Inżynierowi zawsze coś lepszego przyszykowałem i sam z tego korzystałem. Robota szła jak należy i choć pomału, wciąż posuwali-

śmy się dalej. W dzień robiło się rzetelnie a po nocach urządzaliśmy zabawy, śpiewy że aż huczało po borach. Chorowali też ludzie bo tu były niziny i zażywali lekarstw z małej wędrownej apteczki ale wypadków poważnych nie było. Nagle po kilku miesiącach przyszło pismo od dyrekcji kolejowej żeby przenieść się z taborem aż do Porto Uniao na kilometrze nie pamiętam już którym i wytrzebiać lasy idąc na spotkanie turmy pracującej ze strony stanu Santa Cathariny, bo był to bardzo niebezpieczny kawałek, zamieszkały przez dzikich bugrów botokudów i trzeba było się spiesznie złączyć z tamtymi ludźmi żeby w razie potrzeby jedni drugim pomogli. Zarządziwszy zwinięcie obozu wpakowaliśmy namiot na muły, narzędzia, garnki i żywność i puściliśmy się ścieżkami a gdzieniegdzie robiąc sami drogę do przedostania się do wskazanego przez władze miejsca. Bez wielkich przygód stanęliśmy na miejscu po kilkunastu dniach pochodu. Inżynier nasz zawiadomił że już jest na miejscu i zażądał więcej żywności bo nasza już się kończyła. Dostawaliśmy też regularnie przesyłki z P. Grossy i wzięliśmy się do rąbania lasów, robienia wymiarów, sypania torów i tym podobnych robót. Trwało to dłuższy czas mieliśmy spokój i prowadziliśmy wesołe choć pracowite życie. Razu pewnego jednak gdy właśnie spodziewaliśmy się nowego transportu żywności bo nasza była na ukończeniu dało nam do myślenia dlaczego tak długo nie nadchodzi. Czekamy i czekamy napróżno, inżynier już był zaniepokojony, ludzie też wyglądali transportu jak zbawienia, ja ukróciłem gotowanie żeby na dłużej starczyło i chodziliśmy kwaśni. Przyszło mi na myśl, czy to nie sprawa bugrów którzy może przejęli naszą żywność, zwierzyłem się z tego inżynierowi i dałem mu plan żeby kazał przed namiotem naskładać kupę wielką drzewa i co noc palić wielki ogień, jedno że dla bezpieczności jeżeli transport idzie żeby widzieli nasz ogień w nocy i pospieszali. Tak też zrobiono, ogromne stosy drzewa naskładaliśmy, postawiliśmy nocną wartę i oczekujemy co to będzie. Razu pewnego spadł wielki deszcz, wichura straszna pioruny, ale naszego ognia nie zagasiło bo był bardzo silny. Byłem wtedy na posterunku i w przerwach pomiędzy piorunami zwróciłem uwagę na pewne jękliwe głosy jakby piszczałki, z początku nie zeznawałem co to jest ale po chwili stanęły mi włosy na głowie po-

znałem że to są piszczałki bugrów bo takie same mieli bugry u mego dawnego pana Serenea. Zbudziłem też zaraz inżyniera i innych i powiedziałem o mem spostrzeżeniu. Przysłuchiwali się i rozpoznali że rzeczywiście są to jakieś znaki. Tej nocy jednak nie napadli na nasz obóz i nawet gdy rozedniało śmieli się ze mnie że to pewno tylko było gwizdanie wichru. Prosiłem jednak inżyniera żeby był ostrożny i dawał pilną warte nocną na zmiane bo coś będzie. Upłynęło tak kilka nocy, pilnowaliśmy wytrwale, aż tu raz gdy byłem na warcie a ogień się palił ostro zauważyłem od strony lasu zbliżających się ludzi, patrze dobrze a to bugry. Pobudziłem spiesznie towarzyszy, karabiny i winchestry były w pogotowiu, każdy wziął swego i dalej czekać aż się przybliżą. Czołgali się pomału, pewno chcieli nas dostać niespodziewanie a może rachowali że i śpiących. Czekaliśmy na sygnał inżyniera i gdy go dał strzeliliśmy jak jeden, siedem bugrów padło inni wrócili ale wnet większą kupą rzucili się znowu, może karkulowali że było to jednostrzałówki, grubo się pomylili bo znowu daliśmy ognia i znowu zatoczyło się kilku a reszta z krzykiem zwiała do lasu. Tej nocy napad już się nie powtórzył. Rano zastało nas na stanowisku ale nikt nie miał odwagi wyjść przekonać się czy bugry czatują na nas, gdy tak naradzamy się wyjść nie wyjść pomyślałem sobie, raz kozie śmierć i wydostałem się na polankę. Za chwile obejrzawszy się na wszystkie strony krzyknąłem do naszych, niema niebezpieczeństwa, bugrów niema ani znaku. Wtedy wyszli wszyscy i uspokoili się, ale inżynier był niespokojny, poszliśmy oglądać trupy bugrów, dwóch jeszcze żyło i jęczało, ale nie mogliśmy się zajmować opatrunkiem więc żeby się nie męczyli, kazał ich inżynier dobić co zrobił Chico Picapau (sziko pikapau) jako najtwardszego serca, co mu na dobre nie wyszło jak później opowiem, miał wnet odpłacić życiem zato, choć nie od bugrów. Zaczęliśmy radzić co dalej robić zostać było niebezpiecznie bo bugry zwoławszy więcej ludzi mogli nas przydusić i żywności też nie było. Rozmaite plany były to się zabarykadować to posłać jednego po pomoc ale wszystko nie było praktyczne, zostać źle bo i żywności nie było, wysłać jednego niebezpiecznie i nie było ochotnika na to. Stanęło na tem że wyjdziemy wszyscy bo muły trza było zostawić i wszystkie przyrządy gdyż posta-

nowiliśmy iść ścieżkami i kierować się bussolą i jak najmniej robić hałasu żeby umknąć niebezpieczeństwu. Zabrawszy więc winchestry i rewolwery, amunicje i resztki pożywienia puściliśmy się w drogę rachując że bugry choć by przyszli to jakiś czas będą wstrzymywali się od napadu bojąc się zasadzki z naszej strony, mając już dobrą nauczkę. Wpakowaliśmy się w lasy idąc ostrożnie i stając na noc gdzie się ściemniło. Nie rozpalaliśmy ognia aby nie dawać znaku bugrom, których więcej baliśmy się od dzikich zwierząt. O spaniu nie było mowy, drzemaliśmy chwilami od zmęczenia ale komary nie dawały nam spokoju, gryzły zapamiętale i zrobiły z nas prawdziwe poczwary popuchnięte i krwią ociekające. Co to była za podróż aż ciarki biorą wspominać, trzęsły się nogi od słabości bo głód dokuczał, cośmy wzięli ze sobą już było zjedzone żyliśmy przeważnie palmitą, jest to pewien gatunek palmy, której rdzeń jest jadalny i dobrze przyprawiony nawet smaczny, przypomina smakiem grzyby, ale tak na surowo było to obrzydliwe, a i to jeszcze nie zawsze było pod ręką, ognia nie mieliśmy, komary kąsały, strach nas jednak pchał dalej bo z ręki bugrów ginąć nie mieliśmy ochoty. Trwała już kilka dni nasza podróż, stanęliśmy już nocą na nocleg w pewnej małej leśnej polance, zmęczeni byliśmy okropnie że już zdawało się nie dojdziemy nigdy pomiędzy ludzi coby nas poratowali. Już i niektórym wszystko jedno było czy zginą czy się uratują tylko energja inżyniera trzymała nas w karności. Siedzieliśmy tak drzemiąc była pełnia księżyca jasno było jak w dzień gdy tu nagle usłyszeliśmy daleki szmer który się coraz to zbliżał i coraz wyraźniejszym się stawał. Wnet zmęczenie opuściło nas zerwaliśmy się na nogi myśląc w pierwszej chwili „bugry", ale po jakimś czasie gdy szmer coraz więcej zamieniał się na trzask, łamanie gałęzi to poznaliśmy że bugry w taki sposób nie podchodziliby musiało to być co innego. Przysłuchując się uważniej rozróżniłem oprócz hałasu sprawianego łamaniem gałęzi, takie kłapanie zębami i krzyknąłem przerażony do naszej gromadki, to dzikie świnie i stado bardzo duże, ratujmy się bo nas rozszarpią, rzeczywiście znałem już te stworzonka z pobytu u Serenea są to najniebezpieczniejsze dzikie leśne bestje jakie w puszczach Brazylji spotkać można. Idą całymi stadami po 500 i więcej sztuk wynoszącymi i co po drodze zdybią

niszczą bez ceremonji. Nawet pumy i tygrysy im ustępują z drogi bo rzucają się kupą i rozdzierają nieprzyjaciela w kawałki. Cały ratunek jest wspiąć się na drzewo albo choć na wysoki średnio pień bo te dzikie świnie (Porcos de matto) nie podnoszą łba i tylko nisko go trzymają więc na jakiemś metrowym albo półtora metrowym wywyższeniu będąc można spokojnie patrzeć jak przechodzą. Gdy usłyszeli o dzikich świniach każdy poszukał sobie drzewo na które wylazł ja i inżynier wpakowaliśmy się razem na pimentejre rozgałęzioną i wzięliśmy ze sobą winchestry. Za niedługą chwilę usłyszeliśmy coraz zwiększający rumot, zgrzytanie zębów i nie upłynęło ani pół godziny a już pokazał się herszt bandy, wielki dzik chudy pokąsany ale prowadzący stado a za nim z kwikiem i hałasem ciągła tropa dzików roznosząc fetor nie do zniesienia. Tu muszę nadmienić że ciekawa historja jak te świnie obierają sobie przodownika, otóż wygląda to jakby się ze sobą zmawiały i upatrywały którego wybiorą a gdy już sobie upatrzą tą ofiarę to rzucają się z kłami do niego i wypychają go naprzód siebie, są takie okazje że wybrany na kacyka wieprz nie rozumie tego jaki go zaszczyt spotyka i bije się z przeciwnikami wtedy okropnie go poranią aż zrozumie że opierać się nie warto i ucieka na front tropy wtedy go gnają wprzód siebie i gdy się tylko ociąga znów kłują go kłami, więc wciąż musi się mieć na ostrożności i pakować naprzód aż zrozumie że zrobili go przewodnikiem stada i wtedy staje się więcej honorowym i on wtedy rozdaje cięcia dla tych co się zanadto do niego zbliżają. Są też i takie dziki co wnet się w sytuacji połapią i te bardzo nie ucierpią bo pchną się naprzód i już prowadzą całą tropę. Najgorzej ma taki kacyk od wszystkich świń w przeciwieństwie do rządzących krajem ludźmi bo zamiast tego żeby jako przodujący opływał w dostatku, musi tylko po drodze chwytać pożywienie i jeść uganiając. Gdy się dostaną na rosę milgi to jest na plantację wyniszczają ją niemal doszczętnie, ale kacyk ten co tylko złapie kolbe z kukurydzą to jej spokojnie zjeść nie może bo z tyłu już nadchodzą inne dziki i już go szturmują tak że spokojnie zjeść nie może tylko wciąż uganiając naprzód. Taki to nieszczęśliwy los wodza dzikich świń. Ale wróćmy do naszej sytuacji która wcale do pozazdroszczenia nie była. Trzymaliśmy się gałęzi w niewygodnej

pozycji i czekaliśmy aż ta banda się przewali dalej wgłąb. Tu zdarzył się tragiczny wypadek otóż Chico Picapau ten właśnie co dobił bugrów wlazł na cienkie drzewo i już od jakiegoś czasu trzymał się gałęzi nerwowo bo gięła się i trzeszczała. Właśnie chciał złapać się za inną mocniejszą gdy gałąź się urwała i biedny krzycząc ratujcie koledzy wpadł prosto w środek świń, strach było patrzeć co się stało, świnie poczuwszy obcą istotę pomiędzy sobą rzuciły się na niego i nie upłynęło kilku minut a już był rozszarpany w kawałki, pochód świń na chwilę wstrzymany poszedł dalej, gdy już się kończył i tylko pojedyńcze słabsze sztuki wlokły się z tyłu wpadł na jedną z nich tygrys który zawsze się włóczy za stadem i uszarpuje po sztuce idące z tyłu słabsze dziki. Proceder jego jest ciekawy. Otóż wiedząc że świnie są bardzo solidarne w własnej obronie i wracają się na krzyk jednej gdy ją kto napadnie i rzucają się gromadnie na przeciwnika, więc tygrys tak długo za nimi idzie aż upatrzy sobie pochyłe drzewo żeby uśmierciwszy ofiarę gdy inne biegną na pomoc skoczyć na pochyłe drzewo i przeczekać pierwszą furję. Gdy się uspokoją i idą dalej to zabiera się do zjedzenia swej ofiary. Nasz tygrys nie był innym od swych współbraci, rzucił się więc na dzika obalił go wpił mu kły w gardło i odskoczył bo już na kwik świnie wróciły się bronić swego rodaka. Ja i inżynier byliśmy na najbliższym drzewie gdzie ulokował się tygrys, widzę sytuacja niedobra, pozbędziemy się dzików będziemy mieli do czynienia z tygrysem. Więc mówię do inżyniera, strzelajmy do tygrysa póki jest w strachu przed dzikami bo później to on nam się da we znaki. Inżynier bał się ale wreszcie zgodził się i wymierzyliśmy do niego, ja celowałem pod łopatkę a on prosto w łeb. Myślę że mój strzał był pewniejszy i z przyjemnością biorę śmierć tygrysa na moje sumienie choć inżynier dowodził że to jego kula ubiła tego krwiożerczego zwierza. Jakoś po strzale zwalił się na dół i dziki wnet go rozszarpały, tak że nie było co zdejmować skóry bo była pocięta na kawałki. Po tej ostatecznej przygodzie już za jakiś czas mogliśmy zejść z drzew i wyciągnąć członki, z dzika którego inne się nie dotknęły poodrzynaliśmy kawały mięsa i schowaliśmy na drogę. Doczekaliśmy szczęśliwie rano i puściliśmy się dalej w drogę która już była bez ważniejszych przygód i tak dotarliśmy do brzegu rzeki

Iguarzu w tem miejscu będąca na 20 metrów szeroka i bardzo głęboka. Stanęliśmy bezradni nad brzegiem i radzimy jak tu się przedostać na drugą stronę. Rzeka głęboka brzegi spadziste a oprócz mnie żaden pływać nie umiał. Przypomniałem sobie wtedy że bugry do przewożenia rodziny przez głębsze rzeki ucinali trzcine wiązali w pęki na nich usadzali dzieci — kobiety i pływając popychali naprzód ten prowizoryczny prom. Wzieliśmy się więc do roboty nacięliśmy dużo trzcin i zrobiwszy jeden dość duży pęk wpakowaliśmy go w wodę, ja rozebrałem się i gdy wsiadł na pęk jeden z towarzyszy, jedną ręką pchając a drugą płynąc przedostałem się na drugi brzeg w ten sposób odpoczywając przewiozłem całe bractwo na drugą stronę gdzie już nie obawiając się bugrów bo nas dzieliła rzeka zrobiliśmy ogień i upiekliśmy mięso z zabranego dzika zabitego przez tygrysa choć było bez soli smakowało nam wyśmienicie. Na drugi dzień rano poszliśmy już z lżejszem sercem dalej dążąc do Malletu. Gdy już uszliśmy pół dnia drogi od rzeki zwróciło uwagę naszą mnóstwo korw krążących w koło (korwa — wrona) a też przeszedłszy bliżej poczuliśmy tak ciężkie zepsute powietrze, że mieliśmy zamiar okrążyć dookoła te smrodliwe miejsce ale jakieś przeczucie mówiło nam żeby się przekonać co to takiego. Pomimo więc tego strasznego zaduchu podeszliśmy bliżej aż już choć jeszcze zdala dało się poznać szczątki ludzkie, wtedy już pomimo smrodu okropnego zbliżyliśmy się całkowicie i wtedy poznaliśmy że to są szczątki naszej ekspedycji ale w jakim stanie tylko porozwłóczone kości z przyschniętym śmierdzącem ciałem czaszki zielone miejscami z robakami łażącemi oczodołami pustemi a właściwie nie pustemi bo ciekącemi krwawemi łzami, te łzy coprawda były tylko rozpadającym się mózgiem do którego dostały się muchy i naznosiły tyle jaj że teraz po wylęgnięciu się musiało się roić w tych głowach i przez oczodoły ciekła brudna ciecz. Straszny był to widok tak więc padli ci na których nadaremnie oczekiwaliśmy tak długo i mogliśmy oczekiwać bez końca, bo tylko ich duchy mogły nas w snach nawiedzać. A my ani łopaty żeby pogrzebać te okropne resztki patrzeliśmy chwile ze ściśniętem sercem, myśląc zarazem co to jest życie ludzkie — tu pełen marzeń i nadziei a tu już o ile nie pochowany cuchnący jak każdy inny bydlak kawał zepsute-

go mięsa. Nie dało jednak dłużej rozmyślać bo zepsute powietrze pełne brzęku fruwających lśniących much było nie do zniesienia. Zmówiwszy wieczny odpoczynek za te dusze puściliśmy się smutni w dalszą drogę. Ja choć głodny byłem i jeść nie mieliśmy co tego dnia choćby najlepsze przysmaki nie przeszły by mi przez gardło, tak byłem obrzydzony i zdenerwowany. Co to był za odwrót, słabi słaniający się na nogach trzymani tylko nadzieją rychłego spotkania jakiego mieszkańca coby nas poratował, wlekliśmy się i już zdawało się że nie wydostaniemy się z tych labiryntowych ścieżek które zdawało się że nas tylko w kółko wodzą bo przed sobą wciąż widzieliśmy tą samą panoramę. Po długich jeszcze wędrówkach z małymi mniej znaczącymi przygodami dotarliśmy do Malletu gdzie znaleźliśmy opiekę i należytą wygodę. Pozostaliśmy kilka dni aby przyjść do siebie udaliśmy się do Ponta Grossy gdzie nasz inżynier podziękował za dalszą służbę i tak rozeszliśmy się. Tu trzeba nadmienić że na miejsce naszego inżyniera znalazł się drugi ale temu nic się nie stało, spokojnie dokończył wymiaru i skończyli budowę kolei żelaznej Sao Paulo Rio Grande. Widać że bugry dali za wygraną i rzucili się w głębie puszczy. Ja prosto z Ponta Grossy udałem się do stolicy stanu Kurytyby razem ze znajomym moim niemcem Hajzerem który pracował w Kurytybie u pana Franklina Soaresa, gdzie mnie zaprowadził abym zaczął praktykować na fotografa. Bardzo mi to przypadło do usposobienia, starałem się poznać wszystkie tajemnice fotografji retuszowałem i t. d. Zaraz na początku dostałem całkowite utrzymanie i kilkadziesiąt milów miesięcznie. Przyjmowałem gości odbierałem należność, ustawiałem aparat pomagałem stanąć w odpowiedniej pozycji, później już sam fotografowałem a już do czego miałem zdolność a właściwie gust to do zdjęć naturalnych. Te same niby krajobrazy przy moich zdjęciach były inne jakby żywe zwracające uwagę. Pan Franklin Soares to zauważył i posyłał mnie często na interior to znaczy wgłąb kraju abym mu przywoził widoki. Z tego też powodu byłem osobistym świadkiem zawieruchy na granicy Parany i Santa Cathariny pod znaną nazwą guerra dos fanaticos (wojna fanatyków). Było to wtedy akurat jak ja najspokojniej w świecie zdejmowałem cudne krajobrazy w okolicach Porto de Uniao nad rzeką Iguassu i w górzystych miejscach. Już

gdy przybyłem w te strony z Kurytyby dawała się uczuć jakaś anormalność coś się unosiło w powietrzu, wszyscy mówili o jakichś ludziach zwanych fanatykami których nikt nie widział o ich czynach gdzieś tam o czem słyszał ale nie wiedział dobrze gdzie to się stało i tak dalej. Te rozmaite rozmaitości codzień powtarzane z ust do ust przestały działać jako nowość, ludzie się z tym zżyli i mówili o tem jak o czemś naturalnem ale dalekiem nie obchodzącem zbliska nikogo. A wybuch który kosztował życie tysięca ludzi i miljony strat był bliski jak to wnet opowiem. Muszę teraz zwrócić uwagę że od mych ostatnich wspomnień co do okolic Porto Uniao upłynęło już lat kilka, przez ten czas jak to w nowym kraju zaczęło się kolonizowanie zakładanie tartaków, sklepów rozmaitych fabryczek i niedawno dziki kraj i niezamieszkały zaludnił się jakby czarodziejsko. Porto Uniao i Uniao de Victoria w tych czasach było to jedno osiedle należące do stanu Parana i tereny Parańskie ciągnęły się jeszcze daleko na południe. Stan Santa Cathariny dużo mniejszy od Parańskiego zazdrościł tych ziem należących do Parany ale dusił w sobie do czasu tą zazdrość. Widząc jednak że coraz to więcej zaludnia się granica pomiędzy dwoma stanami ale bogactwo ziem jest po stronie Parańskiej wymyśleli szatański sposób aby dokuczyć Paranie albo i zrabować jej kawał ziemi. Znając prymitywny sposób życia i myślenia mieszkańców leśnych, nasłali z S-ta Cathariny agitatorów, którzy o niczem innem nie mówili jak tylko o jakimś nowo powstałym proroku Joao Marji i który żyjąc tylko roślinami i Bożem słowem prorokuje dużo nieszczęść z powodu złych obyczajów ludzkich. Zaostrzając w ten sposób ciekawość Kaboklów (mieszkańców leśnych, mieszańców murzynów z portugalami, albo indjan z portugalami) zrobili to że każden z nich oczekiwał tylko okazji aby spotkać się z tym świętym człowiekiem profetą jak go nazywali. Znów muszę odejść od tematu aby zrozumianem była chytrość polityków S. Kataryneńskich, otóż Joao Maria de Jesus znany ogólnie profeta nieszkodliwy osobnik był to podobno dawniej ksiądz Jezuita który obrzydziwszy sobie świat pełen fałszywości przebiegał kraj Brazylijski w stanach Parany, Matto Grosso, Santa Cathariny i innych wszędzie ludzi namawiając do pokuty i prorokując że przyjdzie czas że będą z głodu umierali pomimo urodzajności tej świętej ziemi

i że słońce wypali wszystko oszczędzając tylko mandjokę jako najwięcej wytrzymałą na gorąco mówił więc sadźcie mandjokę bo tylko tem utrzymacie się przy życiu. A że był człowiekiem pod każdym względem beznagannym nic od nikogo nie przyjmującym, obywającym się roślinami leśnymi, czasem tylko od wybranych w względzie łaski przyjmował szklankę mleka, więc go szanowali i przyjmowali jego nauki i proroctwa. Ten oto człowiek tkwił w ludzkiej wyobraźni i choć już od dłuższego czasu zaginęła wieść o nim wskrzesili go emisarjusze z Santa Cathariny, mówiąc że pokazał się znowu i przepowiada że będzie źle jeśli ludzie się nie poprawią. A teraz ta poprawa to już była dobrze uplanowanym sposobem żeby zrobić chryje w miejscowości zwanej Contestado (Kontestado) były to ziemie właśnie które Santa Catharina chciała do siebie przygarnąć. Namówili jednego głupiego ale dużo o sobie myślącego osobnika żeby udawał profetę, był to jak się później dokazało niejaki Jose de Deus. Mieszaniec negrów z Portugalami, ambitny ale zmysłowy będąc prawdziwym kretynem nie potrzebował długiej namowy, bo sam wnet uwierzył że jest nadzwyczajnym człowiekiem, szczególnie że jako do proroka zaczęli mu sprowadzać rozmaite chore dziewczęta aby ich leczył, a on każdą z nich wprowadził na złą drogę. Jakie jednak tu ciemne pojęcia. Ojciec przyprowadzał swą córkę do tego fałszywego proroka, ten kazał ją zostawić u siebie na noc a na drugi dzień gdy ta mówiła ojcu o swej krzywdzie to nie robiło żadnego wrażenia przeciwnie było uważane jako błogosławieństwo. Takiego osobnika wybrali sobie politycy na zrobienie rozruchów w spornym kawałku (bo już mieli pretensje do tej ziemi i chcieli zrobić pretekst że Parana nie utrzyma porządku w tym obszarze). Ażeby ludzi podburzyć zaczął fałszywy prorok wygłaszać że źle się dzieje na świecie i że tylko rząd Parański temu winien więc powinni się rzucić na ludzi tu rządzących bo w ten sposób uwolnią się od odpowiedzialności po swej śmierci i będą szczęśliwi. Propaganda ta trwała lata i wokoło wrzało wszystko tylko rząd Parański ufny w sobie nic sobie z tego nie robił nie przypisując tego polityce stanu sąsiedniego. Aż tu właśnie gdym spokojnie zajmował się fotografowaniem pięknych okolic przyszło do wybuchu. Jose de Deus ale nazywając się Joao Maria de Jesus już miał całą bande ludzi koło siebie

zorganizowaną, zaopatrzoną w rozmaitego rodzaju broń, wydał hasło mordowania niewinnej ludności i urzędników Parańskich. Gdy te pierwsze rozruchy doszły do Kurytyby wysłali trochę policji i myśląc że to tylko jakaś szajka którą się da uśmierzyć raz dwa. Ale gdy się przekonali że sprawa jest poważna wysłali cały oddział pod naczelnym dowództwem kapitana Jauga de Gualberta aby uspokoił tę zawieruchę. Biedny kapitan nie tylko nie uspokoił ale przypłacił życiem swe poświęcenie. Byłem akurat w Porto Uniao jak dali znać że w pewnym spotkaniu w lesie fanatyki zabili Jauga de Gualberta i mają go przywieść lada chwila do wysłania ciała do Kurytyby. Było to przez nieroztropność policji naszej. Gdy szli na spotkanie się z bandą fanatyków mieli ze sobą karabin szybkostrzałowy (metraljadore) ale że byli nieuważni pozwolili napchać się piasku do rury. W chwili gdy pokazali się fanatycy kapitan Jaugo Gualberto ustawił swą dywizję do walki, zaczęła pracować metraljadora fanatycy rzucili się na nich i metraljadora nie funkcjonowała więc kapitan rzucił się poprawić co brakowało ale fanatycy nie dali na to czasu i zarąbali go przy robocie a żołnierze rozpierzchli się ale mało się wyratowało bo po lasach ich wymordowali. Przerwałem wtedy me fotografowanie i wróciłem do Kurytyby razem z ciałem Jauga Gualberta byłem obecny na pogrzebie który był prawdziwą manifestacją ludzi ze stolicy dla poległego bohatera. Z dalszych wypadków co do tej sprawy Constestada wypada mi nadmienić że ciągła się aż do czasu gdy objął rządy stanu Parany gubernator Alfonso Camargo i dla zakończenia Parana oddała część swych terytorjów objętości 40 tysięcy kilometrów kwadratowych, wzamian za 700 kil. kwadratowych od strony S. Paula. Kwestja ta była załatwiona w czasie gdy prezydentem był Dr. Epitacio Pessoa, który wpłynął aby Sao Paulo wyrzekło się 700 kil. kw. swych ziem ze szkodą 40 tysięcy kil. kw. należących się Paranie. Parana straciła na tym interesie ale dla świętego spokoju przystała na to. Swoją drogą miejsca które zajęła nie są do pogardzenia bo dziś już zaczynają robić konkurencję stanowi Sao Paulo, są to miejscowości Bom Successo, Ouro Fino i inne gdzie dziś mamy wspaniałe plantacje kawy która rodzi inaczej jak w stanie sąsiednim. Mamy statystykę gdzie wypada że teren Parański produkuje na tym

samym obszarze 3 i 4 razy więcej co w S. Paulo na starych plantacjach. Straciliśmy obszary obfite w herwa matte na granicy S. Cathariny — Parana a dostaliśmy choć małe ale dobre tereny na plantację kawy która już dziś robi konkurencję Sao Paulowi. Po mym powrocie do Kurytyby pracowałem dalej w firmie Francisco Soares aż dostałem list od Matki która już była stęskniona za mną. Wyrównawszy me interesa w Kurytybie pożegnałem się z mym pryncypałem obiecując mój rychły powrót, powędrowałem do naszego świętego Prudentopolis, nazywam tak świętego bo w tym czasie już mieliśmy ruską cerkiew, polski kościół i budował się kościół brazylijsko-niemiecko-włoski, oprócz tego był ewangelicki więc było prawie że więcej kościołów jak ludzi i przez to mógł uchodzić Prudentopolis jako święte miasto. Będąc już w Prudentopolis gdy dowiedział się szef kolonji że jestem fotografem przedstawił mnie doktorowi Correi który był naczelnym zawiadującym i zaproponował mi abym objął posadę oficjalnego fotografa który miał za obowiązek zdejmować zdjęcia z osad i plantacji formowanych okolic. Jak już na początku wspomniałem pierwsza emigracja była na koszt stanowy, druga była na koszt federalny, w tej właśnie okazji było wszystko pod zarządem federalnym, który opiekował się emigracją i który chciał zdawać relacje ze swej pracy. Będąc blisko swoich i mając dobry zarobek przystałem na ich propozycję, warunki były takie: wszystkie koszta podróży na koszt rządu a zdjęcia ja robiłem cene co do każdej miejscowości. Rozchodziło się rządowi o zdjęcia plantacji zbóż i jak mieszkał kolonista, jakie były drogi komunikacyjne, jak zamieszkiwał jak wyglądał teren dziki, jakie było prowizoryczne mieszkanie kolonisty i tym podobne tematy. Jestem teraz zobowiązany nadmienić że o ile rząd federalny zajmował się emigracją była ona traktowana bardzo serio gdyż rzeczywiście poświęcenie się rządu federalnego jest godnem uwagi. Rząd federalny nie życzył sobie aby nowy ich obywatel czuł się zrażonym od samego początku i dlatego ułatwiał mu ciężką pracę w borach dając instrukcje jak mu pracować należy dając pracę przy drogach i parcelując płacę za ziemie do kilku i kilkunastu lat, tylko aby się kolonista osiedlił. Wogóle rząd brazylijski jest jednym z rządów światowych który ma ludzkie uczucia w sobie jest on

rządem idealnym. Daje wolność myślenia każdej nacji że kto tylko tu przybędzie bez względu na to czy jest Niemcem, Polakiem, Portugalem, Francuzem czy kim innym może zachować swą narodowość i jest dobrze widzianym. Dlatego też my Polacy pomimo tego iż dążymy do naszej idei Wolnej i Niezależnej Polski tam za Oceanem tu czujemy się dobrze, jest to jedyny kraj na świecie gdzie nie czuje się przymusu. Po krótkim namyśleniu zgodziłem się i zacząłem pracować na tym terenie a był to teren duży bo obejmował Prudentopolis, Vera Guaramy, Herval, Apucarana, Cruz Machado i inne mniejsze miejscowości. Zdjęć z tamtych czasów mam dużo, jak się kolonja organizowała jak już była sama sobą, mosty, roboty dróg, cięcia lasów jak też fotografje osobistości w tej epoce mających główną rolę. Piękne zdjęcia z wodospadów i dzikich okolic mam do dziś dnia, takie różne wydarzenia miejscowe jak polowanie, wycieczki i t. p. Kupiłem w tym samym czasie pewne posiadłości w mieście i okolicy z mych zarobków. Poznałem w czasie mego pobytu w Prudentopolis jedną rodzinę rusinów dziś się nazywającą ukraińcami nazwiskiem Lopotiuków. Mój rówieśnik Wasyl Lopotiuk był to człowiek inteligentny umiał czytać po polsku a że właśnie wyszły dzieła Henryka Sienkiewicza Ogniem i mieczem — Potop i Pan Wołodyjowski zaczął je czytać głośno w swej rodzinie gdzie ja jako zaproszony uczęszczałem. Jak mi się to dziwno wydawało gdy on czytał te wszystkie przejścia naszego narodu ale tyle uczułem że gdy przyszło do zabicia Podbipięty to nasz niby rodak ale rusin wyraził się: widzisz Michał — polaczok co tyle ludzi ubił idzie żywy do nieba i nie rozumiał pewno ofiary tego pana Podbipięty tylko swą nienawiść do Polaka. Nie widział poświęcenia się tego rycerza na zbawienie obozu od mordu ale widział tą nienawiść ciągle idącą naprzód propagowaną przez niemców albo rosjan. Mamy tu kolonizację ruską w największej części tak że nasza okolica jest zamieszkałą w 9/10 części przez Rusinów. Cząstka Polaków trzyma się bo honor na to zmusza ale gdyby nie wystąpienie księdza Ludwika Bronnego który pracował na to żeby nie odrywali Rusini naszych ludzi do swego obrządku, to pewno do dziś dnia nie moglibyśmy utrzymać swej narodowości. Był czas że gdy jeszcze nasz naród był pod zaborami tutejsi redaktorzy tygodnika wychodzącego w Prudentopolis pod tytułem „Praca" robili tak silne naganki na naród polski że robiły

się z tego prawdziwe tragedje. Sąsiad zabijał sąsiada niewiadomo dlaczego, sam pewno nie wiedział ale główną role na siebie brał tygodnik „Praca" który zamiast pouczać swych ludzi aby w tym kraju brali się do pracy i zapomnieli co się dzieje za kordonem, wznawiali krwawe dzieje i dążyli do krwi rozlewu, na terenie brazylijskim pomiędzy niewinnym narodem. Choć dziś ich polityka się zmieniła i nie tak ordynarnie występują przeciw naszej nacji, jednak nie mogę się wydziwić gdy widzę jak ich traktują pod Bolszewikami, jednak oni mają śmiałość występować przeciw naszemu rządowi który ich traktuje jako współobywateli. Nie dorośli jeszcze do tego aby mieli zrozumienie o swym honorze i swej niepodległości. Do dziś dnia tylko mają krzykaczy i myślą że tem porwą tłumy, tymczasem ta masa tłumów nie wierzy w nich bo widzi że nie ideał ich prowadzi do celu ale interes. Gdyby nie to że zjawił się u nas pewnego razu pan Sadowski i opowiedział że Polska jest silna to już bylibyśmy pomyśleli że pomimo tego że zmartwychwstała jest słaba, tak tu ukraińcy góre brali. Ale gdy nam opowiedział wszystkie przejścia i wzmocnił nas na duchu i zaproponował stworzenie „Junaka" i wytłumaczył jakie są jego ideje to zaraz zrobiło nam się lżej na sercu i przystąpiliśmy ochotnie do założenia tego stowarzyszenia. Odlatuje co chwila od czasu, powinienem był wspomnić jak przyjęliśmy po wojnie uznanie niepodległości Polski. Gdy nas ta wieść doszła i zapowiedzieli że prędzej im wyrosną włosy na dłoniach jak tu przyjdzie przedstawiciel naszego kraju. My tu garstka mała ale gdy naprawde dowiedzieliśmy się że przyjeżdża konsul pan Głuchowski straciliśmy wprost rozum od uciechy i w porozumieniu z naszym proboszczem urządziliśmy przyjęcie ze sztandarami a że ruska kolonja chciała urządzić jakąś hecę żeby sprofanować tą uroczystość tośmy zażądali pomocy policji i tak uroczyście odbyło się powitanie pierwszego konsula. Ale wracając do Junaka, Pan Sadowski zorganizował zarząd i przyczynił się do wstąpienia do Junaka 52 członków którzy pracowali i do dziś dnia pracują aby nie dać upaść tej ostoi Polskości w terenie po większej części zamieszkałej przez Rusinów. Pracują ale brak książek polskich i pomimo że prowadzimy korespondencję z Polską nie odnosi rezultatu. Trzeba zwrócić uwagę że tu właśnie w Prudentopolis jest centrum gdzie walka o swą indywidualność jest w napięciu. Kolonja ruska jest wielka, nasza ma-

ła — gdy nie będzie pomocy osłabi się nasza indywidualność. Rusini mają ponad 16 tysięcy rodzin my tylko 500 rodzin. Jeśli nie dostaniemy pomocy zejdziemy na zero. Z okazji pierwszego przedstawiciela Polski posyłam Wam moje zdjęcie jak był przyjmowany w naszem miasteczku, pozatem posyłam inne fotografje z naszego tu pobytu. Pomyślcie tylko jak dusza polska czuje z wami razem gdy ja pomimo że wyjechawszy z Polski pod zaborami jako dzieciak dziś jeszcze tylko żyje wspomnieniami i tem co się tam dzieje i pomimo tego że już jestem stary zawsze tylko mam nadzieje że albo na Kościuszce albo Pułaskim zawitam do Was i oddechnę tym naszym powietrzem choć przez chwilę. Przed kilku laty straciłem moją siostrę Różkę, wydana była za Rusina po kilku latach pożycia małżeńskiego zachorowała poważnie i trzeba było poddać się operacji, postarałem się o przejazd do Ponta Grossy do kliniki doktora Burgia operatora i już wszystko miało być zrobione gdy jej mąż oparł się mówiąc że nie chce aby jego żonę krajali, co było z głupim robić, Różka jako to żona słuchała męża i choć namawiałem i tłumaczyłem ofiarowałem się ponieść koszta operacji, nic nie pomogło. Dałem jej tedy pieniędzy na podróż powrotną do Prudentopolis a sam wyjechałem znów do Kurytyby. Niedługo pobyłem w naszej stolicy gdyż otrzymałem telegram aby powracać. Spodziewałem się wszystkiego najgorszego. Zastałem jednak jeszcze siostrę żywą, niedługo już była z nami bo jak się dowiedziałem po swym tu przyjeździe pomimo że już słabą była, wzięła się wyciągać konia z topieli i przeziębiła się bo w wodzie długi czas stała. Tak to i przyśpieszyła śmierć sobie. Pochowalim ją na cmentarzu na linji Esperansie. W kilka lat potem pomarł mój Ojczym i tego pochowano na kolonji Esperanca a Matkę tom wziął do miasteczka Prudentopolis i już tu ją pochowałem na cmentarzu miejskim. W taki sposób pozostałem sam jeden jak patyk i gdyby nie to że już od kilku lat zaprzyjaźniłem się z pewną rodziną państwa Grusów tobym już tak i był całkiem bez nikogo. Ci właśnie moi znajomi i przyjaciele mają sklep duży i bardzo dobrze usortowany w jednym z moich domów, a jestem z nimi jakby w rodzinie, później może i o nich coś ciekawego opisze. Jak pisałem, zajęcie moje było fotografowanie ale przed kilku laty coś mi się rzuciło na oczy które mnie bolały i musiałem przestać fotografować a zacząć się leczyć, byłem też w Kurytybie u specja-

listów tyle że mało i pomogło, aż tu przyjechał specjalista okulista pan Dr. Szymański i zrobił małą operację. Od tego czasu polepszyło mi się i teraz mógłbym znowu zacząć mą robotę ale schodzi dzień po dniu i zawsze czegoś brak, ale teraz to niezadługo wezmę się na serjo i rozpocznę praktykować na nowo. Mamy to towarzystwo Junak nr. 20 pracujemy nad podniesieniem i robimy co możemy, ja zajmuje stanowisko gospodarza tegoż T-wa. Gdy tu do nas przyjechali w odwiedziny goście z Polski a mianowicie ks. Biskup Kubina w towarzystwie pana posła Grabowskiego z Rio de Janeiro i p. konsula z Kurytyby to przyczyniliśmy się do przyjęcia razem z tutejszym proboszczem ks. Zabrzewskim. A takie to przyjęcie było że wzruszony ks. biskup powiedział, nigdzie nas tak nie przyjęli jak tu. A co było gadania pomiędzy Rusinami z tego powodu. Otóż ci wymyślili że nasi goście to przyjechali tu na szpiegostwo i gdy p. minister Grabowski przemawiał na sali wobec ludzi to miał mieć mowę przeciw Brazylji co gdy się wydało niektórzy z nas wystąpili z protestem na takie zmyślania. A już całkiem bezsensowe ale wyrachowane na to żeby Ruska kolonja była niedobra na naszych gości to rozsiewali głupie gadanie że teraz każdy będzie musiał dawać po 5 mlrs za tą wizyte aby zapłacić za drogę naszym gościom. Wtedy jeden z naszych kolonistów poszedł spytać się Ojców Wasyljanów co to znaczy takie rozsiewanie kłamstw bo wiadomem było że to wszystko od nich wychodzi ale oni się wyparli wszystkiego. O ile mnie tu dochodzą słuchy od ludzi to pokryjomu ryją gdzie mogą aby tylko jakiego Polaka zruszczyć, a już co swoich to tak się nimi opiekują że i niewinnemu się nieraz dostanie od opieki za jakiekolwiek zbliżanie się do Polaka. Mam jednak nadzieje że to skończy się wnet bo bardzo się wynaradawiają zwłaszcza młodzież. Po kilkudziesięciu latach i znaku tu po rusinach nie zostanie, chyba żeby się do nas przyłączyli i wspólnie uprawiali to pole zaszczytne zachowania swego języka i narodowości. Posyłam Wam kilka odbitek dotyczących tutejszych przejść, każda z opisem na odwrotnej stronie. Jeżeli Was to zainteresuje, mogę Wam posłać cały komplet z rozmaitych chwil przeżycia emigracji, początku rozwoju, teraźniejszego życia i t. d. Trzy lata temu posłałem ładny album naszemu nieodżałowanej pamięci Marszałkowi Piłsudskiemu jako podarunek na imieniny, zaco otrzymałem list z podziękowaniem, trzymam go

na pamiątkę. Niedawno temu ofiarowałem naszemu Junakowi całą kolekcję odbitek które zostały posłane do Wojskowo-Cywilnego Klubu Sportowego w Jarosławiu. Ten oddział Jarosławski jest opiekunem naszego Junaka z Prudentopolis nr. 20. Otrzymaliśmy pięknie wyszyty sztandar jako pamiątkę od Rodaków i współfachowców w wychowaniu fizycznym. Na jeden z naszych listów który opisywał naszą tęsknotę do kraju i ubolewał na brak książek i że w naszej bibljotece już po kilka razy przeczytaliśmy te same książki, otrzymaliśmy wzruszającą odpowiedź i zawiadomienie że nawet pan generał Wieczorkiewicz zainteresował się nami. Na zebraniu W.C.K.S. w Jarosławiu zebrali pokaźną ilość książek i coś 150 zł na kupno nowych, które miały nam być wysłane i na które z upragnieniem czekamy, niestety do dziś nadaremnie. A z taką radością oczekiwaliśmy tych ksiąg, tak rachowaliśmy dnie co nas oddzielają od ostatecznego terminu otrzymania tak wspaniałego prezentu. Niejednemu z Was dziwnem się to wydawać będzie że tak pragniemy polskiego pisma, ale gdy ktoś z Was wyjedzie kiedy zagranice to dopiero wtedy pozna prawdziwą wartość książki pisanej po polsku — w tym języku w którym się człek urodził w tym języku który ukochał i który najmilej każdemu brzmi bo to jest język matki Ojczyzny i własnej rodzonej Matki. Oprócz tego ile wytężenia potrzebujemy aby nie dać się pochłonąć przez większość tak zwanych od kaduka Ukraińców, co to za mała wysepką którą otacza ocean. Jak już wspominałem jest tu około 500 rodzin Polskich a Ruskich przeszło 17 tysięcy rodzin. Żeby nie to że Polak o sobie ma dobre pojęcie i czuje się honornym to już dziś nie byłoby tu żadnej polskiej rodziny. Jeżeli jednak nie powstaną kontakty pomiędzy tak małymi osiedlami a krajem Ojczystym nie będzie wymiany słów i wzajemnego wspierania się to już ta mała garstka z Prudentopolis długo egzystować nie będzie. Wspomniałem wzajemnego wspierania się bo my darmo z kraju nie chcemy nic, za książki co nam obiecano — mamy wysłać kolekcję fotografji bardzo zajmujących społeczeństwo. A w dalszym ciągu o ile dostawalibyśmy regularnie jakie przesyłki z kraju to też moglibyśmy posyłać rozmaite okazy, motyli, owadów etc. wogóle wszystko czem społeczeństwo polskie by się zainteresowało. Zadowolone byłyby obie strony. Na tem kończe me wspomnienia i będę starał się opisać później rozmaitych wypadków ciekawych z życia naszego po

puszczach Parańskich. W niektórych sam brałem udział inne to opowiadania moich znajomych. Inny kraj, inne życie. Mamy tu swoje troski ale też i wesołe chwile są częste które uprzyjemniają nam pobyt zdala od Ojczyzny wyzwolonej.

Dn. 23 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 9

Kowal w Paranie, syn rolnika z powiatu opatowskiego, ur. w 1882 r.

W roku 1910, ukazała się broszurka p. Pankiewicza „Prawda o Paranie", a poparta szeregiem artykułów w prasie, sprzyjającej wychodztwu, spowodowała tak zwaną gorączkę emigracyjną do Brazylji, na koszt rządu brazylijskiego. Postanowiłem skorzystać z okazji, tem bardziej, że potrzeba zbiegała się z możliwością, że dawniejszy zamiar mogłem teraz zrealizować.

Spieniężyłem cały „majątek" za sumę pięciuset rubli, z tego na głowę przypadało po 83 ruble, bo rodzina moja liczyła sześć osób. W cztery rodziny wyjechaliśmy za zwyczajnemi paszportami i półpaskami zagranicę przez Sandomierz.

W Nadbrzeziu po stronie austryjackiej, gdy wsiadałem do pociągu, spojrzałem ostatni raz na Sandomierz, doznałem uczucia podobnego do tamtego, kiedy idąc do terminu obejrzałem się na rodzinną wioskę.

W nocy przyjechaliśmy do Krakowa, z dworca zabrano nas do biura emigracyjnego w którem był natłok i zamęt, bo wysyłano partje do Tryjestu.

W Krakowie nie starczyło czasu na rozejrzenie się, bo o 10-tej z rana wysłano nas do granicy niemieckiej, pociągiem jakiejś nieokreślonej klasy. Około czwartej po południu, stanął pociąg na granicznej stacji towarowej, służba kolejowa w mig wyprowadziła nas na peron, pełen pisku dzieci i biadania matek. Chciałem zabrać swoje rzeczy, wtem jakiś kolejarz krzyczy: „niechoj tego, tu zaraz przydą kozły, to ci wyciepną". Te kozły to Pola-

cy? — zapytałem. „Jo, zaro poznołem coś zpod ruska, boś głupi, dyć tu Prusoków tak nazywamy". My moskali nazywamy burkami, moglibyśmy waszych „kozłów" poszczuć nimi. „Może i to się zwiksnąć, bo w „cajtungach" coś tam mówią o tem".

W tym czasie służba kolejowa przeładowała nasze bagaże na pociąg, który miał nas zawieść do Bremen, a żywy towar emigracyjny ustawiono w szeregi podług spisu i na komendę: marsz! poprowadzono w podwórze wielkiego budynku, do drzwi jego wiodła jedna wąska jednoosobowa ścieżka ujęta w dwa płotki. Przy drzwiach budynku stał lekarz i każdemu wchodzącemu wyłuskiwał oko z obsady, puszczając go na salę w płomienno-rubinową otchłań, bo na moment takie złudzenie towarzyszyło operacji, dokąd oko nie wróciło do normalnego stanu. Przy tej operacji dzieci małe robiły piekielną wrzawę, która denerwowała umundurowanego urzędnika, że „fluchtował" po niemiecku i po polsku dodawał „ciaa". Był to początek wędrówki podobnej do Dantego po piekle. Po odbytej łaźni i szczepieniu przeciw ospie ustawiono nas w szereg i odprowadzono na nocny pociąg, który zaraz wyruszył w drogę do Bremen.

Wagony pociągu były zupełnie obmyślone do przewożenia fauny dwunożnej, nieskrzydlatej, bo miały szyby w oknach, lecz ławek do siedzenia nie było, każda rodzina ulokowała się na swych manatkach. Odjechałem ze Śląska w nocy, że na pożegnanie nie mogłem mu się przyjrzeć.

Po trzydniowym wypoczynku w hotelu Miszlera w Bremen odstawiono nas do portu i załadowano na okręt „Würtzburg" 486 dusz samych Polaków. O trzeciej po południu okręt wyruszył w drogę. Do wieczora byliśmy wszyscy zdrowi, w wieczór wiatr rozkołysał morze, że większa część pasażerów zapadła na chorobę morską, tak że do Antwerpji zawinął nasz korab, jak pływający szpital, mając na każdej pryczy po dwie lub trzy osoby chore.

W Antwerpji okręt ładował cztery doby, co wyleczyło prawie wszystkich chorych. Piątego dnia wypełznął nasz „światek" pływający do kanału La Manche w kierunku zatoki Biskajskiej, przez którą płynął cztery doby przy asyście silnej burzy i bałwanów wspinających się na pokład, że wtedy przychodził mi często na myśl Jędrek Kuczaba z Przygód Florka Kurzawy zmieciony falą

do morza. Na spienionych grzywach bałwanów szukałem i chciałem ujrzeć widmo chłopa polskiego na szlaku wędrówki jego za ziemią i chlebem.

Na krótkie godziny zawijał nasz okręt do portów Vigo, Oporto i do Lizbony. O dziwo! Jakież uczucie opanowało mnie wobec postanowionego celu osiedlenia się tam gdzieś za oceanem... że dotąd mijane wybrzeża i miasta obce, stały się naraz jakby znajome i bliskie sercu, może dlatego, że należały do tej samej całości geograficznej, na której pozostała nasza ojczyzna — Polska! A nam się dotąd zdawało, że my tylko na dalszym kręgu koło niej się kręcimy jak ptaki szukające miejsca, żeby na nie spaść i zagnieździć się.

O zachodzie słońca wypływamy z Lizbony na ocean, który nas ma rozdzielić szeroką zaporą wód, kto wie, może na zawsze? Ściemniło się, okręt się oddala. Na skalistej górze latarnia morska zatacza kręgi smugami kolorowego światła, śle nam ostatnie „adieu" Europa... Opanowuje mnie dziwne wzruszenie, przebiegam pokład kilkakrotnie wzdłuż, wreszcie kryję się między powrozami na tyle okrętu i daję upust łzom, tak żegnałem ostatnie błyski światła latarni na brzegu „Starego Świata".

Po dwudziestu dniach podróży ukazała się na poziomie wody linja brzegów lądu brazylijskiego, potężniejąca z każdą chwilą. Po paru godzinach wpłynął nasz „Würtzburg" do portu Zbawiciela (Sao Salvador) w Bahi. Władze celne i sanitarne przeprowadziły formalności prawne i przystąpiono zaraz do wyładowywania towarów.

W okręcie było dwóch emigrantów chorych przez całą podróż morską, których ukryto przed komisją sanitarną, chorzy pierwszej nocy w porcie zmarli, skutek był taki, że władze miejskie nie pozwoliły zmarłych pochować na lądzie. Zabroniono wyładowania towarów, okręt uznano za zakażony.

Pod dozorem statku wojennego odprowadzono nasz okręt na pełne morze, żeby pogrzebać umarłych. O dwunastej godzinie w nocy wstrzymano maszyny okrętu, grupa marynarzy wyniosła dwa pudła ze zmarłymi na tył okrętu. W asyście oficerów przyszedł kapitan, marynarze odśpiewali jakąś pieśń żałobną, po której kapitan, Niemiec, przemówił do rodzin po zmarłych słowami pociechy po polsku i spuszczono trumny na fale morza oświetlo-

nego światłem księżyca. Okręt drgnął lekko, zaczął się oddalać. Tym razem przez chwilę widziałem rzeczywiste dwa widma na szlakach wychodźców polskich.

Okręt nasz odprowadzono do kwarantanny na „Illa Grande" (wielka wyspa), żywiznę ludzką poddano kąpielom, a bagaże nasze poszły na suchą parę, tak że kożuchy, buty, pasy, pugilaresy, walizy skórzane i ubrania wełniane, wszystko to zostało zniekształcone, że naprzykład kożuch wyglądał jak harmonijka rozjechana kołami wozu, but jak wysuszony żołądek bydlęcia, pióra w pościeli zamieniły się w kluski, inna garderoba rozlatywała się w plewy. Ten wypadek zniszczył resztki mienia naszego.

W takim stanie wylądowaliśmy w „nowym świecie" na Wyspie Kwiatów, w zatoce Rio de Janeiro. Po krótkim wypoczynku odstawiono nas do Paranagua, a stąd koleją wspinającą się przez góry nadmorskie do Kurytyby.

Wszędzie w Brazylji na postojach w barakach emigracyjnych panował natłok i gorączkowy ruch, jedną partję wysyłano a inne nadjeżdżały. Z Paranagua byliśmy tego dnia drugą wysyłką, bo świeży okręt czekał w zatoce na wyładowanie nowego ładunku ludzkiego, którego nie było gdzie mieścić.

W Kurytybie zastaliśmy około tysiąca dusz ludzkich umieszczonych w baraku, zaimprowizowanym we młynie herwowym za miastem. Widać było ogólne przemęczenie podróżą, szczególnie kobiety i dzieci ucierpiały, po kątach na pryczach leżało wiele chorych z przemęczenia. Nam wyznaczono miejsca na zabłoconej ziemi, za podściółkę służyły rogoże. Panował jakiś ponury nastrój, gwar, lamenty matek i kwilenia dzieci, wszystko to głuszył ulewny deszcz po blaszanym dachu, huczał jak nieustający grzmot.

W takiej chwili robi nam niespodziankę młody Dadyj z pod Zamościa, który wiózł z sobą narzeczoną, chcąc zdobyć prawo brazylijskie do działu ziemi na nowej kolonji, tego dnia połączył się ze swoją nadobną ślubem. W wieczór ten wrócili nowożeńcy ze świadkami do baraku, gdzie zaimprowizowano chłopskie wesele.

Znalazł się z pod Łukowa chłopski grajek ze skrzypkami i klarnecista z biłgorajskiego, ktoś wydłubał z bagaży bębenek z cykadłami, po chwilowym nastrojeniu statków grających, urznię-

to obertasa w tym rozgardjaszu. Znękana brać i chorzy, wszystko jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, stanęło na żywe nogi. Zepchnięto tłum niechętnych i gapiów do kątów, otworzono miejsce dla koła, na które wywiódł pannę młodą jeden drużbujący świadek ślubny, oprowadził ją w koło i z chłopską swadą zanucił przed grajkami: — I ja tu, i ty tu, obojeśma wszędzie, gdzie nasza kądzielina, któż nam ją oprzędzie? I utworzył się korowód par tańczących pod huczącem dachem od ulewnego deszczu, burza i muzyka zlały się w jakiś tytaniczny pomruk burzy, grożącej odwiecznym borom.

Chłopie polski! Ty wieczny wyznawco piastowskich cnót, czyżby twoim posłannictwem było zmaganie dziewiczych borów? Począwszy od nadodrzańskich przez mazurskie, litewskie, poleskie przez podkarpacie i Śląsk, okrążyłeś i zdobyłeś szerokim zasięgiem kotlinę Sarmacką dla kultury chleba; stworzyłeś wspaniałą ojcowiznę lechicką i teraz po tysiącleciu twej pracy dla Ciebie brak w niej miejsca i chleba? Tam zostawiłeś twoją kądziel, z której przędłeś swoją szarą nić przez wszystkie dni historji narodu polskiego. A teraz idziesz za oceany szukać nowego wątku dla twej przędzy...

Po kilku dniach wysłano nas do Ponta Grossa. W Ponta Grossa w gospodzie emigracyjnej zaopatrzono każdą rodzinę w dwa woreczki, jeden zawierał bułki, drugi był wypełniony kiełbasami (woreczki pochodziły z mąki i miały reklamowy napis „Sublime", woreczki te stały się woreczkami historycznemi w naszych dziejach osadniczych).

Wkrótce nadjechało kilkanaście wozów nakrytych płótnem, na nich ulokowano po dwie i trzy familje. Z Ponta Grossa wywlokła się karawana nasza do Prudentopolis odległego o 102 kilometry, podróż trwała pięć dni bo droga była kiepska i deszcze padały ciągle.

Prudentopolis liczyło wtedy szesnaście lat i było punktem centralnym kilkunastu rozgałęzionych linji, tworzyło zarodek przyszłego miasta. Po dwudniowym wypoczynku wysłano nas do punktu koncentracyjnego w Senador Correia odległego o 60 kilometrów od Prudentopolis, położonego nad rzeką Barra de Areia, leżało na granicy między osadami i borami dziewiczemi, które mieliśmy zamienić na uprawne pola.

W kotlinie między rzeką i górami, zastaliśmy około sto rodzin ulokowanych w budach z desek zrobionych w kształcie dachu postawionego na ziemi.

Stanęliśmy u kresu naszej wędrówki i mimo dwumiesięcznej podróży jakoby ożywieni na duchu, każdy z nas pragnął zająć kawał puszczy, gotów tworzyć sobie gniazdo i warsztat pracy. I uprzytomniliśmy sobie, że znów nie jest tak daleko od Polski, kiedy po dwu miesiącach jazdy jesteśmy już tu, jakby u siebie w domu...

Opanował nas swego rodzaju optymizm. Szybko ulokowaliśmy się w budach i pierwszem dziełem było nacięcie gałęzi i zrobienie łóżek. Wkrótce rosochate koły wbijano w ziemię, na nie zakładano cztery krążki udylowane w poprzek kijami a na wierzchu wymoszczone zielonem maidłem, że na noc legliśmy wszyscy, jak to Boże Dziecię w betlejemskiej szopie — tylko brakowało bydlątek, królów z wizytą i pastuszej muzyki? Była i muzyka!

Parańskie lasy mają sobie właściwą muzykę. Po zachodzie słońca zaczęły moskity (komary) pierwszą kołysankę do snu z cienkich cichutkich akordów, za niemi przyrzeczne żaby rozpoczęły muzykę podobną do marcujących kotów, inne zapłakały jak małe dzieci, w debrach między górami zabrzęczały tysiącznemi głosami wielkie żaby jakoby ślusarze grubemi pilnikami po stalowych piłach na wyścigi piłowali, jeszcze inne, uderzyły do taktu jak cepami w boiska i młotami w kowadła. Muzyka ta w niczem nie przypominała Mickiewicza harf eolskich, z Soplicowa żab polskich.

Przy tej muzyce moskity zaatakowały nas jako intruzów wdzierających się do ich królestwa. Maidło pod nami ucierpiało najwięcej, bo było terenem walki między nami i moskitami. Tej nocy użyto do walki woreczki z napisem „Sublime", wspaniała broń, bo małe dzieci wsadzono całe do woreczka, a starsi na głowę je wciągali.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się od dyrektora, że będziemy musieli czekać dłuższy czas na działy ziemi bo są nie pomierzone i drogę dopiero trzeba zrobić przez lasy do kolonji, ta wiadomość osłabiła nasz optymizm. Przez kilka dni wałęsaliśmy się po lasach badając teren, który okazał się silnie górzystym, wy-

magającym wytężonej pracy przez długie lata, żeby na nim można stworzyć znośny byt, początkowy entuzjazm ustępował przed obawą, czy aby podołamy przedsięwzięciu.

Wszystko to byłoby niczem, gdyby działy ziemi były pomierzone i jakiekolwiek baraczki, to miast rozumowania, każdy mając swój lot przypiął by się do pracy, praktycznie przekonanoby się, że niemożliwości może nie są tak wielkie jak wyczekującym się zdawało. Drugim czynnikiem zniechęcenia była sprawa żywnościowa, racje rządowe wydawane na osobę były tak małe, że musiano odżywiać się resztkami oszczędności lub ze sprzedaży rzeczy, jeżeli je kto miał, bo wiele rodzin biednych przymierało głodem, lub włóczono się po starszych kolonjach za żebraniną.

Przy budowie drogi zatrudniała administracja nie wielu, bo używano do nich przeważnie starych kolonistów, którym płacono od trzech do czterech milreisów dziennie, natomiast emigrantom płacono od 500 reisów do milreisa 500 reisów, co czyniło od piętnastu do czterdziestu pięciu groszy dziennie.

Dostawcy (fornecedores) koncesjonowani przez rząd sprowadzali najgorsze wiktuały, czarny cukier, zrobaczywiałą fasolę czarną, kwaśną mąkę i suszone mięso z robakami i t. d., co spowodowało późniejsze przykre następstwa.

W tym czasie organizowano i wysyłano grupę cieślów, traczy i obrabiaczy drzewa na Herwal w stronę Teresiny gdzie trzeba było pobudować rezydencję dla administracji kolonizacyjnej i zapoczątkować pierwsze budynki, projektowanego przyszłego miasteczka. Miejsce to oddalone od Senador Correia o osiem mil drogi, której jeszcze nie było; istniała (pikada) prosta linja wyznaczona przez mierników. Grupa ta składała się z dwunastu ludzi, do niej się przyłączyłem za cieślę, aby zarobić nieco pieniędzy.

Zmobilizowaliśmy piły, siekiery, toczydła do ostrzenia narzędzi i dary boże żywnościowe fiżon, siarkę (fasolę i suszone mięso), cukier, ryż i dwa woreczki mąki (sublime), narzędzia i prowianty załadowano w kosze (kalgery) trzcinowe, zawieszone po obu bokach na mułach, wymaszerowaliśmy pod przewodnictwem kabokla wzdłuż pikady. Na nocleg przewodnik zaprowadził nas

do (kompadra) kumotra, który siedział w krzakach ze stadem świń, czekał aż milio (kukurydzę) zjedzą.

Kaboklo przyjął nas bardzo uroczyście, na dowód tego puścił w koło kuję z szimaronem podawanym od ust do gęby w kolej aż wróci do gospodarza. (Kuja jest to tykwa, mała bania, wydrążona, do której się sypie sproszkowaną herwę zaparzoną gorącą wodą i ssie się metalową słomką zakończoną łyżeczką z dziurkami).

Mieszkanie naszego gospodarza było zrobione z chróstu, oblepione błotem, pomalowane na czarno dymem, bo na środku gorzał, jak w staro-litewskiej świątyni wieczny znicz, ogień. Posiadłość jego była, zdaje się, apanażem natury, w nagrodę zato, że się urodził. Po palestrze przyjacielskiej na migi i dźwięki, wzajemnie niezrozumianej, zaproszono nas na spoczynek do pajolu (paiol = szopa) pod daszek bez ścian. W nocy świnie probowały nas ryjami wygarnąć po za obręb dachu, zdziwione co to za przedmioty zajęły ich miejsce, a my myśleliśmy że tygrys którego z brzegu bierze.

Rano wcześnie wyruszyliśmy w drogę, żeby wędrujący wypocząć, bo w pajorze nocleg był martyrologją; robactwo, zapach i ciągłe odwiedziny świń nie dały nam oka zmrużyć.

W drodze, ku naszemu przerażeniu, zauważyliśmy, że każdy z nas dostał na pamiątkę prezent noclegowy, rzecz prosta, że nie od gościnnego gospodarza, lecz od jego chudoby, której stajni na gospodę użyliśmy. Z początku dyskretnie przed towarzyszami uczułem za paznokciami i między palcami natrętne swędzenie, nic podejrzanego nie mogłem się dopatrzeć, zauważyłem jednak, że i inni towarzysze badają ręce i nogi, wreszcie podzieliliśmy się spostrzeżeniami i orzeczono, że dostaliśmy świerzbia po świniach, lecz nasz przewodnik starał się nas uspokoić, że to nic nie jest, na dowód pokazał nam swoje pięty i palce u nóg pełne gniazdek z pchełkami, które się gnieździły od urodzenia i jeszcze ani raz na nie nikt nie umarł. Wiadomość ta nie zadowoliła nas wcale, lecz robiliśmy operacje kozikami i tytoniem zatruwali nowe gniazdka pchełek.

Około czwartej po południu nasz przewodnik zatrzymał karawanę na wzgórzu pokrytem mieszanem lasem i bez ceremonji zrobił gest ręką, że już jesteśmy na miejscu, wyładował na-

rzędzia i żywność na ziemię i rzekł: „ate a volta" (do powrotu) i zniknął w lesie. Przed nocą zbudowaliśmy palisadę, w obawie przed napaścią tygrysa napalono na środku ogień, pod ścianami ostrokołu ułożono żywność, na kołkach zawisły błyszczące piły, a toporki legły u wezgłowia prycz, żeby na wszelki wypadek mieć je pod ręką.

W wieczór cały las zabłysnął miljonami świateł uwijających się we wszystkie strony, to żuki z kryjówki wyleciały na harce, żeby o gałęzie nie rozbiły nosa oświetlały sobie drogę oczami. Zjawiły się i komary leśne o długich nogach, natręty, pozwalały się zabijać swobodnie na twarzy, szyi, i rękach, przytem chrząszcze robiły taką wrzawę, że cały las był jednym przeraźliwym świstem wypełniony, gdzieś papuga zaskrzeczała, tam coś głucho jękło, nad ogniem ostrokołu coś trzasło, jak denkiem w tabakierę aż wszyscy za toporki porwaliśmy, to motyl nocny dla fantazji, a może ze zdziwienia skrzydłami łomotał.

Drugiego dnia zaczęliśmy wyszukiwanie drzewa na budulec, w oddali stał potężny pinjor, dumny, że najwyższy ze wszystkich drzew jakby król karłowatych lasów okolicznych. Postanowiliśmy zrąbać go dla przetarcia na deski. Udaliśmy się całą gromadą, że to pierwszy drzeworąb miał się rozpocząć uroczyście, gdy zbliżyliśmy się do niego, zdziwiło nas świeże nacięcie siekierą, kto je naciął? Mniejsza z tem. Najstarszy wiekiem tracz zpod Zamościa przeżegnał się i zaczął rąbać drzewo od strony, w którą orzeczono, żeby upadło.

Po kilkuminutowym rąbaniu usłyszeliśmy szelest i trzask gałęzi. Z pewnością idą Indjanie. Płatek i Burdza przyłożyli flinty do oka, reszta ścisnęła toporki w rękach gotowa do odparcia ataku, w głębokiej ciszy oczekujemy na natarcie. Po chwili wysuwa się z za krzaków gromada ludzi uzbrojonych w siekiery i z okrzykiem huzia na nas jak na wilków. Tu do cholery nie widzita, że tam jest znak na drzewie! To nasz pinjor. Była to starsza turma (gromada) emigrantów, operująca od dwu tygodni, która nic jeszcze nie zrobiła, łażąc po lesie znaczyła drzewa zdatne na materjał. Wreszcie nastąpiło pojednanie, pinjor będzie należał z tytułu nacięcia do starszej turmy, ale trzeba go ściąć, żeby zapoczątkować pracę. Zasadzono piłę z przeciwnej strony zarębu. Gdy dorżnięto do ostateczności pinjor ścisnął pi-

łę i stał prosto jak trzcina ani myślał runąć, osaczeni czekaliśmy kilkanaście minut z obawy aby nie pogromił sobą. Mały wiaterek poruszył liściami drzew, nasz kolos drgnął, przechylił się nad przepaścią i runął wierzchem w dół, że kloc znalazł się niżej o dwadzieścia metrów od pnia, zrobił sobą straszną trzebież wśród młodszej braci drzewnej. Tak zostawiliśmy go do użytku przyszłemu nieznanemu właścicielowi.

Kilkanaście dni trwała pogoda i praca szła dobrze, następnie przyszły deszcze ulewne, że palisadę zalewała woda. Zapasy żywności się kończyły, zapowiedzianej przesyłki nie dostawiono. Wysłani ochotnicy, którzy mieli zawiadomić dyrekcję o naszym losie, drugiego dnia wrócili, bo rzeka Barra Grande zalała niziny, że tylko krzaki karłowate wierzchołki z wody wystawiały, przewoźnik gdzieś zniknął. Skłócone turmy przy pinjorze głód zbratał w jedną gromadę, lamentującą, co począć teraz, grozę powiększała obawa o pozostałe rodziny na nizinie obok rzeki, która mogła zalać baraki.

Po tygodniu deszcz zwolniał trochę, Płatek i Burdza wrócili z polowania, przynieśli dwie papugi i tukana, którego dziób stanowił dwie trzecie całości i służył do straszenia emigrantów, bo kiedy beknął w lesie, to człowiek z najczystszem sumieniem musiał się rozejrzeć.

Po spożyciu papug i tukana, przez dwudziestu kilku ludzi, które tylko obudziły głód, udaliśmy się pikadą na poszukiwanie mierników w stronę Terezyny, żeby nam udzielili nieco swoich prowiantów. Po całodziennym marszu dotarliśmy do ranszy (szałasu) mierników, zastaliśmy w niej czarnego kucharza, który nas przyjął wybuchem głośnego śmiechu, na każde zapytanie rechotał śmiechem jak jego rodzinne żaby i pokazywał nam jedyny biały kieł w czerwonej jamie ustnej. Mieliśmy ochotę związać go i zabrać trochę żywności, wtem nadszedł inżynier, Niemiec i łamaną niemczyzną porozumieliśmy się, że chodzi o pożyczenie trochę żywnoścsi, której nam nieco udzielił, z tem wróciliśmy do palisady. W nocy zgotowano kolację, po niej z pożyczonego niewiele się zostało, postanowiono wracać do „domu" w Senador Correia. Objuczeni narzędziami wyruszyliśmy wzdłuż pikady w wielu miejscach zatarasowanej zrąbanemi drzewami, przez które z trudnością trzeba było się przedzierać, przytem deszcz nam

sprawiał często orzeźwiającą kąpiel. Usiłowaliśmy się dostać za wszelką cenę do rzeki Barra Grande i odszukać przewoźnika. Wreszcie zaszło słońce i zaczął padać rzęsisty deszcz, do rzeki było jeszcze parę kilometrów a i siły opuszczały wielu. Wtem starszy wiekiem tracz dźwigający piłę przewiązaną na plecach stanął i zaczął lamentować że nic nie widzi, zapadł na chorobę zwaną kurzym wzrokiem. Musiano go prowadzić pod ręce, bo się często wywracał i płakał jak małe dziecko. Przerębla leśna biegła wzdłuż pochyłości górskiej między ścianami lasu, w ciemności orjentowano się jaśniejszym pasem w górze. Wtem runęło coś jak zepchnięty kloc drzewa w dół skąd ozwały się jęki i rozpaczliwe wołania na pomoc: to stary tracz z przewodnikami wpadli w przepaść podszytą drobnemi trzcinami. Z trudem wydobyto ofiary wypadku podrapane na ciele, a stary tracz okaleczony piłą. Przybyliśmy nad rzekę do przewoźnika późno w nocy, z trudem rozpalono ogień, obok legła nasza karawana na ziemi zasłanej zielonemi gałęziami zmęczeni, głodni i znieczuleni na nakłucia zajadłych moskitów.

Zrana przeprawiono się na drugą stronę rzeki, w drodze spotkaliśmy troperów transportujących żywność dla nas i dla mierników. Od nich dowiedzieliśmy się, że w obozie emigrantów panują choroby i że codziennie umierają.

Forsownym marszem zdążyliśmy w wieczór do obozu i zastaliśmy wielkie przygnębienie, bo wszystkie baraki miały chorych na aklimatyzację, dyzenterję i inne choroby wyrywające przeważnie dzieci. Całą moją rodzinę zastałem chorą.

Jedynem lekarstwem jakie posiadała apteka administracji, była oliwa portugalska „Valentina da Costa", którą dawano przeciw każdej chorobie dzieciom i starszym. Tej nocy z 23 na 24 grudnia zmarł starszy człowiek i dwoje dzieci, w wigilję Bożego Narodzenia na świeżo założony cmentarz odprowadzono trzy trumny. Była to najsmutniejsza wigilja jaką kiedykolwiek pamiętam, bo miast radości symbolicznego odrodzenia się ducha człowieka, widmo śmierci zagnieździło się wśród nas.

Wieczór wigilijny. Na placu obozowiska zapalono wielki ogień, który otoczyło parę set postaci ludzkich różnej płci i wieku, półszeptem przez łzy przypominano sobie ubiegłe wieczory wigilijne w Polsce... Wtem ktoś zaintonował „Wśród nocnej ci-

szy głos się rozchodzi" wlot podchwyciło śpiew całe kolisko otaczające ogień, a między-górską kotlinę wypełnił potężny chorał pieśni polskiej, przy akompanjamencie poprzednio wspomnianej fauny błotnej. Po skończeniu pieśni ktoś dał pierwszy tradycyjny strzał na wiwat, wmig zjawiły się wszystkie strzelby przy ognisku i rozpoczęła się strzelanina gwałtowna, bezładna, jakgdyby chciano tem widmo choroby precz przepędzić.

Jedyne okna p. dyrektora światłem przez kwadratowe szyby psuły wygląd puszczy odwiecznej urągając jej, że niszczycielska cywilizacja się zbliża. Wtem jakiś nieoględny gamoń brzdęknął całym nabojem po szybach — światło zgasło i okiennice się zatrzasnęły. Puszcza na chwilę odzyskała swój odwieczny wygląd, bo sylwety przy ogniu na czarnem tle nocy i półkole szałasów przypominały „tabu" guarańskie.

Codziennie przywożono nowe rodziny emigrantów, codziennie wynoszono z obozu po kilka trumien, miast kolonji rósł nowy cmentarz. Nim zdobył chłop polski ziemię i prawo osadnika, składał jej naprzód daninę z krwi własnej, istoty najdroższe dla których szedł szukać ziemi, kładł jako kamień węgielny, cementowany łzami pod przyszłe osady polskie...

Szałasy się wyludniały, deski z nich szły na trumny. Po wymierających rodzicach, dzieci zabierali kabokle leśni na wychowanie... Ileż z nich się wychowało dzisiaj nikt nie wie...

W jednym tygodniu rodzina moja zmniejszyła się z sześciu dusz do trzech. Ja dla sąsiada dzieci robiłem trumny a sąsiad dla moich, groby kopaliśmy razem.

Zaczęła się masowa ucieczka, nie chciano czekać na działy ziemi. Gromadki uciekinierów wlokły się często pieszo, dźwigając na plecach całe mienie w woreczku z napisem w formie tarczy „Sublime", który stał się niejako odznaką emigranta polskiego. Ten napis widziało się na spodniach, koszulach, fartuchach, bluzkach, sukienkach i kamizelkach, na plecach wyglądał jak w pełni, przed sobą jak kwadry księżyca.

Wlokły się te gromadki na roboty kolejowe: Sao Paulo-Rio Grande, Uruguay, Serrinha, Trez Barras było celami wędrówek zarobkowych. Wielu osiadało na miejscu zarobkowania, szczególnie w Trez-Barras powstało miasteczko z takiego elementu, inni uciekali do większych miast jak Ponta-Grossa, Kurytyba, jeżeli

byli rzemieślnikami, często zakładali warsztaty na własną rękę; inni brali się do handlu, tych szczęśliwców jest niewielki procent, natomiast większość stała się proletarjatem...

Po dwuletnim wędrowno-dorywczym sposobie zarobkowania osiadłem w Kurytybie, przez czternaście lat byłem proletarjuszem, a od dwunastu mam własny zakład kowalsko-mechaniczny, klijentelę na której się opiera mój zakład stanowią: 1) kompanja kolejowa, której dostawiam wyroby drobniejsze do wagonów (forma przetargowa). Z braku kapitału i maszyn nie mogę reflektować na części grubsze, te zabierają zakłady Niemców. 2) Klijentami dobrymi są Niemcy, z ich domów handlowych otrzymuję kredyty w materjałach, często dostaję i obstalunki. 3) miejscowi Brazyljanie, 4) Włosi, a 5) moi rodacy.

W ośrodkach starszego pionierskiego osadnictwa zastaliśmy pewien zasób dorobku, prócz osobistego prywatnego, także społecznego, narodowo-kulturalnego, oświatowego. Cieszyło nas to, że rząd i społeczeństwo brazylijskie odnosiło się z prawdziwie szczerą życzliwością do naszych poczynań, skutkiem tego było zakładanie towarzystw oświatowo-kulturalnych, szkół i parafji polskich. Każdy odcień przekonaniowy naszego wychodztwa łatwo znalazł wdzięczne pole w gromadzie społecznej, przy parafjalnych czy też świeckich towarzystwach i szkołach. Istniała polemika i krytyka, ale udział w nich brali tylko sztabowcy, masy patrzały na nie z początku obojętnie i pobłaźliwie, bo chłopa z pod „ruska, pruska czy austryjaka" łączyły pochodzenie klasowe i jednaka dola wychodźca. Dopiero kiedy się zjawiły tak zwane „słońca" parańskie, te zaczęły tworzyć satelity i całe konstelacje koło siebie, grupy i grupki doktrynerów, każda operująca „lepszym" patrjotyzmem, który można było pomieścić w woreczku z napisem „Sublime". W takim układzie zastał nas rok 1914 i z nim wielka wojna, która przetasowała grupy i grupki na dwa obozy główne i o dziwo, nie polskie, bo sobie wzajemnie polskości odmawiały, nazywając się „germano i rusofilami" a przytem bezbożnikami i klerykałami. Nazwy te nie zostały wymyślone przez rębaczy lasów i kopaczy ziemi, wynalazły je dowództwa — „słońca" walczące między sobą. Konkurencja obozów walczących o lepsze, choć na krótką metę, wychodziła samej sprawie na dobre, bo ofiarność i bezinteresowność obu stron stosunkowo była

wielka. Natomiast rozwój gospodarczy wychodztwa i propaganda jego pozostała przeoczona, pozostawiona zdolności osobistej jednostki, dlatego nasz handel, przemysł, a nawet i rolnictwo, pozostały w tyle za innemi narodowościami...

W takim stanie zastały nas mniej więcej pierwsze urzędy przysłane na placówki polskie — z wolnej Polski. Błędem urzędów na placówkach było to, że starały się iść zawsze po linji najmniejszego wysiłku, biorąc za punkt wyjścia dla swych poczynań jeden z wyżej wspomnianych obozów, który lepiej odpowiadał potrzebie chwili i często szachowano jedno ugrupowanie drugiem, co nie łagodziło waśni ale je pogłębiało. Stworzono „Centralny Związek Polaków w Brazylji" z resortami: oświatowy, opieki społecznej, Zawodowy Związek Rolniczy, i t. p. którego celem miało być skoordynowanie i ujęcie w jeden całokształt społeczny żywotnych potrzeb i zagadnień osadnika polskiego w Brazylji, lecz i ta naczelna organizacja w swym posłannictwie wyminęła się z celem, stała się placówką bezduszną, czysto biurokratyczną, rządzoną głównie przez referentów i im podwładnych urzędników, posługujących się często miast serdeczności machjawelizmem. Ten system w Polsce może byłby usprawiedliwiony, gdzie cała atmosfera otacza życiem tylko polskiem, polskością tcnnie na każdym kroku, z tej konieczności każda istota ludzka zostanie tylko Polakiem, natomiast tu, gdzie nas naciskają ze wszech stron potężne żywioły różnych narodów świata, jak niemiecki, włoski, syryjski a ostatnio i japoński, stają do zawodów o lepsze stanowiska i znaczenie w obecnej nowej ojczyźnie naszych dzieci — Brazylji. To w naczelnej instytucji naszej starej ojczyzny — Polski, powinno być więcej ducha braterstwa, serdeczności i życzliwej szczerości, przynajmniej tyle ile nas darzą instytucje społeczne i rządowe brazylijskie.

Na zakończenie chciałem dać odpowiedź na trzy pytania z odezwy Instytutu Gospodarstwa Społecznego: Czy zadowolony jestem z pobytu na obczyźnie? Czy znalazłem to, czegom oczekiwał i jakie mam widoki na przyszłość dla rodziny i dla siebie? Na te pytania dać odpowiedź jest dość trudno. 1) Zadowolenia w przeciągu dwudziestu sześciu lat nie zdołałem w siebie wmówić, bo wobec świadomości, że jakiś fatalizm postawił mnie na granicy w punkcie martwym, uczynił ze mnie mohikanina; na-

tomiast dzieci moje przesunął za nieznany Rubikon, dając jem prawo do ogromnej krainy przyszłości, w której, kto wie, czy nie pójdą na amalgamat etniczny? 2) To czegom oczekiwał znalazłem częściowo, dzięki wytrwałej pracy i potędze chęci, posiadam 1440 m.² ziemi w mieście, na niej dom mieszkalny, winnice, kilkadziesiąt drzew owocowych i wyżej wspomniany warsztat. (Wartość około 30.000 złp.). 3) Widoki na przyszłość. Dzieci wobec prawa są Brazyljanami z urodzenia, przysługują jem wszelkie prawa obywatelstwa, z pochodzenia są Polakami, a zatem mają dwie ojczyzny i powinny zostać łącznikiem między pierwszą i drugą ojczyzną. Moje osobiste widoki na stare lata: O ile nie będę mógł wrócić do „Matecznika" tam nad Wisłę i rozejrzeć się z kurhanu Święcickiego jeszcze raz po żyznej ziemi sandomierskiej i pokłonić się osobiście majestatowi wolnej Polski, uczynię to z poza granicy życia!

Dn. 4 grudnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 10

Rolnik w Paranie, pochodzący z byłej Galicji, ur. w 1882 r.

Mając na myśli opisać początki życia tułaczego w Brazylji, zacznę od wyjazdu z Europy, z dawnej Galicji. Opowiadanie moje nie będzie może bardzo zajmujące, bo pisane ręką emigranta, który wyjeżdżając z Europy w 1896 roku miał 14 lat i ledwie umiał złożyć litery.

W czerwcu 1896 byliśmy w Bremen (Niemcy) siadamy na mały okręt i wyjeżdżamy na pełne morze. Zaznaczam, że okręty wówczas szybciej (a jakże) jechały niż dawniej, bo akurat za 31 dni byliśmy w Rio de Janeiro, stolicy Brazylji. Do portu zawinęliśmy przed południem okręt stanął jednak dosyć daleko od brzegu. Zabrano nas na łódki i odstawiono na wyspy kwiatowe. Podróż do Rio odbyliśmy na własny koszt, a dopiero w głąb kraju jechaliśmy za pieniądze rządu brazylijskiego. Na wyspach kwiatowych byliśmy dwa dni, stamtąd zabrał nas parowiec do Paranagua (port parański), skąd do Kurytyby, stolicy parańskiej, dostaliśmy się już koleją. W tem mieście przebywaliśmy takoż dwa dni, i dobrze że nie więcej, bo pomarzliśmy tak, że mi jeszcze od tego dzisiaj zęby skaczą. Było to bowiem w lipcu, czas zimowy w Brazylji. Umieszczono nas w jakiejś nieukończonej hucie, zostawiając nasz bagaż w wagonie, bo już był wieczór, gdyśmy stanęli w Kurytybie. Dopiero na drugi dzień wydano nam bagaż. Spaliśmy tej nocy w piecu huty, podobnym do staro-krajskich z tą jedynie różnicą, że tamte ciepłe, a ten tutejszy był zimny, bo nie opalony. Dopiero około 9-tej godziny ogrzało nas słonko brazylijskie, jeden po dru-

gim wychodził na podwórze, by się wygrzać. Mężczyźni powyjmowali strzelby i zaczęli probować, czy dobrze strzelają, bośmy to już w „wolnym kraju", no i w lasach strzelba nieodzowna, niewiasty zaś krzątały się koło porządków własnych, dzieci i bielizny, a przeważnie głów, bo prawdę powiedziawszy było tam dosyć żywego stworzenia (inwentarza) wylęgłego na okręcie. W jednym dniu nie udało nam się wszystkiego wytępić, ale pewna część uległa zniszczeniu. I tak zeszedł czas do południa. W południe obiad złożony z czarnej fasoli, zwanej tutaj fiżonem, z ryżem, w Brazylji jest to pożywienie codzienne. Około pierwszej godziny wybieramy się do oglądania Kurytyby, stolicy Parany. Już w Rio nam mówili, że pojedziemy do Parany, a niektórzy rozumieli że pojedziemy „na barany". Mądrzejści zaś mówili, że Kurytyba to nie Parana, dopiero het, w lasach będzie ta „prawdziwa Parana".

Ale wróćmy do zwiedzania miasta. Nie pamiętam dobrze, jak to tam było z temi ulicami, wiem tyle, że od stacji kolejowej, czyli od naszej huty, szliśmy dobry kawał błotem, zanim dostaliśmy się do miasta. Zaraz na wstępie pierwszy dom uderzył nas w oczy swym napisem casa. Czytamy i deliberujemy: co to jest: casa? Aż ktoś tłumaczy nam, że „c" po brazylijsku wymawia się jak nasze polskie k, czyli w tym wypadku będzie: kasa, i że tu będzie można zmienić nasze pieniądze. Tymczasem casa znaczy po brazylijsku dom, a casa de negocio — dom towarowy. Wstępujemy do takiej „casa", i pytamy, czyby nie zmienił nam pieniędzy. Kupiec wytrzeszczył na nas oczy i pyta się, czego chcemy. Wtedy jeden z naszych wyciąga złotego szterlinga, pokazuje kupcowi i powtarza, że chcemy coś kupić, wpierw atoli prosi o zmianę monety. Domyślił się już Brazyljanin o co nam się rozchodzi, nalewa do szklanki wódki, zachęca do picia i wyciąga z szuflady 12 milreisów, które ofiaruje za jednego szterlinga. Emigrant nasz cieszy się, że tyle dostał papierków, zgarnia je i chowa skrupulatnie do kieszeni. Idziemy dalej. Patrzymy znów napis: casa, — ale ten dom już większy, murowany, bo ten pierwszy był drewniany. Mimochodem zaznaczam, że ta właśnie emigracja składała się z samych prawie Rusinów. Jeden z nich patrzy w górę domu i czyta Casa comercial. Trza wstąpić to tu napewno już bank bo i dom murowany i duży napis wielkich literów, powiada Pyłyp. Wchodzimy. Za balkonem czyli za ladą spostrzegamy kupca o potężnej

budowie ciała, o cerze białej, nawet nieco czerwonej, — podczas gdy ten pierwszy wyglądał jakby był przysmalony. Otóż Pyłyp jako człowiek mądrzejszy, bo w Europie był przecież karbowym na folwarku, powiada że ten pan jest napewno właścicielem, i pyta się go, czyby nam nie zmienił pieniędzy? Na to kupiec wzrusza ramionami i mówi: nao comprehendo (nie rozumiem). Wtedy drugi emigrant, Wasyl, pokazuje mu szterlinga. Domyślił się już kupiec o co rzecz idzie i dał znak, byśmy chwilkę poczekali. Po chwili przyprowadził chłopaka mówiącego po polsku i przez niego kazał nam powiedzieć, że zmieni pieniądze, płacąc za szterlinga 13 milreisów, — zachęcał do kupna towarów swoich, dobrych a tanich, twierdząc że tam dalej w lesie już nic nie można dostać. Naturalnie że wielu z naszych posłuchało go, zmieniając u niego szterlingi i zakupując: garnki, miski, piły, siekiery i wiele innych rzeczy, które nam usłużny kupiec zachwalał. Zaufali mu wszyscy, bo był nader uprzejmy, załatwił co było potrzeba, radził dobrze każdemu a przede wszystkim zachęcał, by u niego jak najwięcej kupowali. Zadowoliło wszystkich głównie to, że można się było z nim rozmówić. Po dwóch dniach postoju w stolicy parańskiej, wyjeżdżamy w głąb stanu. Rano o szóstej wsiadamy w Kurytybie na pociąg i odjeżdżamy do Ponta Grossa, miasta odległego od Kurytyby o jakie 130 km. Jechaliśmy pociągiem pośpiesznym (!!) — i dla tego punktualnie o szóstej wieczorem byliśmy na miejscu. A ponieważ w Ponta Grossa barak od stacji był o jakie dwa kilometry odległy zabrało nam sporo czasu nimeśmy się doń dostali. Radził sobie każdy jak mógł: kto miał jeszcze nieco pieniędzy, ten najął sobie wózek na bagaż i rychlej dostał się do baraku, kto już nie miał groszy (a takich była większość), ten musiał nieść bagaż na plecach. Ale że był bagaż żywy i martwy radził sobie ojciec w ten sposób, że wraz z żoną odniósł bagaż martwy, ten zostawił i wracał po dzieci. Ten transport zabrał sporo czasu tak że niektórzy przyszli do baraku koło północy. O kolacji już i mowy być nie mogło. Kto przyszedł rychlej, jeszcze cośkolwiek otrzymał. O spaniu nie było i mowy — łóżek barak nie miał, a i miejsca na ziemi nie wiele dla tylu ludzi. Tak zatem zaczynaliśmy zapominać, żeśmy ludźmi. Przy tych wszystkich rozkoszach nie obyło się bez zabawnych wypadków. Otóż nasz barak zbudowany był blisko „banjady" czyli moczarów, których jest dość sporo w Brazylji. Otóż koło godziny

8-ej wieczorem słyszymy w krzakach, czy też w sitowiu płacz dziecka: me... me..., a dalej stękanie oj... oj... Każdy nadsłuchuje i powiada: to pewnie jakieś dziecko poszukuje drogi, lub jakaś kobieta ugrzęzła w błocie. Trzeba ratować. Wybrało się kilku chłopów z światłem, by szukać zgubionych. Przychodzą na brzeg bagniska — wołają, szukają może z jakie pół godziny i nic nie zauważyli. Wracają z powrotem — aliście ledwie odeszli z jakie 50 kroków znowu daje się słychać i płacz i stękanie. Chodźmy jeszcze raz zobaczyć, co to jest — powiada jeden. Poszli — i znów cisza i spokój. I tak parokrotnie wracali — po darmo. A może to coś niesamowitego? — odzywa się ktoś. Później dopiero dowiedzielismy się, że to żaby sprawiły nam takiego figla. I tak nam przeszła pierwsza noc w Paranie, bo niby to tutaj (Ponta Grossa) zaczynała się Parana, o czem myśmy nie wiedzieli, wiedzieli atoli ci, co nas wysyłali. Na drugi dzień zajechały przed baraki wielkie wozy z budą, zaprzężone w osiem koni, u nas we Wschodniej Galicji cygany w takich wozach jeżdżą. Na tych to brykach mamy jechać aż na miejsce. Pakują na każdy wóz 16—20 osób, następnie wypisują coś w rodzaju paszportu t. zw. guia, wręczając go furmanowi. Tenże ma polecenie dostawić nas na miejsce, gdzie otrzyma zapłatę należną za przewóz. Dla nas zaś dają na osobę sześć bułek o łącznej wadze ½ kg., kiełbasy ½ kg. i nieco faryny (faryna — mąka kukurydzowa, moczona i prażona). Miało to starczyć do samego Prudentopolis. Myśleliśmy że to nie daleko, a tymczasem okazało się że miejscowość ta odległa o całe 102 km. Jechaliśmy osiem dni, bo droga była okropna, wogóle nie zasługiwała na nazwę drogi. Ale furman jechał bo potrzeba i otrzymał za to dobrą zapłatę. Końskie kopyta i koła wozu budowały tę drogę, wzdłuż której biegła linja telegraficzna, zbudowana jeszcze za czasów cesarskich. Gdzie się wóz wywrócił, tam furman nieco poprawił, by wyjechać. W tem wszystkiem nieobeszło się bez wypadku. Gdy bowiem razu jednego wóz się wywrócił, kobieta jadąca na nim, zwichnęła sobie nogę. Trzeba było nogę naciągać — jak naciągnęli, to kobiecisko zostało kaleką do śmierci. Ósmego dnia stanęliśmy w Prudentopolis, — a że miejsce, gdzie powstać miało miasteczko, położone jest w dole, zjeżdżając tedy z góry mieliśmy wrażenie, że wjeżdżamy do jakiegoś obozowiska, bo domów nie było widać (bo ich nie było). Trzy zaledwie jako tako sklecone chaty drewniane stały przy gło-

wnej drodze, prowadzącej w głąb kraju, mała kapliczka — a w koło budy, (namioty) podobne do jam kartoflanych. Zajeżdżamy na plac przed kapliczkę, furman oddaje papier guia tłumaczowi, który pośredniczy pomiędzy nami a szefem miejscowym. Tłumacz każe nam schodzić z wozów, liczy czy są wszyscy, podpisuje papier — guia i oznajmia nam, że jesteśmy już na miejscu, a żartobliwie dodaje, że możemy się rozgościć jak się komu podoba. Poleca następnie, by każdy ojciec rodziny zgłosił się w kancelarji, gdzie otrzyma książeczkę a wraz z nią 30 milreisów. To tymczasowo — a jak się pobudujem, mamy pójść na roboty, płacić będą za dniówkę 3 milreisy, w ten sposób za dziesięć dni odrobimy, cośmy otrzymali (30 milreisów), — i wogóle jeżeli chcemy żyć i jeść, to trzeba nam się zabrać do roboty. Takieśmy otrzymali rozporządzenie na samym wstępie. Po oddaleniu się tłumacza zjawiają się emigranci, którzy już przed nami, jakie parę miesięcy temu, byli przyjechali. Zaczynają się opowiadania i — płacz nad temi wymarzonemi rozkoszami brazylijskiemi. Pierwszy rzut oka dał odrazu poznać, jakie to tutaj życie. Około 2000 rodzin mieszkało razem na małej stosunkowo przestrzeni, buda od budy oddalona zaledwie o dziesięć kroków, nic też dziwnego, że powietrze było przepojone wcale miłym zapachem. Żaden zaś z emigrantów nie chciał pójść do lasu, oddalony ledwie o 200 kroków, — tam bowiem dybała na biednego człowieka żmija lub tygrys. Bór zaś tak był zaszyty trzciną i innemi roślinami plączemi, że ani głowy wścibić nie było można. Nic też dziwnego, że ludzie mieli strach przed tym lasem, tak że nawet za swoją potrzebą wychodzili poza budę barak. A udawać się musiał tamże bardzo często, raz z powodu zmiennego klimatu, a powtóre z powodu marnego jedzenia. Dawano nam: ryż, fasolę i słoninę z robakami, sam widok tychże sprawiał obrzydzenie, a co dopiero za skutki fatalne były po spożyciu tych smakołyków. To też niejeden wciąż wychodził poza budę (barak), aż się zamęczył, a wtedy wynieśli go „na górkę" (na cmentarz). Były dnie że wynosili po kilku na raz. Ale wróćmy jeszcze do chwili naszego przyjazdu. Kiedyśmy zeszli z wozów, każdy siadł na swoim bagażu i radzimy co dalej począć. Dotąd nas wozili i karmili, teraz zostaliśmy na własnej opiece. Po nagadaniu się i po szlochach, trzeba było myśleć o noclegu, bo i słonko już było się zniżyło. Ojciec mój wyszukał pod lasem wielki krzak trzciny bam-

busowej, uzbierał drew, zrobił ogień, choć nie było co gotować, — ale ogień był, pierwszy na ziemi brazylijskiej, po dwumiesięcznej podróży. Posiedzieliśmy przy ognisku wraz z temi czterema rodzinami, co razem z nami jechały na wozie. Tworzyliśmy jakby jedną wielką familję, bo w cudzym kraju odczuwa się dopiero przyjaźń bliźniego, w biedzie najwięcej jest życzliwy jeden drugiemu. Żarty wówczas ani na myśl nie przyjdą, i trzeba przejść to cośmy przeszli, aby ocenić wartość człowieka. Tak gaworzyliśmy przy ognisku, a nie była to wcale miła pogawęda, skoro człowiek jest rzucony w lasy dziewicze, zdany jedynie na Opatrzność Boską. Około ósmej a już było ciemno, bo tutaj, jak wspominałem w lipcu zima — matka zabiera się do robienia łóżka w ten sposób, że na murawie rozściela prześcieradło, poduszki i pierzyny, no i łóżko gotowe. Szczęście nasze, żeśmy mieli pierzyny, niektórzy bowiem powrzucali do morza pierzyny i kożuchy, twierdząc, że w Brazylji ciepło, to nie trzeba pierzyn ni kożuchów. Odpokutowali to lekceważenie. Ponieważ nasza familja składała się z trzech osób, łatwośmy się zmieścili pod jedną pierzyną i dobrze nam się spało, przynajmniej mnie, jak rodzice przebyli tę noc nie umiem powiedzieć. Na drugi dzień, po przebudzeniu się, już się palił ogień — ojciec poszedł kupić czegoś do jedzenia na otrzymaną książeczkę. Dostał trochę czarnej fasoli, ryżu i słoniny, która z powodu robaków już spacerowała. Ale tu nie było wyboru: jak kto już co kupił, z robakami czy bez, to musiał i zabrać, tem więcej jeżeli towar wciągnięto w książeczkę, w przeciwnym razie kupiec wyrzucił towar za nim. Jeśli zostawił na ziemi, psy zjadły, a zapłacić musiał kolonista. Popłakała się matka nad tem kupnem, bo ona nie chciała jechać do Brazylji, — ojciec atoli poradził zlać słoninę gorącą wodą to i robaki wyginą. I rzeczywiście rada okazała się dobrą, bo robactwo od gorącej wody pierzchło, dzisiaj temu w Brazylji nikt się nie dziwi: człowiek zjada żywe i martwe robactwo i nawzajem jego żywcem jeszcze źre robactwo. Musieliśmy się do tego stanu rzeczy przyzwyczaić — tak jest w ciepłych krajach.

Tego dnia trzeba było zabrać się do budowy domu, mój ojciec był z zawodu sztelmachem i miał z sobą nieco narzędzi. Po śniadaniu zatem ściął pinjora, ułupał nieco desek, wkopał cztery słupki, aby postawić jaką taką budkę, w której zmieściłyby

się dwa łóżka z przejściem w środku. Miało to wszystko być prowizoryczne, tymczasem mieszkaliśmy w tej budzie prawie cały rok. Na zrobienie łóżka takoż wystarczyły cztery kołki i parę desek. Następnej nocy spaliśmy już w chałupie, choć bez dachu. Po wystawieniu domu trzeba było iść odrobić, co się wzięło na książkę i zarabiać na dalsze życie. Z kuchnią nie było wiele kłopotu, bo tutaj sposobem brazylijskiem ogień rozpala się na ziemi, a w czasie deszczu matka zbudowała „dach" nad ogniskiem, oparłszy dwie deski z sobą, — ot i kuchnia była gotowa. Roboty nam zlecone były: budowa dróg i domów dla kolonistów, którzy przyjechali przed nami, zaledwie jedna trzecia część dostała domy wraz z drogą, większość zaś po roku prawie daremnego czekania na pomiar ziemi, nic nie dostała, zaledwie przecięto w lesie pikadę tj. granicę oddzielającą jedną działkę od drugiej. Na rogu każdej działki stał słupek z numerem. W takim stanie otrzymaliśmy ziemię: las dziewiczy, że ani weń głowy wepchnąć. I znów trzeba było spać pod drzewem, z tą atoli różnicą, że w miejscu przybycia, tj. w miejscu gdzie miało stanąć w przyszłości miasteczko, było nas więcej, tu zaś, na własnej ziemi, był człek sam jeden. Żona bowiem ostała się wraz z dziećmi albo przy namiotach, albo w swej prowizorycznej budzie podczas gdy mąż na przydzielonej sobie działce zabrał się do roboty nad wystawieniem sobie przyzwoitej chałupiny. Działki te, czyli szakry wynosiły 1 km. wgłąb a 250 m. wszerz, mimo takiej odległości, nikt się nie bał dzikiego zwierza (którego prawie że nie było), ale każdy brał się rączo do roboty. Po miesiącu wytężonej roboty stanęła chata, choć nie bogata ale własna, a obok niej kawał terenu do sadzenia powstałego z wyrąbanego i wypalonego lasu. Ale co tu sadzić — skąd wziąść nasienie? Rada po radę i postanowiono udać się do tutejszych leśnych mieszkańców po nasienie.

Paru z naszych wybrało się po nie, wałęsając się coś z pół dnia ścieżynami leśnemi, aż wreszcie natrafili na mieszkanie ludzkie. Przychodzą do ogrodzenia, — wołają i nikt nie wychodzi, szukają bramy lub jakiejś furtki — daremnie, bo coś podobnego tu leśni mieszkańcy nie znają. A przecież ludzie muszą być — odzywa się jeden z naszych bo są psy. Pragnąc się jednak koniecznie dostać do domu, przełażą przez płot. Przeprawa ta nie

trudna, bo płoty stawia się tutaj z drzewa dartego, wkładanego leżąco pomiędzy słupki, w ten sam sposób robi się i bramy, jeno że drążki się wysuwa. Naszym nieświadomym tego systemu, trudno było połapać się odrazu. Drugi zawód spotkał ich już na samem podwórzu: jakaś kobieta pokazała się — i zwiała. I co tu począć? Po co i dokąd ta brazyljanka uciekła? Ot — kłopot nielada. Chcą wejść do chaty — a tu drzwi nie ma. A bodaj cię! Nie wiedzieli biedaki, że ludziska tutejsi nie robią wiele ceregieli z drzwiami: wyjmuje się parę desek z ściany i już wejście gotowe. By nie odejść z kwitkiem, posiadali nasi na pieńkach i czekają. Ktoś musi się pokazać rezonują. No i pokazał się Brazyljanin, patrząc na nieznanych gości z podełba, i mamrocząc coś niezrozumiale. Niewiadomo było naszym, że kobiecie brazylijskiej nie wolno podejmować w domu nikogo, o ile jest sama. Stąd ta ucieczka gospodyni chaty i to niezadowolenie gospodarza. Zaczyna się rozmowa na migi. Nasi pokazują na gęby, ruchają szczękami, chcąc dać poznać, że chce im się jeść. Zrozumiał brazyljanin o co rzecz idzie — i zaprosił naszych do chaty, podsuwając im klocki, służące zamiast krzeseł. Częstuje szimaronem. Jest to tutejszy poczęstunek, sporządzony z herbaty, drobno potłuczonej, wsypuje się do porongi czyli tak zw. cuja (kuja), rodzaj naszej tykwy, zalewa wpierw wodą zimną, a potem kipiącą. Szimaron jest przy przyjęciu jakby obowiązkowem poczęstunkiem, i jest to wielka obraza dla gościa, gdy mu nie podadzą kuji. Do niej wkłada się t. zw. bomba, jest to rurka niklowa lub srebrna, rozszerzona u jednego końca w rodzaj łyżeczki podziurawionej, by przepuszczała jeno wodę, a nie herwę (liście potłuczone).

Kolonista nasz, dostawszy po raz pierwszy kuję w ręce, nie wie co z tem począć. Ogląda — bada i wreszcie wyjmuje ową rurkę-bombę, nabiera nią herbaty i chce wsuwać w puste jelita. Co widząc Brazyljanin, odbiera kuję i pokazuje do czego ona służy, tj. do picia herwy, pociągając bąbą. Emigrant już pouczony, odbiera kuję i pociągnął z niej serdecznie — a że woda w niej była kipiąca — wyparzył sobie usta, wypluł wszystko, smaku żadnego się nie doszukał, i jeszcze wstydu się najadł bo się śmieli drudzy z niego. Dziś jeszcze człowieka śmiech ogarnia, wspominając te zdarzenia. Wówczas atoli płakać się chciało, zwa-

żywszy, że człowiekowi dokuczał głód, żona i dzieci zostały bez niczego, zarobku nie było i co gorsza: nie można było się porozumieć. Na dzień następny koloniści poszli ciąć las, by móc gdzieś posadzić kukurydzę. Za cztery dni roboty dostał każdy po 30 kg. kukurydzy, wikt i jeszcze cośkolwiek żywności do domu przyniósł. Kukurydzę tę żona zgotowała, domieszawszy do niej owoców pinjora. Kukurydza ta była twarda i sucha, to też trzeba było długo ją gotować, drzewa wszakże i czasu w Brazylji nie brak. Opatrzność Boga czuwała pieczołowicie nad nami, żeśmy wówczas z głodu nie poumierali, obficie bowiem zarodziły pinjongi, tj. owoc pinjoru — sosny brazylijskiej. Owoc ten podobny jest do żołędzi, jeno że nieco większy i smaczniejszy.

Tak nam czas upływał. Ludziska jęli się serdecznie pracy, rąbano las pod uprawę roli i zabudowania gospodarcze. Po paru tygodniach przemyśliwano nad nabyciem żywego inwentarza. Już i niewiasty, co śmielsze wzięły na odwagę i wybrały się na oględziny gospodarstw brazylijskich. Jedna z nich zobaczywszy kota, chciała go kupić, a że już parę słów brazylijskich się nauczyła, pyta się Brazyljanki: czy to jest homem czy mulher? (t. zn. mężczyzna czy niewiasta). Nie znała bowiem jeszcze, jak się mówi po tutejszemu: kot — kotka. Jeszcze pocieszniejszą przygodę miała inna emigrantka. Chciała nabyć bezroga. Idzie do Brazyljanina, że tłumaczy mu, że chce kupić porco (świnię), mas nao como en on sua senhora, mas como o senhar on men marido — nie takiego jak ja lub żona pańska, ale jak pan lub mój mąż.

Jednem słowem: chciała knura, ale powiedzieć po brazylijsku jeszcze nie potrafiła. Brazyljanin nie rozgniewał się bynajmniej na takie porównanie, wiedział przecież, że Polacy nie mogą umieć odrazu szwargotać po portugalsku. Urodzaj był obfity. Ale nastał kłopot z tą obfitością — nie było komu sprzedawać. Ceny w kupnie i sprzedaży były nad wyraz niepomierne, i tak w pierwszym roku płaciliśmy za kalgierz (= korzec) kukurydzy 34 milrejsów, w drugim roku płacono nam za kalgierz aż.... jednego milreisa!! Tak nap. mój sąsiad kupił krowę za 50 milreisów tj. dając za nią 50 korcy kukurydzy, kury kupowaliśmy po 2½ milreisa, a sprzedawaliśmy za ½ milreisa. Tak więc cena na nasze produkty spadła do tego stopnia, że napraw-

dę nie warto było sprzedawać, a jednak musowo trzeba było, bo człek przecież musiał się ubrać, kupić soli, i t. d. Za 10 litrów soli dawało się 120 do 160 jaj.

Na tem kończą się luźne uwagi p. St. Przepisał je i ułożył jako tako w myśl autora nie zmieniając treści, ksiądz Ig. Z., proboszcz z Prudentopolis. Ponieważ artykuł K. nie daje wyczerpującej odpowiedzi na całe mnóstwo pytań przesłanego formularza, pozwalam sobie uzupełnić braki materjałem, zebranym z autopsji całego szeregu lat mego pobytu w Brazylji i relacjami doświadczonych i poważnych kolonistów.

* * *

Kolonja czyli municipium — powiat — Prudentopolis, położona około 108 km. na zachód od węzła kolejowego Ponta Grossa, obejmuje szmat spory ziemi, bo przeszło 80 km. długości (od północy na południe) i 40 km. wszerz. Mniej więcej w centrum znajduje się t. zw. „sede" tj. miasteczko z jakimi 2500 mieszkańcami. Jest to siedziba władz powiatowych, sądu, urzędów podatkowych: federalnego i stanowego, no i ks. proboszcza. Miasteczko, siłą faktu, jest ośrodkiem wszelkiego ruchu: kupieckiego, szkolnego, organizacji i stowarzyszeń.

Ludności ma mieć nasz powiat coś około 30000, ścisłych danych podać nikt nie jest w stanie, jak tu się mówi: calcusa-se (kalkula-se, oblicza się, na chybił trafił, mais on menos = mniej więcej).

Dobrą połowę tej ludności naszego municipium tworzą rusini, z dawnej Wschodniej Galicji, przybyli wraz z Polakami także z tych stron w trzech etapach emigracji, 1896, 1905 i 1908. W 1896 przybyło 1500 rodzin ruskich i 500 polskich, r. 1905 przybyło 300 rodzin ruskich i polskich, a 1908 — 350 familij ruskich i polskich. Rodziny dalej od miasta otrzymały po jednym szakrze (=10 alkrów = 43,75 morgów austrj. lub polskich), rodziny bliższe miasta dostały po pół szakrze. Od pierwszej emigracji datuje się rozwój miasteczka i wogóle kolonji, będącej dotąd borem dziewiczym. Artykułem na handel i stanowiącym przez parę lat

aż do 1928 włącznie „prosperity" tutejszego ludu to — herwa, o czem p. St. K. w artykule swoim krótko wspomina. Dopiero na drugiem miejscu są produkta rolne, chów drobiu, bydła, wielu ma tego tyle jeno, ile potrzebuje dla własnej konsumcji. Różne na to się składają przyczyny: odległość od kolei, brak porządnych bitych dróg, które w czasie deszczów stają się bajorami, gleba „niezdała" (wyrażenie ludu) — rzeczywiście, gdzie herwa i pinjory, ziemia mało urodzajna, — mnóstwo szkodników i t. p. Nie można atoli powiedzieć, by zaniedbywano gospodarki, przeciwnie: dziś, gdy herwa nie ma ceny, — wszyscy obrabiają ziemię, bo produkta ziemne płacą dobrze. Dawniej, gdy herwa płaciła doskonale (1 aroba = 15 kg. płaciła 15 milreisów) pilnowano lepiej herwy. Prawie wszelkie produkta sprzedaje się albo w mieście albo kupcom — pośrednikom mieszkającym po t. zw. linjach (na kolonji), a ci odstawiają je dużemi furami lub kaminjonami (samochody ciężarowe) do P. Grossa.

Nasi emigranci prawie wszyscy poszli na ziemię, ten ów ostał się w mieście, o ile umiał jakie rzemiosło lub znał się na kupiectwie, rzemiosłu i kupiectwu oddają się dzisiaj więcej ich synowie. Sanatorjum żadnego po dziś dzień nie mamy, są zato dwa małe, prywatne „szpitaliki", jeden prowadzony przez polskie siostry miłosierdzia, drugi przez ruskie siostry. Apteki dziś są dwie, w rękach brazyljan.

Leczy się każdy na swój koszt, bo ubezpieczeń społecznych dotąd nie mamy. Że tutaj ludziska przy zapobiegliwości, ciągłej pracy przez cały rok doszli do jakiego takiego dobrobytu i pewnej niezależności — to nie ulega wątpliwości, gorzej w interjorze, lepiej bliżej dużych miast. Znam choć prawda w innych kolonjach fornali dworskich i chudopachołków, mających dziś spore gospodarstwa, kilka par koni, kilka szakrów no i sporo grosza na spodzie skrzyni. Kulturalnie zato tracą: spracowani i zmęczeni nie mają chęci do czytania gazet czy książek, na ogół, bo są jednostki, nawet wśród kolonistów ciężko pracujących, trapionych głodem książki. Brak szkół — a zwłaszcza polskich — przyczynia się niezmiernie do tego obniżenia poziomu kulturalnego. A tutaj w Prudentopolis egzystencja polskich szkół jest wprost niemożliwa — rodziny bowiem polskie tworzą słabe oazy wśród morza rusinów, ledwie w mieście jest jedna szkoła sióstr, — a na

kolonjach dwie prywatne szkółki z 20 — 30 dziećmi. Przymusu szkolnego nie ma, tzn. jest na papierze w paragrafach konstytucji — ale artykuły są martwą literą, bo się nie egzekwuje praw. Zresztą i trudno, skoro nieraz na przestrzeni 20 i więcej km. nie znajdzie się ani jedna szkółka!

Stosunek do władz miejscowych — poprawny, dobry, pierwotnie popierały nawet bardzo emigrantów. Co nas boli — to stosunek konsulatu naszego i jego urzędników, wprost lub pośrednio odeń zależnych, do większej części zdrowo i trzeźwo myślącej rzeszy emigracyjnej. Dużo możnaby o tem pisać — ale to nie mojem zadaniem, a zresztą nie znam tej zakulisowej brzydkiej zkądinąd polityki rozbijania nas na obozy: prawicowy i lewicowy. Marnych przysyła Polska reprezentantów, zamiast utrzymać wysoko prestiż państwa naszego, obniżali go, hańbili — aż doszło do skandalicznych procesów za gen. konsula S., głównego burzyciela ludności i zgody. Szkalowano się w gazetach, były i napaści nocne na przeciwników. Poco zresztą w Kurytybie aż dwóch konsulów: jeden generalny, drugi zwyczajny z całym sztabem urzędników? Odgrywają rolę wielkich, nieprzystępnych panów — miasto zająć się czynnie interesami naszymi czy Polski.

By nie być gołosłownym — parę przykładów. Swego czasu konsul D. ogłosił że będzie zwiedzał kolonje polskie w Rio Grande do Sul. Wówczas przebywałem w tymże stanie na największej polskiej kolonji Guarang. Zjechał pan konsul wraz z sekretarzem i instruktorem (też potrzebnym) szkolnym p. P. do nas, stanął kwaterą na plebanji — no i zwiedzał linje, by jak ogłoszono w gazetach „zetknąć się z ludem". Przybyli na linję Silva Jardin, zamieszkałą w dużej części przez Polaków z Lubelskiego. Postawiono tam dużą szkołę własnym wysiłkiem. Uczy tam niejaki P. były sołtys tej wsi, z której większość kolonistów pochodziła, były legionista, który prał bolszewików pod Warszawą, oficer — człek jednym słowem zasłużony w ojczyźnie i tu na emigracji. Na Trzeciego Maja urządził wspaniały pochód z dziarską kawalkatą krakusów. Z tą że kawalkatą podejmował z wielkimi honorami p. konsula, który nie raczył się nawet doń odezwać, ale, zwracając się do p. instruktora pyta się go — Panie instruktorze jak się ten nauczyciel nazywa?

To się nazywa zetknięcie się z ludem — zajęcie się, zaintere-

sowanie się nim. Odgrywać chcą rolę wielkich panów. Jak to inaczej z ludem postępował prawdziwy pan i szlachcic, hr. O. Wszedł w gromadę kolonistów, usiadł na pieńku i wypytywał się gospodarzy o ich powodzenie, co im dolega i t. p. Umiał sobie odrazu zjednać lud, który go też szczerze uczcił i uszanował.

Drugi fakt. Konsula rzecz pilnować interesów państwa swego, handlu, dobrobytu. Tymczasem gdy w 1923 r. poraz pierwszy w dziejach naszej marynarki zawitał do Paranagua, portu parańskiego, pierwszy statek szkolny Lwów, przywożąc z sobą cement szwedzki — czemu nie polski? — i maszyny rolnicze zmontowane, — nie miał co zabrać z powrotem jako balast. Myślano, że tuż przed odjazdem pójdą do dużej firmy nakupią kawy, i nią uszczęśliwią Polskę. Parę worków mogli zabrać — ale nie parę tysięcy, bo by taką transakcję przeprowadzić to należało wcześniej pomyśleć. A co robiono w Kurytybie, w konsulacie, z okazji przyjazdu pierwszego okrętu polskiego? urządzono rytmiczne tańce, bawiono się, przyjęcia wyprawiano — rozczulano się zamiast pilnować realnych interesów.

O tem należało wpierw pomyśleć — a potem o tamtem. Ponieważ balast dla takiego dużego pudła, jakim był Lwów, jest niezbędny, musiano postarać się o — kamienie, których chyba w Polsce nie brak, no i za nie jeszcze zapłacić. Takoż maszyn rolniczych nie dało się sprzedać, bo przyszły zmontowane, a na takie jest tutaj szalone cło, — gdyby były jeno w częściach składowych, można było cały ładunek spieniężyć. To był jedyny artykuł polski i pojechał z powrotem, zarobiła na tej imprezie Szwecja bo jej cement znalazł odbiorców. Znam tę historję dokładnie, bo byłem osobiście na „Lwowie" i słyszałem te skargi. Albo inny fakt: ogłoszono hucznie w gazetach że radjo polskie będzie nadawało transmisje specjalnie dla Południowej Ameryki, podano nawet szczegółowy program. Jak dotąd — zdaje się nikt nie uchwycił ni słowa z ojczyzny. Inaczej postępują Niemcy. Nie afiszują się — ale działają. Ich Reichsender z Berlina co dzień o 7-mej z wieczora aż do późnej nocy czynny, ogłasza chwałę Hitlerji, ich wyczyny. To rozumię. A propos radio — w formularzu jest pytanie: czy koloniści mają radio? Otóż trzeba powiedzieć że ani wiedzą co to jest. W miasteczku od paru lat jest parę aparatów ale że to szalenie drogie (towar zagra-

niczny), nie każdy może sobie na taki luksus pozwolić. A choćby koloniści i chcieli sobie sprawić radio — nie mają na kolonjach światła elektrycznego. Teatru ni kina nie mamy stałego — szkoły miejscowe urządzają od czasu do czasu różne występy, dają przedstawienia — na które mówiąc nawiasem uczęszczają prawie wyłącznie „miastowi". Książek nasi na ogół mało czytają, jeszcze „krajowi" zajrzą do książki, tu rodzeni nie mają zamiłowania, im więcej w głowie t. zw. baile = (bol, zabawa taneczna). Z organizacji miejscowych — prócz stowarzyszeń religijnych — istnieją dwa związki: Związek Rolników i Junak — wegetują, bo w miasteczku Polaków garstka, a z linji dalszych im za daleko, by uczęszczać na zebrania. Jest w tem pewna racja, — ale też brak poczucia solidarności. Do kraju stąd nikt nie wrócił,— bo i po co? na biedę? Tutaj są sobie udzielnymi gospodarzami, wolnymi — no i w dużej części zasobnymi.

A tam ścisk. Brazylja duża, jeszcze sporo mogłaby pomieścić,— zainteresować powinni się ci, do których to należy. Ale wszystko się kończy na szumnej frazeologji przy herbatce, a rezultatów nie ma. Tymi dniami (sierpień) zjechało około 80 rodzin do znanej tutaj miejscowości, Ivahy (55 km. od nas, powiat sąsiedni), słynnej z uprawy ziemniaków, dobrze płatnych. Wszyscy przybysze emigranci znaleźli ulokowanie u miejscowych gospodarzy, bo tym brak rąk roboczych. Ot gdyby tak czynniki powołane szczerze się zajęły tą sprawą, ułatwili by naszym tu ludziom, zmniejszyli bezrobocie w Polsce i dali tym bezrobotnym pracę.

Z pism krajowych pobieramy „Przewodnika katolickiego" w 18 egzempl. Kosztuje to wiele ambarasu z powodu przesyłki pieniędzy, bo banki nie wysyłają i drogo wynosi, bo nasza waluta słaba (1 zł = 3,5 mil.). Mimo wszystko póki się tylko da, będzie się prenumerować, by podtrzymać wiarę katolicką i polskość.

Na tem kończę moje luźne uwagi, nie mając pretensji, by je zredagowano w artykuł, — choć dla wiadomości, jak w formularzu proszono, — mogą się przydać.

W razie potrzeby mogę służyć dalszymi szczegółami, o ile czas i liczne zajęcia mi na to pozwolą. Odnośnie do polityki konsularnej, w Kurytybie, o wiele lepiej może poinformować „Oświata" — Curitiba.

Dn. 26 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 11

Rolnik w Paranie, syn robotnika rolnego z okolic Kalisza, ur. w 1879 r.

Idź książecko w drogę bo ja iść nie mogę
A jak dojdziesz blisko to się ukłoń nisko
A jak dojdziesz do proga pochwal Pana Boga
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus
Do stołu zasiadam i ukłon Państwu Polskiemu
Składam, za pióro się chwytam i z Państwem
Polskiem mile się witam.

Wyjechaliśmy z kraju w roku 1891. Wyjechało nas sześcioro z rodzicamy. Ojciec mój wyjechał z powodu braku utrzymania, bo ni miał swojego grątu, tylko służył u Pana. Majątku to miał tylko chałupę u swojego Pana Ojcza w podwórzu i jedne krowę i jak wyjeżdżał to wszystko sprzedał, bo w Brazylji agenty opisowali rozmaite dobrocie że tu się rodzą rozmaite owoce jabka to takie duże że jedno waży trzy fąty i wszystkie jensze owoce tak się rodzą że jak przyjdzie czas co dojrzywają to ludzie nic nie jedzą tylko samemy owocamy żyją i że pod kolana w niech chodzą i że ziemia wszędzie dobra nima lichej tylko wszędzie urodzajna, że nic się nie różni od Polskiej i że zarobki były takie że chłop zarabia 12 tysięcy dziennie ale czego — nie wyjawili. A wtedy w Polsce słynęły piniądze ruble złote i grosze. Więc nich nie wiedział coby to za sumę on mógł zarabiać, że takie dobre zarobki tu są i że Rząd rozdaje ziemię po 40 mórg na jednego chłopa nie tylko żeniatemu ale i samotnemu i na tem

grącie miał mieć dom wybudowany i całą zapomogę ze Rządu miał dostać. Wszystkie narzędzia rolnice i wyżywienie na cały rok. I ludzie jak to usłyszeli że tak w Brazelji dobrze zaczęli się umawiać po kilka famielji do kupy i zaczęli się szykować do podróży do Brazelji. Ale cóż z tego kiedy Moskal ludzi z kraju nie chciał puścić wtenczas uradzili się wyciągnąć paśporta do Łodzi i wynajeli sobie podwody i pojechali do miasta Kalisza okazać paśporta gdzie jadą żeby ich nie chwytano, tam paśporta przejrzeli ale i tak nie uwierzyli że oni jadą do Łodzi tylko do Brazelji uciekają. Wtenczas kazali podwodom odwieść nas tam skąd nas wzieny bez żadnej urazy. Ale pocóż ludzie mieli nazad wraczać kiedy już wszystko poprzedali wtencas znaleźli sobie przewodników i cofnęli się parę wiorst od miasta i pojechali jenszą drogą do granicy, dojechaliśmy do granicy wieczorem i podwody wróciły do domu. A nas przewodniki zaczęli przewozić łódką przez granicę pokryjomu tak żeby straż nie spostrzegła. Jak nas przewieźli to nas prowadzili do miasta Prus. Sliśmy całą noc po wodzie pod kostki i pod kolana mielej i głębiej rozmaicie. Zrobił się dzień doślim do miasta Prus a bylim okropnie zmęczeni i zmaczani i poślim do piekarza ażeby się obsuszeć i pożywić i z tego miejsca pamięcią nie zasięgam jak dalej było ale że dostaliśmy się do morza i nasze kopijki się szkończyły. Tam zastaliśmy większą grupę ludzi chtórzy oczekiwali na okręt. Oczekiwaliśmy parę dni aż większa ilość ludzi się zebrała i wtedy trzy okręty razem wyruszyły razem z emigrantamy, a te okręta były pruskie pod nazwą Baltymore Frefor i Grafbismark. A te okręta wiozły tych emigrantów na koszt rzędu Brazelyjskiego, jechaliśmy 18 dni do Rio de Janeiro, zajechalim tam, okręty ustały na kotwicy i przyszły parowce zabrały ludzi z okrętów i zawiozły na Wyspę, po pięciu dniach wzieny nas parowce z wyspy i zawiozły do miasta Rio de Janeiro i tam wsiedlim na kolej i pojechalim do miejsczowości zwanej Pijheria, tam w barakach bylim dziewięć tygodni, stamtąd koleją wrócilim nazad do Rio i tam wsiedlim na okręt Brazelijski, i pojechalim do Portu Paranagua a tam wysiedlim i bawilim pięć dni na barakach, po piąciu dniach wsiedlim na kolej i pojechalim do miasta Korytyby. W Korytybie bylim na barakach dziewięć miesięcy. Klimat ludziom się nie nadał okropnie chorowali i marli nie było dnia

żeby trupa na smętarz nie wieźli i tak było bez całe dziewięć miesięcy i my też chorowalim, zachorowało nas czworo. Ojciec leżał cztery tygodnie a ja dwa tygodnie i Ojciec i ja wyzdrowielim a dwie siostry umarło a śpital i pochowunek to było koszt rzędowy, a w tem spitalu to tak nas traktowano jak w Polscze na wsi psów i później stamtąd wyjechaliśmy wozamy do Portu Amazonas a tam zsiedlim z wozów wsiedlim na parowce i rzeką Igłasu przyjechalim do Sao Matheus i bez całą te podróż wicht rzędowy mielim. W Mateuszu bylim miesiąc wicht nam dawali ale już go musielim zarabiać. Robilim na drodze robiło nas dwóch na czworo skromnego wyżywienia. Po miesięcznej pracy wyjechalim do Barabji prumem a po brezelyjsku zwanem barsa a w Barabji bawilim miesiąc i tak samo robilim na drodze jak i w Mateuszu za wicht a później wzienim tłomoki na plecy i wymasierowalim na piechtę do Rio Klaro, ślim cały dzień i tu znów bylim miesiąc i tak samo robilim na drodze za wicht. Robiło nas już trzech, ja miałem 12 lat to zarabiałem 800 reis dziennie a ojciec ze starszem bratem wiele zarobiali to tego nie pamiętam ale pewnie mało bo nigdy nic nie zbywało. My w Rio Klaro robilim droge bez miasto a ometrzy chodzili i cieli piekady i mierzyli grąta dla emigrantów a po miesiącu casu wzielim tłomoki na plecy i ślim temy ścieżamy po ściarkach po dziurach i rozmaitych wertepach na tę ziemię którą dostalim ze rzędu a dotej ziemi dostalim jedne siekiere jeden fois i jedne gracę a rząd tak wydał że każdy na swojem grącie miał mieć chałupę pobudowaną a na każdej wsi było tylko po dwie po trzy chałupy było wybudowane z brzega a dalej nie było nic a do rzędu podali że już każdy na swojem grącie ma chałupę postawioną i to po wszystkich wsiach tak było złodzieje piniądze wzieni a chałupów nie postawili tylko rząd tak oczigani li. A było nas parę famielji i zaślim na tę ziemię a tam nie było nigdzie żadnej chałupy tylko bez pocątku i bez końca same dziwice bory. Stanęlim wszyscy bezradni a było to już pod wiecór wtencas nacienim drzewa napalilim ogień i przy tem ogniu wszyscy nocowalim a na drugi dzień dostalim rozkaz od siefa że aby dwa tygodnie mamy casu do cięcia lasu i postawienia sobie jakich chałupów a za dwa tygodnie żebym śli na drogę robić za wicht. A bez te dwa tygodnie co zaraz mielim zrobić wycie-

nim kawałek lasu i nacienim sochów nazakładalim drążków pokrylim liściamy to były takie nasze chałupy i teraz poślim robić drogę ale tylko taką prowizorycną żeby dało przejechać koniamy i dowieść wichtu robotnikom tem co chodzili z ometramy i cieni piekady. A ze rzędu dostalim po dwa litry czarnego fizonu i po kwarcie milyj dwa kile kartofli do sadzenia a dwa kile to tyle znacy co w Polsce cztery fąty. Przysedł październik las już wysech i wypalilim go, kobiety sadziły to co ze rzędu dostalim, a my prec robilim i przysedł grudzień robota stanęła i książki zamknęli i wichtu nam nie dali a nasze dopieru kwitło wtencasz, więc też nie było janszej rady zacenim się zmawiać z kilku wsi razem, zebrało nas się duża gromada chłopów i poślim do kantoru do siefa, ale wszyscy bylim z kijamy i zacenim się upominać zapomogi jaką rząd nam obiecał dać. Narazie prośbę naszą wysłuchano ale kazali nam kije poskładać, jakiem kije poskładali wtencasz na rozkaz siefa jak wypadło czterech czarnych brezeljanów z pałaszamy i z rewolweramy i jak zaczęli nam dawać zapomogę to aż się piętamy nakrywalim i kapelusze pogubilim, tak ze zapomogą uciekalim. Widząc że jesteśmy bezradni wrócilim do domu, wtenczas chłopy zacęli szukać roboty u brezelijskich Fazendrów i jak gdzie chto robotę znalazł to robił za 1.000 mila dziennie a jak chciał kupić kurę to musiał za nic dzień robić i za kope milyj też trzeba było dzień robić. A jak przyniósł tę kopę do domu to obdzieralim kruszylim i gotowalim całemy ziarkamy i jedlim bo nie było jeńsego sposobu. Tak żylim abym od głodu nie umarli, a tych biednich zarobków to było jak od grudnia to aż do maja i jak przysła niedziela albo święto to schodzili się jedni do drugich i opowiadali sobie o Polsce jak to było w Polsce a jak jest tu ci co służyli u Pana to cieszyli się bardzo że dostali ziemię że będą mieli w czem pracować a ci co w Polsce mieli swoje grąta i poprzedali i przyjechali tu to płakali rzewnemy łzami za Polskę. Płakali i Boże Boże szeptali poco my tu przyjechali ani księdza ani kościoła już więcej nie zobacem i napłakalim się dosyć i roześlim się każdy do swojej budki a było to już w maju i zebralim swoją miliję a było jej bardzo mało popatrzylim że nic starczy do drugiego roku. Ślim znowu do fazenderów na zarobek do zbierania milij a po zbiorze milij rosowalim na żyto, ze rzędu dostalim po kwarcie żyta i zasie-

lim gracamy zadziabalim a było to już miesiąc czerwiec i chłopy znowu pośli do fazenderów na zarobek do herwy ale nie umielim jej robić i brezelijani musieli nas uczyć więc też mało zarobilim i nie dało się wyżywić i rzucilim tę marną robotę wrócilim do domów i zacenim pracować jedni drugiem pomagać i chałupy sobie lepsze budować i tak z roku na rok pomalu się dorabialim. Za cztery lata po przybyciu na ziemię przyjechał ksiądz polski i zacon pracować między ludem zacon nawoływać organizować żeby budowali kościół i w tem przystąpilim do budowli cała okolica Rio Klaro i na rok 1900 mielim kościół wykończony pod tytułem Matki Boskiej Różańcowej. A w roku 1914 zacął ksiądz nawoływać żeby ludzie dawali piniądze na szkołę i ludzie dawali po wiele chto mógł jedni dawali piniądze, drudzy robotę i jak wybudowali szkołę to ksiądz sprowadził siostry rodziny Marji i ony tam dzieci uczyły, brały po dwa mile i pińset reisów miesięcnie od jednego dziecka od tych co chodziły z domu a od tych co pójdą do internatu to się płaci 20 do 30 milów miesięcnie zależy jak do stołu opróc książek i wszystkich przyborów co do nauki potrzeba a ony ucą pół po polsku pół po brezelijsku. A w roku 1920 znowu zacon ksiądz nawoływać żeby ludzie składali na śpital i ludzie dawali jak chto mógł i wybudowali śpital przy skole i w tem śpitalu była jedna ze sióstr Rodziny Marji za doktorkę. A jak się budowało szkołe i śpital to ksiądz powiedział że jak ludzie będą dawać pomoc to późnij będą się darmo licyć a teraz albo ten co dał albo ten co nie dał wszyscy jednakowo muszą płacić jak chto chory pójdzie do tego śpitala to musi za byle lekarstwo zapłacić tyle co on chce a jak się chto odda na miejsce to musi płacić 8 milów dziennie. A dokąd śpitala nie było to się ludzie lecyli ziołamy borowemi cem chto mógł. A organizatorem tego kościoła być ksiądz L. P. Kościół wybudowali i zapisali go na parafią a papiery od kościoła oddali jednemu z komitetowych, cłowiekowi ze sumieniem, żeby nie oddał nikomu. A usło to parę lat temu księdzu się przypomniało żeby to te papiery odebrać i sprzedać kościół biskupowi, biskup by był miał kościół a ksiądz piniądze, w tencas by był ksiądz brezelijski bo gdzie jest kościół zapisany na biskupa to w tem kościele podcas odprawy to brezelijanie palą cygary i nie tylko że palą ale i ze psamy przychodzą do kościo-

ła a Polacy nic nie śmią im mówić bo to jest nie ich kraj chociaż na takie kościoły składali, tak samo było by i z naszem kościołem i nasz ksiądz też ni stąd ni zowąd kiedy najwięcej ludzi się zgromadziło wysedł przed ołtarz nie ubrany w szaty do Mszy św. ludzie jak zobaczyli okropnie się zdziwili a on tu wyciąga papier i mówi że to jest od biskupa że biskup mówi żeśmy papierów nie nadesłali do dnia dzisiejszego to dziś mi nie wolno odprawiać i mówi że wyjdźcie na uliczę wszyscy to ja wam powiem co biskup mówi bo w kościele się nie należy i ludzie wszysci z kościoła wyśli a łon tu opowieda rozmaite banaluki komitety i brastewne, jak posłuchali tak pośli i kościół zamknęli. Byliby go z parafji wypędzili ale że miał swoją własną plebanię to pozostał w niej aż do śmierci a kościół był zamknięty cały rok dopieru urząd kościelny odniósł się z tą sprawą do biskupa a biskup o nicem nie wiedział jak się dowiedział co on porobił tak mu więcej parafji nie dał i znowu biskup nadesłał księdza S. K. i pracował 21 rok wśród nas i dopieru za jego staraniem zostało wybudowane ta szkoła i ten śpital co pisałem powyżej i on też kręcił się za papieramy chciał kościół sprzedać biskupowi ale że chcieli mu barany ostrzyć i dał spokój i nie usło to długo biskup powołał go na janszą parafiją i nam tu przysłał znowu za proboszcza księdza S. P. byłego redaktora Ludu i on już jest z namy osiem lat i na pierwsem placu parafijalnem gdzie na początkach stojała mała kapliczka, a ksiądz ogłosił zebranie parafijalne i na tem zebraniu uradzili żeby rozebrać tę kapliczkę i na tem placu wybudować wielki dom który będzie użyteczny do wszelkich spraw politycnych i do przyjmania rozmaitych dostojników którzy przyjeżdżają z obcych krajów. I przystąpilim do budowli a było to w roku 1933 a no i zestawilim go, ściany obilim dach włożylim a jeszcze dużo brakuje do wykończenia a my się tu dowiadujem z gazet że i po janszech miejscowościach jak w Rio de Janeiro i San Paulo też takie domy budują ale pod nazwą Dom Polski a nasz książulek wyrobił papiery pod nazwą Dom Ludowy więc ludzie jak się dowiedzieli że ten dom się tak nazywa i ręce od pracy opuścili i nie chcą go kończyć tylko powiedają że ksiądz dom zapisał na swoją redakcję nie na parafią to niech go sobie kończy tak ksiądz popatrzył że ludziom nie zrobi nic a jescze przedtem nazakładał rozmaitych kołów jak Sto-

warzysenie Dzieci Marji, Stowarzysenie Anioła Stróża, Stowarzysenie Sodalicji Mariańskiej Młodzieńców i Sodalicią Pań i ze wszystkich tych kołów ściąga duże składki pieniężne i tak pomalu ten dom buduje ale jednak nie za swoje piniądze tylko bez różne Koła z biednych ludzi ściąga. Na tej parafji nigdy księdza nie zbraknie bo tu duże podatki z ludzi ściągają jak na ten przykład chrzest kosztuje 7 milów, ślub od 30 do 40 milów, Msza św. śpiewana 15 milów, ekspertacja 50 m. od biednego a od możniejsego 100 milów i więcej. To tak tu księża z ludzi skórę drą jak mogą a jak na chtóry dzień nima Mszy św. zakupnej to ksiądz w kościele nie odprawi tylko idzie do szkoły tam gdzie ucą siostry Rodziny Marji ony tam mają w ganku szkolnym kaplicę i tam odprawi taką wzgardę ludziom pokazuje a jak wyżej wspomniałem szkołę mamy przy kościele ale to za daleko ludziom z kolonji dzieci posełać więc zaceni się ludzie organizować i stawić sobie szkoły po koloniach i starali się o naucicielów aby im dzieci ucili a jak jaki nastał to tak ucył aby mu miesiąc zesedł a o nauke nie dbał. Towarzystwa się pozawięzowały i poobierali prezesów kasijerów sekretarzów skarbników i rozmaitych członków a każdy z niech uszył sobie metrową kieszeń i patrzył żeby mógł ję jak najprędzej napełnić a naucicielowi naznacili pęsią 180 do 200 milów miesięcnie bo się nie może wyżywić. Ludzie posełali dzieci to płacili ştery mile i pińset reis miesięcnie od jednego dziecka i za takie piniądze to mógł dzieciak chodzić i siedem lat to nawet dzielenia i mnożenia nie zrobił tylko dodawanie i odejmowanie, tak naucyciele ucyli. Członki skólne wkładają pół mila miesięcnie do kasy towarzystwa a od dzieci to też wkładali do tej kasy a ta kasa dopieru wypłacała nauciciela zamiast prezes i kasier wypłacić nauciciela to oni piniądze powpuscali sobie do tych kieszeni a dla nauciciela nie było i nauciciel się zabira a kasa zostaje pusta i szkołę zamykają i stoi cały rok casem i więcej dokąd im się kieszenie nie wypróżniły i później znów zacynają się schodzić i ludzi zawoływać i obradować i drugiego naucyciela sprowadzać i szkołę roztwierają i żeby ludzie dzieci posełali bo drugi naucyciel będzie lepiej ucył i wtencas się ta starsizna zruca a drudzy się znów obierają i znów tak samo idzie. Aż my się tu dowiadujem że pan Konrad Jeziorowski jest inspektorem szkół tak

wnieśliśmy do niego zażalenie że nauciciele licho ucą opłata drogo a nauka licho idzie. A on nam nato pocekajcie do grudnia to ja tam przejadę i zobacę i dam im tam po nosie i naznacył dzień kiedy będzie zwidzał szkoły i zebrała się duża ilość chłopów. Przyjechał samochodem i wszystkich powitał wysedł nauciciel i starsze od szkoły i zabrali go do pokoju i wypili sobie piwa i pobawił z niemy parę minut i wychodząc do ogółu poklepali się po ramieniu i pożegnał się ze wszystkiemy pięknem dowidzenia i wsiad na samochód i pojechał do drugiej szkoły. To był cały przegląd książek i sprawdzanie nauki i kara na nauciciela. To tak tu w Brazelji szkoły idą i chłopy popatrzyli że to nie dało nic, powycofywali się, dzieci więcej nie posełają tylko ucą w domu cego mogą. Bo jansze szkoły co przód miały po 80 dzieci i więcej to pooddawali rzędowi brezelijskiemu i teraz w niech ucą tylko po brezelijsku i do nauki brezelijskiej dzieci mają wszystkie rzecy ze rzędu i nauka darmo. A jak kto chce żeby dziecko ucyło się po polsku to musi płacić mila na miesiąc i wszystkie rzecy do nauki kupić i tylko godzinę we dniu się ucy to tak nasze szkoły fąkcjonują w okolicy Rio Klaro. A tę ziemię co dostalim ze rzędu to musielim ją opłacić w roku 1912, każdy zapłacił za 10 alkrów 368 milów i 600 reis a chto nimiał piniędzy to musiał odrabiać na drodze, po opłacie tej ziemi to trzy lata wolne a po trzech latach nałożyli $ 3000 mile podatku na rok. A teraz cem gorsza bieda to nałożyli 6000 milów rocznie. A tech 10 alkrów ziemi to tyle znacy co w Polsce 40 morgów a chto ma wóz to musi płacić 50 milów rocnie od samego woza, ja na pierwszej ziemi gospodarzyłem się 15 lat. Miałem konie bydło i wóz a ziemia była licha urodzajnej nie było nic tylko że było trochę herby to i dokąd płaciła tom się tak utrzymował, a później herba staniała i na inwentarz przysła jakaś pesta zaceno mi się marnować i do reśty poprzedałem i ziemię też sprzedałem za 7.800 siedem tysięcy i osiemset milów i przeprowadziłem się na jansze kolonię i kupiłem od Józefa Ciborowskiego 10 alkrów zapłaciłem osiem tysięcy z przepisem zato że są dobre budynki i ziemia urodzajniejsza ale że inwentarza żadnego ni mam bo tu są takie ludzie że nawet psa nie można trzymać bo potrują. Wędzierze sprowadzają różne trucizny jak trucizna na mrówki arszenik amonizador do zboża to wszystkie te tru-

cizny ludzie mogą sobie nabyć i jak jeden na drugiego ma jaką złość to się mści na inwentarzu i wszystko truje świnie konie bydło psy co spotka i ja też boję się straty i o nic się nie staram tylko robię sobie na wicht siekierą foisem i gracą i jak jest rok urodzajny to casem się i trochę sprzeda a jak jest rok nieurodzajny to się nie sprzeda nic i ledwo starcy jedno do drugiego, tylko cały dochód jest z jajków, rocnie się sprzeda za 180 milów i do 200 jak zależy do cyny i do tego co rok zimą idę do fazenderów do roboty herby to bez dwa miesiące jak licha cyna zarobię 100 milów a jak cyna lepsza to i 200 milów i mam trochę herby swojej to co cztery lata wyrobię to za nią wezmę 400 i do 500 milów zależy jak kiedy płaci. To taki mój cały przychód i tem dochodem ogranicam się jak mogę trochę na przyodziewek trochę na słoninę i resztę na różne rzecy co w domu trzeba i naco my starcy to to jest a do reśty się obywamy jak możem i chodziem w dziurach w łatach tak żeby długu ni mieć. A rodzina moja składa się z sidmioro dzieci a z rodzicamy dziewięć a nadto dwuch synów i pięć córek, najstarszy syn licący 22 lata a najmłodszy osiem lat. Ożeniłem się z Polką rodem z Polski, ślub brałem u księdza Sylwestra Kandory, zawarłem ślub kościelny i cywilny. Poziom mojego życia obecnego to jest taki że muszę dużo pracować a mało korzystam, podług Polski otóż należę do organizacji Polskiej bom się pisał do Państwa Polskiego ale i należe do władz miejscowych bo tu mną rządzą i teraz też powołali syna do służby wojskowej i musiał iść. A w domu mówi się po polsku a ja co chodzę po zarobkach tom się naucył trochę i po brezelijsku ale nie wszystkiego tyle co my potrza to się rozmówię a do naucyciela mówi się po brezelijsku, do księdza po polsku. Należący jestem do parafji Rio Klaro a rodzina moja jest dosyć zdrowa. A do stowarzyszeń nie należę teraz do żadnych bo byłem już w różnych stowarzyszeniach ale nigdzie nie da nic bo wszędzie samo złodziejstwo jak gdzie co zakładają to chłopa wołają żeby dał a potem jak chłopy naskładają to żeby nic nie mówili bo jak chłop co przemówi to zara więzieniem straszą więc z takich towarzystw trzeba się wycofywać. A po pracy spędzam cas tak że jak się nie napracuję mocno to w niedzielę idę do kościoła a jak wrócę to sobie do wiecora cytam gazety a gramofonu ni mam bo tu na gramo-

fony nikogo nie stać a o radiach to tu na kolonjach nicht nie wie nawet radia nie zna a książków żadnych nie kupuje bo ni mam zaco tylko utrzymuję gazetę z Kurytyby pod nazwą Gazeta Polska i sprowadziłem sobie jedną książeczkę z Warsiawy pod nazwą Pamiątka z Polski i niezadowolony jestem z tutejszego kraju tylko radbym wrócić do swojej ojczyzny choćby i dziś. A jak bym docekał wrócić do kraju to chciałbym żeby my rząd dał z kawał ziemi żebym miał w cem pracować i zapomogę do tej ziemi. A z tutejszej miejscowości do kraju nie wrócił nicht bo niejeden choćby chciał wrócić to nima sposobu. A krajem to tylko tak się interesuję że dałem 30 milów na odrodzenie Polski i dwa mile na powodzian bo jenacyj interesować się nie mogę, na powodzian bym buł dał więcej ale ni miałem skąd bo już szósty rok kryzys panuje i próc zarobku herbowego to innych zarobków nima i oscędności żadnych ni mam bo co w poprzedniejszych latach złożyłem to teraz w ten kryzys wszystko się wycjągło i teraz bieda ni zarobku ni pieniędzy nima co zaco kupić i chodzi się więcej w połatanem jak w całem, dopieru jak się idzie gdzie dalej na kolonię do kogo to się przebierze w calsze ubranie i jedno ubranie musi każdy tak ochroniać żeby starcyło na dwa lata ubranie od pracy a od święta to nima co mówić bo tu teraz towary okropnie zdrożały i nima zaco kupić tylko trzeba się obywać, zarobków nima a wszystko drogie. A zboże to też tak kursuje jak jest rok urodzajny coby ludzie mogli sprzedać z trochę i z parę milów wziąść to wtencas tak płaci że aż szkoda za taką cynę oddać a casem to i wcale nie kupują a do drugiego roku to zboże nie doleży bo robastwo zje bo po sprzęcie to pszenica poleżyć nie może bo za miesiąc czasu to już z niej wyłażą robaki takie małe motylicki i latają na skrzydłach a fiżon za dwa miesiące po sprzęcie robacywieje to wyłażą robaki takie jak w Polsce z bobru tylko że małe. A milija od zbioru do sadzenia to zostanie tylko plewa tak robaki zjedzą to też wędziarze sprowadzają tak zwane amonizadory do zboża i zaraz po sprzęcie starają się i wymłacają i amonizują żeby robaki nie jadły i w taki sposób ludzie sobie nabywają tej trucizny i jedni drugiem szkodę wyrządzają jak wyżej wspomniałem i nie dziwcie się że tylko tyle opisuję bo przecie ja nie mogę z każdego dnia lub miesiąca opisu robić bo tak jest jak opisuję prawie z roku na rok a wiek schodzi wszystko co było i co jest pi-

szę jak najrzytelniej i jak najsprawiedliwiej. Tyle tylko pamiętałem i tyle napisałem.

I nic dziwnego że wy się tu oto zapytujecie bo ani poseł ani konsul doniesienia wam z tego zrobić nie może bo jak ma przyjechać na parafią to ksiądz ogłosi i na ten dzień każdy się oblece ogarnie jak chto może i biegnie też zobaczyć i powitać starszego ze rządu polskiego. Ale przecie ludzie tam nie pójdą do posła lub konsula uskarżać się o swojej biedzie, a ksiądz nie powie jak tu ludzie żyją tylko zawsze pochwala więc też oni nic nie wiedzą, jakby chcieli się dowiedzieć cy istotnie tak jest jak ja tu piszę to musieliby wyjechać na jakiś cas i ubrać się po cywilnemu i chodzić po koloniach od chałupy do chałupy wtencas by napotkali i zobacyli jak ludzie żyją w te casy nietylko ale by spotkali jak ludzie po rosach uciekają ze wstydu że takie same obręby na sobie mają i cieszę się bardzo że i w Polsce jesce o nas pamiętają i że mogę doniesienie zrobić o swojej biedzie i opis kończę i Państwu Polskiemu miłego załącę i proszę odpis cy dosło.

Dn. 19 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 12

Rolnik w Paranie, pochodzący z byłej Galicji, ur. w 1851 r.

Nie mogłem nic napisać na pamiątkę Emigranta Polskiego, nie byłem emigrantem, lecz moi rodzice, którzy już dawno mi pomarli, tu na brazylijskiej ziemi, to też nie miał mi kto opowiedzieć, aż tu spotkałem się z człowiekiem, prostem wyrobnikiem, już starem dziadkiem, jak sam się opisuje, i ukazuję mu konkurs na „Pamiętnik Emigranta", wziął ode mnie w swoje własne ręce i powoli czytał je, po przeczytaniu mówi mi, że napisałby ale niema na to papieru, atramentu i pieniędzy, na wysyłkę. Obiecałem mu to wszystko dostarczyć, z długiem namyśleniem i rozmową zgłosił się na to i za parę dni oddaje mi jego rękopis gotowy do wysyłki i mówi mi że napisał jak sam rozumiał, otóż ja biorę od niego i wysyłam, w nadziei że jeszcze W. Panowie otrzymacie na czas wyznaczony, po otrzymaniu tejże W. Panowie będziecie łaskawi nam napisać, czy otrzymaliście i czy będzie dobra. Korespondencję proszę wysyłać na moje imię. Pozostając pozdrawiam braci w Polskiej ziemi żyjących.

* * *

Przewielebne Gospodarstwo Warszawskie. Ja niżej podpisany ofiaruję wam najprzód siebie, byłym synem biednego ojca, który mnie nie nauczył ani czytać, ani pisać. Ale ksiądz kanonik wziął mnie w swoje opiekę i nauczył mnie czytać i pisać bo na ten czas po wsiach szkół nie było. Aż mi było lat 19, ksiądz mi wyjednał w gminie pisarstwo gminne, ale nie na długo, bo w 20 roku by-

łym asenterowanym do 8-go Batalionu Kanonierów, byłym przy kanonierach trzy roki, a potem za pieniądze służyłym cztery roki. Po tych siedmiu latach powróciłym do ojca i zaraz ożeniłem się i 24 lutego zostałem pisarzem gminnem w gminie Sarzynie. W ósmem roku mego pisarstwa kupiłem osiem morg gruntu we dworze Wisnowskiem, wszystkich kupców nas tam było 135, ale od nas pieniądze odbierali dwa kontraktowi i trzeci był z niemi adwokat, którzy pieniądze od nas wzięli a banku hipotycznego nie wypłacili, potem z banku hipotecznego przenieśli do banku krajowego na 22 roki na wypłat, z tego my się pogorszyli bardzo i usłyszeliśmy człowieka że w Brezelji dają grunt za darmo, który do Brezelji namawiał i lud spisywał tylko aby miał za co swojem kosztem do morza się dostać, tylko 10 ryńskie dać za szif kartę, tak nas ten kowal podał do Genewy i z Genewy nam przyszła wiadomość abyśmy się stawili na 24 sierpnia, i tak my się do morza dostali o swojem koszcie, a gdyśmy się na sife dostali dwadzieścia dwa dni jechaliśmy nic nas nie kosztowało, przyjechaliśmy do Rio de Janeiro, tam na wyspie byliśmy kilka dni potem wzięli nas na sife, jechaliśmy dwa dni. Przyjechaliśmy do Spirytu Santos i wzięli nas na kolej. Przyjechaliśmy do Kurytyby, a z Kurytyby do Lapy. Tam nas blisko Lapy na pastwisku złazić rozkazali aż za małą chwilę przyjechali do nas dwóch furmanów i zabrali na wozy nasze walki i małe dzieci do cegielni pod dach, tam byliśmy aż na drugi dzień te same furmany przywieźli nam wikt do jedzenia, ale surowy musiały same kobiety gotować. A nie wiedziały jak to przyprawić, bo w Galicji tego nie było jak nam tu dali bo w Galicji mendzioki niema, a tu nam dali fasole i mendziokowo mąkę, że nie wiedziały co z tą mąką zrobić, a ta mąka jest najlepsza do fasoli, tylko tej mendzioki do fasole zmieszać i omaścić to najlepsze jedzenie,ale za parę dni przyjeżdżają furmani i zabierają dziewięć famielji i wiozą nas w las ale niedaleko bo nie było drogi, w lesie musieliśmy naprzód droge robić a fury czekały, ale ich to nie bolało bo im rząd dniówkę płacił. Cośmy trochę drogi zrobili to furmani za nami jechali. Tak my dwie mil trzy dni jechali, aż przyjeżdżają do jednej szopy, w tej szopie nas zostawili i zostawili nam jednego, który nam kazał drogę dalej robić, a sam pojechał po drugie familije, a my dalej drogę robili jeszcze trzy dni, aż my drogę zrobili na kolonio, potem emigrantów wieźli aż

na Kolonio Antonio Olinto, gdzie teraz mamy sklepy i karczmy. Potem za parę dni przyjechał szif i z Polakiem który nam był tłumaczem, bo my nie rozumieli jemu a on nam i ten tłumacz rozkazował nam rozszerzać drogi do tej ziemi na której teraz mieszkamy, ale drogi żadnej nie było tylko znaki porobione, takie że tylko człowiek przeszedł, ale zato płacone było nie pieniądzami tylko każdego kazał zapisać, aż później sprowadził się taki Niemiec i sprowadzał wszelakie rzeczy. Co komu potrzebne było to on nam za tę robotę dawał, co kto chciał aż my ścieżki lepsze porobili. Wtenczas ten tłumacz kazał mi Polaków spisać i mówił teraz wy Polacy chodźcie z nami to wam pokażemy gdzie który będzie miał ziemię i pod którem numerem. I wtenczas robieliśmy każdy na swem szakrze, jak kto mógł dachy aby miał gdzie głowę skłonić przed deszczem, ale wikt nam dajeli sześć miesięcy pominęło żeśmy już trochę na polu mieli już posadzone mieli, wtenczas nam wiktu nie dali. Ale kto chciał sobie zarobić bo przy drogach robota była to mu bieda nie dokuczała. Aż na drugi rok to już nam dobrze było, a potem aż my się spomogli na krowy na konie i świnie, to my niczego nie pragnęli i tak do dziś dnia mamy. Pominęło dwa roki, gubernia rozkazała postawić kaplice ale gubernia za robotę płaciła, a koronel z Lapy na ołtarz kupieł nam świętego Józefa swego patrona a księża co do nas przyjeżdżali, ani od chrztu ani od ślubu jak się młodzież żeniła nic nie brali, a teraz księża by skórę z człowieka zdarli tak od chrztu tak i od ślubu. Księdza miejscowego nie mamy choć my kościół nowy postawili, tylko do nas dojeżdża co dwa tygodnie i to dlatego dojeżdża jak kilka wesel będzie. Nie dość na tem, że tak księża robią a do tego jeszcze i urząd bo teraz kto ma parę koni i wóz płaci podatek 22 milreisy, od ziemi na której mieszkamy sześć set reisy t. j. od 4 morg. Przyjechałem na tę kolonią już 40 roki temu, ale mi się nie przykszy bom już trzy syny i jedną córkę na pierwszych latach pożenieł, a już najstarsza córka pożenieła trzy syny i ma wnuków dziewięć, młodszy syn dwie córki i syna i ma wnuków czterech, trzeci syn ożenił syna i córkę ma jednego wnuka a moje prawnuki. Najmłodszy syn ma 11 dzieci ale jeszcze nie żeniate. Familję mam wielką ale że mają po ładnem kawałku ziemie, córce odrobiłem na drodze robiłem mosty 10 ankry a ankier ma cztery morgi, młodszemu synowi za pieniądze kupiłem 40,

drugiemu synowi kupiłem 60 morgi, ale te troje dzieci już se trzy razy tyle dokupiły, a najmłodszy syn dostał ode mnie 80 morga nie dokupił sobie nic, dostał za żoną 15 setki a nic nie kupieł, a co się tyczy dzieci troje chodzi do szkoły a reszte jeszcze małe, a te starsze już nie chodzą do szkoły tylko w domu gazety czytają bo do wszystkich idą gazety polskie, ale też i brezelskie. Moja rodzina cała umie jak po polsku tak i po brezelsku a nawet Ojcze nasz Zdrowaś i wierze w Boga Ojca jak po polsku tak i po brezelsku, jak moje dzieci tak samo i wnuki. Ale nietylko moje dzieci ale cała polska rodzina, alc Polaki do siebie mówią po polsku chyba z jakiem innym językiem z ruskiem jak się zejdą to mówią po brezelsku, ale po największej części Polacy i dzieci bardzo się wynaradowiają, zwłaszcza dzieci Polacy i Rusiny, ale niema się dziwować dzieciom bo dzieci jeszcze głupie, ale parę lat temu jak przyjechał do nas ksiądz Józef Anusz jeszcze z początku jak my przybyli do Brezeli, daliśmy mu dobre pomieszkanie i wikt. Który do siebie zwołał ludzi i pytał się ich czy wam tu dobrze czy się nie znęcają nad wami Brezyljanie a oni mu odpowiedzieli jest tu trzech takich co nas często napadają a nieraz i do bicia się biorą, a ksiądz im odpowiada, bo tu musi bić wolno, a oni mu odpowiadają a pewno że tak, a jak tak to tu do was księża dojeżdżać nie będą, a Marcin Hajnosz odpowiedział a jak księdza nie będzie to i pod drzewem się pomodlimy a ksiądz mu z wielkiem krzykiem odpowiada ty durny jesteś! połóżcie go na te ławkę to mu ja na zadek parę lasek wlepie a ci chłopi go słuchali i na ławce go przytrzymali ksiądz go po zadku bił aż potem dał ten kij do rąk Andrzejowi Szwet i kazał mu bić aż potem miał ksiądz na Józefa Okońskiego i powiedział że i Okońskiemu tak samo zrobi jak zrobił z Marcinem Hajnoszem i szedł przez miasto do Okońskiego aż się spotkał z Brezeljanem, ten się go pyta gdzie ty idziesz czy może Polaków bić i położył księdzu dubeltówke na ramię i wystrzelił a ksiądz się zląkł i wrócił się nazad i wziął 42 Polaków ażeby go odprowadzili do Lapy bo on z Lapy był. Aż później dał mu biskup pod Kurytybą posadę na parafji. Tam czynieł nieprzyjemność z ludzkiemi kobietami i został przez biskupa od parafji oddalony. Potem pojechał do Kruis Masiado tam kupieł sobie gospodarstwo ale na niem nie mieszka tylko jest w San Paulo, podobnie jest tam agentem emigracyjnem. A w późniejszem czasie przyjechał do

nas drugi ksiądz staruszek nam dany za parafialnego księdza, który bardzo był dobry dla nas a nie trzymał przy sobie żadnej sługi tylko sam sobie gotował i bieliznę prał a co w pieniądze był dość bogaty, składał pieniądze na postawienie kościoła. Więc ten ksiądz który się nazywał J. W. mieszkał z nami aż do roku 1911 i w tem roku trafił na śmiertelny los bo ostatnie kazanie miał bardzo piękne na Matkę Boską Zielną i powiadał że go ktoś prześladuje i tego samego wieczora napadł go jakiś zbrodniarz i zabił go a potem go wywlókł na dwór i na żerdzi za kark powiesił. Ale w sąsiedniem domu o 400 metry w oddaleniu siedzieli parę osoby i rozmawiali sobie i usłyszeli krzyk i przylecieli tam a ksiądz już zawieszony wisiał i nie widzieli przy niem już nikogo tylko ksiądz wisiał i był poobijany po głowie i po twarzy, krew z niego ciekła. Tak dali wiadomość innym ludziom którzy na drugi dzień tam przyśli i znaleźli ślady bo było po deszczu i uważamy trochę czyja to była ta sprawa ale nie możemy tego udowodnić. Ale te nasze myśli jak my myślimy, którzy te zbrodnie zrobili już nie żyją a wszyscy już nagłą śmiercią pozdychali, bo jeden się sam powiesił, drugiego na kolonji zabito, a trzeciego pod Kurytybą policja zabiela. Tak wszyscy nagłą śmiercią poszli z tego świata do czartowskiego pomieszkania. Tak od tego czasu nie mamy stałego księdza tylko do nas dojeżdżają księża co dwa tygodnie i ksiądz z Sant Mateusz nam rozkazał abyśmy nowy kościół zbudowali to będziemy mieli księdza miejscowego, tak my kościół nowy postawili i plebanję a dotąd księdza miejscowego nie mamy, a czy będziemy mieli to tego nie wiemy. Teraz podaję wiadomość sam o sobie i o innych na tej kolonji. Gdym się już osiedlił na tej kolonji, za ostatnie pieniądze kupiłym świnie u Brezeljana i zabiłem a sam poszedłem szukać roboty, ale nie sam tylko nas było ośmiu. Szliśmy aż za Ponto Gros, tam my naśli robotę przy kolei, tam nas wzięli do roboty płacili nam dziennie po 8 mile, ale dziennie nas obtrącili po 2 mile za wikt tośmy mieli po 6 mile, tam my robili przez parę miesięcy, aż 3-go grudnia przyśliśmy do domu gdy nas familja ujrzała bardzo się ucieszyła, aż tu żona mi powiada, dobrze żeś przyszedł bo nam już wiktu brakuje i tak na drugi dzień pośliśmy do Agwa Mareli kupić coś do jedzenia i zaraz kupiłem sobie świnię i krowę. Od tego czasu jużem daleko na robotę nie chodził alem zarobkował na kolonji u swoich ludzi stawiałem im domy, a po-

tem jak się poznałem z Brezeljanami miałem roboty dosyć, a gdym już ziemię nakupieł, porozdzielałem między dzieci bom już córkę i dwa syny ożenieł, a potem trzeciego po dwóch latach i tak do dziś dnia, jak mogę pracuje ale już robić nie mogę mi już 85 rok pominął, ale jeszcze choć z trudem to zrobię komu konewkę cebrzyczek, młynek do czyszczenia zboża i inne rzeczy robię jakie dla ludzi potrzebne. Dużo ludzi sie od nas oddala na inne kolonje a to z tego powodu że źle rządzili sami sobą bo tu jest dosyć ziemi do kupna ale tylko u Brezeljanów a gubernickiej ziemi nie ma. Moja famielja pewno że się stąd nie wydali bom ja im nakupieł dość ziemi z guberni a resztę u Brezeljanów. Najstarsza córka ma przeszło 300 morg, młodszy syn 500 morg, trzeci syn 400 morgi, a najmłodszy syn 120 morg, razem mogę wyliczyć 1320 morgi ale się najdzie jeszcze i więcej bo drobne kawałki nie zrachowane, które są po mordze półtory lub trzy morgi, a i najdzie się wiele takich gospodarzy że mają jeszcze po więcej ale nie w jednym miejscu bo gdyby miał w jednym miejscu toby był dwór. A są i takie gospodarze mieszka na tem szakrze który mu gubernia dała i że więcej nie przykupieł, a dzieci ma kilkoro czem będzie dzieci dzielił a tu tak jak w Europie na takiem kawałku nie może żyć, żyłby ale gdyby pole obornikiem uprawiał. Tu najlepiej ci mają się, którzy herbaty dużo po polach mają ale ci którzy mało ziemi mają nie może mieć herwy czyli herbaty, bo ma mało ziemi to las jego zniszczony i w lesie herbata a herbata rośnie tylko w lesie, a gdzie się sieje i sadzi tam herwa nie rośnie, kto ma las, po lesie chudoba chodzi to ma herwy pod dostatek, ma pieniądze bo zrobi sobie parę worki i kupcy zabierą herwę a jemu zapłacą. Moje dzieci mają wszyscy herwę, bo mają las. A tu tak jest kto chce chować bydło, konie to musi las ogrodzić najmniej 6 i więcej mórg lasu to w takiem miejscu będzie herwa i nic jej szkodzić nie będzie bo stworzenie wygryzie trawę a herwa lepiej rośnie bo ją konie bydło i świnie oczyszczają. Naprzykład gdyby w Polsce miał tyle ziemie to by się miał bogato, a tu ma dużo ziemie a niema się bogato. Dlaczego to wam opowiem, bo u was uprawiają ziemię obornikiem, a u nas powyrębuje krzaki i ony na miejscu wyschną, wtenczas podpali i na tem miejscu sadzi lub sieje kukurydzę i fasolę tak sadzi na spalonem, a jak chce żyto lub pszenicę siać to musi motyką kopać a jak zbierze z tej ziemi

to potem musi trzy roki czekać aż tam zarośnie jak pierwej było.Aż po trzech rokach musi znowu te krzaki ścinać i jak suche znowu palić i sadzić. Teraz wam opowiem że kto nie zniszczył lasu ma w niem herwę i piniory po waszemu sosny i dęby to teraz zabierają te drzewa, a za takie drzewa płacą za piniora 5 mile a za dęba 10. A więc jest takich dużo że mają las, to te drzewa zabierają do tartaków i rżną w tartaku na deski i odwożą do kolei a kolej odwozi do morza i gdzieś to morzem te deski gdzieś odsyłają. Na naszej ziemi Antonio Olinto jest sześć tartaków to im potrzebno dużo drzewa. Teraz podaję do wiadomości o naszym towarzystwie. Na naszej kolonji już parę lat temu jak powstało towarzystwo pod imieniem świętego Izydora. Równocześnie przy towarzystwie rolniczem pan profesor W. założył szkołę rolniczą do której darował wiele rzeczy, bibljotekę, standar narodowy, mapy wszystkie części świata. Piękny ten rozwój zawdzięczamy pomocy i inicjatywie prawdziwego i ruchliwego społecznika p. prof. W. A teraz wam opowiemy inne interesy naprzykład o szkołach. Szkół nam nie brakuje bo na naszej kolonji jest szkół cztery, ale w trzech szkołach uczą tylko po brezelsku a w czwartej to uczą po brezelsku po rusku i po polsku, ale za szkołę polską i ruską profesorowi się płaci jeden milreis miesięcznie. A te dzieci co się uczą po brezelsku za te szkoły nie płaci się nic bo są urzędowe a w szkołach prewatnych płaci się 4 i do 5 mile nauczycielowi miesięcznie.

A teraz wam donosimy o chorobach. Choroby są rozmaite a najwięcej jest chorób tyfusowych bo kto się czuje na kieszeni to idzie do doktora, a kto nie ma pieniędzy to do szpitala urzędowego ale tylko ten który ma niebogatą familję to ten za szpital nie płaci. A kto ma familję bogatszą to i urzędowy szpital trzeba zapłacić. Co się tyczy nam na przyszłość to się nam widzi że będzie gorzej jak teraz a to z tego powodu że teraz mamy wszystko, ale jak nam braknie lasu to i drzewo musimy kupować na opał bo teraz drzewo tartaki zabierają a nam zostanie goła ziemia. Jak widzimy młody naród się zanadto rozpuszcza i dużo się marnuje, tylko patrzy aby była muzyka i insze zabawy, a przytem i od religji katolickiej odstępują.

Dn. 28 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 13

Rolnik z Parany, syn gospodarza rolnego z województwa tarnopolskiego, ur. w 1879 r.

Z Galicji — Powiat Borszczów, wieś Konstancja, K. D. wybierając się w podróż do Brazylji, ze swą rodziną, wcale nie znając tego kraju, ani obyczaju, ani ludzi jakie tam są idąc po prostu na ślepo jak w prawdziwą przepaść. Niejeden człowiek mógłby się zapytać dlaczego ludzie się wybierają w nieznane im kraje, nieznany język ni ludzie, bo takie ludzie się narażają na różne niewygody i nieszczęścia. No, ale cóż kiedy człowiek jak na co zbierze odwagę to dokonać jej musi, gdyż w kraju było niepodobno do rozwoju z wielką rodziną. Zaledwo mój ojciec miał chałupę i trzy morgi pola, a było nas dziesięć osób. Prawda że pole było urodzajne, ale żywności zawsze nam brakowało, fabryk u nas nie było, były folwarki, ale te zarobki były bardzo skromne, a co najgorzej że w naszej wiosce nigdy szkoły nie było, więc ludzie żyli w prawdziwej ciemności, a gdy ojciec im prawił o szkole i nauczaniu dzieci, to oni zaraz mówili, że ich pradziadki i ojcowie żyli to i oni bez nauki żyć będą. Dosyć że rok przed naszem wyjazdem, pierwsza ochronka powstała na naszej wiosce. Lecz nasz ojciec wieczorami nas uczył w domu i niektórzy nawet z naszych somsiadów uczęszczali do nas na naukę. Ojciec lubieł bardzo pisma i często odwiedzał niektórych z panów i wypożyczał książki dla nas do czytania. I tak nas tresował jak jeno mógł. Pewnego dnia nie wiem skąd ojciec dostał gazetę w której był opis o Brazylji, ale krótki, gdyż w naszych stronach o Brazylji nicht nic nie wiedział. A panowie i księża chociaż czytali gazety to

o takich artykułach nic ludziom nie mówili. Ojciec jeno ten artykuł przeczytał jaka to Brazylja wielka, jak to urząd dużo gruntu dla europejskich ludzi rozdaje, a jednak w Brazylji już i Polacy istnieją, jak i inne narody a u nas ani słychu. Więc somsiedzi zaczęli się z ojcem naradzać, jakby to się do tej Brazylji dostać, wreszcie się dowiedzieli, że w Czortkowie jest komisyja, która zapisuje do Brazylji kto chce jechać.

Aż naraz poszli do Czortkowa żeby zbadać na jakich warunkach co do wyjazdu. Na drugi dzień stawili się wszyscy co tyle chęci mieli do tej Brazylji wyjeżdżać, tam niby miał być jakiś cały komisarz, który wziął wypytywać wszystkich niby zapisywał, jął nagabywać, grozić im wszystkim że ich uwięzi i każe ich zakuć w kajdany, jeżeli nie zaprzestaną gadania o tej przeklętej Brazylji. I tak z wielką zgrozą zostali odprawieni, że każdy z naszych aż się skulił zmykając do domu. zaklinając że nigdy nie siedzieli po więźniach i o tej Brazylji już nie chcą znać. Kilka słów starczyło aby nieświadomych ludzi uspokoić. Z pobliskiego miasteczka pod nazwą Jezierzany, moi koledzy dowiedzieli się o reklamach z Hamburga. Dalej go pisać listy do agencji okrętowej. Tu sama agencja zaraz przysyłała specjalne przepisy co do wyjazdu w podróż do Brazylji, przysłali fotografję pana okrętu, cenę od osoby i różne informacje, oraz kilka chusteczek z okrętem odbitym jak i z napisami, co najbardziej cieszyło chłopców to te chusteczki, ano zaczęli tedy pisywać do owej agencji, bo im te chusteczki bardzo podobały się, dziewczęta zawiązywali sobie na głowach, a Żydzi przyglądali się na głowy i czytali ową reklamę. I tak się urwisze zachęcili na te chusteczki, a o podróży ani nie myśleli, agencja się domyśliła i przestała dawać odpowiedzi. A o tem nagabywaniu czortkowskim to ojciec nie dał za wygrane i telegrafował do samego cesarza, ale i to napróżno. Zaczął chodzić do starosty powiatowego prawie co dnia i tak ciągle mu dokuczał, aż naraz pan starosta mu powiedział, że nawet za 300 reńskich paszportu mu nie da, a grunt ojciec już był puścił w sprzedaż, a tu paszportu nie dostanie, ażeby mógł wyjechać z rodziną do Brazylji. Ale ojciec był zawsze uparty co zaczął lubiał zawsze wykonać. Aż mu ktoś tam doradził ażeby szedł do żony pana starosty, a ona może jemu coś w tem poradzi. No i tak się stało. Pewnego dnia ojciec wstał raniuchno i poszedł do pani starościny, przy-

szedł i stał przed furtką jej domu, a ona akurat znajdowała się w ogródku zbierając poziomki, na ten czas spojrzała na ojca i mówi: A co tam powiecie D.? Wpuściła i kazała usiąść na werandzie a ojciec nim się wziął za ten cały różaniec do odmawiania zaraz wyjął 40 reńskich i położył przy niej na ławce, tak ona już nie dała różańca odmawiać tylko powiedziała: przyjdźcie jutro dycht rano to paszport będzie gotowy. I tak się stało. Na drugi dzień o dziesiątej godzinie D. zapukał do drzwi, starosta zaprosił i kazał usieść i w kilkanaście minutach paszport był wypisany.

Starosta podziękował i błogosławił szczęśliwej podróży. Gdy ojciec już był uzbrojony w paszport, a cały majątek który już był zgodzony sprzedał, narzędzia które nie mógł sprzedać porozdawał, bo też w taki czas trudni żeby wszystko sprzedać, ludzie lamentują drudzy się cieszą, nazywają nas Brazyljanami, zaczęli powiadać że z niektórych powiatów niektórzy swoje majątki posprzedawali i zanim dojechali do portu okrętowego, to ich w drodze z pieniędzy okradli. Ojciec dobrze wiedział o tem, o takich ptaszkach i na wszystko był przysposobiony, wyjechalim w podróż i za parę dni stanęliśmy w Hamburgu. Tydzień tam spędzilim aż okręt Olinda się uporządkował, jeden dzień naprzód nas uwiadomili ażebym byli gotowi do podróży. Był to okręcik ciężarowy, miał różny ładunek. Emigrantów było 25 rodzin z tych trzy rodziny z Galicji, a reszta same Niemcy, dosyć że tak płyniem nic więcej nie widać, jeno tylko morze i niebo, wstępując do rozmaitych portów biorąc ładunek tak podróżowalim trzydzieści dni aż dotarlim do stolicy Brazylji, Rio de Janeiro, zesiedlim my tu w Rio, zaprowadzili nas do domu urzędowego, jakieś tam sprawozdanie zrobili, potem nas odesłali małem parowcem luksusowem na Ilha das Florres (Wyspa Kwiatów) gdzie się znajdowały domy emigracyjne, tu pozostalim przez dwa tygodnie, tu znajdowało się już dużo emigrantów. Śliczne zabudowania stoły marmurowe, murzyni kucharzami, lecz nas tu doskonale gościli. Aż pewnego dnia powołali nas wszystkich emigrantów do jednego domu i tu się pytali każdego, gdzie do którego stanu chce jechać, czy do Rio Grande, czy do Sao Paulo czy też do Parany, lub S. Katarzyny. Tu zapisywano gdzie i do którego stanu kto chciał jechać, na drugi dzień przybył tu mały okręt i zabrał nas i wyjechalim do Paranagua, portu parańskiego, przez parę dni prze-

bylim szczęśliwie i znowu pozostalim tu kilka dni, lecz tu już licho nas traktowali, miasteczko portowe ładne ale mniej łagodne, w tem miasteczku już się spotyka z naszych tu zamieszkałych zdawna, oni nam opowiadają jakie życie w tym kraju, miej więcej — jak to tam jednego zabili, drugiego pobili. Tak że ludzie strachu nabrali. Też tych kilkanaście dni tutaj przespacerowalim, aż pewnego dnia kazali nam wsiadać do pociągu. Mamy jechać do Kurytyby. Jedziem pomiędzy góry i skały niesłychane, w niektórych miejscach pociąg szedł tak pomału, że mógłby pieszo prędzej iść. Jedyna ta droga w Paranie onego czasu, której dziś minęło 50 lat i tak pomału przebylim do Kurytyby. Wieczorem o siódmej godzinie zarządca emigracyjny już czekał na nas na stacji kolejowej, skąd nas sprowadził do domu emigracyjnego, tu zastajem już dużo emigrantów, którzy czekają na wyjazd lecz nie wiedzą jeszcze dokąd, tu żywili nas przez parę miesięcy, gotowali nam zupę ryżową z mięsem jakby dla ludzi w szpitalu, kto miał zasób pieniężny to sobie żywności dokupywał. W okolicy Kurytyby już istniały osadnicy polscy z Poznania, zamieszkali przeszło kilkanaście lat, oni tu codzień wózkami dwukołowymi dowozili do miasta swoje produkta, przywozili też i chleb dla emigrantów, którzy od nich kupowali, chociaż i tu w mieście też nie brakowało ale my nie moglim sobie na to pozwolić, bo też nasz ojciec z 900 reńskich za całą gospodarkę że sprzedał, opłacił podróż i zaledwie pozostało mu 300 milrejsów i to oszczędzając, bo kto wie co nadal z nami będzie. My chłopcy po mieście zarobkowalim przez ten czas pobytu w Kurytybie, stolicy Parany, to miasteczko w onczas już ładnie wyglądało, tylko wojsko naszym ludziom się zdawało dziwaczne, bo zawsze chodziło pijane i niektórzy dokuczali emigrantom. Koloniści z dalszych kolonji co dzień przychodzili i użalali się jaka tu bieda, w niektórych okolicach Indjanie lub tubylcy ich straszą i jak jednego kolonistę zabili, pokazują nam palce, że jakieś pchły załażą za paznokcie. Dosyć że tych rozmaitych zażaleń słysząc, emigranci zaczęli między sobą narzekać aż tu pewnego dnia zostalim wezwani ażebym się szykowali w podróż, wtenczas już wszyscy się ucieszyli, że już przyjdą gdzieś na grunta im dane, pozapisywali wszystkich na rozmaite kolonje, kilka rodzin zapisało się na daleką kolonję pod nazwą „Żangada" a więc wyruszylim pociągiem i przybylim na ostatnią stację „Re-

stringa Secca", tutaj nasz cały bagaż i dzieci na wozy konne, a my starsze ludzie za wozami poszlim pieszo aż do Porto Amazonas przy rzece „Iguassu", tu w tym porcie czekalim kilka dni, przez tych kilka dni nam dawali żywność na podróż, stosownie do wielkości rodziny, dawali ryż, suche mięso, czarną fasolę, cukier i kawę no i wyjechalim w dalszą podróż, jedziem rzeką na dół aż do ostatniego portu pod nazwą „Porto Uniao da Victoria" po drodze wstąpilim do miasteczka Sao Matheus, przystalim trochę, tu już Polaków było więcej, którzy w tem miejscu się osiedli kilka lat temu.

W tem miasteczku wtenczas tylko kilkanaście zabudowań było, po drodze wstąpilim do trzeciego portu Barra Feia, tutaj też jest kilkanaście domków, stąd idzie sześć kilometrów drogi na wielką kolonję Rio Claro, na której już istnieli Polacy od kilkunastu lat, przeważnie z Królestwa, było tu już dość i z Galicji. I tak się każdy z nas przespacerował, aż wsiedlim na nowo do dalszej podróży. Na wieczór przystanął parowiec przy brzegu w lesie, my wszyscy wylądowalim na nocleg każdy wziął się do pracy, zaczęli zbierać drzewo aby rozpalić ogień niedługo uczynili jakby prawdziwy tabor cyganów, każda rodzina przy swojem ognisku, z wieczora słychać jakiś ryk po tych szuwarach, jakie tu istniały, dla nas powiadają że ten ryk to tygrys, nawet jeden Polak był maszynistą na parowcu i on nam to opowiadał o tych tygrysach i tak zaczęli się ludzie wsyscy skupieni trzymać na ostrożności z dubeltówkami na pogotowiu, no i szczęśliwie noc przespalim pod gołem niebem. Nazajutrz wyruszylim w dalszą podróż do owego ostatniego portu i tak płyniem, wszędzie same lasy i nic więcej nie widać, a jednak po tych lasach byli osiedleni krajowce, jak do dziś ich tu nazywają koboklami i przypłynęlim do ostatniego portu, tu nas zaprowadzili do jednego domu w którym musielim oczekiwać wozy że miały nadejść ze Żangady, aby nas zabrać, a w tem domu był też posterunek policyjny, był sierżant i trzy sołdaty i czwarty jednooki. Pewnego dnia przyprowadzili jednego, że gdzieś tam kolonistę obkradł, zaraz go wsadzili do klatki, do tak małej że zaledwie mógł stoić na nogach. Na drugi dzień znowuż sołdaty gdzieś mają robotę i narazie nie ma kogo zostawić przy tym uwięzionym, ale sierżant obejrzał nas wszystkich i wywołuje mnie i każe mi stróżować tego uwięzionego, da-

jąc mi do ręki wielki nóż, daje rozkaz mówiąc do mnie w języku portugalskim, żebym dobrze pilnował, ażeby ten uwięziony się nie wyłamał z klatki i ażeby wrazie się chciał wydostać, żeby go uwalić tym nożem w łeb. Aż na drugi dzień przybyły dwa wozy ze Żangady i wybralim się w podróż i tak jedziemy sześć mil tej drogi, którą budowali przez dwanaście lat, pracowali tu tylko same sołdaty, jak to po naszemu nazywają ofermy, to tylko przez takich ludzi była ta droga zbudowana. I przyjechalim na tą Żangadę, która ma być naszą kolonją. Tu na tej kolonji zastalim kolonistów niewiele, lecz już byli po roku. Jest tu małe miasteczko między wielkimi górami, pozostalim tu parę miesięcy w wielkiej szopie pokrytej szuwarem w której już dużo emigrantów oczekiwało na szakry, wtenczas była tu komisja wojskowa która pracowała przy drodze co idzie na południe w stronę granicy Brazylji z Argentyną, od tamtego czasu i do dzisiaj jeszcze ją nie wykończyli, a zanim my dostali szakier to musielim pracować przy drodze zaledwie żeby zarobić żywność aż przez kilka miesięcy, przy każdym końcu miesiąca robotników niby wypłacali, ale że to my naród obcy w tym kraju nie rozumiejąc wcale nic, także urzędniki przy każdej wypłacie nas obkradali, zaledwie starczyło na bardzo liche utrzymanie przy życiu, tu powstawał lament, narzekania i przekleństwa. — O żebym był nie znał tej tu Brazylji! Niektórzy co przywieźli trochę pieniędzy z kraju, ryczeli na całe gardło, pili wódkę całe dnie i noce, tak długo hulali aż dopóki ostatniego centa im starczyło, a niektórych z emigrantów wyganiali do robót, niektórzy już siedzieli przy drodze na swoich szakrach i tak przez kilka miesięcy pracowalim przy tej drodze aż naraz cały ten zarząd ustał z robotą, wtedy nas wszystkich wysłali na szakry. Dopiero każdy oglądał swój las i wziął się do pracy. Pobudowalim swoje szałasy jak jeno kto umiał, zaczęli pole wyczyszczać karczować, nie uważając na czas co kiedy i którego miesiąca się sieje lub sadzi, więc wszyscy się wzięli do uprawy roli po europejsku, pracować w swoim domu bardzo dobrze, lecz naraz wszystkiego brakło niektórzy jeszcze mieli swój zasób, to im szło dobrze, ale D. opłacając całą podróż, też naraz zostalim bez grosza i zarobku. Bielizny co dużo mielim to po magazynach kolejowych co lepsze powykradali i nikt nie mógł sobie w tem zaradzić, a więc ludzie zaczęli nawet cierpieć głód, najprzód na-

sza młodzież zaczęła się rozłazić po okolicach, szukać za zarobkami. Przez tą kolonję często przechodzili wielkie karawany krajowców, wioząc ze sobą skóry bydlęce aż do Porto Uniao na sprzedaż, a na powrót wieźli sól w dużych ilościach dla swego bydła, z naszej kolonji idzie droga przez okrutne lasy, to jest sześć mil tej drogi która dopiera do kampów (stepy). Na tych kampach to zamieszkują fazenderzy, jak to nazywają w Nord Ameryce farmerami, oni to niektórzy mają po kilka nawet tysięcy bydła, taki fazender mieszka o parę mil jeden od drugiego, niektórzy z nich mają domy murowane z kamienia, a reszta z byle łupanych desek. O ile kampy te są dobre dla bydła, są to prawdziwe bogactwa dla tutejszych krajowców, lecz oni nie umieli wcale wykorzystać te swoje dobra jakie mieli, siedział pod deskami palił każdy ogień na ziemi i sypiali na skórach bydlęcych. Aż dopiero gdy ta kolonja powstała, ludzie zaczęli swoje domki stawiać, nawet niektóre dość zgrabne, więc oni tędy przyjeżdżali i tej pracy „do Polako", jak to wtedy oni nas nazywali, Polaco — naszych osadników bardzo się i podobało i tak ludzie którzy umieli budować i piłą robić, to się rozchodzili po tych fazenderach i zarobkowali, nawet niektórzy zarabiali niezgorzej, zależało od gospodarza rzetelnego. Te fazendery mieszkają na kampach, a sadzą kukurydzę w lasach tak daleko że jadą na te pola po dwa dni podróży konno i nawet i więcej, więc takich chłopców po 17 lat, jaki ja wtedy byłem dużo nas pracowało po dalekich lasach, ale dla nas jako młodych to bardzo poskutkowało, chociaż te nasze zarobki były bardzo małe, to nie jednego jeszcze oszukali, ale my w krótkim czasie poznalim mowę brazylijską i nauczylim się pracować według tutejszego kraju, w jaki czas co się sadzi i w jakich terenach. Wszystkie obyczaje prędko poznalim, nasza młodzież też prędko uchwyciła zwyczaj noszenia długich nożów przy pasku, tak samo jak tutejsze kabokle, to było dla nas najciekawsze gdy nieraz nas tresowali na te noże, to jeden drugiego czasem i skaleczył, a wtenczas to już było najwięcej śmiechu, bo to było tylko trenowanie, a jednak te wielkie noże tu w tych lasach są bardzo potrzebne, a czasem jak do kolegi jeżeli na to zasłuży, to go się taką sztabą i wysmaruje bo to też naszem ojcom i matkom było to prawdziwe dziwo jak widzieli krajowców z temi nożami i długiemi pistoletami, to nie jedna kolonistka się żegnała i kryła się,

toć to jakieś tu jeżdżą same zbóje tak uzbrojone, bo też w tem kraju są też ludzie dosyć dobre, ale też po takich ogromnych lasach nie brakuje i zbrodniarzy bo nawet i po dziesiejszy dzień istnieją. Najlepiej powiedział jeden kapitan: — Wy Polacy nie myślijcie że tutaj to Austria i że tam nicht nie potrzebował nosić przy sobie żadnej broni, tutaj wy chodzicie po całe miesiące za zarobkami, więc czasami możecie spotkać jakiegoś bandytę, a on będzie widział że masz broń to nie będzie miał odwagi do napadu. Na kolonji osadnicy na około swych domów karczują, wyprawiają pola do sadzenia i do siewu, ale co będą siać? — gdyż żadnego nasienia nie ma.

Otóż sęk. Ale w kilku chłopów się naradzili, ażeby powędrować w dalekie kolonje, by poszukać nasienia do siewu, bo inaczej to my tutaj zanędzniejem. No i poszli aż na kolonje Rio des Patos. Na tej kolonji zamieszkali parę lat sami Polacy z Poznania i tu im użyczyli rozmaitych nasion. Chłopy naładowali swoje worki, zadali sobie na plecy i dalej z powrotem, aż za dwa tygodnie powrócili do swych domów, wiele to było uciechy że już mają trochę żyta i trochę pszenicy no i wszystkiego potrochu. Zaczęły baby płakać że tu w tym kraju nie ma ani kościoła ni kaplicy ani cerkwi i księdza, więc ludzie zaczęli się naradzać żeby wybudować choć małą cerkiew i tak po mału zabrali się do pracy, przy miasteczku Żangada jeden kolonista ofiarował plac pod cerkiew zaczęli wyrabiać drzewo, zaraz drudzy ściągali, dosyć że ta robota tak gładko szła jak z płatka. Za sześć miesięcy cerkiew była wykończona, ludzi wtem byli zadowoleni, był też niejaki Wasyl który umiał doskonale chór cerkiewny, tu się schodzili w każdą niedzielę i święta nawet Polacy. I Brazyljanie się ciekawie przyglądali gdyż oni takiej kaplicy nigdy nie widzieli, ani takich modłów nie słyszeli. Tą kaplicę zbudowali, ale to jeszcze zamało, o szkole to im wcale się nie śniło, to im się zdawało niepotrzebne. Przy cerkwi zaraz urządzili mały sklepik na sprzedaż rozmaitych drobiazgów, a najwięcej wódki, w tamte czasy po dalekich okolicach prawie żadnych zarządzeń nie było w takich miasteczkach, jaki taki był protegowany przez główniejszych polityków, to też robił co jemu się podobało, tak samo na tej Żangadzie. Wtenczas istniał tu mały niby posterunek policyjny, był jeden sierżant i kilku sołdatów, naturalnie że dobrych sołdatów na okolice nie wy-

syłali, bo dobre były potrzebne w Kurytybie, a które niedobre to wyprawiali do małych miasteczków. Tak samo i w Żangadzie, jak poprzednio niektórzy z kolonistów się wyrazili, że tu republika, tu wszystko wolno i tak łazili baby i te soldaty, że wszystko to razem się mieszało w głowach, z temi podłemi co to razem się gościli. Pewnej niedzieli ludzie w cerkwi się modlili, a sierżant zabrał swoją kompanję z karabinami i dali ognia do cerkwi, zabili dwóch i było kilku rannych wtedy ludzie zobaczyli jaką szkodę sobie sami przyrządzili, porozlatali się koloniści, zaczęli się naradzać żeby się udać do konsula, spisali cały ten protokuł i wysłali dwóch chłopów mądrzejszych do Kurytyby. Przyszli do konsula austriackiego i przedstawili całą tą sprawę, jakie miejsce miała, konsul się zaraz tą sprawą zajął, przedstawił cały ten akt głównemu urzędowi, zaraz szef policji zarządził aresztowanie tego sierżanta z sołdatami, którzy zostali procesowani i skazani na 30 lat ciężkiego więzienia i wysłani na wyspę pod nazwą Ilha das Cobras (wyspa wężów) a urząd federalny musiał zapłacić wdowom i rannym. Ot co spowodowały wybryki osadników, na Żangadzie został na posterunku mianowany komisarzem policyjnym miejscowy Włoch José Teserola, przysłali mu czterech sołdatów do posługi, komisarz miał swój sklep już zdawna i tak czas prędko mijał, a nasze chłopcy przyzwyczaili się chodzić uzbrojeni, jak to wtedy było zwyczaj. Razu jeden chłopak z tych kolonistów pod nazwiskiem Stefan Dubiński przyszedł do sklepu po jakieś kupno do Włocha, który był komisarzem i również wstąpiło trzech sołdatów którzy kazali sobie dać szklankę wódki, popili, spojrzeli na tego chłopca i krzyknęli do niego że on jako Polaco (Polak) czy zwycięży ten nóż długi, który przy sobie nosi. Dubińskiego jak ukropem oblał, wyprysnął na ulicę i wezwał ich na pojedynek, zaraz powyskakiwali na „Polaka", a polaco jak zacznie ich prać i nimi przewracać, co który się podniesie to go buch w łeb naturalnie że nie ostrzem noża, bo by im narżnął aż zadużo. Komisarz widząc że tego już za wiele i nawet jego tytułu nie uszanuje taki mały Polak, zaczął do niego krzyczeć żeby dał spokój, a on pierze bez westchnienia, odpowiedział komisarzowi że jeżeli wstąpi na to pole to też tyle dostanie. Więc komisarz musiał wezwać swoich sołdatów do odejścia no i sołdaty się zabrali, a polak też się zabrał do swego domu i na tem się skończyło. Aż tu za kilka dni komi-

sarz na koniu, jedzie drogą i spotyka Stefana Dubińskiego, tym razem krzyknął do Polaka, że jest aresztowany, ale chłopiec nic dając za wygrane, dobył browning do komisarza mówiąc jemu że nie wart jesteś aresztować chłopa na drodze — i tak się rozeszli każdy w swoją stronę. Na tej Żangadzie to same grunta jałowe już z natury a urząd parański w tamte czasy kolonizował najgorsze tereny, gnali emigrantów tylko w takie strony gdzie były potrzebne drogi, w punktach najważniejszych dla Parany, gdyż krajowce z natury nie lubią ciężko pracować, to też nasze ludzie za parę lat przekonali się na gruntach że są nieurodzajne i jeden drugiemu odprzedawał i zabierał się w insze strony, nie jeden kolonista odkupił dwa i trzy szakry, tylko dla bydła na pastwisko i w ten sposób gospodarował nawet bardzo dobrze. A mój ojciec po dwóch latach ciężkiej pracy przekonał się że tej ziemi nie naprawi cośmy posadzili to i zeszło i uschło, więc ojciec się namyślał by iść i zwiedzić starsze kolonje Rio Claro, jak tam ludzie gospodarzą no i powędrował i za trzy dni tam przyszedł, odwiedził kilka kolonistów że tu oni mieszkali przeszło dziesięć lat, chleba mają dosyć, szakry tu mają lepsze chociaż i nie wszyscy, tu ojciec się dowiedział od inżyniera że jeszcze jeden szakier jest i że może otrzymać i tak poprowadził pokazał numer szakru, który się znajdował przy końcu kolonji pod samą górą pod nazwą Serra da Esperanca, która jest największa w Paranie, odległość miasteczka Rio Claro pięć mil drogi, no i za sześć dni ojciec powrócił na Żangadę, za trochę czasu zabralim się do nowej emigracji, pobralim tłumoki na plecy i różne narzędzia i tak wędrujem jak prawdziwe tubylce tego kraju rozmaitemi ścieżkami jakie tu wtenczas były i za cztery dni przywleklim się na kolonje Rio Claro aż na ten szakier i tu spoczęlim, zaraz wzięlim się do roboty. Najpierw stawianie szopy, za kilka dni już wszystko było w swoim porządku, a że przyszlim na czas do rąbania lasu na sadzenie kukurydzy, tego lasu wycięlim na cztery hektary, poleżał trzy tygodnie, spalilim zaraz się posadziło. Teraz mielim czas obejrzeć dobrze swój las, zaledwie było tej płaszczyzny ze cztery hektary, naprzeciw był ogromny mur już z natury też i z boku, wdrapalim się po wysokich drzewach na tę skałę, zaczęlim łazić po lesie a tu przed nami druga skała jeszcze wyższa jak pierwsza szerokości szakru, dosyć że dostalim drugi grunt pomiędzy skały mówię ska-

łami, ale myślimy że to już tak musi być. W sąsiedztwie z nami były lasy nieskończone, ale te grunta same jałowe i wszędzie mieszkają krajowce, no i tak miesiąc za miesiącem czas schodzi.

Otworzyła się robota przy kolei żelaznej, a to przecinanie trasy która prowadzi od stacji Antonina Reboucas aż do Porto Uniao, tak i nas dwóch braci wybralim się na zarobek, a reszta z ojcem pracowali przy nowej gospodarce, za kilka czasy miejscowe kabukry, tak zwano tych ludzi zamieszkujących bory, zaczęli nas odwiedzać jako swych nowych sąsiadów, zaczęli się do nas użalać że tam na drugiej skale jest zrąb i że to oni tam robili i sadzili kukurydzę i że ten las oni nam rąbać nie pozwolą, tak ja im mówię że oni źle zrobili i do urzędu się nie podali, byliby ziemię tak samo otrzymali jak kolonista, ale oni mówią że to są ich grunta własne i że my stąd zostaniemy wyparci, lecz ja im tłumaczę że jeżeli będą nam przeszkadzać to my się udamy na policję, ale oni nam zagrażają mówiąc że ich jest dwudziestu i pięciu, a więc policji się nie boją i ja musiałem od roboty inżynierów odejść bo się obawiałem, że kabukry mogliby na naszą rodzinę napaść. No i tak razem w lecie pracowalim, a jednego dnia nad wieczorem zeszlim z góry do domu, a owe kabukry pewno nas w lesie pilnowali, ale do napadu nie mieli odwagi, gdyż my w lesie pracowalim dobrze uzbrojeni, tylko jak my się zabralim, tak oni zaczęli strzelać, my w domu tak samo im odpowiadalim, dosyć że oni na górze strzelali a my w domu, dalim do nich 50 strzałów, tak że cała kolonja temi strzałami była zaalarmowana, w odległości sześciu kilometrów mieszkał inspektor policyjny, na drugi dzień z rana przysłał swego syna żeby dowiedzieć się co to była za strzelanina, my opowiedzielim jemu całą sprawę, a inspektor o zbuntowaniu kabukrów już wiedział przedtem, tak zaraz sam pojechał do komisarza policyjnego na Rio Claro i tam przedstawił sprawę jako krajowce robią napad na kolonistów, komisarz zaraz wystosował depeszę do szefa policji do Kurytyby, szef policji zakomunikował delegata policji w Palmeira, ten natychmiast wysłał oddział złożony z siedmiu policjantów i jednego sierżanta na naszą kolonję, jak w tamte czasy drogi były bardzo żmudne, bardzo błotniste tak że ten oddział policyjny podróżował aż dwa tygodnie pieszo do Rio Clara. Przybywszy do inspektora zaraz kazał mię przywołać, ażebym poprowadził ten oddział na zbunto-

wanych dzikusów, więc prowadzę ich przez kolonję, takie te policjanty całkiem obszarpane tą żmudną podróżą, ale ja muszę dawać baczenie na ludzi, bo byli niektórzy z kolonistów że bardzo się lubieli z naszemi przeciwnikami i prędko by mogli ich powiadomić no i tak idziemy. Naraz dognalim jednego kolonistę, który szedł z workiem na plecach i tak doszlim aż do jego domu, a był on przyjacielem naszych wrogów, ja powiedziałem sierżantowi że ten chłop gotów iść prędzej jak my i tamtych powiadomić i oni nam uciekną w lasy, więc lepiej tego aresztować niech idzie z nami i wstąpilim z nim na jego podwórze, chłop zrucił z ramia worek, a sierżant jemu powiedział żeby maszerował z nami, głupi kolonista zaczął się wykpiwać zamiast iść razem, policjanci jak zaczęli go prać i tem zmusili go do marszu z nami, przyszlim do naszego domu, tu wypoczęli, my im dalim podwieczorek, trochę podjedli, sołdaty rozmawiają ale złe jak djabli, że nigdy jeszcze takiej wycieczki nie mieli. Nad wieczorem wybralim się do dalszej podróży, weszlim na samą górę, wstąpilim do jednego sąsiada naszych przeciwników, zaraz sierżant powiedział dla wszystkich domowych, że z tego domu nie wolno nikomu wychodzić na dwór aż do samego rana i przysiedzielim noc całą, a sołdaty cały ten czas byli niespokojni, w nocy chcieli iść na tych zbrodniarzy, ale sierżant zawsze ich uspokajał no i zaczęło się rozwidniać opuścilim dom, było ze dwa kilometry aż do domu najstarszego kacyka powstańców, obkroczylim dom, zaczęli się dobywać do drzwi domu, tak niespodziewanie napadnięci, w środku cała rodzina narobiła hałasu, było okienko nam nieznane, i właśnie tem niespodziewanie, kacyk wyprysł jak kula, obok chałupy była wielka gruda, jak on w grudę sierżant kazał dać ognia no i zaraz szlim za nim i tylko znaleźlim rączkę i zamki od pistoletu trafione kulą od karabinu, a kacyk uciekł w lasy a my poszlim po drugiego, nie było to tak daleko więc na te strzały mogliby drudzy się zestraszyć, obkroczylim drugiego, a głupi tubylec zamiast w nogi ustał we drzwiach i celuje do nas ze swojej pojedynki, ale na szczęście mu nie wypaliła, zaraz buchnęli do chałupy, a on się schował pod łóżko, zaraz go wyciągnęli wprowadzili na podwórko, sznurami go skrępowali i mocno go prali temi bagnetami jakie wtedy używali, 60 centymetrów długości, a to wszystko ze złości, to go już tak bili ile chcieli, a związany woła żeby go już do-

bili, a sołdaty do niego mówią: — ty nie zdechniesz, bo ty jesteś silny i na tem się skończyło bo ich więcej się nie stawiło, a tego poprowadzili aż do Palmeiry, ów najgłówniejszy że uciekł w las łaził, ukrywał się w borach, rodzina jego poszukała i przeprowadzili do domu on stracił zmysły, jakiś czas chorował i umarł, a drugim więcej nie zachciewało się nałazić na kolonistów. Teraz ja mogłem już opuścić dom i na nowo wstąpiłem do inżynierów na robotę, robilim tak przez parę miesięcy aż skończylim przecinanie trasy kolejowej, wtenczas inżynier wybrał nas trzech robotników i kazał ażebym nieśli instrumenta na plecach aż do pierwszej stacji Reboucas, no i za trzy dni przyszlim na stację, oddalim instrumenta, tutaj wrzała wielka robota przy drodze kolejowej, tu pracowali rozmaite ludzie, najwięcej tu było Włochów. Ja stanąłem z jednym Włochem do rżnięcia progów pod szyny i tak tu było wesoło przy tych ciężkich pracach, pełno hałasu i śpiewów, ale to niedługo trwało, bo nareszcie się popsuło. Tak ja sobie pomyślałem jestem już na trzeciem miejscu, gdzie jeno się przeniosę jest dobrze, ale niezadługo się psuje, tak samo i przy tych pracach, cały ten przedsiębiorca kolei jakoś ustawał z żywnością dla swoich robotników, zaczęli się użalać robotniki że nie mają co jeść, a gospodarz mówi do nich: Żryjta gwoździe i w ten sposób robotniki się zbuntowali między sobą, zrobili naradę i kilku poszło do domu swego pana i zaraz go zaaresztowali i przeprowadzili do pracy, gdzie sami pracowali, przykuli mu ręce do taczków i nakładali kamieniami i musiał wozić, a na obiad usmażyli mu jajków z gwoździami i kazali mu jeść, no i musiał, jajecznicę wybierał i jadł a gwoździe ostawiał, tak musiał pracować przez całe dwa dni, naraz niespodzianie przyszła policja i w nocy po cichu obkroczyli dom robotników i uwięzili ich wszystkich, potem odstawili do Ponta Grossa. I całkiem robota kolei ustała a ja pojechałem do Ponta Grossy, ażeby odebrać swoje pieniądze które miałem zarobione i odebrałem 40 milrejsów. Tu się spotkałem z dwoma Włochami znajomemi, więc już nas było trzech i naradzilim się ażeby udać się do Sao Paulo, gdyż w naszych stronach praca ustała. Jeden z nich zwał się Luiz Lombardo, a drugi Erazmo Skarpilino, ten ostatni już kiedyś służył na okręcie italjańskim przez dziewięć lat. Znali oni już dobrze Argentynę i Brazylję, dobrze znali oni też i Sao Paulo, gdyż tam jest ruch

jak w Europie, tam są rozmaite prace, tam jest kilka kompanji że budują drogi kolejowe i udalim się w podróż do S. Paula. Wyjechalim z Ponta Grossy i stanęlim na ostatniej stacji pod nazwą: „Pirai", była to wtenczas na tej linji ostatnia, tu przynocowalim, na drugi dzień wyruszylim na piechtę, podróżowalim przez całe dwa dni poprzez śliczne kampy aż do miasteczka Jaquariaivu, przynocowalim i wyruszylim w dalszą podróż, dochodzim do miasteczka José de Boa Vista, naradzilim się że lepiej by było wstąpić na noc do jakiego gospodarza aniżeli do miasteczka, gdyż my mamy mało grosza, a podróż jest bardzo wielka. No i tak uczynilim, wstąpilim do jednego domu i tu była tylko gospodyni sama, zaraz dała nam stołki na dworzu i prosiła żebym usiedli, też zaraz nam przyniosła kosz pomarańczów i kazała nam jeść, powiedziała że idzie po swojego szwagra gdyż jest w domu sama, i przywołała, a dla nas tym lepiej bo do późnej godziny mielim z kim pogawędzić ona nas pyta czy nie spotkalim jej męża, a my pytamy jaki wygląd ma jej mąż, ona mówi że jej mąż zagnał tropę (trzodę) wieprzów na sprzedaż do P. Grossa, powiedzielim że my jego spotkalim w drodze, no i wygodnie noc przespalim, gospodyni wstała do dnia, przyszykowała dobre śniadanie dla nas, zgotowała dwa kurczaki na podróż, podziękowalim gdyż nie chciała żadnego wynagrodzenia, my podążylim w swą podróż. Ale rozmyślam sobie, jaki jest ten naród szczery. Człowiek w tem kraju może podróżować prawie bez pieniędzy, a wszędzie dostanie nocleg i pożywienie. Jedno złe dla tego ludu po lasach że nicht nie dba o żadną szkołę, żyją swobodnie, lecz w prawdziwej ciemnocie. My przebylim na noc do jednego obywatela bardziej zamożnego, zaprosił nas w swój dom, bardzo wesoły jak zobaczył europejczyków w tych okolicach, bo za tamtych czasów tam europejczyk nigdy nie wędrował, no i tak wesoło gawędzilim do późnej nocy przepijając okowitkę. Już tu w tych stronach każdy obywatel sadzi kawę, bawełnę, cukrową trzcinę że wyrabiając wódkę bardzo dobrą, pokazał nam węglowy kamień i mówi że to się znajduje na jego gruncie, zrobił nam propozycję żebym odkryli te pokłady węglowe z nim do spółki, my się z tego naśmielim, to była rzecz niemożebna tu w tych stronach, o drogę nie ma mowy, a więc taką pracą się podejmować to trzeba kapitału, gdzie i dokąd go wozić powiedzielim

mu że z S. Paula przyszlemy jemu kompanję że tą sprawą się może zająć i stąd podążylim do miasteczka Tomazina nad rzeką Rio das Cinzas, tu mielim przystanek na kilka dni, miasteczko bardzo stare, jest kilka sklepów samych brazyljanów, znajdował się między nimi też jeden Włoch, który miał mały sklepik, w tym sklepiku znajdowały się produkta prawie tylko swojego wyrobu, na tym gruncie jaki posiadał przy tym miasteczku, nazywał się Antonio Fideli. Opowiadał nam że też podróżował bardzo dużo, z workiem na plecach i nareszcie się mu sprzykrzyła ta nieustanna pielgrzymka i tu się ożenił z brazyljanką i dopiero zaczął gospodarować po swojemu na szakrze, ma dobre zabudowania, robi rozmaite plantacje jakie się tu znajdują, wyrabia wódkę, cukier i mydło, sadzi ryż i tytoń, kawę, wyrabia wino pomarańczowe, przywozi do swojego sklepiku tylko niektóre drobiazgi sprowadzane z Kurytyby, tu mają kościółek, jest włoski ksiądz, który prawie co dzień siedzi u swego patryoty za bufetem przypijając trzcinówkę. Było to w maju roku 1900, ludzie tego miasteczka żyli bardzo w zgodzie bez żadnych awantur, też pobożni, każdego wieczora pozamykali domy i schodzili do swego kościółka na nowenny majowe, są to same lasy nieprzebyte bardzo urodzajne, pewnego dnia ukazał nam się jeden fazender z Jacarezinho (Żakarezinio), znany w tem miasteczku, zrobił nam propozycję ażebym pojechali na jego fazendę do Jacarezinho, bo u niego jest dość pracy i że my będziemy mieli bardzo dobrze, więc umówilim się nas trzech że pojedziem, jeżeli się nam nie spodoba to pojedziem dalej. Nasz fazender dał dla nas koni usiodłanych i pojechalim z nim zaraz, jedziem poprzez okropne lasy, bardzo urodzajne jak lepszych nie ma, lasy nieskończone, grunt falisty bez żadnych gór, a urząd co zakolonizował Paranę, to tylko gdzie najgorsze grunta, ale w tem jest sprawa bardzo prosta — najlepsze grunta to są w ręcach polityków brazylijskich, a co gorsze to urzędowe. I to właśnie cała różnica i tak podróżowalim całe dwa dni aż do Żakarezinio, gdzie nasz fazender zamieszkiwał, pobliskie miasteczka Santo Antonio da Platina. I tu zostalim przy robocie u naszego pana, nazywał się on Capucho. Zaczęlim zbieranie kawy, nasz pan tak samo pracuje razem z swojemi robotnikami, w niedzielę ludzie schodzą się żeby przyjrzeć się na nas

europejczyków, gdyż oni są zaciekawieni, co to za ludzie białe i czerwone, bo oni tam wszyscy żółto-blade, kolor tamtejszej ziemi. Są to najlepsze grunta na północ Parany, klimat gorący, jeno jaka chmurka nadejdzie już grzmoty biją, w nocy mielim strach żeby nam chałupy nie rozwaliło. Wesoło się tu pracuje, ale cóż nam z tego że wszyscy nas pocieszają, kiedy nasz zarobek bardzo skromny, zaledwie dwa milrejsy dziennie, lecz nasz pan wówczas nie mógł więcej płacić, gdyż on nie miał dobrych dochodów, wywóz produkcji i przywózka to stanowiły okropne trudności, prawdziwe niedbalstwo urzędu w tamtejsze czasy w jakim położeniu lud się znajdował, urzędnik znał szukać tych miasteczków tylko raz do roku, kiedy czas przyszedł dopominać się o podatki, wtenczas to oni musieli natrafić na ścieżki, ale o drogach komunikacyjnych to nie było mowy, poczta w tych stronach dochodziła dwa razy w miesiącu i to w najbogatszych okolicach Parany. Tak było w roku 1900. Dzisiaj tam jest ruch. W tamtych okolicach są drogi kolejowe i autobusowe, od lat tam już nie jest puszcza, jest municipio, czyli powiat. Angielska kompanja zakupiła wielkie obszary ziemi i sprzedaje dla rozmaitych narodowości, nawet są tam polskie kolonje, jeden lot dwudziestopięciohektarowy kosztuje tam pięć tysięcy milrejsów, ludzie tam przychodzą z dalekich stron, bo nasze Parańczyki tam się niebardzo spieszą iść, gdyż znają że tam klimat nie bardzo zdrowy. Muszę powrócić co do naszej podróży i pracy u naszego fazendera. Nie moglim my tu długo pracować gdyż zarobek ledwie nam starczył na wyżywienie, pracowalim tu zaledwie 40 dni i stąd wyruszylim w dalszą podróż do Sao Paulo, przeszlim trzy mile drogi do miasteczka Ourinhos, tutaj wypoczęlim i podążylim aż do rzeki Parana Panema, ta rzeka to granica Parany i Sao Paulo, tu nas przywieźli na drugi brzeg i jesteśmy już na terenach S. Paula. W tych okolicach grunta faliste i żyzne, wędrowalim pół dnia i dotarlim do wielkiego fazendera mianem dr. Costa Junior, musowo było wstąpić do jego pałacu, akurat trafilim na godzinę obiadową, cały ten pan zaprosił nas na obiad, gdyż się ucieszył że ma przed sobą trzech silnych extrangeirów, właśnie jemu takie ludzie są bardzo potrzebne, ale moi koledzy widząc wielkiego psa tej fazendy bardzo chudego, mówią że gospodarz tej fazendy nie jest dobry, zapytałem jakim sposobem można wie-

dzieć? Mówią mi żeby zauważyć w którem domu pies bardzo chudy, tam gospodarz sknera i rzeczywiście tak było. Zaczął nas zapraszać żebym stanęli do niego do roboty, że będzie nam dobrze płacił i da nam łóżko czyste a to właśnie dla nas było słowo ostrzegawcze, my go przeprosilim mówiąc jemu że mamy familjantów w stolicy S. Paulo i jesteśmy powołani mówim że co do uprawy pańskiej kawy, to możem napisać do Parany skąd mogą ludzie przybyć na pańską fazendę wiele pan będzie chciał, no i tak się wykręcilim od takiego magnata tu w Brazylji, nadzwyczaj istnieją takie bogacze czy to w okolicach czy to w stolicach, wszyscy rządzą ku ich własnemu upodobaniu, zastawiają się tytułami doktorskiemi, albo jako pułkowniki, ci są największemi fazenderami, prezydentami, gubernatorami lub senatorami, cała władza stoi w ich rękach, dosyć że mają wszystkie narzędzia jakie im potrzebne, więc nieszczęśliwy kolonista który pracował u takiego fazendera za tamtych czasów, nie miał gdzie się użalić. Spotkalim jednego Hiszpana z rodziną, który pracował przez trzy lata u doktora Costy, i musiał nocą uciekną, zarabiał z rodziną zaledwie lichy ochłap, takie koloniści to byli ich niewolnikami, bo fazender miał swych siepaczy, że pilnowali dniem i nocą, tak żeby nicht nie mógł zrobić ucieczki z takiej fazendy, to też my nigdy nie chcieli stawać do pracy u fazenderów, więc wyszlim od doktora Costy i powędrowalim w kierunku miasteczka Sao Jose, do Rio Pardo, przyszlim my tutaj, tu jest miasto powiatowe, czyli municypalne, przy tych miasteczkach nie ma żadnych kolonji jak to w naszej Paranie. Więc my się znajdujem w mieście, stąd do pierwszej stacji kolejowej jest dwa dni podróży, ale my niedługo stanęlim do pracy przy budowie drogi kolejowej, jeden doktór z S. Paula, jako przedsiębiorca tej drogi, zaraz nas przyjął i bardzo się ucieszył nami gdyż miejscowi ludzie wcale niepraktyczni do tych robót, a dla nas to właśnie praca najlepsza, gdyż my znamy wartość tej roboty, tutejsi Brazyljanie robią, ale wcale nie mają zręczności w pracy przy drogach, nasz przedsiębiorca dosyć rzetelny, sprowadził robotników aż ze stolicy do tej roboty, opłacając dla nich całą podróż i hotele, zaczęli pracować z wielkim narzekaniem jak to im ciężko, sami Włosi z tych co w stolicy żyją bez ciężkich robót, łażą po ulicach i wykrzykują całemi dniami, sprzedają pomarańcze i banany i tak żywią swoje rodziny nędznie, ale

do pracy się nie wezmą i tak trochę porobili i jeden za drugim pouciekali wszyscy, zostawili swojego pana tylko ze stratą, jak my tu zaczęlim robić to tutaj już kilka miesiący jak ta robota szła, nasz pan był też inżynierem, zapytalim my go na jaką ofiarę pozostawił ogromne drzewo w środku drogi, a on powiada że trudno go wykarczować i jak pojedzie do stolicy to przywiezie paczkę dynamitu i to drzewo wywali z drogi, ale my się śmiejem i mówimy mu że dynamit roztrzaska i potem da więcej roboty, powiedzielim że my siekierą i łopatą tego kolosa wykarczujem i tak kazał nam trzem żebym robili na swój sposób, więc zabralim swoje narzędzia i dalej do pracy. To drzewo zwane „peroba", na podobę dębu, tylko że wyższe, obwodu miało sześć metrów, oni tu jeszcze przed naszem przyjściem obkopali dookoła i nie wiedzieli jak dalej z tem postąpić a dla nas to była zabawa, robilim i gwizdalim, za półtora dnia kolos runął na ziemię, no zaraz nasz pan na ten łoskot przyszedł obaczyć jakto składnie robota idzie, drudzy robotnicy zarabiali po cztery milrejsy dziennie, a my po pięć, dobrze bylim lubiani w mieście jak i poza miastem, ludzie bardzo pobożni. W środku miasta był wielki krzyż, zaraz wielki dom dwupiętrowy, w którym u dołu znajdowały się cele więzienne, a na drugim piętrze się znajdowały biura urzędowe. W wielki czwartek i piątek wieczorem ksiądz z procesją obchodził całe miasto, wszystkie ulice były zaludnione, w sobotę do dnia na placu domu urzędowego, ksiądz wypowiedział kazanie dla więźniów. Ludzie w tych okolicach dosyć sposobne, sadzą bawełnę i wyrabiają płótno dla swych potrzeb domowych w rozmaitych kolorach. A my jako światowce musim iść dalej, bo nasza robota wykończona i w tych stronach już roboty nie ma, zabralim swoje manatki i puścilim się w głąb S. Paula bo tam bardziej życie tętni, tam budują koleje, my tutaj bylim prawie dobrze obznajomieni, ale zachciewa się przejrzeć świat, to i ruszylim w dalszą podróż. Na drugi dzień przybylim do miasteczka „Luziado", tu wypoczęlim i wyruszylim w dalszą drogę, znowu wstąpilim do miasteczka „Olio", wypoczęlim trochę ano w nogi przebylim dwa miasteczka. Cerqueira Cezar, to był ostatni dworzec tej kolei prowadzącej z stolicy S. Paula, tu przenocowalim, a o szóstej zrana wyruszylim do stolicy, trwała ta podróż aż do siódmej wieczorem, bardzo licho ta linja była sklepana, gdyż trzęsła na wszystkie boki, dla mnie pra-

wie była nie do wytrzymania, gdyż miałem wrzód na samym grzbiecie że nie mogłem się obracać w żaden sposób, moi koledzy gawędzą, cieszą się i ze mnie się śmieją że będę umierał, a nie zobaczę Sao Paula, ja im mówię że się zatrzymam w mieście Sorocaba żebym się wyleczył, a wy możecie jechać dalej, ale oni nie przystali na moje słowa, tylko przyznali że mnie nie mogą samego opuścić w obcych stronach, no i przestanęlim w Sorocabie, poszlim do hotelu, zaraz jeden z kolegów ze mną poszedł do apteki, kupiłem lekarstwa, w hotelu moi koledzy mię opatrzyli i ułożyłem się do łóżka, na drugi dzień rano wstałem prawie zdrów, pobylim my tu trzy dni, ta Sorocaba w dawne czasy to był prawdziwy rynek koni i mułów, aż z Rio Grande do Sul pędzili koni i muły do tego miasta, tu z północnych stanów — czyli z prowincyi — przyjeżdżali po zakupy tego rodzaju, ale ten wielki handel całkowicie upadł, gdyż miejsce koni i mułów maszynami zastąpili, teraz tylko kompanja Ford dobrze stoi, a muły i rolnictwo podupadło.

Wyzdrowiałem i jedziem w dalszą podróż, tutaj dla nas pracy niema. Przyjechalim do stolicy, tu prawdziwa Italja, krzyki przez całe dnie i noce, trudno tu poznać krajowca, same Włosi, najładniejsze miasto w Brazylji, wielki dworzec kolejowej kompanji angielskiej, tor kolejowy ma jeden metr i sześćdziesiąt szerokości. Bylim tu przez trzy dni, przyjrzelim się całemu temu ruchowi, ale dla nas tu pracy nie było, gdyż ludzi miastowych dużo chodzi całemi dniami bez żadnego zajęcia, więc wyruszylim w dalszą drogę pociągiem do Jundiai, linją kompanji angielskiej, z Jundiai wyruszylim na piechtę w dalszą podróż szukać pracy, tu wszędzie się spotyka grupami robotników szukających pracy, powiada mój kolega że zdawna znane mu Sao Paulo i że zawsze było dużo zarobków, a teraz wszystko ustało, no i podróżujemy na piechtę gdyż nam pieniędzy brakło, podążamy do wielkiego miasta Camponis Grande, podróżowalim przez całe trzy dni, przyszlim my tu do tego miasta, znajdują się tu biura dwóch kompanji kolejowych, ale żadna z tych robót nie rozpoczyna, powiada kolega że musimy znowu iść na piechtę aż do miasta pod nazwą Casa „Caza Branca" i że ma tam zamieszkałych znajomych mu ludzi, może oni nam będą mogli wyszukać pracy, w drodze sprzedalim niektóre rzeczy, rewolwer to zegarek no

i aby móc koleją prędzej dojechać do Caza Branca, przyjechalim do Caza Branca, zaraz poszlim do znajomego nazwiskiem Jenoario Torano, właściciela domu restauracyjnego, zajmował się on też ślusarstwem, był ucieszony gdy zobaczył znajomego mu człowieka, tyle lat się nie widzieli, zaraz kazał przyszykować kolację, zaczął wypytywać co słychać w świecie, opowiadał nam że on dawno tyż robił takie wyprawy, ale dzis.aj mu jest dobrze, ma zięcia który ma wielki hotel przy samym dworcu kolejowym i robi dobre interesa, gdyż do tego miasteczka co dzień przybywa osiemnaście pociągów na noc, i na drugi dzień podążają w stronę północnych prowincyj. Właściciel restauracji Jenoario Torano, który nas przyjął w swój dom, powiada do nas, że u mnie możecie być aż robotę dostaniecie, no my łazimy, szukamy po całutkich dniach, gdzie jeno na fazendę przyjdziem, pytamy o jaką pracę, to zaraz dają robotę przy kawie, wszystkie roboty stanęły, zaledwie fazendery którzy zamożniejsi to mają swych kolonistów którzy uprawiają kawę, a reszta pobankretowali, prawdziwa katastrofa jaka naszła na Sao Paulo w tamte czasy, za 15 kilogr. kawy płacono trzy milrejsy, ale też wówczas sterling angielski płacił 30 do 35 milrejsów. Po całych dniach robotniki kręcą się po miasteczkach bez zajęcia, no i tak na szczęście napotkalim fazendera Portugalczyka, że u niego znaleźlim pracę przy łamaniu kamienia, zaczął on budować dom z kamienia, ale przedsiębiorca nigdy nie znalazł odpowiednich robotników, co dnia przychodzili i odchodzili narzekając że kaleczą sobie palce, ludzie że nie znają inszej roboty jak tylko przy plantacjach kawowych i to sami Włosi którzy samotni opuszczają swój kraj i idą do Sao Paulo na zarobki, jak im się poszczęści pieniądze zarobią, wtenczas wracają do swoich rodzin, tu chodzą grupami od 10 do 15 robotników, którzy mają swego szefa na czele że on godzi robotę na jakiej fazendzie na trzy lub cztery miesiące przy pieleniu kawy, jeżeli znajdą gospodarza rzetelnego to i zarobią, bo tyż wtedy niektóre fazendery bogate mieli zwyczaj utrzymywać swoich siepaczy murzynów, jako swoje narzędzie, jeżeli który robotnik dopominał się o zapłatę i nieustępował swojemu panu, to wtedy gospodarz wskazał murzynom żeby takiego wysłać na drugi świat. Po takich fazendach wyrobniki najwięcej ucierpieli, bo gdzież się mieli poskarżyć, gdyż takie fazen-

dery nadawali prezydentów, oni rządzili po stolicach. Takie to wtedy były urzęda. Na jednej fazendzie niedaleko Caza Branca, koloniści zrobili użalenie swojemu konsulowi — bo chcieli iść gdzieindziej do pracy, tylko ich pan nie chce im wypłacić — mieli oni do odebrania od fazendera 5 tysięcy mówią: Nam się tu nie opłaca, my mamy rodziny, my tu nie wytrzymamy, więc konsul przyjechał na tą fazendę pod nazwą „lensol", tu go koloniści Włosi ładnie przewitali zaczęli go błagać jak swojego ojca, a on ich dużo pocieszył, żeby mieli cierpliwość, bo gospodarz nie ma pieniędzy, gdyż kawa nie ma swojej wartości, on wam rzetelnie wypłaci i żeby się umiarkowali, wy swoich zarobków nie stracicie. I tak ich pocieszył cały ten magnat włoski no i zabrał się do stolicy gdzie przypija szampana ze swoimi kumotrami i politykami, a fazender sprowadził dziesięć policjantów na swoją fazendę żeby stróżowali, bo spodziewał się napaści ze strony robotników i tyle pomógł konsul włoski, że koloniści ściągli policję na siebie. Rozmaite zdarzenia bywały w tamte lata. Na jednej fazendzie pracowało dziesięcioro robotników Włochów przy uprawie kawy, a gdy wykończyli swoje zadanie według ugody z gospodarzem, więc zaczęli się upominać o zapłatę żeby móc iść dalej za pracą, a fazender się użala że nie ma pieniędzy, oni zaczęli coraz bardziej nacierać na swego pana domagając się swojego zarobku, a on zaczął im grozić negrami, bo też ich na to właśnie trzymał, żeby był bezpieczny, więc robotniki zostali oszukani nie otrzymując swego zarobku ani szeląga. No i jednej nocy wymordowali całą rodzinę fazendera z nim razem. Niedługo ukazał się artykuł ogłoszony w gazetach, że w Sao Paulo plondrują całe bandy bandytów i napadają na fazenderów, mordują i rabują, a ci co tę rodzinę wymordowali, rozlecieli się po kraju jak ptactwo. To są prawdziwe zdarzenia z roku 1900 i aż do wojny światowej.

Powrócę do mojego pobytu z kolegami na fazendzie przy mularce. Nasz gospodarz majster mularski, nazwiskiem Joao de Campos, był to Hiszpan człowiek już podstarzały, bardzo rzetelny, był z nas zadowolony że mu praca pośpiesznie kroczyła naprzód, płacił nam każdemu dziennie po cztery milrejsy, fazender tyż był zadowolony że jego dom niedługo zostanie wykończony, było tu kilka rodzin włoskich którzy robili przy kawie i oni się cie-

szyli swoim panem, gdyż to był Portugalczyk bardzo rzetelny, pracowalim tu kilka czasy, ale nasz pan Joao de Campos, pewnego dnia zaszlim w rozmowę, zaczął się mnie wypytywać i jął opowiadać o swoich pracach ile on już domów nabudował tu w tej Brazylji, skończy robotę u jednego i zanim wyszuka drugą to już ogołocony z pieniędzy i mówi już jestem stary i własnego gniazda jeszcze nie mam, zawsze chodzę z workiem na plecach, powiada do mnie: zarobisz trochę pieniędzy to zabieraj się do swoich, bo jeżeli się przyzwyczaisz łazić to będziesz tak wyglądał jak ja. Stary Hiszpan przypomniał ojcowską naukę i wykończylim pracę przy mularce, było to w roku 1902. Fazender zaczął nas zachęcać, żebym pozostali u niego na robotach kawowych, ale my jemu odpowiedzielim że lubimy kawę tylko w filiżankach. W tym czasie się otworzyła robota przy kolei w stronę prowincji Matto Grosso. Tak my też podążylim do budowy tej linji i zaczęlim pracować, tu byli ludzie różnej narodowości. Przedsiębiorcy w tamte czasy najwięcej płacili robotnikowi dziennie po cztery milrejsy, takie imprezy to zwykle mieli swoje magazyny z żywnością dla swoich robotników, jako też różne artykuły po najwyższej cenie. Robotnikowi przy końcu miesiąca mało się zostało do odebrania. Takim sposobem wszystek zarobek pozostawał w rękach przedsiębiorcy.

Pracowalim my tu prawie długo. Później się otworzyła linja innej kompanji, która prowadzi w stronę prowincji Minas Gerais. Tak my przyszlim do tej drugiej kolei, dosyć że my tu, to tam pracujem przez ustanku, zaledwie z małemi urywkami, że czasem zrobilim swoje wycieczki do małych miasteczek, aby poznać z bliska ten brazylski kraj, zdaje nam się zaprzykro być zawsze w jednem miejscu. Nie jeden Włoch tu zamieszkały już dużo lat a jednak jeszcze mowy brazylijskiej nie zna, wcale się nie zna na tutejszych obyczajach, prawda jest że nie byle kto chce być łazęgą jak my, zaciekawieni tylko aby dalej w świat i zawsze coś nowego, dosyć że dla nas trzy lata bardzo szybko minęły. Nareszcie jeden z kolegów zabrał się do swojej rodziny w Italji. W tamte lato nie trzeba było dużo kapitału, za 300 milrejsów opłacił podróż okrętem do któregobądź portu Europy. Niedługo drugi kolega się ożenił. To samo i mnie radzili, ale mnie przyzwyczajonemu do rozmaitych narodowości, dawało się

czasem jakoś smutno w tym wesołym Sao Paulo, gdy przypomniałem sobie że tam w Paranie pozostało setki moich rodaków, a ja tu jak gdybym zabłąkany. Jeden Włoch jako dobry kolega po nocach mię uczył pisać i czytać po portugalsku i po italjańsku bo to była rzecz najważniejsza dla człowieka podróżującego, poznałem dobrze mowę włoską, hiszpańską i portugalską, nieraz kupowałem książki, w księgarniach szukałem książki polskiej, ale nigdy nie było, dopiero się spostrzegłem że tu niema mowy o książkach polskich, gdyż ja nigdy nie mogłem napotkać żadnego Polaka, pocóżby mieli sprowadzać książki polskie, więc musiałem się pogodzić z obcemi pismami, gdyż to było dla mnie bardzo potrzebne, szczęście że mnie ojciec poduczył trochę czytać i od tego wziąłem początek, tak że łatwo nie było się wyuczyć dokładnie po portugalsku, gdyż w tym kraju jest rzecz najważniejsza — zamiast kazać przejrzeć sam człowiek przyjrzy. Dopiero poznałem że ja sam tu łażę w tym S. Paulo. Tu człowiek jest prawie przyzwyczajony, wszędzie wesoło i znajomość, no ale jakoś natura ciągnie do tej Parany na nowo, ale to jest podróż dalsza niż do Europy, choć Europa jest dalej ale koszta są mniejsze, trzebaby wyjeżdżać ze stolicy do Santosu, potem okrętem do portu Parany Paranagua, później koleją aż na miejsce swoich, więc zrobiłem rachunek i okazało się że toby kosztowało dwa razy tyle co do Europy. Niema innej rady jak na piechtę do Parany. Wyruszyłem w drogę. Półtory dnia pociągiem i przybyłem do stolicy S. Paula, tu wypocząłem dwa dni, a na trzeci o szóstej rano wsiadam na pierwszy pociąg i jadę linją Sorocabana aż do ostatniej stacji „Serqueira Cesar", a odtąd się zaczyna moja podróż na piechtę aż do pierwszej stacji „Pirai" już w Paranie, była to podróż powrotna po trzech latach wędrówki po San Paulu, trzech nas było to było nam raźniej, a teraz muszę sam na sam tę wyprawę zakończyć, jest to wędrówka bardzo smutna, przejść przez ogromne lasy niebyle kto sam tu robi takie podróże w tym kraju, ale ja już na wszystko jestem przyzwyczajony w tym kraju po lasach jak i po miastach, życie brazylskie jest mi dobrze znane i wykonane całe moje zamiary bez całe siedem lat wędrówki, byłem ciekawy widzieć z bliska tę Brazylję. Kapitału nie złożyłem, ani też nie straciłem, jak mi powiedział mój gospodarz Hiszpan Joao de Campos, wracaj do

swoich, a gdy cię zapytają dużo zarobiłeś pieniędzy, ty im powiedz — pieniędzy nie zarobiłem ale mam nadzieję. Zesiadłem z pociągu na stacji Serqueira Cesar o siódmej we wieczór tu przenocowałem na drugi dzień zabieram się w podróż na piechtę, na wieczór jestem w miasteczku „Olio", na drugi dzień w „Lageado", na trzeci dzień przybyłem do miasteczka Santa Cruz do Rio Padro, stąd zaczynają się nieprzebyte lasy, ale są one mi już znane, tylko że teraz muszę iść na manowce, na insze drogi, żeby skrócić swoją podróż i lepiej zbadać tamte okolice, trochę mi było ciężko, bo mój tornister ważył 25 kg. byłem dobrze wyposażony, miałem dobry francuski garnitur, kamasze, dobry rewolwer, odpowiedni nóż, pałkę z wybranego drzewa o metr długości, ważącą półtora kila, którą wziąłem na pamiątkę z Sao Paula, pieniędzy 500 milreisów, dosyć że byłem przysposobiony do lasu, ale też i do miasta. W tym mieście wypocząłem i dalej w drogę, za dwa dni dotarłem do fazendera Costa Junior, już blisko granicy Parany, tu na tej fazendzie trzy lata temu jak nas gościli, ale teraz mnie samego już nie poznają, bo to już inszy typ, to już paulista, a nie parańczyk. Teraz trzeba dać mu nowiny z Sao Paula, chociaż oni są magnatami, ale nigdy nawet nie myślą, że tędy czasem przychodzi jakiś pokraka, a tu musowo przechodzić przed samym pałacem. Tędy nicht nie przychodzi, bo też i nie wolno, tutaj są Negry stróżami, ale ja się ich nie boję, bo na wszystkie wypadki taki światowy podróżnik musi być pokraką, żeby wszystkich zadowolić, no i jeszcze ze dwa kilometry do fazendy, a tu pan fazender jedzie konno, przystanął, był bardzo zdziwiony na moje spotkanie jak ja mogłem znać tę drogę. Ja jemu zacząłem opowiadać o jego synu, który jest sędzią w Santa Cruz do Rio Padro i że to on mię tędy sprowadził i kazał mi pana doktora pozdrawiać, zacząłem mu chwalić doktora sędziego, jaki to człowiek sprawiedliwy, wymieniłem nazwiska kolegów sędziego, jak to podczas wyborów na prezydenta republiki, pan sędzia miał najwięcej głosów. Po prawdzie przedstawiłem mu całą politykę i najsilniejsze stronnictwa urzędowe i że ja ze swojemi też poparlim stronnictwo urzędowe. Pan Costo był bardzo zadowolony z moich informacji nawet od panów ze samej stolicy. Więc mój Costa właśnie jedzie do miasteczka Santa Cruz zaraz napisał karteczkę do swojego dozorcy na fazendzie, żeby mnie przyjął w dom na wypoczynek i żeby wyposażył w żyw-

ność do dalszej drogi. Przyszedłem na fazendę, zaraz wyszedł dozorca, oddałem bilet, obejrzał i zaprosił w dom. Rodzina pana doktora zaraz mię poczęstowała czarną kawą, według zwyczaju paulistańczyków, na wieczór zaprosili do stołu na kolację, dali mi dobre łóżko, wypocząłem doskonale i rano po obfitem śniadaniu wybieram się w dalszą podróż. Dozorca nie chciał jeszcze żebym się tak prędko wybierał, ale ja ich przeprosiłem i żeby mi wybaczyli, gdyż mię powołuje ważna sprawa no i wybrałem się w dalszą drogę. Na południe przeprawiłem się przez rzekę Rio Paranapanema, ta rzeka to jest granica Sao Paulo z Paraną, za parę godzin jestem w miasteczku Orinhos, wypocząłem godzinę i dalej. Na wieczór przybyłem na jedną fazendę i proszę o nocleg, a tu mię spotyka polska mowa, dopiero po trzech latach po raz pierwszy, zaprosił mię odrazu w dom, a to była polska rodzina nazwiskiem Jan..... bardzo się ucieszył mojem przybyciem, zaczął mi opowiadać że on ze swoją rodziną by chciał udać się do Sao Paula, ale że on nie zna tam wcale nic i że był chciał jechać tam na zarobki do kolei i tymczasem jest tu na fazendzie dopiero dwa miesiące za dozorcę, ja jemu udzieliłem informacji jakby dla brata z całego ruchu w Sao Paulo. Przynocowałem szczęśliwie i szykuję się do dalszej podróży, wypytałem się jego jak daleko się znajduje pierwszy dom do noclegu, aby nie nocować pod gołem niebem, bo ja znałem drogę na Jakarezinho, a teraz idę na Colonia Mineira, on powiada mi, że stąd do pierwszego obywatela nazwiskiem Carabrancu, stąd tam jest 60 kilometrów i prosi żebym jeszcze poczekał na obiad, gdyż pan ma jeszcze dużo czasu, ja jemu podziękowałem i mówię że lepiej żeby zbyło czasu na wieczór, niżeli by miało braknąć, z rana jest człowiek wypoczęty to lepiej podróżować, jeszcze mi dał kiełbasę na podróż no i pożegnałem się i puściłem w dalszą drogę, ale mój rodak bardzo się omylił na tych tu kilometrach, tak idę, się spieszę, naraz patrzę na zegarek, a tu już trzecia po południu, zaraz się spostrzegłem że jestem źle poinformowany tu ani śladu co do mieszkańców po lasach, puszcza nieskończona, ano wziąłem nogi na plecy i dalej naprzód, trochę było mokro to i poskutkowało, bo tak jakby się jechało, a tu nie spotyka się ani żywej duszy i już robi się mrok, aż naraz widzę już kapoeiry czyli zrąb, więc tu była kiedyś sadzona kukurydza, to też muszą być ludzie gdzieś w pobliżu i naraz widzę biały dom, właśnie ten sam co mi rodak poinfor-

mował. Tu przed domem stoi szopa, widać że tu nocuje karawana, kilku chłopów siedzą przy ogniu, a ten barak zapełniony różnymi ładunkami no i ja zawołałem na gospodarza domu i proszę o nocleg, a gospodarz mi mówi żebym się pozostał tam w tej szopie, to po prawdzie dziwo. Poprosiłem ludzi którzy siedzieli przy ogniu żeby mi użyczyli miejsca ułożyć ładunki swojej karawany, oni się rozśmieli i powiedzieli że mogę złożyć swoje ładunki na ich, zdjąłem tanistrę i położyłem w baraku, zapukałem do drzwi gospodarza, on mię wpuścił do swojego domu, podał krzesło, jął się wypytywać skąd i dokąd idę, ja zacząłem jemu opowiadać rzeczy, które by jemu mogły być do smaku. Tak gawędziliśmy do późnej godziny, kazał mi przynieść swoją tanistrę, — właśnie ja tego sobie życzyłem, bo jaki ja byłem zmęczony to w tym baraku niepodobno było wypocząć, zapytałem go ile może być kilometrów stąd na fazendę skąd wyszedłem dzisiaj. Aż się zadziwował że ja mogłem przejść tyle drogi za jeden dzień, przecież stąd aż na tamtą fazendę jest 74 kilometry. Jego żona przyszykowała dobrą kolację, wódkę miał dobrą, gdyż oni sami produkują cukier i trzcinówkę, ułożył mi na podłodze dobre łóżko i poprosiłem żeby mi dał trochę wódki ażebym sobie wysmarował nogi, gdyż mi bardzo bolały i zabralim się do spania. Z rana wstałem zdrów, gospodarz zaprosił na śniadanie, potem zapytałem ile mu jestem winien, on odpowiedział że nic. Tak mu podziękowałem i dalej w drogę. Doszedłem do miasteczka pod nazwą Colonia Mineira, tu przybyłem w samo południe, trochę wypocząłem i dalej w nogi. Już słonko nad zachodem, przy drodze chałupka, widać że jakiś krajowiec biedny, ale trzeba prosić o nocleg. Zawołałem, wyszła kobieta i żali się że męża niema w domu, że ona jest sama, więc nie może na noc przyjąć, no to poszłem dalej i tak sobie rozmyślam, że już tu w tym kraju siedem lat wędruję, a jednak mi się jeszcze nie przydarzyło nocować samemu pod gołem niebem na drodze. Uszedłem ze 150 metrów, naraz krzyk, obejrzałem się za siebie, macha ręką do mnie i wróciłem do tego samego domu, kobieta się tłumaczy że przywołała swojego szwagra i że ja się tu mogę zostać z nimi do jutra, mówi stąd mieszkańce daleko, to pan by musiał nocować na drodze, a ja to dobrze wiedziałem że tu w tym kraju jest obyczaj bardzo prosty, ściemniło się to lepiej nocować na drodze, aniżeli do nieznajomych ludzi w nocy dokuczać, nieraz się naraża

jeden jak i drugi. Tu tych ludzi trzeba dobrze rozumieć, bo kto ich nie rozumi to się bardzo oszuka na ich gadanie. Nieraz już nad wieczorem podróżując przychodzi się do takiego „kabukra", pytam czy daleko będzie do drugiego obywatela, zaczyna tłumaczyć: Pan pójdzie tam na tą górę, potem pan zejdzie na dół przejdzie płaszczyznę no i tu zaraz mieszka mój sąsiad, Joaquin Tatu mój compadre — to znaczy kumoter i to nawet nie wyciągnie ręki do pokazywania, tylko naciągnie wargi i mówi, tu tutaj zaraz niedaleko. Kto tych ludzi po lasach już zna to się nie dziwi, tylko się zrobi swoje zażalenie, mówiąc, że jestem bardzo zmordowany i chciałbym wypocząć resztę dnia i tak człowiek się nie naraża na jakieś przykrości. Na drugi dzień zaczyna się dalszą podróż, dopiero widzi się jak to blisko ten jego sąsiad — pół dnia podróży, kto nie zna tych zwyczajów to uwierzy i musi nocować na drodze pod gołem niebem bez żadnej potrzeby. Powracam do mojej gospodyni. Zostałem dobrze przyjęty w tym biednym domku, my tu jakoś nie mielim dużo do rozprawiania, tym lepiej bo się więcej wyspałem, z rana dali mi śniadanie, zapłaty nie chcieli i wyruszyłem w dalszą podróż do „Tomazina". Do tego miasteczka przybyłem na wieczór, poszedłem zaraz do swojego znajomego Antonia Fideli, który przyjął mnie z uciechą w swój dom, on już powiększył swój sklepik, ale to już nastąpił czwarty rok, jak ja tędy przechodziłem, ale tu nic wcale się nie powiększyło, ale Fideli bez te lata się poparł, to też ja jemu powiadam, że on w tej miejscowości musi czuć się szczęśliwym, gdyż po miastach w Sao Paulo, niektóry kolonista że był kilka lat na fazendzie i dorobił się trochę gotówki, porzucił fazendę i wybrał się do jakiego miasteczka i założył sobie jaki taki sklepik, ale wcale sobie nie polepszył, gdyż tam pełno jest tych Syryjczyków i ich życie jak prawdziwych Żydów, od dzieciństwa już się tresują w rozmaitych spekulacjach — mówię do niego, ja się przyjrzałem niektórym kolonistom, że po całych dniach siedzą w swych sklepikach za bufetem i są takie dnie że nie wpłynie nawet dwa milrejsy dziennie, ale pan tu w tym zaciszu jest szczęśliwym, mało masz dochodów, ale jeszcze mniej rozchodu, tam jest huczne życie, tam trzeba ciągle obracać kapitałem. Ja przez trzy lata napatrzyłem się na cały ten ruch. Com zarobił przy jednej kompanji, to zanim przybyłem do drugiej, bo tam miał być lepszy zarobek, to zanim się wzięło do drugiej pracy to w kie-

szeni pozostały tylko dziury. Przyjechało się chociaż raz w rok do stolicy Sao Paula, poszło się odwiedzić niektórą rodzinę, to same państwo, ale żeby zrobić kawę swym gościom, dmucha na dwa węgiełki i trochę szmaty, by w ten sposób ową kawę zgotować. A na wieczór wypudruje się i już wygląda jakby jaka królewna i prosi nas żebym szli z nią do teatru. I tak niektórzy ludzie żyją w Sao Paulu, parobki w kołnierzykach wszystko ucieszone i wesołe, ale kieszenie dziurawe, bieda aż piszczy. To też napatrzyłem się temu wszystkiemu i zabrałem się z tego raju. Nie chcę więcej. Wolę pracować w lasach za dwa milrejsy, aniżeli w takich miastach za cztery i chodzić goło. I tak z moim przyjacielem narozmawialim się, że czas prędko zlatywał, chciał żebym był u niego ze trzy dni, żebym dobrze wypoczął do dalszej podróży, ale ja jemu podziękowałem, jeden dzień wypoczynku dla mnie wystarczy. I wyruszyłem w dalszą podróż, stąd idę na inne drogi, na zachód ostawiając na lewo miasteczko Sao Jose da Boa Vista i Jaguariaiva, w tem skrócając o dwie mile drogi, ale ta droga którędy idę, to zaledwie ścieżka, trzeba było mieć dość praktyki, ażeby ją nie zmylić. Doszedłem do domu jednego krajowca wcale nie zamożnego, przyjął mnie na noc, poczęstował mnie trzcinówką (wódką) no i szczęśliwie noc się przespało, z rana ruszyłem do dalszej podróży. Prawie koło południa spotkałem jednego pana, na ładnym koniu elegancko osiodłanym, zaraz mię zatrzymał i zaczął się wypytywać: Skąd pan jesteś i dokąd idziesz? Był to pan Oreli Carneiro, fazender zamieszkały na kampach, miał też i on las pod uprawę, zaczął mię zapraszać na swoją fazendę, powiada po drodze niech pan wstąpi do mojego domu, który jest na ustroniu ale pan trafisz, będzie stąd ze cztery godziny drogi aż do mojego domu. Pouczył którędy mam iść i że on na wieczór dąży do domu, rozeszlim się każdy w swoją stronę. Trafiłem do jego domu, zaraz wyszła gospodyni przywitałem ją i powiedziałem jej kto mię tu sprowadził. Zaraz zaprosiła w dom, niezadługo przyniosła filiżankę czarnej kawy według zwyczaju, na wieczór powrócił pan domu, na nowo się przywitalim, spytałem czy szczęśliwie mu poszło w jego interesach tego dnia, podziękował i zaczął opowiadać o rozmaitościach, ja tylko słuchałem, kiedyś niekiedyś potakiwałem mówiąc: tak jest, ma pan słuszność. Zrobił mi propozycję żebym sprowadził swoją rodzinę na jego fazendę, że on mi da fabrykę do wyrobu wódki i cu-

kru, da mi parę wołów i wóz do zwożenia cukrowej trzciny z pola do fabryki, a ten towar wyprodukowany to pójdzie na spółkę, ja przyczynię się tylko swoją pracą, a reszta wszystko fazender daje, ja mu ślicznie podziękowałem i powiedziałem jemu że jego propozycja jest nadzwyczaj dobra i jeno powrócę do swoich to zaraz ich tu na pańską fazendę sprowadzę, no i dzisiaj jeszcze tam nie powróciłem, później się dowiedziałem, że ten fazender to prawdziwy oszust, tam u niego nicht nie wytrzyma, ale my się w gadaniu zgodzilim, ja nie zostałem skrzywdzony. Wypocząłem u niego dobrze, ugościł mnie jak swojego brata, wyposażył mnie w żywność do dalszej mojej podróży, podarował mi jeden ser ważący ze trzy kilo swojego wyrobu, sery wyrabiane na podobę szwajcarskich, pożygnalim się serdecznie z wielkiemi uciechami i powędrowałem w kierunku miasta Pirai. Dwa dni podróży przez same kampy, tu fazendery hodują dość bydła, tak idę i nikogo się nie napotyka, już była godzina czwarta, ja bardzo zmęczony zrzuciłem z siebie tanister i położyłem pod głowę aby trochę wypocząć i tak niespodzianie zasnąłem. Naraz się przebudziłem i patrzę, słonko czerwone już nad zachodem, co gorsze że nie znam w jakim punkcie się znajduję, przyjdzie mi nocować na kampie w gołem polu, otarłem czoło i dalej w nogi, śpieszę jak jeno się da, żeby chociaż gdzie do jakiej budy, już słonko zaszło, ja schodzę po skałach w kamienisty wielki parów, ale zawsze trzymam się drogi, a tu już się ściemnia i tak jest zdradliwie po tych kamieniskach, ale naraz znajduję się na dole, tu widzę trzech ludzi, którzy siedzą przy ogniu, niedaleko widać chałupkę zbliżam się i zawołałem. Wyszedł chłop proszę go o nocleg, on zaprosił mię do środka, kazał mi usiąść, dał mi skromną kolację, widać człeczyna był bardzo biedny, cisnął matę na podłogę i zaprasza żebym się ułożył na spoczynek. Zanim się ułożyłem do spania, zapytałem go jak się nazywa tutaj ta miejscowość, gdyż wszystkie okolice mają swe nazwy, on mi powiada że ta miejscowość nazywa się Passo do Diabo, ja jemu mówię że to jest akuratna nazwa. Noc była trochę chłodna, prawie że się nie spało, bo tak powiedzieć jakby cielaki po plecach lizały, to już pasowało do tej miejscowości. Zrana dał mi śniadanie, spytałem co jestem jemu winien, on zażądał dwa milrejsy, zapłaciłem i podziękowałem mu za dobre przyjęcie i wyruszyłem do podróży, na wieczór zdążyłem do Pirai, gdzie się znajduje początek kolei, czyli

pierwsza stacja. Przybywając tu jestem zadowolony z moich dziesięciu dni podróży na piechtę, którą przemyśliwałem przez długi czas a jednak odbyłem szczęśliwie. Zaraz wstąpiłem do restauracji, był to dzień sobotni, pociąg nadszedł o siódmej wieczorem z Ponta Grossa. Gospodarz Brazyljanin rozmawiając ze mną bardzo ciekawie, ale jako krajowiec jeszcze nie był dobrze obeznany w swym fachu, powiada do mnie że z Ponta Grossy miały dzisiaj przybyć do jego domu jakieś pany, i że moja osoba będzie trochę szpecić w jego salonie i spoglądając na moje nogi że byłem na bosaka i były popuchnięte od podróży, więc odpaliłem mu kilka słówek, ale bardzo przykładnych, że dało jemu do zrozumienia i dla niego dobrą naukę, zaraz mnie przeprosił przynosząc cygara. Dla mnie jechać do Ponta Grossy niepodobno, ani naciągać kamasze na nogi spuchnięte od podróży, gospodarz znalazł sposób, dał mi mały stolik w jednym pokoiku, to właśnie mnie cieszyło, bo ja potrzebowałem spokoju, a nie żadnych delikatności salonowych, jakich on sam jeszcze nie widział, bo by się do swojego gościa tak nie wyrażał, a ja już się dużo napatrzyłem na takich panów. Wieczorem wyszedłem sobie na ulicę i uważam, jeszcze słychać szewskie pukanie, zaraz wstąpiłem, na pierwsze spojrzenie poznałem rodaka, przywitalim się po polsku, zaczął się wypytywać skąd i dokąd idę, w kilku słowach mu powiedziałem, mówię mu że nie mogę wzuć kamaszów do dalszej podróży i żeby mi zaradził, wreszcie niech mi pan zrobi cichobiegi, naciągnę skarpetki i będę wyglądał jak fazender i szewc wziął się do pracy bo to była sobota, a pociąg odchodzi w poniedziałek z rana, dosyć że szewc do północy wykonał swoją pracę. Nazajutrz zajrzałem do niego, cichobiegi doskonałe, przystały do nóg jakby przylepił, nażartowalim się, naśmielim do woli bo też w tych stronach wtedy Polaków nie było. W poniedziałek z rana gospodarz restauracji zabrał swoich panów i mnie razem na powóz elegancki i odwiózł nas do stacji kolejowej, teraz swoich gości już nie klasował. Odjechalim, na wieczór stanęlim w Ponta Grossa, tu byłem jeden dzień, kupiłem niektóre narzędzia do domu, bo w wielkim mieście to zawsze tańsze. Na drugi dzień wyruszyłem pociągiem do ostatniej stacji tej linji już niedaleko naszych kolonji, tu zesiadłem jeszcze jeden dzień na pieszo przebyłem do ojcowskiego domu. Tak przypadkowe moje przybycie, całe rodzeństwo się ucieszyło. Nawet sąsiady zaczęli się przyglądać, co

to za jakiś indzinier, długo nie mogłem się do nich przyzwyczaić, bo też te ludzie z rozmaitych okolic, mają różne zwyczaje jak i djalekta. Ja wyruszyłem do Santa Paula w roku 1900, a powróciłem w roku 1904, więc się też wyuczyłem djalektów, nie mówiąc o portugalskich, ale dobrze poznałem mowę włoską tak samo i pismo, mowę hiszpańską — no dalej do pracy domowej, musiałem więcej dokupić narzędzi, ażeby było wszystko swoje. Wziąłem się z bratem do piły, narżnęlim desek, wykończylim chałupę. Przedtem moje ludzie mieli sąsiadów najętych do tej pracy, ja poodprawiałem, bo ta robota dla mnie, ja tyż się nauczyłem drzewo psuć.

Na polskiej kolonji Rio Claro, tętni życie jako na nowego kolonistę przypada, tu każdy zakłada gospodarkę jako tako w miarę własnych sił, a też zależy od gruntu jaki kto posiadał, bo są lepsze szakry i gorsze, ale każdy się czuje gospodarzem na własnym kawałku ziemi, nie tak jak w Sao Paulo, że kolonista jest tak poddanym, że nawet na zawołanie w nocy musi z całą rodziną wstawać i prędko kawę zbierać i pakować do magazynu przed deszczem, zato nasi Polacy się osiedlili w Paranie, bo chociaż mu bieda, ale nie jest poddanym, bo też do tego bogactwa niesładnie przyjść. Tu niektórzy koloniści już się mają niezgorzej, a jednak na potrzeby domowe brak pieniędzy. Nie jeden gospodarz ostawia żonę i dzieci i z workiem na plecach idzie szukać zarobku, niektórzy po roku wracają do swych domów, a nie jeden już wcale nie powrócił, a rodzina ciężko bieduje na swoich początkach.

Oto życie z moich czasów.

Wracam co do mojego pobytu. Poparłem gospodarkę mojego ojca jak jeno mogłem, pokupowałem do domu co było najpotrzebniejsze i zostałem bez żadnego grosza, przez kilka miesięcy pobytu przy moich ojcach, ale oglądam się na wszystkie strony i uważam że ja w tej okolicy, nigdy nie będę umiał co zmyślić. W tych tu skałach nie mogę być pustelnikiem, gdyż jest tu ludzi zadużo. A więc otworzyli pracę przy drodze do Argentyny. Prace urzędowe, któremi zajmuje się komisja wojskowa (strategica) czyli inżynierja wojskowa federalna i ja się wybrałem do tych robót. Przywędrowałem z północy, a teraz nowa pielgrzymka na zachód. Za cztery dni przybyłem na miejsce robót. Komisja ta pracowała w municipio Palmas, i tu wstąpiłem do roboty. Zarząd tych prac się składał z jednego porucznika i kilku oficerów, czyli inżynie-

rów. Płacili mi po cztery milrejsów dziennie z utrzymaniem, tu pracowali żołnierze i cywilni, było wszystkim wesoło, bo nas było w tym obozie więcej jak sto ludzi, w niedzielę i święta nicht nie robił, w takie dnie ja chodziłem pomiędzy ludzi trzymając egzemplarze w ręku, chodząc, krzyczę, robię propagandę. „Fox i Cia"., jest to kompanja amerykańska w Sao Paulo, wielki zakład jubilerski, sprzedaję kupony po osiem milrejsów za każdy, są do wylosowania różne rzeczy wartościowe,każdy numer wygrany za 2 i ½ mila, zegarek srebrny, czyli branzoletka i rozmaite rzeczy do wybrania dla każdego klienta. I tak chodzę, krzyczę jak to w Sao Paulu, oficery powyskakiwali ze swoich obozów, zaczęli się przysłuchiwać całej mojej propagandzie i zaczęli się śmiać i przygadywać co to za krzyki? — i mówią, w tem momencie jak usłyszelim te krzyki, myślelim że tu zbliża się Sao Paulo. Zaczęli robotniki się gromadzić i przyglądać toć to Karol D., co za licho. Prawie go nie poznalim. Naturalnie przybrałem się w ładny garnitur, wyglądałem jak na prawdziwego paulistę ze stolicy. Oficerowie zdziwieni taką „paljasadą" zaczęli poklaskiwać i moją sprawę jeszcze wyżej podnieśli, to poskutkowało, bo wszystkie kupony zaraz rozprzedałem i od wtedy inżynierowie mnie dobrze poznali i potem zawsze z nimi chodziłem przy lżejszej robocie.

Za kilka miesięcy tej pracy zarobiło się trochę grosza, tu kupiłem dobrego konia, osiodłałem i zrobiłem plan że lepiej zakończyć tą piechtę, osiem lat podróży pieszo. Od teraz koń będzie nosił mnie i moje rzeczy, teraz musi być całkowita zmiana. Teraz już nie powiedzą że idzie jakiś wagabunda z workiem na plecach. Tylko zdaleka zobaczy to powie, jedzie jakiś „fazendeiro" czyli coronel — to znaczy pułkownik. Przyjechałem do ojców i wypocząłem dobrze, powiedziałem rodzicom że mi bardzo niemiło ich opuszczać, ale ja tutaj nie mam nic do robienia aby chodzić z workiem na plecach — żeby zaradzić dla domowych. Ja muszę zdobyć się o obszerniejszy grunt, żeby pozbyć się tego łażenia, bo kto w tym kraju nie wyszedł od ogniska domowego, takiemu wszystko do smaku, bo nie widział i nie będzie widział co to jest Brazylja, to jest kraj wielki i dobry, to jest kraj zdrowy i wolny. Tylko że ten kraj trzeba umieć ocenić, tu niczego nie brakuje, tu nie musowo siedzieć na skale i dla urzędu płacić za to, gdyż w tym kraju wiel-

kie obszary leżą próżno i najlepsze dla ludzi pracujących, ale do tej pracy trzeba zebrać wszystkie swoje siły i całą odwagę.

Jeden Brazyljanin, że żonaty z moją siostrą, naradził się ze mną, bo tam nad rzeką „Iguassu", stąd dobry dzień podróży konno, mówi tam są wielkie obszary lasów, tam są sami mieszkańcy Brazyljanie, są to grunta bardzo dobre, ale ludzie biedne bo mało pracują, jest tam parę takich że posiadają jakieś „registro" (dokument za czasów króla), ale oni nie znają że grunt podlega legalizacjom, oni nie wiedzą co takie obszary mogą kosztować, bo oni grosza urzędowi nie dali, jest tam sto tysięcy hektarów ziemi i oni robią sprzedaże ale nie legalnie, a takie kupno nic nie warte. Więc naradzilim się i pojechalim w tamte okolice, wstąpilim do pana tych dóbr nazwiskiem Francisco Camilo, z całą pompą nas przyjął w swój dom. Mieszkał on nad rzeką Iguassu, na ładnych pastwiskach, zabudowanie całe jego gospodarki zaledwie stanowiła jedna chałupa i obora, wszystko obszarpane, takie biedne, takie brudne. Właściciel wielkich obszarów gruntu. Zaczęlim opowiadać po co my tu do niego przybylim, zrobilim mu propozycję, ażeby pozwolił nam robić na jego gruncie, jako swoim kolonistom, a jeżeli nam się poszczęści, to później od niego kupimy, tyle na ile nam siły stać, zaczęlim go chwalić i jego grunta, postawilim go bardzo wysoko, tak że nasz pan chociaż nawpół głodował i nawpół nagi, bosonogi, w tej chwili czuł się całkowicie szczęśliwym. Powiedział do nas że możemy się sprowadzić i możemy sobie wybrać miejsce do budowania się, gdzie nam się będzie widzieć. Te grunta to same równiny, pod nazwą Chapeo de Sol. I powrócilim do domu, za parę tygodni ja z młodszym bratem i szwagier ze swoją rodziną wyruszylim jako emigranty, ale nie jak emigranty wprost z Europy, tylko jako brazylijscy. W drodze przenocowalim u jednego z krajowców, na drugi dzień przybylim na miejsce, no za parę dni nowe sąsiady nas gościli bardzo uczciwie, bardzo zadowoleni naszem przybyciem, pokazują gdzie który może się budować, na pierwszy rok ofiarują nam zrąb do ścinania i plantacji, dali nam swoje paiol'y — po naszemu stodoła i tak czas swobodnie leci. Tutejsze ludzie bardzo biedno żyją, ale też i nie pracują. Cała okolica zaludniona samemi kaboklami (my Polacy wymawiamy kabukier, lub dzik), nigdy z miejsca nie wyłażą, najdalej jak pójdą do pobliskiego miasteczka Barra Feia (obecnie Fluwiopolis), czyli

Uniao da Victoria, to dla nich już starczyło, już dużo mieli do opowiadania, wszyscy nas odwiedzali w każdą niedzielę, każdy z nich zapraszał do siebie. Do roboty się wzięlim zrębu nacięlim, i za kilka dni spalilim i za parę dni posadzilim kukurydzę i fiżon (fasola) po plantacjach zabralim się do wyczyszczenia placu pod zabudowania, pobudowalim prowizoryczne swoje szałasy, tyle że nam w nowych okolicach czas prędko leci, przyszedł maj zebralim kukurydzę, zdobylim świniaków i już nasza gospodarka bardzo dobrze zapoczątkowana, no i rok za rokiem prędko leci, mój szwagier też zapoczątkował się niezgorzej, on miał starego osła, którego wetknął za kawał gruntu, tak samo i mnie zaczęli napierać żebym i ja od nich kupił kawał gruntu, a jeżeli nie zechcę to muszę się stąd wynieść, ale oni się na swych rachubach bardzo pomylili, gdyż w tym kraju prawo jest bardzo proste, każdy właściciel swojego gruntu jeżeli kogo przyjmuje na swoje ziemie, to musi mieć kontrakt na jakieś lata, a dla nas upłynęło parę lat bez żadnego kontraktu, otóż oni zaczęli między sobą rozmaite narady, że Polak najbardziej się zagospodarzy wtenczas będzie go trudniej wykopcić, zaczęli na mnie nalegać ażebym podpisał kontrakt na kilka lat jako ich poddany, ale ja wiedziałem że oni wcale nie posiadają dokumentów legalnych, to też się do tego nie spieszyłem a po drugie my nie mielim żadnej umowy o kontraktach, przyjęli mnie dobrowolnie i tak pracujemy wszyscy w zgodzie z miejscowemi ludźmi, tylko jako gospodarz niby tego gruntu nie jest zadowolony, powołał nas na posterunek policyjny, przedstawił mnie że mieszkam na jego gruncie i nie chcę podpisać kontraktu, delegat policyjny mu tłumaczy że źle postąpił, że pozwolił Polakowi się budować bez żadnego kontraktu, teraz musisz mu pan spłacić za całe zabudowanie które Polak poczynił z twojego pozwolenia bez żadnego kontraktu. Takie jest prawo i na tem nas odprawił. Nas trzech braci pobudowalim jeszcze jeden domek dwa kilometry opodal od pierwszego, starszy brat sprowadził rodziców i z nimi gospodarzył, a nasz gospodarz tembardziej się kłopotał, na nowo mnie posłał na policję, ale ja dobrze wiedziałem że policja nie mogła w tem nic zrobić, bez trzy razy mnie wołali na takie sądy. Aż nareszcie delegat policji ich wyhańbił. Powiada wyście obywatele wielkich gruntów, do urzędu nie daliście ani grosza, to jest własność urzędowa, urząd sprowadza emigrantów ażeby lasy zakolonizować i że-

by państwo miało jakiś dochód z tego. A wy chcecie rządzić wielkiemi okolicami. Posiadacze, którzy nie chcecie słuchać żadnego prawa. Na tem skończyła się ich sprawa że musieli się uspokoić.

Gospodarzyć w tej miejscowości byłoby nawet i niezgorzej, żeby można z temi ludźmi dojść do skutku, ale z ciemnym i głupim narodem to trudna sprawa. Jako właścicielowi tej okolicy zaczelim doradzać, że on jest biedny i sam nigdy tego gruntu nie będzie w stanie urzędownie sprawdzić, więc nas tu na twojej ziemi kilka rodzin zamieszkałych, a ty jako posiadacz „registrów" razem z nami możesz podać się do urzędu i sprawdzić te grunta, każdy z nas może co ci dopomóc, jak jeno będzie mógł, a wtenczas kawał gruntu będziesz miał zlegalizowanego i z nas tu gdzie każdy mieszka, jakiś kąsek otrzyma, w miarę siły pieniężnej, czyli z robotą, bo do pomiarów robotniki też będą potrzebni. Ale nasz pan Francisco Camilio wcale tego nie chciał słuchać. Aby on sam chciał być panem nad temi lasami. No i cóż, musimy siedzieć jak i on, zawsze kiedyś przyjdzie czas że ktoś te ziemie sprawdzi, a my tu zamieszkali będziemy mogli kupić tyle co się da. I nadal się pracuje, nikt sobie kłopotu nie zadaje. Na polu wszystko dobrze się rodzi, są tu dobre paśniki dla bydła, koni i rozmaite owoce dla świn, które się chowają w lesie czyli na wolności, naturalnie że każdy gospodarz swoich świń znaczy uszy ażeby nie było pomyłki, każdy daje inszy znak.

Jednego roku przyleciała tu szarańcza, wyżarła wszystką plantację, jaka jeno była. Ludzie zostali bez niczego na polach. Po trzech latach przyleciała znowu szarańcza i znowu na polach ludziom wszystko wyżarła. Ale na tem się jeszcze nie skończyło. Pomiędzy dwoma stanami Paraną a S. Katarzyną istniał spór graniczny, proces w trybunale federalnym toczył się przeszło 30 lat, zmagali się te dwa urzęda i ani jedna strona ani druga, zawsze jedno i to samo. Nareszcie nadeszła chwila. W roku 1914 wybuchła niby rewolucja o ten spór graniczny, jak płynie Iguassu po lewej stronie, po całych okolicach leśnych wszystkie krajowce się zbuntowali i między sobą się ścierali, jedni na drugich napadali, palili, zabijali, powstała prawdziwa rzeź po lasach aż po rzekę Iguassu. Ja mieszkałem po prawej stronie w odległości o dwa kilometry, przyglądałem się całemu temu bandytyzmowi, ja nie mogę całej tej historji opisać, bo zajęłaby dość czasu i placu, tylko podaję

swoje prawdziwe zdarzenia i klęski z lat, jakie się poniosło. Tą awanturą zajął się urząd federalny, ogłosił stan oblężenia w okolicach sporu granicznego, ogłoszono ktoby chciał może się wycofać z tych okolic, w razie nieposłuszeństwa będzie karany przez prawo wojenne, został wysłany generał Carlos Mesquita z tysiąc żołnierzami, przekroczyli rzekę Iguassu udali się w stronę pod nazwą „Tamandua", tu generał w tych lasach bez parę miesięcy polował na zbuntowanych krajowców, aż naraz zbadał znalezione książeczki przy zabitych buntownikach, że oni mieli posiłki ze strony Santa Katarzyny (Santa Catharina), więc generał zbadawszy sprawę, opuścił lasy, ze swojem wojskiem powrócił do Rio de Janeiro, przedstawił sprawę i powiedział: nie jestem do polowania po lasach, wtenczas rząd wysłał drugiego generała Setembrina i ten zakończył z całą tą rewolucją, która skończyła się na korzyść S. Katarzyny, została wytyczona granica po rzekę Iguassu, miasteczko Porto Uniao da Victoria zostało przedzielone na pół, dziś droga kolejowa przecina przez sam środek to miasto, po jednej stronie Porto Uniao — Santa Catharina, a po drugiej Uniao da Victoria — Parana. Chciałbym jeszcze napomknąć o tej niby rewolucji, jakie kłopoty zadała nawet dla naszych osadników w pobliskich kolonjach, lecz strach ma wielkie oczy, a ludzie w takie czasy lubią wielkie strachy głosić. Po prawej stronie naszej, że powinien być prawdziwy spokój, to nasze sąsiady krajowce wszyscy pouciekali wgłąb kraju, pozostawiali swoje domy puste, plantacje się poniszczyły. O trzy mile od Iguassu, w środowiskach kolonji jak miasteczko Vera Guarany, na własne oczy widziałem jak wędziarze (właściciele sklepów) zamykali swoje sklepy i wynosili się do domów kolonistów, a drudzy do lasów i tak się ukrywali przed napadami. Ale to były tylko fałszywe pogłoski jakich wtedy nie brakowało, wszędzie gdzie ino byłem znany ludzie okropnie się dziwili jak to może Karol D. wysiedzieć w tych lasach, sam ze swoją rodziną nad granicą bandytyzmu, a było tylko dwa kilometry do granicy. Na nasze szczęście rzeka Iguassu nas dzieliła a to bandyctwo też się bojało na rzekę puszczać, było nas zaledwie trzech sąsiadów o parę kilometrów jeden od drugiego jeden Brazyljanin a drugi brazylski Niemiec, my zostalim na straży swych domów, bo tu nie brakowało takich, że strachy puszczali a gotowi do rabunku, jeno kto się wynosi, drudzy już rabują.

Bardzo ciężkie czasy przetrwałem na straży swego podwórza, całe dnie i noce trzeba było pilnie czuwać z bronią w ręku, bo ja wiedziałem i rozumiałem dlaczego niedobre ludzie, nawet urzędowe dążyli tylko do rabowania, aby mi skradli jedną krowę z paśniku i to w nocy. W tej rewolucji tego sporu granicznego, krajowce okropną kleskę ponieśli, najwięcej zginęło dzieci, bo z głodu, wszyscy musieli się zgłaszać do wojsk urzędowych, wojsko ich żywiło, niektóry się najadł i zaraz umarł na miejscu, takie byli zmarnowani. Po tej całej awanturze urząd katarzyński zabrał się do pracy, wyczyścił lasy ze zbrodniarzy, w całem terytorjum pozakładał posterunki policyjne. Poschodzili się na nowo wszyscy moje sąsiady, bardzo pobankrutowali za swoje tchórzostwo, ja chwała Bogu zwyciężyłem na swojem stanowisku, użyło się trochę strachu też i szkody, lecz nietyle co drudzy, teraz robiłem dobre sprzedaże bo miałem zboże, wieprzowinę, oni się użalali że bardzo drogo sprzedaję wszyscy wyrzekali, ja im powiadam, że nicht wam nie dokuczał, tylko wyście poszli drugim dokuczać zamiast pilnować własności swoich jak i ja sam musiałem ciężko pracować i nie było skąd robotnika zawołać, zamiast pracować to wyście nasłuchiwali bandytów, gdybym byli w swojej okolicy razem, tobym swój czas raźniej spędzili.

Lata za latami mijają prędko. A tu nowa klęska następuje. Nie moglim namówić swego pana właściciela tych okolic nad nazwą S. Chapeo de Sol, on jako bardzo ciemny Brazyljanin dał się wciągnąć w prawdziwy błąd.

Znalazł się człowiek nazwiskiem pułkownik Manoel Fabrico Vieira, — w tamte czasy ludzie polityczni mieli swoje tytuły „koronel", to było ich bronią, bo w dzisiejsze czasy dużo takich zatytułowanych już pokasowali i nie jeden taki Coronel musi pracować na kawałek chleba jak pierwszy lepszy, więc trafił się taki pułkownik i Francisco Camilio jako pan registrów od tych gruntów, zdał prokurację tego gruntu dla Fabricia do spółki, do sprawdzenia całej okolicy, tym sposobem Fabrico dostał pełnomocnictwo, czując się już gospodarzem od tych gruntów, zwołał nas wszystkich i wypowiedział do nas, że pan Camilio zdał na niego prokurację, ja teraz mam prawo do tej ziemi, muszę ją zlegalizować, wyciągnąć tytuły od tego gruntu, więc ci ludzie że tu są zamiesz-

kali, jeżeli chcą tu nadal pozostać, to muszą mnie dopomóc pieniędzmi ile kto będzie mógł, bo na taką legitymację trzeba łożyć koszta, w razie gdyby kto nie przystał na tę propozycję to wydam termin do wynoszenia się z gruntu. Mieszkając tu siedem lat miałem niezgorszą gospodarkę z żywym inwentarzem. Kupować od drugiego nie mogłem, gdyż te grunta nie zlegalizowane. A teraz groźna sprawa, albo się wynosić, albo się okupić, na takiego „koronela", w całej Paranie prawa nie było, uszedł z Rio Grande do S. jako zbrodniarz polityczny, mając za sobą kilka procesów, a tu w Paranie wszystkie towarzystwa popierali go, a gdy jakie krzywdy wyrządzał, nicht prawa na niego nie znalazł, ale wtenczas kiedy on się tu do Parany ukazał, to go nicht nie znał, dla ludzi czynił się świętym, niby bardzo sprawiedliwym, dla ciemnych kaboklów, zawsze miał przy sobie kilku negrów uzbrojonych w winczestry, to była jego zasada żeby wszyscy jemu się kłaniali, urzędniki go lubieli, bo on był ich narzędziem, oni po biurach a on po okolicach ściągał z ludzi co jeno się dało, niby sprawdzał, sprzedawał potem groźbą odbierał i drugi raz sprzedawał, tym sposobem wyprawiał wielkie oszustwa popierany przez miejscowy urząd. Na jego przybycie nicht go nie znał, to też on delikatnie z ludźmi się obchodził, na propozycję jaką nam zrobił uważalim że ma słuszność i że grunta będą sprawdzone i każdy sobie kupi ile będzie mógł po mału będzie się ratami wypłacać, więc ja dałem zadatek 500 milrejsów co uczyni pomoc do zlegitymowania gruntów, on mi dał pokwitowanie i zgodzilim 500 hektarów, w niedługim czasie sprowadził inżynierów poodmierzał nam zgodzone grunta, wtenczas się wzięlim do roboty na dobre, pobudowalim nowy dom i wszelka praca szła wesoło, ale jak ludzie mówią że djabeł nie śpi to też pociągło więcej jak rok sprawdzanie tych gruntów. My nie moglim wiedzieć jak nasz pułkownik Fabricio w tych sprawach się paprał, on ziemię niby sprawdził no i zaraz zahipotekował ze wszystkimi mieszkańcami, nawet z temi co jemu prawo dali a nasze grunta co nam poodmierzał, zaprzedał dla pułkownika Martinsa, polityka miejscowego, czyli powiatowego bo to jest powiat Sao Matheus. Dopiero po roku donieśli nam że nasza jak i drugich sprawa jest całkowicie zaprzedana, ale pan Fabricio nie mieszkał w naszej okolicy, w ten sposób jak jemu szli setki i tysiące mógł zawsze jeździć po wielkich miastach i hulać ze swojemi kolegami i trwonić pracę

narodu. Na miejscu ostawił agenta sekretnego pułk. Martinsa, ten się nie wydawał jako wspólnik bandyty on to długo ukrywał, czaił się, nie przyznawał się żeby ludzie nie mówili że on jest do pomocy Fabryciowi, oszustowi, przed którym cała Parana się trzęsła, gdzie on ino się ukazał to była wielka nowina dla ludzi, wszystkie tchórze się jemu kłaniali, więc jak mój grunt już był zaprzedany dla Martinsa, rok później on mnie zawołał do siebie, dopiero mi przedstawił papiery jako on posiadający grunt na którym ja zamieszkuje nieprawnie, więc powiada mi żebym się odpisał od interesu Fabricia (czyt. Fabrisja) a on mi zrobi sprawiedliwą sprzedaż, ja jemu powiedziałem że w każdej chwili się jemu odpiszę jeżeli mi spłaci moją własną pracę, piętnaście lat gospodarki na tej miejscowości, że pan jako urzędnik jesteś moim świadkiem, jako jestem zdradzony.

Czasy mijają, a pan Fabricio nie przestaje żądać od nas odpisu i w tem jeszcze grożąc. Ale doczekalim się chwili szczęścia, kiedy nasza Polska powstała na nowo wtenczas przybył do Kurytyby pierwszy konsul Polski naszej ukochanej starej ojczyzny, pan Kazimierz Głuchowski, zaczął zwiedzać najgłówniejsze kolonje, był w Rio Claro skąd z całą gromadą kolonistów przybył na Vera Guarany, tu placówka urzędowa ładnie go przyjęła, tu miał do kolonistów ładną przemowę, nawoływał naród do jedności, ucieszył kolonistów i podniósł na duchu. To właśnie nas ucieszyło, nam odwagi dodawało że mamy komu się użalić, jako ojcu swemu w przykrą godzinę. Jaka groźna nasza sprawa.

Pewnego dnia mój brat i szwagier będąc na Barra Feia, gdzie zamieszkuje pułkownik Martins, wtenczas znajdował się tam też i pułkownik Fabricio wypowiedział do brata i szwagra że jeżeli nie damy odpisu powiada, mam dwunastu chłopów i dwanaście karabinów, których poszlę na was. Brat i szwagier przyjechali do domu, przyszli do mnie i zaczęli mi opowiadać że Fabricio nam grozi karabinami, zapytałem czy nie było tam ludzi, oni mówią że wypowiedział się publicznie, dobrze świadki są a gdy będzie potrzeba to żaden nie będzie chciał świadczyć przeciwko takiemu wojewodzie, jest to prawdziwe tchórzostwo prawda że on ma swoich wagabundów na wszystko im nie trudno, nawet przyczatować za drzewem. On bez żadnych kosztów by chciał żeby od strachu uciekali,

a kto tak ucieka takiemu w kobyli łeb dzwonią. W każdym wypadku pojadę do Kurytyby i od szefa policji zażądam zabezpieczenia życia. Będąc w Kurytybie opowiedziałem całą sprawę konsulowi, co i jak sprawa stoi, konsul powiada że tych sprawców, tych oszustów dobrze się tu zna, niech panowie się nie boją, ja przedstawię tą sprawę szefowi policyjnemu także i urzędowi, oni o tem wszystkiem bardzo dobrze wiedzą, my tu wszystko załatwimy. Tu znowu dobrzy ludzie zaczęli nam podstawiać adwokata. Pułkowniki już nam wytoczyli proces, bo prędko zrozumieli że Polak nie będzie uciekał od karabinów. Musielim i my się podać na adwokata nas sześciu, mój brat, szwagier, dwóch Niemców brazylskich i jedna wdowa Brazyljanka, telegraficznie przywołalim adwokata nazwiskiem Napoleao Lopes, jest to adwokat, który zawsze był przeciwko zbrodniarzom, niby tak nam przedstawili. Adwokat przyjechał, zdalim mu prokuracje u notarjusza w Uniao da Victoria, dając jemu 800 $ 000 milrejsów do rozpoczęcia procesu, był to polityk z opozycji. Wydawał na własną rękę małe pisemko „O momento" w którem ostro krytykował urząd parański, wszystkie oszustwa jakie wówczas miały miejsce on wyjawiał w swojem pisemku, nawet przyszło do wielkiego starcia, chcieli go aresztować, nawet go procesowali, ale on we wszystkiem dawał sobie radę, uciekł do Sao Paula i tam jeszcze więcej pisywał do nas jako swoich klientów, przysyłał nam swój „moment" za darmo żeby propagować. Naszych pułkowników ostro przystawiał na szerokim świecie, wzywał sąd żeby uważał na biedny naród, który jest gnębiony, wyrzucany z domów przez łotry i fałszywe sądy. Ładne artykuły pokrzywdzeni czytywali. A co dalej? Na pierwszy sąd zostalim powołani ale nasz adwokat nam powiedział, że my nie potrzebujem się stawić, że on jako nasz prokurator, przedstawi całą sprawę przed sędziego, bylim powołani dwa razy nie stawilim się. Ale zaczęły dochodzić nam niedobre pogłoski, że my jesteśmy zdradzeni przez adwokata, gdyż on nie przedstawił wcale naszej sprawy w sądzie i powołali nas na trzeci sąd, ostatni wyrok, stawiłem się w sądzie, sędzia nam powiada że nie stawilim się przez dwa razy przed sądem, ani prokurator, więc straciliście proces. Znał sędzia bardzo dobrze całą tą szajkę, bo on sam był należący do tej bandy, wydał nam wyrok, złożycie siedem tysięcy kaucji, macie osiem dni do apelacji, no dobrze, ale gdzie szukać człowie-

ka sprawiedliwości? Sprawa nasza skończona. Pojechałem do Kurytyby do konsula naszego żeby dowiedzieć się jak stoi nasza sprawa, gdyż tak nas zapewnił. Konsul mi powiedział że już zapóźno, i tak nasi Polacy nawoływali, tak krzyczeli wzywając do jedności do poratowania brat brata, adwokaci tak samo krzyczeli na całe gardła, a później wszyscy się sprzedali za judaszowskie srebrniki..... Pan pułk. Martins wygrał proces, został właścicielem mojej gospodarki, razu zawołał mnie na barafeję niby na sąd. Wyznacza termin dla mnie 25 dni, gdyż mówi jestem właścicielem potrzebuję zarządzać swoją własnością. Mój przeciwnik był samotnym, gdyż podczas rewolucji pułk. Fabricio przywłaszczył sobie jego żonę, a Martins za to otrzymał nasze grunta. No i tak zaczął do mnie niby się użalać, że on wcale nie wiedział że moja gospodarka przypadnie dla niego, czyniąc się niewinnym, ukryty w baranią skórę kryjąc pazury. Moja nadzieja stracona. Powiedziałem, pan przywłaszczyłeś sobie chleb ciężko zapracowany, tu chleb bardzo słodki był dla moich dzieci, ale dla pana kiedyś może się stać bardzo gorzkim i dowidzenia zabrałem się. Pan Jan Domański, jako adwokat moich przeciwników, z rana zaprosił mnie do swojego domu, dał mi dobre śniadanie, zaczął mnie przepraszać że on nic winien nic z tego w tej sprawie, że on żyje tym chlebem że on pracuje temu kto go poszukuje, zrobił mi propozycję żebym szedł mieszkać na jego ziemię, ja jemu podziękowałem mówiąc że nie gardzę kawałkiem chleba, kto mi życzy z szczerego serca, a tymczasem nie będę uprawiał czyichś gruntów, gdyż jestem szczęśliwym i czuję się jeszcze zdrowym na duchu, chociaż przeszedłem już rozmaite klęski. Poboczni obywatele żałują się, że tak fałszywie urzędniki postąpili, nie chcą ażebym się zabierał opodal, dają mi ziemię do pomieszkania jako też i do plantacji. Ja wszystkim podziękowałem, powiedziałem że nie chcę być w tym municipium, czyli powiecie, kiedyś może nadejść chwila niedowytrzymania, a człowiek może stracić głowę i może narazić swoich, więc lepiej wycofać się opodal, prędzej się zapomni o tych grzmotach. Wybrałem się w drogę do wyszukania miejsca, zostawiając żonę i dzieci w domu, jakby nigdy nic. Całe okolice są mi znane, przyjechałem do miasta Uniao da Victoria, te strony znam dokładnie jeszcze z lat emigracyjnych i ludzie są mi znane, tylko oni już mnie nie znają, bo wtedy ja byłem małoletnim, ale dla

mnie nic nie zapomniane, no i trafiło się w pobliżu miasta kupić gospodarkę od Wawrzona Antoniszyn też zaemigrowanego z Galicji z zabudowaniami i 25 hektarów ziemi. Antoniszyn miał drugi i większy grunt, tymczasem zgodzilim się że on w tym domu może mieszkać, dopóki nie sprowadzę swej rodziny, a potem też możemy być razem aż pobuduję sobie chałupę. Powróciłem do rodziny, powiedziałem do żony że pójdziemy na nowe życie, że mamy gospodarkę przy mieście stąd dziewięć mil drogi, niedycht dzień podróży konno i powiedziałem jak i co może sprzedać i jak się zarządzić, dla nas nie jest gwałt, niech się straszą tchórze, bo też bezustanku straszyli. Było to w roku 1920 w kwietniu, musiałem powrócić na nową gospodarkę by szykować pole do zasiewów pola i pszenicy. Za trzy tygodnie powróciłem do rodziny, sprowadziłem ze sobą parę ludzi do przeprowadzenia bydła i koni i z rodziną odbyć nową emigrację, najstarszy synek w jedenastym roku. Chałupę rozebrałem, drzewo kantowe sprzedałem na miejscu, a resztę powoziłem do rzeki Iguassu i parowcem się sprowadziło do Uniao da Victoria, skąd powoziłem na nową gospodarkę. Tu my się czujem jakby na starej gospodarce, dla mojej rodziny wszystko obce, ale dla mnie wcale, tutaj ludzie wszyscy mi znani zdawna, tylko że miasto dużo powiększone. W tej naszej okolicy ludzie nigdy nie zgadzali się, zawsze mieli spirki, kłótnie, urządzali zabawy, bale zawsze kończyły się pełne nienawiści, wyprawiali pijatyki i strzelaniny, wcale się nie poważali, co niedzieli przychodzili do mnie zawsze mieli rozmaite zażalenia. Tu przy tym mieście zamieszkują rozmaite narodowości, Polacy, Niemcy, Włosi, Portugalczyki, Hiszpanie, Rusini i Brazyljanie, to też inspektor policyjny nigdy nie doszedł do ładu między taką mieszaniną. Nasza kolonja pod nazwą „Correntes", gdzie do dziś mieszkam ze swoją rodziną, tu był inspektor policyjny, ale ludzie go wcale nie poważali, naraz przedstawił mnie na posterunku policyjnym, ażeby delegat nadał nominację inspektora policyjnego w „Correntes" D., dostałem zawiadomienie żebym się stawił na godzinę, stawiłem się punktualnie, delegat wypytał, zbadał mnie i podpisuje mi nominację inspektora policji w gminie „Correntes", zacząłem tłumaczyć delegatowi że z niektórymi ludźmi to człowiek bierze na siebie tylko nienawiść i nic więcej, więc mu-

sowo było przyjąć na siebie ten ciężar, dla mnie mieszanina narodów nie robiła różnicy, gdyż ja z nimi zwyczajny już z Sao Paula, tyle mi robiło różnicy co i z rodakami, wszędzie są ludzie dobre i złe i tu między temi kozłami dało się radę, kto sobie zasłużył wysłało się za kratę. Za parę lat pracy ludzie przyszli do normalnego życia. Teraz się nie biją i nie kłócą, a chociaż sąsiady gdzieś trochę się poszturają to bardzo pocichutku żeby jeno inspektor się nie dowiedział. Mieszkam tu już 15 lat, zawsze lubiany przez ludzi jako też i przez urzędników.

Chcę przytoczyć parę słów o polepszeniu praw klasy roboczej. Po wojnie światowej robotniki zaczęli robić niby strajki, ale wtedy żadnego zorganizowania jeszcze nie było, to też robotników katowali na rozmaity sposób, nawet deportowali, ale to niedługo trwało, deportowanych musieli zwrócić, a gdy powrócili, robotniki im manifest urządzili i pozakładali związki robotnicze i syndykaty po całej Brazylji, po wszystkich posterunkach policyjnych znajdują się książki praw robotnika. Robotnik ma płacę podwyższoną i pracuje 8 godzin dziennie, dawno robił za 2 i ½ mila, dziś ma 7 milów.

Należy mi się spomnieć o moich panach pułkownikach, którzy zagarnęli moją własną pracę. W roku 1926 pułkownikowi Martinsowi dostała się za skórę kula rewolwerowa i złamało mu gnat, lekarz go opatrzył i jak już był na wygojeniu, ale chodził jeszcze o kuli, pewnego dnia schodził po schodach, jakoś tak niefortunnie się obalił że drugą nogę złamał, a za Fabriciem policja długi czas poszukiwała i aż napotkała go przy miasteczku Lapa pod Kurytybą i dali do niego ognia z karabinów, bo znajdował się ze swoją bandą, Fabriciowi niektórzy zginęli, drudzy się porozlatywali, a sam Fabricio został ranny i zabrany przez oddział policyjny i osadzony we więźniu w Lapie. Za jakiś czas przyprowadzili go do naszego miasta na posterunek policyjny, pewnego dnia miałem sprawę do załatwienia na posterunku, wstępuję i przywitałem delegata, spojrzałem w bok a tu za kratami siedzi pan Fabricio, czyta gazetę, powiedziałem mu „bom dia" znaczy dzień dobry, on podniósł głowę, spojrzał na mnie ale mnie nie poznał. Dopiero gdy zaczęlim rozmawiać z delegatem, a jemu aż gazeta wypadła z rąk, wstał i zaczął mi się przyglądać, wiedomo że mu się zrobiło niezdrowo jak usłyszał mój głos. Ale co robić, czas leci,

i czas wszystko przemienia. Za jakiś czas został wypuszczony na wolność a jego kolegów jakieś wiatry pozdmuchiwały, jakich on miał nawet po senatach. A dzisiaj musiał rąbać drzewo ażeby żyć i to bardzo biedno. Człowiek który setki wdów i sierot pracę przemarnował, setki i tysiące przehulał. W tym roku 1936 zmarł nędznie dawny wojewoda.

Dwie rewolucje zwyciężyły, powyrzucali dawnych prezydentów, poprawili konstytucję, dużo się w tym kraju polepszyło, nie ma różnicy narodowości. Teraz urząd buduje szkoły w najdalszych okolicach, nawołuje do oświaty, każe zakładać instytucje, dba o rozwój swego kraju. Wolność dla szkół prywatnych, gubernator Manoel Ribas popiera kolonje polskie.

Dwa lata temu dokupiłem więcej gruntu 87 hektarów. Ziemia pierwszej klasy, w odległości 15 kilometrów od Uniao da Victoria, zarządzamy na dwóch gospodarkach. Mamy dziewięcioro dzieci prawie dorosłych, a to dwóch synów starszych, a siedem dziewcząt, lecz dzieci jeszcze pod ojcowskim zarządem, wszyscy w zgodzie, lubimy czytać pisma, prenumeruję „Gazetę Polską w Brazylji" czasem kupujemy książki polskie i brazylijskie ale to dla nas jeszcze za mało.

Moi rodzice już dawno nie żyją, jeszcze przed wojną światową pomarli. Bym sobie życzył żeby kochani rodacy wiedzieli że ja tam za dalekim oceanem żyje. Bez czterdzieści lat żaden z nas do swoich nie pisał nie dając wiadomości czy źle czy dobrze. Nasze rodzice w tym kraju nie użyli dobra i nie poznali tego kraju brazylskiego. Jeszcze po dzisiaj po kolonjach są staruszki że zaledwie kaleczą mowę brazylską, ale my co bylim małoletnimi rodzonymi w Polsce to teraz nie mamy różnicy pomiędzy Brazyljanami bo rozumi się zwyczaj i prawa, lecz naturalnie nie wszyscy znali prawa, ale dla nas tutaj wszystko proste, wszystko otwarte, idzie się do urzędowego biura i każe się podać książkę, przejrzy się i w razie potrzeby jaką omyłkę naprawi się, bo oni tu nadzwyczaj robią różne omyłki, ale mało takich ludzi żeby rozumieli skąd pochodzą rozmaite sprzeczności. O 50 kilometrów od naszego miasta Uniao da Victoria jest duża kolonja Cruz Machado, — jest to kolonja polska. W tym roku odbyła się rocznica 25 lat założenia tej kolonji, urządzono wystawę rolniczą, na którą przybyli przedstawiciele władz stanowych, był i konsul polski, gubernator Manoel

Ribas się bardzo zainteresował kolonją polską, niektórzy otrzymali nagrody jak pługi, sieczkarnie i inne narzędzia rolnicze. Z tej kolonji do naszego miasta jest droga wozowa, ale podczas deszczów staje się nie do przebycia za to ja już wolałem zapłacić grunt drożej, w każdym razie można łatwiej sobie zaradzić, dziecko może iść do miasta raz na tydzień zrobić sprzedaż i kupno. W naszem miasteczku są dwa kościoły, w niedzielę idzie się na nabożeństwo, księża są franciszkanie.

Jak powyżej podałem ludzie są różnej narodowości, a polskich rodzin jest w naszej okolicy z górą 50 rodzin. Ja na swojej gospodarce mam młynek wodny dla swojej potrzeby bo woda jest, mam sad pomarańczowy jako też i innych drzewek dużo, uprawiam winnicę, każdego roku się robi kilka beczek wina, mamy też i staw z rybami, gatunek karpi. Ludzie nam znajomi w mieście przychodzą do nas na wycieczkę „pick-nick" (majówka).

Druga gospodarka odległa o 15 kilometrów od miasta — bo ja mieszkam bliżej, tam jest las dziewiczy, tygrysów nie ma ale zwierzyny nie brakuje są tapiry, dwa gatunki dzikich świń, jest w naszym lesie dwa gatunki dzikich indyków, są też i małpy, które kradną kukurydzę z pola, czasem i ze stodoły jeżeli niedobrze zamknięta, jest wiele innych zwierzaków, których to nazw nie wymieniam, nie mamy dużo czasu do polowania bo musim pracować, ale czasem zmówi się paru sąsiadów idą polować na świnie lub tapiry, zwane „auta", to stanowi dla nas rozrywkę.

Nasza Parana posiada klimat najzdrowszy, prawda że jest to kraj górzysty, za to są wszędzie wody zdrowe i ludzie mogą mieć swoje młyny wodne lub tartaki, tylko od strony Sao Paula są strony niezdrowe. W tamte strony zachodzą tylko ludzie, którzy tych stron nie znają. W tamtych okolicach są pola faliste i bardzo urodzajne, ale wody niezdrowe. Podczas posuchy powstaje epidemja, w naszych okolicach grunta są górzyste, ludzie są zdrowi. W naszem stanie są towarzystwa które się zajmują wyszukaniem dobrych terenów dla kolonistów już tutejszych, bo po starych kolonjach mieszkają nawet po trzy rodziny na jednej działce, to są już dzieci jako brazylskie, takie ludzie już nie boją się iść daleko w lasy, chociaż to nie jest tak wygodnie kilka dni podróży aż do miasta, ale niema innej rady gdyż wszyscy niemożliwie być przy miastach, naprzykład ja mam brata Franka, który mieszka w mu-

nicipium Palmas w lasach, w miejscowości Pato Brenco, niedaleko granicy Argentyny, on tam kupił 100 hektarów gruntu od urzędu, tam gospodarzy i obłaskawia tubylców, czyli Indjan z którymi on już zwyczajny i uczy ich pracować.

Moi kochani rodacy! To jest moje sprawozdanie mojego życia, czterdzieści lat tu w tym kraju, ja tu w tym skromnem pisemku podaję tylko co jest najważniejsze, bo jeżeli bym chciał opisać wszystkie okoliczności, to bym zrobił wielką książkę, ale to nie jest moją pracą pisywać książki, moja praca to są narzędzia rolnicze, ale pióro dla mnie to robota bardzo ciężka, rozmaite pisma to jest dla nas rzecz najciekawsza, przez pismo człowiek się dowiaduje co się w świecie dzieje i jak dalej ma postępować, pismo to jest całą naszą nauką, to jest naszą uciechą. Po ciężkiej pracy człowiek zajrzy w świeże pismo znajdzie coś ciekawego.

Jeszcze przytoczę tu parę słów do ukochanych rodaków ażeby nie łudzić wszystkich, jeżeli by kto chciał zaemigrować tu do Parany, to nie radzę rzemieślnikom, gdyż tu jest ich zadużo, a co do rolnictwa to jeszcze dużo gruntu jest do zakolonizowania, ale za gotówkę z rąk prywatnych bo nasz urząd niema gotówki do kolonizacji, ludzie nie powinni iść za byle pogłoskami, gdyż mogą się narazić na różne klęski. Możecie pisać do swoich rodaków tu zamieszkałych po dokładne informacje do wyszukania wam terenów możliwych dla Europejczyka, bo też ludzie przyjeżdżający z Europy zawsze się mylą na nieznanym gruncie, niektórzy płacą bardzo drogo za jałową ziemię. Tutaj rodzi się pszenica, żyto, owies, kukurydza i kartofle najrozmaitszych gatunków. Oto jest całkowite sprawozdanie mojego życia w Brazylji, na żądanie Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie. Na zakończenie dodam jeszcze że matka moja pochodziła z ojca Jana Mokrzyckiego z gubernji Wileńskiej, ja zamężny czyli żonaty z córką Wojciecha Przybyszewskiego, z gubernji Płockiej wieś Sierpiec.

„Żangada" nazwa naszej kolonji w brazylskim pisze się Jangada.

Dn. 19 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 14

Rolnik w Santa Catharina, syn strycharza z byłej Kongresówki, ur. w 1878 r.

Chcąc brać udział w konkursie „Pamiętnika Emigranta" będę starał się wyraźnie zobrazować koleje mojego życia od chwili opuszczenia Polski, do dnia dzisiejszego.

Urodziłem się w 1878 r. we wsi Wąsewo, pod zaborem moskiewskim. Ojciec mój był strycharzem, a matka zajmowała się gospodarką. Rodzina składała się z pięciu osób, miałem trzech braci i jedną siostrę. Warunki życia wówczas w Polsce pozostawiały dużo do życzenia. Bardzo ciężkie było życie chłopa, który musiał pracować jak niewolnik, zmuszony był stawić się na każde zawołanie swego pana. Ojciec mój nie posiadał wcale ziemi. Służył u dziedzica S. M. Zarabiał z ledwością na utrzymanie, tak, że dokuczała nam często skrajna nędza i głód. Z tego względu było nam bardzo ciężko żyć w kraju ojczystym. Gdy miałem lat 10, ojciec mój zamieszkał we wsi Liszewie w zaborze niemieckim. Chodziłem cztery lata do szkoły powszechnej niemieckiej. Uczyłem się wyłącznie po niemiecku, gdyż nauka języka ojczystego była całkowicie wykluczona. Za najmniejsze przekroczenie etykiety szkolnej, my, polskie dzieci, byliśmy bardzo dotkliwie karani. Ciężki mieliśmy żywot pod panem, lecz cięższe jeszcze prześladowanie zaborców.

Gdy Polacy zaczęli opuszczać rodzinny kraj i emigrować do innych, również i ojciec mój, aby polepszyć swój byt i zapewnić życie swoim dzieciom, t. zn. przyszłość, postanowił również opuścić kraj ojczysty, i wyruszyć w świat daleki, nieznany, na tułaczkę i niedolę.

Wyjechaliśmy w r. 1893 na koszt rządu brazylijskiego. Jechaliśmy przez niemiecki port Bremen. Jechaliśmy, całkowicie zdani na łaskę losu, nie wiedząc jakie nas czeka życie w Brazylji, gdzie osiądziemy, itp. W porcie Bremen zapanował w naszem gronie rodzinnym nieopisany smutek. Otóż władze niemieckie o tyle wrogie były Polakom, że nie pozwoliły na wyjazd memu najstarszemu bratu, który pomimo niepełnoletności musiał wrócić do kraju, aby wysłużyć w wojsku niemieckim. Jakiż to był dla nas cios, jakaż boleść rozdzierała serca nasze, gdy musieliśmy go pożegnać na zawsze. Chociaż później mógł był przyjechać do Brazylji, lecz los tak chciał, że pozostał w kraju. Przy pożegnaniu ojciec dał mu 50 marek pruskich, z 70 posiadanych, aby mógł się czem obronić w „czarnej godzinie".

Ja wyjechałem z Polski mając lat 15, lecz pamiętam ją doskonale. Ożeniłem się tu w Brazylji z córką emigranta polskiego, która również urodzona jest w Polsce. Ojciec mój w Polsce pracował w rzemiośle, lecz tu w Brazylji zajął się rolnictwem. Słyszał bowiem w kraju, że w Brazylji o ziemię nie trudno. Z Polski wyjechaliśmy z paszportem. Jechaliśmy w transporcie zbiorowym, złożonym z bardzo wielu rodzin polskich. Trudności poważne, przy przedostaniu się przez granicę, mieli Polacy z zaboru rosyjskiego. Panowie, właściwie dziedzice, posiadający majątki ziemskie, przepłacali naczelników na granicy, aby ci chłopów nie przepuszczali, pomimo pozwoleństwa ze strony rządu rosyjskiego. My mieliśmy szczęśliwy przejazd przez granicę, z wyjątkiem zatrzymania brata. Życie na okręcie było dosyć dobre. Ze względów zdrowotnych było gorzej, gdyż większa część chorowała. Przez ocean jechaliśmy 29 dni i nareszcie wylądowaliśmy na wyspie Kwiatów, koło Rio de Janeiro. Tutaj przebyliśmy trzy tygodnie w barakach. Teraz dopiero, gdy uczuliśmy obcy grunt pod nogami, szarpnęła nami tęsknota za ojczyzną, która chociaż wówczas wykreślona była z karty Europy, lecz żyła w naszych sercach, w naszej myśli i mowie. Małoletnim jeszcze byłem, lecz czuję jaki żal targał wówczas moją duszę.

Z wyspy Kwiatów przewieziono nas do Paranagua i w dalszym ciągu przyjechaliśmy koleją do Kurytyby, stolicy Parany. Tu pobyt nasz był krótki, bo trwający tylko sześć tygodni. Inni emigran-

ci, którzy przyjechali w pierwszej emigracji, musieli przebywać w barakach po roku i więcej, zanim byli wysłani na kolonje.

W ciągu tego czasu byliśmy utrzymywani przez rząd brazylijski. Początkowo nie mogliśmy przyzwyczaić się do czarnej fasoli brazylijskiej. Z Kurytyby ruszyliśmy, po zaopatrzeniu się w żywność, również na koszt rządu brazylijskiego do Rio Negro. Jechaliśmy trochę koleją, a potem spakowaliśmy rzeczy na duży wóz i wreszcie dojechaliśmy do celu. Tu przebyliśmy trzy miesiące, również na koszt rządu. Ze strony rządu brazylijskiego nie mieliśmy najmniejszej krzywdy, lecz byliśmy oszukiwani przez samych rodaków, umiejących już władać językiem portugalskim. Dostawali się na naczelne miejsca i rząd brazylijski wyzyskiwali krzywdząc nas tem samem. Np. przy rozdawaniu żywności. Również dawał rząd emigrantom rolnikom wszystkie narzędzia potrzebne do karczowania lasów oraz broń. Słowem dawał rząd wszystko, począwszy od najmniejszej rzeczy kuchennej. Lecz my dostawaliśmy może zaledwie czwartą część, a reszta była defraudowana przez naszych ziomków, protektorów emigrantów wówczas. Tak przedstawiała się administracja pod kierunkiem protektorów, tłumaczów Polaków. Później przy osiedlaniu na roli rząd dawał fundusz, aby na każdym szakrze (10 alkierów) należącym np. do jednej rodziny emigrantów, był wybudowany dom o rozmiarach 5 — 6 m. Lecz i tu tłumacze wyzyskali rząd, a mianowicie postawili domy na tych szakrach, które były gruntem do mającej być drogi, pozostawiając tylne szakry dla kolonistów.

Po opuszczeniu Rio Negro (miasteczko na granicy między stanami św. Katarzyny i Parany) zostaliśmy przewiezieni 60 km. wgłąb dziewiczych lasów santakataryńskich. Po przybyciu do prowizorycznych baraków na kolonji Polonji (była tak później nazwana), musieliśmy czekać na wykończenie pomiarów ziemi. Dopiero gdy i to było skończone, żony i dzieci zostawały w barakach, a mężczyźni chodzili robić wyręby na swoich szakrach, aby móc własnym kosztem wybudować jakiś szałas. Smutna to była praca rąbać odwieczny bór, gdzie gnieździło się najróżnorodniejsze robactwo jadowite. Nam, emigrantom początkowo było bardzo ciężko. My tu nie zamieszkaliśmy w miastach, ani wsiach, ale zagnano nas do borów i dopiero my mieliśmy je karczować i zakładać wio-

ski. Jeżeli emigrant-rolnik dzisiaj przyjedzie, to ma dobre już warunki życia, bo są już dogodne drogi wozowe (chociaż nie takie jak w Polsce), dobre rynki zbytu na produkta rolne. Lecz w początkach, gdy były tylko ścieżki w lasach, t. zw. „pikady", a do miasta trzeba było iść cztery dni, nie mieliśmy ani koni, ani wozów, dźwigaliśmy wszystko na plecach i przynosiliśmy również wszystko na plecach. Do szałasów później gotowych na szakrach sprowadzali ojcowie swe żony i dzieci. Gdy już początkowa „gospodarka" była urządzona, przystąpiliśmy do karczowania lasów, aby móc sadzić kukurydzę i fiżon, a żyto mogliśmy siać dopiero na przyszły rok. Po obsadzeniu pewnego obszaru, mężczyźni zostawiali swe żony i udawali się za zarobkiem. Była praca na linji kolejowej Rio-Negro — Lapa i tu przez długi czas pracowaliśmy, dopóki nie nadszedł czas sprzątania tego, co było posadzone. Jednak największe niebezpieczeństwo, z jakim się tu spotkaliśmy, o którym wcale nie wiedzieliśmy absolutnie, byli Indjanie. Mieszkali oni w lasach i gdy mężczyźni byli przy pracy na kolejach, często gęsto napadali na rodziny mordując je. W ten sposób wyginęła całkowicie rodzina emigrantów Przybylskich. Gdy się wieść o tych morderstwach rozeszła, zapanował paniczny strach, gdyż mężczyźni byli na robocie, a rodziny same bez opieki w domu. Emigranci, którzy jeszcze nie osiedlili się na przeznaczonych działkach, uciekali tam, gdzie było bardziej zaludnione i wolne od dzikich ludzi okolice. Pewnego razu Indjanie zabili odrazu 18 mężczyzn, gdy ci, bez żadnych broni palnych, tylko z siekierami, byli zajęci przy rąbaniu lasów. Zostali otoczeni i poprzeszywani strzałami. Takie były tu stosunki, strzec się trzeba było zawsze przed Indjanami, nigdy nie byli pewni życia. Emigrant polski opuścił swój kraj rodzinny, gdzie inni sobie wygodnie żyli i rządzili, a musiał pracować w pocie czoła na gościnnej ziemi brazylijskiej. My podłożyliśmy naszą krwią i pracą podwaliny pod mocarstwowość przybranej ojczyzny, przynosząc tem samem chwałę imieniu polskiemu. Chociaż do pewnego czasu byliśmy lżeni przez obcych, jako np. „Polaco san bandeira" (Polak bez sztandaru), itp. bezczelność. Lecz dzisiaj, gdy Brazyljanie częściowo już zrozumieli, jaką rolę odegrał emigrant polski w Brazylji, potwarze te zanikają. Jako najstarszy, tu, w rodzinie, mając lat 17 udawałem się już sam na zarobki. Chociaż miałem utrzymanie w domu rodziców, ale mu-

siałem się za młodu hartować, aby umieć pokonać wszelkie trudności w życiu przyszłem. Za trzy lata po naszym przyjeździe przyjechali emigranci z Galicji na Polonję. Nadmiar robotników przy pracach pozadomowych był wielki. Zarabialiśmy tylko 2$500 i z tego musieliśmy żyć. Przy pracy na kolejach nie było deszczu, zimna i świąt, ale wciąż trzeba było pracować i stać jak żołnierz na posterunku. Pracowałem z przerwami dwa lata przy kompanji francuskiej. Gdy robotnik chciał jechać na pewien czas do domu, musiał w swoje miejsce zostawić drugiego.

Porzucając pracę na kolei, wróciłem do swojej kolonji, która otrzymała nazwę Lucena-Itaiopolis, i ożeniłem się chcąc osiąść na roli. Po dłuższym czasie, nie mając własnego kawałka ziemi, zmuszony zostałem wraz z żoną puścić się na nową tułaczkę i poszedłem powtórnie do pracy na kolej. Pracowałem trzy lata tylko na kolei, zarabiając jednakowo. W tym samym czasie, zjawił się pewien obywatel Polak, nazwiskiem Kurcjusz, który zaczął dopiero co przybyłych emigrantów namawiać do udania się do Kanady. Bardzo wielu posprzedawało swoje posiadłości i wyjechali, wielu zaś zmarnowali swój grosz przed wyjazdem i zmuszeni zostali pracować u innych za komorników. Właśnie w tym czasie, gdy panowała owa gorączka kanadyjska, skorzystałem z okazji i za zaoszczędzone pieniądze kupiłem sobie kawał ziemi wraz z zabudowaniem. Osiadłem więc na roli. Nabyłem ogółem 10 alkierów ziemi uprawnej. Dla inwentarza nabyłem kawał „kaivy", czyli pastwiska, które trzeba było grodzić, aby móc chować inwentarz. Pracowałem w gruncie bez przerwy trzy lata. Lecz produkta rolne w owym czasie marnie płaciły i nie można było zaoszczędzić grosza, aby powiększyć gospodarstwo. Więc po obsadzeniu i zasiewie udałem się do pracy na kolej. Praca tu była tylko dorywcza, bo gdy nadszedł czas, trzeba było wracać na sprzęt do domu. Pracowałem z moim bratem przy wyrębie w ciągu ośmiu dni zarabiając 5$000. Dziewiątego dnia został zdradziecko zamordowany przez Indjan, gdy śpieszył do pracy. Zasypali go strzałami z okopów. Straciłem najmłodszego brata, Michała. Został koleją przewieziony i pochowany w Porto-Uniao. Praca czołowa ustała. Kilkudziesięciu zebrało się, aby iść w pościg za Indjanami, lecz rząd brazylijski, pomimo próśb, nie pozwolił niszczyć tubylców. Gdy gorączka polowania Indjan uspokoiła się, zaczęliśmy znowu pracować. Ciężko pracowa-

liśmy, mianowicie wyczyszczaliśmy las pod przyszły tor kolejowy. Trzeba było drzewa o metrze średnicy przecinać siekierą, gdyż piłami uznawano, że praca idzie znojniej. Po skończonej pracy wróciłem na kilka miesięcy, aby pracować w gruncie. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłem jeszcze 10 alkierów ziemi. Po pewnym czasie zaangażowałem się do pracy przy kompanji amerykańskiej. Zaszłem o miesiąc zawczas i aby nie wracać do domu, pracowałem na kolei. Przy pracy w kompanji miałem pod moim dozorem 16 robotników. Pracowaliśmy nad ciosaniem i ręcznym rżnięciem desek na nowobudowany tartak. Zarabiałem dobrze i po 11 miesiącach pracy wróciłem na kolonję i dokupiłem jeszcze 15 alkierów ziemi. Mieszkałem jeszcze jakiś czas w kolonji Paraguassu. Miałem za mało ziemi, aby zapewnić przyszłość dzieciom, więc sprzedałem ziemię i wyruszyłem jeszcze o 70 km. dalej w okolice Rio Nowo (Nowa Rzeka). Mamy dziewięcioro dzieci: Piotr, Zygfryd, Józef, Teodor, Marjanna, Józefa, Regina, Teodora i Jadwiga. Nabyłem sto alkierów ziemi od kilku kabokli. Ziemię tę musiałem niedługo opłacać, bo rząd brazylijski bardzo nalegał. Rozchody były wielkie. Trzeba było najemnikami oczyszczać herwę, aby z niej mieć dochód. Herwa-mate, t. j. herbata brazylijska. Trzeba grodzić około 2.500 m. płotu i wszystko trzeba było nosić na plecach i słupy i długie t. zw. „raszągi", czyli długie trzymetrowe okrągłe sztachety, położone na leżąco. Początkowo mieszkałem w kaboklerskiej „ranszy", czyli, starej dziurawej budzie. Po wybudowaniu nowego domu, nie bardzo jednak wygodnego, sprowadziłem się z rodziną. Jechaliśmy cztery dni. Przyszły pomiary ziemi przez koncesjonarjuszów, którzy zmuszali ludzi, aby brali ziemię od nich, a nie od rządu. Chcieli oni bowiem dobrze zarobić. Mnie przepis ziemi kosztował 10:000 $ od 100 alk. Właśnie uparłem się i niedopuściłem ich, a nawet za sprawą swoją i innych byłem u polskiego konsula w Kurytybie p. Kaz. Głuchowskiego, aby wstawił się za Polakami. Jednak nie straciłem podróży, gdyż sprawy się polepszyły. Dla opłacenia przepisu musiałem zaciągać procentową pożyczkę i z tego względu jest mi ciężko, gdyż produkta nasze źle płacą. Warunki mieszkaniowe są na ogół dobre. Różnicą ważną jest klimat. Łagodny, na południu niemalaryczny. Praca jest cięższa niż w Polsce, bo trzeba było początkowo pracować na inwentarz, a nie inwentarzem. W kraju pracowałem dla pana, a tu

ja nim jestem sam sobie. Dzieci moje, jako młodsze pokolenie, mniej spracowane, są zdrowe. Ja już zniszczony jestem kilkudziesięcioletnią pracą, zdrowie moje jest bardzo nadwyrężone. W Brazylji życie jest możliwe. Można utrzymywać dużo inwentarza żywego, można dużo sadzić i siać. Jest pozatem herwa-mata. Ceny jednak czasem są małe, ale znośne. Drogi możliwe udogadniają komunikację. Do miasta „municypalnego", czyli powiatowego jest 55 km. i tu właśnie sprzedajemy produkta.

Stosunek do otoczenia jest dobry tak z Polakami jak i Brazyljanami. Władze brazylijskie odnoszą się do nas zawsze życzliwie. Mamy w naszej kolonji polskie Tow. Ośw. im. Tadeusza Kościuszki, organizację młodzieży „Junak 76" z centralą t. j. Naczelną Radą Junacką w Kurytybie oraz Młodego Junaka, organizacja dzieci w które się wpaja ideologję junacką. Rząd powiatowy daje nam zapomogę miesięczną, a od Centralnego Związku Polaków (C. Z. P.) otrzymaliśmy tylko jednorazową pomoc. Dochody liczne czerpię z produktów rolnych, z herbaty, a poza tem zajmuję się pasieką. Dzieci moje starsze umieją czytać, a młodsze nie, dlatego, że sprowadziłem się jeszcze głębiej w lasy, t. zn. w Rio Novo, gdzie żadnej szkoły nie było. Księży mamy franciszkanów, jeżeli dobrzy dla Polaków, to i my również się odwdzięczamy. Stosunek do nauczyciela również jest dobry, dlatego, że powinniśmy my w Brazylji dbać o wykształcenie naszych dzieci, dlatego żeby nie były ciemnemi. Należymy do kościoła św. Stanisława w Rio Novo. Wyznania nie zmieniliśmy i ani nie mamy zamiaru zmieniać, i jesteśmy katolikami.

Z pobytu na obczyźnie musimy być zadowoleni, dlatego że choćbyśmy chcieli nie możemy do Polski wrócić. Lecz o ojczyźnie naszej zawsze pamiętamy i cieszy nas to bardzo, że Polska takie czyni postępy, jesteśmy z tego dumni. Ja nie przyjmowałem obywatelstwa brazylijskiego i nawet o takowe się nie starałem. Z tej miejscowości żaden kolonista nie wyjechał do kraju. Pism i gazet z Polski nie sprowadzamy, bo nie jesteśmy w stanie. Zdaniem mojem należałoby z Polski przysyłać książki dla bibljotek po kolonjach, aby to młode pokolenie poznało wielką potęgę Polski i jej dzieje, aby nie zapomniało o tradycjach naszego narodu. Po kolonjach w Brazylji jest mało bibljotek, nawet w naszej szkole jest tylko kilka książek. Zapomóg materjalnych od polskich organiza-

cyj społecznych nie otrzymujemy, tylko odwiedzają nasze szkoły instruktorzy oświatowi, którzy dają nam pomoc i krzepią nas duchowo.

Dn. 20 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 15

Nauczyciel w Santa Catharina, syn gospodarza rolnego z Radomskiego, ur. w 1891 r.

Bogu dzięki żyję z rodziną w Brazylji już siedem lat. Jestem rolnikiem z zawodu, ale na roli pracuję tylko dorywczo. Zostałem narazie nauczycielem i uczę już cztery lata na polskiej kolonji. Dlaczego znalazłem się w Brazylji, do której miałem jak najgorsze usposobienie? Ano! przygnał mię tu, jak i tysiące polskich wychodźców los.

Ażeby dać czytelnikom zupełniejszy szkic swej doli, skreślę parę słów z moich lat młodych. Jestem synem małorolnego gospodarza. Ojciec mój posiadał tylko 10 mórg gruntu w ziemi Radomskiej, wsi Kroczów, leżącej nad Iłżanką, dopływem Wisły. Zostawszy na ojcowiźnie, ojciec obarczony był spłatą, a więc w domu zapamiętałem od dzieciństwa rygor oszczędności najskrupulatniejszej. Sześcioro nas było w domu. Cztery siostry i dwóch braci. Ojciec, żeniąc się, nie umiał czytać. Sztuki tej nauczyła go matka, która czytając, trudniejsze wyrazy musiała przesylabizować. Bardzo prędko ojciec matkę w czytaniu prześcignął, a pisać to już się sam nauczył. Rodzice byli religijni, a bodźcem do książek był kościół. Nabożeństwa kościelne, pieśni religijne zajmowały serca i umysły wieśniaków ówczesnych, żyjących w czasach niewoli zaborczej.

Dwie starsze siostry ojciec sam nauczył w domu pisać i czytać. Przychodziły na naukę i dzieci sąsiadów. Obstąpiły naokoło nieduży stół i uczyły się z elementarzy za 10 groszy i książek od nabożeństwa. Ja, pędrak pięcioletni, sięgający zębami do krawę-

dzi stołu, byłem zawsze wypychany łokciami w tył ze swej dziury. Nigdy mi się dzieciaki nie dały napatrzeć aniołowi, bocianowi i innym obrazkom. No, trudno! przecież swojego elementarza nie miałem, ale bawić się z młodszym bratem ani myślałem, kiedy nauka się rozpoczynała. Z za pleców, wciskając nos w odpowiednią szparę, poznałem już czarne znaki, nie zdając sobie dobrze sprawy do czego one potrzebne. Potem przyszło gorzej, bo niektóre dzieciaki płakały czasem, nie mogąc jakoś sylabizować. Żal mi ich było. Trudne to jakieś było do pojęcia to sylabizowanie.

Ja chociaż starałem się nie uronić nic z ust uczącego i tych co już trochę umieli, nic nie mogłem pojąć. Aż pewnej chwili wszystko zrozumiałem. Ciekawiło mię bardzo, gdy któreś czego nie wiedziało. Chciałem ja to zobaczyć jak najprędzej, nim się dzieciak zapyta umiejącego, by się przekonać, czy rzeczywiście tak będzie, jak ja to rozumiem. Później, pewny swego, zawsze stawałem z pomocą któremuś z zakłopotanych. Nie wierzono mi z początku, aż niedługo jedna z moich sióstr odzywa się: „Mamo! nasz Stasiek już umie pisać i czytać". No i czytałem, nie umiejąc sylabizować. Gminną szkółkę skończyłem, mając lat 12. Potem dwa lata pracowałem w domu, pomagając rodzicom. Było się i we dworze na zarobku kilkanaście dni w roku.

Od 14-go roku poszedłem na kursy nauczycieli ludowych do pobliskiego dwora — Sycyny. Pani Cz., właścicielka Sycyny, urządzała takie kursy co jesień przez sześć tygodni, po których na zimę rozchodziliśmy się po wsiach uczyć dzieci. Ta nasza robota była tajną, a pochodziła ze źródła Macierzy Szkolnej.

Po trzech latach pracy, pani Cz. przekonała się, że posiadam zdolności pedagogiczne. Myślała pani Cz., czyby nie dało się skierować mnie do seminarjum nauczycielskiego w Warszawie, prywatnego, co przedłożyła ojcu. Ten, po pewnym namyśle, zgodził się na to, obiecując na mnie pożyczyć pieniędzy w kasie gminnej. Córka pani Cz., panna Wanda, przysposobiła mnie do seminarjum. Nie przeznaczone mi było ukończyć takowego, gdyż zaraz na wstępie zachorowałem ciężko na tyfus. Przeszło dwa miesiące chorowałem, leżąc w szpitalu Dz. Jezus. Po chorobie nie mogłem się uczyć. Pojechałem do domu. Mogłem wstąpić na drugi rok bez składania egzaminu, ale Warszawa mi nie zaimponowała. Pewnie dlatego, że będąc chorym, potrzebowałem opieki, którą, najczul-

szą znalazłem w domu rodzinnym. Odrodzony na duchu, przylgnąłem całem sercem do rodziny, do swoich, ucząc w zimie dzieci, a w lecie pracując na roli, lub na zarobku, za który obrałem sobie miejscowy młyn. Ogółem zajmowałem się uczeniem dzieci zimową porą przez osiem zim. W międzyczasie uczęszczałem na miesięczny kurs rolniczy. W 1914 roku, na wiosnę wyjechaliśmy do Płockiego, gdzie ojciec nabył większy kawałek ziemi. Nie wszyscy, bo dwie starsze siostry, wyszedłszy zamąż pozostały w swoich stronach. Obie umarły przedwcześnie, niedożywszy lat 30.

Wojna zrujnowała nasz stan majątkowy doszczętnie prawie, pozostała ziemia tylko, więcej nic. Ja dostałem się do Niemiec, jako jeniec cywilny. Pokutowałem tam od 15 marca 1915 do Bożego Narodzenia w 1918. Jeden rok przejeździłem i przechodziłem prawie całe Niemcy na krzyż: z Bytomia na Pomorzu (6 mil od Gdańska) pojechałem do Saksonji. Stamtąd pieszo na wschód do Głogowa uciekałem. Było to w listopadzie, podczas mrozów i śniegów, co mnie po 16-tu dniach z sił wyczerpało. Nie złapano mnie. Zgłosiłem się na robotę do pewnego dworu pod Głogowem, skąd po dwu tygodniach, jako nie posiadającego papierów, żandarm aresztował. Kara trzy miesiące więzienia za ucieczkę ominęła mnie. Usprawiedliwiłem się tem, że zmuszony byłem uciekać z powodu choroby, podczas której pracodawca odmówił mi udzielenia żywności. W ciągu pierwszego roku byłem aż w trzech obozach niewolniczych i w trzech majątkach ziemskich na robocie. W rocznicę mojego pojmania wyjechałem do majątku Nieder Kunitz pod Lignicą, gdzie pracowałem do końca. W ostatnim roku na wiosnę, dostałem urlop i odwiedziłem rodzinę. Wiek swój najsilniejszy: lata 24-ty, 25-ty, 26 i 27-my, rok życia dałem Niemcom w pracy fizycznej, wykorzystywanej do joty. Zato z Niemiec przywiozłem żonę, wprawdzie nieślubną, bo żenić się bałem. Nigdy jakoś co do żeniaczki nie mogłem się zdecydować, chociaż jeszcze w Polsce nadarzały mi się ku temu dość świetne warunki.

Tam w Niemczech pracowaliśmy razem trzy lata, przeżyliśmy wspólnie dolę i niedolę. Było parę razy między nami i niedobrze. Ale wkońcu zbliżyliśmy się do siebie oboje bardziej. Nie chciałem już innej szukać. Napisałem po metryki jej i swoje. Przyszły. Sprawiła sobie suknię ślubną, welon, obrączki i wszystko co potrzeba za swoje pieniądze. Ale ja ubrania nie chciałem kupić. Za-

gadnęła mnie, czy mi czasem pieniędzy nie brak na ubranie, to ona dołoży. — Nie.

Odkładałem, bo myślałem, jak też rodzina na to. Przecież rodzice chcieli mnie ożenić dobrze, z posagiem, a tembardziej że w sąsiedniej wsi czekała na mnie gospodarska córka, z którą po wojnie miałem się żenić. No i nijak nie mogłem się zdecydować. Ta dobra i tamta może być. Wprawdzie tamta była kiedyś kochana, ale będąc na urlopie, nie zobaczyłem już tego co dawniej u niej. Ostygłem i co zrobić? Pozostawiłem to losowi. A nasze rzeczy, ubrania mieliśmy już razem we wspólnych koszach, bo ostatni rok żyliśmy prawie jak mąż z żoną. Zapytała mię, czy rozdzielić rzeczy. — Mogą być razem, boć jednym pociągiem jedziemy. Ona do Wilna, a ja do Mławy. W Olsztynie wypadało się rozłączyć. Zostawiła to mojej decyzji. Na wszystko się godziła. Był ostatni czas do rozwagi. Jakżeż ją zostawić?!! Moje sumienie na to nie chciało się zgodzić. — Jedziesz ze mną, jako żona, powiedziałem. Błysk zadowolenia ukazał się na jej twarzy, ale później dało się zauważyć kilkakrotnie niepokój, zamyślenie. Przeczuwała tak samo jak ja, co też rodzice powiedzą. W domu, jako dowód, ubranie ślubne, obrączki zaspokoiły niepewność wszystkich. Raz tylko ojciec domagał się aktu ślubnego, na co odpowiedziałem żem zapomniał o tem, że mi będzie potrzebny. Trafiła mi się zaraz posada nauczycielska w sąsiedniej wsi z pensją równą innym rządowym nauczycielom, bo jeszcze wówczas było dużo nauczycieli nie dostatecznie wykwalifikowanych w Polsce, ale jej nie przyjąłem, pragnąc wszędzie wyręczyć i zastąpić starego ojca, na którego w gospodarstwie czekało dużo pracy. Źle na tem wyszedłem, ale to taki miał być mój los.

Pracowałem wspólnie z rodziną, a kiedy najmłodsza siostra wyszła zamąż, ojciec rozdzielił gospodarstwo, dając każdemu swoją część, sam zaś z matką miał się żywić u każdego potrochu. Brat nie chciał pracować na roli. Jego część ojciec przeznaczył mnie i jednemu ze szwagrów z uiszczeniem ratami spłaty bratu. Gdyby jeszcze nie ta spłata, możeby się jako koniec z końcem wiązało co roku, bo ziemia nasza była bardzo licha, i w początkach gospodarowania na niej, po wojnie, nie dała nawet na utrzymanie domu. Miejscowość ta znajduje się w powiecie Ciechanowskim w północno-zachodnim jego krańcu, przylegającym do granicy ziemi

powiatu mławskiego. Do Mławy jest bliżej o połowę drogi niż do Ciechanowa, bo tylko 13 km. Piaski pstre z powodu różnej wielkości białych placów i placyków białego, chudego piasku, na którym nigdy nic nie rosło pomimo siania i orania. Nawożenie obfite obornikiem zaledwie dało liche żyto, a pod kartofle trzeba było wybrać najlepszy kawałek, i to z braku obornika niewiele można było wsadzić, tak, że prawie co rok człowiek zmuszony był tego powszedniego pożywienia dokupywać.

Powszechnie jest mniemanie, że im kto ma większy warsztat pracy, tem ma większy zysk, tymczasem na mojej ojcowiźnie obrót rzeczy poszedł wspak. Z większym kawałkiem ziemi, przybyło mi i białych placyków około trzech morgów. Gdyby nie załatywanie tych białych placów, gdyby nie spłata, na którą musiałem pożyczyć i potem do samego końca pożyczać i pożyczać, to możeby się i swoje kości zostawiło w Polsce. Ale lichwiarski procent którego zmuszony byłem płacić 10 od sta miesięcznie, zrujnował mię do reszty, i po dziesięciu latach mozolnej pracy i biedy, musiałem opuścić ziemię ojczystą. Po załataniu wszystkich białych placów na swej ziemi, po doprowadzeniu gospodarki rolnej do wydajności trzy razy większej, niż początkowo i po zadłużeniu się po uszy, spostrzegłem, że zguba nieunikniona mię czeka. Począłem ze skruchą badać swoje sumienie i dopatrywać się grzechu. Znalazłem. Ani kawałka drzewa ni torfu nie nabyłem ot tak, bez pieniędzy, jak to wielu robiło, podczas gdy mojego nasuszonego torfu brakowało całą furę. Albo tę gazetę lub kalendarze rolnicze co roku, kiedy inni doskonale się bez tego obywają, to znów na posiedzenia Rady Gminnej chodząc, kilkanaście dni roboczych w roku stracić, czy to sens na taką biedę, a nawozy sztuczne! może to niemi Bóg karze za chciwość. I tak po dokładnem roztrząśnięciu i zbadaniu sumienia, doszedłem do przekonania, że ja inaczej żyć nie potrafię. Przecież biegu rzeki nie można zatrzymać, nie można go też zawrócić w górę. Trudno! Człowiek ma jakieś wrodzone parcie iść, a nie stać, doświadczać i probować. No, aże traci i traci na tem, to w tym wypadku nic innego, tylko taki mój los.

Było to w zimie, z 1928 na 1929 rok, jakoś koło Bożego Narodzenia, kiedy wyczytałem w gazecie o kolonizacji Peru przez Polaków. Peru znałem z geografii, że jest to kraj górzysty, obfity

w złoto, o klimacie dość zdrowym. Artykuł mnie bardzo zaciekawił, szczególnie te wielkie obszary dla kolonji polskiej. Pół miljona hektarów pan Warchałowski, na jeden miljon ha Syndykat Lwowski dostał koncesję. Ojej! Ileż tam rodzin może się pomieścić.

Kto wie czyby i mnie biedaka tam nie wzięto, kiedy tu przychodzi mi na koniec. Ciekawość mnie coraz większa brała dowiedzieć się, jak z tą kolonizacją sprawa stoi, ale więcej nic nie spotkałem w gazecie. Gazeta Świąteczna była bardzo przeciwna emigracji, to wiedziałem o tem, ale że nie mogłem wytrzymać i napisałem o radę. Otrzymałem odpowiedź, tak jak się spodziewałem odmowną. Myślę sobie: Panie Redaktorze! gdybyś pan był w mojem położeniu, oj kręcił byś się pan, kto wie czy nie gorzej ode mnie. Swoją drogą nadzieja wyjazdu do Peru nie opuszczała mnie. Z wielkim zainteresowaniem słuchałem i czytałem coś z zagranicy. Musiałem o wszystko wypytać znajomego dziadka, który jeździł na maleńkim wózku, zaprzężonym w osiołka po prośbie. Przyjechał był z Brazylji na krótko przed wojną dla uregulowania sprawy majątkowej i kiedy zdobył pieniądze ze sprzedaży swojej własności, i szykował się w drogę powrotną do Brazylji, wojna wybuchła, a on biedak stracił swoje ruble w spadku waluty. Chwalił bardzo życie w Brazylji. To znów sąsiad miał brata w Brazylji w Rio Grande do Sul. Ten wyjechawszy chłopakiem ożenił się tam i dorobił się dość znacznego majątku. Na 75 ha gospodarząc, mógł utrzymać 40 i parę sztuk bydła, owiec przeszło 700, a miodu, świń! wszystkiego miał wbród, a za pieniądze, które najwięcej robił ze sprzedaży smalcu, kształcił synów. Jeden został doktorem, drugi inżynierem, a trzeci w szkołach uczy się na księdza. To mi gospodarz! Takie wiadomości przysłał wtenczas, gdy mnie zaświtało w głowie Peru. Spotkałem nawet jednego, który był w Espirito Santo w Brazylji, chwalił, że dobrze. Zrobił pieniądze ze sprzedaży drzewa na wypłatę ziemi, ale rozmyślił się i wkońcu za te pieniądze wrócił do Polski. O Peru nic się nie mogłem dowiedzieć, ale że to leży przy Brazylji, więc podobne nadzieje świtały mi w głowie.

Postanowiłem, o ile się dowiem o wyjeździe emigrantów do Peru, sprzedać swoją część bo ziemi nikt z nas nie miał odpisanej, a ojciec już był umarł parę lat temu. Na wiosnę starannie obsia-

łem pole i wyglądałem wiadomości ze świata. Niedoczekawszy się, w same żniwa sprzedałem swoją działkę i pojechałem do Warszawy dowiedzieć się, jak to tam jest z tem Peru.

Nic nie dało. Pan Warchałowski taki był pewny siebie i myślał, że jakie warunki postawi, takie każdy przyjmie. Nie mogłem zgodzić się na spółdzielczość w pracy i na dzielenie się potem zyskiem, co według mnie wyglądało na komunizm. Nie mogłem pojechać sam, zostawiając rodzinę w kraju i zobowiązać się, że po roku rodzinę sprowadzę. Pobudować samemu chałupę, kuchnię i jeszcze sto kilkadziesiąt dolarów za nie zapłacić. Nie podobały mi się pustki nad Ucayali na mapie i strasznie wielka odległość od stolicy. Wyjazd dopiero na drugi rok w marcu, bo od listopada do marca cały teren leży pod wodą co rok prawie. Jechać 54 dni wodą. Takie warunki i taka dziura, to na głupich. Ja się nie dam wziąć na wędkę — pomyślałem. Wyszedłem ze spuszczoną głową, bo zdało mi się, że już taki koniec będzie ze mną: wyzbycie się gospodarki i żyć z zarobku, bo po spłacie długu, nie da mi się kupić gospodarki drugiej. Ale dla wszystkiego skierowałem się jeszcze do Urzędu Emigracyjnego dowiedzieć się czegoś więcej. No, i jest... Brazylja. Trochę krzywo popatrzyłem, ale proszę warunki. Wszystko odpowiada mi, oprócz jednego: troje ludzi do pracy. Panienka biurowa wskazała mi adres Towarzystwa Kolonizacyjnego w Warszawie, gdzie mogę zasięgnąć kompletnych informacji. Przy wejściu do lokalu Tow. zastałem kilka interesantów. Zapisują się ochotni, wyrabiają papiery. Odjazd najbliższego transportu za miesiąc — 25 września (rocznica moich urodzin). Jadę do stanu Espirito Santo. Zgłaszam się, przedstawiam swój stan familijny. Ba! musi pan poszukać jednej osoby do pracy, bo tak konsulat brazylijski wymaga. No, co robić. Usiadłem na schodach i myślę. Nic innego nie będzie, tylko trzeba wziąć brata stryjecznego, który 25 września ma być zwolniony z wojska. Po załatwieniu interesantów, kiedy p. J. (tak się nazywał urzędnik Tow. Kol. w Warszawie) wyszedł z biura do sąsiedniego pokoju, byłem już przygotowany na powtórną rozmowę. No i dobrze! Ale w ciągu miesiąca miałem dostarczyć wszystkie papiery. Dobrze, że myśląc o wyjeździe zagranicę pomyślałem zawczasu, że mogę mieć różne kłopoty z papierami posiadając żonę nieślubną. A dzieci już było pięcioro. Więc zeszłej zimy, poprzednio porozumiewawszy

się z proboszczem, pojechaliśmy pewnego wieczora do kościoła na ślub.

Miałem dosyć i tak z tem wszystkiem krętaniny, bo po wyciąg z ksiąg ludności, trzeba było jechać do radomskiego, zrobić tam połączenie rodziny (familijne), bo figurowałem w księgach jako kawaler. Żona pochodzi rodem z Litwy, choć jest czystą Polką, gdzie wówczas nie dało posłać zaznaczenia o zamążpójściu z powodu zamknięcia granicy polsko-litewskiej Do wyjazdu jednakże to nie przeszkadzało. Paszport po dostarczeniu wszystkich papierów dostałem bezpłatny. Ze świadectwem moralności było trochę za krótko, bo to miało obejść dość daleko, gdzie tylko przebywałem i takowe miałem dostać z rąk policji, co wzięłoby trzy miesiące czasu. Poradziłem sobie w ten sposób, że poprosiłem księdza o podpisanie takowego z przyłożeniem pieczęci, co było wystarczające. Zanim to wszystko się pozbierało, to i miesiąc zeszedł. Ale brat stryjeczny pozostał w kraju. Jakoś to tam zrobiono.

Z wziętych za ziemię 8000 zł. pozostało mi, po uiszczeniu długów, niecałe 6000. Z tego jeszcze rozeszło się sporo na przyodziewek dla rodziny i rozchód na starania o papiery z rozjazdem, co przy obliczeniu reszty wynosiło około 5½ tys. Okręt za dwie osoby po 107 dolarów, troje dzieci po ½ biletu, jedno ¼ biletu, co po przeliczeniu na złote uczyniło około 4½ tysiąca. (Nie mogę dziś dać dokładnych cyfr, bo nie pamiętam dobrze ile złotych płaciło się wtenczas za dolara, coś osiem z groszami). Małe kilkumiesięczne dziecko nie policzono. Pozostało mi jeden tys. i parę set, z któremi wyjechałem z domu.

Z Warszawy wyjechaliśmy 28 września 1929 roku. Trzeciego dnia przyjechaliśmy koleją do Genui, portu włoskiego, gdzie po załatwieniu różnych podróżnych formalności wsiedliśmy na okręt „Duillo". Towarzystwo Kolonizacyjne w Warszawie nazbierało na ten transport aż 29 rodzin polskich, w czem znalazło się i trzy rodziny z Białorusi. Pozatem jechali Rumuni, Jugosławianie i dużo Włochów. Podróż okrętem była można powiedzieć bardzo dobra, tylko że nasza sala 3-ej klasy dla mężczyzn była na dole, gdzie było duszno, pomimo dwuch wentylatorów odświeżających powietrze, ale to nic, bo całymi dniami przebyło się prawie na pokładzie, a w nocy niekoniecznie musiało się spać na swoim łóżku, wybierało się miejsce chłodniejsze. Trzeciego dnia ja, jak

i wielu innych zachorowaliśmy na morską chorobę. Nie leżałem, ale odczuwałem dość znaczne nudności. Żona bardziej odczuwała tę chorobę, leżała trzy dni i prawie nic nie jadła. Ja po trzech dniach przyszedłem zupełnie do siebie. Przez te trzy dni wina nie wziąłem do ust, natomiast piwo, które trzeba było kupić, bardzo działało uzdrawiająco. Dalej jazda była wyśmienita. Jedzenia wbród, wina ile kto chciał wypić. Okręt Duillo należał do tych szybkich, bo po 11 dniach podróży, przybiliśmy do Rio de Janeiro, w dniu 14-go października. W Rio pozostaliśmy dziesięć dni na Wyspie Kwiatów. Tam jedenaście rodzin z naszego transportu odłączyło się, jadąc na południe, najwięcej do Rio Grande do Sul, Santa Cathariny, bo tam mieli znajomych i bali się Espirito Santo z powodu tamtejszego gorącego klimatu. I ja myślałem też odłączyć się i pojechać do Rio Grande do Sul, do brata mojego sąsiada, do którego nawet z Wyspy Kwiatów napisałem list, ale odpowiedzi tak prędko nie otrzymałem, a słyszałem, że tam są ziemie drogie: po 8 do 10 tysięcy za 1 lot czyli działkę 10 alkrową = 25 ha. Na to pieniędzy nie miałem, a żyć z zarobku, to już lepiej będzie pojechać tam, gdzie mam jechać i gdzie dostanę ziemi na spłatę.

O ile podróż na włoskim okręcie była można mówić wspaniała, o tyle jazda do Victorji, stolicy Espirito Santo, dała się we znaki. Z Victorji do Collatyny przeszło sześć godzin koleją. Collatyna — miasto municypalne (gmina), do której należała polska kolonja nowo zakładana Aguia Branca (Orzeł Biały). Z Collatyny samochodami zawieziono nas do osady indyjskiej, Aldiamento, liczącej, jak się okazało sześć osób łącznie z dziećmi Indjan, resztkę tubylczego szczepu. Poza nimi mieszka tam jeden fazender (właść. ziemski) utrzymujący tam sklep, do którego podobno rząd wysyłał żywność dla Indjan, bo sami z powodu choroby dziedzicznej nie mogą na życie zapracować. Odwiedziliśmy ich. Mieszkają za rzeką w trzech murowanych domach, pobudowanych kosztem rządu tutejszego. Doktór Bernard, który wyjechawszy z Warszawy z pierwszym transportem emigrantów, a obecnie wyjechał po nowy nasz transport do Aldiamento, zabronił nam ich odwiedzać, abyśmy się nie zarazili. Po jednodniowym odpoczynku pojechaliśmy na mułach prosto na swoją kolonję. Było tam trochę zgiełku przy wsiadaniu kobiet na muły, których nasze białogłowy się bały, i było czego, bo z nich żadna nawet na swoim dobrze znajo-

mym koniu nie jeździła nigdy, tak, że połowa bardziej bojaźliwych, zrezygnowała a wolała iść pieszo.

Potem jednakże zmęczywszy się, dosiadły tych długouszych wierzchowców, bo 52½ km. zatrudno było iść lasem. Całą tę drogę przejechaliśmy w ciągu dwóch dni. Dodać trzeba, że jedna rodzina dostała tylko jednego muła, na którym oprócz kobiety lub mężczyzny, siedziało jeszcze dwoje lub troje dzieci. O strachu, jakiego użyły kobiety z dziećmi, a nawet i my mężczyźni, nie byliśmy uprzedzeni. Jedyna droga przez las Aldiamento do kolonji polskiej, Aguia Branca, była rozcięta na szerokość czterech metrów, co na równinie wystarczało. Ale większa część drogi prowadziła przez zbocza gór wysokich niekiedy do 200 metrów i często tak stromych, że z jednej strony mieliśmy ścianę kilkumetrowej wysokości, a z drugiej przepaść, z której nie zobaczył, ani usłyszał, zarośniętego podszyciem leśnem szmeru strumyka, lub rzeki. Były chwile, że krew zastygała w żyłach, szczególnie kiedy odbił się objuczony muł o prostopadłą ścianę skały, a zwierzę zataczało się ku przepaści, jednak mądre te zwierzęta w takich razach skierowywały się tyłem ku przepaści i szagą*), bo nie mogły zmieścić się na poprzek, przechodziły te najgorsze miejsca. To znowu z góry, lub pod górę po głazach śliskich i olbrzymich ześlizgiwały się, albo podskakiwały, nie mogąc kamienia przekroczyć. Mijaliśmy i mosty takiej struktury, że zatrzymywało się muła, bo zdawało się niemożebnem przejście na drugą stronę, kiedy mimowoli popuściło się cugle zwierzę bez żadnej obawy włazi na jedyną belkę i przechodzi na drugą stronę strumyka. Były i mostki z paru drągów przysypanych ziemią, położone w poprzek strumyka. Raz moja córeczka ośmioletnia, idąc pieszo na przedzie tropy (karawany) w której pierwszy jechałem na mule, spotkała olbrzymią żmiję leżącą na poprzek drogi. Stanęła przed nią na parę zaledwie metrów i odzywa się do mnie. Tatusiu, tu jest żmija! i pokazuje mi korzeń zielony, grubości nogi w udzie. Liany, których masy całe pozwijane w kręgi rozmaitej grubości leżały pod drzewami, a kilkudziesięciu sznurami pookręcały się na pniu i gałęziach, zasłaniając sobą niekiedy całkowicie drzewo, nazywaliśmy korzeniami. Będąc o kilka metrów od wskazanego przedmiotu i nie widząc łba

*) Tj. na ukos.

ani ogona żmii, mówię: to chyba korzeń. Dziewczynka przyjrzawszy się jeszcze powiada: żmija. A gdzie ma łeb? — pytam się. Musi być tam w zaroślach — odpowiada. Pewny swego przypuszczenia, kazałem jej przeskoczyć i dalej. No i tak zrobiła. Kiedym podjechał bliżej, z przerażeniem zobaczyłem że zielona masa przesuwa się w górę.

Podziękowawszy Bogu za wyjście cało z tego spotkania z jadowitym gadem, zatrzymałem się aby oznajmić o tem przybywającym z tyłu. Doktór z p. J., który jako instruktor nasz w czasie podróży aż na miejsce, idąc pieszo za tropą, mieli się rozprawić z bestją, lecz z braku odwagi, gad zdążył uciec w zarośla. Drugiego dnia nad wieczorem przybyliśmy na miejsce. Po drodze napotkaliśmy tylko dwuch mieszkańców Brazyljan.

Na wzgórzu przy ujściu rzeki Rio Claro de Sao Joao, pobudowane stały dwa duże baraki dla przybywających imigrantów. Przybyło nas 18 rodzin. Zastaliśmy już tam cztery rodziny polskie, które dwa miesiące przed nami przyjechały. Wypytywanie: jak tu idzie i tym podobne, nie było końca, gdyż życie w tej puszczy brazylijskiej przedstawiało nam się zgoła niepojętem. I rzeczywiście niektóre sposoby robót rolno-leśnych wręcz przeciwstawiały się naszemu polskiemu rozumowi. Kobiety płakały, a mężczyźni niewiele nas mogli objaśnić, bo przez te dwa miesiące jeszcze się dobrze nie rozejrzeli.

Życie narazie dostawaliśmy z ogólnej kuchni. Miało być tak do czasu pobudowania sobie prowizorycznego mieszkania, gdzie ma się rozumieć gotuje każdy sobie. Po objęciu działki przystąpiliśmy do budowy na wyciętym przez administrację kolonji kawałku. Budowaliśmy wspólne domki we dwóch lub czterech narazie, ażeby jak najprędzej przenieść się na swoją działkę. Działki nie były równe. Od 25 ha wyżej. Każdy z nas już w Warszawie podpisał kontrakt. Niektórzy nawet podawali zadatki. Spłata ratami do 10 lat. Z działki 25 hektarowej ogółem 3 tysiące i 700 czy 800 milów, czego już dziś nie pamiętam. W Polsce wydawało nam się to bardzo tanio, ale tu! Tu inaczej. Ja z sąsiadem wspólny barak skończyliśmy za dwa miesiące. Pomimo powolnej pracy, czułem, że mi zdrowia i sił ubywa. Jednakże śpieszyłem się jaknajprędzej przenieść, aby mieszkać na swojem. Pomimo, że na drodze leżał ścięty las, który jeszcze nie był spalony zabrałem się do

przenoszenia rzeczy. Po zrobieniu kilku transportów z koszami przez powalone grube kłody, stałem się chory. Z musu prawie wziąłem się do stawiania kurnika. Ten miał być budowany bez żadnego gwoździa, co miały zastąpić ljany, na sposób kabokierski (tutejszych mieszkańców leśnych). Kiedy poszedłem do lasu, ażeby naciąć tych ljanów, wpadła mi noga w jakieś mrowisko — nie mrowisko.

Była to jakaś bardzo luźna ziemia proszkowata, w której odrazu poczułem silne swędzenie nogi. Po wyjęciu jej, oprócz próchnicy na nodze, nie zobaczyłem żadnej najmniejszej mróweczki. Jednak swędzenie tak mi dokuczało że musiałem czemprędzej wyjść z lasu, ażeby obmyć nogi. Potem uczułem gorączkę, nie miałem żadnej ochoty wziąć się do pracy i położyłem się. Noga się zaogniła, zaczerwieniła i poczęły pokazywać się na niej krosty które w żaden sposób nie chciały się zagoić. Krosty zamieniły się potem we wrzody i to na obu moich nogach. Żyły mi się pokurczyły tak, że przez pewien czas tylko na jednej zdrowszej nodze musiałem skakać, wychodząc na niezbędne potrzeby. Raz, lub dwa w tygodniu z wielkim trudem zawłóczyłem się do doktora, który opieki lekarskiej udzielał darmo emigrantom. Ten za każdym razem strupy zdzierał szczypcami, wycierał rany watą, zmaczaną w jakimś gryzącym płynie i przyklejał na to miejsce plaster. Podczas takiej operacji trzeba było wszystkie siły w sobie skupiać, aby można było to wszystko znieść. Takie leczenie było mnożeniem się wrzodów na nogach, bo dookoła danego wrzodu wyrastało natychmiast nowych krost z pięć, które znowu się zlewały we wrzody, nie gojąc się nigdy. Nogi miałem okropnie spuchnięte, były dwa razy grubsze od normalnych, tak że po naciśnięciu palcem robił się dołek, który bardzo pomaleńku się wyrównywał. Żołądek jakoś osłabł, przestałem jeść czarną fasolę suszone mięso poprzestając tylko na ryżu, chlebie i kawie. Ludzie z widoku tych moich nóg i wychudnięcia, wróżyli mi śmierć. Dostawałem gorzką sól, używając jej trzy razy dziennie, lecz po dwuch tygodniach zaniechałem tego przeczyszczającego środka, bo żadnego skutku nie było. Na przemywanie ran na nogach, spotrzebowałem kilka flaszek różnych lekarstw, też bez skutku. Zacząłem wreszcie chłodzić nogi w rzece, trzymając je po kolana w wodzie. Przy tej czynności musiałem siedzieć z kijem w ręku,

odganiając ryby, które rzucały się ze wszystkich stron, obgryzając strupy na nogach. Chłodzenie to nie mogło być dłuższe nad 15 minut, bo później czułem ból w nogach gorszy. Całe to leczenie, jak zauważyłem, było tylko łagodzeniem bólu, prawdziwego skutku nie dało, tak że straciłem nadzieję przyjścia do zdrowia. Przestałem zawracać głowę doktorowi i czekałem rychło li ze mną będzie koniec. Nogi mnie nie przerażały, bo wszyscy europejczycy, jedni lżej, drudzy ciężej, przechodzą aklimatyzację tu w Brazylji, co się ujawnia w przemianie krwi. Ale żołądek był w tak marnym stanie, że wypadało umierać z głodu. Ryż, zdaje się tak lekko strawny, też musiałem odrzucić, kukurydzanej kaszy albo mąki, broń Boże. Wypadało jeść tylko pszenne ciasto, którego poddostatkiem nie było, bo moja rodzina siedem osób, dostawała na miesiąc z administracji tylko 20 kg. mąki pszennej na domieszkę do kukurydzanej, do wypieku chleba. Na przedstawienie przez żonę doktorowi mojego stanu zdrowia, przydano jeszcze na mnie pięć kg. mąki pszennej, pozatem doktór polecił starać się o owoce tutejsze do których od samego początku pobytu w Brazylji, nie miałem wcale smaku. Zaczęła się prawdziwa bieda, bo dzieci drobne, żona miała roboty domowej dość dużo, bo nietylko dom obrobić, ale jeszcze i komuś coś uszyć, a tu biegnij przez dziki las do kabokla po owoce, to łap ryby, które mi dosyć dobrze smakowały, a że też nie była tak zdrowa, jak w Polsce, bo parę razy febra ją złożyła, więc utrapieniu i nędzy można się było dowoli przyjrzeć, patrząc na to wszystko. Administracja kolonji, mając doktora, który widział osłabiającą ludność, nie zadowalniająco starała się o produkty spożywcze. Mięso suszone obrzydło prawie wszystkim (podobno było ze starych mułów), słonina zawsze z robakami a droga tak, jak i mięso, po 5 milów kilo. Fiżon (czarna fasola) przywozili zasmarowany jakąś farbą, którą gdy się zmyło, zobaczyło się wszystkie ziarna dziurawe od robaków. Ryż, obrabiany ręcznie, był napół z łuską. Dobry ryż kosztował 2 $ 200 do 2 $ 500. Także fasola, którą należałoby się wyrzucić — 2 $ 200 kilo. Cukier przywozili czarny jak błoto. Nie dostarczono nic lepszego, dopóki się tego nie zjadło. Z głodu człowiek zdrowy zmuszony był jeść co jest, ale ja wolałem już umierać. Nie będąc w zaradności z powodu choroby wyjścia z takiego położenia, oczekiwałem z goryczą marnego swego końca. Przy-

pomniała mi się ojczyzna, gdzie pomimo biedy, jeść choć nieraz i z solą ale było co. Tu ni mleka ni kartofli, których człowiek żądał, a które zdawało się że uzdrowiłyby. Powietrze takie stale jednakowe, gorące, duszne. Czyż zmiany nie będzie? Podobno w czerwcu, lipcu i sierpniu jest tu chłodno ale jak przypuszczałem będzie najwyżej tak, jak u nas w Polsce w lecie. Ale ja pragnąłem zimy. Śnieg i mróz i powietrze mroźne zimowe, polskie ach! gdyby choć raz zajrzało tu! Jakżeż bym się ucieszył. Napewno bym był zdrowszy. Takie wizje w chorobie miałem, ale w rzeczywistości do tego nie przyjdzie. Nasi chłopi czując się jeszcze na siłach, robili gromadkami wycieczki. Jedna grupka udała się powrotną drogą do kolei, ażeby zbadać życie tamtejszych kolonistów. No, tam lepiej, nawet dobrze, ale mogą grosz robić, sprzedając drzewo, kawę i za pieniądze kupić to czego chcą. Druga grupa zwiedziła najbliższą kolonję, odległą od nas o 30 km. Daleko od kolei, ale mają tropy mułów, któremi wywożą kawę, kukurydzę i t. p. — Można żyć — mówili, abyśmy tylko przetrzymali. Jednakże wielu nie miało nadziei wytrzymać. Którzy tylko mieli sposobność do wyjazdu z kolonji, szykowali się w drogę. Trzy rodziny z naszych już wyjechało. Jedna rodzina do Polski, bo mężczyzna Białorusin, był napadany co parę dni przez malarję. Jednego, sam zarząd kolonji wysłał do kraju, gdyż popadł w jakąś chorobę, bodaj niewyleczalną. Dwoje jego dzieci pozostały na miejscu, bo dorosłej córce trafiło się zamążpójście i chciała zostać, chłopak zaś kilkunastoletni miał się zostać przy siostrze. Dwie rodziny udały się na południe do innych stanów szukać odpowiedniego miejsca. Zarząd kolonji nie był w stanie nic zaradzić, oprócz przeszkadzania w wyjeździe. Pierwszy administrator F. wyjechał. Nastał drugi p. C. Dobry człowiek. Nie myślał nikogo więzić, ale doktór stawał się coraz bardziej nieludzki i widać było, że najwięcej on tu rządzi, co nas najbardziej gniewało. Dzieci moje przechodziły też aklimatyzację, ale w sposób dużo łagodniejszy. Nic sobie z tego nie robiły, kąpiąc się z innemi po całych dniach w rzece. Jedynie biszki (pchły ziemne) dokuczyły im bardzo od samego początku aż do końca pobytu w Espirito Santo. Robactwo to trzyma się stale kolonji, szczególnie nowych, gdzie jest narazie dużo próchnicy w bliskości domów, co sprzyja rozwojowi tej plagi egipskiej. Na starszych kolonjach

jest ich znacznie mniej, bo tam ziemia na podwórzach jest ubita i woda deszczowa niewielkie ilości piasku i luźnych prochów zmywa zawsze do czysta, zabierając z sobą to ludożercze robactwo. Owady te są dwojakiego gatunku, wpijają się najwięcej w paznokcie palców u nóg, często i u rąk, znosząc tam za skórą cały pęcherzyk jajeczek. Pęcherzyk ten rośnie w postaci białego zgrubienia nie tak boląc, jak swędząc nieznośnie. Trzeba je wybierać końcem noża, albo igłą, bo nie da nocami spać. Człowiek dorosły czuje go prędzej i nie pozwoli mu się wykształcić. Taki pęcherzyk dobrze wychowany, dorasta wielkości ziarna grochu. Dzieci, nabiegawszy się przez cały dzień dowoli, zasypiają z wieczora wcześnie i z początku nie czują bólu i swędzenia. Ale z rozwojem pęcherzyków dokuczliwość się zwiększa tak, że w nocy przebudzają się płacząc i przerywając nietylko sobie, ale i starszym sen. Niema rady, trzeba w nocy wybierać biszki, co powoduje płacz i krzyk na daleki dystans. Niektóre dzieci są dosyć czułe i proszą same, aby im powybierać, niektóre całemi dziesiątkami dadzą się temu rozmnożyć, bo boją się bardzo bólu przy wybieraniu. Szczególnie nasze europejskie, co takich operacyj nigdy nie widziały, ani daj zbliżyć się do nich z igłą. Niektóre musowo było zaprowadzić do doktora, który bez najmniejszego miłosierdzia, zły, że mu takiemi chorobami głowę i czas ludzie zawracają, obnażał ciało ze skóry, wyjmując bardzo szybko te pasorzyty. Straszny ból podczas operacji u doktora, sprawił, że mój dziesięcioletni chłopiec zemdlał, drugi sześcioletni, wrzeszcząc w niebogłosy, wydarł się i uciekł. No, ma się rozumieć po takiem obchodzeniu się doktora z chorymi, trzeba było czuwać codziennie, aby nie dać się tej pladze opanować. Najwięcej z wszystkich dzieci ucierpiały moje, które widocznie miały słodką krew i skórę cieńszą od innych. Dzień w dzień każdemu żona wyjmowała po mniej więcej 30 biszków. Rany po wyjęciu napuszczało się naftą lub kreoliną. Podłoga codziennie też się zlewała rozcieńczoną kreoliną, ale pomimo to końca z tem nie było.

Na początku swej choroby martwiąc się tem, że robota na gospodarce się opuszcza postanowiłem nająć do spuszczania boru, aby było gdzie, jak przyjdzie czas sadzić kawę. Zgodziłem też traczy do rżnięcia desek na chałupę. Rżnięcie desek kosztowało tam bardzo drogo, bo 50 $ od tuzina (12 m. kw.). Boru wycięli mi

7 ha po 150 $ od alkra (2,5 ha). Desek narżnięto na przeszło 200 milów, i te o mało się nie spaliły, i to z mojej winy, bo układając je, rzuciłem niedopałek papierosa w trociny, które się zatliły, z czego wybuchł pod stosem desek ogień. Ja, po ułożeniu desek, poszedłem do administracji, a ogień ugasiła żona z sąsiadem, rozrzucając palące się deski. Straty było na 50 milów.

Po paromiesięcznem borykaniu się z biedą, nędzą i chorobami, po zmarnowaniu swego ostatniego mienia, po smutnym widoku roślin uprawnych, po wszechstronnych nieszczęściach i niepowodzeniach, kolonja Aguia Branca w Espirito Santo przedstawiła mi się szara a nawet czarna. Przekonałem się, że na tutejszy teren się nie nadaję, że jestem europejczykiem, który nie może się przyjąć w innym klimacie. Widziałem, jak europejskie rośliny: kapusta, buraki, marchew, kartofle marnie wegetują i niedoczekawszy się dojrzałości — umierają. Pewny i przekonany, że i mnie z całą rodziną ten sam los czeka, powziąłem zamiar o ile by się tylko dało, z tego zielonego piekła uciekać. Postanowienie to zrodziło się we mnie jakoś w czasie czteromiesięcznego mego pobytu na kolonji, a po dwóch miesiącach choroby. Martwiło mię to, że będąc chorym, muszę resztę pieniędzy wydać na dostawienie mnie z rodziną do miasta, ale postanowienie zapadło i czekałem tylko okazji. A że choroba nie żartowała i wkońcu już żadnych pokarmów nie przyjmowałem, postanowienie wyjazdu zmieniło się o tyle, że myślałem wtenczas o wyjeździe na tamten świat. Już pewny byłem że po tygodniu głodówki zacznę umierać, a przypuszczałem, że taka głodowa śmierć najmniej z tydzień się pociągnie. Zachciewało mi się wtenczas jabłek, gruszek, kapusty, kwasu, barszczu, a tu Polska daleko. Zamiast tego żona mi przynosi rycyny z Polski. Nasz doktór tego nie posiadał, ale niektóre kobiety zabrały ze sobą trochę tego remedium. W skuteczność tego lekarstwa wcale nie wierzyłem, bo w swojem życiu nie używałem go jeszcze. Teraz, przygotowany na wszystko, wypiłem trochę, zostawiając resztę na drugi raz. No i co? Po pewnej chwili rycyna zrobiła swoje. Wyszło z żołądka kilka ziarnek niestrawionej kaszy kukurydzanej. Ale w powrót do zdrowia jeszcze nie wierzyłem. Pod wieczór zachciało mi się jeść, no, i Bogu dzięki powoli z lżejszych pokarmów przechodząc na cięższej strawne, w dwa miesiące po przesileniu choroby mogłem już i fiżon (fa-

sola) jeść. Jednakże chęci do pozostania na kolonji więcej nie miałem.

Wrzody na nogach mnie nie opuszczały, ale już było lepiej o tyle, że mogłem chodzić do osady (trzy domy administracyjne) aby zdobyć różne wiadomości o Brazylji. Książki z biblioteki tamtejszej przeczytałem prawie wszystkie w czasie choroby. Najwięcej mnie interesowały południowe stany Brazylji, o których słyszałem, że posiadają klimat zdrowy i gdzie jest dużo osiedlonych Polaków. Od dwóch emigrantów polskich, którzy z tych stanów udali się na kolonję Orzeł Biały, dowiedziałem się dużo o życiu Polaków w Paranie. Jeden z nich pożyczył mi atlas stanów Brazylji, który przestudiowałem dostatecznie. Przemyśliwałem nad tem w jaki sposób, po dojściu do zdrowia, mam się zabrać do pracy, aby wyżywić rodzinę. Myślałem o ile tylko będzie możebnem trzymać się roli. Miałem nadzieję, że znajdę jakieś gospodarstwo, które da się wydzierżawić i pracować na nim samodzielnie. Z zamiarem opuszczenia kolonji zwierzyłem się administratorowi, który nie miał nic przeciwko temu, widząc że klimat tamtejszy wcale mi nie służy. Ociągał się jednak z udzieleniem mi pomocy w wyjeździe, odkładając go po przyjeździe i zbadaniu sprawy przez przedstawiciela, czy tam jak go zwać kolonji polskich w Brazylji. Przyjazd tego przedstawiciela, oprócz wysłuchania pięknej mowy i tak by mi nic nie pomógł. Jednakże czekałem. Na naznaczony dzień nie przyjechał. Wtenczas powiedziałem, że stanowczo wyjeżdżam najdalej za tydzień, z tropą (karawaną), która jedzie po rzeczy do sklepu. Taka tropa, 10 mułów, szła co tydzień po żywność i inne rzeczy potrzebne kolonistom, a podobno administrację kosztowała każdy raz 300 milów. W tym czasie nastąpił sprzęt kukurydzy, której mi dało 26 kg. z wysianych 8 litrów. Licha była bardzo z powodu suszy, przez cały czas otrzymała tylko trzy deszcze. Natomiast ryż, posiany nad rzeką był bardzo dobry, bo woda po każdym deszczu wylewała z rzeki i stała w ryżu przez kilka dni. Nie sprzątalim go, bo nie było czasu, gdyż w dniach kiedy dojrzał wyruszyliśmy w drogę. Został się dla nowego kolonisty, dla którego zasadziłem też kilka litrów fasoli. Przenosiłem nazad swoje rzeczy do osady i czekałem na tropę. Do mnie przyłączyło się jeszcze cztery rodziny, z których nikt nie chciał umierać w Espirito Santo.

W sam wielki piątek, r. 1930 wyruszyliśmy z boru. Dostałem trzy muły, jeden niósł rzeczy, na drugim jechaliśmy kolejno z żoną, a trzeci z dziećmi. Kosztowało mnie to 70 $, do drogi samochodowej w Aldiamento. Biedy w drodze tej użyło się tyle, co tylko można było znieść, bo z temi mojemi nogami, to ani iść, ani jechać.

Jadąc nie mogłem długo nóg trzymać w strzemionach, musiałem trzymać je na karku muła, ale w takiej pozycji nie długo mogłem usiedzieć. Z memi nogami było tak przez cały czas choroby. Iść to jeszcze jako tako mogłem, ale siedzieć wcale nie, bo krew zbiegała się do ran, co bardzo bolało. Najlepiej było leżeć, trzymając nogi wysoko.

Na wieczór, kiedyśmy przyjechali na miejsce noclegowe, zwlokłem się z wielkim bólem z muła i ległem zaraz jakby najokropniej zbity, myśląc o tem, jak też to jutro ze mną będzie. Jeżeli będę w takim stanie jak obecnie, troperzy będą musieli jakieś łoże uszykować na mule, bo jechać w taki sposób jak dziś więcej nie chcę. Nazajutrz obudziłem się trochę zdrowszy. Nie miałem ochoty wsiadać na muła, postanowiłem pierwsze godziny iść pieszo. O szykowaniu łóżka na mule nie warto było kabokłom głowy zawracać, gdyż dla takich zwykłych śmiertelników jak ja, szykuje się coś podobnego wtenczas, kiedy leżę bez pamięci, o ile jeszcze ci zdrowi mają trochę litości nad człowiekiem, aby go nie zostawić w lesie na pożarcie przez dzikie zwierzęta. Po ujechaniu kilku kilometrów, żona jadąc na mule, zaczęła nalegać abym wsiadł, gdyż jak osądziła 20 i parę kilometrów pieszo nie będę mógł zajść. Wsiadłszy, jechałem tak samo jak wczoraj, trzymając nogi na karku muła, a że długo nie wytrzymałem oddałem napowrót muła żonie. Najmłodsza nasza córeczka nacierpiała się od samego wyjazdu z Europy. Zaraz na okręcie zachorowała, przestawszy ssać pierś. Żywiona aż do tego czasu konserwowem mlekiem, bardzo schudła i w dodatku dostała dużych wrzodów po całem ciele. Doktór przerzynał i wyciskał je, co biedactwo dotkliwie bolało i wkońcu była ledwo żywa. Już myśleliśmy że nie dojedziemy z nią do osiedla ludzkiego, aby pochować na cmentarzu. Żona, trzymając ją cały czas na ręku, miała za sobą na mule jeszcze jedno dziecko. Reszta jechała z innemi dziećmi na mułach, dobrane do odpowiedniej wagi. Nieszczęście

chciało, że na drodze leżało powalone olbrzymie drzewo, które trzeba było ominąć. Dlatego troperzy przecięli w bok niedbale ścieżkę, co przyczyniło się do omal nie okropnego wypadku. Zwisające się ljany z drzewa ściągnęły całe objuczenie z dziećmi z muła. Oprócz mnie wszyscy mężczyźni udali się starą drogą, przełażąc przez powalone drzewo. Na krzyk i pisk dzieci przybiegli, ale na szczęście oprócz strachu i lekkiego potłuczenia nic się poważniejszego nie stało. Objuczono muła drugi raz, lecz mój chłopiec który był w tym wypadku, nie chciał więcej wsiadać do skrzynki, i resztę drogi około 20 km. wolał iść pieszo. Około południa zaczął padać deszcz, który wkrótce zmienił się w ulewę. O schowaniu się nie było mowy, aż dobijemy do Aldiamento. Wszyscy i wszystko było takie jakby z wody wyciągnięte. Najmłodsze nasze chore dziecko w takiej podróży popadło w jeszcze gorszy stan i już z żoną myśleliśmy o pogrzebie. Natomiast mnie deszcz pomógł. Przemokłszy do suchej nitki jeszcze w drodze uczułem się lepiej. Gorączka od nóg odeszła i nazajutrz zobaczyłem, że nogi mi tęchną, a po trzech dniach spuchlizna całkiem zeszła i krosty zaczęły się goić. W Aldiamento musieliśmy pozostać dwa tygodnie, bo deszcz, który zaczął lać w drugim dniu naszego powrotu, nie przestał aż po trzech dniach i drogę tak zepsuł, że samochody nie mogły przyjść. Przez ten czas ze sklepu wybraliśmy wszystką żywność, jaka była. W ostatnich dniach nawet musieliśmy tłuc ryż, którego zebrał z swego pola fazender, w stępie, nosić z pola banię i tem się żywić, wreszcie trzeba było się udać na długą 8 km. kolonję, aby tam kupić żywności. Kupowaliśmy też co dzień mleko, którego fazender miał poddostatkiem. Właśnie, zawdzięczając owemu świeżemu mleku, nasza córeczka powróciła do zdrowia. Nietylko jej, ale i mnie apetyt na potrawy gotowane na mleku się znalazł i nabrałem na siebie ciała tak że kiedy w końcu drugiego tygodnia przyjechali z Aguia Branca do Aldiamento, nie mogli mię poznać. Wyjeżdżali oni po nowy transport emigrantów, który miał się udać na kolonję. Byli to panowie z administracji. Jeden p. P. buchalter, a drugi malarz, który tam bawił chwilowo. Na zdziwienie p. P., co się ze mną stało, odpowiedziałem że panie, stosowne odżywianie się to sprawiło. Gdybym był na kolonji w takim stanie, jak obecnie, nie myślałbym o porzuceniu jej. Tutaj mam wszystko co chcę, a szcze-

gólniej mleko, które daje zdrowie, regulując trawienie. Nic nie odpowiedział, ale pewnie przyznał, bo na drugi dzień poszło na kolonję Aguia Branca z pięć sztuk bydła, w czem było trzy krowy z mlekiem. Malarz zaś, koniecznie starał się nam wyperswadować, że nie zdajemy sobie sprawy co robimy, opuszczając majątki, bogactwa, jakich tam chłop polski może się wkrótce dorobić na kawie. Młodzik jeszcze, chociaż wysoce inteligentny. Myślał, że chłop polski wierzy li tylko w bogactwo. Posprzeczaliśmy się trochę, bo upierał się bardzo przy swojem i twierdził że źle robimy. Ja zaś trzymałem za tem, że postanowienia swojego nie zmienię, bo znów pewny jestem, że tylko człowiek zdrowy, pracując może się majątku dorobić, ale leżąc, chorując, człowiek doczeka się biedy, nędzy i głodu. I prędzej przyjdzie śmierć, niż bogactwo.

Pojechaliśmy razem do Collatyny. Przyjechało pięć samochodów, bo już tam się dowiedzieli, że Polacy wyjeżdżają z Aguia Branca. Chociaż nie dużo brano, bo jedna rodzina na samochód, ale i tak musiano miejscami łańcuchy zakładać na koła, a jeden nawet ugrzązł, bo droga chociaż naprawiana, była jeszcze bardzo licha. Dosyć tanio nam policzyli, bo po 35 $ od samochodu za 55 km. takiej marnej drogi.

W Collatynie jeden urzędnik kolejowy, Niemiec, wyrobił nam to, że od swoich bagaży nie zapłaciliśmy nic do Victorji. Z Victorji zamierzaliśmy jechać okrętem do Rio de Janeiro, ale nasi opiekunowie z kolonji tak spekulowali, ażeby się z nowymi emigrantami nie spotkać, no i mieli nam karty okrętowe wykupić, na co się sami wmówili, a że nie chcieliśmy im wierzyć, nastawili nam jakiegoś słowianina — opiekuna, który nas naprowadził na dużą stratę. Drugiego dnia przyniósł nam wiadomość z okrętu że miejsca wszystkie już są zakupione. Czekać pół miesiąca na drugi okręt drogoby nas kosztowało, więc postanowiliśmy jechać koleją. Dwie rodziny pozostały w Victorji, znalazłszy tam zarobek, a nas trzy rodziny pojechaliśmy do Rio de Janeiro. Przy kupnie biletów znowu się zjawił ów nieproszony opiekun i taką łaskę nam zrobił, że dzieci dosyć już duże powsiadały bez biletu. Ta łaska przemieniła się w gorycz, kiedy nad wieczorem, po przejechaniu prawie pół drogi, kontrol zażądała od każdego dzieciaka biletu. Wymówki i oprawdzania się nic nie pomogły. W Brazylji na kolejach dzieci mierzą metrem. Jak ma wysokości jeden metr, płaci

cały bilet, mniejsze wolne od płaty. Musieliśmy z sąsiadem zapłacić karę. Mnie samemu z kieszeni wyfrunęło około 200 milów niepotrzebnie. Z 800 milów pozostało mi tylko 200, za które do Parany, choćby i okrętem nie pojadę.

Tak nas wykwitowano. Nic innego nie wypadało, tylko szukać jakiejś porady u naszych władz konsularnych. Przyjechaliśmy do Rio (skrócone) wieczór około godziny 8-ej. Na naszą pociechę, jak tylko pociąg stanął wskoczyli do naszego wagonu dwaj młodzi kawalerowie. Byli to bracia Dąbrowscy, z których jeden był kierownikiem Patronatu Polskiego w Rio. Pewnie byli powiadomieni telefonicznie z Victorji o naszym wyjeździe. Zaopiekowali się nami, zabierając nas z sobą do Patronatu, w którym mieliśmy pozostać chwilowo, dopóki sobie innego miejsca nie poszukamy. Ja w podróży nabawiłem się silnego kataru i byłem parę dni chory, a synek nasz sześcioletni też zachorował i to poważnie. Odwiedzili nas różni znaczni panowie, zajmujący urzędy placówek tak rządowych, jak i prywatnych polskich. Brali nas w opiekę i ten i ów, ale naprawdę jakoś nikt nie pomógł. Chłopiec położył się na dobre. Z takim chorym dzieckiem nie możebne było dalej w podróż się udawać, a pieniędzy ubywało co dzień po 10 milów na życie. Dzieciaka do żadnego szpitala nie chcieli przyjąć. Moi dwa towarzysze, posiadając większe zasoby pieniężne, udali się z rodzinami na zachwalaną powszechnie nową kolonję w stanie Sao Paulo. Agentem na tę kolonję był niejaki p. J., którego wszyscy dobrześmy znali, gdyż przebywał jakiś czas w Espirito Santo na Aguia Branca, zajmując się tam w kuchni ogólnej jakąś czynnością. Stracili na tem, bo jak się później okazało J. działał na podstawie sfałszowanych papierów, o czem szeroko się rozpisywano w tutejszej gazecie. Ja chciałem koniecznie jakiejś decyzji z konsulatu, ale oprócz ciągłego dlaczego i po co wyjechałem z kolonji, nic więcej nie było. Kazano mi wreszcie szukać pracy w okolicy lub w miejscu.

Z nowego transportu emigrantów polskich, z którymi minęliśmy się w Victorji, powróciło do Rio trzy rodziny, z których dwie pozostało w Patronacie, a jedna ulokowała się w hotelu. Patronat zmuszony był zatrzymać tych, którzy nie mieli pieniędzy. Nie mając nic innego do wyboru zaczęliśmy szukać pracy w mieście. A były to najgorsze czasy kryzysu, chociaż roboty były, ale pie-

nędzy za nie rzadko kiedy dostawano. Widziałem pokazywane mi różne kwitki na pieniądze za robotę. Robotnicy kilkakrotnie udawali się już z tymi kwitkami do pracodawców po pieniądze i zawsze byli odwlekani z miesiąca na miesiąc. Były wypadki dwuletniej zwłoki zapłaty za robotę. I sądy nawet nic nie pomagały.

Trafiła mi się wreszcie robota w Patronacie, parę dni przy mularzu, który w nowym lokalu miał do zremontowania mieszkanie. Dostałem po 6 $ dniówkę, co przecież na życie dla całej rodziny nie wystarczyło. Trzeba było zmienić życie, ażeby mniej rozchodować, co dałoby się zrobić gotując jedzenie. Jedyna kuchnia w Patronacie nie mogła obsługiwać wszystkich. Na prośby żony pozwolono jej raz dziennie ugotować, co znacznie zmniejszyło koszta żywności i poprawiło stan zdrowia rodziny, bo o suchem jedzeniu trudno byłoby długo wytrzymać. Chory chłopiec wycieńczył się zupełnie bo nic nie przyjmował jedzenia przez cały czas choroby. Po jej przesileniu żądał tego co kosztowało drogo i choć w części należało się go zaspokoić, co znowu podniosło dzienny wydatek do 10 lub 11 milów. Czas wypróżnienia kieszeni zbliżał się szybko. Po kilkunastudniowym pobycie w Patronacie przed oczami stawała mi zbliżająca się okropna i smutna chwila. Chciałem koniecznie udać się do p. posła Rz. P. i przedstawić mu swoje położenie. Tak jak poprzednio w konsulacie, tak i teraz wykręcano się różnie, zatrzymano i nie dopuszczano mnie. Prawda, że panu posłowi z takimi interesami przykremi czas się zatruwało, bo było nas takich sporo. Trudno! Musiałem się ze swoim przedstawicielem w ostatnich dniach rozmówić, bo widziałem marny koniec swego i mojej rodziny żywota. Zarobku nigdzie nie można było znaleźć. Nie widziałem żadnej przyszłości przed sobą. Wychodziło iść żebrać, za co tu w Brazylji dostaje się człowiek do więzienia. A potem? Pragnąłem za wszelką cenę uniknąć tego najostateczniejszego stanu, ale pewny nie byłem siebie... W kieszeni tylko 15 $. Jutro jeszcze będziemy żyć. Pojutrze rozpocznie się głodówka. Czy z rozpaczy, czy też z tak szybko zbliżającego się nędznego końca, który nieoczekiwanie urzeczywistniał się tuż-tuż i którego w żaden sposób nie dało się naprawić, jakiś dziki śmiech co chwila mię brał albo znów, zapamiętywując się wygwizdywałem jak warjat. Pewnej chwili wybiegam na ulicę, dążę na plac Lapa do przystanku tramwajowego, wsiadam do

tramwaju i jadę do poselstwa. Mijam urząd konsularny, idę prosto do mieszkania p. posła w podwórze. Nie odpowiadam nic vice-konsulowi, który zobaczywszy mnie oknem chciał zatrzymać, wpadam na schody prosto do p. posła. Wybiega naprzeciwko mnie woźny, z tyłu p. C. vice-konsul. Gdzie pan? — Dzisiaj muszę się rozmówić z panem ministrem. — Niema go, odpowiada woźny, szykując się do odparcia mnie siłą. Jego nigdy nie ma — wołam, podnosząc głos. Co się stało? Zapytuje pan B., starając uciszyć awanturę. Niech pan idzie do konsulatu, załatwi się pana. Tak mnie pan załatwi, jak dotychczas załatwiał. — Co pan chce? niech pan idzie do kancelarji konsularnej, tam się załatwia sprawy. Ja chcę ostatniej decyzji od panów, bo wy jesteście naszemi opiekunami i będziecie odpowiadać za moje i całej mojej rodziny życie. Dajcie radę, albo pożyczkę, bo tylko na jutro mam pieniędzy. Owszem dostanie pan pożyczkę, tylko pan minister wróci. Pyta się, ile mi potrzeba. Najmniej ze sto milów, abym mógł bagaż wykupić ze stacji, gdzie leżał od przyjazdu z Espirito Santo. Może sprzedam dubeltówkę i opchnę się jakiś czas. Napisał prośbę o pożyczkę, każąc przyjść jutro. Na odchodne dorzucił: — Nie mógł pan pozostać w Espirito Santo, tam żyłby pan bez troski. Tam bym tak żył, jak i rośliny europejskie żyją, jedno, a drugie — nie zazdroszczę nikomu Espirito Santo, skończone, więcej już tam nie wrócę. Roześmiał się tylko i dowidzenia. Po powrocie z poselstwa zastałem przed Patronatem grupę uciekinierów z Rio Grande do Sul. Urzędnik Patronatu nie chciał ich wpuścić, gdyż miejsca na świeże cztery rodziny tam nie było. Rozłożyli się na ulicy z rzeczami i czekają nie wiedząc co robić. Byli oni wszyscy z Wołynia, sami Rusini. Mieszkający na narożnej ulicy pewien Rosjanin zaczął się nimi opiekować i dopominał się u p. D., ażeby ich wpuścił pod dach. Z tego wywiązała się kłótnia między nimi, aż wreszcie p. D. kilku ciętemi i grubijańskimi słowami w rosyjskim języku odesłał nieproszonego opiekuna do domu. Kłótnia na ulicy ściągnęła całe tłumy Brazyljan którzy wkońcu, zrozumiawszy położenie emigrantów, zaczęli im dawać datki, z początku pieniądze, potem przynosili jedzenie, a wkońcu i ubranie. Wieczorem nadjechał autem p. minister (poseł, którego tu Polacy tytułują ministrem). Po przepytaniu emigrantów i objaśnieniu całej sprawy publiczności w języku brazylijskim, kazał

przybyłym wnieść się do Patronatu, gdzie rozmieszczono ich w sieni, pod schodami, tak że drogi do przejścia nie było. Rusini dopominali się darmowego przejazdu do Polski, narzekając na klimat tutejszy i na pozostawienie tutaj resztę grosza. Nasze polskie urzędy tutejsze widocznie z takiemi sprawami miały nieraz do czynienia, bo po paru dniach jakoś tam pomalutku zbadano dobrze, że Rusini mają pieniądze na powrót. Widząc, że nic nie wskórają, odjechali swoim kosztem. Tego samego wieczora, kiedy p. minister był w Patronacie, rozdał proszącym po kilka do kilkunastu milów. Ma się rozumieć ja nie śmiałem prosić, ale rozchodziło mi się o trwalsze zabezpieczenie emigrantów przed głodem, na co skierowano rozmowę. W dyskusji, czy dawać pieniądze, czy gotowe jedzenie, żona moja wtrąciła się do rozmowy, a p. minister po przyznaniu nam obiadów parę w tygodniu, zapytał jej, czy potrafi prać, bo w poselstwie praczka dobra potrzebna. — Owszem, panie ministrze, tylko trochę jestem słaba po tej malarji. Naznaczył płacę dzienną po 6 $ i kazał jutro przyjść do roboty.

Odetchnąłem, bo moja sprawa tak, jakby już była załatwiona. O nic więcej tego dnia nie prosiłem, ale wszystko mi się zdaje, że moje poprzednie energiczne wystąpienie w poselstwie to zrobiło, gdyż p. minister tak mnie jak i moją żonę znał dobrze, a teraz widząc całą zgrozę i nędzę w Patronacie, okazał czynnie swą pomoc. Moja rodzina dostawała przez jakiś czas po dwa obiady codzień a żona, przychodząc wieczorem od pracy przynosiła też z kuchni p. ministra trochę jedzenia dla dzieci, resztę się dokupiło lub uzupełnili Brazyljanie, którzy od owego pamiętnego wieczora stale przychodzili przynosząc pożywienie i coś jeszcze z odzieży. Pewnego razu dziennikarz jeden sfotografował cały obóz wychodźców i opublikował w brazylijskiej gazecie cały stan rzeczy, co p. ministra obraziło i zmuszony był nie tylko w prasie bronić imię polskie, ale i w Patronacie dawać naukę emigrantom. Z praczki żona wkrótce przeszła na szwaczkę, jako że zna się na tem niezgorzej. Pan minister zgodził się dać pożyczkę, ażeby bagaż wykupić. Dostałem 80 $, bo tyle kosztował przewóz, za trzymanie bagażu na stacji poza terminem przepisowym zapłaciłem swojemi, a zrobiło to wszystko razem przeszło 100 $. Panna P., sekretarka a zarazem i gospodyni p. ministra, dostarczała ja-

koś roboty żonie, gdyż mówiła, że oddawanie do pralni czy do szwalni dziennie przenosi te 6 milów.

Pan minister i mną się zainteresował i chciał mi dać odpowiednie zajęcie. Spytał się żony, czy oprócz robót rolnych nie potrafię czego więcej. Żona powiedziała, że w młodych latach uczył dzieci i na tem poza rolą najlepiej się zna. — Owszem, odpowiedział, niech złoży podanie do mnie, a wyślę go gdzieś na polską kolonję, gdzie będzie mógł uczyć polskiego i na utrzymanie sobie zarobi. Po złożeniu podania, miałem z p. ministrem rozmowę. Pan minister zamierzał mnie posłać do Sta Cathariny, do Itaiopolis, gdzie jest klimat zdrowy. W tym celu posłał do ks. K., proboszcza parafji Itaiopolis list z zapytaniem, czy jest jaka szkoła wolna w tamtejszej kolonji. Miałem czekać na odpowiedź, ale w Brazylji poczta bardzo ospale funkcjonuje, tak że dopiero po jakich dwóch miesiącach można się było spodziewać odpowiedzi. Tymczasem przyjechał z Sao Paulo konsul polski. Przywiózł wiadomość, że w stanie Sao Paulo na pewnej kompanijskiej fazendzie można zarobić dziennie do 10 $. Nie wierzyłem temu, ale nie mogłem się sprzeciwiać p. ministrowi, który mówił, że można tam zarobić tysiące, czego najlepsza posada nauczycielska nie da, bo tu nauczyciel polski żyje biednie. Miałem pojechać z Domu Emigracyjnego w Rio, skąd przejazd emigrantom jest darmowy. Gdyby mi się spodobało, miałem sprowadzić tam rodzinę, a jak nie to powrót nazad też darmowy. Pojechałem z niechęcią, gdyż Sao Paulo leżące w pasie gorącym nie imponowało mi do pozostania tam na stałe, a szczególnie kawa do której już tak byłem uprzedzony, że gdzie kawa rośnie tam ja nie będę. A było to w czerwcu, na sam zbiór kawy. Z początku płacili po 200 rejsów od drzewka, z którego trzeba było rękami obsmykiwać owoc, bo jeszcze nie był dobrze dojrzały. Ręce miałem delikatne i nie zarobiłem na życie. W pierwszy tydzień po obrachunku zostałem dłużny $ 11. W drugim tygodniu obtrząsaliśmy łodygami kukurydzanemi, gdyż kawa była bardziej dojrzała i pomimo obniżenia płaty od drzewka, dało mi wyrównać dług. Na trzeci tydzień kawa była już dobrze dojrzała i cena od obtrząśnięcia drzewka była od 100 do 50 rejsów, pomimo to zarobiłem 20 i parę milów. Listu żadnego od żony nie otrzymałem, chociaż zaraz po przyjeździe na fazendę napisałem do niej. Bardzo mię to niepokoiło, gdyż fazenda leżała

przy kolei, gdzie niepodobne żeby za ten czas nie przyszedł. Jakoś się w duszy oburzałem na pocztę, gdzie może listy były zatrzymywane umyślnie, aby jak najdłużej zatrzymać robotników na ten, najbardziej potrzebujący rąk, czas. Szczególniej złość mię brała, kiedy dozorca wymyślił obtrząsywanie wierzchołkiem łodygi kukurydzanej, co było prawie niemożliwe, bo trzeba było cały naręcz owych łodyg z sobą nosić od drzewka do drzewka, a kruche wierzchołki łodygi łamały się bardzo prędko. Inni robili tak, ale tylko w oczach dozorcy (fiskala). Ja, pomimo nieznajomości języka brazylijskiego, miałem ochotę powiedzieć mu, że tak jak on każe robić to jest głupstwo, bo ja choćby i kawałkiem kija z drzewa nie narobiłem tyle szkody, co drudzy, obcinając całe gałązki z drzewka. Dotychczas jeszcze uwagi mi nie zwrócił w robocie, ale teraz nie chciałem robić tak jak kazał i nie zważając, czy patrzy, czy nie patrzy, robiłem po swojemu. Gdy zobaczył, zawołał: — Hej, Russo! tak się nie robi. Przeciął fojsem sztywny mój kij, a bierze całą łodygę i pokazuje jak trzeba otrząsać. Jak umiałem, tak powiedziałem, że ja tak nie chcę. Jeżeli się panu nie podoba moja robota, to proszę rachunek. Dobrze. Zrobił bez żadnego słowa więcej rachunek z którym udałem się do kancelarji po wypłatę.

Dodać trzeba, że ta fazenda na której pracowałem była najlepsza, bo się najlepiej zarabiało i wypłatę się zawsze na żądanie dostało. Gdyby nie ten „Russo", którym nie chciałem zostać, bo zawsze mam wrażenie, że to coś podlejszego od Polaka, byłbym może i pracował dalej, no ale przecież Brazyljaninowi nie można się było ze mną rozmówić i wolałem w prędszy sposób skończyć. Człowiek sam mógł tam zarobić dość dobrze, ale koloniści tamtejsi z rodzinami nie zarobili czasem nawet na życie. Brano ich do innych robót, naprzykład w tym czasie do zbierania i przesiewania kawy obtrącanej z pod drzewek, co było bardzo nieprzyjemne i niezdrowe z powodu wielkiego kurzu. Żółtego pyłu człowiek miał wszędzie dosyć, i w ustach i w nosie i w uszach, ubranie bielizna całe ciało było żółte tak jak ziemia. Rodziny obarczone kilkorgiem dzieci drobnych zadłużyły się, a było takich ze trzy do czterech tysięcy długu już sporo. Prawda że tylko fazenda wydawała im ze składu żywność i towar na ubranie, pieniędzy zaś nie. Na innych fazendach było gorzej, bo tam nawet

samotni nie mogli zarobić na siebie, a choć kto i zarobił na utrzymanie, nie dostał pieniędzy. Opowiadano, że przed paru laty można było na kawie zarobić rok rocznie po kilka tysięcy milów, ale teraz skutkiem spadku ceny kawy trzeba najczęściej pracować jedynie na życie. Mnie robota przy kawie bardzo się spodobała, ale sam jeden bez rodziny nie mogłem przecież żyć i po wypłacie jazda na kolej. Te 20 i parę milów starczyło na bilet do miasta Sao Paulo, co dalej będzie to się dowiem w konsulacie. Przyjechałem do miasta na noc. Jak wszędzie w Brazylji, tak i tu na stacji czekał szpaler hotelerzystów, namawiając i ciągnąc wychodzących ze stacji pasażerów do swego hotelu na nocleg. Żądali po trzy, cztery mile za nocleg z kolacją i ranną kawą. Ja, mając przy sobie ostatnie dwa mile, na taki luksus nie mogłem sobie pozwolić. W końcu jeden z hotelistów zaczął mnie do siebie ciągnąć. Pytam go się: ile kosztuje nocleg? — Cztery mile. Idę dalej, nie chcąc słuchać, wreszcie obiecuje mię przenocować za trzy mile. Muito caro, odpowiadam (bardzo drogo) i idę. Co? za trzy mile drogo! powiada. Nikt tu taniej noclegu nie da. — Może być mówię mu, ale ja pieniędzy nie mam więcej jak dwa mile. Płacę tylko dwa mile, więcej nie mogę. Dobrze, powiada, ale jedzenia nie dostaniesz. Myślę sobie, mam się tłuc po mieście, a może i do paki się dostać, to dobrze że choć przenocuję pod dachem. I poszedłem z nim do hotelu.

Nazajutrz postanowiłem udać się do Domu Emigracyjnego, gdzie przecież jeść dostanę. Zapisałem się tam na wyjazd do Rio, do rodziny. Należało teraz odszukać konsulat, ażeby dowiedzieć się, czy niema do mnie jakiej wiadomości od rodziny. Miasto Sao Paulo jest duże, przeszło miljon mieszkańców. Pierwszego dnia, gdym się udał poszukać danej ulicy, zbłądziłem i musiałem z niczem wracać. Wieczorem zacząłem rozglądać się po mapce miasta Sao Paulo, którą kupiłem za trzy mile, jadąc na fazendę. Mapkę kupiłem dla lepszego poznania Brazylji, a szczególnie stanu Sao Paulo. Na jednej stronie był stan cały z siecią kolejową, a na drugiej plan stolicy, miasta Sao Paulo. Teraz bardzo mi się przydała, bo ulicę, na której się znajdował konsulat polski, prędko odnalazłem, chodziło tylko o trafienie do niej idąc przez kilkanaście różnych ulic i uliczek z Domu Emigracyjnego. Ponieważ tych nazw kilkunastu różnie położonych ulic nie mogłem spamię-

tać wziąłem mapkę z sobą i spoglądając co pewien czas na nią dla lepszej orjentacji, po paru godzinach doszedłem do celu. Nie wiem czy zawsze tak, ale wtenczas było nas w poczekalni do 80 osób z różnemi sprawami. Woźny dawał każdemu przybywającemu bilecik z numerem kolejnym podług którego po porządku szło się do kancelarji p. konsula. Dowiedziałem się, że jest list od p. ministra, który pisał za pośrednictwem konsulatu abym wrócił do Rio, bo przyszedł list od ks. K., że mogę jechać do Sta Cathariny.

Bardzo dobrze! Wiadomość mię ucieszyła, ale jak się dostać bez pieniędzy do Rio. Miałem się o to poradzić p. konsula, lecz ten sam mię zagadnął czy mam pieniądze na podróż. — Nie mam, odpowiedziałem. No przecież pan zarabiał. Tak, panie konsulu, ale za zarobione pieniądze kupiłem bilet kolejowy do Sao Paulo, za resztę hotel i obecnie goły jestem jak święty turecki. Porozmawialim krótko o pracy na fazendzie o zarobku i polecił sekretarzowi napisać kartkę do pana X, zarządzającego fazendą, a mieszkającego w mieście Sao Paulo. Miałem się z tą kartką udać do pana rządcy po pieniądze na kolej do Rio. Ów pan X po polsku nie umiał ani słowa, ani po niemiecku, ażeby się dobrze rozmówić. Pytał mi się, czy umiem po francusku. Na nieszczęście tych romańskich języków nie znałem żadnego, a chciał bardzo się rozmawiać. Musiałem tłuc portugalski, jakiego parę słów zaczerpnąłem dotychczas w Brazylji. Ale zrozumieliśmy się. Bardzo dużo się wypytywał o zarobkach, o robocie na fazendzie, co jak mogłem, wszystko powiedziałem. Wypytał się ile mam dzieci i czy zdatne do roboty. Kiedy mu powiedziałem, że pięcioro, i najstarsze ma 10 lat, przyznał za rację, że z taką rodziną nie da tam żyć. Wkońcu zaczął mnie namawiać, abym kupił jeden lot (działkę) ziemi z lasem na tej fazendzie, bo kompanja kolonizuje tam duży szmat ziemi. Odpowiedziałem, że nie kupię, bo nie mam pieniędzy. To choć kilka alkrów, powiada, ziemia dobra, można się dorobić na kawie. Wreszcie na tyle namowy, musiałem mu się wyspowiadać, że ja muszę pracować tylko na życie dla rodziny, a o kupnie ziemi nie ma mowy. Zrozumiał, ale nie chciał odstąpić od danego przedmiotu, przyniósł plan całej fazendy, gdzie kolonizowany teren mi pokazał. Loty czyli działki już pomierzone były różnej wielkości i ceny, która była tak wygórowana, o ja-

kiej nie słyszałem jeszcze dotychczas w Brazylji. Mówię, że pewnie nikt nie kupi, bo bardzo drogo. Co? odpowiada zdziwiony, to przy kolei, to wcale nie drogo. Dał mi ów plan i kupę biletów wizytowych, ażebym namawiał kolonistów za kupnem. Wziąłem i myślę sobie: tu z naszych nikt nie przyjdzie, a zwłaszcza to uprzedzenie do kawy, jak im to wybić z głowy. Wyjął banknot dwudziestomilowy i dając mi powiada, że przez ziemię stanu Sao Paulo przejazd z Domu Emigracyjnego, a przez stan Rio de Janeiro kosztuje tylko 15 $ kolej, ale ja daje 5 milów więcej. Podziękowałem i pożegnawszy się poszedłem zaspokojony. Odjazd do Rio pociągiem nocnym na który jeszcze miałem dosyć czasu.

Na stacji za okazaniem kartki z Domu Emigracyjnego otrzymałem bilet do miasta Queiroz, na granicy stanu Sao Paulo i Rio de Janeiro, stamtąd miałem sobie bilet wykupić do Rio. Spotkałem szczególnym trafem trzech Polaków z Aguia Branca w Espirito Santo. Dwóch z nich byli to nasi dawni znajomi a trzeci był z nowych przybyszów. Po niemałem zdziwieniu się podczas przywitania, że tu znaleźliśmy się, spytałem ich: co tu robią i gdzie jadą? — Do Rio, odpowiadają. Jeszcze większa uciecha, bo razem. Byli to chłopaki bez rodziny. Powiedzieli, że przyjechali do Sao Paulo za zarobkiem, ale nic dobrego nie znaleźli i wracają nazad na kolonję. Tam na kolonji dobrze zarabiali w administracji, albo u kolonistów, dostając dniówką po 5 $ i życie. Parę setek uciułanych musieli nieopatrznie stracić. Jechaliśmy razem i było o czem rozmawiać, tak że czas szybko upływał. Do Rio pociąg miał przybyć dopiero na rano. Stało się tak, że przed północą zasnąłem, a było to właśnie około granicy stanu Rio de Janeiro. Kiedy już robotnicy jadący z Domu Emigracyjnego, pokupowali bilety, moi kompanierzy Polacy przypomnieli sobie, że ja też miałem tu bilet kupić i obudzili mnie w chwili kiedy już pociąg miał ruszać. Wyskoczyłem z wagonu, myśląc że może jeszcze zdążę, ale nasz wagon daleko wyprzedził stację i po przebieżeniu jakich 30 kroków ostatni gwizdek i pociąg ruszył. Nie było czasu do stracenia, wskoczyłem do najbliższego wagonu, jadąc w stronę Rio bez biletu. Nie wiedziałem co za skutek przyniesie taka jazda, myślałem, że za karę pójdą i te 5 $ co miały mi zostać, ale wola Boża, aby tylko dojechać bez szarpania do pierwszej stacji. Ta, jak na złość wydała mi się bardzo daleko, bo dopiero po dwóch

godzinach jazdy się ukazała. Jakaś pusta, nieoświetlona, ledwo ją odnalazłem, a kiedym się spytał, co kosztuje bilet do Rio? kasjer powiedział mi coś około 23 $. Wycofałem się nieznacznie i ruszam czemprędzej na pociąg, który już odjeżdżał. No, myślę sobie, ładne 15 $. Musiało kosztować przez stan Rio de Janeiro przeszło 25 $. Skądbym je wziął! To dobrze, że taki kawał, udała się sztuka przejechać na gapę, żeby tak jeszcze ze dwa przystanki, to może dopiero posiadanych pieniędzy starczy na bilet. Czy to się da? Kiedym na trzeciej stacji poszedł po bilet, cena jego jeszcze przenosiła 20-kę. Jakoś do tego czasu konduktor nikogo się nie pytał o bilet. Widocznie był uświadomiony, że wszyscy jadą do Rio. On nieinaczej, tylko będzie odbierał bilety przed dojazdem do Rio. Myślę sobie: Po co kupować bilet tutaj? Kupię go na jakie trzy stacje przed Rio, to zawsze mi się parę mil ów zostanie. Czekałem do rana, ale nie śpiąc już, bo troska o wyjście z takiego położenia spędzała sen z oczu. Jakoż nastawał świt. No! teraz pora kupić bilet, jak tylko pociąg stanie. Ale w tej napół pustej Brazylji są miejsca, że trzeba długo jechać koleją, ażeby zobaczyć jakieś osiedle. Wtem spostrzegłem konduktora w sąsiednim wagonie, odbierającego bilety. Będzie ambaras, z którego mogę wyjść paskudnie. Muszę zejść z oczu. Wpakowałem się do komórki, i przeczekałem aż załatwi się z całym wagonem w którym siedziałem. Niestety, wyszedłem trochę wczas, a że właśnie w tej chwili był w tem miejscu, gdzie ja siedziałem, byłem zmuszony usiąść bliżej na chwilę. Spostrzegł mnie i spojrzał podejrzliwie. Jednakże po odebraniu wszystkich biletów w danym wagonie poszedł do następnego, zostawiając mnie może przez zapomnienie w spokoju. Wszystkie drzwi były prawie całkowicie oszklone i wszystko było dobrze widać w sąsiednich wagonach, więc ażeby się nie nasuwać urzędnikowi w oczy, siedziałem jeszcze na nowem miejscu do stosownej chwili. Dopiero później, kiedy oddalił się bliżej środka następnego wagonu, poszedłem na stare miejsce do swoich towarzyszy. Byłem już prawie pewny, że cała sprawa skończona, aż tu wracając po skończonej czynności, zagabuje mię konduktor i pyta o coś. Ma się rozumieć nic nie odpowiadam. Wybawili mię z kłopotu moi towarzysze, którzy lepiej po brazylijsku rozumieli. Powiedzieli, że już bilet oddał. Jeszcze raz mi się spytał. Kiwnąłem głową, mówiąc: ja (już). Odszedł.

A ja jak wziąłem do Sao Paulo 20 $ na nieprzewidziany wypadek, tak i przywiozłem je nazad. W Rio zastałem w Patronacie tych samych darmozjadów, powiększonych o jedną rodzinę mi znajomą, która przybyła z Victorji, narzekając na nieznośne tamtejsze warunki. Oprócz tego było kilku nowych robotników, pozostających tu tymczasowo bez roboty. Wszystkie rodziny Patronat za trzy dni miał wysłać do Sao Paulo na robotę. Moja żona, której nie zastałem, bo była u pracy w poselstwie, miała wyjechać z dziećmi na drugi dzień do Santa Cathariny. To dowiedziałem się na wstępie. Zameldowałem się u nowego urzędnika Patronatu, bo panowie D. opuścili już tę placówkę. Bardzo dobrze się stało, że przyjechałem na czas i p. minister się ucieszył, że nie będzie potrzebował się troszczyć o moją rodzinę w podróży a szczególniej że żona nie może wytrzymywać jazdy na brazylijskich statkach, a tu jeszcze w obecnym przynadziejnym stanie, było się o co obawiać. Ha, trudno! na to i ja nic nie poradzę. Wola boska. Nie wiem, jak to pan minister zrobił, bo emigrantom rząd brazylijski drugi raz nie daje przejazdu, a podobno do Florianopolis, stolicy Santa Cathariny, przejazd mojej rodziny miał kosztować 500 $. Dobrze, że żona zaoszczędziła ze swego zarobku 45 $, pan minister dał jej jeszcze na drogę 50 $, jako gratyfikację, no i moje 20, z czem wyruszyliśmy w drogę. W Rio moja rodzina przebywała dwa i pół miesiąca. Wyjechaliśmy około połowy lipca. Zaraz pierwszego dnia dało się dobrze we znaki, bo dzień był wietrzny i na oceanie przewalały się kilkumetrowej wysokości fale. Wszyscy prawie od pierwszej godziny leżeli pokotem, jadąc bez miłosierdzia do rygi. Obawiałem się o żonę i kiedym zeszedł do sali kobiet jęczała, wyrzuciwszy z siebie, jak było widać, całą zawartość żołądka. Gdybym nie widział tego, może i przetrzymałbym, ale poczuwszy nagły zawrot i mdłości, chciałem się czemprędzej cofnąć na czyściejsze miejsce, niestety spotkałem jakąś żydówkę na schodach, idącą do sali kobiet. Ta na pierwsze spotkanie wyrzuca z siebie strumień najobrzydliwszego roztworu, którym o mały włos mnie nie obryzgała, czego już nie mogłem znieść i natychmiast odwdzięczyłem się jej tem samem. Przy tem jakiś czas musiałem pozostać na schodach, trzymając się poręczy, bo nie miałem siły wyjść na pokład. No, i dopomóż tu żonie! Ledwo po dłuższej chwili, zdołałem się wywlec na pokład

okrętu, gdzie w schludniejszym miejscu czekałem zmiłowania boskiego. Całą podróż z Europy do Brazylji, nie zrobiło mi się tak paskudnie, jak wówczas. Nie poddał się tej chorobie tylko jeden już stary Polak, który jak mówił, po czteroletnim pobycie w Polsce, wracał nazad do Brazylji do wnuków, których zostawił w Rio Grande do Sul, ostatnim stanie na południu Brazylji. Podczas takiej fatalnej jazdy minęliśmy jakąś łódź rybacką na oceanie, gdzie mocowała się z falami. Brzegu nie było widać a ona była jeszcze dalej na oceanie, jakie z półtora km. za naszym okrętem.

Kilkakrotnie widać było, jak ją fale zakrywały bo znów na grzbiecie bałwana ukazywała się, aż niedługo straciliśmy ją zupełnie z oczu. Czy też dojechali biedni rybacy szczęśliwie do brzegu?

Z powodu niesprzyjających warunków podróży jechaliśmy tylko dniem, co wzięło trzy dni, zanim przybiliśmy do portu Florianopolis. Florianopolis, stolica św. Katarzyny, leży na wysepce i nie jest dużem miastem. Naprzeciwko na lądzie rozłożyło się miasteczko Sao Jose. Z Florianopolis do Sao Jose prowadzi przez cieśninę most długości około jednego kilometra. Okręty przechodzą pod mostem. W Sao Jose jest pobudowany dom dla emigrantów, ale oprócz dachu nad głową, nic się więcej nie dostanie, co Sta Catharina tłumaczy tem, że jest biedna.

Miałem z poselstwa w Rio dwa listy. Jeden do Agricultury, czyli urzędu rolnego (sekretarjat rolnictwa) o udzielenie mi przejazdu na miejsce. Drugi do prezesa tutejszego towarzystwa polskiego, Andrzeja K., którego p. minister prosił o ułatwienie mi i dopomożenie w moich podróżnych kłopotach. Pan K. z całą przychylnością zajął się tą sprawą i z Agricultury dostałem darmowy przejazd do Itaiopolis. Przy tem dodam coś o p. K. Jest bogaty. Ma we Florianopolis trzynaście domów, kilka restauracyj. Nie potrzebuje ciężko pracować, gdyż pieniądze same mu przychodzą. Ale za młodu napracował się dużo, i w lasach i na drogach i przy różnych kolejach i wszędzie, gdzie tylko się dało. Do takiego majątku doszedł z pracy rąk. Zaprosił mnie do siebie na obiad. Spotkałem na stole kaszę jęczmienną, którą pierwszy raz w Brazylji jadłem. Mówił, że zrobiona jest z jęczmienia brazylijskiego. Zajmuje się czynnie towarzystwem polskim, które liczy 20 członków. Podobno nie ma więcej Polaków we Florianopolis. Pan K., widząc moją liczną rodzinę, i znając z opowieści mojej mój stan posiadania, dał

mi 40 $, jako jednomiesięczną składkę członkowską towarzystwa. Zrobił mi tem wielką przysługę, bo posiadanych przez nas pieniędzy nie starczyłoby. Żona wyszła z okrętu ledwo żywa, a tu znowu mieliśmy wracać okrętem kawał nazad do portu Sao Francisco, skąd mieliśmy pojechać koleją na miejsce. We Florianopolis zabawiliśmy trzy dni o swoim wikcie. W lipcu tutaj jest zima i widać było skutki przymrozków, które tu nazywają mrozami. Liście na bananach i na innych drzewach pożółkły. Zrobiło mi się na duszy trochę weselej, bo zdawało mi się, że jestem bliżej ojczyzny. Powiadali tu ludzie, że dalej od morza musiały być większe mrozy. Nie obawiałem się tego, a wręcz przeciwnie cieszyłem się, że mi Bóg dozwolił dążyć w tamtą stronę. Okrętem do Sao Francisco, żona, jak i poprzednio wymiotowała krwią.

Sao Francisco — małe miasteczko, niemczyzna, na domach niemieckie napisy. W każdym sklepie można się było po niemiecku rozmówić. Mieszkał tam tylko jeden Polak, którego nazwiska nie pamiętam. Zbrazylijszczony pół Polaka. Nawinął mi się jeden furman, który dosyć tanio zawiózł moje rzeczy z portu na stację kolejową. Dobry człowiek. Hotel trzeba było zapłacić za cały dzień, bo tego dnia, w którym przyjechaliśmy do Sao Francisco, już pociąg odszedł. Bilet dostaliśmy do Mafry, stacji kolejowej naprzeciwko Itaiopolis. Ponieważ o Mafrze pierwszy raz słyszałem, więc żądałem wyjaśnienia, dlaczego nie mam jechać tam, dokąd chcę. Objaśnił mię dopiero kolejarz, że kolej do Itaiopolis nie idzie, trzeba tam jechać karocą, która nie będzie więcej kosztować, jak 5 milów. Kolej prowadzi przez góry Serra do Mar. Wszędzie prawie przy kolei bór wycięty. Nawet w górach zbocza wysokie do 1000 metrów, już są porosłe kapoerami. Jest to młody las, który co parę lat tną, palą i sadzą kukurydzę, fasolę i t. p. Chyba, że za jaką karę musiałbym tu żyć w tych stronach. Zabudowania widać w głębokich wąwozach, których spodem wije się niewidzialny strumyk. Tamtejsi mieszkańcy muszą najczęściej wszystko poznosić z pola na plecach, a pewnie w takich parowach duszno i niezdrowo. Ale przy kolei. Choć pod górę kilometr, zawsze przecież bliżej, jak 100 km. z puszczy. Tor kolejowy pokręcony, jak wąż. Zanim się wyjechało na górę, kilka razy się widziało, jak tylna część pociągu idzie w przeciwną stronę, niż przednia. Na samym szczycie góry przystanek. Pociąg stanął przed niewielkim domkiem zbudo-

wanym na równym placu świeżo wyciętego boru. Widocznie potrzeba było tu odpocząć zmęczonej maszynie, bo nie było tu żadnego większego osiedla, ani miasta ani kolonji. Dalej na równinie widok weselszy się przedstawiał, bo tu i ówdzie ukazywały się kolonje i rzadkie miasta. W Mafrze przy stacji spotkałem jednego Niemca, który samochodem wozi pocztę dwa razy tygodniowo do Itaiopolis. Furmanek żadnych z tamtej strony nie było, więc niemczysko od postawionej ceny 40 $ ledwo po wielkim targu 5 $ opuścił, trzymając się tego, że mniej jak mila od kilometra nie weźmie.

Przyjechaliśmy na zachód słońca do Itaiopolis. Tu o zgrozo! dowiaduję się, że ksiądz K. w Itaiopolis nie mieszka. Mieszka na Paraguassu odległem o 8 km. Jak tu zrobić? Wreszcie poczciarz obiecał nas tam zawieźć za 15 $. Znowu targowanie. No, jakoś zgodził się za 10. Przyjechaliśmy przed plebanję dobrym mrokiem. Po krótkim przywitaniu, nie było czasu na dłuższą rozmowę, bo Niemiec wracał do domu, a ja miałem zanocować z rodziną u p. Nazlocha, do którego powrotną drogę wykorzystać należało się zawiezienie rzeczy na tymże samochodzie. Nazajutrz mieliśmy z ks. K. porozmawiać o moich sprawach. Niestety! dowiedziałem się, że posada nauczycielska, na jakiej miałem pracować, już jest parę dni temu objęta. Ksiądz mnie pocieszał, żeby nie tracić nadziei, bo nauczyciel jest młodym chłopakiem i długo na stałem miejscu nie usiedzi. Ja z rodziną mam zamieszkać na kolonji Jana i zająć się narazie pracą jaka się da. No to było koniecznem, bo zasobów przecież nie ma, a bez roboty człowiek nie może być. Nie zrozumiałem dobrze co to za kolonja Jana i musiałem się księdza o to dobrze wypytać. Myślałem, że kolonja ta jest własnością Jana, ale jaka jej nazwa? Nie, odpowiedział ksiądz, właśnie to jest jej taka nazwa przekręcona na polskie z brazylijskiej Sao Joae. Mieszkać mam w domu p. M., który poszedł daleko w bory, gdzie kupił sobie duży szmat ziemi. Budynki gospodarskie są próżne i koło domu ogród, gdzie mogę sobie uprawiać co dla mnie będzie odpowiednie. Reszta ziemi p. M. jest to herwal, to znaczy rośnie, na polskie, herbata brazylijska w lesie czyszczonem i najwyżej służy za pastwisko. Pan M. przyjeżdża co rok zrobić herwa — matę (herbatę) po spieniężeniu której wraca nazad w bory. Po dłuższej rozmowie, porównaniu Espirito Santo z tutejszą okolicą i o sprawach społeczno-

oświatowych, dowiedziałem się że jest w okolicy parę szkółek próżnych, ale gospodarze, choć Polacy, wymagają nauki języka brazylijskiego, do czego ma się rozumieć nie jestem odpowiedni. Obiecał mię swoimi końmi odwieźć na ową kolonję, dokąd było 8 km. No i rzecz, choć zawiedziona ale skończona, bo już i to włóczenie się po tej Brazylji mi się uprzykszyło. Choć nie na swoich śmieciach, ale narazie posiedzi się jakiś czas w miejscu. Za pozostałe 40 $ z podróży, kupiło się życia w sklepie w Paraguassu, ażeby pierwszego dnia nie włóczyć się po kolonji. Zdziwiło mię, że taka fasola tutaj tania.

Za wyjątkiem Aguia Branca, wszędzie po miastach cena jej była około 1 mila kilo, a tu za 10 kg. zapłaciłem 3½ mila. Jak się potem od kolonistów dowiedziałem, to zdarli ze mnie, bo gospodarze nie mogą wziąć więcej, jak 7 do 8 milów za kalgierę (100 kg).

Skończone. Doszedłem do tego, że zostałem wyrobnikiem. Żona zajmowała się szyciem i chodziła też do roboty w pole. Najstarszy chłopiec poszedł na służbę za 5 milów miesięcznie. Ja też chodziłem na zarobek do ludzi. Wprawdzie nie z dużem szczęściem, bo w takich robotach jak: fojsowanie czyli cięcie kaper, albo z siekierą nie znałem się wcale. Pierwsze pole i z początku szło mi licho. Bali się mnie brać do roboty, ażeby darmo nie płacić. Był to jak raz czas siewu zboża i w ogrodzie p. M. zasiałem połowę żyta, a drugą okopowemi się zasadziło. Cały ogród miał około morgę pola. Żyto się nie udało. Z wysianych 15 kg. omłóciłem 27 kg. pośladu. Mówią tu powszechnie, że zaraziło. Może być, nie miałem czasu na dociekanie tego, ale zdaje mi się, że to inna przyczyna. Zdaniem mojem: brak uprawy i nawozu, to prędzej. Pomimo tego, że kapoera miała cztery lata i po spaleniu zostało dużo popiołu, ale zarosło zielskiem okropnie, wyżej zboża. Chwast ów to piniorinia, gatunek naszego perzu, pozatem brak w ziemi pokarmu fosforowego, który tu na uboższych i często używanych ziemiach jest prawie doszczętnie wyczerpany. Co było robić? Cały boży rok trzeba kawałek chleba wypracować. Rzadko się go też jadło w domu, chyba że u ludzi jak się pracowało. Najgorsze dzieciny, boć przecież nie można brać z cudzego stołu dla nich do kieszeni. Swoją drogą nie ma co narzekać na tutejszych ludzi, gotowi z pomocą, ale czasy w których z rodziną zjawiłem się w te strony były największym kryzysem. Wszystko co rolnik produkował było bar-

dzo tanie, jedynie żyto w tym roku płaciło 50 $ kalg. Ale też ze świecą trzeba było go szukać. Za dubeltówkę, którą kupiłem w Rio, jadąc na kolonję Aguia Branca, dostałem krowę i prosiaka. Krowa zabiła się zaraz pierwszego dnia. Była na ocieleniu i nie chciałem jej puszczać na noc między obce bydło, bo była z innej kolonji. Uwiązałem ją w szopie, a nie była nigdy wiązana, wpadła kręcąc się między legary przy przybudówce i kark skręciła. No i ostatnia nadzieja przepadła. Za zasłużone przez chłopca 10 $ dostałem drugą świnkę którą upasło się na rzeź. Pierwsza była dobrą maciorą.

Wydzierżawiłem około morgę ziemi pod kukurydzę i fasolę. Z przygotowaniem ziemi pod siew miałem trochę myślenia. Jak już wspomniałem, ludzie tutaj tną kapoery (krzaki) palą i zaraz sadzą, nie orząc. Moja kapoera była młoda, dwuletnia. Rosło dużo kępiastej wysokiej trawy. Choćby i spalić, to trawa będzie puszczać z korzenia. Pielenie motyką dużo da roboty, bo wszystkie kępy trzeba wykopać. Namyśliłem się zaorać, choć mnie to dość kosztowało, bo konie i ziemię obrobić, to wzięło dość czasu. Ale za to urodzaj był wyborny. Lepszy jak na kapoerach cztero czy pięcio letnich. Kukurydzy sprzątnąłem trzy wozy, po jakie 5 kalgier wóz, bo się ją sprząta całemi pałkami. Fasoli dało trzy kalgiery. Fasoli starczyło na cały rok, kukurydzy zabrakło, bo nietylko ludzie, ale i świnie i kury, wszystko się tu żywi przeważnie kukurydzą. Resztę się musiało kupić.Zarabiałem dniówkę po $3^1/_2$ mila. Nie zawsze była robota u ludzi. Gdy jej brakło, pracowałem na swojem polu które odnajmowałem za odrobek na żyto, pszenicę, kartofle i t. p. Wynajęcie ziemi pod kukurydzę i fasolę, którą sadzi się między kukurydzą kosztuje tu dość drogo: 100 do 120 $ za alkier = 2,5 ha.

Ośmieliłem się prosić pana ministra o pożyczkę, co było bardzo pożądane w początkach dla poratowania życia. Pan minister przysłał mi 300 $ zapomogi bezzwrotnej, za którą moja rodzina wdzięczna będzie do śmierci. Kupiliśmy za te pieniądze krowę z cielakiem i ubranie, gdyż z zarobku trudno było kupić coś więcej poza życiem. Krowa ta dość dobrze się chowała, było mleko i przychówek, więc życie trochę się rozjaśniło. Na drugi rok zasiałem więcej zboża, tak że chleba starczyło. Kukurydzy $^1/_2$ alkra, ale się nie udała, choć kapoera była stara. Nie mogłem zaorać, bo dużo było pieńków. Zresztą ziemia była o wiele lichsza.

Ludzie, którzy wyszli z tej kolonji z p. M. w bory, założyli tam nową kolonję, pod nazwą Rio da Prata. Chcieli jakiego takiego nauczyciela dla swych dzieci. Otrzymałem stamtąd list, czy bym nie zechciał się tam udać w charakterze nauczyciela. Na miejscu młodego chłopaka w kol. Jana, na drugi rok przybył nowy nauczyciel, też emigrant z Łotwy, niejaki pan Issakowicz, z którym utrzymywałem dobre stosunki. Praca oświatowo-społeczna zawsze mię interesowała i brałem prawie zawsze czynny udział w przedstawieniach amatorskich, odgrywanych w miejscowej szkole. Od pana I. dowiedziałem się, że instruktor objazdowy polski tutejszego okręgu wybiera się na Rio da Prata, ażeby zorganizować tam Towarzystwo Oświatowe. Napisałem do instruktora p. G. podanie o posadę nauczycielską, wysuwając swoją kandydaturę na nauczyciela w Rio da Prata. Pan G. przychylnie załatwił moją sprawę i wyjednał dla mnie lepsze warunki, niż mi poprzednio obiecano, a mianowicie: kukurydzy od każdego posyłającego dzieci do szkoły 4,5 kalgiery rocznie, jednego prosiaka dwa litry soli i jeden dzień pracy w polu, które ofiarował mi na kadencję nieokreśloną jeden gospodarz, pieniędzy 25 $ miesięcznie. Warunki nie lepsze, jak na wyrobku, ale do tego pracując w polu poza nauką w szkole, też się coś wyrobi. Żona może też coś zarobi na szyciu, a po drugie tam można podobno, jak mi opowiadano, nabyć ziemi taniej. Wprawdzie nie od kolonistów, ale od rządu, którego ziemie leżą obok kolonji Rio da Prata.

Miałem się tam udać w październiku po wybudowaniu dla nauczyciela mieszkania, ale nie wychodziło inaczej, jak w czasie siewu żyta, aby tam zasiać coś zboża na chleb. Więc w sierpniu po dwuletnim pobycie na kolonji Jana, kiedy przyszły wozy z boru, wybrałem się tam z całą rodziną. Bydło, którego już było trzy ogony i świnie sprzedałem w miejscu. Tam miałem kupić krowę, na którą zabrałem z sobą odpowiednią kwotę, za resztę pieniędzy kupiło się ubrania, nafty całe blaszane pudło około 20 litrów, no i naczyń kuchennych, których już zaczynało brakować. Jechaliśmy aż trzy dni jedyną okrężną drogą te 100 km. jak liczono. Zanim pobudowano na placu szkolnym mieszkanie, ja z rodziną ulokowałem się w stodółce, w której po przeniesieniu się do mieszkania uczyłem później dzieci. Na drugi rok pobudowano szkołę, gdzie przeszło trzy lata pracowałem.

Założone przez pana G. towarzystwo rozdzieliło się na dwa i na drugim końcu kolonji powstało drugie. Środek kolonji zaraz z początku się oderwał nie chcąc należeć ni tu ni tam. Kolonja ma przeszło 25 km. długości. Na drugim końcu pobudowano ładny i duży budynek szkolny. I tu uczę od nowego roku. W pierwszym roku dostawałem zapomogę z Wydziału Oświatowego przy Centralnym Związku Polaków w Brazylji po 25 $ miesięcznie. To mnie dużo ratowało. Ale w drugim roku Wydział Oświatowy zapomogi cofnął dla takich małych szkółek. Na drugi rok dostałem tylko gratyfikację 150 milów. Obiecano mi i na zeszły 1935 rok jednorazową zapomogę, ale jej nie otrzymałem, bo nie byłem w Kurytybie, a W. O. takowej nie przysyła na miejsce. Dwa razy byłem na kursach nauczycielskich jednomiesięcznych w Kurytybie, stolicy stanu Parana, gdzie jest największe skupisko Polaków. Poznałem organizacyjne sprawy polskie w Brazylji. Główną organizacją jest Centr. Związek Polaków w Brazylji z wydziałami: oświatowym, rolniczym, sportowym, czyli wychowania fizycznego. Należy do C. Z. P. większa część towarzystw oświatowo-rolniczych rozrzuconych po interjorze. Dlaczego nie wszystkie? Bo inne skupiają się w Towarzystwie Oświata, starszem od C. Z. P., a kierowanem przez kler. Dlatego rozłam i różne nieprzyjemne dla społeczeństwa polskiego tarcia. Nauczyciele zorganizowali się w Zrzeszeniu Nauczycieli Szkół Polskich w Brazylji. Nie wszyscy, bo składka 2 mile miesięcznie może być uiszczana tylko przez tych, którzy otrzymują należną pensję. Ja już dwa lata składki nie płacę. Są rozrzucone po okręgach szkolnych Ogniska Nauczycielskie, w których nauczyciele pomagają sobie wspólnie w swej pracy. Tutaj w borach pracuję sam jeden z rzadkimi wyjątkami, bo nauczyciele nie mogą długo na takich posadach wytrzymać. Zdaje się, że i ja ostatni rok tutaj pracuję. Na 40 $ pensji miesięcznej, każdy z posyłających wpłaca po 10 $, bo jest ich tylko czterech. Zsypka 30 kalgier (korcy) kukurydzy, pewnie mnie wszystka nie dojdzie, bo już kilku się cofa. Wszystko swoje trzeba wyprosić po dziadowsku i jeszcze dużo na plecach przynieść. Więc taka dziadowska posada już mi się przejadła. Gospodarze co prawda płacą drogo i chcieliby, żeby najmniej dwa razy tyle nauczyć co można, więc w żaden sposób zgodnej harmonji z nami być nie może. Po drugie jeszcze i to że dobrze żyć z kimś, to trzeba i razem pić, bo pro-

szę! co tu wódki się wypija! A nauczyciel choćby tylko dla nie odróżniania się nie odmówił towarzystwa przy kieliszku, to znów nie ma za co. A ponieważ przy wódce ambicja się podnosi i każdy staje się wielkim panem i mocarzem, no to co tam biednemu między nimi robić. Najbardziej tego nie można znieść, jak się taki mądral-analfabeta wtrąca do nauki, albo do porządkowania szkoły. No, przecież uważają nauczyciela za swego służącego. Moja żona dwa lata musiała podłogę myć w szkole, a jak w trzecim roku nie chciała, to wielka pani, z czego przyszło więcej kawałków przykrych i trzeba było pierwszą placówkę opuścić. To nie każdy potrafi i może znieść takie rzeczy. Dużo się odpala i reaguje w rozmaity sposób, aleć zawsze człowieka obchodzi. Nauczyć zaś nie da się tych ludzi. Każden skończony mądral, bo mają się prawie wszyscy dobrze. Ziemi każdy posiada dużo, świni po kilkadziesiąt sztuk, koni roboczych każdy stara się mieć najmniej cztery, bo w parę z tutejszych marnych dróg nie wyjedzie. Z pszczół robią niektórzy rocznie tysiące. Bydło nie daje tu nic. To puszcza. Tam w kraju nie macie dosyć pojęcia o zdziczeniu, jakie się tu objawia. Nauczyciel, a nawet ksiądz nic nie może poradzić. Z bólem serca i ze zgrozą patrzy się na to, co się tu wyprawia na balach. Już teraz nie da się żadnego balu urządzić w szkole na rzecz towarzystwa, lub kaplicy, którą mają tu budować. Na ostatnim balu jeden postradał oko, a inny leżał cały miesiąc i o mały włos nie poszedł na tamten świat. Takich co się trudnią bijatyką jest tu mniej więcej 50%. Zbierają się całe rody do bitki: strzelanina, huk, jęk, panika, jak na wojnie, bo tu przecież każdy uzbrojony. Ma się rozumieć jako siłacze i gardlarze wszystko dobre psują tak, że oświata nie może iść naprzód. Im lepiej się powodzi ludziom, tym gorzej ich duszom. Już nawet i zebrań towarzyskich nie można urządzić bo nuż tam się wyłoni jakaś potrzeba ogólnospołeczna, na którą należałoby się dać składkę. Swoją drogą praca nauczycielska jest tu bardzo ciężka i siły ducha są na wyczerpaniu. Nauka dzieci w szkole też nie może iść w takim tempie jak w kraju, bo dzieci są takiegoż samego animuszu, jak rodzice. Zawsze się trafi jakiś procent takich, co od pierwszych początków wojowniczo są usposobieni do nauczyciela, a przychodzą dryblasy kilkunastoletnie, bo szkoły już tak dawno nie było. Po drugie: element jaki tu wyemigrował z kraju za kawałkiem chleba, kil-

kadziesiąt lat temu, pod względem rozwoju umysłowego stoi bardzo nisko, dzieci takież same, dodać trzeba jeszcze skaleczenie mowy portugalszczyzną co się najbardziej odbija w nauce gramatyki w oddziele drugim i trzecim. Najczęściej tu zaczynają posyłać dzieci, jak ukończą 10 lat, bo dzieciak wychowując się nieraz w dwóch językach, żadnego dostatecznie nie zna. Stąd też taki marny stan szkolnictwa. Przychodzą do szkoły dzieciaki czasem 12, 13-letnie, nie umiejąc pacierza. Rachować, 13-letnia podwika, co już za dwa lata wyjdzie napewno za mąż, umie zaledwie do 3-ch. Trzeba być urodzonym psychologiem i pedagogiem, ażeby kurs przepisany w programie przejść. No i z pomocą boską przechodzi się. Bardzo mały procent dzieci pozostaje na przyszły rok w tym samym oddziele. Ale pracować potrzeba i to z poświęceniem się, nie zważając na przykrości z zewnątrz.

Takich polskich szkółek w Brazylji jest większość. Tam jest trochę lepiej, gdzie polski nauczyciel, ucząc pół dnia po brazylijsku, dostaje zapomogę rządową, ale na takich posadach nauczyciel pobiera pensji 150 $ miesięcznie. Rząd brazylijski daje subwencji 40 do 50 milów, a resztę koloniści muszą dopłacać. Choć pieniędzy bierze więcej, ale kłopot ma ten sam co wszędzie, bo też niedobory, skargi, narzekania i niezadowolenia obustronne. Urządza się bale, przedstawienia i różne imprezy dochodowe, aby tylko dalej się pchało i pomimo to wiele szkół stoi próżnych. Ten stan rzeczy nieprędko da się tu naprawić. Z jednej strony niezgoda i ciemnota kolonistów, którzy aby solidarnie szli, łatwiejby było utrzymać szkółkę. Z drugiej strony konieczna pomoc skądś z zewnątrz nauczycielowi, aby nie był zniewolony na uniżanie się, co podrywa autorytet nauczycielski, i na przedwczesne opuszczenie posady, co niejednemu z rodziną, z powodu przewożenia się na daleko oddaloną posadę, widmo nędzy w oczy zagląda. Mojem zdaniem Wydział Ośw. niedokładnie sobie zdaje sprawę, opuszczając odległe kolonje, bo tu trudniej o grosz, a po drugie koloniści już się przyzwyczaili bez szkoły, więc wydatek na nią wydaje im się bardzo ciężki i trudny. Chociaż dzieci w kolonji jest dużo, do szkoły uczęszcza zaledwie kilkoro a najwyżej do dwudziestu. Gdyby opłata za naukę była tańsza, z pewnością chodziłoby więcej dzieci. Tutejszy Wydział Ośw. czerpie fundusze na szkolnictwo polskie w Brazylji ze Światowego Związku Polaków z kra-

ju. Subwencjonuje stale profesorów w tutejszych kolegjach polskich. Wysyła też w ostatnich latach co roku kilku chłopaków młodych z Brazylji na Kurs Wiedzy o Polsce. Taki kursista Wiedzy o Polsce na naszych zapadłych kolonjach nic nie poradzi, bo wszyscy instruktorzy i doradcy są tu niemile widziani. Potrzeba by było więcej tu wzorowych gospodarzy, co dałoby się uskutecznić przez wysyłanie synów tutejszych rolników do szkół rolniczych, na co niejednego, który rozumie tę potrzebę, nie stać. Jak widać dotychczas, to nasi Polacy prędzej się nauczą od Niemców i Italjanów, niż z naszej Centrali Oświatowej. Gospodarstwa rolne tu prowadzone są pierwotnie. Narzędzia rolne to siekiera, fojs, graca czyli motyka, no i sierp. Pług i brona używane są po jakich dziesięciu latach gospodarki leśnej i to rzadko tak że się o tem zapomina. A na starszych ziemiach pług przysparza dwa do czterech razy więcej plonu. Ale boją się orać, bo po pługu lubi się puszczać trawa, tak zwane siano, co daje dużo pielonki. A teraz czy wysłać takich chłopaków na kurs rolniczy tylko do Polski czy tu w Brazylji. Zależałoby to od funduszów. O ile by się dało, to i tu i tam. O ile by fundusze nie pozwalały to lepiej tylko tu w Brazylji. Bo tu są uprawiane rośliny, nadające się do tego klimatu i tej ziemi i uprawy tych właśnie roślin należałoby tutejszych rolników wydoskonalić. W kraju dobrzeby było taki kurs przejść dlatego, że tam uczeń widzi wszystko wyraźniej. Cztery pory roku są tam jasno rozróżnione, i prace rolne w każdej porze roku są wyraźnie uwidocznione. Działanie dodatnie mrozu na glebę w Polsce doskonale uzmysłowi uczącemu się jego pomocną rolę w uprawie ziemi. Wiosna, jesień — siew zboża, uprawa roli sposobem mechanicznym, dobrze i prędko. Lato — sposoby szybkiego sprzętu zboża, co dawałoby tym nowym rolnikom bodźca do przyszykowania ziemi, aby można było wejść na nią z narzędziami mechanicznemi dla szybszej obróbki. Zdaje mi się, że kursista widząc dużą wydajność ziemi umiejętnie obrabianej, nie będzie potem osiadłszy na swojem gospodarstwie, zbywającego grosza przepijał, ale włoży w gospodarkę, z czego będzie miał zysk i moralne zadowolenie, a inni, widząc na własne oczy skutki umiejętnej pracy, pójdą za takim dobrym przykładem. Gdyby czynniki miarodajne w kraju połączywszy się z tutejszymi wspólnie wzięły się ku pomocy nam wychodźcom, zmuszonym wydobywać

chleb z puszcz brazylijskich, spełnionoby obowiązek społeczny tym sposobem najlepiej dla dobra rodaków i ku chwale imienia polskiego, bo Brazyljanie innej narodowości braliby z nas przykład. Wspomniano tu kilkakrotnie o potrzebie banku polskiego w Brazylji. Do tego czasu cicho. Przy pomocy takiego banku niejeden światły a niezamożny mógłby, czy to gospodarstwo rolne, czy też drobny przemysł podnieść. Ogólna pomoc w oświacie, z jakimś szczególniejszym wpływem na tych najciemniejszych mieszkańców puszcz, ażeby nauka dana dzieciom w szkole nie poszła w las. Biblioteczki po towarzystwach w kolonjach powinny być w każdej szkole.

Na zakończenie dodam, że w Brazylji biedny a pracowity prędzej się dorobi i może żyć lepiej jak w Polsce. Tam drobny rolnik mięso je tylko w święta, tutaj, jak mu się poszykuje przychówek: świnie, kury, może jeść nie tylko co niedziela, ale i co dzień. Jajka, przeważnie daleko w borach wszystkie są zjadane, a w kraju pamiętam tylko na Wielkanoc. Wprawdzie i tu jest „bieda", bo gdzieby jej nie było. Mnie naprzykład, w zeszłym roku padło 15 sztuk świń, więc w tym roku muszę dokupić słoniny. A w zeszłym roku sprzedałem dwa tuczniki, na ziemię i budynki. Prawdę mówiąc, to ziemię dopiero trzeba kupić, ja dałem tylko zadatek 100 $ i to nie na ziemię, a za robotę, bo ziemia rządowa. Nabyłem to od pewnego Polaka, który 10 czy 11 lat wszedł tu wraz z kilkoma innymi do lasu dziewiczego. W przyszłym roku mam mu dopłacić resztę 425 milów. Podobno wkrótce ma przyjść pomiar ziemi i wtenczas się każdy dowie ile jej posiada. Mojej ziemi ma być 150 m. szerokości i około półtora kilometra długości, tak mniej więcej 20 ha. Mówią że pomiar trzeba zaraz zapłacić, co ma kosztować po 150 rs. od metra po granicy. Ziemia ma kosztować od 25 do 35 $ hektar, spłata trzy lata, ratami.

Pobudowałem się na początku bieżącego roku. Chałupa i kuchnia kosztują mnie 600 $. Trochę się zadłużyłem, bo wszystkich pieniędzy na budynki nie miałem, ale do tego czasu już dług na budynki spłaciłem. W tym roku odwaliło się przeszło 300 $ długu. Nie jestem jednakże wolny od niego. Ciąży na mnie jeszcze około 100 $ w tutejszych sklepach, najem robotnika przy płocie, kowal i za książki w składnicy Zrzeszenia Nauczycielskiego, z czem nie mogłem się uporać od razu. Fiżonu (fasoli) w tym ro-

ku się dokupuje, bo mało się wsadziło z powodu przenoszenia się na nową kolonję. Do tego żyto w roku zeszłym grad wybił więc obecny rok jest dość ciężki. Teraz rodzina moja mieszka już we własnym domu na sąsiedniej kolonji „Mirador". Mirador odległy jest od Praty w najbliższej prostej linji 4 km. Ale od szkoły, w której pracuję będzie około 10 do 12 km. Prawie co sobota dążę odwiedzić rodzinę, w niedziele po południu powracam nazad do zajęcia. Jeść gotuję sobie sam, a więc nie wiele mam czasu poza pracą w szkole. Wolnym czasem czytam i piszę, uczę się też portugalskiego, którego już mi niewiele brak. Mirador jest w takim położeniu, że w krótkiej przyszłości może zamienić się w miasteczko. Kiedy przebito drogę na Mirador z południa, zmienił się w ciągu jednego roku do niepoznania. Wzrósł trzykrotnie. Jest tu już trzy sklepy, bo z czterech stron zbiegają się tu drogi. Mamy budować w roku przyszłym szkołę, a może i kaplicę. Dzieci w wieku szkolnym, włącznie z sąsiednią kolonją brazylijską — Mendys, będzie tam około 40. Potrzeba języka brazylijskiego, a może być niezła posada nauczycielska, wspomagana przez rząd. Jestem obecnie tej myśli: jeżeli nie pozostanę tu, to będę się starał o Mirador. Gdyby się tam nie dało, będę pracował na roli, bo choć Wydz. Ośw. zawsze chce mi dać inną, lepszą posadę, ale ja nie lubię włóczyć się po świecie. U mnie na rzeczce dałoby się coś założyć. Brak teraz kapitału, ale mam zamiar, o ile Pan Bóg dopomoże, wody darmo nie puszczać. Taki najbiedniejszy tartak, który tu jest bardzo potrzebny, dałby dochodu dziennie około 20 milów. Przydałby się i młyn, olejarnia, albo tkalnia, co wodą niedrogo by kosztowało. Wymieniam taki przemysł na którym się znam, bo z tem zawsze się miało do czynienia w życiu. A tu w Brazylji potrzeba tego przemysłu jest gwałtowna. Wszystko opłaciłoby się sowicie. Aby tylko Bóg dopomógł uporać się z wypłatą na ziemię, myślę przy pomocy moich synków powoli brać się za przemysł. Jest to, jak na obecne moje położenie, za śmiałe przedsięwzięcie, ale z doświadczenia mam wiarę, bo dotychczas pomimo biedy, zawsze upragnione cele osiągałem. A dla dzieci człowiek musi czynić wysiłki, ażeby im dać nie tylko utrzymanie ale i wykształcenie choćby równające się memu.

Najstarszy mój synek 17 letni jest na drugim kursie kolegjum Kopernika w Marechel Malen w Paranie, gdzie korzysta z całko-

witego stypendjum W. O., mam nadzieję, że i młodszych będę mógł też pchnąć na naukę, bo mają ku temu nadzwyczajne zdolności. Dwaj z nich już skończyli trzeci oddział szkoły początkowej. W tym roku do szkoły nie chodzą, bo z powodu długu i dlatego, że z powodu oddalenia po szkole nie mogę pracować w polu, muszą oni mnie zastąpić. W tym roku wycięli pół alkra lasu (2 morgi) na żyto, pszenicę, jęczmień i okopowe, które jest już posiane i zasadzone. Teraz tną bór na kukurydzę, fasolę, i inne warzywa. Biedne chłopaki, powinny być w szkole! Ale pracują z ochotą i posłusznie. Jeden 13-letni, a drugi 11-letni. Obiecali znów zwalić pół alkra boru, do tego pół alkra kaper, które już ścięli, co powinno wystarczyć na kukurydzę. Najmłodsza córeczka z Polski, siedem lat, skończyła też elementarz i dobrze czyta i pisze. Córka 15-letnia pomaga żonie w domu i w polu. Troje urodzonych w Brazylji, dwóch chłopców i dziewczynka bawią się przy domu.

Stan zdrowotny rodziny jest średnio zadowalniający. Na lekarstwa wydaje się rocznie 15 do 20 $. Ja często cierpię na ból zębów i oczy też bolą z powodu wysiłku wzrokowego, podobno należałoby się używać środka na oczyszczenie krwi. Trzykrotnie korzystałem z bezpłatnej pomocy lekarskiej. Raz będąc w Rio gdzie jeszcze pojawiły mi się wrzody na nogach. Drugi raz w Kurytybie doktór, Marszałek Szymański udzielił porady na oczy, no i zęba p. dentystka Marja K. wyrwała a gratis. Biednym nauczycielom z chęcią ofiarowują wspaniałomyślni ludzie pomoc. Dzieci dostają wole, którą się leczy jodem. Żona też czasem niedomaga. Gazetę Polską, tygodnik wychodzący w Kurytybie, którą prenumeruję od czasu, jak zostałem nauczycielem, dzieci moje czytają z wielką ciekawością. Poza tem mają dużo rozrywki z gazetkami szkolnymi, redagowanemi przez Zrzeszenie. Rozwiązują zagadki, szarady i łamigłówki, za co jeden otrzymał już nagrodę w postaci pięknej książki „Historja Polski". Potrafią czytać i po brazylijsku, choć mało rozumią, bo w szkole pół dnia uczę też tego języka, co uważam za konieczne.

Miejscowość nasza oddalona jest od urzędu municypalnego o dwa dni drogi. Jeszcze tam nie byłem i z urzędnikami municypalnemi się nie znam. Należy nasza kolonja do municipium Harmonia Hansa, ale tam drogi wozowej jeszcze nie ma przeprowa-

dzonej całkowicie. Więc i nic nie można się spodziewać od takiego urzędu. Teraz wszyscy koloniści jeżdżą w stronę innego municipium do miasta Barra do Taio, gdzie jest urząd pocztowy. Kolonja Rio da Prata ma swojego sołtysa, który załatwia sprawy po polsku. Mirador należy pod innego sołtysa mieszkającego o kilkanaście km. na jednej kolonji brazylijskiej. Jest on tam nauczycielem, a z urzędu sołtysa spełnia głównie rolę policjanta. Jest niesympatyczny i niesumienny.

Należymy do parafji Itaiopolis, skąd ksiądz przyjeżdża co dwa do czterech miesięcy, zależnie od stanu dróg, bo parafja ta jest bardzo rozległa, a księży jest tylko dwóch. Jeden prawie stale w objeździe. Spodziewamy się utworzenia nowej parafji z kościołem na Miradorze, o czem z księdzem już było gadane. Czy tak będzie, pokaże przyszłość.

Kończąc wspomnę jeszcze, że z tutejszej okolicy pojechało kilku, ma się rozumieć zamożnych rolników, do Polski odrodzonej. Jedni zobaczyć, a inni z zamiarem pozostania tam na stałe. Wszyscy poprzyjeżdżali nazad do Brazylji, bo mówią że tu lepiej. I ja, z nadzieją doczekania się tu lepszej doli ślę takież życzenia pozostałym tam w ojczyźnie rodakom.

P. S. Praca niniejsza w takim zakresie jest pierwszy raz przeze mnie pisana. Z powodu niewyrobienia dostatecznego i pośpiechu pominąłem kilka wzmianek, które o ile by Sz. Urząd Instytutu Gospod. Społecznego uważał niniejsze za zgodne do opracowania, wartałoby dopisać i w odpowiednie miejsce wstawić. Dalej, co uważam za potrzebniejsze to ilość spożytych produktów obecnie przez moją rodzinę. Mianowicie: żyta 6 do 7 kalgier rocznie. Pszenicy 1 do 1,5 kalg. Fiżonu w tym roku 4 kalgiery, bo nie ma z powodu nowej gospodarki jeszcze okopowych i różnych warzyw. Gdy te są, fiżonu, czyli czarnej fasoli spotrzebowywa się $^1/_3$ do $^1/_2$ kalgiery rocznie. Słoniny i innych tłuszczów łącznie 30 kg. na miesiąc, może trochę mniej, bo dokładnie się nie oblicza. Bije się utuczonego prosiaka, wagi około 4 do 5 arrób, co starczy tak przeciętnie na trzy miesiące. Te 4 czy 5 arrób, to samej słoniny, a sadło, które się wytapia na smalec, też się zjada. Aroba = 15 kg. Mięso się zesmaży, lub wysuszy, ażeby najdłużej mogło przebyć nie psując się. Drób dotychczas biło się na rosół. Te-

raz pewnie będzie można coś sprzedać, bo lepszy ruch się zrobił w okolicy. Podwórze jeszcze nie ogrodzone. Brak sztachetów, ale klocc na nie już są gotowe i część jest przy tartaku na Rio da Prata. Swojemi siłami wykopało się studnię, postawiło się chlewek dla świń i kurnik. Posadzono 20 i parę drzewek owocowych, co jest ogrodzone płotem z żerdzi. Stoi też i piec chlebowy. Inwentarza żywego posiadam bardzo skąpo. Tylko jedna krowa. Koni nie ma. Świń zaledwie trzy, i kilkoro malutkich prosiaków. Drób: kury i kaczki zaczyna się na nowej gospodarce rozmnażać.

Dn. 9 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 16

Rolnik w Santa Catharina, syn komornika z nad Gopła, ur. w 1879 r.

Pięćdziesiąt siedem lat temu urodziłem się w ziemi piastowskiej w nadgoplanej Dąbrówce w chacie komornika.

Nic ciekawie rosłem do lat siedmiu. O mojem żywocie nic nie wiedziałem. Dla mnie żyło i istniało to co widziałem wokoło, a że w środku byłem ja nie spostrzegłem tego. Aż tu pewnego razu leci do mnie rogata krowa, ze spuszczonem łbem, wytrzeszczonemi ślepiami i chce mnie przebić. W krótkiej koszulinie na bosych nogach uciekłem i schowałem się pod próg stodoły... i tu dowiedziałem się że jestem ja osobnem stworzonkiem, którego krowa nie lubi.

Pół roku chodziłem do niemieckiej szkoły. Nienawidziłem jej. Coś się w cichości we mnie buntowało. Traktowano mnie jako nieuka. Jedynie lubiałem sylabizować z matką w domu, bo to rozumiałem. Najwięcej podobał mi się kościół w Mogilnie i błyszczące jezioro.

* * *

Ni stąd ni zowąd dowiedziałem się, że jedziemy do Brazylji. Ucieszyłem się, że rudy nauczyciel zostanie, a ja pojadę. Nie długo rodzice się namyślali. Rząd dał wolny przejazd, więc hajda do Brazylji. Po raz pierwszy wsiadałem na pociąg. Na stacji w Poznaniu siedzieli emigranci z tłomokami. Brzuchate prusaki stali przy tabaku, pili, spoglądali na nas pogardliwie i szyderczo się

śmiali. Dziś dopiero zdaję sobie sprawę, że to z nas drwiono. W Bremen wleźliśmy po moście na okręt. Ludzi było jak mrowia. Nie znalazła się chyba ani jedna osoba, któraby nie płakała. O co płakali nie wiem? Zimno było wielkie. Statek jechał po bryłach lodowych. Stawaliśmy tu i tam. Raz po kostki naleciało wody do kajut. Strach był wielki bo ludzie modlili się. Potem było gorąco i chcieliśmy się upiec. Ludzie porozbierani leżeli byle gdzie.

Przyglądałem się czarnym ludziom, a oni pokazywali mi białe zęby. Zawieziono nas na wyspę. Zachorowała starsza siostra, wzięto ją gdzieś i więcej nie wróciła. Mama płakała i powiedziała że Hanka umarła.

Gorąco. Starsi kąpali się włażąc po kark do wody. I ja rozebrałem się do naga. Pluskałem po piasku pępkiem na dół. Słonko spiekło mi plecy aż po łydki. W nocy leżę na brzuchu, bo plecy mi się palą. Powiedzieć się boję, bo napewno po tych plecach dostałbym lanie. Cierpię dzień dwa. Co ci? pyta matka. — Nic. No to nic, pojutrze jedziemy do Parany. Co tobie? — Nic. Kto tak śmierdzi?...

Aż wreszcie dobrano się do moich pleców. Parciak się przylepił i zacząłem gnić. Zawieziono mnie do szpitala, przylepiono jakąś płachtę od szyji do kostek. Na drugi dzień przyszedł doktór, ujął płachtę za rąbek koło szyji i pociągnął. Zaiskrzyło mi się w oczach, mdło mi się zrobiło zemdlałem. Po trzech tygodniach wyszedłem ze szpitala jako obywatel brazylijski z nowo porosłą skórą. Wszyscy znajomi odjechali dawno. Do Paranagua jedziemy małym okrętem. Na słonko nie mogę się pokazywać. Siedzę w środku. Zaduch i smród aż dusi. Myślałbym że wszystkim plecy gniją, gdyby nie leżeli na wznak i spokojnie chrapali. W Paranagua stanęliśmy w dwupiętrowym baraku. Za dwadzieścia cztery dni mamy jechać do Kurytyby. Chciałem napatrzeć się na morze. Stały tam różne łódki, wsiadłem na jedną. Przerabiam łopatą to w tą, to w tamtą, idzie. Był odpływ i wkrótce oddaliłem się ze 100 metrów od brzegu, ja w krzyk i nie wiele myśląc wyskoczyłem z łódki. Po kolana wpadłem w błoto, a po ramiona we wodę. Szczęściem jakiś rybak przyszedł mi z pomocą. Na brzegu czekała mnie matka. Jak bardzo była wylękniona, tak bardzo mnie sprała i to po tej nowiusieńkiej skórze nie przyzwyczajonej do perepetji. Ach! to pamiętam, chyba pod planetą boleści się urodziłem.

Z Kurytyby dostaliśmy się do baraków w Tomas Coelho. Baraki przepełnione. Jeden koło drugiego. Prycza przy pryczy i nad pryczami prycze. W nocy jeszcze można wytrzymać ale w dzień jak słonko przygrzeje, rzucona siekiera zawiśnie w powietrzu. A w lesie jeszcze gorszy smród aż drzewa sztywno stoją. Trudno wszyscy chodzili za barak jak za stodołę. Aż pewnego razu wybuchła jakaś cholera i straszliwie u nas grasowała. Umierali młodzi i starzy. W barakach leżało pięć, sześć trupów dziennie. Jak tylko ostygł zabijano w pakę i wleczono na cmentarz. Dzień i noc zbijano trumny i kopano doły. Pamiętam, w dzień kiedy umarła i moja matka pochowano ośmiu tułaczy.

Po czterech tygodniach przysłał rząd duże wozy z budami i ci którzy żyli uciekali na Lucenę. Ciągnyliśmy przez Araukarję, Lapę do Rio Negro. Było to ze 200 km. W Negro dowiadujemy się, że Lucena jeszcze nie pomierzona. Inżynierowie miernicy rozsiedli się w miasteczku a ich pomocnicy plądrowali tu i tam wyrąbując miód po lesie. Tuż nad brzegiem Rio Negro zapakowano nas do piętrowego schroniska. Siedzimy bezczynnie całe miesiące. Ojciec wykombinował sobie ożynek i nam sierotkom zaczęło się dziać źle. Oberwały się deszcze jakich nie pamiętano. Rio Negro wystąpiła w całej swej mocy. Płynęły wodą: belki, pnie, dachy i różne zwierzęta rozdęte. Sięgła woda po barak i zalała pierwsze piętro. Ludziska z tłomokami uciekali pod gołe niebo. Gdzie kto mógł krył się pod okapy, podłogi w kurniki, albo w czyściutkie domy gościnnych mieszkańców. Wielu schroniło się do kościoła, a to nie spodobało się innym towarzyszom niedoli i wypędzali się pospołu. Kiedy przyszło do poważnych bójek, prefekt postarał się o jakieś szopy. Całą tę biedotę częstokroć już bez tłomoków karmił regularnie rząd brazylijski. Wyglądaliśmy słonka z tęsknotą. Ciżba, niewygoda i wilgoć gryzły nam dusze i ciało. Jedni się modlili, drudzy płakali, inni tańczyli. Kiedy wody ustępowały brodziliśmy po kolana, aby się dostać do baraku, bo dom ten był o tyle nasz, że stamtąd nikt nas nie wyganiał. Po wodzie został gruby namuł. Kiedy słońce przygrzało unosiły się obrzydliwie cuchnące opary. Do tego wszyscy pielgrzymi biegali za stodołę i widocznie z nieporządków wybuchł tyfus. I znowu powtórzyło się to samo co

w Tomas Coelho. Wynoszono na cmentarz trzech czterech emigrantów dziennie. Kiedy zdziesiątkowało nas tak haniebnie, że nie pozostało ani jednej całej rodziny, przyszedł rozkaz do wyjazdu. Tubylcy zagnali pod barak kilkanaście jucznych mułów, a każdy z nich dźwigał dwa kosze plecione ze trzciny bambusowej. W baraku zakotłowało się. Tym, którym wyznaczono wyjazd pakowali się w kosze, a na wierzchu usadowiono płaczące dzieci. Tropa ruszyła. Murzyni szli naprzód, za nimi opakowane muły, nad głowami kiwały się dziecięce głowy, a na końcu w tumanie kurzu biegła truchcikiem gromada mężczyzn i kobiet resztka niedobitków najwytrwalsza i najmocniejsza. Każdą rodzinę zaopatrzono w żywność na piętnaście dni. Dalej radźcie sobie sami. Sześć kilometrów za miasteczkiem droga kołowa skończyła się. Sznur mułów wsunął się w las i jeden za drugiem stąpał wąską ścieżką. Ludzie wyciągnęli się w węża kolorowego. Bór ciągnął się jednolity. Drzewa grube nieznane, każde szumi i każde inne. Brodzimy po kolana przez potoki. W południe popasamy nad rzeczką. Ludzie i konie schodzą się na jedną gromadę. — Jezusie, czy aby tam kto mieszka? Pytali jedni drugich. Na drugi dzień troperzy oznajmili... zsiadać, to tutaj!... Gdzie? Co? Jakto?... Nieprawda! — Prawda tu już Lucena! Tu i ówdzie wyrąbano bór. Na każdej polanie majaczyły szałasy i domy pod gontem. Domki te rząd pobudował ale nie starczyło ich dla wszystkich. Byli tu już starsi osadnicy Niemcy, a nawet Polacy. — O rany boskie! co my tu będziemy robili? W zaroślach sterczały stare i świeże krzyże. Jezu! W takiem boru nas pogrzebią! — lamencono przy swych workach. Opiekun tłumaczy, był niejaki pan Mleczko. Jemu rząd powierzył pieczę nad emigrantami i na jego ręce przysyłał najniezbędniejsze zapomogi dla kolonistów. Na każde cztery rodziny przypadała: jedna piła, cztery siekiery, cztery „foisy" i jako stróż cztery pistolety garłacze. Zaszliśmy pod namiot owego Piasta, ale ten niestety kazał sobie płacić za narzędzia gotówką, albo na odrobek... Zaopatrzeni w żelazo poszliśmy w bór „picadą" św. Piotra.

Nad brzegiem strumyka koło małego domku rozłożyło się parę rodzin. Tu był kres naszej podróży. Tu mamy postawić mieszkania, zaopatrzyć się w dostatek, odpędzić głód, nie dać się Indjanom, słowem pokonać bór i jego mieszkańców. Kobiety zbierały patyki aby gotować czarną fasolę, okraszoną suszonem mięsem.

Mężczyźni poszli oglądać ziemię. Tej samej nocy Indjanie krążyli koło naszej chałupki wypełnionej po brzegi ludźmi. Bili trzcinami po drzewach, kwiczeli gwizdali i tak kolejno przez parę nocy odwiedzali nas. Zakazano nam surowo broń Boże do nich nie strzelać, bo się rozgniewają. Odeszli...

W kilkanaście dni później każda rodzina szła na swój upatrzony szakier. Wsiąkano w bór. Sąsiad od sąsiada osiedlał się o parę km. Wszyscy jednak mieszkali pod jedną kopułą lasu. Z niebem łączyli się przez dziurawe gałęzie, a ze światem wąskiemi ścieżynami.

Przez 45 dni ojciec rąbał las o fiżonie z wodą. O czarnym jałowym chlebie nikt nie myślał. Ale i fiżonu zabrakło. Ściął piniora z owocami... Opędzajcie jak możecie, sam wziął worek i pognał do Rio Negro. Ale za co kupić? Trza było wpierw zarobić, a potem nieść to jedzenie 40 km. Upadły wielkie deszcze. Rzeki wezbrały. Nam głód dokucza. Nikt nic nie ma. Zaczęły się awantury z Indjanami. Dwa dni przymieramy głodem i w kabłąk skuleni siedzimy koło ognia. Aż raz wlazł po cichu do kuchni jakiś Brazyljanin. Był to „bugreiro", który dowiedział się o krążącej bandzie Botokudów i przyszedł na zwiady. Nic nie rozumiemy co on mówi. Pokazuje na migi czy chcecie jeść? Obejrzał naszą kuchnię. Próżna była. Zabrał nas przemocą i zaprowadził daleko. Przyszliśmy na pole gdzie rosła kukurydza, narwał pałek, naładował bani do worków i wrócił z nami. Kazał napalić ognisko i nauczył nas jak się piecze kukurydzę i banię. Już i kukurydzy zaczęło brakować, ale pewnego wieczora przyszedł ojciec przygarbiony pod workiem prowiantów.

Do siekiery nie byłem zdatny, pola ani ogrodu nie było, to też często kręciłem się koło garnków, macocha coraz robiła ze mną porachunki namacalne. Poszedłem w las — to gdzie się ty włóczysz?... A kiedy przy budzie siedziałem — to darmo będziesz jadł leniuchu! Szło wet za wet, ząb za ząb, psociłem jej co mogłem, a ona waliła czym popadło. Starszy brat nie wytrzymał poszedł na roboty rządowe. Ja dusiłem się nadal, ale i macosze nie szło na zdrowie.

W Nowej Polonji pan D. wyczyścił stodołę, porozkładał deski i otworzył szkołę. Było to ze cztery km. od nas. Wziąłem ze sobą grubą kościelną książkę ojca i poszedłem. Było nas kilkunastu

chłopaków. Człowiek ten wlewał w nas siłę i ducha przez półtora roku i to miało wystarczyć jako wyprawa na resztę żywota. Nauczyliśmy się ministrantury. Na Wielkanoc przyjechał do nas ksiądz Peters potem Iwan. Kaplica z ogromnych belek pinjowych stała już od paru miesięcy. Każdy wychylał głowę z lasu, wyciągał najnowsze ubranie i szperał za groszami, bo spowiedź wielkanocna kosztowała pół mila. Zdarzało się, że ksiądz przyjechał a nie było czym mszy zapłacić. Ksiądz wychodził z zakrystji i oświadczał — nie mogę odprawiać bo jeszcze msza nie zapłacona. Macie zebrać 40 milów!... Cisza... Po chwili wychodzi znowu: czy już zbiera kto czy nie? Jeden ze starszych wziął kapelusz i chodził po kaplicy wołając: co czyja łaska... Poza tem byli zacni księża, znakomicie grali w karty, umiejętnie pili, nauczali o ziołach leczniczych i radzili o gospodarce. D. zabrał nas do Rio Negro na uroczystość kościelną (festę) w to mi graj!... Pojechaliśmy w trójkę. Zacząłem się plątać po miasteczku, gapiłem się to na to, to na owo. Spotkałem kilku mulatów w moim wieku, podszedłem do nich i walę po polsku, a ci w śmiech. Jeden z nich pochylił się i krzyknął mi prosto w gębę: polaco borro!... Ja natychmiast wywaliłem go pięścią w otwartą papę. Wiedziałem że wyrazy te są przezwiskiem. Podrostek fajtnął w tył, a inni skoczyli na mnie. To pięścią, to bosą nogą broniłem się. Odstąpili i wzięli się do kamieni. Ja zrobiłem to samo. Jakieś kobiety rozpędziły nas. Poturbowany pobiegłem do kościoła, ale msza miała się ku końcowi i byłem już nie potrzebny. Był na tej uroczystości ksiądz Monsenhor Selco z Kurytyby. Polecił D., aby mu wyszukał chłopca do posług. Stasiek! chcesz jechać do Kurytyby do księdza na służbę. Zaraz przeleciała mi po głowie macocha ze żerdzią, z miotłą, z kijem z czym mogła razem tak że zdecydowałem się natychmiast — pojadę.

Na trzeci dzień byłem w Kurytybie. W pierwszych dniach chodził ze mną po mieście murzynek znawca stolicy. Wnet go przerosłem bo umiałem czytać. Murzynek poszedł gdzieindziej, a odpowiedzialność służby spadła na mnie. Najwięcej miałem do czynienia z matką Monsenhora, z kobietą jakiej dotychczas nie widziałem. Była to gmach kobieta, potężna kobieta, przez byle jakie drzwi nie wlazła, to była kobieta!... Od razu zaczęła ze mną na ostro. Tak a nie inaczej. Tresowała mnie i uczyła subordynacji. Słowem kształciła mnie tylko raz, drugi raz to już batem, dwa la-

ta wybyłem, a ona ciągle miarowo jak zegarek postępowała. Dziś kobiecie tej zawdzięczam bardzo wiele. Była to szlachetna istota. Do dziś żyje w Sao Paulo. Jej syn obecnie jest biskupem. Podczas mojej służby biskup kurytybski wyjechał do Rzymu i w drodze utonął.

Niespodziewanie spotkałem brata na ulicy, zatęskniłem za domem. Postanowiłem sprawować się w domu jak anioł. Wróciłem i nie wytrzymałem. Poszedłem na służbę do Lapy i szedłem dobry tydzień. Znalazłem się u „fazendeira". Była to zacna chłopina, ale straszliwie mnie wyzyskiwał. Miał sporo kłopotu, bo na przedmieściach miał obsadzone trzy zalotnice. One to nieustannie pochłaniały jego majątek, więc dla uspokojenia zakrapiał się często.

Poszedłem na step po konie. Złapałem łaskawego i wsiadłem na oklep. Wio, i wio! a ten skubie trawę. Jak mu wleję porządnie bizona, a temu jakby coś w łeb strzeliło. Bryknął łeb spuścił, goni steczką, skręcił w wądół, a ja ryp! Jakiś złodziej wybierał z lasu drzewo i obserwował mnie z ukrycia. I on przyszedł mi na pomoc. Podobno długo biegał koło mnie nim mnie ocucił.

Posłano mnie po zielone gałęzie na miotłę. Wziąłem długi tasak (fak). Idę. Patrzę a tu na stojąco zdycha jakiś stary muł, z miny widać, że pamięta odkrycie Ameryki. Skóra popodpierana szkieletem, uszy opuszczone pysk otwarty. Ty psiokrew! Kto wie co ty myślisz? Możeś taki niewinny jak i ten koń? Nie wiele myśląc życzyłem mu nagłej śmierci -- zdychaj ośle! i pchnąłem go nożem w udo. A w tym zdechlaku jakby szatan drzemał. Widziałem że się zerwał i oba tylne kopyta utopił mi pod pachami. Spadłem na wznak bez pamięci. Obudziłem się na łóżku. Fazendeiro dbał o mnie, ale miał jedną wadę, a mianowicie trudno mu było wypłacać. Do dziś mi winien za cztery miesiące służby.

Znalazłem robotę u Nansinha, piekarza, za dziesięć milreisów miesięcznie. W nocy piekłem bułki, grzejąc się przy piecu skubałem grube pióra z gęsi kur i indyków. W dzień biegałem po mieście z pełnym koszem bułek na głowie, sprzedawałem. Sumiennie powiadam, człowiek ten wykorzystywał mnie do ostatniego grama siły. Miałem tylko niedzielę wolną i to wieczorem. Wtenczas szedłem do Morawskiego i na ciemnych ulicach obijaliśmy mulatów, bo przezywali nas -- polaco burro. Morawski świetnie rzucał kamieniami, a ja zaś kułakowałem pięścią. Raz spraliśmy Ora-

cia do krwi, drugi raz przyszło więcej dryblasów i musieliśmy wiać.

Przy robotach kolejowych wagonet obciął bratu stopę. Przywieziono go do kompanijnego lekarza w Lapie. Po trzech miesiącach wróciliśmy do domu. Tu was potrza, jeszcze koło kalek będę chodzić. Na moje szczęście przyjechał tropeiro i pojechałem z nim za poganiacza mułów, inaczej za prowadera za „madniniera" za „pia". Wlazłem na konia i „eja"! w bory na kupno herwa mate, tytoniu, kukurydzy i fiżonu. Bór ciągnął się daleko i kończył się chyba na wybrzeżach Pacyfiku. Jechaliśmy z góry na górę i od rzeki do rzeki. Tropa ciągnęła leśnym tunelem, bryzgała wodą i błotem stojącym w powybijanych dołach między korzeniami. Imbuje cedry, pinjory, gabryjuwy, sapupemy, najokazalsze drzewa puszczy wszystko rośnie w jednym uścisku. Jest to drzewo nadające się na wyroby, na opał jest tak świetne, że gdyby chodziło o podniesienie gorączki w piekle to dołożyć sapupemy. Na polanach widnieją domy „fazendeirów", koło nich bydło, muły i chude świnie. W lesie murzyni obcinają herwa-mata, opiekają nad ogniem, łamią na wiązki i noszą do suszarki. Mój pan Inocencio Lemes Correia w zajezdniach zamawiał herwę po 300 rejsów czasem i 400 za arobę. Nocujemy i ruszamy dalej w gęsty i gruby bór. Spotykamy drzewa do 2 i ½ metra grubości. Gleba tłusta urodzajna, ale wcale nie wykorzystana. Z chałup tubylców wygląda niedostatek a nawet skrajna nędza. Kupują oni mąkę manjokową, a nawet słoninę. W każdej „bodedze" otrzymujemy zamówienia na te prowianty.

Prowadziliśmy osiem mułów jucznych, a każdy dźwigał 7 do 8 arob herwy zapakowanej w skórę bydlęcą. Dom Lemesa stał pośród lasu herwowego. Miał okna drewniane pomalowane na niebiesko, dach kryty jezuicką okrągłą dachówką. Z czarnej kuchni uchodziły ku pułapom białe smugi dymu. Koło stodoły kręciły się kwiczące świnie, a ze żłobów bydło lizało sól. Z za płotu wybiegła gromada psów. Święty Antoni z powiewem wiatru kręcił się na biegunie wysokiego masztu. Dalej na płaskowzgórzu widniało kilka domostw — to razem wzięte nazywało się Canoinhas.

Po wyprzęgnięciu tropy Lemes zawołał mnie do kuchni i opowiedział swojej żonie, że przywiózł mię z kolonji polskiej. Lemesowa wzięła dwa talerzyki i ze stojącego kociołka przy ognisku na-

brała „rewirada" tj. czarnej fasoli z mąką kukurydzaną i suszonem mięsem, poczem dała do rąk mnie i parobkowi. Zjedliśmy i oddaliśmy talerze. Chcecie jeszcze? zapytała. Zjadłbym był jeszcze konia, ale dobry zwyczaj nakazuje, że służący nie żąda więcej poza wydzieloną porcją pani. Popiliśmy „szymaronem" i układłem się z parobkiem na pryczy wyścielonej przeplatanym sitowiem. Wstaliśmy wraz z kanarkami, odszukaliśmy muły na kampie, i daliśmy im kukurydzy z solą. Wypiliśmy kawę przegryzaną prażoną mąką z kukurydzy i kawałkiem suszonego mięsa. Wsiedliśmy na konie i „eja" do Sao Bento. Z powrotem pan mój kupił mi słomiany kapelusz i w nim paradowałem jadąc ciągle naprzód. Wieźliśmy: wódkę, cukier, sól, żelaziwa i rozwoziliśmy po „wendach".

Pewnego razu przyjechaliśmy do wendy Veigi. Zanosiło się na huczny bal. Wysiodłaliśmy konie. Przyszedł muzykant z harmonją, sławny „gajteiro" „Pedro Machado". Caboclos i ich niewiasty ubrali się odświętnie. Puścili się w fandango. Idąc parami miarowo klekotali drewnianymi „tamankami". Jest to rodzaj łapki z cedrową podeszwą grubą od trzech do pięciu centym. Wkłada się ich na koniec stopy i trzyma lekkiem kurczeniem palców. Z hałaśliwego korowodu wybijał się na czoło trubadur Lemes mój „patrao". Kombinował wierszyki na poczekaniu, docinał wszystkim, kpił, przepraszał, chełpił się, udawał madrinierę, dzwonił, wreszcie zaryczał jak tygrys i korowód rozleciał się. Zabrakło wódki. Szukano ochotnika aby się kopnął do sąsiedniej „bodegi" i przywiózł dwa garafony gorzały. Wypychano mnie, ale ja wolałem podpierać ściany i upajać się „fandangiem". Po długich naradach, wyprawiono Luiz Granda, chłopa o olbrzymiej postawie, takiego sobie nieszkodliwego włóczęgę z rodziny Veigów. Na przeszkodzie zabawy stali Mendesi śmiertelni wrogowie Veigów. Postanowili zawrócić niektórych gości z drogi. W olbrzymiej purundze wycięli trupi łeb i włożyli zapalony kopciuszek do środka i postawili na nagłym zakręcie. Kiedy Grando zobaczył szkaradę wypalił w nią z rewolweru. Koń spłoszył się. Jeździec spadł pozostawiając nogę w strzemionie. Kiedy bawiono się w najlepsze, koń spłoszony przywlókł do zagrody dostawcę gorzały. Bal rozprysł się natychmiast. Zapalono iglicę z pinjora. Lemes złapał konia za uszy i usadził go na miejscu. Odcięto strzemię. Głowa Granda rzegotała jak orzechy na przetaku. Zapalono ognisko i odpra-

wiono stypę. Pośród pienia i modłów wydzierały się pogróżki: my się spotkamy, kulami was przywitam, a nożem poprawię i t. p.

Padają deszcze, stoimy w zajezdni u Fryca, zwanego Joao Gordo z powodu nadmiernej tuszy. Miał on żonę czarną jak lakierowana skóra i gromadę pstrokatych dzieci. Właściciel pojechał na sprawunki do miasta. Starszy syn zastępował go w bodedze. Rojno było w tym domu, bo właściwie czarna gospodyni była w łóżku, więc „komadry" wraz z dziećmi kręciły się koło niej. My gościliśmy pod obszerną szopą przy ognisku, a muły pasły się na kampie. Jutro sobota — rzekł Lemes — siedząc przy ognisku w ogromnej kapie. Ja siedziałem naprzeciw z kują w zębach i obaj patrzeliśmy w ogień. O świtaniu — ciągnął zdecydowanym basem Lemes — przygonisz muły i pojedziemy na próżno, bo rzeki wezbrały, nim wrócimy z prowiantami to chyba opadną.

Wiatr siekł i ziąb dobierał się do szpiku kości. W jednym ubranku, boso szedłem skulony po ostrych trawach kampu. Biegłem od niziny do niziny, nigdzie ani śladu ani dzwonka nie słychać. Stopy sczerwieniały mi i skostniały od zimna. Przypomniał mi się św. Antoni, że on jest patronem od zgubionych rzeczy. Westchnąłem aby mi dopomógł odnaleźć konie to w dzień jego imienin kupię mu tuzin rakiet i wypalę. Rozwidniło się a koni nie ma. Deszcz ustał i sypnęły się białe płatki śniegu. Sześć lat nie widziałem śniegu. Stanąłem pod pinjorkiem. W piersiach gorąco mi było, a stopy piekły jak ogniem. Patrzałem na rozszalałe fale Paciencji. Przypomniało mi się błyszczące jezioro w Mogilnie, tam był większy śnieg, ale mi ciepłej było, a tu? jak pies latam po deszczu. Co ja tu robię? — Dorabiam się... Czy też będę kiedy miał lepiej na tym świecie, aby nie latać boso po cierniach i mieć taki kapelusz żeby nie przemókł?...

Poprzez zarośla i kampy leciało z wiatrem długie trąbienie Lemesa. Taka była umowa, że jak zatrąbi trza iść. Przychodzę. Muły już się pasły. „Madriniera" zgubiła dzwonek. Trzeba było kupić nowy o takim samym dźwięku, bo przy innym dzwonku muły nie będą trzymać się gromady. Muł się przyzwyczaja. Pobiegłem do Fryca, brałem dzwonek po dzwonku dzwoniłem, a Lemes wybierał z daleka: „Nao e sim". Znowu posypał się śnieg. Czy taki śnieg pada w twojej ojczyźnie? — zapytał Lemes. To jest nic, tam jak popada to po pas! Nie może być?! Powstawali chałupni-

cy, wyzierali oknami. Dzieci z wrzaskiem wybiegły i łapały białe płatki. Inni dziwowali się, że w dzień mróz pada. Starzy twierdzili, że dwadzieścia lat temu tak samo padało. Dla mnie to nie był żaden śnieg, bo ani pięć minut nie leżał na ziemi, tylko topniał.

Jesteśmy przy wezbranej „Paciencji". Woda zabrała „pinguelę", płyną pnie i gałęzie. O mostach tu się wcale nie gada i prawie nikt ich nie zna. Pierwsza płynie madriniera, ale u drugiego brzegu zawróciła i wszystkie konie zrobiły to samo. Zakotłowało się po środku rzeki od końskich łbów, ja byłem pomiędzy niemi. Lemes z brzegu krzyczał abym jechał naprzód. Naraz mojej kobyle jakiś muł wlazł na kark z kopytami i ta poszła ze mną pod wodę. Chwyciłem się jakiegoś kopyta, które wkrótce wyrwało mi się z rąk. Pociągnąłem spory łyk mętnej wody. Grzebałem się i machałem rękami. Ciepło mi się zrobiło i leciałem w jakiś niedotykalny błękit. Naraz czuję że ktoś mnie szarpie i woła: Stanislau! Stanislau! Ocknąłem się i wyplułem nadmiar wody z żołądka. Okazało się że fale zostawiły mię na wpół zanurzonych gałęziach „kambuji", i stamtąd wylękniony Lemes mnie dostał. Jednak rzekę przejechaliśmy. Przed nami wiło się 30 km. błotnistej drogi. Siedziałem na szkapie w tych samych łaszkach, w których wylazłem z wody. Trząsłem się i sztywniałem z zimna. Na wieczór dobiliśmy do Canoinhas. Sam nie zlazłem z konia musiano mnie zesadzić. Kiedy nademną labiedziła Lemesowa, to mąż jej perswadował: — to jest nic, on przyzwyczajony był do gorszego zimna, tam śnieg padał co roku i napadało po pas, nie tak jak u nas sypnie piórkami raz na kilkanaście lat. Stara wypytywała się jak daleko jest ta Polska, czy długo się jedzie, czy na morzu nie straszno, jakim tam językiem mówią i kazała mi wymawiać po polsku nazwy naczyń kuchennych i t. p. Domownicy powtarzali wyrazy uczyli się ich na pamięć i śmiali się serdecznie. Nazajutrz wstający parobek pozdrowił mię po polsku: — dobry wiesór Stasek!

Deszcze ustały, wody opadły. Za parę dni wracaliśmy aby dowieźć mąkę, cukier, w najodleglejsze zakątki siedzib ludzkich. Za Paciencją nie było już rodziny Joao Gorda. Pozostał tylko sam Gordo, który wyjechał na zakupy. Chodził ze spuszczoną głową jak podrażniony byk. Paru policjantów kręciło się koło rozbitej bodegi. Co się tu stało, na drugi dzień tj. w niedzielę po naszym odje-

ździe nikt nie opowie, bo wszyscy świadkowie nie żyją. Indjanie napadli i wymordowali w pień nawet i chorą w łóżku. Botokudzi pozostawili po sobie 22 trupy niewinnych Brazyljan i paru Niemców. Zabrali ze sobą naczynia żelazne: siekiery, „fojsy", noże i wypili wódkę, pozatym wszystko zostawili rozrzucone. Miejsce to odtąd nosi ponurą nazwę Góra śmierci.

Gordo postanowił się zemścić. Zebrał sobie kilkunastu ludzi dotkniętych mordem, przeważnie wdowców i wydał Botokudom wojnę podjazdową. Zaopatrzyli się w dobrą palną broń i jeszcze lepsze psy. Była to niemiłosierna masakra. Gordo stał się sławnym „bugreirem". Poznał ich sposób wojowania lepiej niż własną posiadłość ziemską. Poznał ich mocne i słabe strony, wiedział kiedy da się ich wypłoszyć z okopów paprociowych, a kiedy im się nic nie zrobi. Niektóre grupy wyciął w pień.

Upływały lata. Umiałem gadać jak prawdziwy kaboklo, przyrządzać na poczekaniu jedzenie jak: „pasokę", „viradę", i napój „jakuba". Lasowałem bydło, biłem się walecznie i wyuczyłem się niejednego chwytu, a najlepiej szło mi z „rastera" i „napoera". Lemes dał mi pistolet na rachunek, zachwalał że dobry, że już jestem galanty chłop i mogę nosić broń. Przyda się — pomyślałem i wziąłem. Poszedłem na polowanie. Spotkałem wiewiórkę. Pierwszy raz z własnego pistoletu nie należy chybić. Zwierzątko siedziało na pinjorze głową na dół. Wlazłem na pochylone gałęzie, aby bliżej i wypaliłem. Proch fuknął mi o oczy, kurek przedziurawił palmowy kapelusz i utkwił mi w głowie. Zalałem się krwią i spadłem w ciernie. Wiewiórki nie znalazłem. Lemes zaopinjował, że pistolet da się naprawić u kowala. Był w Canoinhas stary, siwy Simao, który umiejętnie naprawiał stare graty. Chłopcze gdzieś ty to znalazł?... Ta pukawka jest starsza od mnie. Naprawiałem ją w San Bento, przed mojem weselem... ale jak chcesz... i za załadowanie zapłaciłem trzy mile.

Zbliżała się uroczystość św. Antoniego. Inocencio Lemes Correia, mój pan, urządzał ją z wielką pompą. Przyjechał ksiądz brazylijski. Zabrał do kaplicy młodzież przeważnie bosą i nauczał o ważności święta. Pośród pstrokatego drobiazgu wyglądałem jak wypierzony kogucik. O spłaceniu patronowi długów od zgub, nie było mowy raz, że mnie nie wypłacono, a drugi raz więcej miałem na myśli mój pistolet i sześćdziesięciocentymetrowy tasak z czer-

woną pochwą. Aż tu niespodziewanie ksiądz mnie zapytał. Trzeba jednak wiedzieć, że w gwarze brazylijskiej w niektórych wyrazach wymawia się „l" zamiast „r" i odwrotnie, np. alma — dusza, arma — broń. Dla mnie ta różnica nie istniała i tak wiedziałem o co chodzi. Ksiądz pyta — ile ty masz almas? (dusz). W moje ulubienie trącił więc natychmiast przyznałem się. Dwie! Jeden pistolet na dwie lufki i nowy tasak. Ksiądz parsknął śmiechem, a za nim dzieciarnia i do końca wykładu było wesoło. Po katechizmie wszystkie dzieci oglądały mnie z podziwem. Przywieziono rakiet z pięćdziesiąt tuzinów i puszczano w dzień i w nocy. Najuroczystszym momentem było całowanie św. Ducha gołębicy namalowanej na odwrotnej stronie św. Antoniego i ja tam w niejednej kolejce się zbliżałem. Kiedy wszyscy to uczynili zaprawiono ramkę z płótnem na samym wierzchołku pstrokatego masztu, tak aby kręciło się za wiatrem. W chwili podniesienia i obijania kołkami w ziemi, kilku specjalistów pod moją komendą stało z rozżarzonemi głowniami i podpalało rakiety, które wężowato leciały pod samo niebo. W dzień ten od rana nikt nic nie je. Pierwszym posiłkiem jest obiad stawiany o trzeciej godzinie, specjalnością uczty jest „guizado" mięso siekane tasakami, przyprawione solą i pieprzem i zgotowane na rosół. Stoły z dużych prostych desek nakryte płachtami białymi, wzdłuż nich środkiem, w odległości mniej więcej metra usypane kopce mąki manjokowej. W każdym kopcu tkwiła łyżka. Dwa rzędy talerzy nalewa się „guizadem", goście siadają ramię przy ramieniu i jedzą. Łyżkę utkwioną w kopcu mąki biorą kolejno i z niezwykłym darem zręczności rzucają sobie farynę do ust nie dotykając ich wcale. Ci, którzy wolą „szurasko", biorą je z ognia, które nabite jest na ostre patyki, idą na murawę wbijają do ziemi, tarzają w manjoce i żują. Sławny trubadur mój patrao, milczał dzisiaj nie komponował wierszyków, nie zaczepiał, a to ze względu na wielkie święto. A umiał się odciąć, nikomu się nie poddał. Nazajutrz był w złym humorze, widocznie dużo kosztowała go „festa". Ksiądz odjeżdżając wstąpił na dowidzenia i zaczepił go pół śpiewająco:

Dwie rzeczy na tym świecie
Ma głowa nie dociekła,

Lemes natychmiast mu odpowiedział:

Czego lekarz umiera
I ksiądz idzie do piekła.

Biegły wieści, że Indjanie znowu się ruszyli. Napadają tropy, osady, a przeważnie na pracujących w polu. Na południu w nieprzebytych lasach, mieszkały w sąsiedztwie trzy szczepy Indjan: Botokudzi, Bugrzy i Guarani. Który z nich wystąpił zbrojnie różnie mówiono, ale każdy z nich był waleczny i mieliśmy strach nielada. Tym razem Lemes przedsięwziął wyprawę po tytoń do Perdizes. Do tego osiedla prowadziło dwie drogi: jedna okrężna, zabierająca dobre trzy dni czasu, a druga na przełaj lasami, pikadami dwa dni czasu. Lemes większą część mułów wysłał drogą okrężną. A dla zbadania drogi i porobienia wczesnych zakupów, wybrał się na wprost. Zabrał mnie i przewodnika Pinheira Machado, znawcę lasów, posiadającego sławę mordercy Bugrów o lepszym węchu niż czujny pies. (Bugrzy twierdzą, że Indjanina poczują z daleka).

Na tej drodze trzeba nocować pod rozłożystymi imbujami. Na drugi dzień koło południa wlekliśmy się zmęczeni z góry na górę. W pewnym wąwozie niespodziewanie wszystkie drzewa wrzasły najrozmaitszymi głosami sów jastrzębi i małp. — Bugres! — krzyknął Machado — i skoczył z muła. Zaczęła się strzelanina. Kilka strzał utkwiło w boku muła, a ten stoczył się po spadzistych pochyłościach. Ja wsunąłem się w szczelinę skalną i nakryłem się koszem. Przewodnikowi skończyły się kule, wyrwał „fak" i skoczył do dziury w burecie. Jeden z Bugrów wyskoczył na ścieżkę, ale Lemes, który jeszcze miał nabój ugodził go celnie, bo zaraz fiknął. Naszym zabrakło kul, a Indjanom widocznie łuków, bo wzięli się do maczug. Drugi podbiegł do Machada siedzącego w dziurze, przystanął rozkraczył się i huknął maczugą z góry. Drąg uderzył końcem w burtę, a Machado wychylił się i wypuścił bronzowemu bebechy. Zagarnął je ręką ale wyślizgły mu się, spadły na ziemię, a on położył się na nie. Doleciał drugi i z furją łupnął maczugą, a jednocześnie nóż wślizgnął mu się pod żebra. Pozostali zawahali się. Widocznie nie chcieli dalej walczyć, więc największy z nich podbiegł zaniósł się maczugą i jeszcze nie uderzył, a nóż rozpłatał mu wnętrzności. W tej chwili reszta przeraźliwie zawyła i uciekła. Lemes wylazł z paproci i naglił do ucieczki. Machado nas

pocieszał, że to nie był napad tylko grupa zuchwałych myśliwych. Odszukaliśmy trzy żywe muły, jednego zabitego, a drugiego niezdatnego do życia. Namiot i kuchnię władowaliśmy na pozostałe bydlęta, a na trzecim przodem jechał Machado cały oblany dziką krwią. Ja z Lemesem lecieliśmy z tyłu i naglíliśmy do pośpiechu.

Innym razem nocowaliśmy pod niebotyczną sapupemą, w panieńskim lesie i gwałciliśmy ją okropnym ogniskiem. Opodal pasły się muły i konie. W cichej hebanowej nocy świeciło miljony świętojańskich latających latarek. Naraz zarżały konie i z tupetem i furkaniem przyleciały do samego ogniska. Tigre! krzyknął Lemes i wystrzelił z pistoletu. W lewą rękę złapał głownię z ogniska, a prawą wysunął przed siebie z palcem na cynglu i pognał. Do ogniska dowlókł się przetrącony muł z wyżartą szyją. Muł nad ranem zdechł a tygrys uciekł. Tej nocy oka nie zmrużyliśmy, paliliśmy ognisko, a obok bydlęta strzygły uszami niespokojne. Rano spostrzegłem się że zbyt dużo naobiecywałem św. Antoniemu za szczęśliwą noc. Drugie sąsiedztwo z jaguarem i chyba ostatnie w mojem życiu. Było to nad rzeką Canoinhas. Jedziemy przez bór z rzadka rozsianych polanach. Na wzgórzu pastwiska zaryczał byk i umilkł. Po pochyłościach kampu uciekały z wielkim tupetem pstrokate woły, cielęta, krowy z łbami i ogonami zadartemi w górę. Był tam jaguar i zagryzł byka o wadze jakieś 180 kg. i zabrał go z sobą w las, zawadziwszy po drodze o krzaki grubości nogi przy kostce połamał albo powyrywał z korzeniami. Łup złożył pod rosochatą sapupemą i w przeciągu krótkiego czasu rozdarł gardziele wyssał krew i ulotnił się. Był to okaz duży znać było po jego wyczynach. Kamaradzi Lemesa uchciwili się na jego skórę i postanowili na drapieżnika zaczekać. Tropa poszła naprzód. Zostałem i ja. Ja poto, aby powiadomić gdy zwierza ubijemy. Wleźliśmy na sapupemę, czekaliśmy kilka godzin — jaguar nie wrócił.

* * *

Wyścigi odbywają się często i zawsze gromadzą dużo gawiedzi. Jest to najważniejsza uroczystość świecka, odbywają się przeciętnie dwa razy w miesiącu. Przytem jest bijatyka, pijatyka „szurasko", pierogi dziane mięsem, gra w „kaszole", zakłady okrzyki

i dowolne śmianie się od ucha do ucha i rubaszna swawola. Tym razem i ja leciałem na bystrej szkapie, a było to chyba po raz dziesiąty... Na wyścigi zjechały się dwie wrogie rodziny Veigów i Mendesów. Mieli oni z dziada pradziada porachunki, a między innym śmierć Luiz Granda. Chodzili między rozweseloną gawiedzią, włazili na siebie, ale bez spojrzenia sobie w oczy. Badali teren. Gawiedź wiedziała że coś się gotuje, ale przypuszczano, że poocierają się o siebie i burza się rozejdzie. Mendesi grubo stawiali na mnie. Biegniemy. Ja wysunąłem się na czoło na dobre dwa konie... i byłaby moja wygrana, ale Veigowie szukali kija i jeden z nich stojąc przy samej bieżni rzucił na łeb mojego konia czerwoną skórę barana. Koń skoczył w bok, a ja poleciałem po linji prostej. Rozbiłem sobie głowę, złamałem coś w żebrach, obdarłem twarz, ręce i kolana. Podobno Lemesowie cucili mnie przez dwie godziny nacierając octem, wódką i czym mogli. Tymczasem między partjami doszło do sprzeczek i otwarto ostrą strzelaninę... i to były pamiętne wyścigi: zabito trzech ludzi, cztery konie i jednego psa. Ja chorowałem przez kilka miesięcy. Wlewano we mnie herbatę z różnych ziół, nieodstępnym lekiem był bez, którego ciągle brałem na poty i cudowne krople esencja maravilhosa. Wyleczyłem się.

I znowu „eia trooo" tam i z powrotem, przez osiedla, góry lasy i rzeki, zimno, mróz, deszcz i spiekota. Teraz obstałem za poganiacza i za parobka. Tyle dźwigałem co i Lemes. Wkładał mi on na plecy 60 kg. kosz, poczem sam brał drugi i jednocześnie zakładaliśmy na boki muła. Nieraz chlebodawca zwierzał się innym „este polaco e bicha" (ten Polak to chwat). Mnie duma rozpierała, że coś wartam. Z mojemi duszami nie rozstawałem się ciągle nosiłem je za pasem. Coraz rzadziej wołano na mnie „o pia", natomiast tytułowano mnie „Me-se" (wy) i czasami „senhor" (pan). Gdzieniegdzie zachęcano mnie do ożenku. Znane tu są rozmaite sposoby kojarzenia wesel, a najpopularniejszym jest taki że ojciec córki upatruje sobie kawalera i przy okazji zagadnie: — Słuchaj no, jakoś mi ciągle schodzi, ale już dawno miałem ci powiedzieć, żebyś tam przyszedł. Jeżeli to jest po guście kawalera to odpowiada, dobrze to ja tam jutro przyjadę. Jeżeli nie, to się wykręca. Może zobaczymy. Zdarłem już niejedną parę „tamanków" przy fandangu. Na weseliska i zabawy jechało się po kilkadzie-

siąt kilometrów, bez względu na pogodę. Gdzie było potrzeba, to znaczy, że jeżeli nam ktoś sztorcem stanął oj była pucówka, na noże, pistolety czym się dało, — słowem znarowiłem się i czekałem gdzie wybuchnie weselisko.

Pewnego razu Lemesowie poszli w kumotry, a był to właśnie dar nadprogramowy. Autor wypierał się swego artykułu. Oparto sprawę o komisarza. W komisarjacie doszło do tego, że musieli się zjawić i korektorzy. Nie było rady, rozłożono ręce i sprawa się rozleciała. Mały obywatel dostał potrójne nazwisko Joao, Anjo dos Santos (Jan Anioł od świętych). Świat zmienił się o tyle że szałas dziadka napełniał się kwileniem małego człowieka, a życie wlokło się po dawnemu. Nie wszyscy takie wydarzenie biorą tragicznie, najczęściej przyjmuje się jako przysyłka z niebios.

Kabokrzy są wybitnie zazdrośni. Kobiety nigdy się nie spotyka w towarzystwie mężczyzn. Nieraz zajeżdżało się do jakiegoś domostwa, a kobieta sama przebywała w domu, to można było stukać pukać, bramę rozbić i czekać całą godzinę nie wyszła i ani wychyliła głowy. Natomiast jeżeli w domu jest jakakolwiek inna osoba, albo dziecko, to bierze go za rękę albo na ręce i wychodzi.

Jedziemy na wesele. Lemesowa na mulicy po egipsku, mąż obok niej, a ja przodem wywijam na osiołku ślepym na jedno oko. Jedziemy na przełaj... ja prowadzę. Poza uciechą weselną mam tam wsiąść na konia, którego gospodarz zamierzał kupić. Osiołek niecnota opiera się i skręca gdzie mu się podoba. Stroję zucha bo to Lemesowa spogląda. Zdzieliłem osła po uszach a ten zaraz oszalał i sadzi ścieżką w padół. Przesadza dwa leżące na poprzek pinjory, potyka się, pada. Wypadam z siodła jak z procy i przelatuję z 15 metrów ścieżki różnymi stylami, to brzuchem, to plecami. Obdarłem twarz, poszarpałem ubranie i wbiłem kawałek patyka w grubiznę. Skończyło się na tym że na weselu moje tamanki nie tańczyły fandanga. Upokorzony samotnie wracałem do domu. Po drodze urąbałem kory z gojącego drzewa z „pau do andrado". Wygotowałem korę i bronzowo kleistą cieczą wymyłem rany, a na patyka w udzie przyłożyłem płatek leśnej cebuli.

Usiadłem przy oknie. Słońce zachodziło. Święty Antoni łopotał wystrzępioną twarzą na wysokim maszcie. Wpatrywałem się w ostatki skrzydeł św. Ducha i przeprowadzałem rachunek sumienia. I nie dziwiłem się wiele, że Pan Bóg spuszcza na mnie krzy-

żyki, bo zbyt rozswawoliłem się rozprożniaczyłem się duchowo, wywietrzałem z pobożności, a z Polaka pozostał tylko szkielet, który ponownie musi w mięso obrastać. U matki nawet na okręcie mówiłem pacierz, a tutaj kiedy strach przyprze. U biskupa modliłem się co dzień a tutaj jak się modlę trzy, cztery razy do roku to dobrze. Raz w wigilję św. Antoniego, aby sładniej odnajdywać zguby, drugi na św. Sebastjana, aby strzegł od żmiji, trzeci na św. Jana, aby chronił od piorunów, a czwarty na Boże Narodzenie tak dla powszechnej pobożności. Byłem w błędzie i nie wiedziałem jak się modlić, czy po polsku, czy po brazylijsku. Próbowałem tak i siak aby tylko trafić na gust patronów, ale po polsku nie ze wszystkim dobrze mi szło, bo już pozapominałem niektóre kawałki. Na szerokim placu między herwami, koło bodegi Caitana grała w kaszolę gromada kaboklów. Kładą na łopatkę miedziaka z czasów cesarskich i zakładają się która strona spadnie do góry. Jedni krzyczą: „chapa", drudzy „cruz". Wybuchają nieokiełzanym śmiechem, biją kapeluszami o ziemię, depczą je, skaczą, tarzają się, wyją z nadmiernej radości, oczywiście pod dobrym gazem. Z lasu wybiega stado świń i baranów spłoszonych, za nimi nieznany jeździec, który podjeżdża do rozuzdanych graczy. Świnie kręciły się koło „paiolu" dopominając się o żarcie. Pokusztykałem i rzuciłem im w błoto kilka pałek „miliji". Zaspokoiłem chudobę i udałem się do rzeczki po wodę. Zmrok zapadał. Ktoś zza płotu woła: — Tu mieszka Inosynsju Lymys Corryja?... To dziwnie jakaś łamana portugalszczyzna — to ktoś obcy — pomyślałem. Włazić! włazić, chałupa twoja zawołałem, bo tak się już wrosłem w dom Lemesa, że prawie zawsze występowałem, jako część jego rodziny albo jak on sam. Gość uwiązał konia u słupka i wszedł. Ja zbaraniałem zupełnie. Przyjezdny zaczął: — Czy tu służy Stanislau K.? Wtenczas ja krzyknąłem, Władek, co ty tu robisz? Co tu chcesz?... Toś ty Stasiek? Jezusie nigdybym cię nie poznał! Tata żyją, matka zdrowa? — pytam. Żyją ale matka chorzy, kazali cię odszukać i chcą żebyś przyszedł.

Zrobił mi się taki straszny żal, że macochy której nigdy nie nawidziłem, dziś poszedłbym do niej na kolanach przeprosił ucałował, ona stała mi się tak drogą istotą. O mnie pamięta?... O mnie zdziczałym człowieku, który do innego dostał się świata, wrósł w obce życie, wytarł do reszty po obcych domach polską duszę,

rozwiózł po lasach to co kiedyś matka, ojciec, macocha, szkoła, biskupowa matka we mnie wlała... i o takiej zabłąkanej owcy pamięta?... Chce żebym wrócił? — Ale kto? — Stasiek! Kiedy ja nie jestem więcej Staśkiem. Po dawnym Staśku pozostało zaledwie nazwisko skoślawione... Cicho nie becz, matka tak prędko nie umrą pocieszał mnie brat. Ale słuchaj tak mi ich strasznie żal. Osiem lat ich nie widziałem. Tyle czasu robię u Lemesa. Nie mógłbym to u nich razem? Com tu się dorobił? Jak widzisz, odrapany, w jednych łaszkach podszyty wiatrem. Zarabiam 15 milów miesięcznie. Wiążę koniec z końcem, nie palę, nie piję, oszczędzam gdzie się da. Może oni przeze mnie chorzy?... — Nie wiadomo, ale im tęskno za tobą, bo jakeś tylko odjechał to nie mieli ani słychu ani dychu o tobie. Ja dopiero podjąłem się ciebie wynaleźć. Osiem dni za tobą się zwiaduję. Ale oni cię nie poznają.

Uradziliśmy że zaraz jutro wyjeżdżamy. Nazajutrz był to dzień św. Piotra i Pawła więc Lemesowie nadciągnęli dopiero wieczorem. Gospodyni za nic w świecie nie chciała się zgodzić abym odszedł na zawsze. Obiecałem że jak odwiedzę rodziców to wrócę. Byłem i ja święcie przekonany, że tak zrobię, bo tak mocno zżyłem się z domem Lemesa, że nie wyobrażałem sobie innego życia, ani nie pragnąłem zmiany.

Zaczęliśmy się liczyć ile zarobiłem. Uczyniło to dosyć sporo. Lemes wziął się kręcić, że nie ma gotówki, więc wepchnął we mnie dość kościstą szkapę, stare siodło, „ponsio", które napewno pradziada Lemesów ogrzewało, jedno ubranko i drugi pistolet, lepszy od pierwszego, fak i coś niecoś gotówki, a resztę to jak wrócisz. Więc tej reszty tj. 30 $ do dziś nie podjąłem. Wyposażynie wnet się skończyło, podarzyła mi się jedynie szkapina, z której przez 37 lat wywodzi mi się ród koński. Brat Władek był już żonaty. Kupił szakier i mieszkał niedaleko ojcowizny.

Stodoła nowa, kurniki, chlewki, płoty bór wyrąbany i widno wokoło. Chałupina rządowa jeszcze stoi ta sama, tylko jestem taki inny. Wszedłem na próg i poczułem się bardzo obcy. Na dnie duszy coś mi się odezwało i bezwiednie pochwaliłem Boga, to mnie ośmieliło i dzikość złagodniała. Macocha była w łóżku nie do poznania. Podała mi wychudzoną rękę... Czyś to ty Staśku? Boże miłosierny gdzieś był tak długo? Mnie żal ścisnął za gardło i rozszlo-

chałem się. Przecież ta kobiecina nic złego mi nie zrobiła, można by z nią było żyć żebym ja był trochę lepszy. Cicho Stachu, nie płacz — mówiła po cichu — dobrze żeś przyszedł, bo ciągle było mi na pamięci, gdzie też się tam poniewierasz po świecie i czy żyjesz?... Za trzy dni macocha umarła i pozostawiła nam dwie siostrzyczki i jednego braciszka.

W Paraguassu obok dawnej szkoły mieszczącej się w szopie powstał cmentarz. Nie jeden Polak złożył już tu kości, świadczyły o tym rzędy krzyży i mogił. Koloniści samorzutnie pobudowali już tu i tam szkoły. Uczył w nich kto mógł, i miejscowi samouki i inteligenci przyjezdni z kraju, szubrawcy, patryjoci, włóczęgi i ludzie poświęcenia. Byli i naukowcy, przyrodnicy. Raz dzieci złapały małe małpe w lesie i przyniosły nauczycielowi, ten wsadził stworzonko do kieszeni i obiegał kolonje szukając mlecznej kotki aby mu odchowała małpiątko. Był właśnie i u mojego ojca w pogoni za kotką. Innym razem wsadził pancernika do pieca nasypał mu gliny aby się raczył i zatkał go tam. Były wypadki, że w przeciągu roku szkolnego przepędzano pięciu, sześciu nauczycieli. A bo niedobry, a bo za dużo uczy, bo heretyk, sam ksiądz o tym mówił więc furda z nim, a bo z nami nie pije, za honorowy, do kościoła nie chodzi, to nie było pieniędzy na wypłacenie, to podczas żniw dzieci nie przyszły do szkoły więc nauczyciel gnał także z motyką w pole albo w podartych butach szukał szkoły w sąsiedniej okolicy. Inny znów machał ręką ktoby tym chamom dogodził, a co najgorsze że jeżeli zjawił się taki profesor, który umiał ująć sztukę nauczania i zacietrzewionemu chłopu zaimponował, to znowu plebanja wywaliła mu się z ambony na łeb. Ksiądz przezwał go heretykiem, masonem. A my chłopi, koloniści, zaraz dostrzegliśmy u profesora rogi i ogon. Słowa mason, heretyk były i są dla nas czymś najgorszym i od poniedziałku nie posłaliśmy dzieci do szkoły, to był najłagodniejszy sposób wykurzania nauczyciela. Takiemi wydarzeniami napawałem się bardzo często i zwolna nabierałem zwyczajów i obyczajów kolonistów polskich.

Każdego z emigrantów rozpierał własny chleb. Hojnie sypał na kościółek, siarczyście budował domki szkolne, bo miał wielką chęć, siłę do pracy i drzewo pod ręką. Gorzej było z utrzymaniem nauczyciela i do dziś dnia niema na to odpowiedniego sposobu. Dziecko posyła się za krótko do szkoły, płaci się za te miesiące za

które chodzi, a nauczycielowi nie starczy... i stąd wypływa nasze źródełko biedoty maluczkiej i nieokrzesanych kolonistów.

W parę dni po powrocie od Lemesa, poszedłem z bratem bo tak ojciec zarządził łupać gonty na szkołę. Pracowaliśmy coś ze cztery dni.

Do Paraguassu przyjechał dr. Kurcjusz i pod jego namową powstało towarzystwo „Bratnia Pomoc". Była to zacna dusza, pouczał kolonistów jak mają sadzić, zbierać gospodarzyć, a kto ma pieniądze stanowczo niech jedzie do Ameryki. Nie podobało się to księdzu, przepędził go z okolicy.

Ojciec wytrasnął weselisko po raz trzeci z potrójną wdową. Do krocset miljonów, nie ma nic gorszego jak potrójna wdowa macochą. Dowidzenia!... Poszedłem z Władkiem do roboty, bo urodzaje przepadły, raz zmroziło drugi raz grady zbiły.

Mieliśmy wybudować domek Sardesowi w Lajadinho, odległy jakie ze 70 km. Umówiliśmy się że zysk do spółki. Wzięliśmy piłę, siekiery i poszliśmy lasami. Łupaliśmy gonty, deski z pinjora, a kantówkę rżnęliśmy traczką. Władowaliśmy belkę na rusztowanie i tak jeden kiwał się na wierzchu, a drugi na dole. Skwar dopiekał, pot z czoła leciał, a trociny za kołnierz. Po dwóch miesiącach domek stanął. Sardes wypłacił połowę, a po resztę kazał przyjść później...

Za kilka tygodni sam wybrałem się po zapłatę, na własnej szkapinie. Jest to ryzykowna podróż. Przyjechałem do Papanduwy. Szczęściem szła tropa w tamtą stronę. Za odpowiednią zapłatą tropę prowadził sławny bugreiro Martins. Jedzie sześciu chłopów i kilkanaście jucznych mułów. Botokudzi tym razem przygotowali zasadzkę. Zamaskowali się po obu stronach ścieżki i siedzą w paprociach. Naraz rozległ się krzyk, zgiełk, huk, pisk, którym poruszyłby i piekło, a obie strony krzyczały. Wleźliśmy w sam środek. Martins głowy nie tracił. Przedostał się pomiędzy ich pozycje, zaszedł im z tyłu zaryczał straszliwie i palił z winczesteru. Zaskoczeni z tyłu Indjanie zaraz stracili ducha, uciekali z wielkim hałasem i krzykiem. Gnali na oślep pomiędzy muły i znikali w lesie. My po koniach batami i także w nogi. Gdy już znacznie oddaliliśmy się, Martins zatrzymał tropę i sprawdzaliśmy czy kto nie ranny. Manoco dopiero teraz poczuł że na siodle nie może się ruszyć, przykuty. Przez cedrowe oparcie okute blachą przeszyła

strzała i wbiła mu się w tylną prowincję. Przerąbaliśmy tasakami strzałę, między siodłem a jego pośladami i zdjęliśmy go z muła... na szczęście wyjęliśmy mu zazębione ostrze. Gorzej było z Gasparem, kupcem i właścicielem ziemskim. Był blady. Podtrzymywał brzuch otulając go kapotą. Strzała przecięła mu brzuch od boku tuż koło samego pępka. Przy odwiązywaniu jelita jęły mu uciekać. Pobledliśmy. Martins obwinął go podwójnymi kapami, popodpinał pasami i w milczeniu ruszyliśmy dalej. Na noclegu o brzasku Gaspar skończył życie. Do Lajadinho dowieźliśmy trupa. Sardes wypłacił mi trochę gotówką, dodał wałek kręconego tytoniu, a reszta do dziś nam się należy.

Dwóch moich braci sprzedało szakier i wyjechali do Ameryki Północnej, pozostał im jeszcze jeden grunt, który ja miałem otrzymać. Ale czym zapłacić?... kiedym bez grosza przy duszy... Zebrało nas się trzech chłopów i wyruszyliśmy na robotę rządową, bo szły pogłoski, że przy budowie kolei dobrze się zarabia. Miałem tam pieniędzy zarobić i wypłacić szakier... Mieliśmy we trójkę 40 $. Szliśmy dwa tygodnie. Nieśliśmy ze sobą prowianty, do tego dwa kociołki i jedną konewkę do gotowania. Idziemy od turmy do turmy i ofiarujemy ręce do pracy. Nie potrzebujemy! — może później — odpowiadano nam. Na jednego były zajęcia dość gęsto, ale pracę dla trzech nie można było zdybać, a my chcieliśmy robić razem. Doszliśmy do Siemieradzkiego w Boboucas. Co robić? Pieniądze się kończą a zarobić nie można. Siemieradzki więcej z litości niż z potrzeby dał nam robotę. Dwa dni pracowaliśmy, aby dwa dni świąt Bożego Narodzenia przeżyć. Psiakość chłopy, radźmy co bo ani na jałowy fiżon nie starczy — powtarzaliśmy między sobą — i poszliśmy dalej. Dostaliśmy się do kolonji ruskiej. Deszcz, błyskawice, grzmoty i ćmota że oko wykol. Prosimy o przyjęcie nas pod dach, bo ani suchej nitki na nas niema, szukamy roboty, wpuśćcie prosimy. — Ja was nie znaju! zatrzaśnięto drzwi i zagaszono resztę światła.

Idziemy ze trzy kilometry dalej. Pukamy, psy ujadają, deszcz pierze jak z cebra, już więcej zmoknąć nie możemy. Chcemy tylko w suchym miejscu doczekać rana. Uchyliła się okiennica z wielkim lękiem i jakiś rusek wykrztusił: Chałupina mała, dzieci dużo... Byle gdzie pod okapem przy ognisku na stojącego, byle nie na deszczu... Nie mogę i zatrzasnął. Dopiero w trzeciej sadybie,

jakiś Brazyljanin, w gaciach wybiegł do nas po deszczu, otworzył bramę — wchodźcie, wchodźcie! Nie liczył ilu nas jest i kto jesteśmy. Mniejszej chałupiny w okolicy na pewno nie było. Zapalił ognisko na nalepie. Dał nam do przewdziania swoje ubranie. Ponieważ miał tylko dwa portki w zapasie więc mnie przypadło wciągnąć kieckę jego kobieciny, jak to uczyniłem, zapomnieliśmy o kłopotach i prędzej zaświtał dzień. Koło Maletu przeprowadzał kolej Włoch Blondo. Zgodziliśmy robotę akordowo. Od świtu do nocy i do księżyca kopaliśmy na zabój. Tylko niedziela zapędziła nas do szałasu, albo w las na polowanie. Charowaliśmy dziesięć miesięcy i każdy z nas zaszparował tysiąc milów. Wróciliśmy do domu prostując drogę przez Rio Claro, Canoinhas i Itaiopolis.

Brat nie czekał, aż ja zarobię pieniądze, tylko grunt sprzedał i wyjechał do onej Ameryki. Nie upłynęło długo przysłał mi bilet okrętowy — przyjeżdżaj, zarobki dobre. Długo z sobą walczyłem, co zrobić? I kto zwyciężył?... Stasia K. Zrobiło się bajlisko, takie pożegnalne, boć wyjeżdżam i wtenczas ta dziewucha tak mi zawróciła głowę, że z miejsca nie ruszyłem i ożeniłem się. Bilet przejazdowy został zwrócony z poszkodowaniem. Osiadłem w drugim końcu ojcowizny. Zapłaciłem macosze i ojcu 370 $ za połowę gruntu, tak na wiarę bez żadnego dokumentu. Koniec końcem musiałem stamtąd wiać, jak pająk przed osą, tak ja przed macochą. Wziąłem na spłatę dziesięcioalkrowy grunt w sąsiedztwie. Pospołu ze Stasią spuściliśmy kawał boru na kukurydzę, aby sechł to się wypali i będziemy mieć wczesną kukurydzę. Z miejsca wziąłem się do wystawienia jakiego takiego domu. Rąbałem las, piłowałem kłody odtaczałem, darłem korzenie i równałem ziemię. Stasia okazała się wytrwałą i zdrową kobietą bo na równi ze mną dostawała przy siekierze. Noc nas wygnała i noc przygnała, aby prędzej jak skończymy to pójdę na roboty kolejowe aby coś gotówki zarobić. Teść dopomagał i ręką i chlebem. U niego mieszkaliśmy. Obiad Stasia dorywczo gotowała pod szałasem z trawy. Wbiłem koło ogniska dwie soszki, przełożyłem drążek, na którym zawisły kociołki z fiżonem. Takie ciepło, mamy derkę przenocujmy tutaj to jutro dokończymy obróbkę belek — zaproponowałem. Dobrze. Nazbierałem trawy i chrustu i urządziłem borsukowe łoże, śpimy. Po północy zerwała się burza. Huknęły pioruny, zadrgała ziemia i zahuczał bór, zerwał się wiatr. Trzymam dach z jednej a Stasia

z drugiej strony. Gdzieżtam dach poleciał pozostało tyle co w garściach. Czeluście nocy przerywa błyskawica. Biegniemy do macochy, bo to niedaleko. Kto tam? Ja ze Staśką! nocowaliśmy przy robocie. Nie potrzeba was tu — wysyczała pokraka — nie znałam was w dzień nie znam i w nocy. Mimo że ojciec zdecydowanie zgromił macochę i zapraszał do wejścia, to milsza była mi noc z piorunami niż głos tej podłej kobiety. Wracaliśmy przez bór ścieżkami, po korzeniach, poomacku, nakryci derką, która z zimną ulewą lepiła nam się do pleców.

Postawiłem chałupnicę nieco lepszą od indyjskiej i galantą stodółkę. W polu zasiewy udały się jak nigdy, obrodziły się i kartofle i fiżon i kukurydza, ale cóż z tego? — tanizna. W Rio Negro wziąłbym więcej, ale trza zawieźć 45 km. Żebym to miał tropę jak Lemes to bym sobie wykrzykiwał „cia-eee" !...

W zimie poszedłem na roboty kolejowe. W Canivete Ciemięgowski przeprowadzał tunel. Dłubali go Portugalczycy, Brazyljanie, Polacy i Rusini. Był tam jeden obieżyświat nie lepszy ode mnie i ciągle kpił z Polaków, Polacy przeważnie słabo albo wcale nie władali po portugalsku, ja zaś pytlowałem na lewo i prawo. Jak mnie Tiburcio, polaco som bandeira, to ja brasileiro som lingua (brazyljanie bez języka). Dowodził że ma język a ja dowodziłem że po banderze został nam jeszcze drąg, który się przyda na takich jak ty — i lu go łopatą przez plecy. A on do mnie z drągiem żelaznym. Natychmiast stanęło dziesięć łopat między nami i rozbrojono nas. Ja zabiję tego Polaka — powtarzał. A ja cię uduszę małpo zielona. Ciągło się to przez parę tygodni, aż przyszła kryska na matyska. Tiburcio zaproponował, spróbujmy się ale niech nikt się nie wtrąca. Dobrze, ozwałem się — trochę mi się niewyraźnie zrobiło bo to chłop jak cholera, o całą głowę większy ode mnie. Ja byłem mniejszy, ale barczysty, że aż mi ramiona odstawały jak skrzydła indykowi. Była to niedziela po południu. Przyszli robotnicy z innej turmy — zbytkowali. Tiburcio rozweselony ryknął — dzisiaj skończę z tym Polakiem... — Kończ jakeś chłop. Robotnicy podzielili się na partje za i przeciw. Niech się spróbują i robili stawki, który wygra. Stanęło na tym że nikt do walki się nie wmiesza, wszyscy pójdą na przeciwny brzeg turmy dwaj sami z tej strony. On mnie z góry za plecy, ja go z dołu pod żebra ująłem. — Puść, puść — szeptał po cichu.

Gnę mu coraz mocniej żebra i powtarzam — masz psiakrew coś chciał. Puść! ryknął głośno. Puściłem. Mas que diabli?! Cobardo! Tchórz! krzyczeli po drugiej stronie jego zwolennicy. — Passa rasteira (sposób podrywania nóg) wołali. Oj ty durny, mnie przy rasteirach zęby wyrosły, a com robił osiem lat u Lemesa? Zrób — pomyślałem. Skoczył mi pod nogi, ale kiedy się cofnął już fiknął w tył, bo mu podsunąłem moje knykuty. Zerwał się i rozjątrzony kopnął mnie, ja cap za nogę i położyłem go na plecy. Wywróciłem go brzuchem na dół, pozbierałem mu ręce i wykrzywiłem na łopatki i kolankowałem jak wiązkę siana. Powstała kłótnia po drugiej stronie, jęto biedz na pomoc. Kiedy przestał reagować na moje kolana, rozluźniły mu się ręce i nogi, ująłem go za obie nogawice prawą ręką, a lewą za łokcie, podbiegłem na brzeg ze trzy metry wysoki i rzuciłem go na pysk na wykopany tor kolejowy. — Masz teraz zbieraj się.... — Viva Polaco! wołali inni.... Rzeczywiście Tiburcio pozbierał się i odtąd nie widziałem go więcej, wyprowadził się do innego oddziału robotniczego.

Na wiosnę przyniesiono mi ustną wiadomość, że mam wracać, bo koło mojej chałupiny bociany krążą. Wiedziałem o tym, ale trza było wpierw zarobić coś dla matki i wyprawę potomkowi. Jeszcze porobię miesiąc to na opłacenie gruntu wystarczy. Czas wlókł się jak zimowe robactwo, co tam w domu, jak tam w domu?... pytałem sam siebie.

Wieczorami chodziliśmy do sąsiedniej turmy. U przeskoku zakładali belki na most i wbito słupa ukośnie na samej ścieżce. Było ciemno. Skoczyłem jak zwykle i wpadłem piersiami na słup. Plułem krwią i całe trzy tygodnie nic nie robiłem. Chudłem na szczypę. Lekarz kompanijny nic mi nie pomagał, jakkolwiek wlewał we mnie całą aptekę. O powrocie do domu nie było mowy. Dopiero dr. Piechnik przyprowadził mnie do zdrowia. U niego leczyłem się na swój rachunek.

Wróciłem. Syn mój liczył już trzy tygodnie. Trzymał się dobrze, chciał jeść i basta... Przyodziałem rodzinę i sam siebie, spłaciłem grunt 135 $. Byłem z siebie dumny, poczułem się gospodarzem, tu ja panuję stąd mnie nikt nie ruszy. Dałem zadatek na drugą ziemię odległą 30 km. od tej, hen za Iracemą na pograniczu Indjan. Było tanie ale korzyści, jak się okazało żadnej, bo któż tam mógł wejść kiedy Botokudzi bronili wejścia. Nie dla mnie

ale dla dzieci się przyda. Dzicz ciągłemi napadami nękała kolonistów. Bugrzy doczekali się okrutnego wodza, chłopa olbrzyma. Ślady jego stóp budziły podziw. Miały długości 40 cm. i od wielkości nóg nazwano go Pe Grande. Koloniści byli już zabezpieczeni w winczestery, ja tam poprzestawałem na lemesówce. Pewnego dnia pobijam dach na chlewku. Przyjeżdża do mnie goniec z rozkazem komisarza: natychmiast stawić się z bronią, bo Bugrzy grasują na Moomie. Pojechało 30 chłopów. Niektórym śmiałkom jakoś konie ustawały i zostawali w tyle. Z takim jednym wymieniłem lemesówkę na winczester. Przyszło do bitwy. Pe Grande dowodził. My zaś słuchaliśmy komendy Martina. Do pierwszej linji stanęło 18 ochotników. Kilku Indjan siedziało ukrytych w chlewie. Dano do nich ognia. Spłoszyli się. Tuż nad Martinem skacze czerwonoskóry przez płot, a ten dziabnął go w czoło tasakiem. Tasak zaklinował się w kości, Indjanin szarpnął się i pobiegł z nożem wiszącym u czoła. Padło ich tam chyba ze trzydziestu. Wieczorem wycofaliśmy się aby Indjanie swobodnie zabrali ciała poległych nagusów. Nazajutrz ani śladu nie było za trupami, wynieśli w las i widocznie spalili. W napadzie zabili kilkunastu Niemców. Porozbijali im głowy pałkami. Jedną kobietę zdołaliśmy uratować z poprzetrącanymi kośćmi, i drugą dziewczynę znaleźliśmy pod gałęziami schowaną. Trzy dni tam siedziała. W ranach na głowie miała pełno robaków, naznoszonych przez muchy. Nieco później olbrzyma zabito, ale w tej wyprawie udziału nie brałem. Martin napadł na niego w nocy. Źle czuwano, cały obóz spał gdzieś w górach Taio. Najprawdopodobniej byli upici miodem własnego wyrobu. Wyrżnęli prawie do nogi. Parę kobiet uciekło w las, Pe Grande dostał kilka kul w piersi. Dla ciekawości zmierzono olbrzyma mierzył 2 metry i 12 cm. Z wyprawy przywieziono parę dzieci botokudów. Mniej więcej po ukończeniu roku dzieci bywają chrzczone według ich sposobu: chłopcom dziurawią wargę dolną, a dziewczynkom nacinają łydkę u prawej nogi, taka bowiem jest ich ceremonja chrztu.

Próbowałem wyciąć las na gruncie za Iracemą, ale nie było sposobu. Ciągle musiała stać warta z czujnymi psami. Skórka nie opłaciła wyprawy.... Dodatkowo chodziłem do robót rządowych, albo kompanijnych, pozatem wrastałem w grunt, bo bez własnego kawałka ziemi zmarniałbym jak wyrwany krzak. Rozbudowy-

wałem gospodarstwo. Co rok słał mi się prorok. Doczekałem się już sześciorga dzieci, mam nadzieję najmniej jeszcze raz tyle. Starsi ode mnie gospodarze szczycą się 15, 16, a nawet 23 dziećmi. Jak z takim bataljonem własnych robotników wymaszeruje kolonista w pole to robota ubywała i na kupkę w skrzynce grosza przybywało. Kto mógł kupował ziemię dookoła. Ojcowizny nie dzieli się, każdy nowożyniec idzie na swoje, aby jak najdalej w bór bo tam grunt tani.

Nie obeszło się i bez parszywych owiec. Sąsiadowałem z awanturniczą rodziną koniokradów złodziei i zbójów. Żyło się z niemi zdaleka. Było dwóch braci S., chłopy jak tury. Jan był żonaty, Stach zaś kawalerem i mieszkali razem. Stanisław ukradkiem chadzał do P-go i zbałamucił mu żonę. Kiedy pewnego razu P. nieoczekiwanie wrócił z pola S. rozkręcił swoją przemyślną laskę i poprzebijał go żelaznym drutem. Potem powlókł go w las i rzucił do rzeczki. Na scenę tą patrzał z ukrycia J-k, który tamtędy akurat przechodził. Na pomoc nie mógł przyjść nieszczęśliwemu bo bał się zbója. P-i ocknął się we wodzie i na kolanach błagał na wszystkie świętości: Nie zabijaj mnie! Com ci złego uczynił. Oprawca przestraszył się i pobiegł po brata, co dalej robić?... Przyleciał z żoną. Naradzali się. P-i klęczał unurzany w błocie i prosił zmiłowania. A te bydlaki we trójkę powlekli go ze 100 metrów i powiesili na brakatindzo. Na drugi dzień P-a narobiła gwałtu: — Chłop mi się powiesił! Zbiegli się ludzie. Wisi... P-a mdlała i przewracała się, ale zawsze tam gdzie jest czysto, aby się nie pokłuć. Komisja kazała pochować i wróciła. Tymczasem J-k pognał lasami do kolonji (dziś Alto Paraguassu) zastąpił jej drogę i powiedział wszystko jak było. Policja powróciła i zabrała oprawców na 28 lat więzienia. Na urzędzie prefektury siedział wtenczas Kuchler Niemiec, szuja z pod ciemnego znaku. Otoczył się podobnymi sobie ludźmi: zbirami, awanturnikami i rządził. Czy to była zabawa u kolonistów, czy bal w szkole w celu zebrania pieniędzy na utrzymanie nauczyciela to nasyłał swoich kapangów, a w poniedziałek od rana wyglądał kto pierwszy idzie ze skargą i za rozpatrywanie spraw kazał sobie drogo płacić i niewinny kolonista z pola wysiadywał w więzieniu. J. S-ego zamianował sołtysem. Syn mojej macochy St., z którym dobrze żyliśmy nie mógł w konie ujechać, bo droga rozmiękła. Wyszedł do

niego S -i. — Czekaj no ja ci pomogę. Wziął biczysko i obił St., człowieka Bogu ducha winnego, powybijał mu zęby, zakrwawił i narobił sińców utarzał w błocie i zabrał go do sądu. Kuchler kazał wsadzić go do więzienia. Wieczorem przygnał do mnie Z-cki i mówi że St. pobity i siedzi w kadeji. Na drugi dzień w południe byliśmy już w prefekturze, aby ująć się za pokrzywdzonym. Prefekt miał karczmę. Wchodzimy, pełno ludzi. Stoi S-i oparty plecami o tąbak. Kuchler obok niego z jedną nogą na ławce sparty łokciem o kolano i kiwa się. Co powiecie? — wycedził przez zęby. Przyszliśmy się ująć za St., bo niewinnego pan prefekt kazał zamknąć, a zbója i wiszaciela puścił. S-i wściekł się. Złożył pięść i całą siłą jak młotym, puścił ją w stronę mojej twarzy. Byłby mnie pogruchotał, bo miał on tygrysią łapę. Głuptas nie wiedział, że byłem osiem lat bosem kowbojem, i nie jeden raz byłem w opresjach. Piorunem wywinąłem młyńca i złapałem go za gardło. Pochylił się, a Z-ccy kłuli go biczyskami po wygiętych plecach. W tej samej chwili wyskoczyła z kąta jego kobieta i wpiła mi dziesięć pazurów w ślepia i darła jak oszalały mrówkojad. Nie mogłem puścić gardzieli aby oderwać paznokcie. S. miotał mną jak kot myszą, ale nie puściłem. Taki natłok się zrobił, że nie można było się ruszać. Dziesiątki rąk nas chwyciło i wtenczas puściliśmy się. Za małą chwilę zbiry którzy stanowili policję, uzbrojeni w karabiny aresztowali mnie i dwóch Z-ich. Siedzimy ze dwie godziny. Przyszło dwóch B-ich, jeden z nich zawołał: K. chodźcie no tu. Wyszedłem. Za ścianą stało pięciu drabów. Chwycili mnie za ręce, wyprowadzili w lajanę (zarośla), związali rzemieniami i zaczyli bić. — Co robicie zbóje? Siedmiu na jednego, to mi odwiążcie ręce, a wtenczas się spróbujemy. Rąk mi nie odwiązali i jęli smagać szablą po plecach. Zalałem się krwią. Nie było miejsca od szyi do kolan, aby nie naruszyli. Kapała krew i z piersi, bo szabla obwijała się i końcem raniła. Zaciąłem się że ani nie pisnąłem i nie żebrałem litości. Odprowadzili mnie do celi ociekającego krwią. Jęli wyprowadzać Z-ich, ale ci domyślili się co ich czeka, otworzyli gęby i ryczeli jak prowadzeni na rzeź. Na ich jęk zbiegli się ludzie i oprawcy wepchnęli ich spowrotem do więzienia. Przez noc leżałem brzuchem do podłogi. Było zimno i rany paliły jak ogniem. W południe wypuszczono nas. Wynoście się przeklęte psy! — powiedział B. na odchodne. Byłem zły, i bolałem nad tym

że tą krzywdę wyrządzili mi moi rodacy mizeraki nikczemne i czy to się kiedy poprawi?... Myślałem rzucić się i połamać któremu kości, ale cóżbym zrobił kiedy musiałem się sztywno trzymać opuchnięty i siny. Szedłem jak świeca gorejąca i wstąpiłem do S-ego, agenta „Gazety Polskiej" z Kurytyby. Chciałem się nieco umyć, bo obrzydliwie było patrzeć na moje ręce posiekane jak befsztyk. S. za głowę się złapał. — Co wam się stało?... Radził nie myć się, tylko dał mi konia i list do dr. Piechnika, lekarza w Mafrze. Pojechałem. Jazda była bolesna. Doktór obejrzał rany, napisał list i wysłał mnie do Quinco Amarala zacnego i wpływowego Brazyljanina. Po trzech dniach wracałem do domu a Kuchler jechał do Mafry wezwany przez wyższe władze. Odtąd nie zasiadał więcej na urzędzie prefekta. Podobnych skarg płynęło dziesiątki ale zawsze rozbijały się po drodze, a nam kolonistom wiatr w oczy dmuchał. Za pomocą Gazety Polskiej ujął się za nami konsul austryjacki. Ale co się stało nie odstało się więcej. Wielu kolonistów popłaciło grunta na ręce szubrawca i przepadły pieniądze. Dziś po czterdziestu paru latach koloniści muszą płacić na nowo swoje grunta i to potrojoną sumę. Podobnie zrobił w dwadzieścia lat później jego syn, który dostał się na urząd, tak ojcu jak i synowi szło najsładniej z sierotami i wdowami.

Zarobki na drogach kolejowych zawsze nas pociągały, bo gotówka była potrzebna, ale nie zawsze szczęście sprzyjało. Wybrałem się do Porto Uniao na łupanie durmentów (podkładki pod szyny kolejowe). Pracowałem dwa miesiące od świtu do zmroku, i zarobiłem 8 $. Skierowałem się na posłusznych nogach do Ivai i szedłem 20 dni. Tam mieszkał mój brat. Odwiedziłem go. Dziś zajmuje się uprawą wina. Pracy nie było. Ledwo uciułałem 16 $ i z powrotem piechotką do Ponta Grossy. W Ponta Grossie wlazłem do jakiejś brudnej jadłodajni i kazałem sobie dać kawy. Podała mi ją czarna kobieta trzęsąca się od tłustości z ogromnemi wolami. Wypiłem osiem naparstkowych filiżanek przygryzając własnym chlebem zesuszonym na kość. — Ile? Zażądała osiemset reisów, prawie mila! Zdrętwiałem. Taka cena — odrzekła śmiejąc się od ucha do ucha. Kupiłem soli i zapałek za dwieście reisów i pozostało 15 $. Postanowiłem jechać pociągiem do Rio Negro.

Po wykupieniu biletu zostało mi jeszcze 4 $. Kupiłem sobie na stacji dwa olbrzymie pierogi. Jakże byłem rozczarowany kiedy zabrałem się do nich. Powłokę stanowiła misternie wypieczona pianka a w środku dziura z kruszynką mięsa. Było tego na jeden łyk. W Serrini przesiadka. Pociąg będzie dopiero jutro koło południa. Pytam gdzie tu można przenocować. Wskazano mi hotel, a raczej budę. Ba bez pieniędzy do hotelu nie idę. Wolę gdzieś pod ścianą przekarwęczeć noc. Wlazłem do wagonu. Zwrotniczy wypędził mnie stamtąd bo wagon ten pójdzie w nocy do Kurytyby. Ułożyłem się pod ławką na stacji. Przyszło do mnie olbrzymie psisko i jak nigdy nic układł się koło mnie, bo to widocznie było jego legowisko. Psisko było ciepłe i ogrzewało mnie galancie i dobrze nam szło pod oną ławką, gdyby nie mrowisko pcheł jakie z sobą przyniósł. Do rana ani oka nie zmrużyłem, tylko opędzałem się z robactwa. W Rio Negro kupiłem sobie dwie bułeczki i hajda piechotą do domu (45 km.). Ze zmrokiem zaszedłem do Cabeca Seco do B-ego. Kobiecina przygotowała kolację. Deszcz pada jak z cebra. Dopiero przy kolacji poznała mnie i zapytała: Czy wy z tamtego świata wracacie?... — Nie z Ivai. Przenocujcie jutro pojedziecie z nami, bo jedziemy do kościoła. Ale wiatr chmury zdmuchał i księżyc wzeszedł jak srebro. Pójdę. Wyglądacie jak trup, co wam się zachciewa?... Brudny, obdarty iść jutro przez kolonję jak dziadek nie pasuje — poszedłem. Znowu chmury zakryły niebo, deszcz, błyskawice i grzmoty. Wpadłem do dołu z błotem tak głęboko, że zatrzymałem się dopiero na rozkroczni. Próbuję wyleźć. Wszystko byłoby dobrze gdyby but nie został na dnie, bo rozlazła się sznurówka. Włożyłem nogę ponownie wypchałem błoto i wyciągnąłem. Udarłem rąbek od koszuli i zasznurowałem. Koszula była stara i wnet sznurowadło puściło. Idę boso. Tak się nie da, pełno ostrych kamieni. U W-ego stał na podwórku wóz naładowany herwą. Z obu szczytów pozakładał deski, aby nie zacinało deszczem. Poszedłem, bo to stary znajomy można mu spiochnąć sznurek od budy jeszcze w takiej biedzie. Uciąłem i deski z romotem spadły, ja z nimi. Torby z konewką i kociołkiem, które ciągle ze sobą nosiłem narobiły obcego romotu. Psy się obudziły i W. nie spał, bo się odezwał. Ja sznurek miałem i doszedłem do domu pół na 12, ledwo żywy. Byłem sztywny, nogi

miałem jak kołki. Wysmarowałem się Pan-Expelier, a na szczęście był w domu. Obudziłem się zdrowy i zdolny do roboty, a że to była niedziela więc przesiedziałem w domu.

Dzieci chodziły do szkoły i przy nich zacząłem przypominać sobie sztukę czytania. I tak się zwydrzyłem że prawie co niedziela leciałem do szkoły czy na plebanję, aby jakąś książkę dostać do czytania. Nieraz koguty piały, a ja przy kopciuszku czytałem Sienkiewicza dzieła i wogóle co popadło. Dostałem w podarunku od dr. Piechnika, Chemię Życia Codziennego. Z tej książki nauczyłem się dużo. Nieraz nie mogłem ścierpieć że inni takich pięknych i niezbędnych rzeczy nie rozumią więc często im tłumaczę, to z politowaniem się patrzą, że mnie się rozum pomieszał.

Przy pomocy drobiazgów i podrostków już jako tako gospodarka szła, ale co z tego kiedy wszystko tanie, jak sprzedajesz, a drogie jak kupujesz. Najgorsza to odległość. Aby co wywieźć trza blisko trzy dni zbałamucić. Poszedłem w góry nadmorskie kopać tunele do św. Franciszka. Miał kuźnię Wiktor J. wspaniałe chłopisko. Pracowałem u niego przez 10 miesięcy. Zarobiłem 400 $. Jeden miesiąc gdzieś mi się zaprzepaścił, widocznie „Feitor" nie zapisał. Poza godzinami robiłem sobie obcęgi, młotki, siekiery, nawet niektóre mam do dziś. Za zarobione pieniądze kupiłem od Rusina grunt już dość przerobiony. Na bezrok sypnąłem z Z. do Joenville również na roboty kolejowe. Z. już tam był i bardzo na ten zarobek napierał. 12 km. za S. Bento zaatakowała go febra. Kiedy go opuściła szedł dalej. Idziemy znowu dzień. Niema rady. Wrócić nie chce, iść nie może. Kiedy stracił przytomność zależało od mojej decyzji. Położyłem go w cieniu ze 20 metrów od drogi i czekam kiedy jaki wóz pojedzie. Jadą wozy, Niemcy, proszę weźcie chorego. — Tam drudzy jadą i mają więcej miejsca. Przyjechali drudzy i powtarzało się to samo. Aż nad samym wieczorem jechał dość mizernym wózkiem Brazyljanin. Ten zaraz stanął, co jak gdzie dokąd? A czemu nie!... „nao custa nada" (nic nie kosztuje). Rozwiązał pęk plecionek z sitowia i pomógł mi go przynieść. Z S. Bento zabrał go do domu W., ten któremu spiochnąłem sznurki w ciemną noc. Ja poszedłem dalej. Prostowałem drogę jak mogłem. Spinałem się po zboczach i złaziłem w padoły, spadłem rozsypałem fiżon, aż wreszcie doszedłem do Joen-

ville, zmoknięty do nitki bo wiatr urwał mi parasol, który prawdopodobnie teść przywiózł go z Polski. Proszę jednego Niemca o nocleg, ten kiwa głową że „nao". Mieszkał on we wspaniałej kamienicy, więc proszę o miejsce w stajni albo w stodole. — Tu się nikogo nie nocuje, tam dalej są hotele. Na mnie patrzył z politowaniem jakiś pan o szlachetnej twarzy. Poszedłem dalej i odwiedziłem siedem domów z kolei i nikt mnie nie przenocował. Do hotelu iść nie da się, bo mam tylko półtora mila w kieszeni. Ściemniało się. Wszedłem do jakiegoś bednarza, może tu? — Nie. W tej samej chwili nadjechał wóz z klepkami, z miny widzę że to Brazyljanin. Weź mnie pan. Stanął. I owszem proszę włazić. Ujechaliśmy ze dwa kilometry, zajechał do drugiego bednarza, a że było ciemno, zostawił wóz na placu, konie zabrał, a mnie powiedział możesz nocować na wozie. Kupiłem sobie bananów za dwieście rejsów, dostałem ogromnie dużo. Co miałem w torbie było rozmoknięte. Więc jadłem banany i piłem wodę ze strumienia przydrożnego. Spałem na gołych gontach postawionych na sztorc i przykryłem się mokrem „espanta boiem" (rodzaj kapy). Wstałem. Piję kawę i jem banany. Podziękowałem za przytułek za co mi słusznie odrzekł: nie ma za co. Zanosi się na coś niedobrego. Brzuch mi spuchł. Pragnienie mam wielkie, piję wodę i jem banany. Zresztą idę sobie makadamą jak wice hrabia, bo na to stanowisko wskazywał mój pokaźny brzuszek, tylko z tą różnicą, że odżywiany wodą. Niespodziewanie spotykam tą samą twarz szlachetną którą widziałem wczoraj u pierwszego Niemca który odmówił mi noclegu. Podszedł do mnie i zapytał po polsku — co wam jest?... Ucieszyłem się niezmiernie że choć raz spotykam Polaka nie nędzarza, który może się porządnie ubrać i porządnie wyglądać, no i odrzekłem że nic, tylko mi brzuch co raz puchnie. Z wami jest źle, trza się ratować. Poszedł ze mną do apteki, kazał mi dać jakiegoś rozczynu i wypiłem. To mi pomogło. Brzuch odtęchał. Do robót doszedłem zdrowy. Pracowało tu dużo moich znajomych. Najwięcej było Rusinów z Rio Claro, aż 80. Rusini to ludzie bez miłosierdzia. Zachorował Janek H. Był to młody człowiek. Żaden Rusin nie zlitował się aby mu podać strawy albo garnuszek wody. Od czasu do czasu ja go musiałem ratować. Tutaj Z. nabawił się malarji. Pracowałem trzy miesiące. W ciągu tego czasu umarło dwóch Rusinów i jeden Polak, ojciec

sześciorga dzieci, chłop jak świeca. Poza malarją było tu coś innego. Na wieczór prawie każdy chodził napuchnięty. Puchłem i ja. Z każdym dniem robotnicy opuszczali pracę. Pewnej soboty po wypłacie zebraliśmy się wszyscy z naszej kolonji i postanowiliśmy porzucić robotę. Kiedy wydrapaliśmy się za Góry Nadmorskie to chwyciła mnie malarja. Niemiła to jest choroba: ziąb, dreszcze i trzęsawica. Dziwnym zbiegiem okoliczności spotkałem tego Z., którego ratowałem kiedy śliśmy na roboty, tak on mi się teraz odwdzięczył i jak mógł tak przytaszczył do domu. Prawie rok chorowałem, więc co się zarobiło to się prawie i wydało na chininę. Odtąd na roboty więcej nie chodziłem. Gnałem z dziećmi w pole. Gruntu było sporo, więc było gdzie sadzić. Ale pole to jak ta loterja: kiedy zboża nie ma to ma dobrą cenę, kiedy znów jest to chodź od sklepu do sklepu i proś żeby kupili. Najwięcej poratowała mnie herwa mata, bo przez dłuższy okres była w dobrej cenie, ale też jak spadła to ledwo wygrzebałem się. W tym dobrym czasie kupiłem 30 alkrów ziemi, naraz herva spadła i jak nie szło tak nie szło wypłacić. 13 tysięcy musiałem ugrzebać motyką. A tu jak na dobitek jeden syn kończył szkołę handlową w Kurytybie i co miesiąc trza było płacić, drugi poszedł do piekarza, a trzeci do wojska, dwoje drobniejszych trza było posłać także do szkółki. Naskrobałem się nie mało. Trzymałem się do ostatka żeby się procentom nie dać. Ratowałem gospodarkę z trojga dziećmi no i moją starą. Dzień był zawsze podobny do dnia, jak tylko świt wstawało się z ołowianemi kośćmi i wracało się doganiając ostatnią parą. Znalazły się jednak leki, które ukoiły i ciało i duszę. Wszystką nędzę i niedostatek, obrazy i obelgi zapomniało się w jednej chwili, kiedy dowiedzieliśmy się że konsul polski do nas przyjedzie. Że naprawdę wolno załopota nasz sztandar, że mamy przedstawiciela, że na gołym drzewcu zawiśnie bandeira... Zapomnieliśmy na chwilę o wszystkich troskach. Wystroiło się Alto Paraguassu na ostatni guzik, pobudowano bramy tryumfalne, wywieszono sztandary, zjechali się wszyscy koloniści w najgłębszym skupieniu, bo przecież do nas Polska jedzie, Polskę witamy. Więcej jak 120 chłopów polskich wsiadło na konie i wyjechało na spotkanie i ja między nimi byłem na swej lemesówce. Dni takich nie zapomina się nigdy, one dają siłę, pociechę, wytrwałość i radość na resztę żywota. Odtąd nie czujemy się sami. Zawitali

do nas później i inni konsulowie, jedni nas ściskali i razem z nami się cieszyli, przemówili do serca i tych się dało kochać i szanować, a był jeden taki który zdawało nam się że nami pogardzał, bo przyjechał zsiadł z auta i patrząc prosto przed siebie wsiąkł na plebanji i więcej nam się nie pokazał. Tłum ludu czekał do wieczora i z osłupiałą miną wracał do siedzib. Był u nas parę razy pan minister Grabowski. Ten człowiek podbił nas sobie na zawsze, pokochaliśmy go z miejsca. On dla nas stanowi najbliższe okienko przez które widzimy jaśniejącą Polskę do której nieprzerwalnie tęsknimy, jak to proste żołnierzysko do buławy marszałkowskiej. Drugą szparą przez którą widnieje krajobraz polski, to pisma przysyłane z kraju przez Światowy Zw. Polaków, które dwa, trzy razy do roku przysyła C. Zw. Polaków w Kurytybie do naszego nauczyciela w Alto Paraguassu, a ja i może paru innych przegląda je. Najwięcej do nas przemawiają wydawnictwa ilustrowane „Żołnierz Pol.", „Morze" itp. Są i nasze miejscowe pisma, których dość spora ilość jest prenumerowana.

Ostatni spis, prywatny, wykazał że jest nas Polaków w Santa Catharynie 30 tysięcy dusz wraz z trzema pokoleniami. Niestety zwolna to wszystko wsiąka w bór brazylijski i bodajże że przepada dla sprawy polskiej. Jedyny nasz dorobek jaki dorobiliśmy się to jest posiadłość ziemska. Ja sam nie zaliczam się do obszarników jakich mamy wielu, ale posiadam sobie 225 hektarów wyborowej ziemi, do uprawy, na paszę z borem odwiecznym, hervą itp. Kupowałem to dla dzieci, ale okazało się że nie dla wszystkich wygodziłem, poczuli pociąg do czego innego. Jeden poszedł do wojska, jest dziś podoficerem, drugi uczynił to samo, trzeci został piekarzem, a jedna córka uczy się kroju. Pozostało mi jeszcze w domu pięcioro.

I co to tobie Polsko po takich dzieciach?... rozsypanych po świecie?... Żebyś to gdzie miała za morzem własną kolonję uczynilibyśmy z niej raj. Latałby do nas Skarżyński po własnym niebie, jeździłby „Pułaski" z „Kościuszką" po własnych wodach. My kupowalibyśmy polskie naczynia, fabrykaty. (Dziś w mojem gospodarstwie znajduje się jeden pług wyrobu Cegielskiego — „Las"). A ile to tysięcy wydajemy na ubranie i wszystko to tonie u obcych. A czy to nasze ręce są gorsze od chińskich, albo murzyńskich że z nich nie smakuje herbata?... Ile to my tutaj wy-

pracujemy produktów które potrzebuje Polska, a jakoś nie można nawiązać tych nici... Daj nam Polsko Marszałka kolonjalnego.

W tym roku towarzystwo „Bratnia Pomoc" nabyło radjo, bo gazety podawały że specjalnie do nas w Brazylji będą mówić z Polski. Zleciało się dużo kolonistów i z naprężeniem słuchaliśmy, ale nic nie mogliśmy usłyszeć. Wielu starców płakało że chcieliby mowę polską usłyszeć i mnie było tak rzewnie że nawet długo usnąć nie mogłem. Zato parę razy do roku urządza się tutaj przedstawienia teatralne, na które z radością idę z całą rodziną. Z instruktorami Wydziału Oświatowego, nie miałem wiele do czynienia. Ogólnie mili to są ludzie, dobrze wyglądają nieźle się odżywiają i znacznie lepiej od nas ogorzalców wyglądają. Mają jednak wielki mir u kolonistów, ale wobec tego że księża sprzeciwiają im się w działaniu, a że trudno jest każdemu dogodzić, wolą więc wylegiwać się na plaży Atlantyku, albo w Kurytybie rozbijać się autami. Lubią oni jeździć konno na polowanie i nie wiedzą że konie wodę piją i trzy razy dziennie jedzą. W naszem osiedlu zajeździli dwa konie Z. i A. Pewnego razu przyjechał do nas instruktor naczelny. Na kolonji św. Jana, nauczyciel toczył walkę z kolonistami, bo napisał artykuł o szkodliwych zabobonach. Koloniści byli przekonani że o nich pisze. Mimo prośby okręgowego, pan instruktor nie pofatygował się wpłynąć na kolonistów i nie pomyślał o zebraniu i zachwycony okolicą odjechał. Nauczyciel uciekł się pod opiekę sądową — wygrał. Urzędnicy z pochodzenia Niemcy sprawę rozpatrywali i wytrąchali nad polskimi chłopami. Mimo wygranej nauczyciel musiał w połowie roku szkołę opuścić bo nie posłali dzieci. W innych miejscach nie jest lepiej. Zato instruktorzy cięte wiersze piszą i zwią się „Poetami Parańskiemi", ale Naszej Szkółki, miesięcznika dla dzieci niema kto redagować. Sam je chętnie czytałem, ale nie długo, bo coraz nawoływano do współpracy do pisania artykułów. Ja tam nie czułem się na siłach ale wybrano nie wiem po raz który komitet pań w Kurytybie, który będzie niezawodnie celująco redagował. Po zebraniu panie redaktorki wyjechały nad morze i Nasza Szkółka klapnęła. — Podobny los spotkał i miesięcznik pedagogiczny Nasza Szkoła. Instruktorzy są potrzebni, ale tacy jak pan J. G. To był chłop! Zrobił z kolonistami co chciał. On i plebanji dał radę. Kazał nam założyć szkołę dokształcającą. Założyliśmy,

dopomógł i dzisiaj już mamy piękny rezultat tej szkoły, promieniuje na całą S. Catharynę. Tylko w niej nasza przyszłość. Daj Boże zdrowie panu G.

Zaznaczam w dopisku, że jest w naszej parafji wielki skandal, który mniej więcej kosztuje nas kolonistów 750 tysięcy milów. Nie ze złej woli ale z zarozumiałości, ksiądz K. niefortunnie przegospodarzył. O tym nie da się napisać w pamiętniku. Tu trzeba specjalistów i to do niczego nie dojdą. Kupowano ziemię, budowano kościół, szkołę, prowadzono sady, wszystkim kierował zaufany proboszcz. Zbierał pieniądze od kolonistów nawet o północy wpadał do domów i pożyczał na nagłe potrzeby. Dziś ludzie dopominają się, niejedni pożyczyli co mieli, a dziś im brak. Księdza już niema, który narobił gmatwaniny. Wielu adwokatów tą sprawę oglądało i zrzekli się wszelkich dochodzeń, bo są na te pieniądze najrozmaitsze dokumenta, między setkami dowodów są i wizytówki na których jest wypisane „Pożyczyłem od Franciszki K. 7 tysięcy milrejsów", to z jednej strony, a z drugiej „jeszcze dwa tysiące od tej samej osoby, na zakup ziemi pod kolonizację w Rio da Prata". Każdy z prawników któremu przetłumaczono taki skrypt machnął ręką i poszedł szukać pewniejszego chleba. Gnębi nas to nieszczęście niemało, a drugie jeszcze więcej nas przygniata, to jest wybudowaliśmy kościół, bodaj co do wielkości drugi w Santa Catharynie, ale ten ma 54 m. wysoką wieżę z białym orłym na wierzchu. Kościół ten kosztował nas 800 tys. milrejsów. Obok szkoła murowana zakonna 200 tys. milrejsów, dalej towarzystwo „Bratnia Pomoc" z 50 tys. milrejsów. U wejściowych drzwi kościoła ks. K. wmurował tablicę na cześć wynarodowionego Niemca, jako fundatorowi tego kościoła. Ba, to trzeba tysiąc tablic wmurować, bo tam każdy kolonista, jeżeli nie tyle to więcej dał, jak ów sędziwy Niemiec. My miniemy ale ten kościół napewno przetrwa wieki, a tablica nie wspomni że to koloniści polscy ten pomnik wznieśli. Treść napisu trza zmienić! 50 lat ciułaliśmy grosz aby wybudować to wszystko i kiedy jest skończone okazuje się że to nie nasze, bo proboszcz zapisał wszystek nasz majątek, wspólny nasz dorobek moralny, na biskupa. Po pół wieku pracy jesteśmy komornikami. Czy nie lepiejby było aby naszym dorobkiem kulturalnym rozporządzała placówka konsularna?...

Dn. 18 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 17

Rolnik w Paranie, syn dorożkarza z Warszawy.

Moi rodzice wyjechali z Warszawy do Brazylji 1911 roku z powodu moskala bo zabraniał uczyć w szkołach po polsku, tylko po rosyjsku. A my wyjeżdżając już wiedzieliśmy gdzie bo mój ojciec miał derożki i jeździli z moim najstarszym bratem derożkami w Warszawie. I słyszeli jak rozmawiali niektórzy ludzie o Brazylji, że Brazylja jest kraj wolny. Tak mój ojciec wyprzedał cośmy mieli i wybraliśmy się do Brazylji. Z Warszawy do granicy rosyjskiej jechaliśmy koleją. W rodzinie było nas siedmiu, była jedna agientka polska, co przez granice rosyjskie przewiezła nas. Nie mogliśmy wszyscy razem przejechać, tylko nas siedmiu rozdzielono na trzy partje, zjechaliśmy się wszyscy do Katowic, do domu agientki. Od jednej osoby płaciliśmy po cztery ruble. Tam w domu agientki przenocowaliśmy. Na drugi dzień agientka odprowadziła nas do kolei w Katowicach, tamuj wykupiliśmy sobie bilety do Brymu *). A w Brymie agienci już oczekiwali za ludźmi co jechali do Brazylji. Z Warszawy do Brymu jechaliśmy na swój koszt. A z Brymu to już na koszt brazyliski. Z Brymu do Rio de Janeiro jechaliśmy okrętem 28 dni. Wicht na okręcie dostawaliśmy niezły. Rano na śniadanie kawę i chleb z masłem, na obiad dawano zupę ze śliwek, kluski jak pięście, ryż, kapustę, mięso bydlęce i wino. Na kolację herbatę, chleb z masłem. W Rio de Janeiro byliśmy osiem dni, oczekiwa-

*) Tj. Brema, Bremen.

liśmy na okręt co miał przyjechać z emigrantami polskiemi, jak i inszej narodowości. W Rio de Janeiro też nie było można narzekać na wicht. Ósmego dnia wydzwaniali i wołali gdzie kto chce jechać, czy do Parany, czy do Sta Cataryny czy do Sao Paulo. Wtenczas gdzie kto chciał to mógł jechać. My wybraliśmy sobie do Parany i tego samego dnia wsiedliśmy na okręt brazeliski. Na tem okręcie myśleliśmy że się podusimy od gorączki, od zaduchu i od smrodu. Bo nas wpakowali blisko pieca i maszyn, był bardzo nieporządek w wichcie. Ludzie bez dwa dni i dwie noce to mało nie poumierali od nieporządku, na trzeci dzień przyjechaliśmy do Santos, ale z wielką bidą. Na drugi dzień ze Santos znów koleją przyjechaliśmy do Kurytyby. W Kurytybie byliśmy cztery dni. Wicht w Kurytybie też nie był lichy. Z Kurytyby piątego dnia, wyruszyliśmy do Rio Negra wozami wielkiemi po 6 i po 7 koni. Jechaliśmy cztery dni. W Rio Negrze byli już postawione baraki naumyślnie dla emigrantów. Te baraki mieli 25 m. dług. 15 m. szerok. 5 m. wysok. podłogi nie było ani sufitu. Rio Negro było wtenczas jeszcze małe miasteczko, było do 40 domów, a z materjału nie było ani jednego, tylko wszystkie z drzewa i niektóre dachy już były pogniłe. Bez trzy tygodnie byliśmy w tych barakach z wielką bidą, te baraki byli blisko nad rzeką, a robactwa żadnego nie brakowało. Byli żmije, żaby, szczury, komary, kliszcze. A ludzie chorowali na żółtą febrę i jeszcze więcej było chorób, co ludzie nie wiedzieli co to za choroba. A doktora nie było, dziennie umierało po kilka osób, a przeciętnie dzieci. A baraki czyli domy dla emigrantów były małe. Nasza pierwsza emigracja co przyjechaliśmy do Rio Negra to było 35 famielji. Niedługo przyjechał drugi transport, to było 40 famielji, to byli też sami Polacy. A parę dni później przyjechał trzeci transport, też sami Polacy. Byli postawione baraki, ale na tyle famielji co przyjechało to było wszystko za mało. Ludzie musieli tułać, bidować, poniewierać się, gdzie ino jakie szopy byli, to się chowali, albo też i pod gołem niebem. Moi rodzice i jeszcze więcej famielji, co przyjechali pierwsi to poszli do rządu w Rio Negrze i mówili żeby rząd wysłał z niemi jednego Brazeliana na kolonje. I rząd zgodził się na to. Na drugi dzień poszło do 20 mężczyzn razem z Brazeljaninem. Wyruszyli rano, wicht rząd dał na tydzień, bo nie wiadomo było, kiedy można wrócić, a podróż była daleka

sześć milów drogi. A od Rio Negra to był tylko las, nie było żadnej drogi, tylko steczka, a ta steczka to była tak podziurawiona od mułów, że nie było można ani iść, sześć milów drogi to trza było iść cały dzień, jak zaśliśmy tam na miejsce to były już budynki postawione, a każdy budynek miał 6 m. kwadr. Okien szklanych nie było tylko z desek, podłogi nie było ani sufitu. W tym jednym budynku wszyscy razem przenocowali po tej ciężkiej podróży każdy sobie spoczął. Po spoczynku każdy sobie szykował kolację, co kto mógł bo chleba nie było. Tylko musieli sobie gotować groch czarny, ryż, mięso czyli po brazelijsku siarkę, ale nie było wiadomo z czego ta siarka była, czy z bydlaka, czy z muła, czy z jakiego zwierza, bo była bardzo twarda i słona. Po kolacji kto chciał to sobie ugotował kawy czy herbaty i popił. Potem zaczęli sobie marzyć o spaniu, bo nie było co pościelić, tylko na goły ziemi. Jak kto mógł tak drzymał. Ledwie niejeden oczy zmrużył, już było słychać hałasy w boru, gwizdanie na podobę dzikich kurów, ryki małpów. Ludzie sobie z tego nic nie robili. Niezadługo było słychać rozmaite ciskanie na dom. Po chwili było słychać mowę i rumot po ścianach, wtenczas poprzebudzali się wszyscy i wyobrażali sobie że to są Bugry, czyli po polsku Indjanie. Wszyscy byli przestraszeni bo nie mieli ze sobą strzału dobrego, bo urząd dał tylko jeden pistolet dubeltowy na kapsle i jedną pojedynkę także na kapsle. Tak strzał dali trzy razy i potem już do samego rana było cicho, ale i tak nikt nie spał. Tylko ponabijali sobie broń i uważali żeby znowuż nie napadli. Jak się dzień zrobił, tak w tem domu sobie ogień napalili i ugotowali kawy, czy herbaty, każdy zjadł co mógł. Kilku zaraz po jedzeniu ani nie poszli zobaczyć ziemię, tylko zaraz wrócili się do Rio Negra do baraków. A kilku zostało i poszli oglądać ziemię i lasy. Ale byli w obawie przed Bugrami, bo las był bardzo gęsty, a o trzy — cztery łokcie to jeden drugiego nie widział. Najdali poszli w las 50 metrów i było znowuż słychać ryk małpów, myśleli że to są Bugry i przestraszyli się i powracali się nawet do tego domu. Jedni chcieli iść jeszcze lasy oglądać w drugą stronę, ale drudzy nie chcieli i powracali się wszyscy. Urząd pytał się czy kto pójdzie tam na tą ziemię, ale nikt nie chciał iść, tylko moi rodzice i jeszcze jeden mąż z żoną. Tak urząd dał na trzy tygodnie wichtu, siekierę, dwie motyki, dwie foisy do cięcia krzaków na podo-

bę nożów czyli szablów, tylko czubki byli wyginane i oprawiane na trzonkach drewnianych i jedną pojedynkę na kapsle. A ten co jechał razem z nami ze żoną to miał dubeltówkę na dwa strzały i rewolwer na sześć strzałów. Ci co zostali w barakach to mówili że niech te warszawiaki idą to ich Bugry i tak pozabijają. Ale my z jeich mowy sobie nie robilim nic, tylko ojciec nasz i czterech braci i Antoni Z. ze żoną pośliśmy a matka nasza i siostra ostali jeszcze w barakach. Wicht co nam rząd dał wzięliśmy na konia. Podróż nasza była bardzo krwawa, bo ledwo ujechaliśmy jeden mil drogi to zaraz zaczął padać deszcz i ten deszcz padał bez ustanku, aż na same miejsce, gdzie zaśliśmy, a podróż była daleka sześć milów drogi. A nigdzie nie było można obaczyć ani jednej osoby, tylko były same lasy. Jak zaśliśmy do tego domu co przedtem byliśmy, to napaliliśmy sobie zaraz duży ogień w domu i poobsuszalim sobie ubrania i to co mieliśmy ze sobą to wszystko było pomoknięte. Tak przy tem obsuszaniu zaraz szykowalim kolację, nim kolację uszykowalim to też i ciemno się już zrobiło. Tak już spać nie pośliśmy tylko suszylim się koło ognia i słuchalim czy Bugry nie będą pukać po ścianie. Ale dzięki Bogu że tą noc było zupełnie cicho. Na drugi dzień zaraz zabraliśmy się do roboty. Zaczęliśmy rąbać drzewo co było już naścinane dookoła domu i walilim na kupy i palilim a pogody nie było tylko deszcze przychodzili falami. Ale my na to nie zważaliśmy, tylko swojej roboty pilnowaliśmy. Po kilku dniach jeden z braci zachorował to ojciec nasz ze synem i Z. ze żoną pośli razem. Wsadzili go na konia i pośli aż do Rio Negra, a nas dwóch zostało, chory sam już nie mógł wsiąść, tylko jeden musiał go trzymać, a drugi prowadzić konia. A iść było bardzo trudno przy koniu, bo byli powybijane rowy od kopyt końskich. Ale tego samego dnia ześli do Rio Negra do baraków, a rzeka Rio Negro nie była jeszcze bardzo wylana, to jeszcze było można barsom przejechać przez rzekę. Tej samej nocy deszcz lał, padał taki że barsę zabrało i także niektóre domki co byli nad rzeką. Ojciec nasz ze synem, czyli z naszym bratem chciał zaraz wrócić, a chory miał ostać z matką w barakach aż wyzdrowieje, ale barsę zabrało a mostu nie było i musieli czekać kilkanaście dni aż woda opadnie. A deszcz padał bez ustanku, dzień i noc. A nas dwóch braci co zostało w boru, to tam bez ten cały czas wichtu brakło, dwa dni byliśmy

o głodzie bo nie mieliśmy co jeść. A ojciec i matka myśleli że my jesteśmy pozabijani, albo z głodu poumierani. A my nie dość że głodni byliśmy, ale jeszcze i Bugry co noc pukali po ścianach. Ale my mieliśmy jednego psa co był razem w domu, i ten pies latał dookoła i szczekał. W dzień nam się nie pokazywali tylko w nocy przychodzili. Później ojciec przyjechał na koniu i przywiózł nam wichtu na parę dni i wrócił się nazad do baraków, potem wody upadły i uszykowali barsę nową i przewieźli całą rodzinę. Tego samego dnia zaraz wyruszyli w podróż, była bardzo krwawa po tych uliwach i powyrabiały się bagna czyli po brazelisku (baniada) i tego samego dnia jeszcze przyśli rodzice do nas. Żeśmy się bardzo uradowali wszyscy bo nie widzieliśmy się prawie półtora miesiąca. I zaraz wzięliśmy się do roboty. Najpierw ścielim piniora i naupalim sztachet słupów i zagrodziliśmy sobie podwórze dookoła domu, żebym byli bezpieczni od Bugrów. Późni jak zagrodzilim płot to wzięliśmy się zaraz do cięcia lasów. Dopóki nie zaczęlim lasów ciąć to Bugry nie przeszkadzali, a jak zaczęlim ciąć to zaraz zaczęli gwizdać i ciskać kijami po drzewach, ale obaczyć nam się nie dali. W kilku dniach napadli na dom jak już się ściemniało i chcieli nas pozabijać, ale był płot dookoła domu ogrodzony i nie mieli dostępu, a pies ich zawęszył i zaczął szczekać i uciekać do domu, a my zaraz wiedzieliśmy że to są Bugry. Mieliśmy jedną pojedynkę, noże, siekiery, foisy i zaraz zaczęliśmy lecieć za niemi w las z jakie 10 metrów, ale obaczyć nam się nie dali, tylko było słychać pukanie pałkami po drzewach. Tej nocy już nie spalim, tylko pilnowalim żeby znowu nas nie napadli. Ale do samego rana było cicho. Na drugi dzień pośliśmy do tego miejsca gdzie oni byli i zobaczyliśmy trzy pałki oparte o drzewo, a każda była z osobna. Każda pałka miała więcej niż jeden metr długości. Od tego czasu więcej już do nas nie przyśli. A my w dalszym ciągu lasy ścinalim, bo był już czas do siania zboża. A jak w barakach dowiedzieli się że my już kawał lasu wycięli, to zaczęli po dwóch po trzech przychodzić do nas i nocowali, a na drugi dzień dopiero sobie obierali ziemię. Ci co najprzód przyśli, to wybrali sobie bliżej nas, a którzy później to musieli iść po kilka kilometrów dalej. Rząd dał każdej rodzinie po jednym groncie, a każdy gront miał 1 km. dł. a szerok. ½ km., czyli po 10 alkrów. A w rodzinie jeżeli byli synowie co mieli

po 20 lat, to także dostali po jednym groncie. Tę ziemię co rząd podawał to tylko tymczasem, a później musielim za nią płacić. Kto w krótkiem czasie zapłacił to po 250 $ za jeden gront, a czem później to ludzie musieli płacić drożej, bo rząd rachował sobie procent. A ludzi przybywało coraz to więcej do lasu z rodzinami. W pobliżu nas było pięć czy sześć domów postawionych, ci co przyśli przód to mieli domy już gotowe, a ci co przyśli później to musieli sobie sami stawiać.

Dopóki ludzie nie zaczęli lasów ciąć to Bugry nie mówili nic im i dali się nawet obaczyć. Ale jak ludzie zaczęli ciąć to zaraz zaczęli ciskać kijami na domy, i po nocach pukali. Po kilku dniach napadli na jeden dom i pozabijali całą rodzinę. Dwoje dzieci było małych to pozabijali i pokładli na ogień i podpalili, a ojców tych dzieci to znowu porozżynali brzuchy i serca pokładli na wierzch. A co mieli do przykrycia pierzyny, poduszki, to porozdzierali i pierze porozsypywali po całym domu. A co mieli do jedzenia to wszystko porozrzucali i porozsypywali. Było już 30 rodzin to prawie połowa pouciekali nazad do Rio Negro. A do Rio Negro przyjechała znowu duża ilość famielji. To rząd zmuszał tych co powracali żeby śli nazad, bo tam już nie było domów na tyle famielji. Pół rodzin wróciło nazad skąd uciekli, a pół to porozpruszało się w inne strony. Ale późni coraz to więcej przybywało ludzi i coraz dalej śli w lasy. Nie potrwało długo bo Bugry znowuż napadli na dwie famielje 17 osób. Jedni mężczyźni co cieni las z synami to pozabijali ich na miejscu, a kobiety usłyszeli krzyk i nie wiedzieli co się stało, lecieli na ratunek a Bugry lecieli do domu napadli ich i także zabili, a resztę famielji co było w domu, dzieci to pozabijali ich także. A ratować ludzie się nie mieli czem, bo urząd nie podawał wszystkim strzału. Późni ludzie niektórzy pokupowali sobie sami dubeltówki, rewolwery i usiestry. Ale coraz to było słychać, że Bugry napadają i zabijają ludzi. Można mówić że do 40 ludzi zostało zabitych tylko w naszej okolicy Itaiopolis. A ludzie jak już mieli broń lepszą to strzelali do Bugrów i zabijali, a urząd dowiedział się o tem i zabraniał Bugrów zabijać. Teraz już przeszło do dwadzieścia lat, to nie ma obawy z Bugrami bo urząd wysłał jednego Brazeljana do nich co ich obswoił i teraz jest ze żoną razem z Bugrami i naucza ich roboty. Sadzą ryż, banany, kukurydzę, fiżon, mandjokę i tam

także mają fabrykę cukru, mandjoki, ryżu i t. d. Ksiądz Jan K. był u Bugrów i ochrzcił przeszło 80. O Bugrach to już jest prawie koniec. A teraz zaczynamy o naszych teraźniejszych stosunkach. Zamieszkujemy w Itaiopolis, blisko polskiej parafji Alto Paraguassu, przy dużej drodze traktowej. Mamy ogródek do kwiatów i z owocami. Dom mamy murowany, dług. 12 metrów, szerokości 10 m., wysokości też 10 m. Ziemi mamy 32 alkry. Do uprawy roli mamy 24 alkry, a reszta to jest paśnik dla bydła, drzewo i herbata brazeliska. Tutaj ziemia nie jest taka równa jak w Polsce, tylko są góry i parowy, pługiem wszędzie orać się nie da.

W roku 1929 dokupiłem jeszcze sobie ziemi za 20 tysięcy, bo wtenczas czasy byli dobre, a teraz czasy zmienili się i trudno jest wypłacić i czasy są bardzo ciężkie. Już oddane jest 16 tysięcy i procentu 7 tysięcy, a jeszcze jest do zapłacenia 4 tysiące. Oprócz tego jeszcze troje dzieci chodzi do szkoły, a czworo jeszcze w domu, dwoje chodzi do szkoły rządowej, a trzecia w 16-tym roku uczy się za profesorkę, chodzi do szkoły średniej w Alto Paraguassu do prof. pana Romana W. On uczy po polsku i po brazelisku, a my w domu mówimy po polsku. A teraz na przyszły rok pojedzie do Kurytyby do większych szkół. U pana prof. W. płaci się 10 $ miesięcznie drugi kurs, a pierwszy 8 $ oprócz wydatków pobocznych. A w Kurytybie będzie wynosić 80 $ miesięcznie, też oprócz wydatków pobocznych.

Miałem także kupioną w Alto Paraguassu od ks. K. date czyli (plac) za 1000 $, ale zaraz nie miałem odpisane bo biskup był bardzo daleko. Ta ziemia graniczyła się z ziemią zakonniców i te zakonnice prosili mnie żebym ja im pozwolił sadzić i siać zboże i ja pozwoliłem. Tą ziemię używali zakonnice osiem lat. Ja dowiedziałem się, że drugi ksiądz przyjechał, nazywał się Franciszek Z. a ks. K. miał odjechać na drugi dzień. I ja poszedłem do ks. K., ale nie zastałem go w plebanji, bo gdzieś sobie wyszedł, tylko był ks. Z. i ja mówiłem że chcę pomówić w sprawie tej ziemi co zapłaciłem, a nie mam odpisane. Ks. Z. mówił że za trzy tygodnie pojedzie do biskupa i przywiezie odpis. Na drugi dzień ks. K. wyjechał do Polski. W kilkunastu dniach ks. Z. pojechał do biskupa i odpis przywiózł nie na mnie tylko na zakonniców, ja się to dowiedziałem i poszedłem do zakonniców i pytałem się

czy to prawda że ksiądz ziemię moją przepisał na zakonniców. A oni zapierali się że to nieprawda. Tak po trzy razy chodziłem i pytałem, a oni przysięgali że nie mają przepisane. Tak poszedłem do ks. Z. i pytałem się czy to prawda że ksiądz moją ziemię przepisał na zakonniców, a on mówił że przepisał. Ja mówiłem, jak ksiądz mógł moją ziemię przepisać zakonnicom, a on mówił, ks. K. pożyczył od nich 2.400 $ i nie oddał, a ja im tę ziemię za to przepisał. Ja mówiłem że jak ksiądz przepisał im, to niech mnie teraz odda pieniądze. On mówił że jak będę miał to oddam. Potrwał długi czas to ksiądz z wielkim uporem dał mnie 500 $ i wkrótce wyjechał. Ostał ks. Szymon S. na jego miejsce i miał mnie te resztę pieniędzy oddać. Ale z ks. S. to nie było dużo co do czynienia ani do mowy. Byłem u niego parę razy, to nie porozmawiał się tak jak ksiądz tylko hardością i powiedział że jak będę więcej razy chodził to dostanę chanajków. Jak ksiądz może mnie takie słowa powiedzieć, chyba że ksiądz nie jest Polakiem, tylko rusinem albo szwabem. Bo żeby ksiądz był Polakiem, toby takich słów haniebnych nie mówił. Już idzie czternasty rok, ale pieniądze jeszcze nie oddane. Z ks. S. to nikt nie mógł dojść do ładu, bo był bardzo ordenarny.

Junacy z Alto Paraguassu byli zaproszeni do drugiej parafji polskiej nazwa Papanduwa do gra w piłkę ręczną, czyli trynować. Było 9 milów drogi, to musieli wyjechać w niedzielę rano o 6-tej godzinie, aby zajechać tam na 10-tą. I rozmawiali z księdzem S., że pojadą, a skoro pojechali, to ks. S. zaraz zaczął z ambony krytykować i krzyczyć że w niedzielę nie pozwoli jeździć. Jak Junacy przyjechali to na drugi dzień zaraz pośli do ks. S. i mu kapitułę wyczytali, że jak ks. śmiał taką krytykę robić na Junaków. Teraz ksiądz musi to odwołać, bo było mówione że pojedziemy. Tak na drugą niedzielę musiał to nazad odwołać i przeprosić Junaków, że on zrobił błąd. I także robił ruinę pomiędzy szkołą że będzie tyle pracował, aby dziewczęta nie chodzili uczyć się do pana prof. W. razem z chłopcami tylko do zakonniców. A zakonnice szkół wyższych nie posiadają tylko do trzech klas. Ale i tak długo nie potrwało, bo przyjechał ks. biskup Teodor Kubina, konsul polski i wicekonsul w 1934 r. Więc Junacy zrobili użalenie przed konsulem żeby księdza S. stąd usunąć, to potrwało jeden tydzień to już ks. S. musiał wyjechać. Był usunięty ks. S. ale je-

szcze ostał po nim ks. P. Jednego razu było zebranie w szkole w sprawie szkoły i ks. P. był także zaproszony na to zebranie. Ja zacząłem mówić w sprawie szkoły dziewcząt, czyby nie mogli uczęszczać do szkoły do pana prof. R. W., a ksiądz wystąpił i mówił że nie pozwala, bo jeżeli będą chodzić to zrobi ruinę pomiędzy kościołem a szkołą. Ale ja na to nie zważałem, tylko pracowałem i starałem się aby dziewczęta chodziły do szkoły do pana W. I teraz chodzą dziewczęta, ale ja mam teraz nienawiść do księży i do zakonniców. Nie tylko ja ale i pan W.

Mamy kościół polski, towarzystwo w Alto Paraguassu pod nazwą „Bratnia Pomoc", mamy bibljotekę książek polskich, mamy także teatry rozmaite i zabawy. Otrzymujemy także gazety polskie z Kurytyby. I moja córka Weronika koresponduje z koleżankami z Polski, piszą listy do siebie. Jedna nazywa się Wacława P., a druga Helena I. Jesteśmy bardzo zadowoleni z pana profesora Romana W. i także jesteśmy wdzięczni rządowi polskiemu że nam go przysłał.

Cieszy nas że teraz mamy Ojczyznę wolną i teraz nikt nie śmi nam powiedzieć, że nie mamy bandeiry jak przedtem od Brazeljanów i nawet od Niemców że (Polaco sem bandeira), a teraz dziękujemy rządowi polskiemu i bohaterom, że starali się i pracowali, aby Ojczyznę nazad otrzymać.

Zasmuciło nas bardzo jak dowiedzieliśmy się, że Marszałek Józef Piłsudski umarł, to nam było bardzo żal, a w sercach naszych zostanie i niezapomniemy o Niem, że on pracował i starał się aby Polskę odnowić.

Kończymy ten pamiętnik i pozdrawiamy Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego, Rydza Śmigłego cały urząd Rzeczypospolitej Polskiej.

Dn. 25 listopada 1936 r.

Pamiętnik Nr. 18

Rolnik w Santa Catharina, syn handlarza spod Mińska Mazowieckiego, ur. w 1895 r.

Początek mojego pamiętnika 14 czerwca 1936 roku, a teraz na początku muszę wyjaśnić czytelnikom powyższe moje miejscowości. Nowa Galicia to nasza wieś, Municipio Porto Uniao to nasz powiat a E. Santa Catharina to nasza gubernia czyli ziemia.

A teraz na początku musze opisać pochodzenie i powodzenie moich Rodziców. Mój Ojciec pochodził z Polski wieś Złota Żądza*) gmina Jakóbów powiat Mińsk Mazowiecki, guberni Warszawskiej. A Matka moja pochodziła z Rembertowa koło Warszawy z rodziny K.

A teraz przejście mojego Ojca. Najsampierw rozpoczyna w Miłosny robienie skrzyneczek do fabryki lamp i trunków w Warszawie i pędził pare lat i dorobił się niezgorzej, ale że później żydzi zrobili konkurencje i musiał zamknąć i kupuje 20 morgów ziemi w Miłosnej i gospodarzy ale że nie był zadowolony jeszcze z tego znalaz spólnika nijakiego Kwiatkowskiego i handluje lasem. I niezgorzej jem szło ale że p. Kwiatkowski był zawodowem rzeźnikiem odstępuje od spółki i ojciec zostaje sam ale mimo tego pędzi dalej interes ale zaczęło trochę iść na opak dał spokój i założył cegielnie z nijakiem R. Ale że R. był dobrem szachrajem i naciągnął Ojca i rozwiązała się spółka i Ojciec rozpoczyna nanowo sam handlować lasem i sianem i szło dalej ale to mó-

*) W spisach dawnych i obecnych takiej wioski niema. Istnieje w gm. Jakubów wieś Rządza.

wi polskie przysłowie kogo chce pan Bóg ukarać temu rozum odbierze, bo zaczął z żydami handlować i zaczął iść nadół i tak dalej i później sprzedał nijakiemu Z. siana i przepadło mu 500 rubli a później sprzedaje 15 morgów nijakiemu Władysławowi D. i u niego przepada mu 1.600 rubli i tak dalej. I w roku 1895 kupuje w Jakóbowie 35 morgów grontu na włościański bank ale że warunki były zaciężkie odsprzedaje nijakiemu Rysce i wyprowadza się do Warszawy i tam się trudni ciesielstwem pare lat i później przeprowadza się do Mińska Mazowieckiego i zakłada rzeźnictwo i piwiarnie i to niewiele dało i powraca nazad do Warszawy, ale że już w Warszawie nie szło dobrze bo już była wojna rosyjsko-japońska i przechodził bardzo krytyczne czasy. I byłoby może jeszcze gorzej szło ale że wpadł na ten pomysł i dał mnie zajęcie sprzedawanie gazet po ulicach i tak pare miesięcy utrzymywałem całe rodzine ale że i to się skończyło, takiem pendrakom zabronili gazety sprzedawać bo zaczeli dużo ubliżać moskalom i musiał sam innego wyjścia szukać po wsiach i t. d. Ale nie koniec na tem zaostrzają się stosunki polityczne i mój Ojciec 1906 roku dostaje się do cytadeli i tam przebywa pare miesięcy więziony i 1907 roku wychodzi na wolność i znowuż na wiosne 1907 roku wychodzi do miasta i nie wraca więcej, więc matka zaniepokojona szuka po wszystkich ucząstkach i cyrkułach i nie mogła znaleźć aż po dwóch tygodniach otrzymujem list z Prus wyjechał do roboty i tam pracował siedem miesięcy, a Matka wyprowadza się do swojej ciotki do Grzybowy 10 wiorst od Warszawy i pozostaje do powrotu Ojca z Prus i ja tam pracowałem pasłem bydło, a więc Ojciec powraca z Prus i wyprowadza się do Warszawy i mieszka tam pare miesięcy i roku 1908 w marcu opuszcza Warszawę i wyjeżdża do Mławy nad granice niemieckie z zamiarem wyjechania do Prus ale że niemożebne było pozostał w Mławie. Trudnił się ciesielstwem a ja również bydło pasłem u nijakich Śmitów zarabiałem dwa ruble na miesiąc i ubranie. Ale i tak Ojciec nie był zadowolony zawsze się nosił z zamiarem wyjechania do Prus aż jednego razu Miszler z Bremu przysyła książeczki i różne broszurki o Brazylji. Ojciec też wiele nie odkłada i kombinuje z drugimi i robią składki i wysyłają nijakiego Bieniszeskiego do Bremu po wszelkie informacje bo on umiał po niemiecku, gdy Bieniszeski wrócił opowiedział o wszystkich wa-

runkach że podróż kosztuje tylko do Bremu a przez morze to na koszt Brazylijskiego urzędu a więc skombinowali cztery familje i dalej wyjeżdżać. Mój Ojciec, nijaki Leon Rączkowski i dwóch Ampusów a podróż do Bremu kosztowała 16½ rubla od osoby oprócz pasportu lub szwarcówki a wtenczas pasport kosztował 25 rubli, a tych te familje nie posiadali, więc uradzili na szwarcówkę, a więc najeli nijakiego F. po dwa ruble od osoby. Ale że na szwarcówke to przechodzili moi rodzice a my dzieci to Ojciec tych co mieszkali nad granicą trzy mile od granicy to mieli takie półpaski to się nazywało wolny przejazd przez granice do Prus i tam i nazad to nijaka Gaszkiewicowa i Bieniszeska nas przewieźli jako swoje dzieci do Iłowa, a Rodzice moi wyruszyli z Mławy 31 października w nocy na szwarcówkę a my dzieci 1 listopada 1908 roku. To ja nieraz żartuje do mej żony że mnie wszyscy Święci prowadzili do Brazylji a ona mnie mówi że ją Matka Boska bo wyjeżdżała do Brazylji 8 września 1908 roku. A teraz przygody mojego Ojca w podróży, zaraz w Iłowie musiał pożyczyć 20 rubli od Leona Rączkowskiego bo byłby się musiał wrócić do Polski a tak więc 2 listopada 1908 roku ruszyliśmy w podróż do Bremu jechalim dwie noce i jeden dzień. I w Bremie byliśmy osiem dni a 12 listopada siadaliśmy na okręt, a okrętem jechaliśmy 31 dzień, troszkeśmy chorowali. A do Rio de Janeiro przyjechaliśmy 13 grudnia i byliśmy pare dni na Wyspie kwiat i tam było każdego emigranta wybór do jakiej miejscowości chciał jechać czy do Parany czy do Rio Grande do Sul, Sao Paulo, lub Santa Cathariny, więc mój Ojciec wybrał sobie Parane i zaraześmy wyjechali Brazilijskiem okrętem do porta Parana Gua i w tym porcie tylkośmy przenocowali i w południe wsiedlim na kolej i jazda do Kurytyby a po Brazylijsku się pisze Curityba to stołeczne miasto Parany i jedziem koleją zrazu widzimy bardzo równiny to się Polakom spodobało ale po jakich dwóch godzinach wjeżdżamy w straszne góry że aż włosy dęba stawały ale to jeszcze nic za chwile wjeżdżamy w tunel a dzieci i niewiasty w strach ale to nie koniec bo takich tuneli przejechaliśmy aż 14 to i strach sie skończył a pomiędzy tymi tunelami przejeżdżamy przez bico do diabo to po polsku znaczy dziób djabelski, to taka przepaść że trudno okiem dojrzeć na dół a w tym dole widać odnogę morskie Pert Antonina a po drugiem boku kolei straszna

góra że znowu okiem nie można dojrzeć i wieczorem przyjeżdżamy do Curityby i wywożą nas do baraku i tam przebywamy pięć dni, a to akurat były dni Bożego Narodzenia i pamiętam jak pierwszy dzień świąt dali nam grochu z jakąś czarną kapustą. A kobiety mówią to nas tutaj przywieźli żeby nas paśli jak świnie i po pięciu dniach wywożą nas do Ponta Grossa koleją i tam też przebywamy pięć dni, ale karmią nas trochę lepiej niż w Curitybie a po pięciu dniach dają nam żywności na trzy dni i pakują nas na wozy i wiezą do Prudentopolis ale że nasze furmany jechali we woły to nasza podróż trwała sześć dni to emigranci przez trzy dni głodowali i się rozgniewali na furmana i chcieli mu jednego wołu zabić, a on widział że nie żarty i postarał się trochę żywności ale to wszystko mało a z nami jechał jeden Unijat co uciekł z wojska rosyjskiego Jan Tomaszewski, miał dobre palto i sprzedał za 20 milrejsów i tak się żywimy. I szóstego dnia przyjeżdżamy do Prudentopolis, było to w sobotę a na drugi dzień w niedziele dają nam żywności pod dostatkiem chleba mięsa kawy ryżu i t. d. i też tam przebywamy parę dni i stamtąd nas wywożą na kolonje Lagado i ta podróż też trwała dwa dni ale już nie tak krwawa bo choć brzuch pełny, troche doły góry dziury błota że z góry jak się pierwszy furman spuszczał to drugi czekał aż ten zjedzie na dół, dopiero ten drugi się spuszczał i tak pare wozów a do góry to wyciągali w 16 koni jeden wóz i tak aż wszystkie wyciągli. I pamiętam jakby dziś że zajeżdżamy na Lagado 9 stycznia 1909 roku. Umieszczają nas w baraku przez trzy dni a po trzech dniach musowo się było wyprowadzać, robić takie budy i tam czekać jaż wymierzą ziemie działkę 25 hektarów i tam się można było wyprowadzać, ale że nam się złożyło trochę lepiej, przyszedł nijaki Paweł Dębski i zabrał nas do siebie bo miał duży budynek i tam mieszkały dłuższy czas aż nam wymierzyli tę działke ziemi na lenji F. No. 22 ponad rzeką i był Ojciec zadowolony ale że stało się inaczej braziljanie wypędzili geometre i emigrantów, a więc ojciec kupił takie dwa małe place i się tam pobudował i tameśmy mieszkali. Urząd Brazilijski żywił wszystkich sześć miesięcy i dawał roboty na drogach odrabiać za ziemie kto już mieszkał na ziemi to było w oba czasy, ale myśmy nie mieli ziemi to nastała bieda bo tylko dawali bardzo małe zarobki 15 dni na miesiąc a dniówkę liczyli 3750 reis to nie dało

nam nic, pamiętam jednego razu śmy nie jedli dwa dni a po dwóch dniach tośmy gdzieś dostali 7½ k. fasoli tośmy odrazu zjedli bez okrasy i bez soli i później nawet śmy jadali kukurydze gotowane banie ale to wszystko postne i bez soli kapuste z palmów i też tu w Brazilji rosną sosny nazywają się pinjory to te pinjory wydają taki owoc taką szyszki po jakie dwa — trzy kilo jedna a dopiero w tych szyszkach jest ze 100 a nawet i więcej takich orzechów jak najmniejszy palec u ręki i to można się tym odżywiać ale i to się skończyło, mieliśmy trochę żyta posiane i było bardzo ładne i to przyszły myszy i zjadły, bo tutaj w Brazilji co 30 lat trzcina wydaje nasienie i straszliwe myszy są to zjedzą co tylko jest na polu. No więc nie było innego wyjścia jak szukać innej miejscowości więc Ojciec wybrał się i jeszcze trzech ludzi i przyjechali na nowe Galicie i tutaj Ojciec kupił sobie ziemi na wypłat, a my z Matką dwa miesiące później wyjeżdżamy za Ojcem, pamiętam dokładnie że było to 1 grudnia 1909 roku a siódmego przyjeżdżamy na obecne kolonje, ale że ziemia mojego Ojca była podła i nie chciała dawać chleba, ale to mniejsza z tym, tu było co innego, jest to przy kolei to Ojciec robił progi kolejowe a my z matką rąbalim sążnie do kolei i na chleb śmy zarabiali, a 1910 kupuje jeszcze jedne działke ziemi trochę lepszej do urodzaju, tutaj taka działka ziemi 25 hektarów to się nazywa szaker a 1911 kupuje jeszcze jeden szaker ale to wszystko na wypłat według lasu i tak trochę w roli trochę z lasu i tak żyjem. A w 1912 troszkę się stosunki psują bo były rozruchy dłuższy czas, więc ja 15 letni chłopiec opuszczam dom i jadę pracować na kolej żeby Ojcu pomóc byłem za kucharza zarabiałem 3 milrejsy dziennie i pracowałem 9 miesięcy od 1 lipca 1912 roku do 30 kwietnia 1913 roku i powracam do domu. I w domu pozostaję do 8 października 1913 roku i znowuż idę pracować na kolej ale już z bratem młodszem i tak pomagamy Rodzicom co miesiąca pieniądze i żywność i nasza matka była z nas zadowolona, ale stało się inaczej dnia 18 grudnia przywieźliśmy rodzicom żywność i pieniądze, zastajem matkę zdrowe i wesołe i odjechaliśmy z powrotem do swej roboty a było to tylko 5 kilometrów od domu i na drugi dzień idziem do roboty i pracujem do południa, zjedliśmy obiad i odpoczywamy, naraz przyjeżdża posłaniec żeby spieszyć do domu bo Matka konająca i pospieszamy i przybywamy do domu ale już od matki nie

usłyszeliśmy ani słowa tylko jeszcze spojrzała na nas i skonała, było to 19 grudnia 1913 roku, umiera w 37 roku życia i zostaje nas sześcioro dzieci. Więc my z bratem pracujem jeszcze do 31 grudnia b. roku i powracamy do domu żeby Ojcu pomagać wychowywać mniejszych i pracujem przy podkładach i sażniach do kolei i Ojciec też nam zachorował bo się podźwigał i leżał dłuższy czas ale wyzdrowiał za pomocą sąsiada nijakiego F. Orga i pracujem do końca kwietnia ale że stosunki w świecie się psują z powodu zaostrzenia stosunków w Europie, więc idziem z bratem pracować na kolej 1 maja 1914 roku i pomagamy Ojcu pieniędzmi przez kilkanaście miesięcy a Ojciec gospodaruje z małem rodzeństwem sam i też jeszcze w roku 1915 zakupił jeden szakier o parę kilometrów dalej i się tam wyprowadza i gospodaruje a my pracujem dalej na kolei do 31 grudnia 1915 roku i powracamy do domu. Pracujem w domu z ojcem w polu, drzewo podkłady i korę do garbarni do 30 kwietnia 1916 roku i trafia się robota na kolej jeden kilometr od domu dla mnie i brata więc idziem pracować od 1 maja 1916 roku i pracujem parę miesięcy i pomagamy również ojcu, a ja chciałem się lepiej ubrać i składałem trochę pieniędzy i już miałem 170 milerejsów, wtem jednego wieczora Ojciec przychodzi i mówi mnie czy czasem nie mam 200 milerejsów bo kupił szaker od I. Lemańskiego i dał mu 200 i jeszcze potrzebuje 200 bo szaker kosztuje 400 to było bardzo tanio bo pewno ojciec musiał miarkować że ja mam trochę pieniędzy i nie śmiałem mu odmówić i poszedłem do naszego dozorcy i pożyczyłem jeszcze 30 i mu dałem. A pracujem aż do 2 lutego 1917 roku i znowuż wracamy do domu i pracujem przy drzewie podkładach i roli i wypłacamy ziemie bo pierwsza ziemia jeszcze nie była wypłacona aż tu jednego razu Ojciec mnie mówi żebyś sobie kupił ten sąsiedni szaker to dobra ziemia i dużo bo aż 34 hektary, już masz 20 lat to ci się przyda i nie mówił mi naco ale ja się domiarkowałem i też Ojciec poszedł ze mną do derektora kolonji 26 maja 1917 roku i kupił ale to było wszystko na wypłat bo tu spłaty długoterminowe i już było 6 takich szakrów, pracujem i wypłacamy pomału ale że mój Ojciec w gruncie się niebardzo zajmował tylko dużo ziemi i dużo lasu a tutaj to odbierali materjał na lenji co miesiąca to Ojciec miał pieniądze co miesiąca ale to na nic było bo trzeba było wszystko kupić i trwało to do końca czerwca 1917, namówiliśmy Ojca żeby posiał żyta bo ziemie mamy dobrą to

nam będzie lżej żyć i to uczynił i posadził kartofli i trwało to do 15 lipca i mówimy Ojcu że trzeba by też kukurydzy posadzić, naco kukurydzy, to się urąbie drzewa i się kupi, ale myśmy z bratem się namówili że mamy dobrą ziemie to trzeba posadzić i śmy tak zrobili, foisy na plecy i poszliśmy ciąć krzaki na kukurydze żeby spalić i posadzić, a foisy to jest taki statek do cięcia krzaków, więc patrzemy za chwile przychodzi i Ojciec za nami. Przy tej robocie śmy pracowali dwa tygodnie i posadziliśmy na tej ziemi 50 kilo kukurydzy i sowicie nam się opłaciło bo się dobrze urodziła i była dobra cena tośmy mieli dla siebie i na sprzedaż, ale się składa jeszcze inaczej, długu mamy dużo a Ojciec jeszcze kupił jeden szaker, a mnie to trochę oburzyło bo materjału już nie odbierali co miesiąca bo mieli dużo, więc ja 1 września 1917 roku wyjeżdżam od Ojca na kolej do roboty ale już daleko na drugą kolej 200 kilometrów od domu i brat również ale blisko domu i pracuje tam do 20 listopada 1917 i powracam do domu i namawiam brata żeby też wrócił do domu i więc tak uczynił więc on wraca 29 grudnia 1917 roku. Po nowem roku bierzemy się do pracy na serio od nocy do nocy trochę ludzie trochę my i tak idzie cały rok, długu coraz mniej i mniej i to nas zaczęło cieszyć i ojca również i szło dosyć dobrze, było wszystko swoje do życia, długu już nie było i nastał rok 1919. Ojciec jednego razu wieczorem do mnie i do brata mówi gdy młodsze rodzeństwo poszło spać że teraz długu nie mamy to zarabiajmy pieniędzy żeby postawić domy na trzech szakrach jakośmy na jednem postawili i może Józefie się trafi zamąż pójść i dać jej jeszcze 2.000 milerejsów również i tobie Kazimierz tak samo trzeba dom i 2.000 milerejsów bo już masz 22 lata to musisz założyć to gniazdo rodzinne i ty Wiktor też dorastasz choć trochę później ale i na ciebie przyjdzie kolej bo już masz 19 lat, więc trzeba nam było 6.000 milerejsów. I napewno byłoby się było tak stało bo było gdzie pracować i z czego czerpać i na propozycje ojca chętnieśmy się zgodzili i dalej pracować i pracować i szło w oba razy ale Ojciec był bardzo pracowity i po pracy w południe lubiał sobie odpocząć a było to daleko od domu i kładał się na ziemi i było to zimą i się zaziębił i zaczął chorować zrazu tak chodził i narzekał aż później się na dobre rozchorował i my do doktora i lekarstwa ale to nic nie pomagało. Dostał żółtaczki, więc mówi odwieśta mnie do szpitala to ja tam wyzdrowieje i takieśmy uczy-

usłyszeliśmy ani słowa tylko jeszcze spojrzała na nas i skonała, było to 19 grudnia 1913 roku, umiera w 37 roku życia i zostaje nas sześcioro dzieci. Więc my z bratem pracujem jeszcze do 31 grudnia b. roku i powracamy do domu żeby Ojcu pomagać wychowywać mniejszych i pracujem przy podkładach i sażniach do kolei i Ojciec też nam zachorował bo się podźwigał i leżał dłuższy czas ale wyzdrowiał za pomocą sąsiada nijakiego F. Orga i pracujem do końca kwietnia ale że stosunki w świecie się psują z powodu zaostrzenia stosunków w Europie, więc idziem z bratem pracować na kolej 1 maja 1914 roku i pomagamy Ojcu pieniędzmi przez kilkanaście miesięcy a Ojciec gospodaruje z małem rodzeństwem sam i też jeszcze w roku 1915 zakupił jeden szakier o parę kilometrów dalej i się tam wyprowadza i gospodaruje a my pracujem dalej na kolei do 31 grudnia 1915 roku i powracamy do domu. Pracujem w domu z ojcem w polu, drzewo podkłady i korę do garbarni do 30 kwietnia 1916 roku i trafia się robota na kolej jeden kilometr od domu dla mnie i brata więc idziem pracować od 1 maja 1916 roku i pracujem parę miesięcy i pomagamy również ojcu, a ja chciałem się lepiej ubrać i składałem trochę pieniędzy i już miałem 170 milerejsów, wtem jednego wieczora Ojciec przychodzi i mówi mnie czy czasem nie mam 200 milerejsów bo kupił szaker od I. Lemańskiego i dał mu 200 i jeszcze potrzebuje 200 bo szaker kosztuje 400 to było bardzo tanio bo pewno ojciec musiał miarkować że ja mam trochę pieniędzy i nie śmiałem mu odmówić i poszedłem do naszego dozorcy i pożyczyłem jeszcze 30 i mu dałem. A pracujem aż do 2 lutego 1917 roku i znowuż wracamy do domu i pracujem przy drzewie podkładach i roli i wypłacamy ziemie bo pierwsza ziemia jeszcze nie była wypłacona aż tu jednego razu Ojciec mnie mówi żebyś sobie kupił ten sąsiedni szaker to dobra ziemia i dużo bo aż 34 hektary, już masz 20 lat to ci się przyda i nie mówił mi naco ale ja się domiarkowałem i też Ojciec poszedł ze mną do derektora kolonji 26 maja 1917 roku i kupił ale to było wszystko na wypłat bo tu spłaty długoterminowe i już było 6 takich szakrów, pracujem i wypłacamy pomału ale że mój Ojciec w gruncie się niebardzo zajmował tylko dużo ziemi i dużo lasu a tutaj to odbierali materjał na lenji co miesiąca to Ojciec miał pieniądze co miesiąca ale to na nic było bo trzeba było wszystko kupić i trwało to do końca czerwca 1917, namówiliśmy Ojca żeby posiał żyta bo ziemie mamy dobrą to

nam będzie lżej żyć i to uczynił i posadził kartofli i trwało to do 15 lipca i mówimy Ojcu że trzeba by też kukurydzy posadzić, naco kukurydzy, to się urąbie drzewa i się kupi, ale myśmy z bratem się namówili że mamy dobrą ziemie to trzeba posadzić i śmy tak zrobili, foisy na plecy i poszliśmy ciąć krzaki na kukurydze żeby spalić i posadzić, a foisy to jest taki statek do cięcia krzaków, więc patrzemy za chwile przychodzi i Ojciec za nami. Przy tej robocie śmy pracowali dwa tygodnie i posadziliśmy na tej ziemi 50 kilo kukurydzy i sowicie nam się opłaciło bo się dobrze urodziła i była dobra cena tośmy mieli dla siebie i na sprzedaż, ale się składa jeszcze inaczej, długu mamy dużo a Ojciec jeszcze kupił jeden szaker, a mnie to trochę oburzyło bo materjału już nie odbierali co miesiąca bo mieli dużo, więc ja 1 września 1917 roku wyjeżdżam od Ojca na kolej do roboty ale już daleko na drugą kolej 200 kilometrów od domu i brat również ale blisko domu i pracuje tam do 20 listopada 1917 i powracam do domu i namawiam brata żeby też wrócił do domu i więc tak uczynił więc on wraca 29 grudnia 1917 roku. Po nowem roku bierzemy się do pracy na serio od nocy do nocy trochę ludzie trochę my i tak idzie cały rok, długu coraz mniej i mniej i to nas zaczęło cieszyć i ojca również i szło dosyć dobrze, było wszystko swoje do życia, długu już nie było i nastał rok 1919. Ojciec jednego razu wieczorem do mnie i do brata mówi gdy młodsze rodzeństwo poszło spać że teraz długu nie mamy to zarabiajmy pieniędzy żeby postawić domy na trzech szakrach jakośmy na jednem postawili i może Józefie się trafi zamąż pójść i dać jej jeszcze 2.000 milerejsów również i tobie Kazimierz tak samo trzeba dom i 2.000 milerejsów bo już masz 22 lata to musisz założyć to gniazdo rodzinne i ty Wiktor też dorastasz choć trochę później ale i na ciebie przyjdzie kolej bo już masz 19 lat, więc trzeba nam było 6.000 milerejsów. I napewno byłoby się było tak stało bo było gdzie pracować i z czego czerpać i na propozycje ojca chętnieśmy się zgodzili i dalej pracować i pracować i szło w oba razy ale Ojciec był bardzo pracowity i po pracy w południe lubiał sobie odpocząć a było to daleko od domu i kładał się na ziemi i było to zimą i się zaziębił i zaczął chorować zrazu tak chodził i narzekał aż później się na dobre rozchorował i my do doktora i lekarstwa ale to nic nie pomagało. Dostał żółtaczki, więc mówi odwieśta mnie do szpitala to ja tam wyzdrowieje i takieśmy uczy-

roku 1924 a ja się wyprowadzam do tartaku do nijakiego S. Buczyńskiego i pracowałem przy pile zarabiałem 10 mila dziennie i pracowałem parę dni i poszłem składać deski 3 października i śmy składali z nijakim I. Michalskiem a gdyśmy już byli wysoko załamuje się pod nami rusztowanie i spadamy na ziemie a za nami tuzin desek. Więc ja padam martwy a on tylko wykręca ręke i noge więc on zrucił ze mnie deski i na szczęście nadeszła jedna kobieta z wodą i wylała na mnie te wode i ja oprzytomniałem ale cały potłuczony pokaleczony a najgorzej nos który nawet mam trochę krzywy ale wyzdrowiałem i pracowałem pare miesięcy ale wypłaty miałem zaległe u gospodarza i trwało to do lutego roku 1925, a pracował tam za buchaltera nijaki H. Trzaskoski i jednego razu mówi do mnie: naszego gospodarza sprawy idą zawikłane a ja miałem do dostania u niego 1450 mila więc mówie do niego: p. Buczyński ja kupuję ziemie na Nowej Galici to potrzebuje pieniędzy bo mówie że już dałem zadatku 100 mila, a on mnie mówi że dobrze tylko otrzyma od firmy to ci wypłace, i pojechał po pieniądze a p. Trzaskoski mnie mówi że tych pieniędzy nie da mu wypłacić wszystkiego. Więc ja wyciągam rachunek od buchaltera i pojechałem na spotkanie jedną stacje naprzód żeby otrzymać pieniądze i zaczekałem na pociąg i pokazałem mu rachunek to on mnie dał 1000 mila a reszte powiedział że niema drobnych, to reszte wypłaci w domu ale do domu już nie dowiózł pieniędzy bo po drodze czekali jak djabeł na duszę, więc ja musiałem jednego konia kupić za 250 mila a troche wybrałem a trochę jeszcze dostałem pieniędzmi i dnia 17 marca roku 1925 powracam na Nową Galicie i przebywam pare dni u teścia a 1 kwietnia się wyprowadzam na swoją ziemie którą zadatkowałem. A kupiłem dwa szakry jeden od P. Długosza, a drugi od Jana Długosza na drodze Famandua a po polsku mrówkojad a jest tej ziemi 52 hektary, ale odrazu nie zapłaciłem, jednemu zostałem winien i bez pieniędzy i bez żywności to żone musiałem zostawić na ziemi a sam iść do roboty, a te ziemie na Cruz Machado pomieniałem a domu nie mogłem sprzedać i tak mi szło ciężko bo procenta musiałem płacić a dom stojał i gnił. Aż jednego razu sprzedałem ale ze stratą za 1000 mila i to nie dało na nic bo to w gospodarstwie wszystkiego potrzeba to stodoły to płotu i pieniądze idą a dług stoi i tak to trwało parę lat dług i dług i już się

zaczęło składać trochę lepiej miałem dużo drzewa i podkładów i miałem wywieść i wypłacić dług bo już miałem swój wóz i konie ale składa się inaczej. Dnia 10 lipca roku 1932 zachorowywam mocno na grype i zaziębiłem ją że małom nie pojechał tam gdzie jadą i nie wracają i byłem chory tak mocno aż do kwietnia roku 1933 i do doktora i różne lekarstwa i nic nie pomagało wiecznie słaby i słaby i książka Knaipa i to na nic, mówie trzeba będzie również jechać tam gdzie wszyscy i pracował u mnie jeden murzyn i mówił mnie że on służył we wojsku i też tak mu było i mu doradził jeden rolnik żeby się kąpał w rzece co dnia i tak robił i wyzdrowiał. Więc ja to samo robiłem zimową porą i dużo mnie się polepszyło ale nie całkiem aż jednego razu trafia mi się jedna broszurka nijakiego H. Niemojewskiego ziół leczniczych cholekinazy więc przeczytałem parę razy o ziołach i o mineralnej wodzie ale że mineralna woda była bardzo daleko od nas było niemożebne aż tu za pare miesięcy odkrywają mineralne wode od nas 80 kilometrów więc ja długo nie odkładałem i dnia 4 stycznia roku 1934 pojechałem z całą rodziną i byliśmy tam 25 dni i znowuż mnie się dużo polepszyło ale jeszcze mam bóle romatyczne i dzieciom też przyniosło ulgę bo też chorowali na szkarlatyne to z nich powypędzało wszystkie brudy tylko żonie nic nie pomogło bo też ma krew osłabioną więc muszę się postarać cholekinazy bo cholekinaza oczyszcza krew i goi.

A teraz moje gospodarowanie, mam ziemi 62 hektary bo miałem 52 ale że siostra umarła i pozostawiła 50 ha ziemi to więc jeszcze dostałem 10, ale i mam jeszcze 500 mila długu ale na tej ziemi mam wóz pięć koni pięć owiec dziewięć świń siedem sztuk bydła rogatego, miałem więcej ale 12 sztuk mi zdechło jak byłem chory, a teraz moje gospodarstwo idzie w następujący sposób: co roku sadzę 5 hektarów ziemi a to nie za pługiem jak w Polsce, tylko się wycina las lub takie krzaki i się pali i dopiero się sadzi a na te włazi 60 kil kukurydzy, a jak dobrze wyda to z tego da 100 korcy i tę ziemie po sprzęcie zostawia się znowu na parę lat żeby urosły znowuż takie krzaki a na drugi rok wycina się na nowem kawałku bo tutaj są przeważnie góry i kamienie a ja już mam trochę ziemi ornej, sadzę trochę kartofli trochę pszenicy dla siebie a po większej części sadzi się u nas bataty to są takie słodkie kartofle, mandjoka a to rośnie w ziemi naokoło krzaka takie korzenie długie dochodzą

nawet do dwuch metrów korzeń a korzenie te są podobne do korzeni sosnowych i musi to rość dwa lata żeby było dobre do użytku i tem się wypasa świnie bydło a nawet i ludzie jedzą, tylko trochę nam dokucza tutaj latową porą bo bardzo zarasta chwastami a wszystko trzeba czyścić motyką dwa trzy a nawet i cztery razy, to więc tutaj na Galici ludzie rąbią sążnie i podkłady ale z czasem się las skończy. Więc ja tego roku mam zamiar zakładać winnice bo to daje największy dochód i jeszcze nie mam porządnego domu i to musowo pobudować żeby gospodarstwo było do czegoś podobne a nawet mam rzekę w swojej ziemi żeby można całe gospodarstwo pędzić wodą jak młynek sieczkarnie młockarnie a nawet i elektrikę i t. d. A teraz moja rodzina składa się z siedmiu osób ja liczę lat 39, żona moja 36 a dzieci Władzio 15, Janek 12, Antoni i Pietrek po 10 a Apolonia 2 miesiące. Ale jeszcze zapomniałem wymienić pasieki mam 22 ule ale wszystkie snazowe a tego roku mam zamiar zrobić zamkowe systemu K. Lewickiego udoskonalone ule Warszawskie, ale tutaj w Brazylji to miód nima wielkiego zbytu tylko wosk dobrze płaci.

A co do szkoły to Władzio i Janek skończyli trzy oddziały portugalskie ale umieją dobrze i po polsku cztery działania i ułamki i teraz pracują ze mną w ziemi i wozem a Antoni i Piotrek chodzą do szkoły, są w trzecim oddziele i do szkoły jest 4½ kilometra, a co do mowy domowej to używamy polskiej ale że i umimy dobrze władać krajową a żona to nawet włada dobrze mową niemiecką, a co do religji to zachowujemy starodawne chrześcijańskie, chodzimy do kościoła odmawiamy pacierze ranne i wieczorowe parafia nasza to Porto Uniao, ale mamy kościół w Nowej Galici ksiądz do nas dojeżdża z Porto Uniao i też po większej części Polak, a co do ślubu to ja mam kościelny i cywilny, a co do towarzystwa to mamy towarzystwo pod nazwą 3 Maj i mamy swój własny dom, a w tym domu to się zawsze mieści szkoła w tygodniu a w niedziele mamy dom wolny na zebrania lub zabawy, jest 16 członków legalnych zarejestrowane w konsulacie polskim i należy do Centralnego związku polaków w Kurytybie i płacimy po 1000 od członka rocznie i tu na miejscu też płacimy również po 500 reis miesięcznie każden członek i ja również jestem członkiem , dziesięć lat odkąd powstało towarzystwo. A nawet muszę nadmienić że był tutaj u nas ksiądz misjonarz z Polski sześć dni i dużo wpoił dobrego w ludzi, prze-

ważnie namawiał od wódki a to dla mnie bardzo na ręke bo ja nie lubie wódki i pijaków, a co do przyjacieli to mam pare którzy się nie upijają, wypiją ale miarą i wracają do domu trzeźwi, a co w otoczeniu sąsiadów to mam po większej części rusini i dwuch niemców ale to mnie nie przeszkadza, oni na swojem a ja na swojem. A co mnie najgorzej dręczy że tutaj przyszedł jeden niemiec i założył sklep i nasze polacy idą kupować do niego, a teraz niech który z czytelników mi wytłomaczy co to jest między naszem narodem że będzie sprzyjał więcej innej narodowości niż ziomkowi, a co moje zapatrywanie to lepiej zamiatać śmiecie na swojem podwórku niż na czyjem. I po drugie jeszcze jest jedna wada pomiędzy polakami że jak się który dorobi to już się tego biedniejszego wstydzi, a to nie powinno tego być, a u innej narodowości tego niema, można się wstydzić pijaka szubraka i t. d. ale nie biedniejszego. Jak tutaj u nas mamy wszelkich konsuli to uni jadą do najmniejszego zakątka a nawet i do najbiedniejszego kolonisty, a naszych polskich już tu było pare konsuli i żaden nie odwiedził naszej Nowej Galicji, choć już przejeżdżali parę razy koleją i nie wstąpili, ale nie tylko do Nowej Galicji, i wiele innych. Oj intelegencjo zastanów się trochę i cofnij parę lat w tył ale nawet nie pare ale kilkadziesiąt a nawet kilkaset, jak król Kazimierz odnowiciel, czyli nazywali król chłopków który zastał Polskę drewnianą i pozostawił murowaną a to dlatego że on się nie wstydził najbiedniejszego włościana, bo on wiedział że tylko chłopu można ufać bo ten rolnik większy czy mniejszy utrzymuje cały świat, nie tak jak to mówi niektóry cham a nawet nie wie co to znaczy to słowo a cham to znaczy ten każdy co źle czyni. Teraz popatrzmy na Adama Mickiewicza lub na Mikołaja Kopernika to byli wiejskie synowie i do jakiego celu dopieli, choć potem powyżej 12 lat chłopskiemu synowi nie było wolno uczęszczać do szkoły a uczyniła to szlachta z zazdrości, tak i też popatrzmy na ś. p. naszego wskrzesiciela Polski Dziadka Józefa Piłsudskiego z kiem On Polskę wywalczył jak nie ze zjednaniem sobie wszystkiego narodu do niego to się wojsko cisnęło jak pszczoły do swej matki bo nawet i tutaj w Brazylji gdy przyszła wiadomość że nasz Dziadek nie żyje to niektórzy zapłakali, które nie kłamie które na swoje oczy widziałem jak płakał jeden człowiek a to możemy widzieć to wszędzie tak idzie w kraju czy nawet domu gdzie sobie Ojciec zjedna dzieci to i tam lepiej idzie. Bo

jak powiedział Jakób Bojko za czasów Austrji gdy był posłem że Pan Bóg stworzył Adama nie Pana i mu nic nato nie mogli odpowiedzieć. A teraz moje zamiary to są syny wyuczyć jakich rzemiosł to im będzie lżej żyć chodźby nawet i w ziemi bo co człowiek umi to nie zaciąży, a po drugie i jabym chciał się troche lepiej dorobić, gdy dzieci będą odchodziły na swoje żeby nie z próżną kieszenią bo to mówią że ciele ssie krowę nie krowa ciele, bo ja bym nato nie mógł patrzeć żeby u mnie był jaki grosz a dzieciom bieda za nic w świecie, to lepiej nie żyć bo ja jeszcze do tej pory nie próbowałem szkodzić tylko zawsze wole dobre rade dać, chociaż u mnie czasem idzie naodwrót ale to nic mówi polskie przysłowie jak on ci kamieniem to ty go chlebem, A po drugie nie wiem czy czasem moje zamiary nie spełzną na niczem jak los pokieruje. A co do gazet to zawsze czytam gazetę Polską jedenaście lat dawniej czytałem Polak w Brazylji i Świt a czasem i z Polski czytam gazety książki a nawet czasem zatęsknie za Polską, przypomną mnie się te równiny polskie Warszawa tam gdziem rodzony i tam gdziem jeszcze znał Praga Targówek Utrata Rembertów Grzybowa gdziem grzyby i jagody zbierał te dawne łagry poligon gdziem bydło też pasał, Okuniew gdziem był chrzczony i nawet u pierwszej spowiedzi byłem w Okuniewie choć na nauke chodziłem na Pradze a to powód że mój ojciec jeździł więc jeszcze mam nadzieje oglądać miejsce rodzinne choć przed zgonem.

Dn. 14 czerwca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 19

Rolnik w Santa Catharina, syn gospodarza wiejskiego z województwa lwowskiego, ur. w 1870 r.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Szanowni Panowie Gospodarstwa Społecznego chce opisać swoją podróż emigracyjną. Będe próbować za boską pomocą od początku wyjazdu. Jestem rodem z Milna z parafji Załozieckiej a z guberni lwowskiej. Było to w roku 1895 jak ludzie emigrowali w obce kraje do tej to Brazelji tak i ja razem z ludźmi wyjechałem od swoich rodziców sam jeden dlatego że w domu mojego Ojca byli wielkie niedostatki, brakowało funduszu a nie było gdzie zarobić, pola nie miał Ojciec tilko siedem morgi a familija była duża i Matka tyż była już nie rodzona, ale druga, a było odemnie starszych dwóch braci i jedna siostra już pożenione, ja tyż miałem już swoje lata już byłem w 25-tym roku. Myśle sobie ludzie tak sie rachują już i sprzedają swoje pola coś pięć familiji razem i zbierają sie iść do Brodów za paszportem tak ja mówie do Ojca ja tyż chciałbym pojechać gdybyście mie pozwolili. A ojciec mówi ty chciałbyś jechać a pieniędzy gdzie. Nic ja nie mówie bo znam dobrze co pieniędzy nie mają tilko sie zasmucił tak Ojciec widzi żem taki smutny, potem mówi do mnie dobrze jeżeli poszukam dla ciebie pieniędzy to pojedzisz. Tak ja sie ucieszyłem i zaraz z ludźmi poszedłem do Brodów po paszport. Poszło nas razem coś dziesięciu, przychodzim na drugi dzień przed wieczorem do Brodów pytamy gdzie tu jest starostwo, pokazali nam drudzy ludzie. My sie patrzym a tam pełniutki ganek ludzi czekają już po pare dni. Byli to ludzie obce, my ich nie znali tak i my musieli

razem z nimi czekać. Na drugi dzień koło 10-tej godziny wpuszczono nas do kancelarji wszystkich i pan starosta pyta sie skąd wy ludzie, z Milna, tak jest prosze pana odpowiadają wszyscy, dobrze dzisiaj nie dostaniecie paszportu aż na drugi tydzień i z niczem wyszliśmy od pana starosty i poszliśmy do szynku żeby troszka zjeść i wypić, bo już każdy głodny i zmęczony i do tego zakłopotany, sam człowiek nie wi co ma począć, a szyfkarty już pokupili naprzód u niejakiego Michała Murawca a szyfkarta kosztowała 10-sięć guldenów albo ryńskich, bo kto miał szyfkarte to mógł jechać na koszt Brazelijski ja sam jeden nie potrzebowałem szyfkarty tilko te co z familiją jechali. Nareszcie tak sie poradzili mówiąc gdyśmy już wszystko swoje poprzedali cośmy mieli i popłakali sie a za paszportem drugi raz iść to i tak nie dostaniemy tilko sie zmarnujemy i więcy nic. A ja nic nie mówie bo nic ni mam i z tym wrócili do domu co poszli. Potym mój sąsiad mówi kiedyśmy nie dostali paszportu to pojedziemy tak na boże wole a za boską pomocą zajedziemy. Każdy z nas miał ufność tilko w Bogu wszyscy sie szykowali do podróży, ja tyż poszedłem do Wielebnego Księdza Proboszcza po metryke do Załoziec. Przychodze na probostwo a ten ksiądz Antoni Krechowiecki patrzy przez okno na mie i ide do plebani zapukałem do drzwi i otworzyli, pochwaliłem Pana Boga Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus, Na Wieki Wieków, a co nam powisz nowego skądże ty jesteś ja mówie z Milna chce mętryki, a jak sie nazywasz, Wojciech G. syn Józefa, chcesz jechać do Brazeliji i nie boisz sie tam dziki kraj pustynia góry skały lasy takie drzewa jedno drugiego sie trzyma takiemi sznurami ani wliść do boru, jest rozmaita czcina bambusy są rozmaite żmije i mówi ten Ojciec Kanonik Krechowiecki o niestety, niestety jak ludzie narażają sie na swoje życie i drugi ksiądz młody wikary wypisał mętryke z dużej księgi i dał mie ja zapłaciłem guldena i mówi do mnie ksiądz ów bardzo mało jest polskich może i nie znajdziesz, tam jest bardzo gorąco kiedy chmury nadchodzą są straszne grzmoty głośne nie tak jak tutaj aż mie łzy postawali w oczach myśle sobie trudna rada może gdzie w drodze trzeba będzie zginąć i pożegnałem sie a ksiądz mówi jedź niech cię Bóg prowadzi, pocałowałem w renke i wyszedłem za drzwi i ide do pisarza żeby wypisał moją moralność i zapłaciłem tak samo, teraz ide do domu i myśle sobie co to jest czytałem książkę o Bra-

zelije tak samo Ojcowie duchowni mówią to pewnie nie inaczej no tilko tak jak mówio. A niech sie stanie wola Pana Boga już pojade jak będzie tak będzie. Wróciłem do domu jakoś to było we czwartek czy piątek, w niedziele poszedłem jeszcze raz do kościoła i przystąpiłem do spowiedzi i komuniji św. i po tej samej niedzieli w poniedziałek poszedłem do pana naczelnika po świadestwo że nie jestem złodziejem ani lampartem i t. d. a we wtorek już byli wszyscy gotowi i ja tak samo. Ojciec dał mie 50 koron, bo więcej nie miał to i to dobrze podziękowałem Ojcu i poprosiłem o błogosławieństwo a we środe rano to już było 25 października zaczeli wyjeżdżać pięć familiji, razem zebrało sie mnóstwo ludzi a wszyscy byli zatopione myślą o Brazeliji, jedne gadajo o Brazeliji drudzy o podróży trzecie płaczo i żegnajo sie wszystko było pomiszane. Po południu koło 3-ciej godziny wyjechaliśmy z naszej rodzinnej wioski. Jechaliśmy cało noc do Zborowa pirszej stacyji kolejowej tam sie rozwidniło zaraz wszyscy poszli po bilety zabrali do Krakowa, przyjechaliśmy już po zachodzie słońca na stacyje krakowske, ale miasta nie widzieliśmy, tam wysiedli z koleji bo dalej nie szła i zaraz jeden człowiek przyszedł do nas spytał gdzie jedziemy, to chodźcie ze mną zaprowadze was do gospody przynocujecie i raniutko zabierzecie bilety i pojedziecie dalej i podziękowali jemu za dobrą rade, wtenczas poznosili swoje bagaże wszystkie do środka, sala była duża wtenczas posiadali do kolacyji byli zakłopotani tą podróżą trocha rozmawiali o swoich przygodach a potym poszli spać. Noc jesienna długa powysypiali sie raniutko pozrywali sie jeszcze ciemno, bali sie żeby kolej nie odeszła bo miała odchodzić o 7-mej godzinie, no rozwidniało sie poszli po bilety zabrali do Widnia. Wrócili z biletami zaraz wynosili swoje ładunki do kolei. Popakowali wszystko i zaraz o 7-mej godzinie ruszyła kolej dalej do Widnia i niezadługo przychodzi do nas konduktor by mu pokazać bilety by on ich pomarkował i odejszył od nas do drugiego wagonu tak my jedziem i jedziem już i słońce blisko zachodu i jeszcze nima miasta już sie oprzykrzyło już zaczął mrok zapadać robi sie coraz ciemnij aż tu niezadługo kolej gwiżdży i stała. Zaraz przyszedł pan konduktor odebrać bilety mówi to już Wideń tak wychodzim z wagonu na banhof tam nas złapali bo z Widnia chłopców nawracali które jeszcze nie skończyli 24 lat, tak mie policyjant zaraz wzioł mie za ramie

i trzymał ja stoje a było nas osiem chłopców jak wszyscy wyszli z wagonu a policyjanci już wszystkich trzymają tak mie najsamprzód policyjant prowadzi do jakiś kancelarji i stał za mną po tyle a ten pan doktór czy pan starosta siedział przy stoliku popatrzył sie na mie ja na niego tyż sie patrze, on wstał wzioł mie za renke a drugą za puls i pyta mie ty zdrów ja mówie tak jestem zdrowy, a z kim ty jedziesz, a tu za policjantem stoi mój sąsiad świci łysiną i jego familija cztyry córki i jego żona. Mówie jade z nimi, nu dobrze a skończyłeś klasy, tak jest mówie, no to jedź. Tak ja zaraz wyszedł już mie policyjant nie trzymał tilko co jeden robotnik nosił drzewo do palenia i mówi do mie macie szczęście człowieku bo tutaj dużo nawracają młodych. Potym drudzy familije wszystkie musieli iść na wizyte, ale nie puścili wszystkich zatrzymali pięciu a dwóch puścili, a tych pięciu do kadeji na noc i odesłali do Milna. Jak sie skończyła ta wizyta zaraz przyszed jeden wóz i zabrał nas daleko gdzieś w miasto do jakiegoś hotelu i my tam nocowali i świętkowali bo była niedziela. A w poniedziałek rano wzini bilety aż do Hamburga wtedy ruszyła kolej leci i leci aż tu przychodzi do nas pan konduktor bilety pomarkować i zatrzymał sie trochu między nami i zaczoł z nami rozmawiać o Brazeliji i podróży. Był bardzo przyjemnym i dobrym Polakiem, tak jeden z naszych pyta się prosze pana czyby pan konduktor nie poradził żeby w Oświęcinie nie zawrócili, on posłuchał tej mowy i mówi cicho, bądźcie spokojni i odszedł od nas poszedł dalej a my sie zostali sami, obcych ludzi nie było a kolej leci aż tu niezadługo przychodzi pan konduktor i mówi teraz już niedaleko Oświęcin tam będe stał pięć minut a was zamkne na klucz, okna pozasłaniajcie firankami i głowy aby nikt nie pchał do okna i cichutko siedzić, tak to wszystko sie poszykowało a konduktor jeszcze raz powiedział aby byli cicho i zamknoł nasz wagon i poszedł. Już stacyja miasto Oświęcin no tilko stała kolej aż tu coś ze cztyroch panów idzie prosto do nas i do drzwiów chcą otworzyć stukajo wołają by otworzyć a to wszystko siedzi jakby nieruchome polękli sie a wtenczas konduktor zagwizdał i krzyknoł jazda tak te pany pozeskakiwali a my pojechali chwała tobie Panie. Wtedy sie ucieszyli i zajechaliśmy na wieczór aż do Berlina i w Berlinie przesiadywali na drugą kolej i pojechali już spokojnie aż do Hamburga. Na drugi dzień przed wieczorem byliśmy już na stacji w Hambur-

gu wysiedliśmy z kolei zaraz jeden woźnica przyjechał bliżej nas jednym koniem ale dużym koniem i nie wozym ale karawanem takim ogromnym że nas pięć familji zabrał ze wszystkim co mieli ze sobą, do agenta pana Michała Murawca zawiózł i tam pan Michał Murawiec przywitał nas i my wszystko u niego złożyli. Miał on duży dom było u niego bardzo dobrze, dawał nam dobre jedzenie byliśmy u niego osiem dni, potym jeszcze przyjechało dwie familije z Trościańca i coś siedem familije Rusinów. Wszystkich może było do osiemnaście familij, nie pamiętam. Na trzeci dzień pan Murawiec ogłosił, że trzeba wszystkie familije pozapisywać żeby iść do jego kancelarji. Nu dobrze poszliśmy, pirsze bośmy wprzód przyjechali przyszliśmy do niego i on zaczoł sie pytać ile kto ma dzieci, tak mój sąsiad mówi moich jest czworo dzieci a ten chłopak jedzie samotny pokazuje na mnie. A pan Murawiec mówi samotnemu niedobrze bo na okręcie nawróco lepiej przypisać sie do familji, ja mówie jeżeli tak niebezpiecznie to niech pan przypisze do nich za syna pokazuje na sąsiada i przypisał jako najstarszy syn. Ósmego dnia przed wieczorem pójdziecie na okręt tak nam powiedział, po wypoczynku tych osiem dni trzeba sie zabirać na wode. Morze widać bo daleko nie było i barka już stała gotowa koło brzegu a okręt był może do sto metrów od brzega na morzu, już wszystko poznosili do barki i wszystko ludzie co mieli jechać i wtenczas ruszyła barka z nami do okrętu, tak to płynie prędko i tak równo jak po ziemi, myśle sobie to dobrze jechać lepi jak na kolei. Przypłyneli do okrętu, a ten okręt taki ogromny więcej jak 50 metrów długi był to ciężarowy więc powyłaziliśmy na ten to okręt a już było Niemców pełno, zaraz pan kapitan okrętu oddzielił nas pojedynaków od familji bo nas było coś dziewięciu samotnych jak już wszystko poszykowali wtenczas nasz agent pożegnał sie z nami i wrócił do swego domu a my sie zostali na wodzie. Poopatrywali swoje łóżka tymczasem zrobiła sie noc światło zaświecili lektryczne a później poszli spać a okręt tak niby sie rucha i nie rucha, jakoś tak niespokojnie tak my uważnie nadsłuchujemy czy okręt idzie czy stoi i znów tak jakby sie na bok pochylił tak my cało noc przeleżeli ale nie spali, już dzień sie zrobił wyszliśmy ze środka na świat żeby widzić jak ten okręt płynie. O mój Boże nic nie widać na świecie tylko mgła i wiatr z deszczym nasunela że na dziesięć metrów nie było dobrze widać tilko że sie

okręt kołysał trochu. Przed wieczorem pokazali sie obłoki, oglądamy sie za miastem gdzie Hamburg już nie widać nigdzie tilko woda i niebo gwiazdy więcej nic. Tak sie kołysało i jechało pare dni przeszło. W niedziele powychodzili wszystkie nasze na pokład mówiąc nu co będziemy robić do kościoła nie pójdziemy pomódlmy się tutaj, zaczynajcie Różaniec chłopcy i zaraz zaczołem i wszyscy śpiewali Różaniec potym litanijo do Matki Boski a po nabożeństwie niektóre pieśni jak Serdeczna Matko, Zawitaj Maryjo różańca świętego i inne pieśni. Czas nam tak przechodził z dnia na dzień. Wicht mieliśmy dosyć dobry tilko że Niemcy robili nam psote bo w piątek dawali nam mięso na obiad a w niedziele rybe. Tak my sie kołyszem jeden tydzień i drugi, a w niedziele tak samo różaniec śpiewali i litanije do Matki Boski i pieśni, a Niemcy byli same protestanty a jeden z nich rozumiał po polsku a było ich dużo. Dużo zebrało sie ich cała banda wtenczas jak śpiewaliśmy różaniec zaczeni chodzić naokoło nas krzyczeć śmiać rozmaicie hałasać i mokre brudne szmaty ponamoczywali w pomyjach i na książki rzucali i na nas, o to była zgroza coś trzy razy obejszli naokoło nas ale my nie przestawali modlić sie dopokąd nie skończyliśmy. A ten protystant na drugi dzień z łóżka nie wstał na nogi ten co to rozumiał nas język, nie wim co sie z nim stało bo więcej nie widno było a statek płynoł dalej i coraz lepi sie kołysał na bok i coraz lepi tak że trudno było na nogach sie utrzymać kufry co mieli ze sobą zaczeli po podłodze suwać od jednej ściany do drugiej porozbijali sie a ludzie wszyscy pochorowali sie wszystko leżało jak nieżywe tilko ja nie chorowałem i jeden mój kolega a to wszystko leżało jak snopy na polu tilko te majtki co przyzwyczajone chodzili po pokładzie, ja i mój kolega wyszliśmy z naszej jaskini na pokład. O Jezus Maryja jakie to góry porobiły się jakie to bałwany morskie fale lecą jedna za drugą tak sie morze rozhulało strasznie, że nie moge wszystkiego opisać, a okręt przewraca się z jednej strony na drugą mało nie utonie w głębokościach morskich, tak było półtory doby a potym na zdłuż całuśkie dobe co jeden koniec wyjdzie do góry na wirzch to drugi koniec w pół do wody. O mój Boże wtenczas i ja ze strachu osłabłem bo gdy okręt leciał do dołu to sie zdawało że wszystkie wnętrzności wyłażo człowiekowi tak sie bujał jak na wodzie jeden koniec do góry drugi na dół a ludzie napół żywe leżą jak

nieprzytomne to wtenczas nie myśleli o Brazeliji tilko o śmierci bo śmierć była przed oczyma już kapitan okrętu szykował sie na wode już łódki miał na pogotowiu, ale opatrzność Boska nas ratowała o to było tak strasznie że jeszcze teraz jak sie przypomni to aż mróz po ciele przejdzie. Tak to było przez trzy dni taka nawałnica potym trocha sfolgowało wiatr był trocha wolniejszy fale morskie tak sie nie spinali już można było posiedzić na pokładzie. My długo jechali coś 34 dni byli na wodzie jak my sie dostali do Rijo de Zianeiro na wyspe nazywają tyż Rijo Kwiecie. Okręt nie dopłynoł do brzega stał daleko na morzu a po nas przypłyneli lansie i nas zabrali do tego to Rijo Kwiecie do emigrańskiego domu gdzie zastaliśmy mnóstwo ludzi czekali aby ich agenty odesłali, jedni do San Paulo drudzy chcieli do Rijo Grandy Sul i nigdzie nie mogli i dużo ludzi w tym domu emigrańskim pomarło i my zastali dużo chorych. A do Santa Kataryny nicht nie chciał czy dlatego że w tej prowincji są takie góry, ale tutaj górów nie brakuje jest wszędzie po całej Brazelji. Ale naprzód nichto nie znał o takich górach bo nie widział teraz wi każdy co to góra znaczy. Trochaśmy odpoczyni coś trzy dni chodziliśmy po ziemi to sie zdawało że ziemia sie rucha niby sie hojda, nie chcieliśmy żeby nas długo trzymali jakoś było tak nieprzyjemnie jakoś tak niezdrowo powietrze takie jakieś mgliste że długo by nie wytrzymał i mówili do pana agenta żeby nas odesłał do prowincji Santa Kataryna a on z ochotą zaraz na trzeci dzień nas odprowadził, przepłyneliśmy łódkami do jednego okrętu ale nie był duży tam powyłaziliśmy jeszcze całe dobe jechali potym jeszcze przesiadywali na brazelijski okręt ale to już było najgorzej dlatego że nieporządek i nieczystość na pokładzie. Nie było na meter czystej podłogi wszędzie zagnojono to już był ostatni. Przyjechaliśmy na nim do Florijanopolis to miasto tej prowincyje jest najgłówniejsze i gubernalne tak my tu tyż spoczywali pare dni, dawali nam jeść gotowali nam z czarnej fasoli i suchego mięsa tak nazywajo fyziewada z faryną, ryż i jakiś makaron ale to kucharze tak robili jakby dla nierogacizny a nie dla ludzi, było wszystko pomiszane muchy robaki i co sie udało. Otóż takie potrawy nie mógł człowiek pożywać tilko sie popatrzył to już dosyć. Po tym nieszczęsnym obiedzie kupił se bułke albo rożka i musiał być kontenty. W krótkim czasie odesłali nas do Witażeji a z Witażeji do

Brusków a z Brusków do Nowa Trento tak nas prowadzili ale my nie znali gdzie nas prowadzą a z Nowa Trento na Salto tam nocowali. Była pogoda ładna z wieczora ciepło aż gorąco ale patrzem a tu ogień lata w powietrzu wszyscy pytajo sie co to, co to takie jak my sie przeglądamy a to muchy takie tu znów zaczyna coś wołać czekaj czekaj czekaj narobili strachu i pytajo się Brazelijana co to co to, mówi to sapa, co capa a to chodźmy bić, zaraz za dubeltówkie te z baraki leco na dwór narobili hałasu, aż jeden furman rozumiał troszku po polsku i powiedział że to nie cap tilko taka żaba, potym wszystkie sie śmiali i dali spokój z capym. Przynocowali rano znów dalej i dalej. Przywieźli nas przed wieczorem na Bonity tu już koniec drogi wozowej dalej nie pojedzim, poskidali z wozów nasze bagaże i wrócili a nas zostawili, dawali nam jeść tak samo jak z początku nas traktowali rozmaito zwierzyną. Na drugi dzień znów zabirać sie, drogi nima ino ścieżka i agent z nami, koło 10-tej godziny przychodzi coś pięciu chłopów majo po jednym koniu i polacy chwała Ci Panie, mówio że są z Pineralu bo my mieli iść na Pineral ale nie znali co to za Pineral. Zjedli my jeszcze ten niepożyteczny obiad taki jak wszędzie dawali smaczne, żeby potrawy były lepsze może byłbym sie został w mieście Florjanopolis ale te potrawy mie odstraszyły. Myśle sobie jak to tak wszędzie Brazelijany żyją i tak nieczysto robią to jest bardzo nędzne życie. No teraz idziemy na Pineral, zabrali co ważniejsze rzeczy ze sobą na plecy trochi na koni i ido, nieso a tu gorąco jeszcze 16 kilometry, przyszli pod las zaraz mie sie przypomniało co ksiądz mówił do mie jak chodziłem po metrykie jakie tam góry skały drzewa posplatywane wszystko jak mówił tak jest i parowy całkiem inaczej jak w naszym kraju, szliśmy pomału bo bardzo gorąco i odpoczywali. Było to jako tako już skończyła sie ta drożyna a jeszcze dziesięć kilometrów ciągle lasem tilko pikada, co robić trzeba iść dalej a tu gorączka ani do wytrzymania dzień duży słońce pali każdy mokry choć koszule kryńć a dziury wszędzie jak inośmy wyszli z okrętu wszędzie góry i parowy kamienia jak jakie kamienice piątrowe takie straszne czego człowiek nigdy nie widział a tu trzeba iść dalej, zabrali swoje rzeczy puścili sie do boru i do góry i do góry trzy kilometry ciągle lasem i do góry. Skończyła sie góra widać niby równina troszku ale góry jednak są ogromne. Przychodzim na ten to Pineral mówio nam lu-

dzie co nas prowadzili tutaj będziecie, pokazali nam barake a przyszliśmy do tej baraki dach był nakryty łupanymi deszkami pinelowemi co nazywają klepki tak wyglądał jak szopa na siano albo obora na bydło, ściany nie byli ino po kawałku poobijane, a to wszędzie dziury. W naszym kraju wygodniejsze miały obory i szopy na siano jak tutaj ludzie mieszkanie, takie były nasze początki. Było nas razem pietnaście familji. Wszystko to swoje poskładali po kątach osobno i tak siedzieli a tu gorąco dzień duży od czwartej rano do ósmej przed wieczorem i jeszcze gorąco. Na noc na posłanie nazbierali sobie każda familja paproci robić łóżka jak to już wszystko było gotowe wtenczas poszli na sztat plac co było przeznaczone na miasto tam gotowali nam tak samo. Przyszliśmy po kolacyje było półtora kilometra od naszej baraki i lasem tilko pikada, zafasowali my te kolacyje i wrócili do baraki bo był już wieczór bali sie żeby gdzie na żmije nie stać nogą. Jak sie sciemniło zjedli kolacyją i poszli wszystkie do swego kąta na łóżko do spania. Pirsza noc choć krótka noc ale była trudna, rano powstawali znów poszli po śniadanie gotowali nam polskie ludzie oni byli z pod prusa a naszem agentym był niejaki Franciszek Felski on sie nami opiekował, a urząd jemu płacił za nas. Było to mizerne życie, jeszcze było dwa tygodni do Bożego Narodzenia tak z dnia na dzień schodziło. W nocy bugry gwizdali a w dzień żmije rozmaitego gatunku nazywają ich szaraki zawsze ostrożnie chodzić więcej na ziemie patrzeć jak do góry. Przybliżyli sie święta Boże Narodzenie. Na święty wieczór tak czysto na niebie gwiazdy przyświecają cichutko tilko szmer wody szumiącej a w naszej barace zrobiło się głucho jakby nikogo nie było wszyscy zamyślone. W naszym to kraju dziś mają wesołość, mają rozmaite potrawy i tronki do picia. Na środku w chałupie rościelili żytnej słomy co nazywają dziaduchem, w kącie za stołem stała babka snop niemłóconej pszynicy, stół był pokryty sianem i obrusem zaścielony a na nim opłatek i inne przybory wtenczas przypomniały sie kolędy jak tam kolędują cieszą sie jak zbierają sie do dnia w nocy na pasterkę do kościoła wszystko sie przystawiło przed oczy a tu my poszli po mynasz na kolacyjo a oni dali nam zupy z czarnej fasoli i gdzie niegdzie kartofli pływają, wtenczas wszyscy sie popłakali zamiast kolędować to płakali a na Boże Narodzenie znów dostali takiej samej zupy było bardzo przykro. Po tym smutnym

śniadaniu poszliśmy na sztat plac do kapliczki bo już byli postawili, tam sie pomodlili i znów na obiad zafasowali troszeczku lepi, bo było więcej potrawów jakieś suche mięso z czarną fasolą i kartoflami i ryż. O to wtenczas napłakali sie niemało. Potym kto miał pieniędzy to poszedł do tego agenta i kupił sobie mąki ryżu mięsa co mu było potrza wtedy robili sobie święta, a kto nimiał pieniędzy to musiał być kontenty z tego co dostawał te co mieli skąd i zaco kupić tym było weselij ale niebardzo. A po świętach dostaliśmy robote na drodze robiliśmy droge pietnaście dni na miesiąc po dwa milerajsów na dzień zarabiali, a drugich pietnaście dni robili sobie na koloniji ponieważ my przyjechali na urzędowy koszt i urząd dał robote na drodze i każdemu po koloniji wtedy inzinier mierzył dla nas kolonije ja tyż dostałem kolonije, siekire do rąbania drzewa i fujs co sie tnie drobiazgi, każda kolonija miała mieć tysiąc i dwieście metrów długości a szerokości sto osiemdziesiąt metrów, zato że nie było gdzie posunąć na szyrsze bo góra naprzeciw była na przeszkodzie. Tak my tutaj żyli na tych pustyniach dzikich. Było to przykre życie, do miasta Nowa Trento daleko 36 kilometrów trzeba było piechotą odbywać coś kupić i brać na plecy i wracać na Pineral, czasem to cały tydzień w podróży jak w drodze napad deszcz i grzmoty i gorączka a na plecach trzeba nieść, o mój Boże nawet teraz jak sobi przypomne to aż mie ciało ścirpnie że pirwej miałem tile odwagi puszczać sie w obcy kraj i prosto do lasu jakby mie kto ciągnoł ze żmijami i bugrami wojować bo nie było nic więcej ino bugry i gadziny, a jak szedł do roboty na kolonije to miał przy sobi fak pół metrowy tak jak pałasz i pistolet albo dubeltówke, bez tej broni nie ważył sie iść na kolonije do roboty. Nasze początki były bardzo ciężkie, chleba nie było żeby chciał kupić nie było gdzie bo nikt nie miał tilko ta mąka co nazywają farinia de mandioka co robią z korzeniów to wodą kipiącom sie zaparzy i tak jeść, ale trzeba mięsa albo inne omasty do tego a posno nie bo nie mógł by chodzić boby spuchł od posnego jedzenia. Młyna jeszcze nigdzie nie było tak sie bidowało potym doczekali sie już swojej kukurydzy a niektóre emigranci mieli żarna to już było gdzie zemlić kukuruze na mąke i taki był chlib ze żaren. Byli tutejsze frukta ale człowiek nie był do nich przyzwyczajony, jak ejpy taje kary, to są tutejsze kartofle, a naszych kartoflów nie było ani żyta pszynicy ni hreczki ni jęczmie-

nia nikt nie znał tilko to jak wyżej powiedziałem. Ejpy, taje, kary słodkie bataty to są kartofle brazelijskie, czcina na cukier i mandioke co robią z niej mąkie nazywają farina de mandioka to robią z niej tak nazywajo pirom. Tak ja robiłem przez cztyry miesięcy samotny piętnaście dni na drodze a pietnaście na koloniji. Z Hamburga byłem przepisany do familji i tu jeszcze z nimi robiłem. Potem widziałem że samemu nima jak i źle robić w ziemi i wziołem sie ożeniłem z jego córką Rozaliją 12-go maja brałem ślub na Pineralu. Ksiądz z Nowa Trento przyjechał nas odwiedzić ale niemiecki, zabawił coś przeszło tydzień było to w roku 1896, już upłynęło 40 lat. Droga jeszcze sie robiła dwa miesięcy taka była nasza zapomoga na sześć miesięcy a strachu co było to ino jeden Pan Bóg wi. Byli tygrysy byli bugra każdy musiał sie mieć na ostrożności w dzień i w nocy. W nocy strach od bugrów żeby nie napadli a w dzień od bugrów, tygrysa i żmijów bo jest ich coś dziewięć gatunki są takie jakby Boże broń ugryzła to 24 godzin nie wytrzyma i z każdego włoska krew wystąpi. Ciągle trzeba było walczyć, sama jedna familija nie poszła do boru fulsować i rąbać ino sie zbierało trzy cztyry familije brali ze sobą broń, urząd podawał nam gwery i kuli, niektóre miały swoje dubeltówki, tak w jednego potym w drugiego po kolei do wszystkich inaczej nie można było robić, ciągle tak robili bo sie bardzo bali. A jak mieliśmy przyjść na Pineral to bugry zabili na Pineralu jedne kubite w samo południe, ale nam nie powiedzieli aż za rok. Takie nasze mizerne życie było w początkach naszej gospodarki, daleko było chodzić z baraki na kolonije cztyry kilometry i to przez drzewa parowy i przez duże rzeke do 15-ście metrów szeroka czasem po kolana woda a czasem i po pas. A tu musowo liźć do wody a gorąco do niewytrzymania. Dosyć nacierpieli sie ludzie różne dokuczliwości dostali z gorączki takie krosty gnijące po całem ciele a najgorzej po łokciach i kolanach i to rozlewało po całem ciele i nie goiło sie prędko. W nogi nałazili takie malutkie robaczki za paznokcie i gdzie ino mogło lazło w ciało i gnieździło sie. Te robaczki tak wyglądają jak malutka pchła jak wlizi w ciało to nie słychać a jak sie zagnieździ to wyrośnie duże jak dobre ziarko grochu i nogi bardzo bolą a kto sie nie pilnował to miał pełno że nie mógł chodzić, a to wszystko robiła gorączka. Niektóre co sie napłakali i same na siebi narzekali co tu przyjechali do ta-

kiego robaczywego kraju. Kiedy sobie przypomne czasem jak to ludzie w początkach naszej emigracji bidowali to aż mie ciało ścirpni, w naszym kraju najbiedniejszy człowiek takiej nędzy nie doznał jak my na tej tu pustyni brazelijskiej. Potym jak poobcinali lasy zrobili front, jak wyschło popalili i zasadzili kukuruze i czarne fasole to brazelijski futer poprzywozili ze sobą nasienia pszynicy żyta kartoflów hreczki jęczmienia wszystkiego po troszku na próbe i na rozmnożenie i zaczeli sie budować. Popostawiali chaty ściany z łupanych desków dach tak samo tak to wyglądało jak obora takie byli nasze mieszkania. Ja nie stawiłem sobi zaraz bo byłem w kupie z panem Ojcem, robiliśmy razem przez dwa lata potem postawiłem sobi chate. Wtedy odeszliśmy od pana Ojca do swojej chaty, było bardzo smutno ale co robić niech sie stanie Boska Wola, jak będzie tak będzie. Miałem trzy sąsiady jak co w nocy straszyło to zaraz zrywali sie i wołali jeden do drugiego i strzylali już nie spali tilko nasłuchiwali czy co nie dobywa sie. W pirszych początkach chowało sie psów, potym kury kaczki świnie, to był pirszy dorobek i tak sie żyło każdy swoje bide cieszył jak mógł aby nie płakała bo co miał człowiek robić między tymi górami. Równiny bardzo mało, ja mam równiny najwyżej dwa morgi, a to wszystko góry parowy moczary tak po wszystkich kolonijach a niektóre kolonije nie mają nic równiny tilko same góry i parowy do pługa mało ziemi tilko do gracy co nazywają mutyka, tym sie szkrabi ziemie po górach i sadzimy kukuruze i czarne fasole. Takie było nasze życie przeplatane czasem człowiek sie rozweselił, ale niebardzo bo była tęsknota za rodzinnem krajem jak mówi przysłowie obce kraje znajmy, ale swój kochajmy. Jak sie trocha podorabiali niektóre pokupili koni krowe zaczeni siać żyto pszynice i hreczki wszystko co rozmnożyli coraz postąpało sie do góry, było troszeczka lżyj. Te krosty wygoili sie i te robaczki zgineli gdzie niegdzie byli, to znów inne robaki ludzie dostawali i dostają nazywają się bysie berny to są duże ten robak gryzie i nie da się wycisnąć aż dziurke wykryńci wtenczas sie wyciśnie ależ to bolące ja sam już miałem kilkanaście razy na plecach i na ramieniu. W naszym kraju tego nie było żeby robaki żywcym ludzi gryźli, a tutaj jest to prawdziwie kraj ten robaczliwy. No podorabiali sie trocha niektóre, za pietnaście lat przyszło z guberni żeby płacić za ziemie, ale czym płacić jak nima pienię-

dzy to dali nam robić droge te same co robili z emigracyji wszyscy mieli wyznaczone akordowo a kolonija wtenczas kosztowała dwieście piećdziesiąt i trzysta jak do koloniji tak wypłacali ziemie bo inaczej nie mogli zapłacić. Ja wypłaciłem robotom dwie kolonije teraz jużbym tego nie zrobił bo już tak pracować nie moge Bogu dzięki już jestem w podeszłem wieku już mam 65 lat skończyło sie 23-go kwietnia. Tutaj w Brazelji praca jest bardzo ciężka ciągle rękami trzeba ziemie kopać a pługiem mało bo nima gdzie, góra góry sie trzyma trza sie spinać po górach drogi robić choć na meter szeroko zakim sie wyjdzie do góry to sie zrobi pięć i sześć wykrętów, a z góry znów tak samo bo inaczej nie zrobi, szuka sie chleba pomiędzy góry. Dał nam Pan Bóg dzieci nieduża familija cztyry syny i dwie córki, podrastali uczyłem ich czytać i pisać tak jak sam umiałem tak samo i religiji, nie moge tak dokładnie wszystkiego opisać. Kapliczke tyż postawiliśmy zaraz z początku drzewiane na 10 metrów długa a szeroka 8 metrów. Nasze ludzie chodzili w niedziele i święta na różaniec i nauki, a ksiądz raz na rok nas odwiedzał z Nowa Trento 36 kilometrów drogi, ale brazelijski nikt jego nie rozumiał i on nie rozumiał nas. Potym nazwał nasze kolonije Nowa Galicyja, teraz nazywa się Pinieral Nowa Galicyja. Potem przyjeżdżał na koniu do nas ksiądz aż z Blumenalu, podróż była bardzo daleko 116-ście kilometrów drogi. Była to przykra podróż bo droga była licha mostów nie było tak on przyjeżdżał dwa razy do roku, czasem tilko raz i tak ludzie sie cieszyli że mieli pastyrza polskiego choć on nie był czysty Polak bo był pomiszany nazywał sie Franciszek Fenschor, on był rodem z Górnego Szląska, ojciec jego był Niemcem a matka Polka. Księdzy w Bluminale są Franciszkanie tak ja pomału z nim sie poznał, bo byłem do nabożeństwa i do śpiewania poprzednikiem już mój syn najstarszy umiał do mszy świętej służyć. Potym ksiądz mówi do mie ten wasz chłopak ma dobre głowe do nauki on by sie wyuczył na dobrego księdza u nas w Bluminale sie uczą chłopcy, ja mówie dobrze Ojcze duchowny a płacić czym jak pieniędzów nima, jakto mówi nie opłacilibyście 300 milerejsów na rok, ja mówie ani 30 na rok nie moge ni mam skąd i na tem stało. Minęło pare lat a on co roku jeździł do nas, jednego razu trafiło sie że miałem jechać w towarzystwie z Nowa Trento razem z nim do naszej kaplicy. Przypomniało sie jemu o szkole ja mówie chcia-

łem ale mie trudno a on mówi jeżeli chcecie może iść za braciszka a córka może iść do sióstrów oni potrzebują dziewcząt, ja mówie dobrze jak zechcą mogą iść a w tym Boska Wola ja nie zabraniam, syn najstarszy już miał 19 lat, a córka 16 lat. Przyjechaliśmy do naszej Nowej Galicyji, ksiądz sie został w kaplicy a ja pojechałem do domu i powiedziałem co ksiądz mówił a dzieci z chęcią chcą zaraz iść tak my sie ucieszyli że nasze dzieci mają taką chęć nie wim jaki to był bo zaraz nie poszli aż w lipcu roku 1917 zawiozłem do Blumenalu córke i syna, już miałem pare koni i wóz. Na drugi rok drugi syn dałem do szkoły już był w pietnastem roku, a na trzeci rok dałem trzeciego i najmłodszego w dziewiątem roku do szkoły O. Franciszkanów w Blumenale, a druga córka najmłodsza ze wszystkich tyż poszła sześć lat później, a jeden syn średni został sie w domu, a pięcioro zostało w klasztorach. Najstarszy został braciszkiem w zakonie Franciszkanów, dostał imie Stanisław a nazywał sie Józef, już jest 19 lat, w zakonie jest i córka tak samo tile lat dostała imie Silwina a nazywała sie Maryja ciągle była w szpitalu przy chorych 14 lat zakonnicą, ten zakon sióstrów nazywa sie Oracao a Divina Prowidecia. Potym zachorowała przez dwa lata była chora i w roku 1935 dnia 3-go marca Bogu ducha oddała. A druga córka jest siostrom w zakonie Świętej Rodziny, jest nauczycielkom Bogu dzięki już cztyry lata dostała imie Bolesława a nazywała sie Jadwiga, a dwóch synów zostali księdzami, jeden cztyry lata ma imie Fabian a nazywał sie Wacław, a drugi najmłodszy już rok jak był wyświęcany dostał imie Władysław a nazywał sie Czesław. Było w naszej kaplicy dwie Prymicje, kaplice już mamy murowane, na prymicyje było wielkie zgromadzenie księża i ludzi. Mieliśmy dwie wielkie okazje. Bogu dzięki nasza praca i trudy napróżno nie wyszły, bo szkoła dużo kosztowała trza było dobrze pracować żeby szkołe opłacić. Ja gospodarki dużej ni mam i familji w domu ni mam, aby jeden syn tilko nas troje i to jużeśmy sie postarzeli już pracować tak nie możemy jak za młodszych lat zaledwie co nam wystarcza nasza praca, a o gramofonie albo radio mój Boże takie rzeczy kosztują tysięcy to nie dla naszych ludzi na setki nie mogą liczyć. My Bogu dziękujemy że szkołe z pracy rąk opłacaliśmy, a teraz podatki od koloniji płacimy 17-ście milerejsów a czasem i 20 milerejsów kominowe płacimy 8-siem milerajsy od woza płacimy 50

czasem 52 milerajsy na rok. Czy jeździ czy nie a podatek zapłacić musi, może gdzie w innych prowincjach jest trochu lepi ja nie wim bo nigdzie nie szukałem lepszego miejsca i nie myśle już o powrocie do swego kraju na stare lata lepi już tu zostać. Moja najlepsza zabawka to są książki oni to zastępują wszystkie moje smutki i rozrywki światowe ale nie romansy tilko dobre książki jak żywoty świętych i inne podobne to jest dla mie najlepsza uciecha. Wierzcie mi moi Szanowni Panowie jakby nie była taka straszna burza na morzu w ten czas jak my jechali do Brazelji to z naszych polskich ludzi ani jeden byłby sie nie zostal w Brazelji byliby wszyscy wrócili byłby wolał w swoim być żebrakiem jak tu na tej pustyni gospodarzyć. Już sie zaznało rozmaicie przez te lata więcej źle jak dobrze, nigdy nie pisałem do swoich rodziców ani do żadnych krewnych żeby przyjeżdżali bo tu dobrze, nie chciałem nikogo narywać żeby potym płakali i narzekali, bo tam w kraju dwanaście morgi pola więcej znaczy jak tutaj dwie kolonije. Ale tak pomału człowiek sie przyzwyczaił do tutejszych fruktów i klimatu i zdaje sie że tak musi być a nie inaczej. Teraz już koniec. Co mogłem spamiętać tom napisał jak umiałem tyż pozakreślałem w kilkoch miejscach i przepraszam Was Szanowni Panowie jeżeli co niewyraźnie napisane kreśle sie z szacunkiem.

Dn. 1 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 20

Rolnik w Santa Catharina, syn pięciomorgowego gospodarza spod Pabianic, ur. w 1879 r.

Szanowny Instytut. Chcąc opisać o swojem przeszłem życiu, muszę zacząć od dziecięczych lat, a zatem będąc jeszcze małoletnim jak opuściłem wraz z rodziństwem kraj ojczysty mając zaledwie lat jedenaście jak wyjechaliśmy z Polski w roku 1890. A zatem mając w Polsce pięć i pół morgi ziemi, w okolicy Pabianic, wieś tak zwana Stare Piŋki czyli Dąbrowa. Owa ziemia była zapisana reintownie za życia nieboszczyka ojca na mnie i na dwie siostry. A moja matka jako wdowa powtórnie za mąż wyszła i tak z ojczymem i z całem rodziństwem na tem kawałku ziemi się gospodarzyli. Ponieważ ojczym był alkoholikiem, bardzo źle się gospodarzył na owej ziemi. Mając liczną rodzinę składającą się z dziesięcioro osób więc zażywalim biedę. Z tego kawałka ziemi trudno się było utrzymać. A ja musiałem u obcych ludzi za marne koszuline służyć. Więc w owem czasie Brazylja przyjmowała w wielkiej liczbie emigrację, więc w całej owej okolicy pewna kompanja okrętowa niemiecka rozesłała agentów robiąc propagandę za wyjazdem do Brazylji. Obiecując złote góry, namawiając ludzi ażeby wyjeżdżali do Brazylji. I mówiąc że w Brazylji nie potrza pracować i w jedwabnych bucikach chodzić bo już z ubraniem to bagatela, bo jako kraj gorący to już mniejsza z tem a więc... mój ojczym spotkał się z owemi agentami, a więc okropnej chęci do wyjazdu nabrał, ale jak to zrobić? ziemi sprzedać nie można bo nie była jego a myśmy byli małoletni i też nie mogliśmy nic w tem in-

teresie dopomóc, tak w radę z matką w jaki sposób trochę grosza na podróż zdobyć, tak uradzili. Ziemi sprzedać nie można a zatem... można wydzierżawić, tak też postanowiono i tak dokonano. Więc w okolicy się ludzie dowiedzieli że ojczym chce ziemię wydzierżawić, na czas 10 lat, więc odrazu pewna ilość amatorów się znalazła na wydzierżawienie owej ziemi. Tak mój ojczym zaproponował, kto da więcej ten dostanie dzierżawę, jedni dawali 100 rubli na przeciąg 10 lat. Ni stąd ni zowąd przyjechał z miasta Łodzi nijaki Stanisław Żalas i zaproponował 110 rubli, a więc ojczym z niem się zgodził i ów Stanisław Żalas na dzierżawie pozostał. A teraz tylko się rozchodziło o wolny przejazd za granicę. Więc ojczym z innemi amatorami którzy się wybierali tak samo do Brazylji poczęli się starać w gubernji w owem czasie Pietrkowski o paszporta zagraniczne. Wszystkich razem było przeszło 100. Sekretarz gubernatora im przyobiecał wydać paszporta. Każdy z nich zapłacił naprzód kwotę po 20 rubli za jeden paszport więc wszystko sekretarz uszykował więc tylko brakło podpisu gubernatora. Nareszcie zjawił się gubernator na położenie podpisu. Więc spojrzał na położone paszporta na stole więc się zapytał po rusku: gdzież wy ludzi tak gromadnie wyjeżdżacie? A jeden z nich troszkę podkurzony mu odpowiedział, do Brazylji wyjeżdżamy — a on na to: do Brazylji rząd gosudarski paszportów nie wydaje, więc możecie sobie wszyscy iść do domu i niech wam wywietrzeje z waszych głów wyjazd do Brazylji. Co rząd carski sobie tego nie życzy, tak wszyscy zostali przez paszportów. A pieniądze za paszporty odrzekł gubernator wam się odeśle do domu, więc wszyscy wrócili bez niczego, a pieniądzy za paszporty które były dane do dzisiaj pewno nikt nie odebrał. Tak mój ojczym wrócił bez niczego do domu, zaczął ignorować i z tego wszystkiego się chciał powiesić, bo już był dobytek i zboże i rozmaite rochomości wyprzedane, a tu paszportu nie ma. Więc wyjazd zagranicę jest niemożliwy, ale kto co sobie postanowi tego dokona, więc tak samo i mój ojczym poszedł na poradę do pewnego żydka z miasta Pabianic i opowiedział mu całą historję o zatrzymaniu paszportów przez gubernatora, a żydek mu na to. Nu gospodarzu na to wszystko się da radę, dajcie mi 100 rubli i bez paszportów się obędzie po co paszport? kiej się da bez paszportu do Brazylji jechać. Targ w targ pozostało na 80 rublach.

* * *

Pierwszego października r. 1890 wybralim się w podróż, zaczyna się pożegnanie ze swojemi najbliższemi, tu nastaje kumedja śród płaczu i lamentów tych co wyjeżdżają i tych którzy się zostają tam w Polsce, mie było bardzo żal opuszczać te kochane strony w których się wychowałem. I także jedna siostra starsza już zamężna zostawała na miejscu to mi najbardziej jej było żal, a cóż miałem robić, jako jeszcze dzieciak musiałem razem z rodziną jechać, z tą myślą że kiedyś jak dorosnę to nazad do kochanej ojczyzny powrócę. Ale los rządził inaczej bo dotychczas jeszcze na obczyźnie pozostaje. A więc Żyd zażądał pieniądze z góry tak się zgodzono, tak ten pierwszy Żydek zrobił handel z drugiem za połowę ceny za które miał nas dostawić do Prus zarabiając od razu 40 rubli, tak ten drugi Żydek nas odwiózł wozem do granicy pruskiej do pewnego leśniczego Polaka, znów siacherka i zgodził przez przeprowadzkę za granicę za 15 rubli co ów leśniczy miał nas przeprowadzić i zostawił nas w lesie blisko granicy i wrócił sobie spokojnie do domu, a myśmy zostali w opiece owego leśniczego. O 10-tej w nocy przyszedł po nas leśniczy z parobkamy i zabrał nas do siebie. Noc była bardzo ciemna, prowadzili nàs przez rozmaite krzaki i przez pola zasadzone kapustą już dojrzałą, pełno rowów napełnione wodą, ja szedłem na ostatku przewracając się przez głowy kapusty bardzo się złościłem na tych gospodarzy, którzy akurat tutaj musieli założyć pole kapuściane, i tak doślim do owego leśniczego. Co już tam w jego domu znachodziło się około 50-ciu osób które on miał przeprowadzić przez granicę. Była to grupa niesforna prawie sami robotnicy fabryczni z miasta Łodzi, byli rozmaite ludzie, żonaci i kawalerowie przeważnie młodzi, którzy się gorzałeczką uraczyli i wszczyli ze sobą awanturę i bijatykę, a tu aż się roiło od straży granicznej, ale na nasze szczęście wnet się wynieśli z powodu obieszczyków granicznych którzy się w pobliżu ukazali. Owa grupa została wprzód przeprowadzona przez granicę na stronę pruską, następnie przyszła kolej na nas, więc nas leśniczy rozdzielił na trzy grupy i pierwszą trójkę t. j. ojczyma i dwie siostry przeprowadził po północy, mnie i troje mniejszych dopiero na drugi dzień rano. A matka i dwoje małych dzieci zostali na popołudnie, więc każdą grupę z mojej rodziny przepro-

wadzono w innem punkcie granicy i pozostawiono u innego gospodarza, jak przeprowadzono matkę z dwojga małemi dziećmi zostawiono po ruskiej stronie jedno dziecko, dopiero gdy się matka znajdowała z jednem dzieckiem na stronie pruskiej ów leśniczy dopiero powiada: Jeśli pani mi teraz da 10 rubli, to pani dziecko przez rzekę przeniosę, jeżeli nie to dziecko zatrzymam. Prócz tego był bagaż z rozmaitemi statkami podróżnemi więc matka na to się zgadza, ochfiaruje łajdakowi 10 rubli ażeby tylko dziecko i bagaż przeniósł, leśniczy każe parobkowi przez rzekę dziecko przenieść, a bagaż bierze na plecy i wraca z nim do siebie, ów rodak sto razy gorszy od Żyda, więc nareście wszyscy znajdowalim się na stronie pruskiej, ale się nie moglim w żaden sposób odnaleźć, bo każda grupka znachodziła się w innem miejscu, a pruscy strażnicy po swej stronie latali jak opętani i łapali owych ludzi i oddawali straży rosyjskiej. Wreszcie udało się nam do kupy zejść, pokryjomu się ukryć u pewnego gospodarza Polaka po pruskiej stronie, zamknięci w stodole przesiedzieliśmy do następnego wieczora, byli to dobrzy ludzie, nas dobrze traktowali, nie wiem jak nazywali się, nie miałem tej ciekawości się zapytać o ich nazwisko, siedząc do wieczora w stodole a na wieczór najęliśmy owego gospodarza co nas odwiózł do pierwszej stacji kolejowej, zdaje się że się nazywało owe miasteczko Kępno, dobrze nie pamiętam nazwy tego miasta.

Zaraz wsiedlim na pociąg, który był przepełniony emigrantami. Nazajutrz o 7-ej godzinie byliśmy w Berlinie, tam zesiedliśmy z pociągu, pozostaliśmy na stacji do 3-ciej godziny po południu, więc było troszkę czasu wyszedłem na ulicę obejrzeć owe stolicę szwabów, ale nie mogłem długo po ulicach bujać ażeby ten drugi pociąg mnie nie zostawił, piękne miasto ten ów Berlin. O 3-ciej godzinie po południu naładowano nas jak jakiej nierogacizny pełne wagoniska towarowe przez okien, duszno było jakby w jakiem hutnym piecu i tak nas zawieziono do Bremy. O godzinie 11-tej w nocy i tam nam kazano wysiejść. Na stacji roiło się od agentów hotelowych, każden z nich wychwalając i zapraszając do swego hotelu, rzeczywiście za pieniądze i to dość drogie, bo od naszej rodziny za cztery dni pobytu w pewnem hotelu za kawę raz dziennie i od łóżek wzięto 50 marek. Czwartego dnia wsiedliśmy na okręt, jeśli się nie mylę nazwa okrętu Nerc.

I tej samej nocy t. j. 5-go października, naładowany okręt emigrantami przeważnie Polakami i Rusinami, parę familji Litwinów i Niemców i Niemców z nad Wołgi, a wszyscy owi emigranci jechali do Brazylji przez paszportów więc byli uciekinierzy. Więc nareszcie okręt ruszył, z początku zdawało się że to będzie miła jazda, ale okręt wszedł na kanał Lamansie, dopiero wszyscy zaczęli odczuwać podróż okrętu, to wszystko rebekowało, całe stosy ludzi leżało pokotem po wszystkich częściach naznaczonych dla emigrantów 3-ciej klasy pokładu. Byli i tacy którzy przez cały przeciąg podróży okrętem tylko przeleżeli, a zresztą poszło nam dosyć dobrze nasza podróż morska przez większych wypadków, tylko coś dwoje dzieci w podróży umarło to ich wrzucono do wody.

Nasz okręt miał tylko dwa postoje w porcie belgijskiem i w Afryce w porcie Wigo do zaopatrzenia się w świeżą wodę węgiel i bydło na rzeź. 18-go dnia naszej morskiej podróży dobyliśmy do Portu Brazylji do Rio de Janeiro.

Piękny ów port i miasto stołeczne Brazylji i tam nas wyładowano na wyspie kwiatów, dopiero tu się zaczyna biadania i narzekania na całe otoczenie i wielka zaczyna trawić tęsknota za krajem ojczystym, istna wieża Babel, wszystkie języki świata się zgromadziły w jednym punkcie, byli tam Portugale, Hiszpanie, Niemcy, Polacy, Rosjanie, Litwini i nie wiem wiela innych narodów, ni się tu z kim zmówić nie rozumiejąc jeden drugiego, krzyk, hałas nie do opisania. Budynek emigracyjny był wielki ale był tak przepełniony emigrantami, że nie było miejsca ażeby można sobie odpocząć. Straszne gorąco trapiło nas wszystkich, owi agenci w Polsce namawiając ludzi do wyjazdu chociaż jedną prawdę powiedzieli że w Brazylji można spacerować pół nago. Kuchnia była wcale nieznośna, składająca się z wcale nieznanych potraw, kucharze lakierowani czarni, nie można się było z nimi rozmówić, brak wody do picia, wodociągi pozamykane, pragnienie trapiło nas nieznośnie, a to wszystko z powodu w owem czasie choroby malarji która grasowała w tej okolicy, więc zakazano wydawać nam wody. A jednak to było naszem szczęściem żem do Rio przyjechali 23-go października, to jest początek wiosny brazylijskiej, bo jakby latem na ten przykład w styczniu albo w lutem to byłoby o wiela gorzej.

Wielkim naszym szczęściem na emigracji w Rio, że nas na trzeci dzień wysłali w głąb kraju. W dzień przyjazdu naszego do Rio, zarząd emigracyjny robił zapytania emigrantów w jaką stronę Brazylji kto sobie życzy jechać. Ale że z Polakami nie mogli się rozmówić, więc wzięli pewnego Ruska za tłumacza, ażeby z polskiego na brazylijskie tłumaczył. Ów tłumacz robił zapytania kuda chocicie jechać. Jedni się zapisali do Rio Grande do Sul, drudzy do Parany, znów inni do S. Catariny, a jeszcze inni do S. Paulo, a myśmy się zapisali do S. Catariny, i t. d. Nareszcie nadszedł dzień naszego wyjazdu z Rio i to było naszem szczęściem bo w tych dwóch dniach już było parę zasłabień na ową chorobę. Władowano nas na okręt brazylijski.

Tu już nie tak nas traktowano jak na statku niemieckim, życie było obskurne, czarny groch i farinia mandiokowa i dynia gotowana razem i rozmaite inne przysmaki Brazylji, któreśmy wcale nie znali i też nam to nie smakowało, ale jednak obejście przez załogę okrętową było dosyć znośne. Czarni majtkowie chcieli się z nami ugadać ale nie moglim się wcale z nimi zmówić na rozmaite ich zapytania im odpowiadalim jak i co nam na myśl przyszło. A jednak z tego byli zadowoleni, bo aż nam białe zęby pokazywali i tak jechaliśmy owem statkiem brazylijskiem przez trzy dni i cztery noce przez żadnego przystanku do prowincjonalnego miasta portowego w owem czasie zwanego Destero, a dziś zwiącego się Florianopolis. Tu znów zsiedlim z owego statku, znów cztery dni postoju, ale że tutaj w owem Destero już zaczyna pachnieć niemczyzną to dlatego też nam było sładni w urzędzie emigracyjnym się rozmówić. Moja rodzina rozumiała język niemiecki, a więc we wszystkie strony nas angażowano za tłumaczów w języku niemieckiem. Z tego portu owa grupa emigrantów, która razem z nami z Rio przyjechała znów się rozdrobniła do rozmaitych punktów Stanu. Jedni do Blumenau Joinvile i w rozmaite inne strony a nas około 40 familji się zapisalim do Cresciuma. Tak po czterech dniach naszego pobytu w Destero ruszylim w dalszą drogę statkiem mniejszego typu do ostatniego portu tak zwanego Laguna. Tu podróż wzięła tylko 10 godzin czasu, na owem okręcie kapitan był Niemiec służba mięszana. Dość nam wesoło się podróżowało wreszcie dojechalim do ostatniego portu i wylądowalim. Teraz nas czeka podróż lądowa. W postoju naszem w porcie Laguna bar-

dzo z nami się dobrze obchodzono tak w Destero jak i tutaj. Przychodziły rozmaite bogate panie, przynosząc z sobą rozmaite ciastka cukierki i rozmaite inne smakosze, rozdając prezenta dzieciom a nawet starszym się też coś dostało. Z tem jest tylko bardzo źle, że Polacy z niższego stanu lubieją się w brudzie wcale o siebie nie dbają, czyli nie chcą dbać, brudne ubrania a nawet ręce i twarz co tutejszy naród brazylijski bardzo tego nie znosi. Przykład jest taki. Pewna dama obywatelka Brazylji przyszła do domu emigracyjnego z paru innemi damami obejrzeć tych nowych ludzi, pospacerowała się parę razy pomiędzy emigrantami i zapreponowała przez tłumacza Niemca, ażeby wszystkie matki dzieci poumywały czyściutko i poubierały to za to będzie im rozdawać prezenta, a które będą w brudzie nie dostaną nic. To jest wielka hańba dla nas Polaków u obcych ludzi, każdy powinien się ubrać chociaż w ubogie szmaty ale czysto! Powinien Zarząd Emigracyjny tam w Polsce upominać tych ludzi którzy wyjeżdżają zagranicę a szczególniej ze wsi, ażeby się ogarnęli choć ubogo, ale chędogo, to nam wszystkiem sprawią wielką przyjemność.

*

* *

Trzeciego dnia wsiedlim na kolej wyjeżdżając w głąb kraju, 45 kilometrów pociągiem i tu znów wysiedliśmy. I znów trzy dni postoju i tu się już pokazuje choroba u dzieci, dwoje zmarło, duża ilość chorych. Czwartego dnia wsiadamy na tutejsze powozy i czeka nas straszna podróż, niedaleka, bo zaledwie 35 kilometrów, ale bardzo uciążliwa. Owe powozy dwukołowe zaprzężone we woły bardzo prymitywnie, coś 15 owych wozów naładowanych niewiastami i dziećmi, duża ilość chorych. I tak wyruszylim w ową drogę, pełno wyboji rozmaitych dziur i błot. Dziennie zaledwie ujechalim 10 kilometrów i tak nam się wzięło owe 35 kilometrów trzy i pół dni podróży. Nareszcie dojechaliśmy do ostatniego miejsca gdzie mielim już pozostać do owego Cocal i tu wpakowano nas 40 familji do szałasu skleconego lada jak, dach z liści palmowych, przez ścian, łóżka zbudowane ze sękatych drągów przez żadnego barłogu, a w środku szałasu zamiast podłogi pełno pniów i kłoców drzewnych. Albowiem miejsce owego szałasu było w porębie leśnej, co nie zdołał strawić ogień to tak wszystko pozostawiono. Tu

dopiero emigranci musieli karcować piŋki, usuwać kloce z owego szałasu, ażeby nóg nie połamać. Na drugi dzień naszego przyjazdu t. j. 8-go listopada przyjechała komisja emigracyjna brazylijska z miasteczka Tubarao i zarządziła rozdać żywność emigrantom na osiem dni, co to była za żywność pożal się Boże, trochę mąki kukurydzianej i czarnego grochu, i potrosze suchego mięsa, ryżu i kawy i garść faryny mandiokowej, co ludzie nie umieli sobie urządzić z tego potrawy, wszystko to ludziom wcale nie smakowało, to wyrzucali do krzaków. A kto miał trochę grosza to sobie kupowali coś lepszego do spożycia. Po ośmiu dniach owa komisja rozdała narzędzia do budowania dróg w owem leśnem raju, i zaczęli budować drogi, bardzo tępo ta robota szła bo to w dziewiczem lesie okropne drzewa, rozmaite inne przeszkody trzeba było usuwać, a za ową pracę dziennie płacono po 1 $ 500, ale nie monetą tylko tak zwanemi wale t. j. kawałek papieru zwyczajnego i na niem cyfra i za te owe wale ludziska sobie kupowali w magazynie który rząd założył w tej miejscowości. A po za obrębem tej miejscowości za owe wale nic nie było można kupić bo ich nie przyjmowano. Choróbsko grasowało strasznie, dzieci powymierali prawie wszystkie, w naszej rodzinie zmarło czworo, były takie rodziny którem powymierali wszystkie dzieci. Teraz dopiero rozgrywały się straszne sceny, wszystko płakało i przeklinało, nawet nie wiedzieli na kogo mają rzucać owe przekleństwa. Nikt nie przyszedł nas pocieszyć, a może i byli tacy już z tutejszych dawniejszych osadników Włochów, ale ich nikt nie rozumiał, ani lekarstw żadnych, ani lekarza, nie było się gdzie udać o jaką poradę lekarską, z tej pustyni to było wszędzie daleko. Ani się z nikiem rozmówić bez tłumacza, ani z Włochami, ani z Brazyljanami, zaraz trzeba było dwóch tłumaczy, jeden musiał rozumieć polski i niemiecki, a drugi niemiecko-brazylijski, bo inaczej się nie rozmówił. Teraz proszę uwagi. Pewien emigrant chciał iść do włoski osady ażeby kupić mleka dla chorych dzieci i parę jaj i poprosił mnie ażebym z nim szedł za tłumacza, bo ja rozumiałem język niemiecki. Zaślim do pewnego Włocha, na nasze nieszczęście gospodarza nie było w domu była tylko gospodyni, zapytałem się jej po niemiecku, czy by nie zechciała nam sprzedać mleka, ale owa gospodyni nie rozumiała tego języka, nie wiedziała o co chodzi, ale że w tem samem momencie wyskoczyła z obórki koza, więc zaczelim jej wska-

zywać na ową kozę, że niby to mleko pochodzi od niej. A Włoszka myśląc że chcemy kupić ową kozę, więc uradowała się i pokazuje nam na palcach u ręki że owa koza kosztuje 10 $ 000, zrozumielim to i łapiem kozę za wymię i pokazujemy jej że my żądamy mleka. A dopiero Włoszka zrozumiała o co chodzi i sprzedała pół litra mleka. A teraz znów żądamy jaj, ja mówię jako tłumacz po niemiecku aier, Włoszka ślipie wywaliła i znów nas nie rozumie, mój towarzysz pochodzenia z Litwy znów przemawia do niej po rusku jeło, jajko, znów owa Włoszka nie rozumie. Na szczęście ujrzelim gromadę kur i pokazujem jej owe kury. Włoszka znów myśli że chcemy kupić kurę, więc woła psiaka i łapie ową kurę, my znów jej tłumaczym wier wolen aier, a mój towarzysz znów powiada ja chaczu jajku. Włoszka ślipie wywaliła i znów nie wie o co chodzi. Mój towarzysz wskazuje palcem w tył kurze i powiada jeło, jajko, dopiero Włoszka zrozumiała o co chodzi i serdecznie z tego wszystkiego się roześmiała. I nam dopiero tłumaczy kłysto syciama ejowo.

I tak nam szło z tem wszystkiem. A mój ojczym odrazu został nadzorcą przy turmie pracującej na drodze, dostawał za ową pracę jeszcze raz wyższą cenę. Za dwa miesiące czasu nakazano nam z owej cudnej rezydencji się wynosić, dlatego że nadchodziła druga partja emigrantów, składająca się z 50-ciu rodzin więc musielim się wynosić w głąb lasu dopiero co otworzone pikady przecięte fojsą. To jest krzywy nóż do ścinania krzaków. Nie mając żadnego przygotowania musielim dopiero po kawałku lasu wycinać, i plac obczyścić i na owych placach budować naprędce ransio lada jakie, aby się ubezpieczyć przed deszczem. Dużo ludzi pochodzących z Polski, nie mając żadnej praktyki ze ścięciem drzewa paru ludzi zostało zmiażdżone drzewem, kilkoro zostało z połamanemi nogami, niektórzy poprzecinali golenie ostrzem siekier. I tak tego kalestwa było kilkunastu, tak nam szło do czasu pięciu miesięcy, po pięciu miesiącach stanęła owa robota rządowa. Zostalim znów przez niczego, przez żadnych zasobów. I znów zaczelim odczuwać biedę. Wyjeżdżając z Polski zaledwie moglim opłacić podróż do portu niemieckiego, bo każdy musiał jechać na swój koszt, a dopiero od portu niemieckiego aż tu na miejsce na koszt rządu brazylijskiego. Tak więc bylim wszyscy biedni, nie mielim się czem ratować, flancunków żadnych jeszcze nie uprawiali, przyślim

już wśród lata więc nie mielim żadnego sposobu do dalszego życia. Jedni latali po chweście w dalekie strony, drudzy chodzili do obcych ludzi prosząc o jaką pracę, choćby za garść kukurydzianej mąki albo fiżonu, ale i to nie moglim dostać, bo owi osadnicy Włosi też tu niedawno byli osiedleni, to też i pracy nie mieli. I tak zażywałem owego raju, o którem nam agenci w Polsce prawili. Teraz by smakowała i kukurydziana mąka i to wszystko cośmy powyrzucali do krzaków w pierwszych dniach naszego przybycia ale i tego nie było. Biedne ludziska ścinali w lesie palmę i wycinali serca owej palmy i to gotowali i krasili garścią kukurydzianej mąki i to wszystko dobrze smakowało. I pomału trzebili las i szykowali sobie pola potrosze na przyszłą wiosnę do flancowania i tak szło nam w pierwszym roku naszego przybycia tu do Brazylji.

Na drugi rok kto to wszystko przetrzymał już sobie troszkę flancował, ale znów nie praktycznie owe flancunki flancowali nie umiejąc uprawiać tych rozmaitych tutejszych flancunków, albo za gęsto je flancowali, albo w nie odpowiednim czasie. Ziemia w dziewiczem lesie bardzo świeża i zakorzyniona miljonami korzeni, nie oddała odpowiednich flancunków, ale potrosze jednak wszystkiego dała, to już troszkę było lepiej bo już nie było tak wielkiego głodu. I tak pomalu ludzie się zaczęli uczyć pracować i praktyki nabierać z tutejszymi objektami. W trzecim roku już znów było lepiej dostając od rządu działki ziemi po 30 hektarów na długie lata na spłatę. Więc cieszyli się z tego że choć dużo biedy ucierpieli i jeszcze cierpią ale są na własnem kawałku ziemi i są samodzielnymi gospodarzami i tak co raz dalej to i lepiej się zagospodarowali. Zaczęli nabywać niektórzy jakąś krowę i jakiegoś świniaka i co raz dalej i co raz lepiej. A owe działki które rząd rozdał to dał warunki z wypłatą bardzo dogodne, dopiero po pięciu latach mieli emigranci zacząć wypłacać w całkości, cena działek miała kosztować 250 $ 000 z góry, a na cztery raty po 100 $ 000, i to znów w dalszych pięciu latach. Więc wszystkim ludziskom się polepszyło znacznie pod każdem względem, już zaczęli zapominać o tej przeszłej nędzy i zaczęli sobie troszkę popuszczać, gorzałeczkę używać we wielkiej mierze, bo owa gorzałeczka była niedroga i tak mój ojczym jeszcze bardziej się rozpił. A ja w trzeciem roku mojego pobytu w Brazylji, poszłem na służbę do jednego adwokata zamieszkałego w Laguna, służyłem u niego przez dwa lata dosta-

jąc miesięcznie za ową służbę 15 $ 000. Więc tam dopiero zacząłem żyć jak ludzie żyją, miałem tam bardzo dobrze, praca bardzo lekka trochę mnie uczyli po brazylijsku czytać i pisać, byli to ludzie bardzo dobrzy, znali dokładnie historję Polski, więc bardzo jem żal było że naród polski jest tak bardzo prześladowany przez zaborców i zawsze mnie mówili że Polska nazad stanie się niepodległą bo ma dużą liczbę dobrych patryjotów, i tak niejednokrotnie mnie o tem wspominali. Zarabiając na owej służbie, nie straciłem z tego ani jednego wyntyna, ubrania mnie dali w prezencie i to sporo więc pieniądze odsyłałem matce, ażeby za to kupili krowę i konia do pracy. I tak w tym czasie ojczym zaczął chorować z nadmiaru używania alkoholu, chorował przez rok czasu i umarł przedwcześnie, bo nie dosięgnął jeszcze lat 50-ciu. Więc zostawił sporo długu bo aż 500 $ 000 więc musiałem powrócić do domu z owej służby i pomagać matce w gospodarstwie bo rodziństwo było jeszcze zbyt małe. Znów na nieszczęście był rok posuchy i znów się nie urodziło, nie było z czego wyntyna zrobić, a tu dług trzeba było odpłacać. Musiałem iść na roboty daleko, jako jeszcze małoletni, śmiali się inni ludzie ze mnie że jeszcze nic nie zdołam zarobić przy tak ciężkiej pracy na drodze a jednak dość pokaźną sumę pieniędzy zarobiłem, pracowałem na owej robocie przez dwa lata, zarobiłem tyle że się dało zapłacić długi i jeszcze trochę pozostało gotówki. Rok po śmierci ojczyma matka moja ożeniła się poraz trzeci z jednym kolonistą z okolic Orleansu 50 kilometrów oddalonego od Cocalu czyli Cresciuma na północ. Więc moja matka sprzedała czego się nie dało zabrać, ową działkę ziemi która nie była jeszcze do gubernji wypłacona i się wyprowadziła z tej okolicy. Więc zaczęła mnie też namawiać żebym z nią poszedł, więc tak uczyniłem.

W okolicy Orleans ziemia była imprezy kolonizacyjnej z Rio de Janeiro, która na swoją rękę kolonizowała ową okolicę, przyszło tu Polaków emigrantów z Polski na 400 rodzin. Owa impreza dawała jem zapomogę przez dwa lata, życie, wszystkie narzędzia rolnicze, nie było to wielkie co owe narzędzia rolnicze, bo to była piła do desek i poprzycznia, siekiery fojsy i grace. A za ziemię którą rozdawała kolonistom na bardzo długą spłatę i tak owi ludzie przez dwa lata czasu jedli, pili, robić jem się nie chciało, bo impreza jem wszystkiego dostarczyła, bo owi koloniści mówili pomiędzy sobą że zato

wszystko które dostają z imprezy to jest darmo, ale jednak było inaczej, po dwóch latach impreza zaprzestała rozdawać żywność bo już było dosyć. Każdy winien już był pokaźną sumę od tysiąca do dwóch, to podług rodziny jak kto wiela brał. Derektorem owej kolonji został Polak, zaczął ludziom tłumaczyć mówiąc tak: Panowie weźcie się do pracy, bo to wszystko któreście dostali od imprezy, to musicie nazad zapłacić i to z procentamy. A niektórzy z kolonistów na to odpowiedzieli, że to nie jest prawda bo to wszystko darmo, a jednak prawda była. Bo przyjechał z Rio szef owej imprezy i kazał wszystkich zwołać do gromady i jem tak powiedział: Panowie teraz musicie podpisywać kontrakty na ziemię którą chcecie kupić i też podpisać ów dług któryście narobili w imprezie. Wtedy się zrobił dopiero rwetes, zaczęli wygadywać rozmaicie na imprezę, że to ich tak haniebnie oszukała. I to wszystko się zbuntowało i prawie wszyscy powychodzili, zostało zaledwie parę rodzin, którzy podpisali kontrakta. A ta większa część wzięła manatki na plecy rozleciała się po wszystkich częściach Brazylji.

I tak dorosłem do lat. W 22-gim roku się ożeniłem z tutejszą rodaczką, a już z pochodzenia polskiego i zaczęliśmy gospodarkę na własną rękę. Było to trochę ciężko, bo zasobów żadnych nie było trzeba było zakontraktować ziemię po 200 $ 000 rocznie, wówczas płody rolne nie miały zbytu, płacili wszystko bardzo tanio, więc było ciężko owe 200 $ 000 na kontrakt uszykować. Ale trza było wypełniać kontrakt, bo by utracił prawo do ziemi. Więc trza było iść na robotę i zarabiać gdzie i jak się dało. I tak pomalutku z roku na rok dobrobyt wzrastał, ale trzeba było bardzo ciężko pracować, bo tutejsza praca w Brazylji się różni od pracy tam w Polsce na roli, bo tutaj trza wszystko sobą swojemy rękamy pracować, lasy ścinać wypalać ogniem i dopiero się na owem wypalenisku, ręczną gracą flancować, bo za pługiem to jeszcze mało kto ziemię uprawia. Zapłaciłem w roku 1914 za 100 hektarów dziewiczego lasu 4 : 500 $ 000 to więc było tanio, a dzisiaj taka ilość ziemi w tej okolicy kosztuje od 25:000 $ 000 do 30:000 $ 000. W roku 1928 kupiłem drugie 100 hektarów to już kosztowało 22:000 $ 000. W roku 1930 pobudowałem piękny domek murowany, składający się z pięciu pokojów i obszerną kuchnię też murowaną. Co to razem kosztuje 15:000 $ 000. Bydła 15 sztuk, dwie pary wołów, cztery konie, sto świń i rozmaitego ptactwa domowego jest wielka ilość.

Dzieci mam dziesięcioro, pięć synów i pięć córek, dwoje synów żonatych co im się powodzi dobrze i dwie córki zamężne. A reszta wszyscy są w domu razem. I w ogóle wszystkiem razem się powodzi dobrze. Już biedy nie cierpiem, mamy co jeść i w co się ubrać. W tej okolicy w której ja zamieszkuję mieszka 100 rodzin polskich, czyli pochodzenia polskiego, bo zaledwie paru żyje którzy przyśli z Polski. Moja matka dożyła do 82 lat, dwa lata temu jak umarła. Kościół mamy piękny, murowany także i szkołę murowaną dość obszerną. Nazwa Towarzystwa Marszałka Józefa Piłsudskiego. Mamy nauczyciela rodaka, który uczy dzieci w dwóch językach, język polski i brazylijski. Do szkoły uczęszcza 100 dzieci. Należymy do Związku Centralnego w Kurytybie. Jesteśmy tutaj wszyscy Polacy wyznania rzymsko katolickiego. Księdza polskiego nie mamy, dojeżdżają księża innej narodowości. I chcieli by też owi księża nas wynarodowić co już się daje to zauważyć pomiędzy tutejszą młodzieżą, która przeważnie między sobą mówi brazylijskiem językiem. A to wielka szkoda, bo z czasem czwarte pokolenie to się już wynarodowią, jak nie będzie jakiejś innej rady, tu nas nikt nie odwiedzi ani z Polski i też z tutejszych urzędników konsularnych z Kurytyby. Jedyny raz w roku 1929 odwiedził nas minister pełnomocny przy rządzie brazylijskim pan Tadeusz Grabowski. A w 1930 roku ksiądz z Polski, a wreszcie nikt więcej. To też ta młodzież która się tu urodziła nie jest zachęcona przez nikogo, ażeby pielęgnować język swojego pochodzenia. Zwracalim się parę razy do Związku Polaków w Kurytybie o nauczyciela w polskiem języku, w przeciągu dwóch lat to się ledwo doczekalim. Nareszcie przysłali nam takiego, który obecnie w szkole naszej pracuje, ale ze względu na pensję którą pobiera mu się widzi za mała, dostaje 230 $ miesięcznie, 100 $ z naszego towarzystwa a 130 $ z kamry municypalnej z Orleansu. Chce szkołę naszą opuścić podług mały pensji. A rząd brazylijski jest bardzo dla nas dobry, mamy dużo swobody możem się urządzać, jak nam jest najlepiej, nie prześladuje nas w niczem, jesteśmy wszyscy równi pod prawem, tak cudzoziemiec jak i tutejszy obywatel mają równe prawa. Ja jako rodak z Polski jestem obywatelem z Brazylji, co mnie o to rząd tutejszy parę razy prosił, ażeby się kwalifikować, co mi to bardzo wszystko ułatwili, jezdem urzędnikiem już od 20 lat inspektorem Distriktu. A w roku 1930 byłem wybrany

kamażystą to jest radcą municypalnym, wielką ilością głosów więcej od Niemca, ale że w tym samym roku wybuchła zawierucha i to wszystko zostało przeinaczone, więc dostałem nazad zarząd inspektora i jestem niem do dzisiaj. Mam dużo przyjaciół wśród Brazyljan tak w urzędzie, jak i u kupiectwa tak ja jak i w ogóle wszyscy rodacy którzy tu zamieszkują. Jeszcze nieco o naszej kolonji. Albowiem nasza kolonja leży od portu Laguna na zachód 600 metrów nad poziom morza, od portu morskiego Laguna do municipium Orleans do Sul jest droga kolejowa, a nasze osiedlenie leży od Orleansu na północ 15 km. w prostej linji. Tak zwane Braço Esquerdo, połączone drogą kołową na owem Braço Esquerdo znajduje się centrum nasze albowiem tu się zgromadzamy, bo tu wybudowalim kościół i szkołę. Sąsiadów naszych mamy na południe Włochów, a na północ i wschód mamy Niemców, a na zachód mamy Brazyljan. Najlepiej się mają finansowo Włosi i Niemcy dlatego że oni się tu wprzód osiedlili i mieli wielką pomoc ze swoich krajów. Rząd niemiecki bardzo dbał i dba o swoich ziomków, dopomagał jem we wszystkiem. A szczególnie dbał o szkoły, wszędzie pozakładano szkoły, początkowe i wyższe i zasilał ich finansowo przysyłając im dobrych nauczycieli, także i księży. A więc z tego niemczyzna tutejsza miała wielkie korzyści, tak samo się działo i z Włochami. A my Polacy opuszczeni przez wszystkich, i wszystko zdani na łaskę losu, musielim się sami borykać ze wszystkim, biedni w ogóle w początkach, to też wielka ciemnota nad namy zapanowała. Niemiec jest każden dobrem patrjotą swej ojczyzny, albowiem on jest do tego przygotowany, a u nas co? wniś w rozmowę z Polakiem w tutejszych lasach urodzonem, opowiadać mu o Polsce wielkiej i potężnej, a on na to wszystko jest obojętny odpowiada tak: Cóż mi tam Polska nie mam z niej żadnej korzyści, nie znam jej, moje ojcowie o ni dużo mówili a to co mówili to tylko o biedzie i nędzy.

Takie i podobne rzeczy można słyszeć od tych mądrali. A to wszystko z przyczyny analfabetyzmu, ciemno wychowany człowiek nie może mieć jasno w głowie. A może niektórzy z panów powiedzą że się to wszystko dzieje tu u nas. Przepraszam, dzieje się to we wszystkich stronach, i po wszystkich wysepkach, gdzie nasi rodacy zamieszkują w tutejszych stronach. Nie mówiąc już o Kurytybie i jej okolicznych osiedli polskich tam oni mają lepszą opie-

kę tak z Polski, jak i z Centralnego Związku Polaków, bo kto się trafi z Polski jaki uczony człowiek, albo z urzędu polskiego, wszyscy ci mają pierwszy wstęp do Kurytyby, i tam oglądają jakie takie rezultaty, a po dalekich interjorach tego wszystkiego nie ma. A więc w ten sposób ta młodzież urodzona tutejsza, na niekorzyść Polski dziczeje można gadać nie jednemu, żeby czytał gazetę polską albo książkę, albo dzieci do szkoły posyłał to on na to odpowie: Cóż mi z tego mój ojciec do szkoły nie chodził, czytać nie umiał i ja tak samo nie umiem i żyję to i moje dzieci bez szkoły żyć będą. A przecież wół do szkoły nie chodził i też żyje. Z temy ludźmy można co dzień mieć takie dyskusje. Jestem prezesem naszego towarzystwa już parę lat, już trzy razy byłem wybierany, to znam dokładnie to wszystko, ale już mnie to wszystko zniechęciło, więc w krótkiem czasie składam ów zarząd.

A teraz objaśniam jakie rezultaty mogą mieć emigranci polscy tu w Brazylji. Tu w Brazylji mają tylko dobre widoki emigranci rolnicy, albowiem tu w Brazylji jeszcze jest okropne pustynie wolnej ziemi która jeszcze nie jest zamieszkała przez ludzi. A więc rolnik przychodząc tu do Brazylji, może z góry liczyć na jakie takie powodzenie. Ale tylko w południowych Stanach co klimat nadaje się dla Polaków. Dobrzeby było wyjeżdżającego emigranta rolnika tam z Polski do Brazylji, zaraz z góry objaśnić, że tu w Brazylji ziemi jest moc wielka, więc w jaki bądź sposób ziemi można nabyć ale że przyjeżdżając ów emigrant tu do Brazylji nie czekają go tu całe góry złota, jak to nam przed laty agenci opowiadali. Tu go czeka ciężka praca w początkach jego przybycia. Ale mając chęć do pracy to wszystko zwycięży, z początku będzie narzekał i nawet przeklinał niejednokrotnie na wszystko, na kraj, na owe gorąco w tem kraju, który nie będzie zwyczajny owego gorąca, ale po mału będzie się przyzwyczajał, a za parę lat nawet będzie chwalił Brazylję, mówiąc o tych ludziach biednych tam w Polsce, bo bogaczowi to jest i w Polsce dobrze, ale dla biednych którzy tam w Polsce biedę cierpią, to tu w Brazylji o całe niebo lepiej. Tylko trza mieć dobrą chęć do pracy, a osiągnie to czego się oczekiwał, bo i tu w Brazylji próżniaki cierpią biedę i to jest wszędzie na całem świecie przez pracy niema kołaczy, wszędzie trza pracować i to bardzo pilnie żeby co mieć. Prawda że przyjeżdżając z Polski tu do Brazylji trawi człowieka wielka tęsknota

za ojczyzną, ale cóż robić, jak człowiek chce sobie byt poprawić, to już musi się na to poświęcić. A co do robotników przemysłowych to tu w Brazylji dotychczas niema wielkich widoków, bo tu w Brazylji przemysł jest bardzo słabo rozwinięty, większe widoki ma kupiectwo, kto ma do tego przysposobienie i jaki taki kapitał to może liczyć na powodzenie. A teraz nieco o naszych flancówkach i hodowli. Tu uprawiamy przeważnie kukurydzę, czarny groch, ryż, mandziokę, słodkie batata i kartofle, ale nie na wywóz, trzcinę cukrową, pszenica się rodzi, ale dużo razy zawiedzie z powodu klimatu, żyto także, to też mało tego uprawiamy, ziemne orzeszki, a największy dochód dają tuczone świnie, się wypasa i sprzedaje żywcem, latoś cena świń jest dobra, za kilogram płacą po 1 $ 500. Z drzew owocowych to się najwięcej uprawia pomarańczy, wiela odmian, banany, śliwy wszelkiego gatunku, brzoskwinie, jabłka, grusze i winogruno. Powyższy owoc, po większej części się zużywa. Fabryk cukru i gorzelni bardzo prymitywnych jest duża ilość. Nareście kończę ten opis, nie bardzo dokładny, bo był sporządzony w ostatnich dniach i to w nocy, bo ów cerkularz dostałem 12 października, a więc nie było czasu opracować dokładnie. I też nie mam do tego odpowiedniego talentu, jeżeli Szanowni Panowie Instytutu nie rozumieją czego z powyższej bazgraniny, to proszę tu do mnie napisać to z chęcią o ile możliwości panom wyjaśnię. W wolnym czasie możnaby pisać całe tomy tych naszych dzieji. Więc kreślę się z poważaniem z wielkiem szacunkiem.

Ośmielamy się prosić Szanownych Panów z Instytutu o jedną łaskę jak powyżej opisałem o wydzierżawieniu naszej ziemi tam w Polsce. Więc owa ziemia tak pozostała do dzisiaj. Żadnej wiadomości stamtąd nie mam, nie wiem kto ową ziemią zawiaduje. Ponieważ tam pozostała w Polsce moja siostra zamężna z Tomaszem Folga, imię mojej siostry Marjanna, a ów czas naszego wyjazdu tam z Polski, moja siostra i szwagier mieszkali w mieście Pabianicach. Mój szwagier był robotnikiem fabrycznym. W pierwszych latach naszego przybycia tu do Brazylji, nie umiałem czytać ani pisać, więc nie pisałem do nich, a mój ojczym to zaniedbał, więc zacząłem pisać parę listów, ale nie wiem czy zapomniałem adres, bo żadnej odpowiedzi od nich nie odebrałem. Więc nie wiem czy oni jeszcze żyją, to może żyją ich dzieci, chciałbym się

z niemy skumunikować, ale nie znam ich adresu. Możeby Szanowni Panowie mi podali adres jakiego pisma wydawniczego z Pabianic, albo o ile możności jaką gazetę wydawaną z tej okolicy zato bym był panom bardzo wdzięczny.

Dn. 13 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 21

Rolnik w Santa Catharina, syn rolnika z Krakowskiego, ur. w 1854 r.

Urodzony jestem w Galicji we wsi Jadowniki Mokre, Parafija Wietrzychowska, Powiat Dąbrowski, w roku 1854, 24 października. Od tej pory od której pamiętam, opis robie nic nie ujmuję i nie przykładam, doszedem do siedmiu lat ojciec zaprowadził mnie do szkoły a zaraz przy mnie prosił nauczyciela by moi skóry nie żałował, no ale jakoś z nauczycielem poszło nieźle bom miał pamięć dobrą nie trza było rózgów na skórę kłaść. Jak wiadomo wtenczas jeszcze nie było szkół rządowych, wieś sobie zgodziła nauczyciela. Uczył od świętego Michała do świętego Wojciecha, a potem latem jeden za bydłem, drugi za gęsiami, trzeci do roboty, jeżeli poradził. Co się tyczy mnie tom się uczył dobrze, bo kiedy ksiądz przyjechał na egzamin tom zawsze dostał jakiś prezent, tak doszło żem skończył czwartą zimę. Przyjechał ksiądz bo był derektorem do wszystkich szkół, zdałem egzamin bez zająknięcia, wtenczas ksiądz posłał swojego furmana po ojca, jak ojciec przyszedł tak ksiądz mówi do mego ojca — wiecie Marcinie że wasz Janek nie potrzebuje chodzić więcej do tej szkoły, bo on umie tyle co jego nauczyciel, trza go oddać do wyższej szkoły. Mój ojciec odpowiedział że nie może tego zrobić bo ma famieliją dosyć dużą a gront mały, jego nie wyuczę a tych drugich zmarnuję i tak moja szkoła się skończyła, dopiero na drugą zimę naszło dzieci dużo, ksiądz przyjechał do szkoły i widział, że jeden nie da rady, zawołał mego ojca czyby ojciec nie dał mnie do pomocy. Więc w takiem razie zostałem pomocnikiem na-

uczyciela. Ja uczyłem drugich i siebie, bo bez te trzy lata bardzo dużo się douczyłem, ale że mój ojciec chciał tamte troszka sprzedać, a kupić więcej i tyż tak zrobił. Ojciec sprzedał nie pamiętam za wiele, więc dowiedzieli się że w powiecie Tomaszowskim, Guberni Lubelskiej pan Kaszewski sprzedaje swoje dobra po 50 rubli morgę, tam my z ojcem pojechali, tam ojciec kupił 17 morgów. Przyjechaliśmy na Podlasie w roku 70 do wsi Telatyna gmina ma to samo nazwisko. Zaczęniśmy gospodarować ale gospodarka sła licho, bo trza było kupić zboże na nasienie i do życia, tyle jeszcze było szczęścia że tamtejsi panowie dali po odrobek ziemniaków na sadzenie i zboża do siewu, a dla koni i dla siebie trza było zarobić i kupić, aż do swojego chleba. Najgorsza rzecz była bez krowy i mleka, bo dopiero za 13 miesięcy ojciec kupił krowę, to tylko tyle szczęścia że słonina była tania, font kosztował złoty ruski, nie polski, gospodarka szła niezgorzy dopóki Matka żyła, a jak Matka umarła, ojciec ożenił się prawda z wdową ale młodą, ale ta Macocha jeszcze była nienajgorsza, chociaż ojciec jak chciał które z nas ukarać, bo był prędki w złości, to ta macocha prosiła ojca żeby dał spokój, bo ludzie powiedzą że ja was buntuję. Za tej pierwszej macochy ja się ożenił z dziewczyną we fabryce cukrowy w Poturzynie pana Wojciechowskiego, była to wychowanica u Andrzeja Widłaka który zastępował miejsce mechanika, byłby może dawno został mechanikiem ale nie umiał czytać ani pisać, a ja dostałem robotę w warstacie, ale dla mnie to nie służyło, byłem nauczony i wychowany na świeżem powietrzu, a ta duszność w fabryce to mnie tak wybieliła, jak najbielsze, do jedzenia żadnego apetytu nie miałem, może bym sie był przyzwyczaił, ale zaszła inna rzecz, pokłóciliśmy się z mechanikiem z tem starem świabiem, odeszedem od roboty, zjadem śniadanie ubrałem się i poszedem na koloniją do ojca. Szedłem bocną ścieżką koło traktu, niedaleko uszedłem a tu za mną bryczka turkocze, jechał na bryczce stary Brandt nakazał furmanowi stanąć, zabrał mnie ze sobą pojechaliśmy na jego folwark bo od niego do ojca było blisko. A tymczasem w naszej rozmowie przysło do tego, jeżelibym chciał zostać u niego za leśniczego w Niedarzewie bo tam chłopi nocami bór wykradają. Więc zawarlimy kontrakt na rok czasu. Pensyja moja 80 rubli, 24 korce zboża, 20 czystego 4 korce pośladu, pół morgi ogrodu i wszystkie zajemki mo-

je, a jeżeli złapię kogo ze siekirą w boru to na pół z dworem, więc zgodziłem się na to, dwie krowy na oborze cztery świniaki wolno było trzymać. Miałem być do świętego Jana na folwarku w Telatynie a od św. Jana przeprowadzić się do Niedarzowa, tymczasem zmienił bo widział że tu idzie gospodarka jak się należy, konie się popoprawiały bom ja dopilnował, tak z obrokiem jak z pojeniem, jak przyjechał na świętego Jana, zobaczył jak gospodarka idzie, tak mnie zawołał i mówi zostaniesz tutaj i masz jeszcze do pensyj bryczkę pare koni, możes niemi pojechać czy do kościoła czy do miasta, lub na spaczer, co się tyczy na dyspuzycyją do starego do Tomaszowa było 32 wiorst, co druga sobota trza było jechać. Ale ja byłem młody nie ospały tom dojrzał wszystkiego. Stary był kontent, parobki tyż, przyszły żniwa trza było zacząć zbierać z pola, a tu niewiadomo gdzie stary się obraca, napisałem list posłałem posłańca, ona odpisała że nie wie gdzie się obraca, posłałem drugi list ta sama odpowiedź, zabrałem się do żniwa, miałem trocha pieniędzy swoich, to którzy byli biedniejsi tom jem płacił, a ci co nie byli tak potrzeboscy to pisał w książkę, a starego jak niema tak niema, zebrałem żyto, pszenicę, jęczmień, owies, kazałem skosić związać w półkopki złożyć, o niem żadny wiadomości niema. Zaprzągłem konie do bryczki pojechałem do Poturzyna do cukrowni tam pożyczyłem 400 rubli na wypłatę robotnikom, a mój stary gospodarz zjawił się jak my kończyli reśtę owsa zwozić, nadjechał wyskoczył z bryczki do mojego mieszkania i pyta się mojej żony gdzie ja jestem, bo to było w wieczór, tylko że księżyc był na pełni a moja żona mu odpowiada, że ja teraz po nocach nie sipiam. Przyszedł do gumna, a my akurat reśtę owsa przywieźli, kazałem konie wyłożyć, wozy zostawić na boiskach bo już było koło dziesiątej godziny, napoili konie, obroki zasypali, pośli spać. Nazajutrz powstali oczyścili konie nakarmili napoili, owies z wozów pozrucali, potem stary przyszedł, no moi chłopcy macie trzy dni bez roboty a zato żeście się dobrze słuchali, dostaniecie po sześć ćwierci zboża w prezencie, a bez te trzy dni postawie okowity. Teraz kazał mi konia osiodłać, dać znać na koloniją żeby się ludzie ześli po wypłatę, później powiedział że jem wyprawi obżyn ale dopiero za dwa tygodnie i tak zrobił, sprowadził piwa wódki, kazał napiec chleba, muzykanci byli na kolonji. Żeby nie był wypuścił w dzierżawę

od nowego roku jednemu żydkowi, który dzierżawił wieś Mokre niedaleko za Zamościem z tamtej strony jak droga idzie do Szczebrzeszyna. Od nowego roku sprowadził się do Telatyna ten nasz dzierżawca nazywał się Naftula, pochodził od Leżańska z Galicji, taka pijacyna że nie był nigdy trzeźwy, wyprzedał owies siano, a koniom kazał dawać jęczmienną słomę do wody, a pszeniczną na noc, tak je wypas że już nie mogły chodzić, na wiosnę zaczął po pół garca owsa dawać to już nic nie znaczyło, ale do obsiewu najął od kolonistów kilka pługów i dało zasiać wieśniane, zostały tylko do wsadzenia kartofle, przychodzi do mnie, mówi mi żebym osiodłał konia, jechał na koloniją za celadzią do sadzenia. Ja sie pytam ile celadzi trza będzie, no ja myślę trzy pługi, to 20 celadzi potrzebne, poszedem piechotą, nazajutrz ludzie przyśli, wywieźli kartofle potem zaprzęgli konie do pługów, może było wpół do dziesiątej konie ustały ani bat ani wołanie nie pomogło, Naftula sobie podpił okowity, przyszedł na pole, konie stoją ludzie siedzą, ja tyż stoję palę sobie papierosa, nu Matusz, Józef, Kazik z batem niech chodzą, ale ani bat nic nie mógł pomóc. Uczepił się do mnie czoś ty za gospodarz kiej konie nie chcą chodzić i do mnie z laską, a ja miałem porzanną laskie z dzikiej jabłoni ze sękami, chciał mnie uderzyć, a ja mu powiedziałem, cóż ty myślisz parchu że ja swoją ordynaryję dam twojem koniom, wtenczas my się pobili z Naftulą. W takim razie zabrałem się do mieszkania swojego, moja żona mówi co ja zrobiłem, nic nie zrobiłem, ale nie póndę wcale na żadne zawołanie, bo stary wypłacił mi wszystko co mnie się należało, a ja tylko miałem dobyć do 1 Maja, a dali to dopiero z nowem dzierżawcą mieliśmy zrobić ugodę, ale ktoby tam u takiego parcha służył, zaszedłem do mieszkania, niedługo żona pojrzała oknem powiada stary jedzie, przyjechał stanął koło moich drzwi, zlaz z brycki, wszedł do mieszkania, zadziwił się myślał że ja chory że jestem w domu. Moja żona nastawiła samowar, wypiliśmy herbaty, opowiedziałem wszystko od początku do ostatka, że jeden kopiec kartofli zabrał ani się mnie nie pytał, choć wiedział że ja mam dozór nad kopcami, bo dwa kopce 50 korcy były starego. Ubierz się pojedziemy do sądu, Naftula poczuł że źle z nim będzie, my wyjechali do traktu, a oni przez pole zabiegli nam, jak wzieni prosić tak nawróciliśmy nazad, dopiero powiedział stary że nie ma do mnie żad-

nego prawa, bo on mnie godził, on mnie uwolnia z obowiązku a moja krowa całe lato ma chodzić z jego bydłem. Zabrałem się poszedłem do ojca po konie, poprzewoziłem wszystko, zamieszkałem razem. Nasz było dwoje, u ojca było pięcioro, dom był duży, było się gdzie rozpościerać. Stało sie nieszczęście. Macocha przy małem pomarła. A niedługo jak ludzie wzieni ojca do żeniaczki znowu znaleźli wdowę młodą, bo była młodsza odemnie i zrobili wesele, miało być ciche bez muzyki, ale było ciche dopóki nie przyjechali z kościoła, muzykę sprowadzili, hulaj burek bo dobra idzie, ojciec sobie podpił, przyszedł do mnie powiada dlaczego ja macosze nie chcę mówić matko, ja bo ona młodsza odemnie toby był grzech, a ojciec wtenczas odkręcił ręki, buch mnie raz a ja mówię to mało, ojciec buch mnie drugi raz, a moja siostra która była żonata z Pawłem Sucheńskim przychodzi i mówi, to macocha nabuntowała na ciebie, wtenczas ja wziąłem ojca za ręce podziękowałem, wtenczas jak do macochy doleciałem, dali ją czepić z wierzchu, a ona w płac, powiada że ona nigdy jeszcze nie dostała, a ja powiedziałem bo nie miała takiego wielkiego syna. Wygnałem wszystko z chałupy, ale na drugi dzień ja też musiałem się wyprowadzić, mówiłem ojcu żeby mi oddał moje 400 rubli. Ojciec powiedział że mnie nie winien nic. Przeprowadziłem się do Andrzeja Biegca, miał dom murowany na dwie strony, tam zgodziłem mieszkanie za 14 rubli na rok dla mnie dla krowy, teraz musiałem kupić wszystko dla nas dla krowy a pieniędzy nie miałem, bo ostatnie 75 rubli pożyczyłem ojcu na kobyłę. Miałem pieniądze wypożyczone, ale terminu daleko, nie można się upominać, co się tyczy spania nie było, bo myśli różne do głowy przychodziły, zreštą zabrałem się do swego fachu, zebrałem swoje pęcherze do worka, poszedłem borem zagranicę bez pieniędzy, nabrałem okowity, dopiero dalej szukać pieniędzy ale nie znalazłem bo ich tam nie było, musiałem robić cygaństwo, ale żyd był znajomy, ja mówiłem że albo zgubiłem albo w domu zostawiłem, to nic jak Jan przyńdzie drugi raz to zapłaci, zabrałem się w drogę, szczęśliwie przyszedłem do domu, a wiedziałem że jeden rusin ma wyprawiać pominki zaniuzem do niego, chłop był kontent, zapłacił podziękował, miałem już zapłacić za tamtą i na drugą. Jakiem się zabrał do swojego fachu, tom w sześć miesięcy zarobił tyle, żem się wychował. Potrafiłem kupić 2½ ziemię z obsie-

wem za 300 rubli później wziąłem w dzierżawę od jednego kolonisty trzy morgi gruntu z budynkami. Opłacałem wszystkie podatki, a jemu płaciłem 18 rubli na rok. Szło mi bardzo dobrze już miałem pare koni dobrych, chomenta z mosiężnemi okleszczynami, dwie krowy, a co się tyczy gotówki nie brakowało. Ale jak komu dobrze, to jeszcze lepiej szuka, zły duch bo nie kto inny żebym wziął prepinacyją, tam utopiłem wóz konie, tylko została jedna krowa, te długi co były w książce to by można było odebrać, ale car żeby z piekła nie wyńrzał dał ustawę że w takiem szynku nie można więcej dać jak na dwa złote groszy 20. Dało mi taką złość że książkę z długami spaliłem w piecu przeprowadziłem się nazad na swoją dzierżawę żebym był nie miał zatargu z ruskiem popem, tobym może do dziś dnia był w Polsce. To było tak, niejakowy Paweł Klima pożyczył pieniędzy od popa, nie rozumiał ruskiego języka, pop posłał do rejenta swojego dziaka, a u rejenta co miało być zrobione akt pożyczki to było zrobione akt kupna, to było złodziejstwo, ale Polak nie ma głosu w ruskiem sądzie, więc Paweł Klima wydzierżawił sześć morgów od tego samego co ja od Jana Gardziela zaczął się z popem procesować, pop chciał się go pozbyć, kupił ten gront cały, to co ja dzierżawił, a ja nie miałem zrobione rejentalnie, przyjechał z parobkami zabierać mieszankę co była w kopach a ja wyszedłem pytam się go jakie ma prawo zabierać kiedy ja opłaciłem podatki, dzierżawę, on mi powiada jeto moje potomu czto ja kupił, grabie miał w rękach ja też za grabie a dalej popa po łbie temi grabiami, ale grabie były za słabe na ten ruski łeb, trza było dobrego kołka z płota on krzyczał na swoich parobków, ale żaden się nie ruszył, bo oni mnie się bali jak ognia. Możeby mnie byli złapali bo ja sobie z tego nic nie robił, a że miałem znajomość z pomocnikami pisarza byli to dwa Polaki, nad wieczorem wzieni dubeltówki na ramiona pośli sobie niby na polowanie, przyśli do mnie, mówią mi, żebym się pilnował, bo już przysło od naczelnika żeby mnie złapać, a ja zaraz tej samej nocy nie byłem w domu, nabiłem sobie pistolet dubeltowy poszedłem bez ogród pod bór usiadłem sobie pod drzewem, czekałem co się dalej dziać będzie. Niedługo słychać szum na drodze od tych czobutów ruskich, przyszło tego do sta strażników, wójt, sołtyse, pisarz, wójt zapukał, moja żona wstała z łóżka, zapaliła lampę, otworzyła, wleźli wójt, sołtyse

pisarz pytają się gdzie ja jezdem, żona mówi nie wiem gdzie jest, bo gdzie on idzie, co robi to mnie o tem nie mówi, zrewidowali w stajni na strychu, dopiero powychodzili na podwórze, a ja wtenczas wystrzeliłem z pistoletu, krzyknąłem dzierży jech łowi jech, nie będę pisał wyrazów chachłackich tylko polskie. Strażniki zaczęli chłopów gonić żeby mnie łapali, chłopy jem odpowiedzieli, ja będę go gonił żeby mnie zastrzelił, goń go sam, zabrali się z powrotem, a ja wróciłem wziąłem sobie życia poszedłem zagranicę, tam byłem pewny w swojem kraju już byłem ze dwa tygodnie. Pojechałem do Bełza starać się za obowiązkiem, znalazłem na zameczku za Bełzem miejsce pisarza dworskiego, gdym stamtąd powrócił nocowałem na przedmieściu u jednego rzeźnika. Zaczeliśmy rozmowę wieczór, a on mówi że w Sokalu jest agient który wyrabia siwkarty do Brazylji, to zaraz nazajutrz pojechałem koleją do Sokala, odnalazłem agienta nazywał się Kisiel Kiesler, ale mi powiedział że jeżeliby był z Galicji to on nie może, tylko z Polski, a ja mu powiedziałem że ja jestem z tamtych stron, poszło wszystko gładko jak po mydle, zaraz odpisałem na zameczek, żeby sobie szukali innego pisarza, bo ja nie mogę przyjąć miejsca, mam inne miejsce lepsze, bo wyjeżdżam do Brazylji. Jako też tak poszło. Znalazło się więcej takich co chcieli wyjechać z tamtych stron, bo co prawda chleba tam nie brakowało nikomu, tylko podług wiary, trza było się pilnować, jak człowiek miał słowo wymówić, czy satrapa nie usłyszy, to było dokuszliwsze niż głód. A jeszcze zapomniałem, że ten pop nie był z Polski tylko z Galicji, a jak się dowiedział, że rusek daje dużo rubli kto jego wiarę przyjmie, tak Iwan Makara chybnął bez granice, a później napisał list gończy, żeby mnie żandarmy tam w Galicji łapali i odstawili do Polski. Ja o tem nie wiedziałem, jednego razu przyjechałem z Bełza do Wasyłowa, chłop który jeździł ze mną pojechał do domu a ja usiadłem za stołem w karczmie, kazałem sobie dać araku, zacząłem jeść i popijać, naraz wchodzi do karczmy postefirer, dobrze że pana tu widzę, bo mamy pana aresztować za pobicie ruska, nic więcej nie mówił, poszedł do alkierza ze żydkiem a ja sobie myślę że to tylko strachy na lachy.

Wyjechaliśmy dnia 18 września z miejsca do kolei do Uchrzowa która chodziła ze Sokala do Rawy, a w Rawie przesiedliśmy się na kolej lwowską, która idzie do Jarosławia, potem wsiedli-

śmy na drugi pociąg który szedł do Krakowa. W Krakowie odpoczeliśmy, zabrał nasz pociąg do Oświęcima, tam była komora pruska, wsiedliśmy na pruską. Przed wieczorem przyjechaliśmy w nocy do Bresławia, a w Bresławiu to było narodu jak maku, że Niemcom mało co nie brakło wagonów, dużo ludzi co mieli płacono czwartą klasę musieli zabrać do trzeciej klasy, ja sam jechałem drugą klasą aż do Berlina, z Berlina wyjechaliśmy kawał na dzień przyjechaliśmy w nocy do portowego miasta Brymu. W Prusach staliśmy cztery dni bo emigrantów było na pięć okrętów, nasz okręt wyszed na ostatku a najpierwej przyszedł do Ryja, bo nie stawał w portach, tylko w Hiszpanji stanął w niedzielę nabrał kilka łodzi węgla, wody, sześć ztuk bydła, ruszył w drogę więcej nie stawał nigdzie aż w Ryjo Żanero, tam nas odstawili łodziami na wyspę Kwiatów, tam było dużo baraków, magazyn na rzeczy, które emigranci wieźli ze sobą, tam odpoczywaliśmy cztery dni potem zapisywali gdzie chto chce jechać do który prowincji. Ja sie zapisałem do Święty Katarzyny, ze mną zapisało się sto famielji, ale nie w jedno miejsce wszystkich, bo dlatego że życie trudne było dowieść, chyba na mułach. Nasz 38 famielji odwieźli na łodziach we Floryjanopolis na okręt zawieźli nas do Laguny morzem a potem koleją do Pedro Ugrandy, a stamtąd wołami od stacji do Kokalu jest 36 kilometrów to te kary szły trzy dni zaczem nas dowieźli na miejsce. Tam była szopa, w której mieliśmy zamieszkać aż rząd przyśle statki do roboty, dopiero za dwa tygodnie przyszły siekiery, piły, foise dopiero marś drogę robić bo nie było żadnej drogi, tylko pikada, że mógł na piechotę z wielką biedą się przepchnąć, a już na tej lenii mieszkało 27 famielji Włochów, ale drogi nie robili gdzie było błoto to pokładli po dwa drążki, tak przechodzili do młyna, gdzie jem trza było, bo do miasteczka do Urussangi Arty było 20 kilometrów, dopiero koloniści Polacy robili drogę to tyż nie była droga. Zarabialimy przy tej drodze mil 500 dziennie to nawet nie zapłaciło co komary człowieka nażarły, bo tam w boru jest tego dużo a jeszcze takie drobne muszki co nie daje żadnego głosu tylko siada wysysa krew z człowieka. Miałem troje dzieci a nas dwoje, za zarobek trza było wyżywić wszystkich, to tylko tyle szczęścia, że życie było tanie, roba słoniny, to jest 15 kilo 3.500 trzy mile pięćset, worek kukurydzy 3 mile, a co się tyczy cukru był tani, wódka flaszka 4 wintyny,

zaraz jak tylko ludzie wleźli to zaraz sklep wyrósł z ziemi bo rząd nie płacił za robotę pieniędzmi, takiemi walami, to się dawało sklepowemu, a sklepowy wymieniał w rządzie, chociaż by mógł gdzie indziej kupić taniej, to tam nie chcieli przyjąć tych walów musiał zmieniać gdzie brali. Tak przerobiliśmy pięć kilometrów aż do moi kolonii, potem odrąbali na moim, na Mikołaja Rudkowski, na Marcina Kanarka, a dopiero nastawili budów jak cygany, tylko tyle szczęścia, że tam w borach były liście na dach, to też ściany były z tych liści, to brazylijanie nazywają Pala de Kobertu. Mieliśmy bliżej chodzić do roboty, ale niedługo to trwało, musieliśmy znowu do Kokalu chodzić na drugą leniją drogę robić, a to robota bór foisować odrzucać na boki, dopiero grube drzewa ścinać przyżynać odtaczywać, ja coprawda ostrzyłem piły, trzonki robiłem do szpadli, a później to rząd kazał deski rżnąć na dom tośmy rżneli we dwie piły, ale ciągać piłą za mila pięćset, ale co było robić człowiek języka nie umiał, to myślał że nigdzie nie płacą więcej. A to nieprawda, bo jak rząd przestał z robotą tośmy musieli szukać roboty po brazylijanach prawda żeśmy rżneli deski od tuzina, ale my zarabiali 3.500 jeden. Wiadomo że wtenczas jeszcze nikt nie wiedział o tartaku, tak zarabialiśmy na życie i okrycie, aż my sie doczekali chleba, ale do chleba nie było nic, trza było wszystko kupić, słoninę, mydło, towar, a tu krowy nie było, pieniędzy nie starczało na krowę, zgodziłem u jednego portugiesia kilkanaście tuzinów deszczek, pośliśmy z Marcinem Kanarkiem do rznięcia. Rzneliśmy drzewo dobre, cedra, garuba, karowa, katela, za dwa tygodnie, to było w niedziele leżeliśmy na trawniku rozmawiali sobie z tem Antoniem Manuelem da Sylwa, on mnie sie pyta czy mam paśnik sadzony, a ja już rozumiałem niezgorzy ten język, tak on mówi, że jeżeli mam paśnik, to on mi da krowę z mlekiem i tak zrobił. Nie skończyliśmy jeszcze roboty, ale trza było krowę zaprowadzić do domu żeby dzieci z kobietą miały trochę mleka. Zgoda nasza była taka jeżeli będę mógł zapłacić, to dobrze, a jak nie to jeden cielak jego, drugi mój, czy to źle było, można wiedzieć że są dobre ludzie, dlatego że wiedzą co bieda. Porznęliśmy jego kloce, jego szwagrowi i cumpadremu czytaj kumoter, zgodziłem u Marka Regularlego 18 tuzinów, ale sama kanela a że kloce oprawiane na cztery boki to dało co dzień tuzin desek urznąć, zerzneliśmy tam zabraliśmy się

do domu. Akurat nazajutrz seran gonił cztery krowy z małemi ciołakami, a Kanarki nie mieli krowy, chcieli kupić jedną krowę, ale brak było 25 milerajsów, przyśli do mnie czybym jem nie pożyczył tych pieniędzy, a seran za niemi. Moja żona zrobiła kawy, do kawy położyła chleb masło, zaczeniśmy rozmawiać, zaczem Kanarki przyśli to ja 5 milerajsów ubił na seranie, zapłacili krowe, pośli do swojego baraku, bo wtenczas nikt nie miał chałupy, a że tam było ciepło to tylko aby sie na głowe nie lało to i dosyć, to było najgorzej że nie wiedzieli ludzie kiedy bór rąbać, a kiedy palić bo wiadomo że w Brazylji nie tak się robi jak w Polsce, tam się zrąbie bór spali dopiero się sadzi kukurydzę, krzak od krzaka na meter i lepiej jak do ziemi, jak ziemia lepsza to trza rzadzi sadzić, wrzuca się do każdego dołka 3 do 4 ziarek, bo jak przyńdą gorącki, to ją podpali spali reśta gnije, aż zgnije, troche się spali, bo na taki nowy wyrośnie chwast na chłopa bez zimę, to się zetnie fojsem znowu pali nanowo sadzi, a co się tyczy zbioru, to niema naporu ze zbiorem, można zbierać w maju, czerwcu, lipcu, sierpniu, bo u nasz teraz jest zima, u wasz lato, u nasz dopiero od 22 września zaczyna się wiosna, to jest duża zmiana, u wasz w Polsce słońce wschodzi po lewej ręce, a zachodzi po prawej, a u nasz wschodzi po prawej ręce, a zachodzi po lewej ręce, więc jest duża zmiana. Tam moi rodacy śpią kiedy my musimy pracować, bo wiadoma rzec na świętego Jana u nasz noc tak wielka jak w Polsce w grudniu, a takie łaziki co z Polski przyjadą do Korytyby, to podają do gazet jeden pisze że dwanaście godzin zmiana, drugi pisze 14 godzin zmiana, to znowu 18 godzin zmiana, a ja czytam to w gazecie, śmieję się w kułak.

Teraz zaczynam o gospodarce Polaków w Brazylji. Dużo ludzi przyjechało z pieniędzmi, rachowali te złoto i płakali, a ja ni miałem zaco tytoniu kupić, tom sobie wsadził kapelus na bok, śpiewałem sobie, a potem gwizdałem, ci co mnie nie znali mówili między sobą ten to musi mieć dużo pieniędzy, on gwizda, jego kobieta śpiewa, było dużo takich coby byli mogli zapłacić koloniją, wtenczas była kolonija 250 milerańsów, a tak pieniądze poszły a później rząd liczył procent prawda nieduży, ale zawsze nie ubywało tylko przybywało. Z tych co przyjechali bez grosza lepiej się mieli, jak ci co mieli pieniądze. Naprzykład ja sam kupiłem konia za 25 milerańsów, był chudy, ale ja miałem paśnik dobry, ku-

kurydze też, za kilka tygodni Włochy mi dawali 60 milerańsów. Pożyczyłem jednemu to było w niedziele a w poniedziałek musiałem dół kopać na niego, pieniędzy nie było trza znowu brać pół worka kukurydzy na plecy i marsz 5 kilometrów do młyna, później miał Kazimierz pachołek konia ze Seruw a stamtąd sprowadzone na dół straśnie je dużo, tak konie, jak bydło do pół roku, jak wziął żebym od niego kupił, ja nie mam pieniędzy mówiłem to ja ci poczekam, a ja sobie wymówił przy świadkach, jak nie zdechnie to mu to zapłace 15 milerańsów, a jak zdechnie to ani wintyna za niego nie dam, miałem dużo roboty koło niego, ale wiadomo że ja jezdem weterynarzem, tom go wyleczył później strokowałem z jednem Włochem na kobyłę młodą 7 lat, a koń miał 15 lat, ale że Włoch się na latach nie znał, to jeszcze dopłacił 5 milów dwa flaszki wina. Miałem już wóz europejski, dwa konie dobre, dom dobry po europejsku postawiony z bali, z dworu szalowany deskami, wybielony wapnem, 7 koni, 22 śtuki bydła rogatego, 36 uli pszczół, świni też było galancie, a że do młyna było daleko, a nie zawsze można było zemleć, a przez moją koloniją przechodziła rzeczka w poprzek, zaraz za paśnikiem, tylko że ta rzeczka nie miała spadu, ale ja sobie pomyślałem tyle młynów w Polsce budują na równinach i mielą. Znalazłem taki nieduży młyn u jednego Włocha na Ryjo Karawaju, zgodzilimy sie za dwieście milerańsów, ale że ja tych pieniędzy nie miałem Włoch nie chciał czekać osiodłałem konia w sobotę rano, pojechałem na Sangon do swojego kumotra Migiela Rossio pożyczyć tych pieniędzy, ale on nie miał, przenocowałem, rano mówi do mnie że on wie że na Moru Grande (czytaj góra wielka) jest człowiek co ma pieniądze. Pojechaliśmy do niego, mój kumoter opowiedział naco pieniędzy chcę pożyczyć, poszedł wyjon ze swojego schowku 200 milów dał mi na rok czasu, procent 10 od sta, zapłaciłem Włochowi, dalej wodę zastawiać, robić śluzę, ale w Brazylji jak niema spadu woda, to nie da się nic zrobić bo z dużych gór jak przyńdą wielkie deszcze, to z małej rzeczki robi potok, tak też było z moją śluzą trzy razy robiłem zawsze woda zabrała, za czwartą razą zrobiłem dwie ściany półtora metra jedna od drugiej dopiero pomiędzy te ściany ziemię a upust dla wody zrobiłem w barance do drugi parówki, dopiero stanełło, ale młyn nie dawał żadnego dochodu, meł pięć worków dziennie, wtenczas brało się 5 rajsów, to dzien-

nie 2.500, a że miałem koloniją pod słońce, mandziak się rodził dobrze, dalej przy młynie budować fabrykę do faryni, mandzioki, zbudowałem dom 6 metrów szeroki a 10 długi co się budowy kosztowało nie tak dużo deski narznąłem ze synem gwoździe trza było kupić, kocioł miedziany kupić, ale farynia była w przesłem roku 8 milerajsów worek to choć się zrobi dług to jak sie farynia zacznie robić, a tu na drugi rok 1 mila worek. Zrobiłem 480 worków farynie, ale nie dało długu zapłacić, bo długu miałem 1:400 milerajsów a moje sąsiady mówili, postawił fabrykę będzie z kobietą farynie jadł, ale ja inny sposób wynalaz. Wsadzałem świnie do karmnika, farynią pasł, zabijał, mięso w domu się zostawało a słoninę topiło się na smalec wlewało się do latów od nafty, sprzedawało się na miejscu albo odwoziło dalej, gdzie płacili drożej. Trudno się było wykopać z biedy, wiadomo, jeść było co, ale pieniędzy zrobić było bardzo trudno w jednem roku wsadziłem 20 wieprzów do karmnika, tom musiał topić na smalec, za smalec ledwo po pięćset rajsów za kilo, spazem niemi sto worków kukurydzy. Kukurydza była po 8 milerajsów worek, a ja musiałem smalec oddać natroku, ledwo dostałem 70 milów pieniędzy, macie panowie dorobek. Zaniedługo przyjechał z Grao Pary kolonista Stefan Maciejewski ze synem żeby dać córkę za jego syna, a ja powiedziałem ja żadnego dziecka nie namawiam, ani nie przymuszam, niech sam sobą rządzi, bo jakbym zmuszał, a potem by źle sie wiodło toby na mnie narzekała, lepiej niech sama sobie wybiera. Dosyć chłopak był zgrabny, ziemię miał zapłacono, brakowało tylko baraku, dosyć że przysło do skutku odbyło się wesele, po weselu pojechalim do domu, a ja nie mógł jem towarzyszyć, bom prowadził szkołę w Kukalu, posłałem zięcia za niemi żeby karygiery nazad przygnał, a zięciowi tam się spodobało, jak wrócił tak sprzedał Beń Fejturyję, zabrał się na Gran Parę, bo tu gdzie miał koloniję ziemia była licha, a tam trafił na ziemię dobrą, nie potrzebował po zarobkach chodzić, później pojechalim oboje ze żoną ich odwiedzić rozejrzałem się mówię do żony mamy jeszcze trzech synów w domu, trza trzy kolonije szykować, kupić ziemię dla nich tutaj, to my się zostaniemy sami, broń Boże które zachoruje to zanim znać do nich dadzą to my możemy być pochowani. Lepiej sprzedać to w Kukulu, a tu się przenieść. Nie było to sprzedanie, bowiem nawet za gwoździe się nie wróciło. Młyn do faryni, czyli

fabryka, dom 12 metrów długi 5 metrów szeroki, szopa, karmnik, to wszystko sprzedałem za 900 milerańsów, to było tanio sprzedane, ale ja też tanio kupiłem, bo zgodziłem w imprezie po 7 rajs brasę, brasa ma dwa metry 20 centometrów, więc sto bras frontu, tysiąc długo, zapłaciłem 700 milerańsów, a dziś taki kawałek ziemi kosztuje osiem tysięcy. Zawarłem kontrakt z panem Stefanem Stawiarskiem, on był derektorem do tej ziemi, nie była to czysta ziemia, był na niej bór tylko że nasi koloniści z boru sobie nic nie robili, jak tylko się dostali do niego, to musiał się kłaść pod piłą i siekierą, co sie tyczy ziemie u nasz są górzyste i dużo kamieni, do pługa mało jest ziemi, bo chociaż na górze niema kamieni, co da zorać, to dwa razy się urodzi, a na trzeci raz nie da nic nawet basora nie wyrośnie, tylko różne trawy, że później z czyszczeniem nie da żadnej rady. Kto ma dużo ziemi, to sadzi dwa razy zostawia na zalesienie, później za kilka lat rąbie pali sadzi to mu daje mniej roboty, z grachą może więcej wsadzić. Można sobie wyobrazić że my robimy za konia i za woła, bo wół tylko robi wtenczas kiedy się zwozi z pola, raz lub kilka razy do roku do miasta z grochem z kukurydzą. Dawnych czasów wywoziło się zabijane świnie, a w tem roku wcale zabitych świń nie kupują, pozakładali fabryki do smalcu, oni sami biją, skóry maszyną ściągają, z mięsa robią kiełbasy, kości daje do kotła wygotuje, pakuje do skrzynek i odsyła do fabryki guzików do Sant Paul, bo Sant Paul ma dużo fabryk, tam jest trzysta trzy fabryki. U nasz w Brazylji koloniści sadzą patadosy i tem świnie pasą, ale że w tych czasach dużo świni zdycha to któren nie ma swoich dużo, to kupują od seranów, bo na seranach mogą dużo świni chować bez żadnego kostu, bo drzewa pinerowe dają frukta, na których się świnie pasą jak w Polsce na żołędziach, więc są tacy serany że mogą sprzedać tysiąc świni rocznie, bo na tych pinerach się upasie, ale smalcu nie da, więc fabryki zaczęły kupować ze seranów prosto zganiali do fabryki, ale na tem stracili dużo tysięcy, bo musieli kupować bataty kukurydze, a teraz robotniki to w tem roku nie kupują, tylko od kolonistów. Koloniści kupują chude 18 milerańsów za robę a sprzedają tłuste 22 za robę a roba ma 15 kilogramów, więc niektóry nie ma swoich dużo to kupi od serana, na tych kupnych zarabiają po cztery tysiące rocznie. Serani kogo znają to dadzą na poczekanie dopóki nie sprzeda tłustych, ale to musi być do fanta-

zji serana, więc można w Brazylji żyć kto sie umi zmówić dobrze w tem języku, bo dużo jeszcze jest co mówią tym językiem ale bardzo opacznie. Ci co się tutaj porodzili, to mówią wyraźnie, a dla reśty teraz jest szkoła, chodzi do niej 96 dzieci, ale sam jeden nauczyciel nie może dać rady, bo musi uczyć polskiego języka i portugalskiego, to jest za dużo dla jednego człowieka, a na dwóch koloniści nie są w stanie opłacić, ten ma pensyją miesięczną 220 a kolonistów jest 70 famielij, to na dwie siły nauczycielskie nie w stanie są opłacić, dlatego morduje się sam jeden, zwyczajnie szkoła jest codzień, nie tak jak dawniej co drugi dzień, ale teraz powiat dopłaca sto dwadzieścia milerańsów, więc każdy musi codzień posyłać do szkoły, ktoby nie posłał dziecka jak mu minie 7 lat jest od rządu multowany, czyli jak po polsku się mówi sztrafowany, to też ludzie się boją to posyłają dzieci regularnie do szkoły, a mnie sie to bardzo podoba, bo szkoła codzień to nie co drugi dzień dawniej posyłali do szkoły. Przeszedł rok, powiada ojciec lub matka cały rok przechodził do szkoły i nic nie umie, nie był to rok tylko może pięć miesięcy niecałe, bo święta, deszcz przeszkodził. Zakończam opis kolonistów a zaczynam swój własny.

Kontrakt był zawarty na broch kondycyjach, dałem zadatku tysiąc czterysta piędziesiąt milerejsów, a potem miałem płacić dwieście rocznie, prawda że w pierwszem roku było ciężko bo choć chleb był to brakowało do chleba, ale jakoś się zaradziło. Przegnałem bydła 14 śluk z Kokalu, ale nie miałem z niego pożytku żadnego, bo za pare miesięcy wszystko to duże wyzdychało zostały tylko ciołaki małe ale to nic z tego sobie nie robiłem Pan Bóg dał Pan Bóg wziął. Co sie tyczy koni to im nic nie było, a przyprowadziłem dwa co chodziły we wozie, cztery do wierzchu, jedne kobyłke nieobuczaną, ale zaraz na drugi rok to było w miesiącu styczniu osiodłałem dla żony muła, ja poszedłem piechotą do kościoła, bo do kościoła odemnie jest niecałe cztery kilometry, wyśliśmy z kościoła, mieliśmy się zabierać do domu, bom odebrał aż dwie gazety razem, byłem ciekawy co tam piszą nowego tymczasem jeden kolonista stary przystępuje do mnie i mówi teraz bardzo gorąco to chodź do mnie a jak schłódnie to pójdziesz do domu, więc tak my zrobili. W domu został syn Henryk z małemi dzieciami, tych małych było troje, bo była jedna wnuczka, bo my dopiero mieszkali we dwóch w tem boru, ale mnie coś korciło nie

mógłem sobie miejsca znaleźć, a nasz Stanisław D. jeszcze chciał posyłać po wódkę, ale ja go przeprosiłem że kiedy indziej się zabawim, zabraliśmy się do domu a trza było odbyć tę drogę borem. Przyśliśmy do domu, ja zaraz rozebrałem się usiadłem na krześle wziąłem do gazety, syn rozsiodłał muła puścił na paśnik, moja żona nastawiła szalerę na ogień zrobić kawy, a tu mulina pędzi z górki od boru, a moja żona krzyczy Jezus Maryja nasza mulinia się przebiła. Ja wyleciałem z rancia, a mulinia chciała do baraku wejść, dostała trzy fresie, dwie w piersi, ale trafili na kość, ale jedna fresia dana była z prawej strony koło przedniej łopatki a wyszła po lewej stronie zadniej łopatki, więc była przestrzelona w poprzek a ja złapałem dubeltówki z gwoździa, dalej za niemi, jednego był mógł zabić bom go dobrze widział jak po resie gdzie była sadzona kukurydza i trawa, ale moja żona z synem mnie zatrzymali, a ja miałem kulami nabite obie lufy, a strzelać mogłem dobrze bo ptaka w powietrzu każdego ubiłem, do nich dobrze strzelać, bo z nich żaden nie chodzi prosto, tylko chyłkiem, to jakby go trafił w tyłek, toby mu kula do głowy doszła więc syn Henryk poleciał na Braso Skierdo dać znać że nas bugry napadły, zanim ludzie się ześli to bugry niewiadomo gdzie byli. Później pojechałem do pana Stawiarskiego z tą wiadomością, posłał bugrera za nimi ale zapowiedział, że jeżeli zdybią ich pałace w boru to żeby nie zabijali ich tylko wystraszyli. Poszło z pietnastu chłopów, ale ten który był przodownikiem, to tak prowadził, żeby na nich nie wleźć, a oni mieszkali na tej samej ziemi co ja, pewnie nie dalej jak półtora kilometra, pośliśmy na polowanie i za łykiem bo jest takie drzewo, które ma konopie w skórze, to się obdziera do kręcenia powrozów, tośmy znaleźli siedem baraki bugierskie, 18 łbów czyli kości z świni, ale onych już tam nie było już się wynieśli, bugier nie będzie spał na jakiemś posłaniu nawet listek z drzewa wyrzuci, tylko na golutki ziemi, bo nie mógłby słyszeć jakby go ktoś podchodził, więc zakojczam o bugrach, zaczynam o sobie. Z jednej strony miałem upadek na bydle, a z drugiej strony Pan Jezus i Matka jego Najświętsza o mnie pamiętała, bo trzoda chlewna to mi tak rosła w oczach, niedługo miałem blisko 250 ştuk. Postawiło się karmnik, co dwa miesiące wywoziło się osiem ştuk, chociaż wtenczas było tanio, ale że sie kupiło tanio, towar najlepszy 7/20 rajs. skrzynka nafty 7 mil. nie tak jak teraz. Praw-

da że teraz kolonista sprzeda robę za 22 mile, ale za late nafty musi zapłacić 28 milów, od wojny europejski wszystko podrożało, coraz to drożeje, bo pieniądze coraz spadają, więc musze wrócić do swojego opowiadania. Miałem płacić co rok 200 milerajsów, ale jak zrobiłem 600 lub 800 tom zawiózł na ziemie, bom sobie mówił czem prędzy to lepiej, jakoś poszło niezgorzy, wypłaciłem ziemię, ale to nie koniec, bo trza było obmierzyć te ziemie a idziniera trza było płacić, a papiery od tej ziemi wyrobić, pomiar, papiery kosztowały 1.600 milerajsów, bo każda śkrtura była na każdego syna osobno, a ta ziemia na której zostawałem z nieletniem synem to było zrobione że dopóki my żyjemy to nasze a po naszy śmierci jego, bo w Brazylji jest taki układ że umrze jedno, to rząd robi iwentaryjo, rozpisuje pół na tego co sie zostaje a pół na wszystkie dzieci wiele ich jest, a za te robote to sobie każą dobrze zapłacić. Naprzykład kolonija rządowa ma 25 hektarów, a z niej zrobią iwentaryjo, każą sobie zapłacić 500.000. Dawnych czasów tego nie było, a teraz podatek od ziemi co rok podnoszą. Kto ma dużo ziemi to musi sprzedać, bo nie w stanie wyrobić na podatek i na okrycie siebie i famielji bo towar coraz droższy. Czasami płaci groch czarny, który koloniści zasadzą rodzi się dwa razy do roku, raz sadzą w sierpniu drugi raz w ostatku stycznia, aż 20 lutego, ryż można sadzić od września do 14 grudnia, to wszystko jest opisane jak najdokładniej i prawdziwie, bo mam na to praktykę, żyjąc już 46 lat w Brazylji. Drogi u nas niby w naszem powiecie jeszcze liche, w drugich powiatach są dużo lepsze np. w powiecie Tubarońskiem to już chodzą auta, omnibuse, wozy a u nasz ledwo karą przejedzie wołami, ciekawi panowie jak ta kara wygląda, jest zrobiona meza to jest jak stół, w środku zaprawiony dyszel koła z bala złożone na oś z drzewa nabite, koła się obracają z osią, to taką karą po naszych drogach przejedzie, żelaza na taki karze są tylko obręcze żelazne. Co się tyczy kościoła, jak ja nastał na kolonijo Grao Para, to kościół był ulepiony z gliny, dwa słupy były już ugniłe, a że nasz było już kilka famielij z Kokolu ś. p. Ksiądz Franciszek do nasz dojeżdżał to i nami rządził. Jednemu z członków pomarła kobieta, więc nie chciał więcej być członkiem, czyli jak się mówi po polsku dozorem kościoła, a brazylijskiem języku fabrykiero da kapela, wtenczas ci trzech zebrali się, pojechali do księdza do Kokalu, żeby czwartego członka obrać, kogo chcieli do

siebie dobrać do dziś nie wiadomo, tylko to wiadomo że ksiądz jem powiedział, tam jest moich ludzi dużo, to będzie członkiem Jan W., napisał list żeby mnie oddali, to im nie było na rękę, ale musieli posłuchać. W liście było napisane że mają mi kasę kościelną oddać. Odebrałem kasę, książki, ale tak było pofusierowane, że ja nie mogłem przyjść do ładu, dałem spokój. Niedługo ksiądz przyjechał, poprosiłem księdza żeby mi pomógł w tem rachunku, mówiłem do księdza, że ja dawno się tem nie trudnił, tom pewnie zapomniał. Wieczór kazał ksiądz zapalić lampę, dopiero zaczeniśmy rachunek. Ksiądz spisywał a ja mu czytał dochód i rozchód, spisał zrachował i mówi do mnie dobrześ zrachował, bo Andrzej L. miał bez dziewięć lat kasę to mu do kasy przybyło dziewięć milerańsów rocznie, a czasami ofiary było 7 milów, było kupione za 50 milów do kościoła, a nie było go nigdzie, tak rządzili że choćby byli 50 lat zbierali toby byli na nowy kościół nie zebrali. Ja sie zabrał do innego rządu, niedługo kasa miała zapłacić mularzowi sześć tysięcy za robotę, trzy wagony wapna, siedem becek cymentu, to kasa kościelna wszystko zapłaciła. Ludzie dali każda famielija tysiąc sto cegieł 13 milów na dachówkę, no rzeczywiście pomoc przy kopaniu fundamentu, a dwóch codzień do pomocy mularzowi, deski na sufit na podłoge ludzie dali, robotę także ludzie dali, dach związać włożyć, ale też jest kuchnia murowana plebanija murowana, kościół murowany, w środku wymalowany, żadnego długu niema, brak tylko ołtarzy, ale pomału to sie da zrobić jak kasa zgrubieje bo teraz zacienka.

Posyłam razem list do was jako swoich rodaków i braci bo przecież my wszyscy Polacy jezdeśmy, po Panu Bogu braćmi, bo dlatego że mamy wszyscy jednego Ojca w niebie, który się nami opiekuje. To według pisma świętego możemy się nazywać braćmi, chociaż nie rodzeni. Tyle papieru zapisałem, a zapomniałem napisać że od roku 29 jestem wdowcem, od jedenastego marca, chociaż w pieniądzach nie jestem bardzo mocny, ale we familji bogaty, bo mam 76 wnuków 64 prawnuków to i tak jezdem bogaty. Co sie tyczy mnie, to już szósty rok jak na polu nie robie, bo już siły upadły, siedze w swojej budzie bo taki budynek nie nazywam domem, słupy wkopane w ziemie, żeby wiater nie porwał, deskami obite dokoła, podłoga od ziemi musi być wysoko, najmniej na palmę, po polsku stopa.

Jeżeliby wielce szanowni Panowie byli tak dobrzy a mogli mi przysłać książki, ja mam w domu moc książek, przesło na czterysta milerajsów, ale mi brakuje Ogniem i mieczem, Potop, Pan Wołodyjowski, W pustyni i puszczy, jeżeliby panowie mogli przysłać to można przesłać na ręce Pana Ministra w Ryjo Żanero a pan Minister by mnie doręczył, bo my sie znamy bardzo dobrze, bo pisujemy listy do siebie, toby może taniej kosztowało, jak idzie okręt Puławski toby mógł doręczyć panu Ministrowi, tylko musi być napisane czyje te książki są albo do kogo należą, w takiem razie mogę je śmiało odebrać. Zakończam te bazgranie swoje, zasyłam najmilsze pozdrowienie dla całego rządu polskiego i dla wszystkich Polaków.

Dn. 7 września 1936 r.

Pamiętnik Nr. 22

Rolnik w Rio Grande do Sul, syn gospodarza rolnego z powiatu złoczowskiego, ur. w 1895 r.

Było to w roku 1895 jak wyjechaliśmy do Brazylji z rodzinnego miasta Zborów powiat Złoczów. Mój ojciec posiadał osiem morgi ziemi koło miasta dziś mój ojciec i matka już dawno nie żyją poumierali w Brazylji. Nas dzieci było siedmioro ja co piszę te opowieść byłem najstarszy lat miałem 21 rok, miałem iść służyć do wojska ale jakoś tak się dziwnie zrobiło wtenczas u nas w Zborowie zaczyli chodzić rozmaite wieści o Ameryce o Brazyliji. Do Ameryki za darmo jechali podróż darmowa była opłacona, ale do Brazyliji to trzeba było całą podróż opłacać i tak ludzie gadali o tej Brazyliji wielkie cuda musi być bardzo dobrze kiedy trzeba okręt czyli szef opłacać, do tego jeszcze jeden człowiek był Andres który już był w Ameryce i powrócił z Ameryki i opowiadał ludziom że w Ameryce jest bardzo źle i chciałby tera jechać do Brazyliji ale niema zaco, nima pieniędzy nima zaco kupić szefkarty i tak się kręcił aż namówił pięciu familiji i mojego ojca. Mój ojciec sprzedał dom i te osiem morgi ziemi, dopiero zaczął się ruch i te pięć familji też się wysprzedali ale że byli biedniejszy tylko chałupy mieli ledwo im stało na szefkarty opłacić a reszty to jeden od drugiego pożyczał mówił że odda w Brazylji i ten faktor Andres też pożyczył od mojego ojca pieniędzy na szefkarty i mówił że w Brazylji zarobi i odda ale do dziś dnia nie oddał i już nie żyje zaparł się w Brazylji że od ojca żadnych pieniędzy nie pożyczał. Ten sam Andres wysłał pieniędzy za nas wszystkich po szefkarty do agenta do Udine do Italji, za pary tygodni dostaliśmy

wszyscy szefkarty później ojciec wystarał paszport, mętryki, moralność z gminy, ale najgorzej było ze mną mętryki mi nie wydali nie wolno mi było jechać do Brazylji aż wysłużę trzy lata we wojsku. Było nas takich dwuch i znowu ojciec ma zmartwienie powiada że mnie nie ostawi i bezemnie nie pojedzie do Brazylji. Ale ten faktor agent Andres znowu pociesza ojca i powiada tak żeby ojciec i ten drugi dali nam pieniędzy na drogi i jemu też podróż opłacić aż do miasta Italji Udine to on z nami pojedzie i nas przyprowadzi bez granicy bez żadnej przyszkody, no i tak mój ojciec i ten drugi zgodzili się na to, dali pieniędzy na drogie i jemu też temu faktorowi, wykupili my bilety na stacji Zborów te bilety wykupiliśmy aż do stacji miasta Stryj później ze Stryja aż do stacji Stanisławów ze Stanisławowa znowu aż na Węgry stolicy Buda Peszt, z Buda Peszt jechaliśmy Fiume Agram i tak dali aż dojechaliśmy granicy Italji Udine bez komory celny, przyśliśmy do miasta Udine zaraz udaliśmy się do Agencji Arguleto Silwo Notarjo zameldowaliśmy się, agent wywalił oczy co ma też znaczyć że my samy chłopaki przyjechali my mu tłumaczymy że zara za nami też przyjadą nasze rodzicy a my musieliśmy naprzód uciekać bo nam nie wolno jechać. Mówimy że nie mamy paszportu, mętryki też nam nie wydali a rodzicy nie chcą nas ostawić, agent powiada że nas wróci nazad, ale po namyśle z drugim urzędnikiem pyta nas czy mamy pieniędzy jeżeli mamy pieniędzy to mamy się złożyć to on wyśle telegramy do Zborowa aby rodzicy i te reszty familji nie ruszali z placu aż dopiero za czternaście dni bo okręt z Genui do Brazylji dopiero odejdzie za dwadzieścia dni a tu powiada koszt życia jest drogi a kto pieniędzy nima skąd będzie żył i tak agent powiada tu już są emigranci którzy sami na ślepo przyjechali już miesiąc czasu jak oni tera tu cierpią, nie mają zaco życia kupić i powiada oni są tam w hotelu i wy powiada macie tam do nich iść będziecie razem aż wasze rodzice przyjadą no i pośliśmy tam do tego hotelu wskazał nam drogie agent. Przyśliśmy do tego hotelu a tam pełna grupa emigrantów coś trzydzieście familji polacy rusini chorwaci, jak zobaczyli nas bardzo się ucieszyli, mówili że jakieś panowie przyjechali urzędnicy ale my im tłumaczymy że my też emigranci jak i oni tylko my sami przyjechali a za nami za 14 dni przyjadą nasze rodzice a byli to ludzie wszyscy prawie z Małopolski, biedni te ludzie narzykali na swój

los drudze płakali nie mają zaco jeść. Kawałeczka chleba nima zaco kupić i tak jeden od drugiego pożyczał pary groszy, kupali okrawki cybule kartofle i sami sobie gotowali na dworze przed hotelem bo w hotelu nima zaco kupić, straszna była to nędza. Dopiero gdy nasze rodziny przyjechali dopiero my wszyscy razem z Udine wyjechali koleją do Genui, na drugi dzień wsiędlimy na okręt już było pełno włochów na tym okręcie który też jechali do Brazylji do Sao Paulo do roboty do plantacji kawy. My jechaliśmy okrętym z Genui do Rio de Janiero 24 dni w Rio Janiero okręt przystanął daleko od lądu dopiero parowcy małe przyholowali za sobą wielkie lanszy kanały, na te lansze zabrali z okrętu bagaży i same ludzi i zawieźli na wyspy Kwiat, tu nas wyżuli na ląd na brzeg morza, nad morzem stał magazen tam zabrali nasze Bagaży dalej znowu stał barakon szopa bez ścian tylko prycy gołe deszki piachu po kolana tu mieliśmy przybywać pare dni. Od tej szopy czyli barakonu szli do góry schode kamienne, dopiero tu ja zobaczył prawdziwy rabiel narodu aż strach dwa barakony wielkie pełno ludzi prawie połowa chora, w szpitalu moc tego leży reszty w barakonach, kilka trumny ze zwłokami leży w trupiarni, słyszy płacz lament zawodzenie kobiet przykleństwo, jedni widze sprzydają książki łachmany i chcą wracać do Europy bo już mężów i dzieci pochowali ostali wdowami, tu znowu mężczyźni żonów pochowali, jak mój ojciec to zobaczył zaczął płakać co on dobrego zrobił naco ja powiada chleb zmarnowałem, grunt straciłem i tera powiada patrzy na mękie Chrystusa jak ludzie giną na żółty febry i inne choroby. Było na tej wyspie Kwiat tych ludzi z całej Polski jakie półtora tysiąca osób, było najwięcej robotniczej partji i służba ze dworu i tak my trzeciego dnia siadali na okręt brazylijski tylko te ostali które byli chory i tak wyjechaliśmy z Rio de Janiero, jechaliśmy do Parany, tu w Paranie wysiadło dużo ludzi a my reszty jechaliśmy dali na południe do Rio Grande do Sul. Przyjechaliśmy do portu Rio Grande, tu znowu w tym przysiadaliśmy na inne okręt z Rio Grande jechaliśmy do Porto Alegre dwa dni, trzeciego dnia wsiedliśmy na kolej jechaliśmy koleją 24 godzin, jechaliśmy przez samy stepy, ostatnia stacyja w stepach Umbu, tu na nas czykało już dwadzieścia karet to jest na dwuch wielkich kołach tak uszykowany jak tramwaj taka wielka buda z dachem i takie jedne karete ciągną woły, ciągnie osiem

wołów więc do takiej karety jednej po dwie familji jechaliśmy, wieźli nas na kolonje Jaguary bo tam miało już być dużo polaków i włochów, jechaliśmy tydzień tymi karetami do Jaguary tuśmy wysiedli z karet i znowu do barakonu, było to maleńkie miasteczko ta Jaguary było trzy szklepy kantor poczta i barakon emigracyjny. Było tu sporo polaków najwięcej włochów już w tej osadzie zobaczyliśmy straszne nędzy, drogów nima tylko ścieżki poprzycinane a straszne góry teren kamienisty, jedni polacy już siedzą na działkach takich budach, drudzy szukają działki to znaczy kolonji, jedni znowu płaczą chcą stąd uciekać i dużo z tych polaków gdzieś powychodzili, mało ostało nas tu. Najwięcej włochów tu ostało a te co ostali to tymczasem się tu osiedlili. Mój ojciec też wziął działkie ziemi ale daleko od tego miasteczka Jaguary trzy mili drogi, była to dla nas straszna bieda bo jak trzeba coś kupić do życia to trzeba na koniu trzy mili drogi jechać albo jak później mieliśmy swoje kukurydzy albo fasole to trzeba było worek wiść na koniu trzy mili drogi. Za trzy lata ożeniłem się, pojołem za żonę polkie, moja żona pochodzi ze wsi Przegaliny Duże, gmina Komorówka Podlasie, ślub brałem w kościele, ślub dawał nam ksiądz talijański bo polskiego nie było. Byłym na komornym bo swej ziemi nie miałem, już mielim dzieci dwa chłopaki, tera mówie do żony tera trzeba się postarać o ziemie. Poszedłem do kantoru do szefa był w domu ten derektor, ukłoniłym się i pyta mnie ten szef czego ja żądam, ja odpowiadam przyszedłem do pana Derektora z prośbą czy bym nie móg od rządu dostać kolonije na wypłaty, owszem dostaniesz pan ale znowu po chwili pyta czem żonaty czy solterus kawaler, ja odpowiadam żem żonaty jest i mamy już dzieci dwa chłopaki, byń powiada a gdzieście ślubowali pyta mnie, ja mówie na Ingrezia kościele, jakiem powiedział żem w kościele ślub brał jak zaczął po podłodze chodzić kroki mierzyć jak zaczął krzyczyć, powiada woseno kazado wose soltero, to znaczy wy nie żonaty a kawaler powiada, na in grezio kazamento na wobe to znaczy że w kościele ślub nima wartości, powiada że mam ślub brać kazado a ciwil, powiada że mam ślub brać rządowy ciwil dopiero dostanę ziemie czyli kolonije, dopiero przykonałem się że w Brazylji kościelny ślub nima wartości. Tak na drugi dzień żona i ja pośliśmy do urzędu do kantoru z dziećmi i tam musieliśmy zapisać się urzędowo do aktu ślubnego. Ślub przyznaczony

za trzy tygodnie, gdy czas minął trzy tygodnie pośliśmy razem z dziećmi do ślubu, dostaliśmy ślub cywilny i dostaliśmy papiery akta ślubu i te dwa dzieciaki zaraz zaregistrował, mętryki urzędowe wydał. Niedługo po tym moim kłopocie jakoś się to zrobiło zamieszanie, wynaleźli drugie miejsce osady polskie Guarany a więc dużo polaków z tyj kolonji Jaguary zaczeli wychodzić do kolonji Guarany więc mojej żony bracia matka ojciec też wyśli do Guarany a ja potem za nimi. W Jaguary ostało jeszcze około 300 rodzin a dwieście familji wyszło do Guarany a więc ja już mieszkam w Guarany 35 lat. Tu w Guarany ma być wszystkich polaków porozrzucanych po całej puszczy 15 tysięcy dusz. Kupiłem w tej osadzie Guarany ziemi 25 hektary, ziemia licha więcej kamieni jak ziemi, musiałem z kobitom tu ciężko pracować, dochowaliśmy dzieci dziesięcioro, sześć chłopaki cztery dziewczynki. Dzieci musiałym trochu w domu uczyć bo szkoły nie było, później ludzie zaczyli szkółki stawiać po linijach, gdzie było na linji 20 familji to samy sobie szkoły budowali drewniane, później szukali naucieciela takich szkółek w całej okolicy jest szesnaście, brak było nauciecieli to pierszy lepszy chłop uczył który umiał czytać pisać rachować, dziś mamy kilku nauciecieli lepszych szkoły to my koloniści za naukie płacimy miesięcznie 3 milerajse i dziś nam rząd brazylijski też trochu pomaga ale zato naucieciele muszą do południa uczyć po portugalsku, a po południu uczą po polsku, ja wszystkie swoje dzieci posyłałem do szkoły tak do rządowych brazilskij jak i do polskiej. Moje dzieci wszyscy umieją czytać i pisać po polsku i po portugalsku, my wszyscy w domu rozmawiamy po polsku, ja dwuch synów posyłałem do szkół 10 lat i chodziły do szkoły średniej kolegjum do polskiej szkoły, chlubnie zdali naukie, dziś są nauciecielami na linji, uczą do obiadu po portugalsku po obiedzie po polsku i tak gdy byłem młodym zdrowem pracowałem z kobietą oddawałem pieniędzy na szkoły czyli rozmaitych nauciecieli opłacałem za naukie dzieciom, zrobiłym dobrze bo rozumią co jest Polska i jest Brazilja tylko mnie źle wyszło na stare lata, minęło mi 60 lat do tego nabawiłem się rymatyzmu i dziś nie mogie pracować, już pary lat jak cierpie te choroby, wydałem dużo pieniędzy też na doktorów nic mi nie pomogli tylko pieniędzy straciłem, dziś ostałem biedny. Kolonji ziemia wyniszczona, stare pole wypłukane wypalone na słońcu rodzić nie

chce więc ze ziemi dochodu ni mam, jest ciężko żyć, dawny lata jeszcze przed wojną światową sprowadzałem dużo książek z Polski i Ameryki rozmaite gazety i rozdawałem je pouczałem ludzi kto trochu umie czytać aby dalej czytał żyby nie zapominał języka polskiego i żeby wiedzieli co się w świecie dzieje, bo mówiłem niejednemu chłopu że człowiek nie jest nato stworzony aby jadł i pił tylko, brzucha pasł ale mówie że trzeba też swojego ducha umocnić i żeby wiedział o swoich braciach polakach po całym świecie. Nie od jednego piłym gorzki kielich żółci i tak niejeden mi mówił że z książków i gazetów będę chleb jadł, musiałem wszystko cierpić i jeden mi mówił co mi tam po Polsce ja tam nie pojadę. A ja co tu opisuje bardzo się interesuje polskim krajem bo to moja ojczyzna, tam do szkoły chodziłym, tam się wychowałem od małego dziecka, znam cały ziemie polskie i nigdy tego nie zapomne i zawsze mi w głowie i myśli siedzi tylko mój kraj rodzinny. Już czterdzieści lat jestem tu na obczyźnie i nigdy tego rodzinnego kraju nie zapomne, żebym tu na obczyźnie Bóg wie co miał nic mi to nie znaczy bo to obcy kraj dla mnie, muszę tu na obczyźnie umierać bo mi los nie pozwala jechać do Polski, jestem za stary i cierpie choroby, będą moje zwłoki spoczywać na obczyźnie tej czerwonej ziemi a słońce brazilskie będzie mi przyświecać a duch mój poleci do mojej ojczyzny i tam na cmentarzu usiędzie na ramieniu krzyża i będzie płakał za swoim losem a dziś kiedy jeszcze żyje śle tobie kochana Polsko ojczyzno moja ukłony moje bóle żale, śle ci pozdrowienie z dalekiego końca świata, śle pozdrowienie dla narodu Polskiego.

Wielmożny Panowie i Mili Rodacy posyłam Wam kopje mojego opisu posyłam pocztą i prosze wybaczyć że tak brzydko napisałem, dużo błędów nabazgrałem paskudnie i brzydko i prosze też W. Panów jeżeli to moje pisanie otrzymacie to prosiłbym aby mnie zawiadomić pocztówką czyście otrzymali to moje pisanie. Prosiłbym też W. Panów jeżeliby kiedy wyszły z pod prasy polskie powieściowy kalendarzy na 1937 to prosiłbym łaskawie przysłać mi jeden kalendarz i jedne jakie powieściowy książkie.

Dn. 9 lipca 1936 r.

Pamiętnik Nr. 23

Rolnik w Rio Grande do Sul, syn gospodarza wiejskiego z okolic Łęczycy, ur. w 1870 r.

Czytałem w miejscowych w jednym z Polskich pism p. t. Gazeta Polska artykuł nadesłany od Instytutu Gospodarstwa Spułecznego chtóre pragnie wiedzić o losach przeszłych i obecnych emigrantów rozproszonych niemal po całym świecie a także o powody co ich zmusiło do opuszczenia swoi Ojczyzny, wogóle o wszystkiem co człowiek przechodzi w podróży w obcych krajach, nie rozumiejąc mowy. Oto ja postanowiłym spełnić żądanie szanownego Instytutu i opisać z wielką przyimnością moje pochodzenie rzemiosła i powód opuszczynia dla mnie drogiej Ojczyzny. Wychowałem się we wsi Madzerewo na 18 morgowym gospodarstwie, było nas pięciu braci i jedna siostra, pamiętam niedostatek z powodu niezdrowia mojego Ojca, skarżył się na głupio prowadzoną rewulicje 1863 r. co brał udział dwa lata a także na niefortonną wojne prusko francuską 1870 r. Właśnie ja sie urodziłem 20 marca tego roku, pamiętam jak Ojciec pobierał zapomoge jako ranny w jednym domu w powiatowym mieście Koło co też umarł w wieku 54 lat, ja miałem 14 lat poszedłem w termin do browaru. Małe to miasteczko Przydec była to Saksońska ućciwa rodzina Bartlów, nie miałem żadny szkoły, w tym terminie miałem barzo dobrze, poznałem nijakiego pana Dąbkoskiego t. j. sekrytarza gminy a więc w wolny czas on mnie uczył ile możności, rysotwarz tego człowieka nigdy mi nie będzie zapomnianą w moi pamięci, takich ludzi mało poznałem w Polsce, był to prawdziwy Polak nie żaden zapiecowy patryjota był to szczyry i prawdziwy P. P. S. więc co

też w 16 latach byłym wtaimniczony o całem programie tej organizacji. Po czteroletniem terminie pomimo moi pilności i za wpływym pana Dąbkoskiego dostałem papiery jako czeladnik piwowarski, no i jak zwykle wędrówka, właśnie miałem okazje poznać całą Polske b. trzech zaborów nie tylko w miastach a także i wsiach a przeważnie wsiach ślacheckich, bo tego potrzebował związek i miałem opisać jak prawde tyn ogrom nyndzy a przeważnie w ty części Polski Ojczyzny, gdzie była głowa i serce jak to opowiadano. O ty nędzy i nieludzkości pisze drugi raz w moim życiu i to z tem samym współczucim kiedy miałem lat 19 a obecnie 66, może to co ja napisze byńdzie niepożądane a może oburzające ale trudno prawda prawdą, nie będe wyminiał ani dobrych ani podłych bo na tyle folwarków ile było w Polsce to zauważyłym tylko trzeci procent i to większa część nie Polaków. W rosyjskiem zaborze o szkole nie było mowy ani zwyczaju, zimową porą mieszkanie było więcy podobne do etapowy peresylny jak u wielmożnego chlebodawcy jedno ogólne mieszkanie o jednem oknie wielki kumin i komora bez podłogi, w oknie większa część szkła zastąpiona wiechciamy, te ćtyry ściany mało sie widziało brudu bo zastąpiły obrazy świętych, śron na suficie i reszty widnych ścian, dzieci większe mniejsze i malutkie okręcone w gałgany wszystkie, widziało sie w kuminie zapłakane od dymu brudne podobne do kupy popiołu, w czasie odbywania prania bilizny kiedy sie weszło do taki szopy, człowiek był ślepy parc minut z powodu odurzający pary, gdzie sie widziało dzieciaki w szkolnym wieku i zapytało sie matki czy dzieci posyła do szkoły jakaż była odpowiedź szkoła daleko, niema zimowego ubrania i do tego nauczyciel chce zapłaty bo dziedzic nie płaci szkolnego, w taki sposób wasze dzieciaki nic nie potrafią jaka odpowiedź, tyn i ta chodzili na katechizm byli już po dwa razy u święty spowiedzi, to bardzo dobrze ale potrzeba i szkoły, adyć o tym już było mowy nawet raz przyjechało cztery z Łęczycy i rozmawiali z dziedzicym o szkole, ale to podobno łódzkie socialiści, o tem mówił i proboszcz że chcą zbuntować naród, a więc z taką troskliwością sie chowały te wielkie i ciemne masy Polskiego obywatela, żądanie szkoły było uważane za buntowanie. Pamiętny rok 1889 16 marca były to najcięższe czaszy człowiek był trachtowany gorzy jak niewolnik i to przez kogo przez tych chlebodawców, jasnych wielmożnych żyjących

beztroski od dziesiątków pokolin, jakież mogło być życie tych wielkich mas ludności wiejskiej jeżeli służący na cały rok pracy dostał 24 ruble i marne życie. Nie dosyć że sam służył jeszcze musiał trzymać służącygo do pański roboty, no i płacił także, właśnie w tym roku był to wielki propagandowy ruch emigracyjny do Brazylji, komuż to zależało o uwolninie tego narodu tak marnie traktowanego. Właśnie ta masowa i darma emigracja to jest pamiątka po tych co kochali sercym wolność i Ojczyzne i swoich braci cały Polski, to był rodzaj najućciwszy polskiego ludu wszystkich klas i kategoryj poświęcali co najdroższe dla człowieka w obronie wolności i niezależności jak wiadomo był początek 1831 i 2 i 3 druga 1863, a po każdy przegrany setki i tysiące w obronie własnego życia rozbiegło sie po tych wolniejszych krajach i szukali zaincia podług zdolności, począwszy od szeregowca wojskowego a także w biurach cywilnych i rządowych i oni na wygnaniu także zdawali to co uważali za najdroższe dla synów i wnuków i to źródło polityczne nigdy nie wysychało przez tyle dziesiątków lat przypływały nowe ofiary męczynników aby zastąpić miejsca pierwszych, z tego powodu powstały opiekuńcze związki dla ratowania politycznych skazańców, w związkach było wiadomo co sie dzieje w Polsce wogóle cierpienia i prześladowanie. Zagraniczne związki uznały były program wyszukania zagranicą obszarów ziemi i wyprowadzić jak największych mas Polskiego ludu z tego łez padołu i płaczu a więc tą krainą obiecaną i tak pożądaną była Brazylja bo zaledwie niespełna dwóch lat po ogłoszeniu demokratycznej republiki nastąpiła emigracia na warunkach pożądanych przez grupy w roku 1889 trwała do roku 1912-go, troche było różnicy w zapomogach żywnościowych warunki w pierszech paru latach działki grontu 1000 m. dwieście piędziesiąt szyroko i tysiąc długości metrów kosztowało 250 milorajsów pięcioletnia wypłata i sześć miesięcy dawano żywność na każdą rodzine podług osób, a więc przez 13 lat tego dobrodziejstwa Brazylijskiego ludu za tak więcy jak braterskie przyjńcie nie może być zapomniane w Polski historji a że nie umieli wykorzystać, to hańba tym chtórzy chowali polski naród jako podlejszy ludzki materjał ciemny i w niczym nie uświadomiony zamiast pomagać to przeszkadzali.

W pierwszech początkach ruchu emigracyjnego mało sie widziało przeszkody, ale kiedy nastąpił r. 1890 jak to dużo chlebo-

dawców ostało sie tylko z pisarzym rzączą karbowym a reszta sie szykowała na wyjazd wtynczas znalazła druga partja agintów nie wiadomo przez kogo nasłanych, zaczyły sie najczulsze mowy patryjotyczne i religijne aby zniechęcić naród a co ludzie opowiadali że i duchowiństwo także na kazaniach starali sie wstrzymać, tłomaczyli o różnych głupstwach ja tymu nie wierzyłym co mówiono. Ale coś musiało być prawdy bo w miesiącu sierpniu na odpuście Matki Boski zdaje sie Zielny ksiądz Orzechoski parafia Błenna był to piękny dziń jesienny ustawiono mównice na dworze, tak że było słychać mowe jak na cmentarzu kościelnym i poza murym słyszał kramarz a nawet i koło karczmy, po odczytaniu Ewangielji i mowie o znaczeniu tego cudownego obrazu i komu sie dał widzieć i t. d. a potem przemówił w te słowa drodzy bracia i siostry wyiżdżacie przez namowe tych co zarabiają od setki aby was dostawić do agencji okrętowych a pomyślcie bracie i siostro jaka was czeka podróż i ta Brazylja co tak chwalą trza wam wiedzić że was wywiezą w dzikie pustynie, tam niema tego świętego kościoła dla pokrzepinia i ukoinia waszego ducha ani kapłana a co o święty spowiedzi to będziecie pozbawini, czy wam nie żal tych pięknych rodzinnych wiosek, no i było tyle piękności jaż sie ciche milczenie zaminiło w chlipanie i uchu chu... a chłopy wzglądali z ukosa i zaczyło sie szeptanie może to i prawda, tak było dużo prawdy a jak sie widało nie znał jeografji a gdzie nie było ludzi tam były pustynie i nie było kościołów. A więc na smentarzu było zwątpienie a poza wrota propaganda agentów otoczony słuchających i wciskał w ręce karty informacyjne kompanji i hotelów a chto sie tłomaczył co ksiądz to mówił, e nie wierz ty mu ksiądz dostał prezent i tak mówi, ja wczoraj widziałem jak z jakiegoś folwarku przywieźli kapłonów indyków a idź zobacz do parszywy Wólki i wiele takich tam niema ludzi i tego potrzeba żeby było jak najwięcy dworów bez ludzi i co tu macie jak będziesz miał 45 lat pójdziesz na chweste a już są tysiące dziadów co mogą pracować. Tu sie widziało każdy chciał postawić swoje domyśli, i to że ksiądz lubi kapłony i indyki i wiele wiele smakołyków, a ja wiedziałem, że ksiądz lubi indyki brzęczące nie piszczące bo drobiu to dostarczyły rozmaite bractwa i cechy, aby pozyskać sępatie u księży gospodyni i proboszcza bo na wykształcynie siostrzańców i na otrzymanie parafij kanonika albo dziekana potrzebował indyków brzy-

czących t. j. 100 rublówek. Jakie przeszkody mieli te na granicy te piersze tułacze emigracyjne dlaczego byli transportowani do gmin i odsiadywać arest (za przekroczenie granicy) jak wiadomo prześcia granicy najwięcy sie odbywało nielegalnie bo paszport zagraniczny niewiele chto mógł wykupić a w żadyn sposób nie było można odnaleźć prawdy. Przemytniki tłomaczyli sie że nie podobno było prześć pocichu z powodu małych dzieci no i związek o tem nie przewidywał a naprawinie wzino sporo czasu i powiększyło bidy i zniechęcynia. Te sprawe załatwił Jan D., znał oficera byłygo komendanta skadronu dragonów co był przetransportowany na granice pruską na zmiane drugą wojsk więc posłał do tego oficera list w jakim sensie nie wiem, ja właśnie miałem nakaz doręczyć i przynieść odpowiedź było to w mieście Skulsku, ów kapitan był widać dobry myśli zapytał sie powód moi znajomości z D-skim i kazał zaczekać, niedługo czekałem dał my list i przemówił to biedny naród na jakie cierpienia skazany. Wróciłym o godzinie 3 rano, D. wstał odczytał odpowiedź i polecenie i tłomaczył swój obowiązek że nie wolno chyłkiem granicy przechodzić i pisał że zawiadomi na cały jego uczastek nie wymagać paszportu zagranicznygo tylko poświadczynie od wójta paszport legitymacie książki mentryka bez nadmiany zagraniczny, z takim dokumentem można było przechodzić na dużo kordonach, w taki sposób jedno złe było naprawione. A teraz co sie działo w hotelach w Bremie, ludność była naumyślnie przetrzymowana jak najdłużej niesłusznie ściągali koszta za ekspres, byle jakie pożywinie i tu była opieka i naprawa właśnie przez tych co to mieli być na usługach szatana. 1890 r. 12 listopada, miasto Kunin spotkałem osiem rodzin poza miastem przy drodze w boru, ludzie nieznajomi tych okolic błąkali się, jak wiadomo zaczyły sie zapytania odpowiadania w pare minut zacząn sie mrok szedem z nimi sześć wiorst do jedny wioski na pożegnanie do mojego wuja, było to w sobote, więc im doradziłym żeby sie zatrzymali do poniedziałku bo jak zańdą na kordon będzie za późno muszą nocować, a poczekać do poniedziałku to lepi bądźcie tu, opowiedziałem czas pociągów miejsca stacji wogóle całe informacyje podróży i hotelów. Ta gromadka to była jedna famielia szwagry bratowe no i ciotki wujki stryjki, widać było troche doświadczenia, a kiedy sie dowiedzieli o moim powrocie dziwno im było czymu nie jade razem. Musiałym sie z pra-

wdą tłomaczyć raz że nie znańdę lepi, drugie jeżeli wyjadę nie moge powrócić, wicie co zbiega czeka, jedynie to mnie strzymało i pokazałem karte stawinia sie 20 t. m. do Łęczycy na zborny punkt w taki to sposób przeszedłym na droge, wcale dla mnie obcą pozostawiając smutną pamić może tu nie wróce a więc nowa droga nowy zwyczaj nowe życie, no i nowy rygor napewno i nowe cierpienia, na tym zbornym pąkcie zebrało sie tyle jednoroczni chalastry, rozpustny bez miary, nareście zaczyny sie wysyłki partie zawiadamiając część wojska i miejscowość, no przyszed dziń i na nich w ty partji było nas 120 na Kawkaz w karsko krepostną artylere miasto Aleksandropol.

Na 3-go kwietnia było wszystko gotowe, brat mnie odwióz do Słupcy blisko granicy, na zmroku byłym na Pruski stronie zdążyłem do Strzelna na pociąg do Poznania, w Poznaniu kupiłem bilet do Berlina, kiedy opuszczałem tyn gród Piastów i pomyślałem że to poraz ostatni, jakiż mnie serdeczny żal ogarnył, aby nie zwrócić na siebie uwagi musiałem iść do ustępu, tu poznałem pierszy raz w moim życiu co jest żal, zostałem przez żadny energji na wszystko obojętny smutek mnie trapił całą droge, kiedy przyszła myśl uciekać jak najgroźniejszy zbrodniarz przypomniały sie słowa mojego Ojca skończone obecnie moje zadanie i obowiązek, w Brymie spotkałem kilkonastu Polaków jechali z Nort Ameryki i do Brazylji i my odradzili N. Ameryke i wykupiłym szyfkarte do Brazylji do Estado R. G. D. S. miasta Rio Grande. Wielkanocne święta miałem na ocejanie jakiż był więzin siedzić leżyć bezczynność na szczęście dla mnie zachorowali fogiści więc sam kapitan prosił chto może zastąpić chorych, to ja sie podjonem ty roboty nawet nie myślałem o zapłate, robiłem przez 16 dni, w Rio de Janero kiedy miałem przechodzić na okręt do Rio Grande jak mnie zdziwiło kapitan my przynosi 84 marek i rekomendacejną karte i mówi kiedy będe potrzebował roboty moge iść na okręt taką pan dostanie robote. Podziękowałem i byłem pewny że nie będe głodował jak to sie słyszało opowiadanie. 24 maja t. r. byłem w Rio Grande to najpiekniejsze miasto jakie my chwalono jak zwykle w każdym porcie ludzi dużo a dla mnie mowy mało bo nic nie rozumie, jak wiadomo w przystani ulice bardzo szyrokie naprzeciw widze np. restoranty to taka jadłodajnia tubylcy nazywają fryzi, moskati i smażymucha. Aby nie stoić na ulicy przeniesłym

sie tam, właściciel był Szwed zmówilim sie po niemiecku, aby nie siedzić darmo kazałem sobie dać obiad, w czasie obiadu właściciel zaczon rozmowe skąd chto, na odpowidź jezdem Polak obok na drugim stole siedzieli cztery wyglarzy rozmawiali po portugalsku kiedy usłyszeli jedyn zwrócił sie do mnie i przemówił po polsku, ja to zauważyłem że uni sie wstydzą mówić po polsku zaminili pare słów i pośli do roboty, niedługo trwało przyszed człowiek poinformowany przez tych czterech, tyn sie nie obawiał tylko mówił otwarcie, dowiedziałem sie o jedny rodzinie dobrze znajomy. Był to człowiek z miasta Łodzi tkacz Józef M. był to prawdziwy Polak, rodzina mnie znajoma dosyć liczna. Ojciec ty rodziny Aleksy Sz. zawodu cieśla i rewolucionista z r. 1863-go a więc za ich radą przeniuzym sie w dzielnice Polską, jaką różnice zauważyłym w tym Rio Grande jaka wolność i ludzkość jak naród tak i policia i wojskowi nie było napastywania o paszporty ani świadestwa wolność noszenia broni, ta wolność w Brazylji, chto tu przyjechał to mógł powiedzić śmiało wyjechałem z piekielny niewoli t. j. spod rządów caratu. W pare dni dowiedziałem sie co mnie jenteresowało piersze o robote mojego fachu, drugie sytuacie Polaków w mieście i na kolonji, wszystko nie po myśli jak wiadomo tu browary podobne do kuchni wojskowy, nie tylko chmiel, ale i słód sie sprowadza z Europy, wyrób piwa tylko zwyczajne ludzi taki browar potrzebuje najwięcy pięć po większy części rodzina i marna płata, kolonji także nicht nie chwalił, było już towarzystwo p. t. Biały Orzeł, tu sie spotkało Polaków różnych zapatrywań i nałogów, ja sie spoździwiałem że tu rodacy coś zrobili jaki postęp przez te osiem lat, z kretesu nic ta sama głupota jaką wywieźli z Polski, widziałem wesołość, bale imininy wypitki i bitki i przeprosiny, nicht nie myślał o przyszłości w tym czasie było dobrze, robotnik zarabiał od 2½ do 3½ milorejs a rzymieślnik od 4,5, 6, 7, było wszystko tanie a co alkohol to nadzwyczajnie wiec było hulaj dusza bo piekło zgoreło, ja takich libacyjnych wesołości nie byłym zwyczajny, radziłym sie osób rozsądnych i sam zauważyłym chto ma jakie rzemiosło może żyć nie potrza sie włóczyć wiec postanowiłem iść do warsztatu kowalskiego jako pomocnik, przed zaczęciem ty roboty choć nie była dla mnie obcą postanowiłym iść na okręt i pożegnać lądowy świat co mnie wstrzymało czy to przeznaczynie. Jak to mówią poznałem dziewczyne t. j. obecną moją

żone nic do nikogo nie śmiałem mówić nie byłym znajomy. drugie bez zajęcia a za 3 milorejsy to nie utrzymanie więc nie chciałym być natrętnym, kiedy sie dowiedzili o moim postanowiniu wyjazdu zaczyny sie inne rady a mianowicie żyń sie tyle dziewcząt, upatrz jedne a ja będe swatem. Ów swat był to syn tego rewolucionisty Wacław Sz. stolarz, daleki mój szwagier więc imu opowiedzam jeżeli będe pewny z tą co kocham to sie ożynie i będe tu albo na kolonie, no to mój szachraj mnie przedstawił rodzicom i moi wybrany. Byłym przyjęty piersza i druga pogadanka no i w sobote zaręczyny, w niedziele piersza zapowiedź a po trzeci ślub po staropolsku t. j. 12 czerwca, przy końcu tego miesiąca zaczonem w Brazylji robote w wyży wyminionym warsztacie u Portugalczyka. Piersze trzy miesiące zarabiałym 2½ m. dzienne wszystko było dobrze, tylko brak mowy. Kiedy rozpocząnem życie famielijne pomimo moi zdolności z całym zapałem postanowiłem zostać rzymieślnikim, nie chciałem wierzyć że niepodobno jak to dużo mówią w sześciu miesiącach już zarabiałem 3½ mila miszkalim razem z rodzicamy moi żony, była to rodzina bardzo ekonomiczna tylko nie było miejsca na dłuższe zamieszkanie, było tam lepi gdzie nie byli. Po zwykłym czasie przyszło nam piersze dziecko, jak wiadomo powiększa sie i miłość małżyńska, w piątym miesiącu moja kochana żona zaczyna chorować czas upływa a poprawy niema, ja byłym pewny że najczulszą opieke może dać matka dziecku tak nie było, moja żona nie śmiała powiedzić nareście musiałem sie zostać w domu osiem dni przy pomocy ućciwygo doktora Francuza była uratowana, był to prawdziwy szkielet. Teściowie jadą na kolonie, mój majster radzi my sprowadzić sie do jego domu, dochtór mówi aby uratować zdrowia trza wyjechać na drugie miejsce wiec postanowiłem jechać na kolonie miejscowość Iziuj, zajechalim późno zaledwie dwa miesiące czasu do sadzenia. Nie żałowałem tego poznałem i na kolonii Polaków ta sama bałabajda, było widać zamieszkałych kolonistów wzorowy porządek gdzie byli Niemcy, Włochy, a Polacy jakby przyjechali wczoraj i to w najgorszych miejscach, dlaczego tak, przez polską ciemnote i głupote. Ja sie dowiedziałem Polacy byli piersi emigranty na Iziuj, naturalnie posiedli piersze kolonie a gdzie sie spotykało tych pierszych właśnie jak najdali od miasta ci co powrócili z Bonorajres Montewideo Paragui. Jednym było źle bo nie było ko-

ścioła, drugim Nimiec a Włoch aby posieść miejsce przysłości daje pareset milrejs i wariat bierze i wlecze sie na poniewierke. Już były towarzystwa parafialne, składki na budowe kościoła, kumisiom budowy był ksiądz August Chubert, w ty sprawie było dużo sporu, dużo sie nie zgodzili bo przewidywali to co sie stało a że to była duża miejscowość to byli masonamy i rozmaicie prześladowani, kiedy było skończone wielebny poznał głupote parafian, rozpoczon hulacze życie, zabrał jednemu koloniście żone za gospodynie, zniecierpliwiony p. M. kiedy obchodzono procesie w zielone świątki zastąpił na ulicy i chciał okłaćkiem cudzołożnika, za takie coś poszed pod arest za takie nieprzyzwoitość, wierni sie oburzyli i chcieli hakatyste wygnać jak sie okazało chto buduje tyn jest panem, tak samo sie powtarza do obecnego czasu. Polacy budują a biskupowie rządzom jak sie im podoba, wszystko co zauważyłym od roku 1897-go do 1936-go całe nieszczęście polskiego ludu. Już dochodzi 50 lat w Brazylji, religijny fanatyzm rzemsko katolicki drugich narodowości posiadają banki handlowe spółki wzorowie rolnistwa, u nas Polaków było i jest z wielkiem poświęcynim starali sie aby nie być w tyle za drugimy niestety kiedy jest więcy psujów jak twórców, to co sie nie podoba wielebnym idzie w niwecz pareletni pracy i tak sie powtarza; najwięcy cierpiało szkolnistwo, przez 22 lata dawny emigracji Polaków mogło być w Brazylji nie 80 tysięcy a 3 miliony i mieli okazyje prawo, obecnie wolna Polska miałaby więcy obywateli zagranicą, mogłaby mieć pomoc a teraz co ma dziadów potrzebujących pomocy, co sie zostało byli parobkamy dla Niemców a tu dla wszystkich narodów zamiast pracować u siebie albo u swoich pośli do Włocha Niemca, za takie głupie wychowanie i ciemnote Polski naród nie stara sie o to chto tymu winin a tych co sie starali dowieść co prawda a obłuda byli są prześladowani. Przyjechalim na kolonie jak wyży pisałem nie być kolonistą tylko dla polepszenia zdrowia moi żony to też wziąłem kolonie bez wyboru, bo i nie było czasu i mówie chto cierpiał biede to ostatni gałgan, prawda w razie suszy lichy urodzaj, a dowóz narazie był trudny to było niechtóre artykuły droższe a zależało od miejscowości było tani i droży, normalny czas kukyryza 60 kilo worek 2:500 res. fasola ty samy wagi 5 milores, słonina 1 kilo 400 rajs, na drugie produkty nie było ceny. Do życia było tyle ryb i zwierząt chto umiał łowić i polować miał

dosyć to też nie brakowało takich co z tego żyli, ja oprócz czasu do sadzenia robiem w jedny kuźni no i polowałem i łowiłym ryby, pierszy sprzęt miałem tylko kukyryze i troche szablu a reste zarobiłem pobudowałem co było pilniejsze i rozpoczonem szykować na drugie sadzenie z tą myślą nasadze dużo choć tanie, będe miał piniędze, drudzy sie śmiali, może mieli i racyi aby nie sadzić w jednym miesiącu, ja myślałem inaczy jeżeli nie da piersze będe sadzić drugi raz bo miesce czyste no i sie nie omyliłem, wiosna była sucha w początku września wszystko spaliłem i zapłaciłym za sadzenie mni jak ja zarobiłem wiec miałem zasadzone 60 kilów kukurydzy i 28 kili szablu oprócz tego różnych warzyw, miałem dużo czasu a co pare dni poszedem do roboty. Byłym kontynt żona wyzdrowiała była silna pomagała we wszystkim jako ućciwa przyjaciółka i gospodeni, moja plantacja okazywała sie dobrze klimat sprzyjał, w styczniu jedyn deszcz, luty, marzec i kwiecień susza późniejsze sadzenie wyschły, ja miałem wielki urodzaj tylko ryż my wysech więc postanowiłem poprzedać co miałem i do miasta dokończyć drugie rzemiosła, doczekałem dobry ceny 60 k. worek w domu my płacili 6½ m. szabel 18 milrejs szmalec aroba 15 kilo 20 milrejs, za niecałe dwa lata bytności zebrałem osiemset dziewięćdziesiąt m. 890:000 i tu drugi raz nazwali mnie głupim, tyle ma wszystkiego i wlecze sie do miasta i tu było racia żebym nie miał iny rady tylko być całe życie pomocnikim nigdybym nie opuścił kolonji, prawda trudno było o piniądz ale był cłowiek pewny tego co posiadał. W 1901 r. byłym w Rio Grande no i u tego samego majstra pierszy miesiąc miałem te same co przed wyjazdem, aby nie mieszkać na komornem pomyślałem kupić własne mieszkanie tą sprawą zajon sie majster. Kupiłem domek nowy z 14 metramy frontu i 60 długi za 2:000.000 dwa tysiące milrejs, 800.000 m. zadatek a reszte na raty 50 ml. miesiecznie tyle co lokal płaciłem na cztery miesiąc zarabiałem 4:500 dzien., po dwóch latach kupiłem drugi dom na tychże warunkach dostawałem 45 ml. miesięcznie, w trzeciem roku zarabiałem 6:500 rajs. po przyjeździe wstąpiłem do towarzystwa, najwięcy mnie interesowała szkoła a szła licho spowodu mały pensji nauczyciela no i opłata 60 m. lokalu towarzystwa, mojego zdania było mało członków, zaczyny sie rady i narady budować szkolny dom towarzystwa. Pierw plac na to, były rozsprzedane akcie członków i niecłonków tylko Po-

laków dużo przyszło nowych członków akcie dały 5 tysięcy milrejs, za 3 tysiące kupiono plac 2 tysiące zadatek na budowe domu 10 tysięcy na hipoteke 8 procent, w cztery miesiące dom gotowy, brastwo pracowało jak mrówki była radość z własności każdy wlókł coś do upiekszenia sali. Kiedy naznaczono dziń otwarcia i ceremonji budynku szkolnego były wysłane zaproszenia do miescowych urzędu i towarzystw, kiedy przyszedem rano co sie tu widziało ściany sali były zapełnione przeróżnymi lanszaftamy i obrazamy świętych no i kropielnica na swojem miejscu, czekałem co powiedzą drudzy kiedy sie ześli i zarząd jednym sie podobało drudzy zaczyni radzić a prezes wielcy uświadomiony kazał zdyjmać co niepodobno było w narodowym towarzystwie, ja zwróciłym na to uwage, aby nie zabijać serdecznego zapału już siwutkich niedoświadczonych staruszków przez ich wiedzy, moja propozycja była przyjęta nauczyciel miał liste ofiarodawców wiec poprosielem towarzyszy co znali gdzie mieszkali te sieroty bez historji, ja sie podjąłem wytłomaczyć że to co najświętsze u nas niepodobno wystawiać na szyderstwo takich to pare mistrantur poskutkowało, narazie nie było protestu choć były fizynomie kwaśne. Otwarcie i ceremonie Polskiego towarzystwa Białego Orła odbyło sie ze szczerą sympatią, były delegacie pięciu towarzystw naczelnik tego miasta i powiatu, Francuski konsul, były mowy bardzo sępatyczne dla Polskiego ludu i towarzystw a pomiedzy nami było powtarzane mamy swój dom no i długu po uszy, tyn ciężar był dla wielu obojętny, było powtarzane to nie pójdzie, brzydka opinia, zaczyny sie zalegać opłaty szkolne i miesięczne, kiedy przyszed czas na wybory nowego zarządu było już dwie partje powodem religijnym, nie brakowało odgróżek próbować siły, dzień wyborów sala pełna jak wiadomo przed wyboramy czyta sie statut chto zaległy dwa miesiące niema głosu, byłaby napewno bitka tylko chtoś poprosił o policie, wiec nie było rady tylko płacić zaległe, pomimo opłacenie głosowanie przegrali jaki był rezultat 35 członków wystąpiło i byli tacy co swoje akcje zdali na szpitale i przytułki i pokazać że nie pójdzie założyli drugie towarzystwo, prezesem był ksiądz zakonu selizyjanów. Narazie nie było szkoły była krzywda dzieci, za pare miesięcy założyli szkołe jak wiadomo płacić komorne i różne wychody to ciężar, nowe towarzystwo pokazało swoje towarzystwo balów co i w pierszem tak że było ciężko tylko była inna rada

a więc zakładamy koperatywe towarzystwa Białego Orła także akcyjne wkłada sie taką akcie ile jest wychodu miesięcznie trzy procent dywydendy, od wyboru na sesyje wybrano zarząd do sklepu t. j. prezes kasyjer subiecht i sekrytarz i rewizyjna kumisyja, dochód na spłacenie długu, na ty sesji złożono tysiąc dwieście dwanaście milrejs, ja byłym na głosowaniu wybrany kasyjerym tu zależało na kupnie i punktualnie płacić był kredyt na 90 dni, sześć miesięcy nasz sklep funkcjonował, po robocie fabryk robiło sie honorowo, po sześciu miesiącach był płatny sklepowy i kupilim wóz i dwa konie aby nie płacić frety oprócz tego upłacało sie hipoteke, w drugim roku pobudowalim drugi budynek na sklep za 6 tysięcy 3 tysiące zgóry a 3 na procent, było to solą w oczach dla handlarzy miejscowych, były różne przeszkody tych co byli nasadzani to nam pomagali bo to Aguia Branka Orzeł Biały. Od 1906-go do 1914-go sklep zarobił 16 tysięcy i w obrocie było 18 tysięcy a nowe towarzystwo niecałe dwa lata istniało, co kupili to nie starczyło na pokrycie długu, taki daje rezultat głupota, było i jest jedno towarzystwo, nie prosiło i nie prosi pomocy od rządów, już polskiego pochodzenia obywatele Brazylji utrzymują wzorowo polskość tylko nie budują kościołów potrafią sie modlić po portugalsku. Miło czytać ogłoszenia w czasie wojny rosyjsko apoński pomyślałem że przyszed upragniony czas mojego powrotu do ojczyzny niestety nie był czas pomyślny, chto my wytłomaczył konsul francuski że trza czekać jaż sie byńdą bić trzech naszych zaborców i tak sie stało, bardzo nam na obczyźnie Polakom dziwno dlaczego Polska zaminiła tradycyjną przyjaźń Polsko Francuską na krzyżacko jezuicką, prawda każdy robi dla siebie lepi, ale nie tak zachlawny na zaborczość o tem wi cały świat, niech każdy Polak powi od kogo więcy przyjacielski sępatji doznał, wieźmy tylko w Rio Grande przy budowie portu albo w fabrykach gdzie mieli wpływ Francuzi Polak był stawiany na pierszem stopniu jak robotnik tak i rzymieślnik a krzyżak domagał sie aby Polaka uważano za najpośledniejszy materiał, Rzym nas karmi zabobonną religią i cimnotą a pobiera olbrzymie wynadgrodzenie. W r. 1906 zaczą̨nym robić na kolei jako kowal pierszy klasy, spowodu kolejarze mieli prawo co rok dwudziestodniowy urlop i fraj jazde, mnie na tym zależało odnaleźć miejsce na kolonji i założyć warsztat. W r. 1914 byłym przetracportowany do Santa Marij ty samy

kompanji t. j. Belgijski, aby nie przerwać dzieciom szkoły wyjechałem na pare tygodni sam, takie wyjazdy miałem częste a na stałe z rodziną wyjechałem 1920 r., dlaczego nie pojechałem na kolonie właśnie moje postanowinie było dać dzieciom nauke a na kolonji szkoły były źle prowadzone, powiedzić prawde nie było nauczycieli tylko organisty a ja i moja żona mielim z siebie doświadczynie czem jest ciemny człowiek bez różnicy jak to dużo mówili dziewusze nie potrzeba skoły moja matuś nie umieli i nas wychowali, w nas było postanowienie nauka i rzymiosło nie pozwalalim sobie na to co potrzebne tylko przez czego nie można obyć, od początku wszedym do koperatywy kolejowy z wkładym 1500 milrejs i do pośmiertny kasy, koperatywa daje szkole darmo i materiał szkolny. Rząd postanowił zabezpieczenie bytu kolejarza starem i kalecznym, chto ma 30 lat pracy dostaje cały lon a 10 lat tylko oznaczoną czyść i był drugi powód ostać sie w mieście, kupiłem trzy hektary ziemi blisko oficyny bez długu, wychowalim siedem córek i dwóch synów w duchu Polskiem, wszyscy pracuja na siebie, żyniate i zamężne, większa część mieszkają w własnych domach i zimi, ja pracowałem 23 lata t. j. do 1932 r., po słabości dostaje miesięcznie 266 milrejs, z koperatywy dostałem zapomogi 4.500 milrejs, mam 22-ch wnuków, nigdy nie cierpiałem biedy i teraz nic nie robie a biedy nie mam nie jezdem ciężarem nawet dzieciom jak teraz tak i po śmierci, 6 tysięcy da na pogrzeb a resztą się podzielą. Taki to mój życiorys, twarde wychowanie i takież życie, nie żałuje niczego com przeszed z młodych lat bo doczekałem wolny i niezależny kochany Polski jak wiadomo już tam nie jezdem potrzebny, teraz słodze moje tęschnote przeszłością choć była czasem straszna, każde nieszczęście w Polsce dla mnie okropność, każdy człowiek w czasie wolnym ma grunt do rozrywki, mój był jedynie polowanie i czytanie wiele, wiele książek i gazet, to też każdego Polaka jest to obowiązkim pilnować lepi jak własnego zdrowia wolności chtóra kostowała tyle udręczynia i krwi aby sie nie powtórzyła taka historia jaką pozostawili nasi przodkowie a wiec niech to będzie nauką polskiego spułeczyństwa chtóre stoi u steru rządów nieszczęśliwygo ludu polskiego.

Dn. 26 sierpnia 1936 r.

Pamiętnik Nr. 24

Robotnik w Rio Grande do Sul, syn robotnika z Łodzi, ur. w 1897 r.

Pośród rzeczy pewnych na tym świecie rzeczą najpewniejszą, z wyłączeniem śmierci, to życie przeżyte w dalszej i bliższej przeszłości, której wydarzeń obrazy w pamięci naszej zachowują barwy niezmienne, a tylko w wyjątkowych wypadkach podlegające zatarciu. Seneka, wobec niezmienności nieodwołalnej przeszłości, co ani bogowie nie mieli władzy zniszczyć, powiedział, że „w wielkiej ciżbie niestałych rzeczy tylko to jest pewnem, co już przeszło". Ta niezmienność przeszłości ma naprawdę jakiś czar melancholijny i powab pełen poezji.

Przeszłość, żyjąca w pamięci i czułej tęsknocie ma ciepło i interes życia. Czerpiąc z tego ciepła i z tego życia, człowiek co myśli, ogrzewa się i ożywia przy tym obrazie przeszłości własnej, narodowej i ogólno ludzkiej, ucząc się działać w teraźniejszości, idzie ze wzrokiem utkwionym w przyszłość, bo najlepszym przewodnikiem w pochodzie przez życie jest znajomość przeszłości, o której Tytus Liwjusz mówi, że „jeżeli nie możemy ją poprawić, to przynajmniej możemy ją krytykować".

Wprawdzie człowiek powinien żyć w swoim czasie, ponieważ jednak skłonność do rozmyślania o przeszłości jest darem najszlachetniejszym jego duszy, więc nie dziw, że i ja też chcę dać Wam poznać obrazy z mojej przeszłości, teraźniejszości i wizję lekko zarysowującej się przyszłości własnej i polonji riograndeńskiej wogóle, starając się być wiernym i zwięzłym w opisie obrazów przeżytych, przeżywanych i mających być przeżywanymi.

* * *

W roku 1897, 5 grudnia, w Łodzi, w domu przy ul. Przędzalnianej róg Dobrej, przypadkowo tam a nie gdzieindziej ujrzałem światło dzienne.

Już w czwartym roku mego życia począłem zauważać, że moja matka całemi dniami była poza domem i że ojciec tylko letnią porą był nieobecny.

W zimie, najczęściej stał przy maleńkiej czarnej tablicy, kreślił na niej jakieś linje i obrazki kredą, pokazując je dziatwie co siedziała na ławach przy dużym stole. Ale co mnie mogło to wszystko obchodzić! Moja starsza siostra, licząca sobie sześć lat, ubierała mnie, dawała mi jeść i sporo szturchańców za to i za tamto.

Gdy skończyłem pięć lat mój szanowny tatuś kazał mi siadać na ławie z innemi dziećmi, dając mi rysik, tabliczkę i książkę, na której nauczyć się miałem a, b, c, i t. d. Przez prawie trzy lata wprost pochłaniałem język polski, rosyjski, niemiecki, arytmetykę i chciwie słuchałem historji Polski i geografji. Często moja matka kłóciła się z ojcem za to, że budził mnie o północy i zadawał pytania, na które zawsze odpowiadałem dobrze. Jako chłopiec pięcioletni wiedziałem już, że matka pracowała jako weberka u Szajblera od świtu do zmierzchu, zaś ojciec, pracując w budownictwie, zimową porą musiał siedzieć w domu — ale nie bezczynnie, bo przecież uczył dzieci polskie w dzień i wieczorami, nie pobierając grosza od uczniów. Co mnie najbardziej uderzało w owym czasie to, że w dnie zimne niektóre współlokatorki domu przynosiły do nas swe maleństwa piskliwe i źle odziane i że moja matka często zanosiła to do tej to do tamtej sąsiadki węgiel, kapustę kiszoną, ziemniaki i inne artykuły spożywcze, sama nie mając nadmiar niczego. Ale trzeba było znać moją matkę! Krewni ze strony ojca nie przychodzili do nas ani my do nich, bo dotychczas jeszcze nikt z mego domu, prócz ojca nie zna żadnego; krewnych ze strony matki nie bardzo lubiłem, bo zawsze szwargotali po niemiecku i chcieli żebym im wtórował. Już wtedy mówiłem jako tako po niemiecku, ale cóż, nie cierpiałem i nie cierpię do dzisiaj tej mowy, a tylko z konieczności nią się posługuję. Też przychodził do nas pan Marcin i gawęda toczyła się o jakiejś tam Brazylji,

gdzie rodzice moi i on sam już sześć lat byli i gdzie względnie dobrze im powodziło się aż do zachorowania mojego ojca w Sao Paulo. Jedno zacząłem pojmować dość jasno, to, że pragnęliby znów pojechać do tej wabiącej lepszem życiem Brazylji. Słysząc ich opowiadania o tym dalekim kraju, położonym hen, gdzieś na krańcu świata, drżałem na myśl o podróży, zobaczeniu portów, okrętów, morza, inne ziemie, ludzi i modliłem się żarliwie, prosząc nieba o spełnienie się pragnień moich.

Miasto Łódź stawało się za ciasnem dla mnie. Mniej więcej w tym czasie ojciec posłał mnie do szkoły prywatnej, w której uczyła kobieta nie pierwszej młodości, przystojna jeszcze i miła, ale której program szkolny był dla mnie za słaby, ażeby więc nie klepać tego co już umiałem i więcej jeszcze niż ona uczyła, robiłem różne figle i grube kawała psotnicze, celem wyrzucenia mnie ze szkoły, co też po pewnym czasie stało się faktem. Do szkoły rosyjskiej przez dłuższy czas ojciec kijem nie mógł mię zapędzić. Książka polska i pisma polskie stały się mym nieodłącznym towarzyszem nawet w wałęsaniu się po okolicznych borach, lasach i polach z innymi „łobuziakami". Moja jeszcze dziecięca dusza pragnęła poznać całą Polskę o jakiej mówił mi ojciec i książki przyjaciółki kochane, które nierzadko kraść musiałem, gdzie się dało i za co nieraz dostałem tęgie „lanie".

Ojciec stale miał w myśli i na języku wyjazd do Ameryki albo do Australji. Myśleć i mówić mu było o tem łatwo, lecz wyjechać z żoną i dziećmi było nie tylko trudnem, ale wprost niemożliwem z braku niezbędnej gotówki. To co rodzice zarabiali zaledwie wystarczało na prowadzenie bardzo oględnego życia; o ciułaniu pieniędzy nie mogło być mowy.

Tocząca się wojna rosyjsko-japońska i szemrania podziemne o strajku generalnym i mającej wybuchnąć rewolucji na pewien czas zagłuszyły myśl ojca o wyjeździe w świat.

Że coś wydarzyć się miało w najbliższym czasie upewniło mnie to, że moi rodzice gromadzili większe zapasy żywności i to że ojciec mój częściej wychodził z domu, mówiąc do matki: „Idę na zebranie"... a matka do niego: „Tylko się pilnuj"... Mówiąc prawdę, to ojciec w tym czasie prawie że mną się nie interesował. To też całemi dniami przebywałem na ulicach miasta i jego okolicach, biorąc udział w potyczkach i prawdziwych walkach jakie urzą-

dzali uczniowie szkół i łobuziaki miejskie, przedstawiając japończyków i rosjan. Na moich ramionach naramienniki były żółte — to jasne. Podczas tych walk przepowiedziałem sobie i innym, że kiedyś jeszcze będziemy żołnierzami polskimi. Wielu śmiało się z mojej przepowiedni i ze mnie. A gdy niechcący wyrwało mi się to powiedzenie w domu, matka pocałowała a ojciec uścisnął i rzekł: oby twe słowa święte były.

Czas biegł szybko ku wydarzeniom roku 1906 w Kongresówce. Przed memi oczami stoją jak żywe jeszcze dziś obrazy owych wydarzeń i wypadków w mieście Łodzi i okolicy. Jakim w nich był udział ojca i mój — mój, śmieszne, prawda? — nie będę tu o tem mówić obszerniej, bo za daleko ten opis by mnie zaprowadził, a tu nie o to chodzi. Jednego jednak przemilczeć nie mogę, że kilka razy mówiono moim rodzicom, iż Gutek nie żyje — zabity. Gdzie bywałem, co robiłem, jak tęgo „prałem" w kozaków, dragonów i czasami w piechotę rosyjską kamieniami z za płotów, wiem tylko ja i kilku moich kolegów — „łobuziaków". Że mój rodzic brał czynny udział w wypadkach ówczesnych wiedziałem dobrze, bo widziałem własnemi oczyma jak na Starym Rynku kierował dorożkarzami w chwili, gdy zatrzaśnięto tam jakiegoś grubego moskala; pare rewizyj przeprowadzonych w naszym domu świadczyły o podejrzeniu nań padającem. Że u nas nigdy nic oskarżającego nie znaleziono, to ojciec i jego niektórzy towarzysze zawdzięczali mnie, bo ja czuwałem nad wszystkiem co mogło być powodem do aresztowania, chowając w skrytce w kominie na strychu nawet brauningi zuchów z bojówki. Rok 1906 przeszedł mimo wszystko jako tako w naszej rodzinie, choć czasami było bardzo sucho i krucho ze wszystkiem. W następnym roku zdawało się że wszyscy będą oddychać swobodniej pod każdym względem, ale to tylko zdawało się. W istocie rzeczy nikt nie był pewny wolnego jutra. Tuż obok nas, w drugim domu, mieszkał rewirowy żandarmerji, Rosjanin polskiego pochodzenia, znając mego ojca, mówił doń pare razy, aby się miał na baczności i że zrobiłby najlepiej, gdyby wyjechał z miasta Łodzi. W tym czasie ojciec wkręcił mnie do gimnazjum na ul. Mikołajewskiej — dziś Sienkiewicza, gdzie przez pół roku zasłużyłem na wyrzucenie, przyczyniając się mimowolnie do rzucenia większego podejrzenia na ojca. Szpicle krążyli koło niego obwąchując go nieustannie, ale na tem pozostało do dzisiaj.

Znów powstała w głowie ojca myśl o wyjeździe w świat i więcej go nie odstępowała. Szczęście chciało dopomóc ojcu w urzeczywistnieniu pragnienia.

Dostawszy lepszą i popłatniejszą pracę, gdzie mógł robić i przez zimę, cały swój zarobek składał na wyjazd, będąc dom utrzymywany zarobkiem matki. Do żadnej innej szkoły w Łodzi nie poszedłem więcej. Pola, lasy, chęć zobaczenia Warszawy, Krakowa, Wisły, całej Polski władała całem mem chłopięcem jestestwem, a nie uczenie się i patrzenie na nauczycieli ciemięzców, którzy chcieli żebym wielbił Rosję i cara. Chęć moja miała się spełnić w zupełności jednocześnie z moją przepowiednią dopiero po dziesięciu latach.

W pierwszej połowie roku 1908 już na dobre przygotowywaliśmy się do wyjazdu. Emigracja na koszt rządu brazylijskiego ułatwiła całą kwestję. W drugiej połowie miesiąca sierpnia tegoż roku rodzina nasza, składająca się z siedmiorga dusz, po pożegnaniu się z krewnymi i znajomymi (pan Marcin beczał, jak baran, spowodu, że nie mógł się zdobyć na gotówkę potrzebną do zajechania do portu Bremen, ojciec nie był w stanie mu jej dać ani pożyczyć) opuszczała miasto Łódź bez łez w oczach, ale i bez radości na twarzach. Jechaliśmy koleją ku granicy rosyjsko-niemieckiej na rdzennie polskiej ziemi. Kalisz. Formalności graniczne. Później Poznań, Berlin i cel naszej podróży koleją — Bremen. Tu nas ulokowano w jakimś wielkim gmachu, gdzie już czekało na odjazd statku ze sto rodzin polskich, przeważnie pracowników rolnych bez roli w kraju ojczystym. Tu spotkaliśmy jednego młodego znajomego z rewolucji, bojowca, Jakóba Przybylskiego, co jakimś cudem zdołał przedostać się zagranicę.

Okręt „Crefeld" miał odejść za tydzień. Przez ten czas badano nasze oczy i szczepiono ospę, pozwalając nam robić zakupy i wałęsać się po mieście. Na parę godzin przed odjazdem zaszedł wypadek bardzo ciekawy, poważny i śmieszny zarazem: dwóch szpiegów żandarmerji rosyjskiej zjawiło się w Bremen i chciało zaaresztować Jakóba za uśmiercenie w czasie rewolucji jakiegoś rewirowego, ponieważ nie mieli papierów w porządku, policja niemiecka kazała im postarać się o takowe, gdyż bez nich nic im pomóc nie mogła — a może nie chciała... Mój ojciec udał się natychmiast do biura okrętowego i prosił ich tam o pozwolenie Jakóbowi

wejść zaraz na statek, co też uwzględnili, dając odpowiednią karteczkę. Potem tak umiejętnie zaprowadził Jakóba na statek, że szpieg, co nie spuszczał zeń oka został wykiwany na czysto. Zanim drugi szpieg porozumiał się z pełnomocnymi przedstawicielami rządu rosyjskiego w Niemczech w tej sprawie i wrócił aresztować Jakóba, okręt „Crefeld" już pruł fale morza północnego, a nad nim i za nim ciągnęło ptactwo morskie. Resztę pierwszego dnia podróży spędzono na znośniejsze urządzenie pobytu we wstrętnej norze okrętu. Ponieważ sprzęt ogólny nie był w komplecie, więc zachodziły gorzkie i ostre kłótnie pomiędzy wędrowcami, których moi rodzice godzili odpowiedniemi radami, żądając od marynarza-dozorcy brakujące kołdry i inne drobiazgi. W grupie złożonej conajmniej z trzystu osób po niemiecku mówili tylko moi rodzice (siebie i starszą siostrę nie liczę) i jakiś pół Polak austryjacki, ten nie upominał się o nic dla innych, starając się jeno przypodobać marynarzowi-dozorcy w nadziei, że on mu rzuci resztki ze stołów pierwszej klasy, zdobywając się nawet na bezczelność radzenia ojcu, aby nie troszczył się o tych chłopów, a dbał tylko o siebie. Rodzic mój, co nie pierwszą odbywał podróż, wiedząc doskonale co należy się pasażerom trzeciej klasy, najzwyczajniej posłał go do wszystkich djabłów.

Marynarz-dozorca i jego dwaj pomocnicy gniewnie zaczęli patrzeć na naszą rodzinę. Myśmy kpili z ich gniewnych spojrzeń, co bardziej jeszcze ich wprowadzało we wściekłość dlatego, że nie mogli urągać nikomu w naszej obecności. Gdy wieczór zapadł większość emigrantów polskich została tknięta chorobą morską; silniejsi potworzyli grupy na pokładzie i opowiadali o przyczynach wyjazdu z miejsc rodzinnych i przędli złote marzenia o przyszłem życiu w krainie lepszej doli, jaką miała być ziemia obiecana-Brazylja. Rodzice moi nie przerywali ich nici złotych snów, nie chcąc odsłaniać im zasłony kryjącej dramat twardej walki o życie ich oczekujące w dziewiczych lasach brazylijskich. Jedno pewnie wynikało z ich opowiadań to, że wszystkim w kraju źle było i że jechali w świat za łatwiejszym i lepszym kawałkiem chleba i wolniejszem życiem. „Crefeld" płynął w dzień i noc ku nowym dla mnie wybrzeżom. Na statku życie stawało się z każdym dniem jednostajniejsze i czasami aż nieznośne. Pierwsza klasa bawiła się, piła i zajadała smaczne kąski, natomiast emigranci pol-

scy traktowani byli gorzej psów bezdomnych... Żywność dawali nam pół zgniłą, źle ugotowaną i upieczoną; o troszkę gorącej wody trzeba się było kłócić z kucharzami albo dawać marki. Po opuszczeniu Lizbony zaszedł wypadek, który zmienił wszystko na lepsze, lecz który mógłby był mieć groźne następstwo. Dano nam obiad niemożliwy do jedzenia. Postanowili wszyscy zaprotestować przeciw takiemu wprost nieludzkiemu traktowaniu nas i zażądać lepszej strawy. Moja matka miała być wyrazicielką protestu ze względu na doskonałą znajomość języka niemieckiego. Wziąwszy blaszankę z istnemi pomyjami kartoflanemi, udała się do komisarza statku, co właśnie stał tuż przy granicy dwóch klas i przedstawiła mu protest i żądanie lepszego pokarmu. Gospodarz okrętu zabłysnął gniewem przejawiającem się czerwienią na jego opasłej twarzy, jednak całą siłą woli tłumił go, nie chcąc wybuchnąć gwałtownie, ze względu na w pobliżu stojących pasażerów pierwszej klasy. Biedną i godną politowania jest dusza ludu ciemnego bez względu na czas i miejsce. Przed chwilą jeszcze zdawało się że są gotowi stanąć jak mur potężny za moją matką na znak poparcia protestu i żądania, z zobaczeniem oficera statku ze złotemi naszywkami jedni znikli z pokładu, drudzy starali się być jak najdalej i jak najmniej widoczni.

Ojciec mój, ja i Jakób staliśmy o pare kroków od matki, milczący ale zdecydowani na wszystko. Pasażerowie górnego pokładu przypatrywali się rozgrywającej się scenie między słabą i biedną emigrantką polską a potężnym gospodarzem okrętu. Komisarz, Niemczysko olbrzymie, otyły, podobny do jakiejś nieforemnej kłody drzewnej, kazał sobie przynieść łyżkę, nabrał z blaszanki zupy ze zgniłych kartofli, sprobował i rzekł bezwstydnie: my oficerowie i marynarze też lepszego jedzenia nie jemy. Naco matka moja odparła, że to nieprawda i jeżeli dlań to jedzenie jest dobre, to może sobie je wziąść i zjeść, a nam niech nie daje tego co sam je, tylko możliwsze niż to, co mu w tej chwili tak bardzo smakuje.

Niektórzy pasażerowie I klasy wybuchnęli wesołym śmiechem, natomiast komisarz rozbestwił się i jakiemś przez zęby wycedzonem słowem musiał grubo ubliżyć matce, bo ona cisnęła nań blaszankę z zupą i błyskawicznie zdjęła pantofel skórzany, aby go trzasnąć w bezwstydny cyferblat, ale on, zanim spadł grom pantoflowy, odbiegł czemprędzej, słysząc za sobą te słowa: Ty pruska

świnio opasła, jeżeli drugi raz to powiesz, nie umkniesz mi i dostaniesz pantoflem! Całe szczęście żeśmy nie dosłyszeli tego co moją matkę tak obraziło, bo awantura mogłaby skończyć się krwawo. Co on był jej powiedział, tylko ojciec dowiedział się od matki dopiero na wyspie kwiatów. W tym samym prawie momencie zjawił się kapitan okrętu, mężczyzna wysoki, o twarzy sympatycznej, rozumnej i poważnej, pytając co zaszło. Ojciec, odprawiwszy matkę do dzieci, w energicznych zdaniach przedstawił całą sprawę, dodając z naciskiem, że o ile nie będziemy lepiej traktowani, co słusznie należy się nam, bo rząd brazylijski za to płaci, to w Rio de Janeiro powiadomi odpowiednie czynniki rządowe i poruszy tę kwestję w pismach brazylijskich i polskich, jak emigranci są traktowani na niemieckich okrętach. Dowódca statku odpowiedział ojcu, że to bez jego wiedzy się działo i mocno prosił go o nie robienie tego, przyrzekając uroczyście, że wszystko się zmieni od zaraz. Co przyrzekł święcie dotrzymał. Od tego dnia komisarza statku, zdawało się, że morze pochłonęło. Dopiero w Rio de Janeiro znów zobaczyliśmy jego wstrętną osobę.

Dzień mijał za dniem bez żadnych godnych zaznaczenia wydarzeń. Z każdym upływającym dniem okręt zbliżał się do ziemi Świętego Krzyża. Po opuszczeniu pięknej wyspy Madery monotonność przestrzeni rozrywały ryby fruwające; czasami płynące w oddali rekiny i przepływający okręt z przeciwnej strony. Na dzień i po dniu jazdy przed równikiem i za równikiem dziwacznie piętrzące się chmury, mieniąc się wszystkiemi barwami tęczy, przybierając coraz to inne kształty fantastyczne, porywały i w zdumienie wprawiały mój wzrok. Gdzieniegdzie widzieliśmy olbrzymie cielska wielorybów i większe gromady ryb fruwających. Wreszcie ujrzeliśmy na horyzoncie korony palm kokosowych i stały ląd Brazylji. Okręt zawitał do portu Pernambuco-Recife, potem Bahia-Sao Salwador, by stąd już ruszyć wprost do cudnej zatoki Guanabarra gdzie mieliśmy opuścić statek nas wiozący na zawsze.

W piątą noc po wyjeździe z Bahia zobaczyliśmy światła latarń stolicy Stanów Zjednoczonych Brazylji, co miała stać się drugą ojczyzną dla nas. Gdy ognista kula słoneczna rzuciła snop jasnych promieni w resztę cieniów nocy, „Crefeld" wpływał do zatoki Guanabarra, ocierając się prawie o mury fortu Santa Cruz i stok sławnej góry Pao de Assucar. Przed mojemi oczami roztaczał się

czarowny bajecznie krajobraz: tu zatoka pełna wysp i wysepek; tam góra Corcowado i miasto malownicze wśród wzgórz i na wzgórzach, z drugiej strony wzgórza i miasto Nicteroi; w głębi, zaledwie widoczny, widniał łańcuch gór zwany Orgauy. A jednak ten cudny widok nie był w stanie zaćmić w mej duszy mego miasta rodzinnego i jego najbliższych okolic. Już wtedy czułem, że ten kraj z jego bujną i malowniczą przyrodą będę mógł podziwiać, lecz kochać, tak jak moje strony rodzinne, nigdy. Na stojący okręt weszli jacyś urzędnicy państwowi, zażądali dokumentów; po przejrzeniu ich, kazali nam się przygotować do opuszczenia statku, co też wkrótce nastąpiło. Przy schodzeniu kapitan „Crefeld'a" żegnając się z ojcem, matką i nami — dziećmi, życzył nam zdrowia i powodzenia w nowem życiu. Gdy moja matka powiedziała do wszystkich obecnych marynarzy i oficerów — dowidzenia, to komisarz i majtek-dozorca mruknęli pod nosem, że z taką pasażerką nie chcą się więcej widzieć.

Z okrętu zeszliśmy wprost do olbrzymich szalup żelaznych, co ciągnione przez maleńki holownik, płynęły z nami do wyspy Kwiatów, znajdującej się gdzieś w górze zatoki, gdzie mieliśmy być zbadani przez lekarzy i gdzie mieliśmy czekać na statek, co miał nas powieźć do Stanu Rio Grande do Sul. Ja, po splądrowaniu całej wyspy, jednego dnia, korzystając ze sposobności trafienia łódki przywiązanej linką na wyspie i odpływu wody, nie chcąc wiedzieć kto jej właścicielem, popłynąłem do miasta Rio de Janeiro i tam bawiłem kilkadziesiąt godzin, w nocy śpiąc na ławie w parku Republica, w dzień starając się o życie i spotkanie Polaków. Szczęście nie bardzo mi sprzyjało odnośnie do spotkania rodaków i dłuższego tam pobytu, bo już czwartego dnia rano jakiś jegomość w mundurze zdybał mnie śpiącego w parku, a ponieważ na jego pytania odpowiadałem nierozumnie — zmiarkował, że jestem przybyszem i zaprowadził mnie do biura w porcie, gdzie już mój dobry ojczulek czekał z czołem zmarszczonem i groźnie poruszającemi się wąsami, co oznaczało — baty. Ponieważ na wyspie nikt nie widział i nie wiedział że to ja odczepiłem i popłynąłem cudzą łódką, więc najzwyklej w świecie wykręciłem się z opałów mówiąc, że przygodny rybak, który przez wielu faktycznie był widziany w pobliżu wyspy, łowiąc ryby, zabrał mnie z sobą i zostawił w mieście. Niemal wszyscy połknęli niewinne kłamstewko, tyl-

ko mój ojciec mocno powątpiewał o prawdziwości mego twierdzenia, bo znał mnie dobrze i wiedział, że jestem zdolny na grubsze kawały. Kilka dni później okręt „Wenus" z nami i prawie wszystkimi rodakami z „Crefelda" odpływał z Rio do portu Santos. Tu pozwolono nam wyjść do miasta. Ojciec mój znał wszystkie osobliwości tego miasta, bo w niem i Sao Paulo naprzemian żył dawniej przez trzy lata.

Pragnieniem ojca było pojechać ze mną do Sao Paulo, aby mi pokazać groby moich dwóch braci, co tam pochowani zostali przeszło dwanaście lat temu, ze względu jednak na krótki postój statku, pragnienie zostało pragnieniem. W ojca oczach ukazały się łzy na wspomnienie dzieci tam pochowanych, a i mnie też coś targnęło w głębinach duszy i zamgliło oczy przez chwilę — byli to moi rodzeni bracia. Matka moja — już w dalszej podróży opowiadała nam dzieciom o przeżyciach ojca w Sao Paulo i Santos, gdzie ojciec mógłby był stać się bogatym człowiekiem, gdyby nie choroba, co rok czasu zniewoliła go być bezczynnym i w końcu zmusiła wyjechać do Polski, gdzie w niespełna dwa lata później zjawiłem się na tym świecie i na polskiej ziemi, za co jestem niezmiernie wdzięczny Przypadkowi. Ja zaprzyjaźniłem się z załogą statku, złożoną przeważnie z mieszańców mulatos i morenos — cera lekko ciemna, bardzo prędko ucząc się języka portugalskiego i ucząc ich wyrazów polskich, co stwarzało momenty arcykomiczne, wywołujące śród obecnych wesołe śmiechy. W ósmym dniu po wyruszeniu z Rio de Janeiro Wenus wpłynął na rzekę Guaiba, a po dwóch godzinach jazdy od jej ujścia do Jeziora Kaczorów-Lagoa dos Patos — ujrzeliśmy, tonące w blaskach wiosennego słońca, miasto Porto Alegre — Port Wesoły, z oddali sprawiające dość dobre wrażenie. Gdy okręt stanął przy wysuniętym na rzekę drewnianym pomoście, przyszedł funkcjonarjusz od imigracji, każąc nam pozostawić wszystkie bagaże, po które miały przyjść wozy i poprowadził nas, jak stado baranów, piechotą aż do tymczasowej siedziby dla emigrantów, skąd za trzy tygodnie mieliśmy pojechać do ostatecznego celu naszej podróży na kolonję, na ziemię, co miała stać się naszą własnością prawie darmo. Pobyt w siedzibie dla emigrantów równał się więzieniu ostatniej kategorji, z wyjątkiem jeno, że wolno było wyjść poza obręb siedziby i wejść, kiedy się chciało. Wewnątrz budynku, obszerna goła sala — ni ló-

żek, ni prycz, ni ław, ni stołów — żadnego sprzętu domowego. Ale zato od pcheł aż się roiło! Żywność też była warta psa bezpańskiego. Kto miał grosze ten sobie radził, kto nie miał ten ze łzami w oczach jadł, bo jeść musiał. Niejedni tęsknie wspominali swe miejsca rodzinne i zaraz pragnęliby wrócić tam, gdzie im tak niedobrze było... Mimo wszelkie niewygody i niedostatki żywili się nadzieją, że przecież niezadługo otrzymają ziemię, a na niej umią i lubią pracować, potem wszystko zmieni się i da im znośniejsze życie. Czy wkrótce? Czas miał dać odpowiedź.

Rodzice moi, co już w Porto Alegre byli bezmała trzy lata przed powtórnem doń przyjazdem, udali się do znajomego rodaka, u którego zamieszkaliśmy aż do dnia wyjazdu na kolonję Ijuhi. Dwadzieścia osiem lat temu Porto Alegre było raczej „dziurą" prowincjonalną niż miastem stołecznem Stanu — a jednak w gruncie rzeczy niem było. Tylko od strony wjazdu do portu miało wygląd miasta i to z oddali. Rodzin polskich żyło w niem około siedemdziesiąt, jak twierdził znajomy rodak. Istniały dwa polskie towarzystwa, mające swe domy. Jedno starsze, z początku nosiło nazwę „Naprzód", potem „Zgoda", a później jeszcze „Białego Orła"; drugie „Tadeusz Kościuszko". Pierwsze wyróżniało się dość zasobną bibljoteką; drugie prowadzeniem polskiej szkoły. Poza tem ojciec oprowadzał mnie po znanych i bolesnych sobie miejscach jak cmentarz miejski, gdzie spoczywali snem wiecznym jego pierwsza córka i syn, moja najstarsza siostra i brat, by stąd pójść do miejsca, gdzie pierwsi i troszkę późniejsi emigranci polscy mieli siedzibę tymczasową, w której siedzieli całe miesiące a którą była stara szopa cegielni, już zniszczona prawie doszczętnie czasem i niedoglądem, gdzie wszystkie małe dzieci polskie przywiezione z kraju znalazły śmierć w postaci różnych chorób. Nieporządek, sypianie na gołej ziemi, robactwo, nieodpowiednie pożywienie i brak opieki lekarskiej przyczyniły się przeważnie do uśmiercenia polskich dzieci. Stałem nad mogiłą pierwszych ofiar polskich w Stanie Rio Grande do Sul.

Polskim emigrantem, mającym paszport rosyjski lub nie mającym żadnego, nikt się nie interesował, a urzędnicy brazylijscy na wszystko mówili paciencia — cierpliwości.

Chłop polski i wyjątkowo inteligentniejszy rzemieślnik miejski zanim jeszcze wyruszył na tak mocno upragnioną kolonję, już

czuł tęsknotę i żal za tem co w kraju miał i porzucił i powróciłby natychmiast tam skąd go bieda wygnała, lecz brak środków na powrót zmuszał go przejść przez piekło twardych trudów i cierpień bolesnych. To mi opowiadał ojciec w pielgrzymce po miejscach dlań znanych i bolesnych, gdzie nie tylko on sam, ale i wszyscy pierwsi emigranci polscy dotkliwie cierpieli.

Niektórzy rodacy, a nawet i Niemcy radzili ojcu zostać w mieście. Ponieważ jednak ojciec był postanowił sobie jeszcze w kraju, że tym razem zagospodaruje się na kolonji, więc razem z innymi powędrowaliśmy pociągiem do Cruz Alta, mieściny odległej od Porto Alegre okrągło 600 kilometrów, stąd 55 kilom. wozami do wsi Ijuhi. Tu, w barakach źle sklecconych czekaliśmy dwa tygodnie na wyznaczenie kolonij. Większa część z naszej grupy udała się na kolonję Guarani, reszta pozostała w Ijuhi. Nasza rodzina otrzymała kolonję odległą od wsi o 29 kilometrów. W 1908 roku Polacy z pierwszej emigracji i następnej wkrótce byli dobrze zagospodarowani, mając swe kolonje tuż przy wsi i w najbliższej okolicy. Jeden z kolonistów radził mądrze ojcu, żeby pozostawił rodzinę u niego w domu, a sam pojechał na koniu przezeń ofiarowanym, celem rozejrzenia się i przygotowania schroniska dla nas. Ojciec, zrozumiawszy logiczność rady dobrego rodaka, postąpił w jej myśl, dosiadłszy konia, ruszył w drogę, a że mi nie przykazał zostać z matką, więc ujrzał mnie czekającego nań przy rzece Faxinal, przy której byłem wcześniej od niego, a która płynęła o 11 kilometrów od zagrody kolonisty. Radosne zdziwienie bijące z ócz ojca i uśmiech zadowolenia świadczyły, że nie jest krzyw na mnie. Przeprawiwszy się przez bród na drugi brzeg, za godzinę z minutami stanęliśmy na naszej kolonji, gdzie na łagodnym pagórku stała nieduża szopa, zrobiona z pali i pokryta trawą; przedzielona na dwoje ścianą z trzciny, mając w jednej połowie sporą kupę basiek kukurydzy, co dowodziło, że tu już ktoś sadził i zebrał — a dlaczego nie wziął, to dotychczas nie wiem i wiedzieć nie będę.

Ponieważ na zachodzie zaczęły skupiać się ciemne chmury, więc ojciec po rozejrzeniu się i wybraniu odpowiedniego miejsca pod przyszły dom naglił do powrotu mówiąc, że jutro wrócimy. Ja uparłem się, że pozostanę, prosząc jeno ojca o zostawienie mi toporka. Spędzenie samemu jednej nocy w lesie, a właściwie w tej

szopie bez drzwi i ścianach pół otwartych, wcale mnie nie przerażało. Ojciec jadąc precz od czasu do czasu odwracał głowę, chcąc widzieć czy za nim nie biegnę. Ja stałem przez chwilę zapatrzony na coraz to wyżej wznoszące się ciemne chmury na widnokręgu. Potem uciąłem kilkanaście drążków, kupę gałęzi z liśćmi i długiej trawy, sznurów ljanowych i nazbierałem kupę liści suchych, wziąłem się do splecenia zasłony na drzwi, a gdy już ją zawiesiłem, przywiązawszy mocno ljanami, zacząłem zatykać trawą szpary w ścianach, następnie zrobiłem kojko do spania z palików i drążków, pokrywając je grubą warstwą suchych liści i trawy. Na krótko przed wieczorem echo piorunów dało się słyszeć z bliskiej oddali. Powietrze stało się ciepłe i gęste, że trudno było oddychać. Poszedłem do strumienia, napiłem się czystej i dziwnie zimnej wody, zjadłem kawałek chleba kukurydzianego z kiełbasą zostawioną mi przez ojca, popiłem znów wodą orzeźwiającą, zapaliłem papierosa, wróciłem przed mój pałac leśny w lesie, usiadłem przy nim i patrzałem na zbliżającą się nawałnicę, co długo na siebie nie dała czekać. Wicher poprzedził deszcz ulewny i wyładowania elektryczne. Szum, łoskot i grzmot potężny rozlegał się bezustannie, wstrząsając ziemią. Mnie te żywioły atmosferyczne w ruchu nie bardzo przejmowały. Co naprawdę mnie przejmowało i nie pozwalało zasnąć to, że matka się martwić będzie o mnie i to, że może rzeka wylać i nie pozwolić ojcu jutro przybyć z żywnością, o ile deszcz ulewny padać będzie przez całą noc. Gdzieś w górze rzeki był prom, lecz jadąc tamtędy ojciec mógłby przybyć późną nocą, o ileby wyjechał ze świtem. Leżąc na mym kojku i myśląc o rzeczach realnych i nierealnych nagle usłyszałem chrupanie za ścianą; wyjąłem trawę ze szpary i gdy błysk rozdarł chwilę ciemności, zobaczyłem dwa prosiaki opancerzone — tatu — najspokojniej w świecie raczące się kukurydzą. Wstać, chwycić mocny kij, wyjść i czekać na błysk, aby zadać cios pewny jednemu z nich (deszcz szum i grzmoty głuszyły moje ruchy) uderzyć i złapać wierzgające jeszcze prosię, było chwilą trwającą sekundy. Teraz choćby trzy albo cztery dni przyszło mi czekać na ojca, o żywność już się nie troszczyłem, to też wkrótce zasnąłem na mem łożu wonnem i miękkiem. Gdy przebudziłem się deszcz lał jeszcze. Zakrzątnąłem się koło prosiaka, któremu w nocy przetrąciłem pancerz, zapaliłem ogień i upiekłem kawał mięsa. Mimo braku soli i smaku

błotnego zjadłem z apetytem. Po południu rozjaśniło się zupełnie; słońce królewsko jaśniało na lazurze firmamentu bezchmurnego; powietrze stało się lekkie i ożywcze. Toporek puściłem w ruch, ścinając cienkie drzewa na pale, przygotowując budulec na dom. Las tętnił od wesołego krzyku i świergotu ptactwa i odgłosu uderzeń toporka.

Czwartego dnia, krótko przed południem, przybył ojciec w towarzystwie jednego murzyna, co miał pomóc w pracy. Negier nie mógł wyjść z podziwu, że miałem odwagę być sam jeden w tem dzikiem otoczeniu, a gdy zaprosiłem go na pieczyste z „tatu", to zupełnie zbaraniał.

Ojciec rzekł mi tylko, że matka jest niespokojną o mnie, i że zuch ze mnie. Tego samego dnia jeszcze wzięliśmy się do roboty. Trzy dni później obszerny dom z pali drzewnych, gliny i trawy stał gotowy na przyjęcie mej matki i sióstr.

Mnie przypadła nielada radość być opiekunem i przewodnikiem aż do miejsca, gdzie mieliśmy zostać tylko jeden rok. Ojciec najął jeszcze trzech negrów do rąbania lasu i innych robót w polu, sam też pracując od świtu do zmierzchu i często w noce księżycowe do późnej godziny. Ja, będąc chłopakiem jedenastoletnim, pomagałem ile tylko mógłem, tak, że po dwóch miesiącach byłem wyczerpany z sił, z nadmiaru pracy i strasznych upałów. Pieniądze też się wyczerpały — ojciec był zmuszony odprawić wszystkich pomocników najętych. Pracując za dwóch i za trzech w końcu poważnie zachorował. Moja matka, aby leczyć ojca i żywić siebie i nas, sprzedała nawet to, co jeszcze było na polu. Po dziesięciu miesiącach pobytu na kolonji rodzice zostali zmuszeni sprzedać obrączki ślubne, zegarek, broń, świnie, kozę, krowę, wreszcie lepszy przyodziewek, tylko konia nie sprzedali, bo ten był niezbędnym... Na dopełnienie biedy przyszła na świat jeszcze jedna siostra. Ja jeździłem dwa razy w tygodniu do starszych kolonistów polskich prosząc o żywność dla rodziny. Dobrzy ludzie dawali co mieli — nawet mleko w butelkach, za co im jestem wdzięczny do dzisiaj. Z każdym upływającym dniem ojciec dochodził do przeświadczenia i w końcu do przekonania się, że jego postanowienie o życiu i pracy na własnej kolonji — nie mając pieniędzy — stawało się niewykonalne, gdyż zrealizowanie jego wymagało zdrowia tęgiego i siły fizycznej, a on ich tyle nie miał. To też

gdy poczuł się zdrowszym, poszedł szukać jakiegoś lżejszego zajęcia. W tym czasie szkoła polska na tak zwanej Pierwszej linji była bez nauczyciela. Koloniści wiedząc o średniem wykształceniu ojca, ofiarowali mu posadę, z pensją 40 milreisów miesięcznie, na co ojciec przystał.

I tak po przeszło rocznej bytności na kolonji, bez grosza, prawie nadzy i osłabieni fizycznie, przenieśliśmy się do szkoły, gdzie nauczyciel miał także mieszkanie — dwa pokoiki. Ojciec mój, otwierając rok szkolny mówił do obecnych rodziców dzieci już przeegzaminowanych, kładąc mocny nacisk, żeby regularnie posyłali je do szkoły, o ile pragną, aby one zrobiły postęp w nauce, bo idzie się wstecz, jeśli nie postępuje się i t. d. Jak dziatwa czytała, pisała i liczyła, co wiedziała z dziejów Polski i geografji, czego nauczyły się wogóle przez kilkoletnie uczęszczanie do szkoły, wiedział ojciec, co je przeegzaminował i ja, co ciekawie przysłuchiwałem się, lecz mój ojciec, nowy nauczyciel, ich rodzicom nie powiedział, że one nic nie umiały i nie miały pojęcia o niczem...

Nowy nauczyciel nie tylko uczył czytać, pisać i liczyć, lecz robił pogadanki i wykłady przystępne dla umysłu dziecka 7 i 15 letniego z historji Polski, geografji i o ludzie polskim; mówił im o górach, morzach, atmosferze, słońcu, gwiazdach, trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów; mówił im o życiu ludów, zwierząt wielkich i maleńkich; mówił im o lasach, borach, o roślinności wogóle; mówił im o pożyteczności książki i wiedzy zawsze i wszędzie; nie mówił im tylko o piekle, czyśćcu i niebie, choć na ścianie wisiał obraz matki boskiej częstochowskiej; robił ćwiczenia gimnastyczne i wycieczki do miejsc godnych widzenia. Dzieci robiły postęp z dnia na dzień w nauce ogólnej i tak się przywiązały do nauczyciela i szkoły, że ich rodzice nazwali ojca mojego „magiem". Mnie wzięli do siebie bezdzietni staruszkowie, u których byłem jako syn przez kilka miesięcy. Po półrocznej nauce udzielanej dzieciom przez nowego nauczyciela, niektórzy ojcowie dzieci, ciemni i fanatyczni wyznawcy kultu kościelno-religijnego, dowiadując się od swych dzieci o rzeczach całkiem naturalnych, ale o których sami nie mieli żadnego pojęcia, zaczęli nauczyciela podejrzewać o niedowiarstwo i masońtwo, że jest socjalistą — mieli pewność. Kazali swym dzieciom podsłuchiwać i im donosić co u nas w domu mówiono, czy modlimy się i t. p. Niektóre dzieci

przyłapane otwarcie mówiły, że robią to z nakazu i groźby bicia przez rodziców, że nauczyciela i nas szanują i lubią, i że wstydzą się swego postępku. Nagle sprowadzili księdza ze wsi, aby ten przepytał uczniów. On, po uczynieniu tego orzekł, że dzieci zrobiły duży postęp w nauce świeckiej, ale że w kościelnej nic nie umieją. Nowy nauczyciel odpowiedział, że jeśli księżom tak bardzo zależy, aby dzieci znały zasady kościelno-religijne, przeto sami powinni tem się zająć, bo mają mało pracy a dużo czasu. Ksiądz, pół Polak, pół Niemiec, odjechał wściekły. W niedzielę z ambony kościelnej rzucał gromami na nauczyciela bezbożnika, nakazując wiernym przegnać go na cztery wiatry. Rozumniejsi i rozsądniejsi koloniści powiedzieli ojcu co się święci, a będąc zadowoleni z postępu swych dzieci, co nadaremnie nie traciły czasu i ich pieniędzy, zapewnili ojcu wszelką pomoc materjalną i moralną, aby tylko nie porzucał szkoły — co teraz dopiero naprawdę stała się szkołą. Nierozumni, dobrzy lecz ciemni ludzie, przestali posyłać swe dzieci do szkoły, grożąc wyrzuceniem ojca nauczyciela siłą o ile sam dobrowolnie nie usunie się.

Dla świętego spokoju w kolonji i własnego chciał to uczynić, ale mądrzejsi koloniści robili wszystko, żeby pozostał i nadal uczył ich dzieci. Groźby przez kartki anonimowe i zaczepki osobiste zmusiły ojca udać się do intendenta — rządcy oficjalnego kolonji i przedstawić mu całą kwestję we właściwem świetle, gdyż według pewnych danych mieli zrobić napad i połamać kości nauczycielowi niedowiarkowi. Intendent dał ojcu pełne pozwolenie nawet na użycie broni palnej bez względu na czas i miejsce i chciał dać dwóch żołnierzy do dyspozycji ojca. Do żadnej jednak ostateczności nie doszło, czy to na tłumaczenia rozsądniejszych, czy też oni sami zrozumieli, iż ich zamierzany postępek może narazić ich na więzienie, a nawet na śmierć z ręki ojca, czy może sam ksiądz odwiódł ich od tego, po usłyszeniu mocnych uwag od intendenta, pułkownika Antonio Soares de Barros. Z pewnością jedno, drugie i trzecie złożyło się na zaniechanie przez nich połamania kości ojcu. Dzieci ich pomimo srogiego zabronienia im przez rodziców nawet przechodzenia w pobliżu szkoły, każdego prawie dnia przychodziły bawić się z nami, mówiąc, że proszą rodziców swych o posyłanie do szkoły, gdzie nauczyciel i jego rodzina są tacy dobrzy i dbają o nie jak o własne dzieci. Doszło jednak do tego, że w nie-

obecności naszej wtargnęli do sali szkolnej i zabrali obraz matki boskiej częstochowskiej, czem zasłużyli sobie na miano złodziei. W ostatnich miesiącach roku szkolnego ci nierozumni acz dobrzy rodacy przyszli gremialnie do ojca i przeprosili, zawiesili obraz w szkole, urządzili potem huczną zabawę, pełną tańców, śpiewów, deklamacyj, serdecznych uścisków i wykrzyków — Kochajmy się! a mój ojciec dodawał — szanujmy się!

Wszystkie dzieci szkolne były rozanielone z radości. Dla ojca dalszy pobyt na posadzie nie odpowiadał naszym wymogom życiowym. Co innego gdybyśmy mogli byli wytrzymać na własnej kolonji, a co innego siedzieć na cudzem i niepewnem, pobierając pensję, co zaledwie wystarczała na liche wyżywienie, bez lepszych widoków na przyszłość. Po głębszem wniknięciu w istotny stan naszej sytuacji, ojciec postanowił tylko zakończyć rok szkolny, by potem jakimkolwiek bądź sposobem dostać się do Porto Alegre.

Wreszcie przeprowadziliśmy się do miasteczka Ijuhi, nie mając grosza w kieszeni. O lżejszej pracy dla ojca mowy nie było. Jedynie mógłby otrzymać robotę przy drogach, gdzie musiałby ciężko robić łopatą i kilofem, pracy tej więc nie mógł przyjąć, ze względu na swe zdrowie i siły. Jeden dobry kolonista polski sam od siebie dobrowolnie ofiarował pożyczkę pieniężną ojcu, aby on sam udał się do Porto Alegre i później sprowadził rodzinę.

Ojciec pojechał przyrzekając nam, iż najdłużej za miesiąc przyśle pieniądze na zapłacenie długu i na podróż dla nas. Po wyjeździe ojca matka zachorowała, wprawdzie nie bardzo poważnie, ale aż za poważnie jak na nasze położenie wogóle. Ja uprosiłem intendenta o pracę, celem zarobienia troszkę pieniędzy na lekarstwa i lepszą żywność dla niej. W jego sklepie ogromnym zamiatałem, pomagałem w kuchni, na podwórzu, przy balkonie i co byłem w stanie. Jego żona i córki dowiedziawszy się o naszej przykrej sytuacji, posyłały przeze mnie jedzenie i schodzone suknie dla sióstr i prosiły gorąco lekarza, żeby miał wzgląd na moją matkę. Gdy minął miesiąc otrzymaliśmy zawiadomienie z poczty, że jest dla nas list pieniężny z Porto Alegre. Matka już na tyle była zdrowsza, iż sama poszła po odbiór listu. Zapłaciła dług koloniście-przyjacielowi i w dowód wdzięczności podarowała mu jedynego konia — mojego konia! tego wiernego towarzysza mego w wędrówce po żebraninie, gdyśmy jeszcze byli na kolonji w rozpaczliwej

sytuacji. Trudno. Chociaż łzy spływały po mej twarzy i kurczyło się serce, byłem pozornie zadowolony, że mój czworonożny przyjaciel dostał się do dobrego i uczciwego rodaka. Wszak wziąść go do Porto Alegre nie było za co. Po tylu latach wspomnienie o nim jeszcze perli łzawo moje oczy. Po szczerej podzięce wszystkim dobrym ludziom w Ijuhi, piątego dnia od otrzymania listu od ojca, wóz ciągniony przez cztery konie, popędzane przez rodaka, który prawie darmo wiózł nas do Cruz Alta — na dworzec kolejowy, na pociąg, do ojca, pędził stepem, zostawiając z każdą mknącą chwilą dalej i dalej kolonję Ijuhi, gdzie przez przeszło dwa lata mój ojciec daremnie walczył z nieubłaganym i nieraz okrutnym losem.

Trzeciego dnia późnym wieczorem byliśmy w Porto Alegre. Ponieważ nie powiadomiliśmy ojca kiedy tu przybędziemy, więc nie czekał na nas. Mając adres, wbrew woli matki, obawiającej się, że zabłądzę i chcącej przeczekać do rana w magazynie, ruszyłem na miasto, pytając przechodniów o ulicę, gdzie mieszkał ojciec. Godzinę później matka z siostrami mojemi znajdowały się w objęciach męża i ojca, a pół godziny potem byliśmy znów wszyscy razem u dawnych znajomych rodziców moich, którzy już czekali z kolacją a la minuta.

Tu los przedtem nieco okrutny zaczął do naszej rodziny uśmiechać się nieznacznie w kącikach ust tak często zwodniczych. Porto Alegre poczęło nabierać rozmachu i rozpędu do rozbudowy iście amerykańską rzutnością. Niemcy i Włosi rozszerzali swe interesy handlowe i przemysłowe na potęgę — z niemi kulturalno-społeczne. Rząd Stanowy i municypalny też nie pozostawał w tyle. Chcąc nadać miastu wygląd współczesny, stawiał wielki pałac na swą siedzibę, doki w porcie, gmach pocztowy, telegraficzny, kasy oszczędności i inne. Linje tramwajowe przedłużano na wszystkich odcinkach. Robiono kanały i brukowano ulice. Zapanował ruch i względny dobrobyt dla wszystkich klas społecznych.

Niemcy i Włosi na wyścig kupowali ziemię prawie za bezcen. Przewidywali jej zdrożenie w krótkiej przyszłości. Polacy, zamieszkujący w Porto Alegre, zadowoleni względnym dobrobytem, jaki im dawały względnie dobre zarobki, opanowani tęsknotą i ideją powrotu do ojczyzny, uważając swój pobyt tutaj za tymczasowy, miast iść śladami innych narodowości, woleli kłócić się wzajemnie i zazdrościć jeden drugiemu nawet tego, czego on nie miał.

To polskie — jakoś tam będzie — prowadziło i prowadzi wciąż jeszcze Polaków riograndeńskich do nijakiego znaczenia w koncercie życia ogólnego w tym Stanie.

Ojciec mój prędko zdobył szeroką popularność śród tutejszej Polonji, przez swe wykształcenie, uczciwość, pomaganie słabszym i swą nieskazitelną polskość, mimo obracania się pośród Niemców. W niedługim czasie kupił kawałek ziemi, pobudował dom własny, mnie posłał do gimnazjum, prowadzonem przez księży. Zazdrośni rodacy nazywali ojca „rogaczem" a mnie „młodym rogaczem". Ojciec będąc członkiem czynnym Towarzystwa „Białego Orła" został wybrany wice-prezesem, bo prezesostwa nie mógł przyjąć, nakazał mi brać czynny udział w przedsięwzięciach Towarzystwa, gdzie też często deklamowałem, „grałem" na scenie w sztukach teatralnych i niechcący uczyłem mówić lepiej po polsku polskich chłopców, z którymi przestawałem. Nie zrobił mój ojciec majątku do dzisiaj, lecz ma swój dach nad głową i jaki taki dochód miesięczny z innych własnych domów, co pozwala moim, już dziś starym rodzicom żyć aż do ostatniego ich tchnienia, bez pomocy materjalnej swych dzieci i obcych. Przez długie lata ojciec był członkiem czynnym Towarzystwa, a i dziś jeszcze, choć liczy już sobie 79 lat istnienia, każdy raz kiedy doń przyjdą po wsparcie, nie odmawia takowego.

Tu przejdę do opisu już prawie tylko mego życia w tem otoczeniu różnonarodowościowem i przyrodzonem, w którem obracałem się przez siedem lat z krótkiemi przerwami, by potem przeżyć pięć lat w Europie i znów w Porto Alegre do dnia dzisiejszego.

W czasie dwuletniego uczęszczania do gimnazjum, gdzie w większej części uczyli księża Niemcy, często miałem ostre zatargi z kolegami szkolnymi i nauczycielami, za ich lekceważenie i poniżanie wszystkiego co polskie. Z księżmi-Niemcami, moimi nauczycielami, którzy chcieli wmówić we mnie, że jestem Rosjaninem, bo przecież Polska politycznie i ekonomicznie nie istnieje, tak mówili, dyskutowałem na potęgę, wyjeżdżając nieraz grubem powiedzeniem za co byłem niedobrze przez nich widziany. Za to, że nawet negier mówił — „Polak nie ma chorągwi" — „Polak sprzedał albo zamienił Polskę za beczkę łoju" — „Polak gówniany" — „Polak do niczego niezdolny" — i inne obrzydliwe i poniżające epitety, ponosili odpowiedzialność Niemcy i tylko Niemcy. Już przed-

tem miałem pewne uprzedzenie do Niemców — w Porto Alegre ono zamieniło się w nienawidzenie.

Władać językiem portugalskim nauczyłem się bardzo prędko, więc też prawiłem o Polsce i ludzie polskim tym wszystkim, którzy słuchać chcieli i nie chcieli — ciekawość brała górę, stając się popularnym i lubianym przez młodzież szkolną i urwisów ulicznych. Co mnie w owym czasie doprowadzało do bezgranicznego oburzenia to, że Polacy, umiejąc nierzadko aż za głośno mówić po polsku w Towarzystwach, w miejscach publicznych mówili do siebie szeptem, a będąc zapytani polskim językiem w tramwaju czy innem miejscu, odpowiadali portugalskim, kalecząc go niemiłosiernie, — to mnie spotkało kilka razy i to od osób, po których nigdy bym się tego nie spodziewał. Z dumą mogę powiedzieć wszystkim i każdemu z osobna, że przez parc lat tu, w Porto Alegre, ja jeden pełnym głosem mówiłem wszędzie, szczycąc się nawet, że jestem Polakiem! Mnie znali Niemcy, Włosi, Brazyljanie, Negrzy, Arabi, Syryjczycy, Turcy i inni, znali mnie zawsze jednakim obrońcą naszej narodowości, słowem i kijem, i kamieniami, gdy zaszła tego potrzeba — ostatni argument. Ponieważ w gimnazjum księża bawili się więcej w uczenie religji niż w naukę rzeczową (dochodziło nawet do tego, że gdy uczeń nie przychodził do kaplicy na mszę niedzielną, to wystarczało, żeby w egzaminach przepadł bezapelacyjnie). Ja miałem za sobą i tę nieumiejętność jeszcze, że byłem Polakiem i czasem mocno odciąłem się panom nauczycielom w sutannach, co byli na Polaków tak samo zajadli jak wszyscy Niemcy wogóle. Choć w Porto Alegre Polacy już byli 24 lata, w gimnazjum prócz mnie, nie było drugiego ucznia polskiego. Trzymali się jeszcze starej chłopskiej zasady: mój ojciec nie kształcił się i żył, ja się nie kształciłem i żyję, to i moje dzieci bez wykształcenia żyć będą. Żyły i dziś z nich sporo jeszcze żyje, ale jak żyły i żyją, to czarny Negier im nie pozazdrości...

Mnie dużo rzeczy nie podobało się w gimnazjum to też gdy przepadłem w egzaminie rocznym, powiedziałem kilka słów arcyniesmacznych egzaminatorom mściwym i więcej moja noga tam nie stanęła. (Może w przyszłym roku mój starszy syn tam wstąpi, bo dziś jest inaczej ze wszystkiem w tem gimnazjum, chociaż uczą księża). Miałem już 15 lat w komplecie. Świat kusił mnie do rzucenia się w jego nieogarnięte przestrzenie. Duch koczowniczy po-

czął się budzić i pchać na drogę przygód nieskończonych... Więc gdy ojciec zrobił mi porządny wykład moralno-cielesny za porzucenie szkoły, porzuciłem także dom ojcowski i statkiem pojechałem na północ Brazylji, do Belem do Pará, z zamiarem udania się stamtąd do Afryki, potem do Europy i Polski.

Jakaś siła tajemnicza wiodła mnie ku Polsce. Nie była to tylko tęsknota, o nie! Może bym i dostał się do Afryki i dalej, ale mówiąc nawiasem pracować fizycznie wówczas nie lubiałem, a do tego jeszcze klimat równikowy w Pará, zupełnie mi odebrał chęć do jakiejkolwiek roboty, to też wróciłem znów do Porto Alegre. Mój ojciec nie przysłał mi pieniędzy, tylko bilet okrętowy i to telegraficznie do Agencji od Agencji. W tym czasie coraz więcej przybywało i pozostawało emigrantów polskich w Porto Alegre.

Do żadnej szkoły pójść więcej nie chciałem, ale zato czytywałem książki polskie i brazylijskie francuskie i niemieckie z wszelkich dziedzin naukowych, przedewszystkiem pedagogiczne. W „Sokole" brałem czynny udział we wszystkich jego przedsięwzięciach kulturalnych i sportowych, o ile dorywcze ćwiczenia gimnastyczne i tańce przy wódce i piwie nazwać można sportem, a ponieważ moje dążenia do wystąpienia z barwami polskiemi na boiska zawodów drużyn miejskich i postawienie „Sokoła" na właściwem miejscu nie były zrozumiane i wszystko szło po staremu, nie przestając być członkiem, ale biernym, założyłem klub piłki nożnej pod nazwą „Kwiat Morza", który składał się z młodzieży różnej narodowości. Ten sam klub, później pod nazwą „Concordia", którego byłem skarbnikiem, sekretarzem, wice-prezesem, kapitanem drużyny i stałym delegatem w „Lidze Piłki Nożnej" w Porto Alegre aż do mego wyjazdu do Europy, świetnie spisywał się na boiskach portoalegreńskich. „Sokoły" tańczyły, śpiewały i czasem się biły, gdy sobie za dużo podpiły...

Ponieważ mój dobry ojciec dawał mi mało pieniędzy na moje wydatki nadzwyczajne, więc czepiałem się pracy zarobkowej dorywczo. W jednej fabryce musiałem majstrowi sekcji — Niemcowi kwadratowemu (tak, kwadratowemu — bo każdy Niemiec ma pretensję być lepszym, mądrzejszym, innym i inakszym od innych śmiertelników rodzaju ludzkiego) dać nauczkę za jego obelżywe mówienie o Polakach i Polsce, puszczając krew z jego głowy, aby przestał majaczyć... Wszyscy inni robotnicy polscy, za-

trudnieni w tej fabryce, truchleli z obawy, iż zostaną odprawieni. Dyrektor fabryki, Żyd niemiecki, dowiedziawszy się o zajściu, przepytał robotników obecnych na sali podczas zajścia o przyczynę tegoż, a gdy mu powiedzieli jak to się stało, nie tylko nie odprawił nikogo, ale nawet bardziej zaczął ich uważać, a majstrom przykazał, żeby w fabryce nie poruszali niczyjej narodowości, bo tu są tylko pracownicy, a pomiędzy nimi Polacy najlepsi. Kiedy po paru dniach poszedłem do biura po należące mi się pieniądze, sam dyrektor powiedział mi, że dobrze zrobiłem i że mogę przyjść do roboty, kiedy zechcę, bo majster otrzyma urlop bezterminowy... celem zagojenia rany na głowie. Nie poszedłem tam więcej. Narazie pieniądze wystarczały mi.

Życie polskie tylko w Towarzystwach nabrało więcej ruchu. Nowi przybysze, przeważnie z miast polskich, inteligentniejsi robotnicy, dopóty dopóki zazdrość i intrygi nie opanowały ich umysłów, naprawdę dążyli do wyrwania Polonji porto alegreńskiej z marazmu, ale to długo nie trwało. Szkoła polska w Towarzystwie „Tadeusz Kościuszko" tylko pozornie dobrze prowadzoną była. Uczono tam czytać i pisać po polsku, ale nie wychowywano po polsku — na charakter nie zwracano uwagi. To też prawie wszyscy uczniowie szkoły polskiej z czasów ówczesnych nigdy nie interesowali i nie interesują się zagadnieniami i sprawami polskiemi.

Rodzice polskich dzieci bawili się po polsku przy wódce i piwie i kłócili się wzajemnie o drobnostki osobiste i społeczne i sekciarsko-wyznaniowe, lecz jak swe dzieci prowadzić w polskość i ją w nich utrwalać, nie mieli pojęcia i nie obchodziło ich to, wystarczało, że chodzą do polskiej szkoły i kościołów rzymsko-katolickich. O oświatę pozaszkolną nie dbano, chociaż nie brakło głosów nawołujących do takowej.

Młodzież polska po opuszczeniu szkoły polskiej przeszła do fabryk i innych zajęć zarobkowych, gdzie otoczenie w krótkim czasie zrobiło swoje... Pola gospodarczo-ekonomiczne leżały odłogiem, dowodem nędzne i ciasne siedziby Towarzystw tonące w długach po dachy. Z kolonjami żadnej łączności.

W 1915 roku pojechałem do Ijuhi odwiedzić starych znajomych i tam własnym oczom wierzyć nie chciałem, żeby stać się mogło to, co się stało z kolonistami polskimi. Dużo, bardzo dużo kolonistów polskich posprzedawało swe dobrze zagospodarowane

ziemie Niemcom i Włochom, sami zaś powędrowali na nowe kolonje, dalej i dalej od dróg żelaznych — od ruchu gwarantującego im zbyt produktów i złotą przyszłość. (Kolej dochodziła już do miasteczka Ijuhi, co rozrosło się znacznie).

Na innych kolonjach, bliżej centrum, Polacy zrobili to już wcześniej, oddając swe ziemie Niemcom i Włochom prawie za darmo. Więc nie dziw że Niemcy i Włosi stali i stoją pod względem gospodarczo-ekonomicznym o 90% lepiej od naszej kolonji riograndeńskiej. Udałem się potem do Guarani i Erechin z przyległościami. Tam także zauważyłem ujemne i szkodliwe postępowanie rodaków moich, którzy o — nie dam ci tej słomki — psy zdechłe wieszali na sobie.

O szkoły, trzeba przyznać, dbali jako tako, ale element nauczycielski nie odpowiadał zadaniu. Polacy w sutannach kleru rzymsko-katolickiego niczem nie przyczyniali się do pouczania rzeczowego w żadnym kierunku.

Mimo swej ciemnoty nasi rodacy, od pługa i radła, wykazywali jednak tężyznę ducha polskiego i pragnęli przelać ją w swe potomstwo.

Po włóczędze kilkotygodniowej znów zjawiłem się na bruku porto alegreńskim. Począłem pracować dorywczo w składach handlowych, w fabrykach, na budowach, w biurach, myśląc stale o dostaniu się do Legjonów Piłsudskiego. Życie i koleżeństwo wymagało brać też udział w brazylijskich organizacjach społeczno-kulturalnych i sportowych, a także już byłem członkiem klubu politycznego, co jednak nie przeszkadzało mi czynnie działać w „Sokole", aby ten stanął na wysokości swego zadania i wystąpił na boiska porto alegreńskie w barwach polskich, wykazując swą żywotność i sprawność (miałem doczekać się tego dopiero po kilku latach). Ale zazdrość — ta wstrętna poczwara o oczach zielonych, psuła wszelkie poczynania moje i moich adeptów, co chcieliśmy wysoko nieść sztandar polskości na błoniach porto alegreńskich. W początkach roku 1917 już byłem gotowy jechać z ochotnikami włoskimi do Włoch z myślą, iż tamtędy łatwiej mi będzie przedostać się do Legjonów, ale mój ojciec, nie wiem jakim cudem dowiedział się o tem i poszedł do konsula włoskiego, gdzie na podstawie dokumentu stwierdzającego mą niepełnoletność i narodowość popsuł wszystko co tak umiejętnie przygotowałem, otrzymując od

konsula zapewnienie, iż gdy tam się zjawię po odbiór dokumentów, dostanę ładne kazanie i stanowcze skreślenie z listy ochotników. Tego samego roku przyjechał do Porto Alegre porucznik Abczyński, werbując ochotników do tworzącej się armji Hallera we Francji. Mowy jego płomienne wywoływały dreszcze w słuchaczach i pełne entuzjazmu oklaski. Zapisałem się, prosząc członków Komitetu o ścisłą dyskrecję ze względu na matkę; co do ojca miałem pewność, iż tym razem nie uczyni nic takiego, coby mnie zmusiło zostać na miejscu. Wyjechałem nawet na jedną fazendę, aby się nie zdradzić, że pojadę. Trzy dni przed odjazdem okrętu wróciłem do miasta, celem załatwienia ostatnich formalności. Rodzice moi już wiedzieli z gazet, że ich jedyny synek żyjący pojedzie spełnić własne przepowiedzenie, zrobione w latach chłopięcych, że kiedyś jeszcze będzie żołnierzem polskim. Miałem już dwadzieścia pełnych lat. Wszystkich i wszystko darzyłem uśmiechem i chciałem widzieć wszystkich i wszystko uśmiechnięte. Na powiedzenie Niemców, iż mogę nie zobaczyć ziemi francuskiej, bo niemiecka łódź podwodna może zatopić okręt i mnie na wieki zanurzyć w królestwie płynnem Neptuna, odpowiadałem im, iż gdyby to zaszło, to wsiądę na rekina i do brzegu dopłynę. Następnego dnia na okręcie jeszcze miały miejsce ostatnie pożegnania. Mnie życzyli powodzenia i szczęśliwego powrotu nawet znajomi Niemcy, wręczając mi bukiet pysznych żywych kwiatów. Po chwili okręt odbił od brzegu i pełnym pędem płynął do ujścia rzeki Guaiby i dalej aż do Rio de Janeiro, skąd już statkiem francuskim mieliśmy płynąć do Dakaru i Bordo. Ilu młodzieńców pojechało do wojska polskiego z tego Stanu i Brazylji wogóle nie wiem i nie starałem się wiedzieć, bo na myśl o ich liczbie i postępku, nie licującem z honorem ochotnika, tam na Ukrainie, kiedy to razem z ochotnikami z Ameryki Północnej pierzchnęli z szeregów na kilka dni przed ruszeniem na Kijów, wstydem się oblewam dziś jeszcze. Moja grupa składała się z 16 ochotników — dwóch z nich jechało tylko dlatego, że ja też jechałem.

Szczęście nam sprzyjało przez całą długą podróż do Francji, bo aż 52 dni. Potem krótki pobyt w obozie koncentracyjnym w Sille le Guillaume. Mnie i jednego kolegę z Porto Alegre wbrew naszej woli wysłano do szkoły podoficerskiej w Quentin. Po trzech miesiącach dano mi naszywki kaprala i czternastodniowy urlop do

Paryża. Powrót do szkoły. Dwa miesiące później naszywki sierżanta. Wyjazd do Ussy. Instruktor. Podanie do nominacji na adjutanta. Zajście z aspirantem, bratem dowódcy bataljonu. Przepadła nominacja. Wyjazd pułku ku frontowi, w rezerwę. Zawieszenie broni. Radość dla Francuzów i innych... Moja radość trwała krótko, bowiem wieści z kraju żądały nas tam zaraz, a tu trzymano nas jak na złość.

Wyjazd do Falaise. Nareszcie 29 maja 1919 roku mój pułk stanął na Kujawach — w Lubieniu. Potem Nasielsk, Mława, Borszczów, Kamieniec Podolski, Zwańczyk, Kucza, Żmerynka — zobaczenie w osobie Józefa Piłsudskiego i otrzymanie papierosa. Winnica, Niemirów Podolski, Kalnik i pozycje pod Daszewem. Szpital. Powrót. Odwrót. Znów Winnica, Latyczew, Krzemieniec, Dubno, Brody, Łuck, Toporów, Busk, Złoczów. Znów szpital. Przyjazd do Modlina. Wymarsz. Płońsk, Ciechanów, Mława z okolicą. Później Kowel, Pińsk, Łuniniec, Dawidgródek, Turów. „Krzyż Walecznych" na mej piersi. Stacjonowanie w Pińsku. Mianowanie na referenta oświatowego bataljonu szkolnego. Potem bataljonu zwykłego w Zaleszczykach. Później pułku w Kołomyi. Nagroda na konkursie oświatowym 6 armji. Pochwały od referenta oświatowego dywizji. Rocznik mój dawno zwolniony. Dla mnie niema zwolnienia. Zawodowym nie chcę zostać. Dokształcanie własne. Uczenie niektórych oficerów, bez cenzusu, w chwili dla nich krytycznej, niektórych przedmiotów. Podanie przez jednego wyższego oficera o zdegradowanie mnie, wykorzystując nieobecność dłuższą pułkownika i o co — o głupstwo — o babę i że niekiedy spałem dłużej niż on. To się nie stało. Przeniesienie do Stanisławowa. Jako szef kompanji i referent oświatowy. Stanowcze żądanie zwolnienia. Byliśmy już w drugiej połowie 1922 roku. Nareszcie zwolnienie bezterminowe. Przyjazd kilkunastu oficerów z Kołomyi i pożegnanie się, może na zawsze...

Przez parę tygodni obracając się pomiędzy cywilami już jako cywil w Warszawie, Krakowie, Łodzi, przekonałem się, że żyć z nimi byłoby mi bardzo ciężko... Więc też po otrzymaniu niezbędnych dokumentów na wyjazd z kraju, pożegnawszy się z krewnymi, ruszyłem w podróż do Brazylji, do Porto Alegre, do moich najbliższych i najoddańszych i po miesiącu czasu padłem w ich objęcia serdeczne, zawsze jednakie. Po bezmała pięcioletniej nieobec-

ności znów byłem w Porcie Wesołym, ale tym razem ze spełnionem już marzeniem, z „Krzyżem Walecznych" — w kieszeni, połową dawnego zdrowia i większą dozą doświadczenia wszelakiego.

Z początku prawie wszyscy Polacy porto alegreńscy stronili ode mnie, jak od psa wściekłego lub morowego powietrza. Znajomi Brazyljanie, Włosi, Portugalczycy, Rosjanie, a nawet Niemcy i Negrzy cieszyli się moim widokiem śród nich. Tylko Polacy, rodacy moi nie chcieli mnie widzieć. Zazdrościli mi szarży jaką miałem, „Krzyża Walecznych", mej wymowy, mego powrotu względnie szczęśliwego — wszystkiego, nawet tego czego nie miałem. Zauważyłem zaraz, że przez pięć lat nie zrobili żadnego postępu w niczem, przeciwnie, szli wstecz. Budynek Tow. „Tadeusz Kościuszko" miał wygląd zaniedbanej szopy; budynek Tow. „Białego Orła" też nie lepiej wyglądał — siedząc Towarzystwo w poważnych długach; szkoła stała poniżej krytyki; antagonizm wzajemny nie ustał; wynaradawianie się miało cechy zatrważające; kolonja porto alegreńska ignorowała kolonję polską na kolonjach i odwrotnie; prywatnie, pod względem materjalnym też stali gorzej niż przed pięciu laty. Takie zastałem tło obrazu życia polonji portoalegreńskiej i riograndeńskiej.

Ponieważ nie mogłem pracować w składach i biurach ze względu na zdrowie — potrzebowałem powietrza, słońca, więc niemieccy i włoscy konstruktorzy ofiarowywali mi pracę, dając mi budowle w akord, a znając doskonale plany, rzuciłem się w wir życia i pracy na budowach. Od nikogo nie żądałem nijakiej pomocy ni wsparcia, bo miałem ufność, iż wcześniej czy później w życiu prywatnem i może publicznem zwyciężę, ale pragnąłem też, żeby i całe nasze tutejsze społeczeństwo zwyciężyło, przestając być niczem w ogólnym życiu tego Stanu.

Kochałem sprawę dla samej sprawy narodowościowo-polskiej na obczyźnie, a nie dla jakichś tam osobistych widzimisię. Ta ufność we własne siły i zdolności stała się mą tarczą, na której martwiały ciosy zadawane przez życie coraz bardziej skomplikowane. Sprawy polsko-narodowościowe nakazywały zbliżyć się do oziębłych rodaków, co też uczyniłem, nie zważając na ich tchnące lodem odnoszenie się do mnie. Wszedłem znów jako prosty żołnierz do koszar życia polsko-społecznego uzbrojony tarczą ufności i ide-

ją wiodącą ku lepszemu i godniejszemu jutru. Za kilkanaście dni będzie pełnych czternaście lat od mego powrotu z Polski.

Czternaście lat pracy na niwie społeczno-polskiej bez dłuższych przerw i dotąd — mnie samemu niekiedy wydaje się — że nic nie zrobiłem, że trzeba mi było nie mieszać się do tych spraw, wywołując rewolucje perjodyczne w łonie polonji portoalegreńskiej i riograndeńskiej.

Zadaję sobie nieraz pytanie czemu tak trudno jest w naszej kolonji, z naszą kolonją, przez naszą kolonję i dla naszej kolonji dokonać trwalszych i pożyteczniejszych rzeczy wewnątrz i zewnętrznie?

Zimna analiza daje zawsze jedną odpowiedź: — brak zrozumienia i brak miłości sprawy dla samej sprawy; brak zdolności u społeczników zarozumiałych acz ślepych; figurowanie autorytywne bez elementarnej znajomości psychiki naszego dobrego ludu i rozumnej, mądrej i ciągłej, uczciwej i przykładnej inicjatywy; brak odpowiedniego pisma; stałe patrzenie na pomoc materjalną od Państwa Polskiego bez pouczania naszego ludu o obowiązku świadczeń dobrowolnych i ciągłych według możności na cele społeczne; kierowanie się sympatją przejściową w wyborze kierowników życia społecznego a nie zdolnością danych osobników; zazdrość panująca wszechwładnie i ambicja stania na pierwszem miejscu bez posiadania idei i charakteru odpowiadających zajmowanemu stanowisku.

Wprawdzie byłem i jeszcze dziś jestem na stanowiskach społecznych, ale raz jeden tylko pozwolili mi być prezesem Tow. „Polonia", które powstało ze zlania się Tow. „Tadeusz Kościuszko" i „Białego Orła", do którego to zlania się pracowałem przez kilka lat ze względu na obustronną wegetację i tarcia. W ciągu czternastu lat nie było jeszcze roku żebym nie był na jakiemś stanowisku społecznem, tak w społeczeństwie polskiem jak i brazylijskiem. W „Sokole", zaraz od pierwszych dni dążyłem do pchnięcia go na właściwe tory, mając w nim stanowisko doradcy i reprezentanta do Ligi Piłki Nożnej. Jak przez parę lat „Sokół" spisał się w zawodach na boiskach miejskich w barwach polskich, świadczą zdobyte puchary i dyplomy honorowe. Dlaczego później prawie przestał istnieć i dziś słabo wegetuje? dlatego że nie było i niema w nim człowieka pchającego go do ruchu, do życia, do lotu.

Moje ożenienie się i inne okoliczności zmusiły mnie usunąć się z czynnego udziału w „Sokole". Głupio ambitni młodzieńcy obcieli skrzydła „Sokołowi", co do dziś nie może wznieść się w przestwór słoneczny. Wkrótce też powołano mię na stanowisko sekretarza w Tow. „Białego Orła", w którym kilkakrotnie byłem na tem stanowisku i innych. Zacząłem budzić śpiącą od dawna ideję o Związku Centralnym na Rio Grande do Sul. Myśl przybrała formy realne, ale kierownicy Związku nie dorośli jeszcze do kierowania nawą Związkową, a gdy dwa lata temu wysunięto moją też kandydaturę na prezesa tegoż, ja byłem w takiej sytuacji prywatnej, że nie mogłem być ani kandydatem; jedynie przyjąłem stanowisko członka Komisji Rewizyjnej, na którem jestem do dnia dzisiejszego i muszę być jeszcze kilka miesięcy.

Jak jest i co się dzieje w Rio Grande do Sul tak jest i dzieje się też w Paranie, Kurytybie, a według wieści nieoficjalnych, podobno jeszcze gorzej, chociaż tam się znajduje siedziba Generalnego Konsulatu, Wice-Konsulatu i półtuzina rozmaitych wydziałów oświatowo-społecznych i innych, na czele których stoją instruktorzy nawet z uniwersyteckiem wykształceniem, płatni przez Rząd Polski. Jak oni pracują, jak uczą lud nasz, jakie korzyści dają Państwu Polskiemu i kolonji polskiej w Brazylji — to może interesować tylko władze, które ich tu wysłały, bo kto płaci, chce widzieć za co...

Z mego punktu widzenia oni są tu niepotrzebni, gdyż przed ich tu przybyciem polonja brazylijska rozwijała się nie gorzej. Przedstawiciele handlowo-dyplomatyczni Państwa Polskiego są konieczni, lecz podział ich powinien być bardziej praktyczny, ze względu na 100.000 gromadę Polaków w Rio Grande do Sul i odległość między Porto Alegre a Kurytybą, do tego dodajmy lichą komunikację kolejową i okrętową, a przekonamy się, że dwa konsulaty w Kurytybie nie mają racji istnienia, natomiast konsulat w Porto Alegre mógłby dużo korzyści dać Państwu Polskiemu i nam, „zapomnianym i opuszczonym zupełnie"..

Że jednostka zdolna, energiczna, otwarta, uczciwa i kochająca sprawę dla samej sprawy jest w stanie nadać impuls życiu i przedsięwzięciom społecznym, do mnóstwa dowodów mam jeden dowód więcej w tym roku, gdy to będąc zmuszony interesem osobistym wyjechać na jedną fazendę, na której już rok czasu przebywam

i gdzie piszę te moje przeżycia pośpiesznie, ze względu na późne dowiedzenie się o tym konkursie ustanowionym przez Was, a mającym duże znaczenie teoretyczne i praktyczne poniekąd, że ruch polsko-społeczny spoczywa w słodkiej bezczynności, gdy podczas mej nieobecności odpoczywać mu nie wolno i mocniej czy słabiej ruszać się musi. W życiu brazylijsko-społecznem brałem i biorę też czynny udział od pierwszych dni powrotu z Polski. Klub piłki nożnej „Concordia" powołał mię do zajęcia stanowiska skarbnika i delegata do Ligi; byłem członkiem czynnym w klubie politycznym „Borges de Medeiros"; członkiem czynnym w klubie wioślarskim „Canottieri Ducca degli Abruzzi"; członkiem czynnym i członkiem zarządu klubu politycznego Partji Liberalnej „Nawegantes"; członkiem czynnym Towarzystwa kulturalno-rozrywkowego brazylijsko-niemieckiego „Dynamite". To branie udziału w obcych zespołach o różnych odcieniach życiowych otwierało i otwiera mi wrota znajomości — a przez nią łatwiejsze zdobywanie niezależności materjalnej. Podczas rewolucji w 1930 roku, przez prezydenta Stanu Rio Grande do Sul, dr. Sinval Saldanha, który zastępował na prezydenturze obecnego prezydenta Brazylji, dr. Getulio Vargas'a, co był w polu na czele wojsk rewolucyjnych, zostałem mianowany kapitanem Legjonu „Honorio Lemos". Po skończonej rewolucji chcieli, żebym szedł w służbę do milicji stanowej — zwanej „Brygada" — odmówiłem; ofiarowali mi posadę w „Directoria das Obras Publicas" i w „Centro de Sande" — odmówiłem także. Dlaczego nie przyjąłem? Dlatego, iż musiałbym być Polakiem biernym w życiu tutejszej polonji... i dlatego, że nie znoszę życia wojskowego w czasie pokojowym, a urzędniczego, zmuszającego siedzieć przy biurku, w cieniu bez słońca i ruchu, nie znosi moje zdrowie. W czasie wielkiej wystawy, urządzonej dla uczczenia stuletniej rocznicy rewolucji zwanej „Farroupilha" i dos „Farrapos" — Obdartusów — i jej nieśmiertelnych bohaterów, owych centaurów nieustraszonych, piszących szpadą epopeję Gauszoską, wygłosiłem dwie mowy wobec świata oficjalnego i półoficjalnego bezmała wszystkich Stanów Brazylji, ale nie w imieniu i z upoważnienia polonji riograndeńskiej, tylko w imieniu i z upoważnienia trzech tysięcy robotników pracujących przy pawilonach wystawowych.

Wszystkie narodowości zamieszkujące w tym Stanie zamanifestowały swą obecność w tym wielkim święcie dla Riograndeńczyków i Brazyljan wogóle, tylko Polacy byli nieobecni, jak są wszędzie nieobecni, gdzie warunki życiowe i własne interesy wołają ich głosem potężnym, ale na który są oni głusi. Ja, w rozmowie z sekretarzem komisarjatu, Dr. Mario de Oliveira, czy Polacy wezmą udział czy nie wezmą, zapewniłem go prawie, iż tym razem, chcę wierzyć, powiedziałem, napewno wezmą udział w uroczystości, może bardziej ubogo niż inne narodowości, ale wezmą. Zawód na całej linji. Później, na jego zapytanie: — „Gdzież są Polacy"? — „Zgóry wiedziałem, że ich nie będzie" i t. p. — wstyd, złość i wściekłość ogarnęła mię całego, bo nie mogłem odeprzeć policzka, jaki dostałem, będąc zmuszony milczeć, aby nie przedstawić tutejszej Polonji taką jaką istotnie jest. Cóż mi z tego, że mnie osobiście szanują i poważają, choć nie mam tytułów doktorskich, dając mi tego wszędzie dowody, kiedy nasza nierozumna, zazdrosna i kłótliwa Polonja jeszcze nie ma u nich względów i traktowaną jest jak przed czterdziestu laty, choć liczebnością swą zajmuje trzecie miejsce w rzędzie kolonij narodowościowych w Stanie Rio Grande do Sul.

Mimo to wszystko ufam i wierzę, iż Kolonja Polska kiedyś jeszcze zajmie jej należące się miejsce śród kolonij innych narodowości i państwa, gdzie się rozwija i przyczynia mocno do jego rozwoju i bogactwa. Nie zrobiłem jeszcze „ameryki" jak mówią Włosi, bo wypadki, jakie mnie napadały, w postaci chorób, operacyj kosztownych, strat w przedsiębiorstwie — spowodu niemożności dopilnowania jego normalnego biegu, długi na rynku i spłacenie ich, szalona konkurencja i zastoje w budownictwie, nie mienie szczęścia wygrania na loterji i brak przymiotów oszukańczo-złodziejskich, to wszystko nie dało mi jeszcze zrobić „ameryki", lecz już zrobiłem „ameryczkę" i mam ufność w swe siły, dziś już nie tyle szwankujące, iż zrobię nie tylko „amerykę", ale Amerykę przez duże A.

Nadejdzie czas i to może wkrótce, że i cała Polonja zagraniczna zrozumie tę mocną prawdę wypowiedzianą przez Fausta konającego, iż „tylko zasługuje na wolność i życie ten co każdego dnia musi je zdobywać".

Tu mógłbym zakończyć opis mych przeżyć w kraju ojczystym i na obczyźnie — przeżyć, których niektóre obrazy są zaledwie lekko zaznaczone i niektóre zaledwie dotknięte, ale chcę Wam jeszcze powiedzieć, iż już jutro będę staczać walki z ciemnotą, z zazdrością, z obojętnością i nieufnością polonji riograndeńskiej we własne siły i zdolności, budząc w niej ducha czynu i wiary w zwycięstwo z uśmiechem na ustach, z miłością w głosie i potęgą przykładnej pracy, tembardziej, że za trzy lata — jak chcą urzędowe dane — przypada rocznica pięćdziesięciolecia osiedlenia się tu, w Rio Grande do Sul, pierwszych polskich emigrantów. Zapatrzony na Wielkich Wodzów umarłych i żywych Polski dawniejszej i współczesnej, będę szedł w bój o godniejsze jutro dla Polonji riograndeńskiej i chwały imienia polskiego pewny zwycięstwa, bo lud polski jest dobry i ofiarny, ale chce, żeby go rozumiano i umiano prowadzić ku Polsce Mocarstwowej.

Dn. 12 listopada 1936 r.

Pamiętnik Nr. 25

Nauczyciel w Rio Grande do Sul, syn powstańca z 1863 roku z Łomżyńskiego.

Miejscem mego urodzenia był Nur. Przepiękna ta osada, była położona na płaskowzgórzu nad rzeką Bug, (w owem czasie należąca do „Łomżyńskiej gubernji", a powiatu Ostrowskiego), miejscowość ta była siedzibą zarządu gminnego. Był tam nieduży ale bardzo piękny kościół parafjalny, przy którym było zawsze dwóch księży, t. j. proboszcz i wikary, dla których wielokrotnie służyłem do mszy świętej.

Była tam szkoła do której uczęszczało (nawet podczas zimowej pory) bardzo niewiele dzieci. Nauczyciel pan Kasakajdys, bardzo wiernie służył rządowi rosyjskiemu, gdyż uczył przeważnie tylko po rusku. Ja do tej szkoły także (przez dwie zimy) uczęszczałem, — ale tylko w te dni, kiedy w domu nie byłem potrzebny do pomocy w pracy.

Była tam także i agencja pocztowa, w której był urzędnikiem twardy Rosjanin, policjant także moskal nie znający języka polskiego. Była tam apteka polska której właścicielem był niejaki P., którego uważano za patryjotę. Był jedyny polski sklepik kolonjalny który upadł, — gdyż Polacy więcej lubieli popierać Żydów. Była (zdaje mi się) jedna restauracja i kuźnia polska. Reszta rzemiosł handlu i jakiego takiego przemysłu, była w rękach Żydów. Nie było tam żadnego towarzystwa starszych, ani stowarzyszenia dla młodzieży. Gazet przychodziło zaledwie kilka — zaś o czytaniu książek nie słyszałem wcale.

Ojciec stary z 63-go roku powstaniec, Kajetan T. i matka

Marcjanna z Borkowskich T., oboje patrjotycznie nastawieni i mocno religijni. W Nurze mieszkali od najdawniejszych czasów, tuż przy rynku (prawie w otoczeniu Żydów) mieli dość duży ale słomą kryty dom, obok którego był piękny sadek, dość obszerne podwórko i zabudowania gospodarskie. Ziemi ile rodzice posiadali tego dobrze nie pamiętam, ale zdaje mi się, że było tego ładnych kilkanaście morgów. Ale ziemia ta nie była w jednem miejscu, lecz w szachownicy t. j. w formie wąskich a nieraz bardzo długich zagonków, położonych w kilkunastu różnych miejscach.

Dzieci było nas wszystkich siedmioro, w tem dwie siostry i pięciu braci, z których ja z rzędu byłem piątym. W rodzeństwie kochaliśmy się bardzo i jeżeli kto z nas gdzie na dłuższy czas z domu wyjechał — to nietylko go wspominano, ale i długo o nim mówiono.

W domu, głodu nikt nie zaznawał — nędzy nie było widać, ale o jaki taki grosz było zawsze bardzo trudno. Dlatego też starszy brat oprócz pracy na roli i przy gospodarstwie, zajmował się także zarobkowaniem wozem.

Drugiego ze starszych braci ojciec oddał do terminu w Warszawie, który wyuczył się sztuki krawieckiej i w niedługim czasie pociągnął za sobą do Warszawy i trzeciego brata. Starszej siostrze która już sobie liczyła dwadzieścia wiosen — trafiało się zamążpójście, ale kawaler nie był po myśli rodziców, więc go odprawiono. Pamiętam jak dzisiaj, że siostra do owego młodzieńca odnosiła się życzliwie — może go nawet kochała. Ale niestety, rodzice! A że była dobrą, pracowitą i piękną dziewuchą wielbicieli uganiających się o jej rękę jej nie brakło, oświadczeń jej nie brakowało — ale takowech nie przyjmowała. Niedługo trwało a i ona dom rodzicielski opuściła idąc niepotrzebnie w służbę do obcych w najbliższem miasteczku. Nam młodszym żal był wielki starszej siostry, bo była ona nietylko rozumną ale i bardzo dobra.

Pamiętam jak przez sen, że w Nurze i okolicach (a było to w 1899 r.) już kursowały pogłoski że ludzie w wielu miejscach nietylko się szykują, ale nawet już i wyjeżdżają — gdzieś daleko, daleko, za morza? Czyżby do Brazylji lub Argentyny?...

Nie pamiętam jednak czy w owe czasy z Nura czy okolicy kto do Ameryki Południowej wyjechał. Natomiast pamiętam że do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, oddawna z Nura i oko-

lic już wyjeżdżali ludzie, czy to na pobyt czasowy lub stały — ale wielu wyjeżdżało. Starszy mój brat krawiec, po wysłużeniu służby wojskowej w Petersburgu, powrócił do domu. Do Nura przychodziły listy oraz niektórzy przysyłali i pieniądze z Ameryki Północnej, w listach prawie wszyscy pisali że powodzi tam się im dobrze! To też brat który z wojska powrócił, także nabrał chęci i choć z trudem, zebrał tyle pieniędzy co prawie zaledwie starczyło na opłacenie kosztów podróży i w marcu 1901 r. także wyjechał. Zajechał szczęśliwie, z New Jorku napisał kilka listów oraz i swoją fotografję i później nic i nic. Jednem słowem, przepadł jak kropelka słodkiej wody w otchłaniach morza.

Powoli czas zrobił swoje i ja zacząłem podrastać. Wskutek tego że nie zdradzałem wielkiego zamiłowania do pracy na roli — zaczęto obmyślać co zrobić z Władkiem. Św. p. czcigodna a bardzo pobożna matka, często wspominała te słowa: „Jaka byłabym ja szczęśliwa, gdybym mogła, gdyby był zasób i sposób ażeby Władka przeznaczyć dla służby dla Pana Boga i Matki Najświętszej, tyle lat już służy do mszy świętej".

Ojciec, (także niechaj mu Bóg da niebo), był nadzwyczaj dobry i prawdziwie miłujący nas wszystkich, jednakże na pobożne życzenia matki odpowiedział: „Głupia babo! chciałabyś Władka kształcić na księdza, — czy nie widzisz, że ja nie mam za co mu portek kupić?"...

Uczęszczając na naukę katechizmu do księdza wikarego, (który zwał się Fincykiem), ksiądz ten na lekcjach śpiewu (uczył także i śpiewać), zaczął zwracać uwagę na „odróżniający się" mój głos. Nie długo trwało i pewnej niedzieli gdy byłem sam na sam z mamą w domu, zaczęła mię mama wypytywać — czy bym tak nie miał chęci uczyć się na organistę. To na pozór niewinne pytanie matki — prawie na pół mnie zelektryzowało. Matce odpowiedziałem — bo ja wiem, ale we łbie — momentalnie przedstawiły mi się olbrzymie organy, księgi z nutami, naokoło mnie gromada śpiewaczek i śpiewaków. Jednem słowem zdawało mi się że już jestem klawidudą. Po niedługim namyśle przyszedłem do wniosku, że być organistą to lepiej niż księdzem. Ksiądz musi żyć jak zakonnik, nie jeden ksiądz licho śpiewa, a grać to i wcale nie umie. Ku niemałej uciesze matki, odpowiedziałem: Jeżeli naprawdę ma-

ma i ojciec sobie życzą tego, ażebym ja uczył się na organistę — to dobrze, rzemiosło to wcale mi się podoba.

Ojciec miał porozumieć się najpierw z ks. wikarem, a następnie obmówić z p. organistą warunki na jakich tenże miał mię przyjąć do nauki. Matka zaś przygotowywała bieliznę i t. p. wyprawę na ewentualny wypadek gdyby trzeba było do terminu iść gdzie do dalszej parafji. Pouczała o obowiązkach jakie ciążą na uczniach i polecała ażebym już teraz w rękę całował nietylko księży: proboszcza i wikarego, ale także p. organistę i jego żonę... Po kilku dniach oświadczyli mi rodzice: Jak pójdziesz jutro na mszę świętą, to po mszy idź do p. organisty, będziesz się tam uczył, tylko pamiętaj! bądź zawsze grzeczny, uprzejmy i posłuszny!

Poszedłem. Do roboty nietylko byłem posłuszny, ale i chętny. Więc już teraz nietylko służyłem do mszy św. ale pomagałem kościelnemu dzwonić, kościół zamiatać, katafalki ustawiać i t. p. Jednem słowem posługiwali się mną nietylko p. organista, kościelny, organiścina, proboszcz, wikary, ale i proboszczowa gospodyni. Często mię to gniewało, — ale trudno — rodzice kazali być posłusznym.

Było tak dość długo, aż na pewne święta (zdaje mi się na Wielkanoc), przyjechał starszy brat z Warszawy, który był czeladnikiem masarskim i zaczął mnie wypytywać jak mi tam idzie ta nauka na tego organistę? Gdy mu opowiedziałem jak się uczę i ile razy już brzdąkałem na fortepianie — ten zaczął się śmiać i śmiać i następnie rodzicom tłumaczyć, że jak Władek tak uczyć się będzie jak się uczy, to nietylko na organistę, ale nawet na dziada kościelnego się nie wyuczy. — Niechaj lepiej jedzie ze mną do Warszawy to tam prędzej na coś wyjdzie!...

Zauważyłem, że ojciec na brata Stanisława wcale się nie obraził, ja wiele nie rozumiałem tego co on powiedział, ale mama prawie z gniewem odpowiedziała bratu: — oj, ta Warszawa, Warszawa, tak się tam uczyta wszystkiego dobrego, że jak przyjedzieta do domu to w niedzielę albo w święto jakie, trudno was by było nawet na lince do kościoła zaprowadzić. A już do spowiedzi to już nie ma co nawet mówić.

Po świętach przed odjazdem do Warszawy, brat do ucha mi szepnął: Słuchaj no Władku, nie bądźże „frajerem", i nie pracuj darmo na tych „pieczeniarzy". Pamiętaj że ja, mój fach masarski

znam doskonale, — niedługo się ożenię i zakładam warsztat na siebie. Lepiej przyjedź do mnie, pomożesz mi w robocie. A jeżeli ci się ten fach nie podoba, to cię oddam na naukę do jakiego innego rzemiosła. Przy końcu dodał: — Zresztą rób jak ci się podoba — ale pamiętaj przedewszystkiem to, że w Warszawie, to nietylko będziesz mógł wyuczyć się czegoś porządnie — ale i wyjdziesz na człowieka...

Te ostatnie jego słowa ponad wszystkie moje (słabo utrwalone wtedy) myśli najbardziej utkwiły mi w pamięci i zdawało mi się przez dłuższy czas że brzmią one bezustannie w moich uszach: „w Warszawie nietylko się będziesz mógł wyuczyć jakiegoś dobrego rzemiosła, ale i wyjdziesz na człowieka".

Brat Stanisław, jak wesoło z kilkoma kolegami z Warszawy przyjechał, tak też wesoło i odjechał. Warszawa... Przyjechali ładnie ubrani, przy groszu w kieszeni, — zdaje się jakby nawet inaczej po polsku mówiący... Wszystko byłoby dobrze — ażeby nie pewne ale. Ponieważ mój braciszek warszawski nieco zraził mię do siebie tem, że często odwracał jak to mówią kota ogonem i zamiast powiedzieć że ja się uczę na organistę — to przy każdej okazji dowodził odwrotnie, że ja jego brat uczę się na dziada kościelnego... To mnie gniewało.

Warszawa jednak pomimo wszystko — w dalszym ciągu w uszach mi szumiała. Na dobitek tego, zaszły jakieś nieporozumienia między proboszczem a wikarym, który w niedługim czasie został z nurskiej parafji odwołany do innej. Pan organista także miał być zmienionym. Ja z tego wszystkiego prawie (w duchu) się cieszyłem, gdyż myślałem że uda mi się wyjazd do Warszawy. Jednakże napróżno. Ponieważ mama tak tą sprawę pokierowała, że przy pomocy krewnych czy też znajomych, wystarano się dla mnie o inne miejsce i wywieziono do Ciechanowca, odległego o dobry jeden dzień wozowej jazdy od Nura.

Ciechanowiec wielokrotnie większy od osady Nur, zrobił na mnie wrażenie dużego miasta. Miasto to a właściwie dwa miasta pod jedną nazwą, przez Ciechanowiec (prawie przez sam środek miasta) płynie rzeka Nurzec, która wówczas dzieliła miasto na Ciechanowiec polski, który jest położony po prawej stronie Nurca i na Ciechanowiec „ruski", znajdujący się po lewym brzegu Nurca. Ciechanowiec polski należał do gubernji łomżyńskiej a parafji

Kuczyn, odległej zaledwie o kilka kilometrów od tego miasteczka. Zaś Ciechanowiec „ruski" o wiele większy od „polskiego" należał do gubernji białostockiej a powiatu bielskiego. Ruch dość duży — ale straszny odor czosnku i cebuli, jeszcze większy. Rynek duży, ale do obrzydzenia brudny. Handel w rękach żydowskich, przemysł w niemieckich — a urząd w moskiewskich. Parafja o wiele większa jak nurska, jednakże obsługiwaną była tylko przez jednego księdza. Tak ksiądz jak i większość ludzi tamtejszych mówili akcentem „litewskim". O szkole ani o żadnem towarzystwie nie było tam wtedy nic słychać. Natomiast chodziły wersje że pop z ruskiej cerkwi, często dawał donosy na polskich księży, że ci dawali śluby i chrzcili takim, którzy te sprawy powinni załatwiać u popa w ruskiej cerkwi.

Mój pryncypał u którego zacząłem się uczyć był to człowiek już nie młodziutki ale dosyć inteligentny. Był a raczej uchodził za kawalera i miał przy sobie już w podeszłym wieku rodziców, oraz młodszego brata. Brat dość zdolny ale głuchy — pomimo to jednak też uczył się sztuki organistowskiej.

Ja w początkach nie uczyłem się wiele. Jak w Nurze u organisty, tak i tutaj musiałem być posługaczem przez dłuższy czas. Gdy kiedy była wolna chwila i zacząłem się uczyć, to ani rusz nie szła nauka, bo było smutno i tęskno — do swoich, do domu. Warszawa także od czasu do czasu jeszcze w głowie szumiała. Mało pomału przyzwyczaiłem się i zżyłem z otoczeniem. Niedługo przyszedł nowy „terminator", który poszedł na posługi, a ja wtedy zająłem się więcej nauką.

Po kilkunastomiesięcznem brzdąkaniu na fortepianie, zacząłem już grać na organach i jako tako śpiewać w kościele rankami godzinki... Matka gdy się o tem dowiedziała że ja nareszcie już przestałem „dymać w miechy" na chórze, — ale że już i sam w kościele na organach gram — ucieszyła się bardzo. Ponieważ długi czas była przekonana (mówił mi starszy brat, który przywiózł mi chleb i ziemniaki), że ja nie wytrzymam, już nie w nauce — ale w uprzykrzonym samemu sobie jedzeniu gotowaniu i bielizny praniu...

Pod koniec 1901 r. mój prof. p. organista otrzymał list od jednego ze znajomych proboszczów z małej parafji Jabłonka (pod Łomżą) z prośbą o przysłanie mu jakiego organisty lub chociaż

podorganisty, gdyż niema żadnego. Wysłano nas obydwóch t. j. p. organisty brata i mię. Gdy dostaliśmy się na miejsce, proboszcz przyjął nas dość chłodno. Po kilku dniach próby, zacny kapłan oświadczył: — Obaj jesteście energiczni i zdolni, ale ażeby być organistami — musicie się jeszcze dużo, dużo uczyć i to uczyć się nietylko grać i śpiewać ale i czytać i pisać... Były to słowa smutne, ale prawdziwe.

Koniec końcem, wielebny proboszcz oświadczył, dopokąd nie znajdę organisty jak się patrzy, przez ten czas, ty zostaniesz i krzywdy tu mieć nie będziesz. Zostałem. Jak umiałem i jak najlepiej mogłem tak obowiązki swoje spełniałem przez kilka tygodni i byłbym dłużej jeszcze, gdyby proboszcz był mię nie używał do zajęć niemających nic wspólnego z „fachem" organisty...

Pewnego pięknego majowego poranku, kiedy po mszy św. proboszcz polecił mi jak zwykle iść i rąbać drzewo do kuchni dla gospodyni — serdecznie podziękowałem mu za posadę. Gdy mię zapytał dlaczego odchodzę? — Odpowiedziałem: muszę szukać sposobu, abym, czyli ażebym się jeszcze dużo mógł uczyć, nietylko grać ale i czytać i pisać... Za kilka tygodni pracy w kościele i przy gospodarce proboszczowej, otrzymałem od tegoż proboszcza trzy ruble i błogosławieństwo na drogę...

Gdy ruszyłem pieszo do Nura, przechodziły mi przez głowę różne myśli — a nawet i takie, ażeby odrazu ruszyć nie do Nura, tylko do Warszawy. Przecież brat mi mówił że tam mogę się wyuczyć jakiego dobrego rzemiosła, i mogę wyjść na porządnego człowieka, Ale szkoda mi było biednych rodziców, więc bez względu na to co tam będzie, postanowiłem iść do domu... Gdy zaszedłem (a byłem zgłodniały i nawpół obdarty), wszyscy bardzo się zdziwili. Dowiedziałem się że rodzice byli nietylko zadowoleni, ale i cieszyli się bardzo że ja skończyłem termin, zostałem organistą i zaraz dostałem „posadę". Matka uszyła nowe „portki", a żyd krawiec kończył marynarkę, szykowali i jaką taką inną wyprawę, którą na Zielone Świątki mi zawieść mieli. A tu masz, Władek już jest w domu!...

Gdy rodzicom opowiedziałem wszystko co mię spowodowało do opuszczenia „posady", zauważyłem na ich obliczu nietylko smutek ale i kwas. Ojciec jakby nie uwierzył w to co ja twierdziłem i zaczął mi przytaczać zdanie, a raczej przysłowie o pokor-

nem cielęciu które dwie krowy ssało. Matka zaś gdy zauważyła że ja niezbyt pochlebnie wyrażam się o fachu organistowskim i rad bym jeszcze czego innego się uczyć — prawie ze łzami w oczach oświadczyła: — Daj Boże, ażebym ja się myliła, ale zdaje mi się że z ciebie nic dobrego nie będzie... Te słowa matki zabolały mię tak mocno, jak najsilniejszą ręką wymierzony policzek. Pocałowałem matkę w spracowaną rękę i powiedziałem: — Kochana i Droga Mamo, proszę się nie martwić, uczynię wszystko ażeby tak źle nie było.

Gdy prosiłem rodziców o pozwoleństwo na wyjazd do Warszawy ojciec oświadczył: — Możesz iść gdzie chcesz, matka zaś nic nie odpowiedziała. Jakoś szczęśliwie się złożyło że sąsiad był w Ciechanowcu i stamtąd przywiózł mi list od brata z Warszawy, który pisał do mnie, że zakłada interes na siebie i jeżeli chcę to mogę tam zaraz przyjechać. Zaraz odpisałem i naznaczyłem dzień w którym ma mię oczekiwać na stacji kolejowej.

Gdy nadszedł dzień mojego wyjazdu do Warszawy, matka uszykowała worek w którym było nieco bielizny, kawałek chleba i okrasy, oraz przy pożegnaniu dała mi na zapas jeden medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i troszeczkie (w maleńkiej buteleczce) święconej wody. Ojciec zaś dał kilka rubli i wiele wiele napomnień i przestróg.

Do Małkini (najbliższa stacja kolejowa) poszedłem pieszo, stamtąd pojechałem pociągiem na „gapę", dojechałem do Warszawy, gdzie na dworcu petersburskim już oczekiwał mię brat. Po przywitaniu się i zamianie kilku słów — wyszliśmy z dworca, gdzie oczom mojem przedstawił się (pomimo późnej nocy), piękny widok. Wszędzie dość widno. Przed dworcem stał długi i równo ustawiony rząd powozów i dorożek. Na głównych ulicach rojno, gwarno: tramwaje dzwoniły, powozy turkotały, a przechodnie przesuwali się gromadnie. Wszystko to nadzwyczaj mi się podobało...

Brat jeszcze warsztatu na siebie nie założył ale już miał takowy w stanie tworzenia się na Pradze, przy ulicy Brzeskiej. Pracował on długi czas jako kierownik w warsztacie wyrobów masarskich na Nowem Mieście u państwa Malinowskich, gdzie właśnie z byłą ich sklepową panną Elżbietą L. się ożenił. Bratowa moja zrobiła na mnie wrażenie dodatnie; o ile była przystojna, o tyle i bardzo przyjemna i uprzejma. A to najbardziej mię cieszyło, bo

właśnie ta oto młodziutka „paniusia", miała być przecież moją „majstrową".

Koniec z organistowstwem. Z przyczyn odemnie niezależnych, zmuszony byłem dać sobie spokój z dalszą nauką organistowstwa.

Niewiele czasu upłynęło i przenieśliśmy się na Pragę. Skład wędlin i mieszkanie znajdowały się na ulicy Brzeskiej 13, warsztat zaś mieścił się aż na Radzymińskiej pod nr. 25-tym. Stamtąd trzeba było dzwigać w nieckach na plecach, lub wozić wózkiem wyroby czyli wędliny na Brzeską. Pracując tak przez dłuższy czas — nieraz nawet ponad siły — nigdy nic nie szemrałem. Dobry brat był na dorobku, więc często sam pracował więcej jak czeladnik, terminator i parobek. Bratowa czcigodna także b. mało czasu miała na wypoczynek: musiała pomagać sklepowej, kucharce i prowadzić do tego całą buchalterję. Więc jakże się było buntować.

Fach ten rzeźnicko-masarski także nie zupełnie mi przypadł do gustu. Ponieważ pracować potrzeba najwięcej nocą i często w dymie, a już uśmiercać wieprze to także nie byle kto może. Ale trudno, lepszy rydz niż nic. Zato przepiękną Warszawę i dzielnych a gościnnych warszawiaków pokochałem całem ciałem i duszą i tu postanowiłem pozostać aż do śmierci. W dalszym ciągu pracuję i pozostaję u brata.

Mało pomału życzenie i dążenie brata, ażeby warsztat przenieść bliżej składu wędlin — się realizują. Gdy przenieśliśmy warsztat na ulicę Brzeską, niedługo się cieszył brat lepszą wygodą. Ponieważ jako zapasowiec, otrzymał wezwanie stawienia się do wojska, które miało być wysłane na front rosyjsko-japoński. Ażeby uniknąć pójścia i przelewania krwi za interesa i sprawę cara rosyjskiego, jako gnębiciela Polaków i Polski niezwłocznie brat wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Przez cały czas jego nieobecności, interes prowadziła jego dzielna żona, która sobie poradziła nietylko z handlem w składzie, ale radziła sobie nawet z kupnem wieprzków. Prowadzenie warsztatu należało do mnie i p. czeladnika.

Do Ameryki zajechał brat szczęśliwie. Pracę otrzymał zaraz i zarabiał nieźle. Jednakże nic a nic mu się tam nie podobało, z treści listów jego wnioskować można było że tęsknił bardzo i to nietylko za żoną, rodziną — ale że tęskni za krajem i Polską całą...

Gdy nadeszła długo oczekiwana chwila, że możliwy był powrót do rodzinnego kraju — zaraz powrócił i wtedy często powtarzał: „Kto nie wie co to jest kraj rodzinny i język swój własny — ten niech idzie do obcego kraju i sprobuje obcego kęsa chleba. — A wtedy dopiero naprawdę nauczy się kochać i szanować wszystko to, co jest polskie".

Po powrocie z Ameryki, gdy rozejrzał się brat dokoła i zauważył wszędzie wzorowy porządek i przekonał się że ja już prawie mogę być czeladnikiem, wtedy powiedział: — Władek! Za twoje sumienne spełnianie obowiązków podczas mojej bytności w Ameryce, serdecznie ci dziękuję i przyrzekam że uczynię ci to że niedługo zostaniesz wyzwolony na czeladnika. Wiadomość ta niezmiernie mię ucieszyła. Przecież czeladnik to wielka osoba i to nie parobek lub terminator. A kto niema świadectwa wyzwolin, ten chociażby jak najlepiej znał robotę swego fachu — jednak nigdy nie jest równy (zawsze jest ty) p. czeladnikowi.

Wobec tego że warsztat znajdował się bliżej składu wędlin, dlatego też i ja miałem niekiedy chwilkę wolnego czasu. Bratowa uczyła mnie nieco rachunków, zaś czytać i „mądrzyć" uczyłem się z „Robotnika" i t. p. pism, które mi dostarczali dzielni robociarze, między którymi miałem szczęście znać nawet osobiście ś. p. dzielnego bohatera, Stefana Okrzeję i wielu innych.

Brat mój nie mógł mię wyzwolić na czeladnika. Miał on swój warsztat i skład wędlin, ale jeszcze do cechu jako majster nie należał. Postarał się on o to, że przyjął mnie na pewien okres czasu przed wyzwoleniem, stary jego cechmistrz p. B., który miał swój skład wędlin i duży warsztat na ulicy Freta pod num. 29-tym.

Praca u pana cechmistrza B. do pewnego czasu szła dość dobrze. Ale bardzo wiele dniami i nocami pracujący ludzie w fachu rzeźnicko-masarskim zarabiali niewiele. Więc wybuchł strajk w którym i ja (jako należący do pewnego „Kółka" P.P.S. na Pradze), zmuszony byłem wziąść w strajku czynny udział...

Gdy nadszedł długo wyczekiwany dzień wyzwolin (na wielki wstyd dla brata), zostałem przez kilku „majstrów", na czele z p. Szwerynem (szwab z Targowej, na Pradze), do wyzwolin nie dopuszczony. Poznali mię jako tego samego, który na czele z innymi „buntownikami" wypędzał im podczas strajku spokojnie pracujących ludzi z warsztatu...

W Warszawie jednak skorzystałem wiele. Pracując u p. B. w wolnych chwilach uczęszczałem na różne wykłady i odczyty z których skorzystałem b. dużo, bo dowiedziałem się czem nasza piękna Polska była kiedyś, czem była w 1905 — a czem mogłaby być. Wykładowcami byli ludzie nietylko głębokiej wiedzy, ale i wielcy patryjoci, niektórzy z nich w rządach nowej Polski zajmowali czołowe stanowiska.

Niedługo trwało i znowu powróciłem do brata na Pragę. Tu pracowałem, ale w Warszawie musiałem być na każdym wiecu czy też manifestacji, która była urządzona z inicjatywy Polskiej Partji Socjalistycznej. Szczęście jakoś mi zawsze sprzyjało, że stamtąd wracałem razem z innymi „zdrów i cały".

Nieszczęście chciało że na pewnej „robocie", jeden z naszego Kółka towarzysz i kolega sąsiad (mieszkał pod num. 9 na Brzeskiej) Feliks Sankowski, przypadkowo został ranny i aresztowany. Gdy go moskale wyleczyli i do muru przycisnęli — został nietylko prowokatorem, ale i groźnym szpiclem. Z jego też łaskawej pamięci o mię w pewną już późną ale piękną noc majową — nagle i niespodziewanie policja z kilkunastoma żołnierzami złożyła w domu mego brata niezbyt miłą wizytę i poczyniła b. ścisłą rewizję nietylko w mieszkaniu, kuchni, składzie wędlin, ale wszystko przewróciła do góry nogami w warsztacie i piwnicach. Gdy nic podejrzanego nie znaleźli nawet w połciach słoniny — skierowali swe kroki do mojego mieszkanka które się mieściło (na facjacie 4-go piętra) w domu pod num. 17-tym, na Brzeskiej, gdzie już dwóch żołnierzy stało przy bramie, przez cały czas trwania rewizji u brata.

Gdy policja mocno zapukała do drzwi, przebudziłem się, wstałem i otworzyłem je. Oczom mojem przedstawił się groźny widok: żołnierze z karabinami i zaraz usłyszałem energiczny głos: ruki w wierch! Podczas b. sumiennej rewizji znaleźli kilka numerów „Robotnika", parę odezw P.P.S. i kilka egzemplarzy „Kurjera Codziennego", stary rewolwer „buldog" i sztylet. Po podpisaniu protokułu kazano mi się ubrać (ponieważ byłem tylko w koszuli i gaciach), i pójść razem do cyrkułu...

W cyrkule indagowali mię w najrozmaitszy sposób i to w sprawach o których nawet nie miałem pojęcia. A wobec tego że w cyrkule nie powiedziałem nic innego jak tylko powtarzając to, co mówiłem w mieszkaniu na facjacie (gdzie mię aresztowano),

otrzymałem zato kilka niezasłużonych szturchańców i zapewnienie że w ratuszu wyśpiewam wszystko...

Jakie przykre uczucie ogarnia człowieka pierwszy raz dostającego się do więzienia (które można nazwać brudną norą), tego nawet opisać nie jestem w stanie...

Gdy się dostałem z praskiego cyrkułu do ratusza w Warszawie, tam przeszedłem piekło. Przez 18-cie dni i nocy siedziałem w celi sekretnej, zaś na różnych zeznaniach i „wyznaniach", tyle dostałem że do dnia dzisiejszego jeszcze mam znaki na ciele. Z celi sekretnej dostałem się do celi ogólnej (zdaje mi się że Nr 6), gdzie spotkałem już kilku znajomych „pepesowców", tak z Pragi jak i z Warszawy. Jednakże życie we wspólnej celi nie długo trwało. Po tygodniu czasu znowu nas rozdzielono: jedną cześć oprawcy carscy zabrali do cytadeli, drugą do której i ja byłem zaliczony, przewieziono na Pawiak — a trzecią szykowano na ciężką i smutną podróż na Syberję.

Na Pawiaku także mię osadzono w celi samotnej na oddziele 4-tym pod numerem 18-cie. Na zeznania także często wołali nocami, ale już mniej katowali i prześladowali jak w Ratuszu. Miejscowi współtowarzysze niedoli często mię odwiedzali i podawali pokarm duchowy w postaci świeżej „bibuły".

Kochany mój brat Stanisław z czcigodną jego małżonką dbali o mnie b. wiele (pomimo tego że nieraz narobiłem im swą polityką wiele przykrości), jeżeli każdego tygodnia nie złożyli mi wizyty — to zawsze przysłali kogoś innego ze smakołykami i kopiejkami w chlebie...

Na wolność wydostałem się (blisko po czterech miesiącach), tak jak wielu innych politycznych, t. j. z powodu ogłoszenia jakiejś amnestji, czy też „wolności". Przed wypuszczeniem zatrzymali paszport i metrykę urodzenia — a wydali jedynie świstek papieru, gdzie było napisane „Wremienny wid". Z takiem świadectwem musiałem się meldować dwa razy w tygodniu u szefa żandarmerji. Wszystko to i inne t. p. prześladowania jakie musiałem znosić ze strony różnych służków carskich doprowadziło do tego że zmuszony byłem w drugiej połowie 1906 r. opuścić ziemię rodzinną.

Przed wyjazdem do czwartej części świata, po raz ostatni po-

jechałem do swojego miejsca rodzinnego, do tej pięknej osady Nur, ażeby uściskać i ucałować spracowane ręce ojca i matki...

Gdy wieczorem zapukałem do drzwi, następnie kiedy weszłem do mieszkania — wszyscy prawie ze zdziwienia struchleli. Oczom własnem nie wierzyli i zdawała się im obecność moja więcej na „jawie", aniżeli w rzeczywistości.

Synu kochany, rzekła matka — toć myśmy tutaj słyszeli że ciebie już moskale powiesili? Zanosząc się od płaczu biedna matka, jeszcze dodała: „nie chciałeś słuchać gdy cię prosiłam, ażebyś nie wyjeżdżał do Warszawy, to teraz masz coś chciał". Ojciec jako zwolennik Narodowej Demokracji ze zgrzytem zębów od siebie dodał: — Kto jaką bronią walczy, od takiej sam zginie! Przez łączenie się z socjalistami shańbiłeś całą naszą familję... Pocałowałem ojca w rękę i prosząc pokornie o przebaczenie oświadczyłem: Drogi Ojcze! proszę przyjąć do wiadomości że już w krótkim czasie wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — przyjechałem się pożegnać i nikogo już z naszej familji więcej hańbić nie będę...

Więc przyjechałeś po pieniądze na drogę Władeczku, dosyć ja już się zadłużyłem u Żydów na twoje organistowstwo. Możesz jechać — ale ja ci nic pomóc nie mogę... Nazajutrz przy pożegnaniu wszyscy popłakaliśmy się. Najstarszy brat Aleksander odwiózł mnie do Czyżewa, do siostry Stefanji, która także już mię miała za powieszonego w cytadeli.

W sprawie wyjazdu mego do Ameryki, wyraziła zgodę i oświadczyła pomoc materjalną (w formie pożyczki), na koszta podróży — że da. Przytem dodała: Na drugi rok stajesz do losów, może byś jeszcze musiał iść do wojska, tego naszego krwawego gnębiciela i służyć mu za męczarnie w więzieniu? Lepiej, lepiej, że wyjedziesz...

Wskutek tego że data wyjazdu mego była już omówiona na Pradze, więc jeszcze tego samego wieczoru musiałem się (także pewnie poraz ostatni) pożegnać z prawdziwie b. dobrą siostrą i wrócić do Warszawy. Tam już było wszystko do mojej podróży gotowe.

Żegnaj serce Twoje kochana Warszawo... W następną noc księżycową, ruszyliśmy dorożką ku dworcowi wiedeńskiemu położonemu przy ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej. Tam

brat doręczył mi już opłaconą kartę okrętową, nieco gotówki, list do swego kolegi zamieszkującego w pewnem mieście Ameryki Północnej i polecił moją „osóbkę", czyli mię pewnemu panu (zdaje mi się mojżeszowego pochodzenia), który był agentem kompanji Hamburg — Amerika Line.

Jadąc w otoczeniu brata i bratowej na dworzec już się popłakałem. A cóż dopiero mówić przy pożegnaniu się przed odejściem pociągu. Oni żegnali mię ze łzami w oczach. A ja? Również już nietylko jak dziecko głośno płakałem — ale i trzęsłem się jak listek... gdyż żal ściskał mi serce...

Gdy zajechaliśmy do Częstochowy (było nas dwóch Polaków i trzech Żydów), p. agent zaprowadził nas do żydowskiego hotelu, tam po skromnem posiłku otrzymaliśmy fałszywe paszporty i „legalnie", dostaliśmy się zagranicę do Niemiec. Tam po niedługim postoju na jakiejś większej stacji — na skrzydłach pary ruszyliśmy do Hamburga.

W Hamburgu zaprowadzono nas do „domu emigracyjnego", gdzie było już kilka setek ludzi oczekujących na wyjazd do Ameryki Północnej lub Południowej. Przed wyjazdem każdy emigrant musiał się stawić (tak jak przyszedł na świat) przed doktora dla zbadania stanu zdrowotności. Odzież cała poszła do dezynfekcji i następnie musiał jeszcze się wykazać stanem posiadanej gotówki. Gdy wszyscy byli gotowi, zaprowadzono nas do portu i ulokowano na olbrzymiem okręcie (nie pamiętam nazwy) niemieckim, na którym ruszyliśmy w podróż.

W pierwszych dniach była prześliczna pogoda. Powierzchnia morza przedstawiała się jakby jedno olbrzymie lustro: gładka, lśniąca i cicha. Wszyscy pasażerowie nadzwyczaj zadowoleni, gdyż podróż nadniespodziewanie przyjemna, wszędzie słychać wesołe rozmowy i śmiechy. Pewnego dnia zaczęły na niebie ukazywać się ciemne chmury, zerwał się zrazu nieduży wiatr, który następnie zamienił się w wicher. Nasz duży okręt zaczął się mocno kołysać— gdyż olbrzymie gmachy bałwanów zaczęły go podnosić jakby na ostro-wysokie góry wód, to znowu spychały (jak czółenko) z góry w głębokie otchłanie. W naszej 3-ciej klasie było istne trzęsienie ziemi: wszystko się chwiało, szamotało, upadało i zdawało się, że te straszne wzburzone wody nietylko nasz okręt, ale cały świat zatopią. Gdy burza ustała, a pasażerowie nieco przyśli do siebie —

doktór okrętowy szczepił prawie wszystkim ospę. Podczas tej całej podróży morskiej, która trwała 20 dni, chorych było wielu, ale wypadek śmierci (nie wiem czy z bólu lub strachu) był tylko jeden — umarła jakaś młoda Żydówka.

Podczas podróży okrętem zapoznałem się z b. wieloma ludźmi. Jednak najbardziej przypadło mi do gustu dwóch „towarzyszy" z miasta Łodzi (także zbiegowie polityczni), którzy mieli kilku kuzynów z rodzinami w Kanadzie w mieście Montrealu. Kuzyni ci w listach pisali, że właśnie w tem mieście odczuwa się brak ludzi do pracy. Nie namyślając się wiele, pojechałem tam.

Gdy zajechaliśmy do Montrealu była noc. Dorożek ani „powozów" na stacji nie było. Ludzie są — ale my ich ani oni nas nie rozumieją, wtem nadszedł policjant, któremu pokazaliśmy adres i ten dopiero wybawił nas z kłopotu. Gdy tramwaj nadszedł, kazał nam wsiąść i pogadał z konduktorem, ażeby ten zawiadomił nas gdzie mamy wysiąść.

„Kuzyni" przyjęli nas dość serdecznie. Pracę także otrzymałem niedługo u pewnego rodaka, który miał sklep spożywczy i trudnił się także wyrobem wędlin. Z powodu lichej płacy nie długo pracowałem w tamtem miejscu. Za pośrednictwem innych robociarzy otrzymałem pracę (na nocną zmianę) w fabryce, gdzie wyrabiano z blachy i polewaną emalją: miski, talerze, dzbanki i t. p. Zarobek był niezły, więc pracowałem tam kilka tygodni, pomimo tego że ta nocna (w wilgoci i przy sodzie) praca dawała mi się we znaki. Kierownikami pracy w tej fabryce byli Anglicy i Francuzi, zaś mniej odpowiedzialną i cięższą robotę wykonywali przeważnie Rusini i Polacy. Klimat w Kanadzie jest zdrowy, ale nie stały, a często są silne mrozy, które podczas zimy trwają nie trzy miesiące ale większą połowę roku. Miasto Montreal podobało się, ludzie może byli nieco mniej uprzejmi jak w Polsce — ale także byli nadzwyczaj dobrzy. Jednakże trudno mi się było tam przyzwyczaić — więc postanowiłem wyjechać do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Wyjeżdżając z Kanady przekonałem się, że nie było tak łatwo stamtąd wyjechać, jak zajechać. Władze emigracyjne przy wyjeździe czyniły mi różne trudności. Musiałem w tej sprawie wyrabiać potrzebne papiery i grubo się tłumaczyć. A wszystko to nie

jest łatwem do uczynienia w kraju, którego człowiek nie zna języka.

Wyjeżdżając z Warszawy dał mi mój brat Stanisław polecający list do swego kolegi p. Wł. K. (którego i ja znałem osobiście) a który mieszkał w mieście Cleveland Ohio, do niego też właśnie pojechałem. Gdy zajechałem p. W. K. przyjął mię dość życzliwie. Miasto Cleveland należy do większych miast. Polaków zamieszkuje dosyć dużo, są dzielnice które się nazywają: „Warszawa", „Poznań" i t. p., gdzie sami Polacy przeważnie mieszkają i posiadają kilka pięknych kościołów oraz towarzystw. Po tygodniu czasu otrzymałem pracę w fabryce przy maszynach, gdzie pracowałem blisko rok. W początkach zarabiałem niewiele — ale że pracowałem stale, więc wystarczało mi w zupełności na codzienne wydatki i na częściowe spłacenie zaciągniętego na koszta podróży długu.

Pomimo tego że w mieście Cleveland spotkałem ludzi znajomych nawet z Warszawy, zjednałem sobie nowych przyjaciół; uczęszczałem stale na naukę do wieczornej szkoły — jednakże za krajem rodzinnym, za Polską ukochaną — tęskniłem bardzo, bardzo długo. Pisałem częste listy, na których odpowiedź czekałem z wielką niecierpliwością. Z listów dowiedziałem się, że po mojem wyjeździe policja carska poszukiwała mię nietylko w Warszawie, na Pradze, u rodziców w Nurze, ale i u siostry w Czyżewie, że prowokator F. Sankowski został sprzątnięty w pewnej restauracji w Warszawie, przez pewnego bojowca (pseudonim Togo) z Pragi i t. p. Wszystko mię to bardzo interesowało i ciągło z powrotem do Polski! — Ale niestety, nie można. Trudno. Gdy robota w fabryce (gdzie pracowałem) zaczęła się „psuć" z powodu kryzysu, wyjechałem z Cleveland do Chicago (Czykago).

Czykago jest jednem z największych miast w Stanach Zjednoczonych, liczy trzy miljony mieszkańców, pomiędzy którymi jest wielu przedstawicieli wszystkich ras i istniejących narodowości na świecie. Polaków zamieszkuje tam blisko pół miljona, jest tam wiele towarzystw najrozmaitszych i stowarzyszeń, dużo kościołów dużych, a pięknych — oraz siedziba zarządu Związku Narodowego Polskiego, który jest największą i najbogatszą organizacją Polaków na kuli ziemskiej. Wychodziło tam kilka pism codziennych polskich, jednem słowem zrazu wszystko mi się tam podobało do tego stopnia, że nietylko myślałem o pozostaniu tam — ale

postanowiłem sobie że z Czykago, gdy przyjdzie wyjechać, to tylko do Polski, a jak nie to tu pozostaje na zawsze.

Gdy załatwiłem sprawę mieszkania i stołowania się, wyruszyłem w poszukiwaniu pracy. Przeszedł dzień jeden i drugi na poszukiwaniu pracy na próżno. Bezrobotnych robotników miejscowych wtedy już Czykago liczyło na dziesiątki tysięcy. A cóż mówić o świeżoprzybyłych. Bez względu na to że nie było żadnego widoku znalezienia jakiejkolwiek pracy, ja jednak nie przestawałem szukać jej i przeszło tak blisko sześć tygodni na próżnem szukaniu.

Mając wiele wolnego czasu chodziłem (jak i wielu innych) do bibljoteki Związku Narodowego Polskiego, na czytanie książek i pism. Tam właśnie wpadł mi do ręki „Dziennik Ludowy", w którem była dość długa korespondencja niejakiego p. Michała Sekuły, aż z Brazylji, ze stanu Parana. W owej korespondencji p. Michał Sekuła pisał o Brazylji jako o kraju wielkiej przyszłości. Zaś Paranę przedstawiał jako jedyne i najodpowiedniejsze pod słońcem miejsce do osiedlania się Polaków. Tak ta pierwsza, jak i następne korespondencje z Parany, bardzo mi się podobały. W Czykago nie było żadnego widoku na polepszenie się. Kryzys coraz szerzej rozpościerał swoje ponure skrzydła. Fabryki nietylko oddalały z pracy robotników — ale niektóre zupełnie zamykano. Kilkotygodniowa bezczynność gnębiła mię bardzo, noce spędzałem prawie bezsennie, z pieniędzy ciężko zapracowanych w Cleveland została już tylko połowa... Pomyślałem sobie: i czegóż będę dłużej oczekiwał?... Stracę resztki pieniędzy i może będę ciężarem dla kogo? Nie, co będzie to będzie — jadę do Parany!

Gdy zawiadomiłem swych przyjaciół i znajomych że powziąłem zamiar wyjazdu z Czykago do Brazylji — to ci co mieli pracę nie radzili mi ażebym ze Stanów Zjedn. Ameryki Północnej tam wyjeżdżał. Owszem przedstawiali mi nawet ludzi, którzy z Brazylji powrócili i bardzo ujemnie o tem kraju się wyrażali. Zaś ci, co byli bez pracy i wlekli ten bezsensowny a smutny kierat istnienia, żałowali że nie mieli pieniędzy na podróż i nie mogli stamtąd wyjechać... Zgłosił się na wyjazd razem ze mną także do Brazylji niejaki p. E. D., ślusarz z Warszawy rodem. Wyruszyliśmy do Nowego Jorku. Tam po załatwieniu spraw dotyczących naszego wyjazdu, dnia 5-go kwietnia 1908 r., wsiedliśmy na okręt, który po

22-ch dniach podróży zawiózł nas do najpiękniejszego i najlepszego w Ameryce Południowej portu (w stolicy Brazylji) Rio de Janeiro.

Wobec tego że nie posiadaliśmy tak dużej gotówki, któraby nam pozwoliła na opłacenie z własnej kieszeni dalszych kosztów podróży, odrazu z okrętu udaliśmy się na „Wyspę Kwiatów", do baraków emigracyjnych. W barakach zastaliśmy kilkadziesiąt rodzin (i wielu samotnych) emigrantów rozmaitej narodowości, między którymi było i kilka rodzin polskich. Po kilku dniach postoju w barakach, w transporcie zbiorowym emigrantów, na koszt rządu brazylijskiego, pojechaliśmy aż do miasta Kurytyby, które jest stolicą Parany. Muszę nadmienić, że podczas przejazdu okrętem brazylijskim z Rio de Janeiro do portu Paranagua, gdy poszedłem się myć — skradziono mi dość porządną marynarkę, w której kieszeniach miałem notes z ciekawemi zapiskami, kilka dolarów w papierkach i pierwsze papiery obywatelstwa St. Zjedn. A. Północnej. Energiczne poszukiwania tych rzeczy, nawet przy pomocy kapitana okrętu, były daremne. W Paranagua (port w stanie Parana) dowiedziałem się że w tej części podróży, często się zdarza że emigrantom „giną różne rzeczy".

Gdy zajechaliśmy do Kurytyby, znowu zaprowadzono nas do baraków emigracyjnych. Po posiłku i chwilowem wypoczęciu — poszliśmy zwiedzić stolicę Parany. Miasto to zbudowane na płaskowzgórzu, wewnątrz jest dość elegancko się przedstawiające. Mieszkańców kilkadziesiąt tysięcy, w tem dość ładna gromadka Polaków. Przy pierwszem zetknięciu się z Polakami rozmawiali oni z nami bardzo chętnie i po bratersku. Niektórzy z nich jednak dziwili się nam, że zachciało się nam porzucić bogatą Amerykę Północną dla biednej i mocno zadłużonej Brazylji. W końcu ktoś nam doradził ażebyśmy złożyli wizytę niejakiej pani Janinie Kraków, która w Kurytybie była znana jako wielka przyjaciółka i opiekunka ludu roboczego. Następnego dnia około 10-tej g. rano stanęliśmy przed domem p. J. K. Słysząc długo nieprzerywane jakieś opowiadanie — zauważyliśmy że gospodyni domu nie jest sama. Postanowiliśmy więc zaczekać. Wtem od strony miasta nadeszła służąca i zapytała nas: Czy panowie mają jaki interes do P. Krakowa? Tak, o ile by było możliwem, to mamy życzenie z p. K. porozmawiać. — To proszę wejść do ogrodu i usiąść na ławce, p. Kraków

uczy dzieci — za chwilkę będzie pauza, więc będą panowie mogli z p. K. pomówić. Rzeczywiście że nie długo trwało, p. Kraków wypuściła dziatwę na obiad i z miłym uśmiechem na twarzy wyszła na przyjęcie nas. Gdy się jej przedstawiliśmy, witała nas jak rodzona matka wita swoje dzieci... Po krótkiej rozmowie czcigodna pani Janina Kraków dała nam wyczerpujące informacje o całej Paranie, warunkach bytu, stosunkach i o życiu Polaków. Odchodząc, za cenną poradę i cenne wskazówki serdecznie podziękowaliśmy tej zacnej matronie polskiej, która potrafiła być nietylko starszych i młodszych robociarzy opiekunką — ale i nie zapomniała o polskich młodych latoroślach, w których sercach wpajała zdrową oświatę i miłość ojczyzny.

W Kurytybie nastąpiło też rozłączenie się moje z towarzyszem podróży p. Edwardem D. On udał się w strony nowobudującej się drogi żelaznej z Parany do sąsiedniego stanu Rio Grande do Sul. Ja zaś znalazłem pracę i pozostałem w Kurytybie. Praca była przeważnie nocna i płaca mała. Po upływie miesiąca czasu porzuciłem (u Niemca który często wyśmiewał Polaków) zajęcie i wyjechałem z Kurytyby do p. Michała Sekuły (autora korespondencji o Paranie), który niezbyt daleko od Kurytyby pracował jako nauczyciel w polskiej szkole na kolonji Kampina. Pana M. S. znałem od dawna, ale tylko z korespondencji i opowiadań o nim jego kolegów w Ameryce Północnej, więc było mi przyjemnie poznać go wtedy osobiście. Przyjął on mię b. serdecznie. Przez dłuższy czas pobytu w jego domu (był wtedy kawalerem), miałem sposobność osobiście się zapoznać z wieloma wybitnymi Parańczykami. Sam zaś gospodarz zrobił na mnie wrażenie dobrego Polaka, zdolnego nauczyciela i wykształconego społecznika, jakich niestety mało posiadamy w Brazylji. Mając zamiar osiedlenia się na roli — więc ażeby lepiej poznać pracę i życie w kolonji, od p. M. S. poszedłem jako robotnik pracować do kolonistów tutejszych. Życie i praca pomiędzy falującemi zbożami podobało mi się. Kolonista nie wie co to jest bezrobocie, chociaż często na polu pracuje od wschodu aż do zachodu słońca, ale gwizdek syreny fabrycznej z domu go nie wypędza. Jest wolny — gdy pracuje więcej, to też i więcej ma.

Wiele mówią i piszą, że nasz kolonista na kolonji jest mało oświecony, nieokrzesany i małomówny. Być może! Prawda że nie

zna on kina, radja, cyrków, teatrów, dancingów, ale zato zna ziemię. Zna swój dobytek — zna grunt swój, z którym związany jest przez całe życie i w który wkłada całą swą duszę prostą i serdeczną. I jest on przedewszystkiem człowiekiem pracy. Zna pracę i docenia ją. Kolonista jest silny, wytrzymały, pobożny i obowiązkowy. Żyjąc przez 30 lat na obczyźnie przekonałem się osobiście że wśród kolonistów napotkać można najwięcej serc uczciwych, patrjotycznych, szczerych i religijnych.

Pracując przez pewien czas na kolonji Kampina, tam także poznałem pewną dziewczynę (córkę pewnej wdowy) z którą się ożeniłem na cywilny ślub. Matka żony miała przy sobie jeszcze troje dzieci, a ziemi było mało. Pracowaliśmy tak kilka miesięcy razem, a później wyjechaliśmy z żoną na nową kolonję Nowa Galicja. Tak właśnie nazywała się ta nowa kolonja, którą zakładała (zdaje mi się) amerykańsko-angielska kompanja pod nazwą: Sao-Paulo Rio Grande Brasil Railway Company. Przez środek kolonji przechodziła kolej do Rio Grande do Sul, ziemie były niezbyt drogie, a w gazetach ogłaszano jako bardzo urodzajne. Kompanja przyrzekła, że nowym osadnikom da pracę, kredyt i t. p. wygody. Ludzie jechali i ściągali się tam ze wszystkich stron.

Nowa kolonja tak mnie jak i mojej żonie dosyć się podobała. Teren niezbyt górzysty, drogi dosyć dobrze robione. Duży magazyn kompanijny i stacja kolejowa ma być tuż przy magazynie. Jednem słowem przyszłość wielka... Wobec tego że wszystkie ziemie przy stacji kolejowej i wzdłuż linji były już zajęte, wziąłem dwie działki ziemi położone przy końcu kolonji. Gdy zainstalowaliśmy się jako tako i zaczęliśmy pracować, czuliśmy się prawie szczęśliwi. Przecież pracowaliśmy na ziemi która z czasem miała się stać naszą własnością. Ja z bratem żony (15-to letnim, którego matka żony dała nam do pomocy) rozpoczęliśmy pracę przy wycinaniu lasu. Zaś dzielna żonusia czyniła porządek w domu i szykowała sobie miejsce na założenie warzywnego ogródka.

Bolesne i smutne chwile. Żona moja była zdrowa, ale wątła, co też często wspominała iż obawia się tego czy nie przyjdzie jej wiele cierpieć kiedy przy połogu. Gdy zbliżała się dla niej ta chwila „nieszczęśliwa", starałem się usilnie o pomoc. Niestety. Okazało się że w kolonji niema ani doktora, ani akuszerki. Przy pomocy kilku sąsiadek, po długim czasie wielkiego cierpienia (bez przy-

tomności), powiła żona duże nieżywe (płci męskiej) dziecko, dla którego i swoje życie młode niedługo w strasznych męczarniach oddała...

Po stracie tej młodej a bardzo dzielnej żony, długi czas z żalu nie mogłem sobie dać rady. Z powodu przeziębienia się także poważnie sam zachorowałem, że musiałem przeleżyć jakiś czas w łóżku. Gdy nieco przyszedłem do siebie zmarnowałem wiele rzeczy za wpół darmo i zupełnie darmo wiele rozdałem i postanowiłem z Brazylji powrócić znowu do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Gdy zajechałem do miasteczka Porto Uniao, (które jest od tej kolonji N. G. odległe o 28 kilometrów), tam znajomi i przyjaciele zatrzymali mię. Miasteczko Porto Uniao jest położone nad największą rzeką (w stanie Parana) Iguassu. Przechodziła tam już jedna kolej, budowano drugą i wymierzano linję na trzecią. Miasteczko rosło jak na grzybach. Przez jakiś czas pracowałem tam jako robotnik ciesielski.

Mieszkało w tem miasteczku także około 30 rodzin polskich. Byli to przeważnie rzemieślnicy na dorobku, ale patryjotycznie nastawieni Polacy. Gdy dałem projekt założenia polskiego towarzystwa, to słowa w krótkim czasie były zamienione w czyn. Niespełna w rok czasu nietylko było towarzystwo, ale piękny budynek i piękna szkoła im. Juljusza Słowackiego.

Po upływie roku czasu i ja w owem miasteczku (przy pomocy rodaków) nabyłem sobie kawałek ziemi i pobudowałem na niej domek. Później trafiła mi się dobra praca, więc pozostawiłem sekretarstwo i inne funkcje w zarządzie towarzystwa i poszedłem z inżynierami na pomiary w dziewicze puszcze. Pomiarami kierował inżynier p. Ignacy Szańkowski, człowiek to był nietylko o wielkim sercu ale i dobrej duszy. Kiedy po ukończeniu pracy powróciłem z powrotem do Porto Uniao, zapoznałem się z córką pewnego kolonisty który z rodziną całą (dwie córki, trzech synów) przenosił się z największej kolonji polskiej w Paranie Luceny (dziś nazywa się Itaiopolis i należy do stanu Santa Catarina) na nową kolonję Nowa Galicja.

W początkach 1912-go r. ożeniłem się (poraz drugi t. j. jako wdowiec) biorąc ślub kościelny w Porto Uniao, następnie później cywilny. Tak pierwsza jak i druga żona, urodzone były w Bra-

zylji — ale ducha miały polskiego. Po ożenieniu się drugi raz znowu powróciłem na nową kolonję N. Galicja i obok ziemi (rodziców żony) wziąłem sobie jedną działkę gdzie przez jakiś czas gospodarzyłem. Nieszczęście chciało że wybuchł jakiś zatarg między kolonistami a miejscowym szefem kolonji. Koloniści mieli jakiejś głębszej natury zażalenia i prosili, ażeby tenże szef postarał się o przyśpieszenie przyjazdu na kolonję głównego dyrektora. Pewnego dnia (lotem błyskawicy) rozeszła się pogłoska, że tego a tego dnia przyjedzie p. dyrektor. Ludziska się zgromadzili, czekają i czekają — zaczęło się przykrzyć, gdy sobie wypili po kilka kieliszków „pocieszycielki brazylijskiej", to i nadszedł pociąg. Ale w miejsce pana dyrektora przyjechała policja z Porto Uniao. Policja kazała (tak mi mówiono, gdyż nie byłem obecny) ludziom rozejść się do domów, jedni usłuchali, drudzy nie. Więc doszło do tego że kilku kolonistów (Bogu ducha winnych) zostało przez policję dotkliwie pobitych, jeden Ukrainiec został uszkodzony na zdrowiu.

Ażeby położyć kres częstym zatargom kolonistów z miejscowem szefem (był Francuz) koloniści zwołali ogólne zebranie, na którem spisano żądania i zażalenia kolonistów do głównego zarządu komp. Następnie koloniści wybrali z pomiędzy siebie trzech delegatów (między którymi i ja byłem), którzy pojechali do Kurytyby i te żądania kolonistów doręczyli p. dyrektorowi Mr. Cole. Pan dyrektor przyjął delegatów dość uprzejmie, po przeczytaniu doręczonych mu pism stał się więcej rumiany i nieco zdenerwowany. Wypytywał o niektóre sprawy dość długo, w końcu oświadczył: „Jutro jadę z wami razem na Nową Galicję"... Telegramem zawiadomiliśmy kolonistów o decyzji p. dyrektora i nakazaliśmy żeby wszyscy się zeszli. I cóż się okazuje? Zajeżdżamy i spotykamy prawie większość ludzi w nietrzeźwym stanie! Pan dyrektor z politowaniem spojrzał to po ludziach — to znowu po delegatach uśmiechnął się i poszedł razem z miejscowym szefem do jego biura. Dowiedzieliśmy się że miejscowy szef kolonji, gdy otrzymał wiadomość kiedy przyjedzie pan dyrektor, to tego właśnie dnia, co mieliśmy przyjechać, kazał ażeby w magazynie dawano ludziom tyle wódki, ile będą mogli wypić... Wziął ich... Pomimo wszystko p. dyrektor podobno dał naganę miejscowemu szefowi za sprowadzenie policji, i nazajutrz wyjechał... Nieuczciwy postępek

miejscowego szefa przez celowe upojenie ludzi nietylko delegatom ale i wielu rozumniejszym kolonistom wcale się nie podobał. Ja zaś w obecności p. dyrektora poprosiłem szefa o łaskawy zwrot gotówki, którą wpłaciłem jako część wpłaty na swoją działkę i zaraz wypisałem się ze spisu osadników tej kolonji. Kiedy wyjeżdżałem stamtąd do swego domku w Porto Uniao — wyjeżdżały i inne trzy rodziny na rządowe ziemie do Erechim w Rio Grande do Sul, gdzie ziemie stokroć miały być lepsze, aniżeli na Nowej Galicji.

W Porto Uniao pracowałem przez dłuższy czas przy ciesielce, w tartakach i przy wyrobach wędlin, jednem słowem jak nie było jednej pracy, to brałem się za drugą. A gdy zbrakło roboty na miejscu, poszedłem pieszo aż do dalekiego Tres Barras, gdzie północno-amerykańska kompanja zakupiła olbrzymie obszary lasów i zakładała największy w Ameryce Południowej tartak. Pracę tam otrzymałem zaraz, częściowa znajomość języka angielskiego pomogła mi bardzo wiele, zarabiałem tyle że wystarczało na życie i dałoby jeszcze cokolwiek odłożyć na stare lata...

Co kilka miesięcy musiałem odprawiać pieszo kilkadniowe spacery do żony w P. Uniao, nosząc jej i pięknym dwom synkom pieniądze na życie. Dom chciałem sprzedać — ale z powodu przedwojennego zastoju wszystko w tem miasteczku ucichło. A domów były setki na sprzedanie. Nie było innego wyjścia jak zamknąć dom z pięknym warzywnem ogrodem. Tak też żona zrobiła i po dwóch dniach jazdy koleją przyjechała (mając z sobą dwoje dzieci) do Tres Barras.

Miejscowość Tres Barras położona jest na równinach nad rzeką Rio Negro. Przechodzi tam dzisiaj kolej z Porto Uniao do portu San Francisco w Santa Catarina. Pracując tam podczas czterech lat byłem także inicjatorem i współzałożycielem T-wa „Bibljoteka Polska", współbudowniczym domu i szkoły. Długi czas pełniłem funkcje to prezesa lub sekretarza zaś przed założeniem szkoły bezinteresownie wieczorami uczyłem dzieci polskie.

Podczas wojny europejskiej byłem mianowany przez p. Wacława Rodziewicza (mąż zaufania ś. p. marszałka Józefa Piłsudskiego) komisarzem „Polskiej Komisji Wojskowej w Ameryce Południowej". W imieniu tejże komisji zbierałem z innymi patrjotami pieniądze na cele legjonów i Polski Czerwony Krzyż. Pieniądze były zbierane na kwitarjusze P. K. W. i wysyłane do p. W. Ro-

dziewicza, który po otrzymaniu ogłaszał imiona ofiarodawców w piśmie „Świt" i następnie przesyłał je do Szwajcarii na ręce niezapomnianej pamięci Dr. Gabrjela Narutowicza w Zurychu.

Muszę nadmienić że dzielni robociarze, pomimo że sami mało zarabiali, to jednakże czy to na cele uwolnienia ojczyzny z niewoli oprawców, lub też na otarcie łez sierotom, swoje ciężko zapracowane grosze zawsze bardzo chętnie dawali.

Pracując w kompanji tej byłem swego czasu ranny (przez nagły zwrot krótkiej deski przez okrągłą piłę) i leżałem 20 dni w szpitalu kompanijnym na koszt tejże kompanji. Ale podczas pobytu w szpitalu nic nie otrzymałem na utrzymanie rodziny. Wskutek tego że robotnicy przy ciężkiej pracy robili długie godziny, że za pracę nocną i w święta nie płacono więcej, że nie było żadnego ubezpieczenia na wypadek choroby lub śmierci, wybuchł i tam (swego czasu) strajk, w którym robotnicy przeprowadzili swoje słuszne żądania. Jednakże niedługo cieszyli się zwycięstwem. Kompanja sprowadziła wojsko i mało po mału — pod pretekstem jakiejkolwiek niedokładności w pracy — usuwała tych którzy mieli odwagę stanąć na czele strajkujących. Robotnicy biedni i mało uświadomieni niewiele co mogli począć, więc wszystko zawsze powróciło do starego trybu.

W r. 1917 z przyczyn odemnie niezależnych wyjechałem z Tres Barras do portowego miasta Rio Grande w stanie Rio Grande do Sul. Pracę niedługo tam znalazłem w nowowybudowanej przez Amerykanów fabryce konserw. Polaków których tam poznałem odrazu pokochałem jak braci rodzonych. Nie wstydzili się swego pochodzenia, mówili po polsku i prawie każdy był członkiem polskiego T-wa „Białego Orła" do którego i ja niedługo się zapisałem. Towarzystwo to zostało założone w r. 1896, ma duży i piękny dom, na którego ścianach sali nietylko wiszą drogie portrety Tadeusza Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego i innych t. p., ale w tejże sali od samego założenia tego towarzystwa aż do dzisiejszych dni zawsze funkcjonuje polska szkoła. Towarzystwo to posiada dość ładną i w porządku konserwowaną bibljotekę, na sali zaś wygodną scenę i dobrze urządzony bufet. Oprócz dużego domu gdzie to wszystko (co powyżej wspomniałem) się mieści, są jeszcze dwa domy mniejsze.

W Towarzystwie „Białego Orła", także dłuższy czas byłem se-

kretarzem i miałem upoważnienie z p. Ksawerem Barańskim do zbierania Polskiej Państwowej krótkoterminowej Pożyczki, na którą od rodaków w tem mieście zebraliśmy prawie 18-cie tysięcy milrejsów. Działo się to wtedy, kiedy pierwszym konsulem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej był (w Kurytybie) p. Kazimierz Głuchowski.

Przez cały czas mego pobytu w mieście Rio Grando pracowałem tylko w jednej fabryce konserw i innych przetworów mięsnych w słynnej „Swift Company". W początkach zarabiałem tak mało, że musiałem chodzić na nocną pracę (przy wyładowywaniu lub władowywaniu okrętów) do portu. Praca to była ciężka, ale i lepiej płatna, niestety można ją było tam tylko wtedy dostać — gdy w porcie był nadmiar okrętów i brakowało robotników.

Nareszcie, kiedy doczekałem się że w „Swift Company" polepszyły się roboty, a ja wśród przełożonych swych szefów zjednałem sobie większe zaufanie i otrzymałem lukratywniejsze stanowisko, to znowu tak się złożyło że porzuciłem tę pracę i wyjechałem daleko na kolonję. Pracując dłuższy czas w zarządzie T-wa „Białego Orła", poznałem kilku kolonistów (którzy przyjeżdżali do swej familji w odwiedziny) aż z dalekiej „czysto polskiej" kolonji Felicjana Świętego (Sao Felicjano). Właśnie że za pośrednictwem tych kolonistów zgłosiło się do mnie pewne towarzystwo stamtąd (i to więcej z prośbą aniżeli z propozycją), ażebym raczył przyjąć w owem towarzystwie posadę „profesora"...

Ludzie znający stosunki sanfelicjanowskie nie wszyscy mi radzili, żebym tam jechał. Owszem było wielu i takich, którzy b. ujemnie wyrażali się o chlebie profesorskiem na tej kolonji, więc dłuższy czas z wyjazdem zwłóczyłem. Po otrzymaniu pierwszego listu odpisałem temu towarzystwu i oświadczyłem posłańcowi: Panowie wybaczą, przyjąć posady nauczyciela nie mogę gdyż sam nie mam wykształcenia. A przecież chcąc kogoś uczyć, samemu trzeba dużo umieć. Niewiele pomogło, oprócz listów otrzymanych pocztą — znowu przybył drugi kolonista z prośbą, który między innemi powiedział — „Panie, niech się pan nie frasuje że sam mało nauk posiada i dlatego mówi że do naszej szkoły nie może iść za profesora. Niech pan wie, że ten profesor cośmy go wygnali, także wielkich nauk nie miał, był pijakiem i nietylko uczył byle jak, ale uczył mało. A jednak z braku drugiego trzymaliśmy go dość dłu-

go"... Gdy mu oświadczyłem że jestem człowiekiem, który nie lubi za wiele się modlić, może to właśnie p.p. kolonistom się nie podoba? Ten na to odpowiedział: „Przecież my się pana nie pytamy, a nie przewiadujemy się czy pan więcej lubi kawę, lub też herwę. My chcemy ażeby się pan z nami zgodził i pojechał do nas na kolonje uczyć nasze dzieci, które chowają się bez szkoły". W końcu przyjechał stamtąd trzeci kolonista p. Fr. W., był to już nieco starszy człowiek, ale rozumny i bardzo sympatyczny. Człowiek ten z taką troską i żalem przedstawił mi smutny obraz swego T-wa i szkoły bez „profesora", że zdecydowałem się razem z nim na kolonję wyjechać.

Jechaliśmy przeszło godzinę czasu koleją z Rio Grande do miasta Pelotas, a stamtąd, po blisko czterech dniach jazdy wozem nareszcie dojechaliśmy.

Na drugi dzień po mojem przyjeździe już nietylko członkowie towarzystwa, ale i wszyscy ludzie mieszkający (kilkadziesiąt rodzin) na linji Laurentinie wiedzieli, że członek zarządu T-wa szkolnego im. św. Jana Kantego p. Fr. W. przywiózł (z miasta Rio Grande) do stojącej od roku czasu pustkami szkoły „profesora".

Zarząd T-wa niezwłocznie zwołał nadzwyczajną sesję, na którą przybyło przeszło dwudziestu członków. Dom towarzystwa nieco niski, ale dość pakowny, cały murowany i wybielony wapnem na biało. Na sali mała scenka, na ścianach duży obraz Pana Jezusa na krzyżu i mniejsze obrazy stacji męki Pańskiej. Między przybyłymi na zebranie członkami było dwóch młynarzy, jeden kupiec, kilku rzemieślników i reszta koloniści. Tak starzy jak i młodzi wszyscy mówili po polsku, po zapoznaniu się i pogadance z nimi — wszyscy na mnie zrobili jaknajlepsze wrażenie. Po dłuższem „targowaniu się" (i dziś jeszcze towarzystwa po kolonjach szukają nauczyciela jak najtańszego, nie zwracając uwagi na jakość tak moralną jak i intelektualną kandydata) panów członków ze mną, nastąpiło potwierdzenie obopólnie przedstawionej w listach umowy. Towarzystwo zobowiązało się na swój koszt sprowadzić moją żonę z dziećmi z miasta Rio Grande, dostarczać drzewo na opał i płacić mi stałą pensję 150 milreisów miesięcznie tak długo dopóki rząd powiatowy nie udzieli tej szkole zapomogi. Muszę nadmienić, że było to pierwsze towarzystwo tej kolonji, które (w owe czasy, początki 1921 r.) zgodziło się mi płacić stałą pensję miesięczną bez

względu na ilość uczęszczających do szkoły dzieci. Ponieważ od dawien dawna był tutaj taki zwyczaj, że nauczyciel za naukę dzieci brał od ilości uczęszczających do szkoły dzieci.

W miesiącu marcu, roku 1921-go, rozpocząłem naukę dziatwy. W pierwszym tygodniu zapisało się i uczęszczało 30 dzieci, w drugim przybyło jeszcze kilkanaście. W miesiącu maju liczba dziatwy w mojej szkole doszła do 65 dzieci obojga płci. Wobec tego że nie miałem najelementarniejszego pojęcia ani przygotowania do prowadzenia szkoły i to szkoły z taką liczbą dziatwy, łatwo można sobie wyobrazić moje położenie. Muszę się też przyznać, że długi czas czułem iż niezupełnie dodatnio wywiązywałem się z przyjętych na siebie obowiązków. Brak najprymitywniejszych pomocy naukowych i niejednolite książki u dziatwy czyniły pracę w szkole jeszcze cięższą. Pomimo wszelkich trudności pracę w szkole polubiłem, a wiecznie niespokojną dziatwę szkolną pokochałem bardzo. Mało po malu wprowadziłem do nauki dziatwy książki tak polskie jak i brazylijskie jednego autora, od elementarza aż do 3-ciej i 4-tej książki. I to właśnie bardzo mi ułatwiło pracę. Niespełna po roku czasu złożył wizytę mojej szkole inspektor p. F. Pachero, co było następstwem, że przyznano mi 50 milreisów miesięcznej zapomogi od rządu powiatowego. Więc pierwsze trudności były pokonane.

Po zetknięciu się z młodzieżą przekonałem się także, że bije w niej polskie i szlachetne serce. Gdy kilku młodzieńców wyraziło chęć douczania się — otworzyłem szeroko drzwi wieczornej szkoły, do której na naukę języka portugalskiego i polskiego uczęszczało przeszło 20 młodzieńców. Młodzież ta była mi także bardzo pomocną przy zakładaniu bibljoteki, urządzaniu przedstawień amatorskich, obchodów i utrzymania (zaniedbanego) porządku na zabawach tanecznych.

Pod koniec 1923 r. zabawił kilka dni w kolonji starosta z powiatu Eukruzyljada dr. A. Silveira i tenże nie omieszkał złożyć wizyty przezemnie prowadzonej szkółce. Zatrzymał się w niej przeszło godzinę czasu, sam egzaminował dzieci z historji i geografji Brazylji. Zauważyłem że z egzaminu tak p. starosta jak i jego sekretarz, dodatnie odnieśli wrażenie.

Członkowie towarzystwa (zdawało mi się) że byli także zadowoleni z mojej pracy. Niektórzy przecież wiedzieli że zarabiam

„dobrze"... jednakże pomagali mi jeszcze wiele w naturze. Pomimo wszystkiego dobrego z mojej i ich strony — gdy pewnego razu zgłosiłem chęć wstąpienia do towarzystwa im. św. Jana Kantego na członka, odpowiedzieli mi p.p. (przeważnie starzy mądrale) że żaden nauczyciel który w ich szkole uczył dzieci, członkiem towarzystwa nie był, to też i pana przyjąć nie możemy... Więc nauczyciel, to najważniejsze koło, naokoło którego się wszystkie sprawy towarzystwa obracały — był uważany za człowieka obcego, który nie mógł być członkiem towarzystwa w którem jako nauczyciel pracował...

Kolonja Sao Felicjano, chociaż setkami kilometrów jest oddalona od większych skupień ludzkich, jak mnie tak też i żonie mojej w początkach tak się podobała, że postanowiliśmy sobie tutaj osiedlić się na stałe. Wskutek tego że w szkole zaczynało się robić „ciasno", a niektórzy członkowie zaczęli pogadywać ze mną, ażebym porzucił agenturę pisma „Świt", które proboszcz ks. J. S. uważał że zawiele występuje przeciwko księży. Umówiliśmy się z żoną że zaczniemy jaknajwięcej oszczędzać grosze, ażeby później kupić sobie działkę ziemi, na którą moglibyśmy pójść pracować i żyć jak wolni ludzie...

Z powiatu otrzymałem list od samego p. starosty z zawiadomieniem, że wskutek dużej frekwencji uczęszczającej dziatwy do szkoły, której jestem kierownikiem, przyznana mi będzie zapomoga rządu stanowego, także 50 milreisów miesięcznie. O ile mię ta wiadomość ucieszyła, to inne smuciły. Ponieważ dowiedziałem się że kilku „najmądrzejszych" członków (kilku nieznających sztuki czytania i pisania) zaczyna mocno krytykować moje prowadzenie szkoły, nie czekałem więc aż mnie wyrzucą, w czwartym roku pracy sam opuściłem (z żalem wielkim) tą szkołę i poszedłem na inną linję do szkoły, gdzie nie było nauczyciela.

Linja Assiz Brasil. Tak się mianowała nowa linja na której także mieszka przeszło 50 rodzin polskich. Na środku linji stoi murowany (nieduży) piękny domek w którym mieściła się szkoła T-wa „Komitet Szkolny". W szkole tego towarzystwa miałem jeszcze większą liczbę dzieci (uczęszczało kilkanaście dziatek brazylijskich) aniżeli na linji Laurentinie. Uczyłem tam do 1929 r. Kupiłem sobie (tuż obok szkoły) częściowo za pożyczone pieniądze, działkę ziemi od wychodzącego stamtąd kolonisty. Jednem słowem

przez dłuższy czas i na linji Assiz Brasil czułem się dość dobrze. Po nabyciu ziemi cieszyliśmy się z żoną, że i nam udało się zdobyć grunt t. j. najtrwalszy w kolonji warsztat pracy.

Przez te kilka lat zaszły też i poważne zmiany w naszej kolonji. Proboszcz miejscowy ksiądz J. S. z kolonji wyjechał (był już niemłody) z młodziutką i cudownie piękną panienką. W Porto Alegro (stolica Stanu) zrzucił suknię kapłańską i wziął z nią ślub. Na miejsce jego przyjechał ksiądz K. Z. ze zgromadzenia Salezjanów.

W r. 1923 wybuchła i dość długo trwała w naszym stanie Rio Grande do Sul rewolucja, która dostatecznie dała się we znaki i naszej kolonji.

Na działce ziemi, którą kupiłem, był bardzo lichy dom, więc za pożyczone (od dobrych ludzi) pieniądze pobudowałem sobie i dom. Gdy z przyczyn niezależnych odemnie musiałem opuścić prowadzenie szkoły w towarzystwie „Komitet Szkolny", zamiarowałem już dłużej się nie zajmować „profesorstwem". Ale uległem prośbie najwybitniejszych kolonistów z linji Assiz Brasil i na ich żądanie otworzyłem szkołę we własnym domu, gdzie uczyłem aż do 1933 r. W szkole tej miałem zapisanych 57 dzieci, frekwencja dzienna dochodziła od 26 do 48 dzieci. Szkołę tę odwiedzili następujący instruktorzy oświatowi: p. G. Kowalski, R. Papla, J. Zawora, St. Sacha i naczelny instruktor oświaty prof. K. Lech. Wszyscy ci panowie jako fachowcy i wybitni nauczyciele wyrażali się z uznaniem dla mojej pracy.

Będąc nauczycielem pół urzędowym ze stałą miesięczną 100 milreisową zapomogą od rządu zaryzykowałem pożyczkę pieniężną na budowę domu. Jednakże się omyliłem. Z powodu rewolucji rząd mi nie wypłacił przeszło za dwa lata subwencji. Ludzie zaś upominają się o zwrot pożyczki, jednem słowem znalazłem się w przykrem położeniu... Ziemia niewiele dawała w te lata, gdyż z rzędu przez trzy lata mieliśmy nieprzewidziane klęski w postaci suszy i szarańczy. A szkoła? Wobec tego że rząd nie wypłacał przyznanej zapomogi zarabiałem tak niewiele (przy prowadzeniu szkoły u siebie), że zarobek ten nie wystarczał na kawę bez cukru. Jako nauczyciel „municypalny" od Brazyljanów nie mogłem brać zapłaty, wdowom polskiem także uczyłem darmo, a koloniści pła-

cili tylko jednego milreisa od dziecka miesięcznie. Była to opłata bardzo mała, a jednak i tak znalazło się kilku że mię zarwali...

Mniej więcej na środku tej linji (przeważnie młodzi) koloniści zorganizowali towarzystwo im. Adama Mickiewicza, pobudowali prześliczny (niestety jeszcze nie wykończony do dziś) murowany dom i założyli szkołę. Uczył w tej szkole dwa lata fachowy nauczyciel p. Fr. Koch, ale nie mógł dalej zgodzić się z kolonistami — wyjechał do Parany. W miesiącu marcu 1933 r. zgodzili mnie koloniści do prowadzenia tej szkoły, którą do dnia dzisiejszego kieruję. Towarzystwo płaci mi miesięcznej pensji 100 milreisów (ale podczas wakacji nic), rząd powiatowy daje miesięcznej zapomogi także 50 milreisów. Z zaległej zapomogi rząd mi nie wypłacił 3.600 $ 000 (trzy tysiące sześćset milreisów)... Gdyby mi dziś rząd te pieniądze wypłacił (co napewno nigdy nie nastąpi), mógłbym dom wykończyć i wszystkie długi spłacić. Rodzina moja do roku 1934-go składała się z trzech synów i jednej córeczki. Wszyscy mieszkali z matką na działce ziemi, na linji Assiz Brasil, odległej o cztery kilometry od szkoły w której pracuję. Najmłodszy i najinteligentniejszy 19-to letni syn, widząc ciężkie położenie w domu, prosił nas ażebyśmy mu pozwolili pójść do dalekiej kopalni węgla w San Jeronymo... — „Słyszałem że tam są dobre zarobki, w domu ciężko, szarańcza w polu wszystko pożarła. Rząd ojcu subwencji nie wypłaca... Proszę was kochani rodzice, pozwólcie mi tam iść — zarobię i pomogę wam"... Pozwoliliśmy. Młody jest, ma oczy przetarte, rwie się w świat, niech idzie... Gdy pracował w kopalni obawialiśmy się, że może tam w jakim wypadku zginąć. Pisaliśmy ażeby się starał o pracę na powierzchni ziemi. Odpisał nam że pracuje już jako pomocnik maszynisty, zarabia nieźle gdyż pracuje po 18 godzin (!?) na dobę. Ale za domem i kolonją tęskni bardzo... Nieszczęśliwe najukochańsze dziecko noc po napisaniu i wysłaniu tego ostatniego listu — w katastrofie kolejowej został śmiertelnie ranny i w strasznych męczarniach życie zakończył. Nagła i niespodziewana śmierć jego mocno nas załamała.

W towarzystwie, gdzie jestem nauczycielem już czwarty rok, pełnię funkcję sekretarza, gospodarza a często prezesa i stróża. Książek dawniej kupowałem wiele, obecnie z braku środków — mniej. Pisma otrzymuję tylko te które opłacam, t. j. dwa polskie

i jedno brazylijskie. Pomoc otrzymałem tylko raz jeden z Wydziału Oświatowego przy Centralnym Związku Polaków w Brazylji. Ale pomoc ta była tak maleńka, że nie warto o niej wspominać. Inną razą prosiłem W. O. o przysłanie (chociażby podniszczonych) książek do bibljoteki szkolnej, o które się starsza dziatwa dobija. Obiecali ale nie przysłali... A może wysłali, ale nasze Felicjanowo daleko, daleko...

Czy chciałbym do Polski powrócić. Tak, chciałbym każdej chwili powrócić do Ojczyzny, ażeby przed śmiercią nacieszyć się jej widokiem. Miłość, sen i marzenie o niej — chociaż daleko „za krajami, za wodami, za górami" (po tylu latach tułaczki)... jeszcze noszę w swem sercu cudowny jej obraz, jako skarb najdroższy. I w poczuciu więc tej wielkiej miłości dla tej Polski, na pamięć tych bolesnych chwil żegnania swoich najdroższych i Polski kochanej w czasie swego odjazdu — nietylko pielęgnuję wspomnienia o Polsce — ale staram się zaszczepić wszystko co piękne i miłe, nabyte przezemnie w kraju ojczystym, w serca tych którzy tej Polski wcale nie znają lub zapomnieli o niej.

Sprowadzałem z Polski książki za pośrednictwem swego brata w Warszawie i „Przyjaciela szkoły w Poznaniu". Zaś na mój adres przysłali do bibljoteki szkolnej (kilka już lat temu) jako dar czcigodny p. Feliks Przyjemski b. kurator okręgu szkolnego w Krakowie, T-wo im. księdza Piotra Skargi z Krakowa oraz p. Stanisław Orszula z Chicago. Przysłała także kilka cennych książek z dedykacją: „Swoim kochanym Siostrzyczkom i Braciszkom w San Felicjano" „Zośka z Krakowa". Za ten bardzo, bardzo cenny pokarm duchowy, wszystkim ofiarodawcom w imieniu starych, młodych i młodszych czytelników składam serdeczne podziękowania.

Co należałoby czynić w kraju dla wychodztwa? Jeżeli to byłoby możliwem, to niechby Związek Polaków Zagranicą postarał się nam o nieco tańsze podręczniki szkolne. Te, które zmuszeni jesteśmy nabywać w Składnicy Oświatowej Zrzeszenia Nauczycieli Pol. w Brazylji, są stanowczo za „słone". Uważam że dobrze byłoby żeby w całej Polsce wszystkie kochane „Zośki" przyjęły do wiadomości że ich „Siostrzyczki i Braciszkowie" urodzeni w odległych kolonjach Brazylji, polecają się ich łaskawej pamięci i uprzejmie

proszą ażeby nie niszczyły (i chociażby podniszczone) pisma i pisemka ilustrowane oraz popularne książki. Ażeby raczyły takowe odsyłać do Związku Polaków Zagranicą, a ten wszystko by to odsyłał (bezpośrednio) do szkół w dalekich kolonjach.

Dn. 27 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 26

Rolnik w Encarnacio, pochodzący
z Kowieńszczyzny, ur. w 1883 r.

Z powagą do Zarządu Instytutu Polskiego w Warszawie.

Mam życzynie do przemówienia, choć w krótkości, kilka słów z Południowej Ameryki, z Republiki Paragwaju. Od kolonisty Konstantego N., pochodzącego z niepodległej Polski. Na tyle co moja pamięć mnie dowodzi i dokumenta co poświdczają. Z pochodzenia ojca z miasta Suwałk, Marcelego N., jako doświadcza moja metryka wypisana przez konsystorza Kowieńskiej diecezji. Urodzony dnia szóstego listopada 1883 roku. Jako syn dworzana Marcelego N. i Wincenty K. syn ślubny. Jestem wychowany w mieście Kownie i co się tyczy do wychowania dosyć nie bogatego bo zaledwo miałem siedym lat jak mnie ojciec umarł. I moja matka pozostała wdową z pięciorga małemi dziećmi. Co najstarsza Stanisława miała 14 lat, a młodsza Anna 12 lat. Dotychczas żyją w Kownie. Ja miałem siedym lat, mój młodszy brat Jan miał pięć lat i trzeci Wiktor mający dwa lata. Wiktor mając pięć lat zachorował i umar. I mojej matce wieczny jej pokój było bardzo trudno, bez żadnego funduszu, było trudno nie mając komu pracować na kawałek chleba i jeszcze do tego mająca dług pomiędzy przyjacielami. Co w przeciągu jednego roku i sześć miesięcy ciężkiej choroby mojego ojca, musiała robić staranie o dostarczenie środków lekarskich, a w następnym czasie było bardzo trudno o życie i o kawałek chleba. To wtedy nas matka rozdała do ludzi i za życie służyliśmy do dojścia dziesięciu lat, po dziesięciu latach mego rostu położono mnie pensyje trzy ruble ruskie na

rok. Drugi rok cztery ruble i jedne śledziówkę, kartofli posadził gospodarz na swojej ziemi dla matki i tak mnie podwyższali pensyje co rok z moimi latami, jak miałem piętnaście lat to wstąpiłem do fabryki tak zwanej ślosarni Szmidta w Szancarach. Przy robieniu zamków i położyli lonu dwadzieścia kopiejek na dzień i po kilku tygodniowej pracy po zauważeniu majstra dano mnie na akord od tuzina. To już mogłem wyrobić trzydzieści kopiejek na dzień i coraz więcej powiększałem mój zarobek, w paru latach doszłem do możności zarobić sześćdziesiąt do siedemdziesiąt na dzień. Z tego zarobku potrafiłem utrzymać moją matkę i dwie siostry, choć i oni też dopomagali, jedna gotowała, druga chodziła do magazynu szyć i coś zawsze zarabiała i przy tem uczyła się roboty i młodszy brat też już zarabiał, bo już chodził do fabryki, do ćwiekarni Telmana, robił skrzynki na gwoździe i już na życie mógł zarobić. I wtedy już było można odpłacić długi po ojcu pozostałe, potem po krótkim czasie dalej odeszłem z fabryki Szmidta i dostałem pracę w polskiej fabryce mechanicznej odlewów czychunnych i budowli maszyn fabryka właściciela Minierwa Rekosza w mieście Kownie i pracowałem najprzód w oddziele kowalskim, jako pomocnikiem majstra kowalskiego i dostałem zapłacono po osiemdziesiąt kopiejek na dzień. Majster nazywał się Józef Skaczkówski także Polak i po paruletniej pracy. Później robiliśmy różne roboty z ogniem i na zimno, jako w kotlarni przy budowie kotłów parowych i reperatury. Zatem coraz więcej nabierałem się praktyki i już potem, w 1902 roku zdałem próbę na kowala, wtedy dostałem lon dziewięćdziesiąt kopiejek na dzień i podeszło dużo zakazów roboty wojennej, jako podczas wojny było do zrobienia kilkaset pontonnych łódek i do łódek odpowiednie wozy i prócz tego było zakazu szesnaście tysięcy dwukółek wojennych i wtedy jako był duży nawał roboty to aż po fajrancie się robiło trzy godziny od szóstej rano aż do dziewiątej wieczorem i się robiło akordnie i wtedy można było dobrze zarobić że byli takie tygodnie że mogłem wypędzić od dziesięciu rubli aż do osiemnastu rubli, jak jaka robota popadła i już można było dobrze podjeść i do tego flaszkę piwa wypić i jeszcze potrafiłem zaoszczędzić do 1904 roku dwieście rubli gotówki i miałem położone w cesarskim banku w Kownie. bo już byłem wołany do odbywania wojennej powinności. Stawiłem się na komisję pobo-

rową w mieście Mariampolu i byłem wzięty do wojska. Ach jakie straszne rozstanie moje było z moją ukochaną mamą gdyż ją kochałem nad życie. Gdy ją widziałem zemdloną, gdy oblewali ją wodą na dworcu kolejowym w Kownie. Co mi się dały zapamiętać ostatnie jej słowa, co doszły do moich usz, ach mój synu kochany com ciebie wychowałam w tyle niedostatkach a dziś co mogłabym spocząć za twoją głową na moje stare lata mnie wyrwano moje serce że ja już więcej ciebie nie zobaczę, przy odejściu pociągu o mało ja też nie zemdlałem ale cóż poradzić? Słowy matki się spełniły. Już więcej jej nie widziałem i ona mnie też po odejściu pociągu z Kowna. Po kilkugodzinnej jeździe dojechaliśmy do Wilna. Zostalim tam dziewięć dni w ciągu których dni mnie aż wiatr pachnół od strony Kowna. Teraz nie mogłem omitygować mego serca prosiłem o pozwoleństwo i poszłem do Ostrej Bramy na mszę i przed cudownym obrazem Matki Boskiej poleciłem pod opiekę siebie i moją kochaną matkę, którą kochałem nad życie. Po rozdzieleniu zostałem naznaczony do inżynierny wojsk i zostałem wysłany na czteromiesięczne uczenie do 172 lidzkiego pułku co stał w mieście Lidzie i przybywszy do pułku przebyliśmy od grudnia aż do kwietnia. Dwudziestego kwietnia nas wysłali na daleki Wschód. Zawieźli nas do Charbina miasta Chińskiego — tam nastąpiło rozdzielenie, i mnie naznaczyli do Zaamurskiej brygady, czwartego żelaznego batalionu, do dziewiętnastej kompanii w czwartym plutonie. I tam pozostałem na stałe, w krótkim czasie rozformowali nas na służbę kolejową. Ja jako miałem dość praktyki koło maszyn parowych mnie naznaczyli jako pomocnikiem maszynisty na wąskotorowej kolei. I wysłali nas na pozycje pod Mukden a tam wrzała wojna, to naszem zadaniem było rozkładać kolej i podwozić materiały wojenne i żywnościowe, i po zebraniu przez sanitarów Czerwonego Krzyża rannych dowoziliśmy ich do pierwszego szpitala. I po rozbiciu Mukdenu nas odesłano do Laojanu i tam mieliśmy podwyższone pensyje i zapasy żywności. Z początku mieliśmy od zarządu jeden rubel miesięcznie a od Kompaniji Kolejowej sześć rubli miesięcznie z których wydawano na ręce pięć rubli miesięcznie, jeden rubel zostawiono na tych którzy nieśli służbę w Kompanii a po sześcio-miesięcznej służbie zostałem naznaczony jako maszynista i powyższony na fraitra. Dostałem podwyższoną pensyję

rządową jednego rubla i pięćdziesiąt kopiejek, od kompanji kolejowej 15 rubli miesięcznie z których wydawali 12 rubli, trzy zostawiali dla tych co nieśli służbę w kompanii, a to już było w 1905 roku przed ukończeniem wojny rusko-japońskiej, tak że tam nam pieniędzy nie brakowało, mieliśmy ich pod dostatkiem. Ale cóż z tego? kiedy gdzie niespojrzy się wszędzie było widać krew. Krew ludzka rozlana a do usz dochodziły jęki rannych i różne przekleństwo, między zdrowymi pijatyki, niejedni przeklinali swoich rodziców ojca i matkę co ich na świat sprowadzili, inni bluźnili na Boga że ta przeklęta wojna, ludzie wybijali jedni drugich potem przy końcu 1905 roku ukończyła się wojna i ja zostałem przeniesiony do Charbina i naznaczyli mnie jako za starszego w ramontnem Depo i tam mnie dali do pomocy dwunastu żołnierzy. Tam robiliśmy reperatury wagonów kolejowych i czasami popadali nam różne roboty ze strony bo wtedy tam nie było żadnej prywatnej majsterni to różne kawałki roboty do nas dochodzili i za swobodnem czasem mogliśmy zrobić i już pieniędzy nie brakowało. Prócz tego że byliśmy wojakami żyło się dosyć nieźle, bo miasto Charbin jest dosyć ładne i wesołe i w tem czasie mnie podwyższono czyn na młodszego niestrojowego under oficera i podwyższono pensję do trzech rubli miesięcznie i zawżdy było lepiej coś jak nic i czas schodził bardzo prędko ależ niestety w 1906 roku otrzymałem list z Kowna od siostrów, w którym mnie pisali o rozłączeniu na zawsze naszej mamy z nami. Otrzymałem list od mojego brata Jana z Kowna które mnie zapytał o posadę Co mam czynić bo już podeszły pryzwy. Czy mam stanowić się do wojska czy mam wyjechać zagranicę i co mnie na to powiesz, kochany bracie, ja na to odpisałem: jeśli prosisz o moją poradę, tak ja poradzę według mojego zdania. Dość że ja służę dla rusinów bo nie chciałem oddalić się od mamy którą kochałem nad życie, ale tobie nic nie przeszkadza bo już mamy nie mamy. Po odesłaniu tego listu w przeciągu dwóch miesięcy otrzymałem odpowiedź. Dziękuję za poradę ale cóż poradzę kiedy nie mam za co wyjechać. Wtedy ja po przeczytaniu listu postanowiłem udać się do dowódcy bataljonu i poprosiłem o podpis dowódcy batalionu na dowierność czego mnie nie odmówił i wysłałem dla brata z którym on poszedł do banku cesarskiego w Kownie i otrzymawszy pieniądze sto rubli ruskich które byłem zaoszczędziwszy przed mo-

ją służbą i wtedy wyjechał do Nord Ameryki i był kontenty bo pisał mnie że zarabiał nieźle i obiecał być wdzięcznym dla mnie. Lata spływały tak prędko, jak woda w rzece a służba zawżdy szedła. Doszło do 1908 roku gdy już zobaczyłem w przykazie po batalionu że będą uwalniały 1904 rok. Ach jakby na nowo na świat miałem narodzić się bo miałem zamiar powrócić do urodnego miasta, ale przeszło jaki miesiąc do 20 września bieżącego roku byłem zawołany do batalionnej kancelarii w Charbinie na rozczot a przy rozczocie dowódca batalionu nalazł w książkach napisane przez głównego dowódcy armji 60 rubli nagrodnych i dziękował mnie za służbę nagradzając odznakiem za usiernajo służbe i znakiem jako pierwszego rzędu strzelców i przedłożył mnie czy bym nie chciał pozostać na powtórne służbe i chciał mnie podwyższyć czynem i naznaczyć pięćdziesiąt rubli miesięcznie, ale ja podziękowałem bardzo serdecznie za to przyobiecanie mówiąc że spełniałem wszystką służbę bo byłem zmuszony, ale mając wolną rękę ja chcę wrócić do kraju rodzinnego bo zawżdy miałem coś na pamięci jako pozostałego w Kownie i postanowiłem wrócić do kraju. Byłem dosyć daleko niemal taka sama odległość w jakiej i dziś znajduję się bo od Kowna Charbin się znajduje o dziesięć tysięcy wiorst odległości i w końcu września wyruszyłem w drogę z Charbina i żeby pośpieszniej jechać postarałem się o plac-kartę bo miałem bilet wojenny na trzecią klasę, dopłaciłem plac kartą to siadłem do pocztowego pociągu ekspresu który skrócił najmniej jakich pięć albo sześć dni jazdy bo szedł bardzo szybko tak że się mijało stacje i miasta w mgnieniu oka i co dzień byłem bliżej Europy.

Przejechawszy Uralskie Góry, wyjechaliśmy do europejskich miast i już za parę dni dojechałem do Kowna, ale już nie znalazłem tak jak zostawiłem. Wszystka młodzież które byli za moje czasy nikogo nie znalazłem. Pożenili się, powychodzili zamąż, porozjeżdżali się po zagranicy tak że dla mnie Kowno było bardzo odmiennym miastem. A już było pod koniec października, pochodziłem i odwiedziłem siostrów i wszystkiech znajomych. Jedni mnie radzili w jeden sposób, drudzy w inny sposób, a ja nareszcie pomyślałem sobie dawaj się ożenię bo jeszcze nie byłem nigdy żonaty. Poprobuję czy nie będzie lepiej i tak zrobiłem. W miesiącu listopada przed adwentem byłem w kościele karmelickim przed

ołtarzem z jedną uczciwą dziewczyną, choć biedną ale robotnicą jednych lat ze mną. Tak człowiek przemienia swój stan, z wojennego się robi cywilnem i tu teraz trzeba pomyślić o życiu i czem by zająć się. Poszłem poszukiwać pracy. Poszukałem jednego uczonego człowieka, który mnie napisał prośbę do naczelnika „Depo" w Kownie, bo miałem tam znajomych, które pracowali jako czarne robotnicy i mnie mówili że brakuje tamuj jednego kowala, na którego wymieniłem w prośbie i mnie dał majster do zrobienia próby kowalskiej i która była przyjęta przez inżyniera a wtedy naczelnik „Depo" zapotrzebował dokumentów jako bilet wojenny i paszport w którem było pisano wieroispowiadanie rzymsko-katolickiego. Wtedy popatrzał na mnie i powiedział „Żałko czto wy wieroispowiadania katoliczeskogo" i powtórzył „Żałko, nie mogę wam dać roboty bo nie jesteście prawosławny". Na te słowa ja jemu powiedziałem bardzo pokornie dziękuję wam za wszystko jak mnie korzystać w Mandżurji to wam nie było szkoda, a jak dać robotę żebym mógł zarobić na kawałek chleba to szkoda, bo jestem katolikiem lub Polakiem. I powiedziałem że od dziś dnia rosyjski rząd nie będzie miał ze mnie żadnej korzyści żeby nie byłoby szkoda i sobie postanowiłem wyjechać z kraju i jeszcze poszłem szukać pracy do polskiej fabryki gdzie pracowałem poprzednio, tam mnie rządca powiedział że był rozkaz od władzy do uwolnienia 20 procent robotników bo nie było żadnych zakazów roboty, ale ja nie zwróciłem na to uwagi i poszłem do samego pana i prosiłem o pracę i przedstawiłem świadectwa wojskowe i drugie co mnie było wydane z jego własnym podpisem co mnie wydał kiedy byłem wezwany do wojska i sam pan Rekosz przykazał dać pracę i to już był 1909 rok, miesiąc styczeń. Poszłem do pracy przy składaniu manezy i maszyn rolniczych. Miałem lonu jeden rubel na dzień i jak obrachowałem że mogłem zarobić aż do sześciu rubli na tydzień, a życie kwatera i opał wynosiło aż do siedem rubli na tydzień. I tak mnie zastanawiało że ja nie mogę zarobić tyle o ile mnie potrzeba na życie to co będzie wtedy jeśli się doczekamy powiększenia rodziny, to będziemy musieli cierpieć niedostatki i może głód. I na to moje rozmyślanie raptem przysłał mnie brat z Nord Ameryki sto rubli, które byłem pożyczywszy jemu i jeszcze miałem drugie tyle gotówki i pomyślałem sobie, co będę przejadał do reszty, bo zaoszczędzić nie będę mógł

nic. Wtedy mówię sobie dawaj pojadę do innych krajów i chciałem wracać do Mandżurii, ale napotkałem jednego znajomego dawnego kolegi co się nazywał K. P., pracował w Tylmana fabryce i po paru słowach rozmowy z nim, jak cię przeszło pięć lat niewidziałem. Zapytałem o powodzeniu jego i mnie mówił że pracuje zawżdy na tem samem miejscu ale zarobek bardzo mały, ledwie, ledwie na życie może zarobić. To ja jemu mówię a co będziemy robili, jak będziemy starzy że jeśli teraz będąc młodzi tylko możemy zarobić na życie, a jak będziemy starzy to co wtedy. On mnie powiedział, że wtedy nas czeka kij i torba, to ja jemu mówię dlaczego nie wyjedziem z kraju. A gdzie mówi?... Ja mówię pojedziem do Mandżurii bo ja tamoj będąc żołnierzem miałem zawżdy pieniądze w kieszeni i widziałem że ludzie cywilne bardzo dobre zarobki mieli. Tak i ja spodziewam się że będziemy mogli o ile lepiej żyć tamoj. Ale on mnie na to mówi, że on ma bilet od agenta z Krakowa, Gutmana, któren zawołuje do wyjazdu do Południowej Ameryki i mówi że jemu wysłał jedne książkę z rysunkami różnych plantacyj ze San Paulo. Na to ja mówię zobaczemy i mnie zaprosił do swego mieszkania i pokazał mnie list agenta i książkę z różnemi ładnemi rysunkami plantacyj i zwierząt co mnie bardzo zaochociło do wyjazdu do Południowej Ameryki i zaraz dałem słowo że pojadę i zaczęliśmy wybierać się w drogę. Po przeciągu paru miesięcy poszłem do niego mówiąc że ja już gotów do wyjazdu i że już odpowiedziałem pracę. On mnie na to mówi że on myślał że ja żartowałem, ale ja jemu powiedziałem że ty nie jesteś gospodarz swemu słowu. Jeśli ty nie pojedziesz, to ja pojadę sam i jemu na to wziął wstyd i powiedział jeśli tak że ty postanowiłeś jechać to i ja pojadę i tak zaczekałem na jego blisko parę miesięcy i wybralim się z wielką trudnością w drogę bo ludzie jego bardzo straszyli do wyjazdu, a najwięcej naszych żonów że jak pojedziecie to tamoj zginiecie. Aż dla mnie samego inżynier fabryki co się nazywał Wojciechowski, pytał się dlaczego biorę rozczot, a jak mówiłem że chcę wyjechać, pytał się gdzie. Odpowiedziałem do Brazylji. To mnie powiedział: że tamoj kto wyjedzie to już nie wraca więcej, bo tamoj jest czarne ludzie które zjadają białych. Co ja na to jemu odpowiedziałem, że jeśli te czarne będą chcieli nas zjeść to i my ich będziem jedli. On się mnie pytał gdzie ja nabrałem się takiej odwagi, na to ja odpowiedzia-

łem, jeśli mnie japończyki i kitaje nie zjedli to i brazylianie nie zjedzą. I on powiedział a jeśli ty się nie bałeś japończyków i kitajów to już ty u nas robić nie będziesz i wtedy mnie życzył szczęśliwej podróży i co prawda do dziś dnia ni brazyliany ni argentyczyki ni paragwaje ni dzikie ludzie co jest w lasach mnie jeszcze nie zjedli. I co najwięcej straszyli naszych żon. Mówili na mnie że zwarjował, rzuca pracę i chce jechać sam nie wie gdzie i moja teściowa radziła dla żony żeby nie jechała. Niechaj on sobie jedzie, ale ostatecznie dałem na wolę dla mojej żony jak chce, czy jechać albo zostanie się. Ale ona postanowiła nie zostać się odemnie i tak wabiłem teściowe żeby jechała z nami ale odmówiła. Teściowa odpowiedziała że nie pojedzie, że potym jeżeli wam tam będzie dobrze to ja przyjadę, ale nie powiedziała że czy będzie za co potym jechać czy nie. I tak w ostatnich dniach poszłem do guberskiej kancelarii prosić gubernatora o zagraniczny paszport i musiałem położyć przyczynę poco chcę jechać za granicę, to mówiłem im że muszę wywieść żonę na zleczenie za granicę i co prawda że było potrzeba, bo nie była w normalnym położeniu bo już się naczekiwało czegoś, że tak mnie wydali zagraniczny paszport na sześć miesięcy ważne i musiałem zapłacić dwadzieścia pięć rubli za jego i już miałem wszystko gotowe i posiadałem majątku dwieście rubli, a mój kolega zaledwie pięćdziesiąt rubli i tak my wyruszyli w drogę i w dniu Narodzenia Najświętszej Panny Maryj ósmego września o ósmej godzinie rano wsiedliśmy na pociąg na Kowieńskim Dworcu. I niebawem byliśmy w Warszawie i tam mieliśmy przesiadkę na krakowski pociąg i zanim czekaliśmy na pociąg to nasze żony pilnowały rzeczy a my poszliśmy na miasto. Gdy wróciliśmy to znaleźliśmy nasze żony płaczące, pytaliśmy czego płakały ony nam odpowiedziały, że wy nas wieziecie na przepaść, pytaliśmy czemu, o ten żandarm nas pytał się gdzie jedziemy mówiliśmy że do Brazylji. Tam zginiecie, jedziecie na przepaść, to kto tam wyjedzie to więcej nie wraca i mówił że tam jest takie duże małpy co jedzą ludzi i chłopów jedzą, a kobiet biorą ze sobą i także dla nas był sądny dzień, mówili wracamy nazad bo zginiemy i mój kolega już majaczył, ale ja na to mówiłem że pojedym że to nieprawda, bo to tylko straszą nas żebyśmy nie jechali i postanowiłem pojedziem, nie lękajcie się bo gorzej śmierci nie będzie i pogruziliśmy nasze rzeczy do wagonu

i pojechalim do Krakowa i tam już agenci nami kierowali i po kilku dniach wysłali nas do Wiednia i z Wiednia do Tryjestu i w Tryjeście przebyliśmy piętnaście dni do odejścia okrętu, tam mieliśmy dobre utrzymanie, w czasie naszego pobytu w Tryjeście. Potym wsiedliśmy na okręt i wyjechaliśmy na morze. Och co za przykre podróż mieliśmy bo nasze bardzo słabowały, nie mogły nic jeść i tylko na szczęście że wzieliśmy suchych kiełbas, z jakich dziesięć funty cebuli to się dało jeść, a pić było wina jak wody ale nie mogli pić, najlepi smakowało piwo i pomarańcze ale to było bardzo drogie na okręcie i to musieliśmy kupować za pieniędzy i tak w przeciągu podróży morskiej mnie rozeszli się sto rubli na posiłek i już piątego listopada byliśmy w Brazylji w Rio de Janeiro lub tak zwana wyspa kwiatów, tam byliśmy piętnaście dni w odpoczynku i potem nas wysłali okrętem do Santos. W Santos przenocowaliśmy i nazajutrz pogruzili nas w kolej i po trzechgodzinowej jaździe byliśmy w San Paulo, na emigracyj, tam nas pielęgnowali jak małych dzieci, były kąpieli i duża czystość, były łóżka sprzyżynowe na każdego z osobna i utrzymanie było dość dobre, dawali nam jeść aż do czterech razy na dzień, tak że my cośmy schudnieli na okręcie to w przeciągu piętnastu dni potłuścieliśmy i potem nas zaczyli wypytywać i przewierzać paszporty i naznaczać na kolonie i potem nas zaczęli wypytywać o pieniądzach i u kogo były pieniądze zmuszali wypłacać za loty a kto nie miał pieniędzy to wysyłali na plantacyje kawy na dwa lata dla zarobku pieniędzy. A kto miał pieniędzy musiał zapłacić wartość loty to i ja zapłaciłem ostatnich sto rubli co miałem i mnie wydali tytuł prowizoryczny i można było wybrać lotę gdzie kto chciał w całym Estado San Paulskim i do wybrania lotów dawali życie i pomieszkanie na emigracyjnym domie. Gdy sobie wybraliśmy loty to przywieźli nas bezpłatnie, nas wysłali do wybierania lotów za trzy dni okrętem od portu Santos do rejonu Iguapa portu Kananeja kolonja Parikuarasu i wybraliśmy sobie loty na linji „Quinec de Noviembre" numer 30. Miałem dosyć ładną wodę i dużo ryb i tam wybudowałem się i mieszkaliśmy trzy lata. I choć nie było źle, ale ludzi zawżdy mówili że w drugich statach lepiej. Że chłodniejszy klimat i czyściejsze powietrze. Choć to wszędzie jednakowo. Ja zaraz po przybyciu na kolonję w końcu listopada, 15 grudnia mnie żona przyniosła córeczkę, której uro-

dzenie było bez żadnej akuszerki i wśród lasów o 15 kilometrów od miasteczka zwanego Parikuarasu. Ale to wszystko nas nie ciężyło bo spełnialiśmy własną ochotą i z początku było niecoś przykro, bo się balim wężów a nasze żony to się bały wszystkiego co zobaczyli w cudzej stronie, bo tamoj jest duże jaszczury o jeden metr długości i przychodzą do chaty wyjadać jajka, gdzie znajdą i małych kurczątków. Ale od ludzi uciekają i jest różne dzikie koty co prześladują drób i kury i kaczki i w wodzie jest krokodyl co niebezpieczne aż dla ludzi bo ja miałem małą córeczkę to było potrzebno do pożywienia mleko, to na tyle nie było stać że kupiłem za pięć milreisy kozę, która dawała niemal pół litra mleka dziennie i gdy już był duży koziołek, blisko roku to ja byłem wyszedszy na robotę a żona była sama w domu to koziołek hyzował wedle wody, a raptem zakrzyczał i wpadł do wody. Żona wybiegła i schwyciła za rogi i wyciągnęła i wniosła do chaty, ale kozioł miał połamane tylne nogi. Żona nie wiedziała co się stało, a to było w piątek wieczorem. Na jutro ja przyszłem z roboty. Żona mnie mówi że kozioł wpadł do wody i połamał sobie nogi. Ja obejrzałem kozła. Wiedziałem że miał pogruchotane nogi. Pomyślałem sobie czyż to może być i mówiłem żonie pokaż mnie gdzie wpadł kozioł. Żona mnie pokazała, mówiąc o tutaj wpadł a tamoj był dosyć głęboki brzeg i zarośnięty trawą. Ja wtedy wziąłem długie żerdź i kolnąłem w te miejsce gdzie mnie pokazała a tamoj był krokodyl. Taki duży o trzy metry długości. Jak się powrócił to ogonem uderzył po wodzie to tak jakby chlusnął na mnie wiadro wody. A to ty dla kozła połamałeś nogi. Czekaj no a znów szturchałem żerdzią i dałem drugą żerdź żonie, aż raptem złapał za żerdź od żony i tak pociągnął że niemal ją wciągnął do wody, ale ona puściła żerdź i wtedy ja mówię do żony biegnij do sąsiada po fuzję i poproś aby przyszedł na pomoc. Sąsiada nie było w domu a zanim pobiegła żona prosić o pomoc ja obwaliłem gdzie ten zwierz duże drzewy bo to była na podobie zatoka na wychod, żeby przeszkodzić jemu ucieczkę i przybiegła żona i sąsiadka i przynieśli fuzję. Ja wtedy stanęłem na te drzewy i kazałem im żeby wzięli po żerdzi i szturchali do wody. Wtedy Kaźmierzowa szturchając do wody, jej złapał za żerdź i tak targnął silnie że ta niemal wpadła do wody a ja miałem fojsę w ręku i fuzję na ramieniu i stojąc na tych drzewach wołałem do nich żeby podali mnie

koniec żerdzi, którem krokodyl gruchotał. A żona i sąsiadka bardzo się bali aż potem złapali za koniec żerdzi i podali mnie żerdź. A potem ja złapałem za koniec żerdzi a tchnąłem mu w gardło, a jak on już zadławiony żerdzią to pokręciłem żerdź i się pokazał pod wierzch wody wtedy nadepnąłem nogę na koniec żerdzi i z fuzji wycelowałem w szyję i dałem wystrzał. Wtedy zafarbował wodę i wypłynął na wierzch. Już był zwalczony nasz nieprzyjaciel. Wtedy dociągnęlim do brzegu i się oczepiliśmy we trzech za ogon i wyciągnęliśmy na brzeg, był taki duży, miał prócz ogona dwa metry, ogon miał jeden meter długości. Głowę miał podobne na konia i miał duże zęby jak tygrysa. I od tego czasu moja żona się bała zostawać się sama i zaczęła mnie wmawiać żeby wyjechalibyśmy do innych statów i mówiła że może przyjść krokodyl do chaty i zjeść małą jej córeczkę i mnie podkurstywała wyjechać, pojedziem gdzie indziej i już nam Pan Bóg posłał małego synka cośmy dali mu imię Antoś i już był 1911 rok i już powiększyła się rodzina i zabraliśmy żonę i dzieci i całą rodzinę. Ale mnie żona zawsze dokuczała żeby wyjechać i ciągle mówiła, że w innych statach niema tych pchłów co włażą do nóg i niema tak zwanych „bernów" co kładą jaja pod skórę, z czego wylęgają się robaki i bardzo dokuczają. Ale to wszystko można byłoby znieść i wytrzymać, bo te pchły to się łatwo wybiera igłą, a te „berny" albo „uza" niszczą się przykładając liść tabaki na noc i nazajutrz trzeba pocisnąć i robak wyskoczy z ciała. Ale to się zdarza bardzo rzadkim trafem, żeby te „berny" czyli „uzy" kogo bardzo obsiadły. Bywa takie zdarzenie, ale rzadko, choć i nam to się zdarzyło a co gorzy dla żony gdy się zdarzyło, to ona nie miała tyle cierpliwości i zawsze mię kurstała do wyjazdu. Aż nareszcie rozsprzedaliśmy nasz majątek ruchomy, prócz ziemi choć nas kosztowała 100 rubli ruskich ale nikt nie chciał kupić. Ja jednemu austryjakowi chciałem podarować i mówiłem chodź do sędziego, ja ci przepiszę moją lotę, ale nie zechciał, bo trzeba było zapłacić sędziemu za zapis 5 milreisów brazylskich. To on powiedział że nie chce wydawać 5 milreisów dla tego, że może być i on sam zechce prędko wyjechać. Wobec tego musieliśmy pozostawić ziemię za darmo. Po rozsprzedaniu wszystkiego naszego majątku mieliśmy około 700 milreisów gotówki i pojechaliśmy w drogę do portu Santos, wsiedliśmy na okręt i popłynęliśmy do Rio de Janeiro. Tam się dostalim

do emigracyjnego domu i stamtąd nas wzięli na rządowy koszt i powieźli do Estado Rio Grande do Sul do miasta Porto Alegre, skąd pojechaliśmy pociągiem na kolonję „Gwarani" blisko argentyńskiej granicy i ta podróż się odbywała od kolonji Izui aż do Gwarani końmi bo żelaznej kolei dalej nie było to końmi się jechało cztery dni przez stepy i pustynię, aż przyjechaliśmy na kolonję Gwarani, gdzie ludność się składała z różnych narodowości, a najwięcej było Polaków. Był drewniany katolicki kościół. I tam zamieszkaliśmy w dwudziestu kilometrach od miasta, gdzie miało się wybudować nowe miasto, tak nazwana „Zazanżera" i tam zamieszkalim. Lotę otrzymałem Nr 1 linia Zelbargardin. Na kupno tej loty wydałem 100 milreisów i jeszcze musiałem wypłacać rządowi, żeby otrzymać na własność. Założyłem kuźnię. Wyrąbałem kawał lasu i pobudowałem się. Założyłem mały sklepik żywnościowych produktów z kapitałem 400 milreisów. Pozatem otrzymałem kredyt w towarach na ile mi było potrzeba. Ten interes szedł mi nieźle, wszystko powodziło mi się jaknajlepiej, zgodnie z przysłowiem „powodzi się jak na nieszczęście". Już doczekaliśmy się 1913 roku. Wtedy 20 maja urodził się mój drugi syn i dałem mu imię Józef. W końcu tego roku otrzymałem list od mojej teściowej z zapytaniem czy można wyleczyć się od pchłów co włażą w nogi, czy nie. Ja jej odpisałem, że trzeba mieć trochę rozumu w głowie i pojąć że gdyby nie było lekarstwa na te pchły, to ja by już dawno umarł z całą rodziną. To nie jest tak bardzo straszne i jeżeli ona chce tu przyjechać, to może śmiało to zrobić, jeśli są fundusze po temu. Ja piniędzy na podróż nie posiadam i wysłać nie mogę. Żyjąc na gospodarce na ziemi zebrać piniądze trudno, ale można dobrze żyć. Jednakże teściowa i inni, co się wybierali tu jechać nie odważyli się na podróż i nie przyjechali. Pozatem wybuchła wojna światowa i oni niemal wszyscy potem poginęli. Jako skutek tej wojny Niemcy mieszkający tutaj zaczęli zbierać się dużemi partjami; chodzili po ulicach i śpiewali „Deutszland über alles". Co się działo w Europie, my drugie narodowości, nic nie wiedzieliśmy i nie mogliśmy zrozumieć, czego te Niemcy tak śpiewają. Aż jednego razu przyszli czterech Niemców z Wołynia, tak zwani „szwaby" do mojej kuźni, postawili na kowadle nogi i powiedzieli że teraz tylko oni jedni mają prawo do życia, a jeżeli zabiją jakiego rusina, czy Polaka, to jest dla nich dozwolo-

mem od ich rządu i że za to, nietylko nie będą karani, ale jeszcze ii nagrodę dostaną. Ja miałem grube żelazo rozegrzane w hornie aż do stanu płynnego, wybrałem go i zacząłem kropić na Niemców tem rozpalonem płynem mówiąc „ja wam tu zaraz dam nagrodę". Wtedy oni wszyscy pouciekali i wybiegli na drogę, skąd wołali „chodź no tu". Ale ja im odpowiedziałem: „Chodźcie wy tu do mnie, jeśli chcecie". Oni nie odważyli się następować na mnie ii sobie poszli. Potem w przeciągu kilku dni przysłali jednego zbója, to był austryjacki Niemiec, nazywał się Michał Sicież, a był takim zbójem, że on gdzie poszedł do sklepu i znalazł jakiego kupującego to go obowiązywał kupować mu wódkę, a jeśli ten nie chciał to on go bił. Jednego razu on przyszedł do mnie, a to było 18 czerwca 1914 roku i oświadczył, że on jest przysłany, aby mnie zabił dlatego, że ja już jestem osądzony przez Niemców na śmierć i już dekret odczytany i musisz być zabity. Ja myślałem że on żartuje a moja żona padała jemu do rąk i prosiła go żeby on szedł do domu. On na to odpowiedział, że on zanim nie pobije nas wszystkich i nie złoży do kieszeni, to nie pójdzie stąd. W tym samym czasie on mnie uchwycił, ale ja zdążyłem wyrwać się z jego rąk i zaczęła się walka. On powtórnie mnie łapał, ale mi zawsze udawało się wyswobodzić się z jego rąk, tylko ze szkodą mojego ubrania, bo każden raz w jego ręku zostawała część, aż doszliśmy blisko drzwi, mnie się udało wypchnąć jego za drzwi i zamknąć. On wtedy nazbierał kamieni i podszedł pod okna, które nie mieli okiennic i szyb, i zaczął ciskać kamieniami do środka. Ja się chowałem od niego. Mały synek Józik, jednego roku dziecko, siedział w kuźni na ziemi i kiedy ten zbój cisnął kamień do kuźni to popadł w kowadło, kamień się rozbił na dwie połowy i w tym momencie dziecko krzyknęło i powaliło się. Na to żona krzyknęła z przerażeniem: „Jezus Marja", zabił chłopczyka. Wtedy ja powiedziałem do tego zbója: żebyś ty nigdy nie doczekał i nas tu rozbiwał. Wpadłem do spalni, chwyciłem rewolwer i wybiegłem na dwór przez tylne drzwi domu. Tam już znalazłem go, czekającego na mnie z kamieniem w podniesionem ręku. Ja mu krzyknąłem: „odejdziesz czy nie?" a on na to odpowiedział łajaniem. Wtedy ja podniosłem broń do góry i strzeliłem do niego. Kula trafiła go w czoło, on głową oparł się o ziemię i pozostał stojący, pochylony z kamieniem w ręku. A to był już powtórny bo pierwszy był

puszczony na wiater. Krzyknąłem do żony. Ach co ja zrobiłem, zabiłem tego zbója i sobie narobiłem biedy i wbiegłem do środka mówiąc do żony, a jak dziecko. Żona odpowiedziała mając dziecko na ręku. Dziecku nic się nie stało, kamień w niego nie popadł, musiało się obwalić ze strachu. Wtedy ja rzuciłem rewolwer na łóżko i mówiłem do żony: zamknij drzwi i bądź we środku z dziećmi a ja pobiegnę do najbliższej policji co była o tysiąc metry odległości. Jak mnie zobaczył policjant to pytał się co się stało że tak przestraszony biegniesz do tego powiedział czy nie nabiła ciebie żona. Ach panie policmanie, mnie się zdarzyło nieszczęście w domu. Napadł na mnie tak zwany „Herszt zbójów" Michał Sicież i po długiej walce z nim wypaliłem mu w łeb i tam został się. Co martwy? tak jest odpowiedziałem. Kto tam więcej jest pytał się u mnie. Nie ma nikogo, tylko ja i moja żona była. Na to mnie powiedział, idź do domu i nigdzie nie wychodź z chaty a ja będę telefonował do delegacji o zdarzeniu i tak pobiegłem co mogłem z powrotem do domu i już tam było kilka dusz ludzi, parę mężczyzn i kobieta. Co medytowali nad nieboszczykiem i przeklinali mnie i moje rodzine i coraz zbierało się więcej, że aż pewnie ku wieczoru zebrało się jakieś pięćdziesiąt dusz, mężczyzn i kobiet i wyzywali różnie na niemieckim języku i niektóre na ruskim że mnie dało się wszystko zrozumieć. Mówili że życie za życie. Zabijem jego żonę i dzieci i złożymy na kupę, oblejem naftą i zapalim. Na co ja im odpowiedziałem na to jest rząd dla rozstrzygnięcia sprawy i dla osądzenia w razie jestem winien. Ale nie waszy sąd ma być na mnie i tak się kotłowali całą kuczą i wysadzili drzwi do chaty i chcieli wejść do chaty, a ja położyłem dubeltówkę na bufecie i rewolwer w ręku i mówiłem, zanim mnie nabojów chwyci to mnie nie weźmiecie i który z was pierwszy przekroczy próg ten będzie leżał bo będę palił do was i tak że nie odważyli się wstąpić do środka, hałasowali przeklinali i jeden drugiego popychał, żeby wszedł do środka, ale ni jeden nie weszedł, aż na to ukazał się delegado z dwoma soldatami i jak dojechał spytał się w czem jest rzecz, ja na to powiedziałem że mnie chcą zabić z całą moją rodziną. Na to delegado rozkazał im rozejść się. Oni mówili że N. zabił chłopa, musimy jego zabić także. Wtedy delegado mówił: on zabił on będzie odpowiadał a do was to nic się nie należy. Oni nie chcieli usłuchać i co raz więcej naciskali się do drzwi

krzycząc że zabijem. Życie za życie. Wtedy delegado rozkazał żołnierzom żeby ci bili kolbami i sam delegado chwycił za pistolet i powiedział, pokażę wam jak zabijać ludzi. Rozpędzili wszystkich co do jednego i już był zmrok. Delegado zostawił żołnierzy w mojem domu, rozkazując im żeby nikogo nie dopuścili mścić się. Sam odszedł do sąsiedniego sklepu i tam nocował a na jutro robił opis zdarzenia, mierząc metrem od drogi gdzie się pozostawał zabity na mojem podwórzu co wynosiło dziesięć metrów od drogi w głąb podwórza. Potem jego rewidował bacznie, gdzie dotknęła kula, potem jego zmierzyli któren miał wysokości dwa metry i pięć centymetrów. A ja zaledwie mam jeden meter i pięćdziesiąt cztery centymetry i delegado na to powiedział że ja uczyniłem własną obronę że i on inaczejby nie zrobił i wtedy zawołał kilku sąsiadów co kazał zabrać trupa ponieść na mogiły i zakopać a potem przykazał mnie przybrać się i jechać z nim, rozkazując dla sołtysa ażeby miał baczność nad moją rodziną. Wtedy tam przebyłem w delegada domie jeden tydzień czasu zanim zrobili sprawki. Zwoływali niektórych sąsiadów i opytywali się o przeszłości mojej jako i zabitego. Po sformowaniu sumaria delegado mnie odesłał do okręgowego miasteczka, tak zwanego „Santo Angelo", na sprawę sądową. Jak przyjechałem tam, znalazłem drugiego co miał zdarzenie (był ruski) o tydzień przód mego także samo z Niemcem. Była jedna rodzina ruska tylko co przyjechawszy i mieli odjeżdżać na kolonję tak zwaną Kampinas. Szef od imigracji wysyłał rządowem kosztem na miejsce i tam był wezwany furman do przewiezienia emigrantów, płatno jeden Niemiec, i pogruził rodzinę ruską na swój wóz i powiózł. Dojechawszy na naznaczone miejsce, tak zwane Kampinas podchmielił się i mówił do rusków że jeśli ich zabije to będzie miał nagrodę od niemieckiego rządu i przyczepił się do najstarszego z tej rodziny mówiąc że go zabije. Starzec upadł na kolana przed nim mówiąc: daruj mnie życie, ja już jestem starym człowiekiem i chciałbym pożyć kilka dni więcej. Przyjechałem tak daleko i nie chciałbym zaraz umierać, ale Niemiec chwycił rewolwer z pasa i wystrzelił nad głową starca raz i drugi. Na to w porę stał drugi ruski młody człowiek na ustronie i na to wszystko patrzał mając naładowaną dubeltówkę w ręku. Po drugim strzale, Niemiec trzeciego przyobiecał dać w łeb starca, w te porę ruski stojący ze strony odprowadził oba kurki dubeltówki

i walnoł z obu luf w brzuch Niemca, tak że cały pasek i zegarek wpędził do środka. Tak samo po sprawie był aresztowany jak byłem i ja. Byliśmy oba razem, we dnie powolnie puszczone na posterunku a w nocy spaliśmy pod kluczem. W przeciągu jakich piętnastu dni sędzia dał rozkaz uwolnienia mego kolegi i zostałem się sam. Trochę było nudno ale nic z tego nie robiłem bo wiedziałem, że nie na długo pozostanę. Aż jednego dnia posterunkowy wyjął gazetę i mnie podał mówiąc przeczytaj. Rusy z Niemcami biją się. Na co ja odpowiedziałem że tam zwalczą Niemców bo my tu też zwalczylim Niemców. Tak byłem wypytywany przez sędziego o powodzie walki co się zdarzyła. Sędzia mnie mówił pocóż go strzelałeś, czemuż nie zwaliłeś dobrze kijem. Ja odpowiedziałem sędziemu, a na cóż mnie uczyli strzelać i dawali nagrody za dobre strzelanie i teraz bym miał z kijem walczyć z mojem wrogiem, który w pewności mnie by zwalczył bo był większej siły wzrostu od mnie. Tak że jeden z nas musiał zemrzeć, jak nie on to ja. Na to sędzia powiedział żeś uczynił własną obronę i tak jeszcze pozostałem niejaki czas na policji aż potem sędzia pozwolił iść do domu. Tylko musiałbym być zawżdy na pogotowiu na każde wezwanie w razie potrzeby. Tak że przeszło mego aresztu około dwadzieścia pięć dni i wróciłem do domu. Ach jak zobaczyli Niemcy że już byłem w domu to mówili że ten rząd za zabicie nie każe. Tak i my jego zabijemy i nie będziemy karani. Jedni przegrażali, drudzy mnie przestrzegali, mówiąc że wystrzegaj się bo oni ci nie darują bo oni mówią że ni za dziesięć lat nie podarujemy i tak ja sobie myśliłem co mam czynić. „Bo gdy świnia nos odkąsi król nie przyłoży" i do tego miałem do wypłacania rozchodów rządowych, jako sędziemu i adwokatu i gotówki narazie nie posiadałem. Miałem rozborgowanych pomiędzy Niemców około tysiąca milreisów i u którego poprosiłem to mnie nie dał, mówiąc że niema i czekaj. Ja czekać nie mogłem. Na szczęście zdecydowałem rozsprzedać co miałem, konia, krowę i niektóre towary co miałem w sklepiku. Materjały żelazne, narzędź kowalskie i już się czułem około tysiąca pesów arg. choć to tylko w milreisach, tysiąc pięćset. Na to pomyśliliśmy, że jeśli spłacimy rządowe rozchody, które na mnie nakładali to nam nic się nie pozostanie. Najlepiej wtedy wyjedziemy do Argentyny. Wtedy nie potrzebowało się żadnych dokumentów do wyjazdu, można było jechać gdzie kto chciał. Co nie

rozsprzedaliśmy to rozdałem pomiędzy przyjaciół i nająłem furmankę i pierwszego lepszego wieczoru przy miesięcznej nocy drzwi chaty ćwiekiem zabiłem (ziemi i chaty nie sprzedało się) i wyjechaliśmy z całą rodziną do granicy Argentyny, na jutro rano wynająłem łódkę za pięć pensów arg. i przejechaliśmy na stronę Argentyny. Tak żeby być wolnymi od wszelkiego niebezpieczeństwa. Wtedy znów wynajęliśmy furmankę od miasteczka tak zwanego „San Javiez" aż do miasta Posadas. Tam się ustanowilim na niejaki czas, pochodziłem Misiones Arg., szukając do zamieszkania, ale mnie nie bardzo się podobała Misiones Arg. te ziemie są bardzo spustoszone i mało urodzajne. Wtedy pomyśliłem przejechać do Rep. Paragwaju gdzie mnie o wiele lepiej podobało się. Dla człowieka z małem kapitałem o wiele jest łatwiej zagospodarować i tak zrobiłem. Już to było w pierwszych dniach listopada 1914 roku przyjechaliśmy z Posadas do Encarnacionu Rep. Paragwajskiej. Zaraz niebawem wyszukałem sobie miejsce od kompanji tak zwanej „Zono Grande". Prosiłem o pozwoleństwo na zamieszkanie, które mnie nie było odmówione. Mówili że wkrótce będzie sprzedawać się loty jako na kolonizację. Tak osiedliłem się dziesięć kilometrów od przód wymienionego miasta. W roku 1915 wyszło pozwoleństwo na kupno ziemi i tak zaraz kupiłem sobie sześć hektarów ziemi. Kupiłem krowę konia, i znów zaprowadziłem gospodarkę. W tem samym roku już mnie urodził się trzeci syn, któremu dałem imię Franciszek i postarałem się nabyć siakie takie narzędzia kowalskie i wziąłem się do pracy i co prawda mogłem znaleźć dużo roboty pomiędzy tubylcami, bo gdzie osiedliłem się nie było ani jednego europejczyka, choć były niedaleko kolonie niemieckie, ale ja do nich nie poszłem, bo wolałem zamieszkać się gdzie niema ani jednego Niemca, chociaż obecnie jest i ich sporo jako również i innych narodowości.

W krótkim czasie dalej o ile mnie było stać założyłem mały sklepik spożywczy i tak trochę handlując, pracując na roli i trochę w majsterni, reperatury maszyn do szycia i reperatury broni, rewolwerów fuzjów. Tak mnie wystarczało na utrzymanie mojej rodziny i po przeciągu paru lat sobie dokupiłem więcej ziemi około piętnastu hektarów. I znów Pan Bóg dał mi szczęście w 1917 roku mnie urodził się już czwarty syn któremu dałem imię Jan i tak się pracowało dalej. Nareszcie nasadziliśmy korzystnych plantów

herbaty paragwajskiej, tak zwanej tu „Jerba Mate". Było krzewów około dwóch tysięcy, które w te czasy miały duże wartości, ale obecnie niemal nic nie warte. W 1918 roku mnie urodził się piąty syn, któremu dałem imię Piotr i jeszcze dokupiłem sobie kawałek ziemi co mnie był podręczny, tak że dziś posiadam około trzydziestu hektarów ziemi. Już w tych latach powiększyły się potrzeby rodzinne, musiało się posyłać dzieci do szkoły hiszpańskiej bo innych tutaj nie było. Obecnie jest w pobliżu szkoła ruska i na innych kolonjach są szkoły polskie. Kilka słów chcem opowiedzieć o mych przejściach w Paragwaju. Było to w 1915 roku. Jednego razu byłem wyjechawszy z domu o jakich 500 metrów celem zrobić zakupy żywności i zajechałem do jednego sąsiada. W tym czasie do mego domu zjawił się jeden z tubylców licho ubrany i poprosił, żeby moja żona coś jemu sprzedała w sklepiku: kiełbasy, galetów i nareście poprosił o cygary. Kiedy żona zrobiła obrachunek tego co on prosił, w tem momencie ten człowiek uderzył ją w głowę kamieniem. Tylko na szczęście ten kamień poszedł powierzch głowy i zdarł skórę, gdyby uderzył w czoło to by ją zabił na miejscu, bo kamień ważył 750 gr. Gdy żona została ugodzona kamieniem, to zaczęła krzyczeć i wołać razem z trojgiem dzieci ratunku. Ja usłyszawszy ten krzyk, rzuciłem wszystko i co koń wyskoczy pośpieszyłem na ratunek. Zobaczyłem że żona cała była krwią zalana i dzieci drżali od strachu. Pytałem się kto to zrobił. Odpowiedziała, że był jeden podobny na dzikiego człowieka i że ją uderzył czymś w głowę, aż później znalazłem wyżej wspomniany kamień. Zaraz puściłem się w pogoń za nim, ale że naokoło był las, to ten złoczyńca zdążył ukryć się. Wróciłem do domu, zrobiłem żonie opatrunek i dałem zawiadomienie do policyj, ale policja nie mogła go złapać, bo jak szef policyj wyjaśnił, kto to był, to on uciekł za granicę. Potym wypadku żona znowu chciała, żeby stąd wyjechać w inne miejsce. Ale cóż z tego, od złego trudno jest gdziekolwiek uciekać, bo złe to wszędzie jest. Musiałem jej wyperswadować i pozostaliśmy na miejscu.

I tak czas biegł jak woda, aż po ukończenie światowej wojny zacząłem pisać listy do kraju i poszukiwać krewnych, co po długim czasie niektórych odnalazłem, co popowracali jako uciekinierzy do Rosji, ale niestety mego brata co był w Nord Ameryce, aż po dziś dzień nie odnalazłem, choć dużo poszukiwań robiłem. Po-

dawałem do gazet: „Echo Ameryki", i tak nie odnalazłem żadnego śladu po nim. A czas szedł swoim porządkiem i już doszło do 1924 roku, aż się urodził mój szósty syn, któremu dałem imię Jerzy. Aż za rok potem miałem szczęście, że nauczycielka moich dzieci, argentynka, podarowała mi dziewczynkę, której dałem imię Angelica del Carmen i którą hoduję jako moją własną córkę. Obecnie już ma 11 lat i chodzi do szkoły razem z moim synem Jerzym do paragwajskiej państwowej szkoły, gdzie uczy się hiszpańskiego języka. A już w 1926 nasze stołeczne miasto Encarnacion nawiedził cyklon, taka to była niebywała burza, że zrujnowała niemal pół miasta do szczętu i było przeszło 200 ofiar przysypanych gruzem. To wszystko miało okropny wygląd, bo ta burza przeszła pasem jakie 400 metrów szerokości i zniszczyła wszystko, co spotkała na drodze: domy murowane, drewniane i wszystkie drzewa obróciła w perzynę. Niektóre drzewa poprzenosiła na drugie miejsce o kilkanaście metrów odległości. Mnie ta burza szkody nie zrobiła, bo poszła drugą stroną. Choć i u nas wiater był taki silny, że z dachów pozrywał gonty i miejscem zniósł całe dachy.

Po paru latach miasto się odbudowało na nowo, bo czasy były nienajgorsze. Synowie już podrastali i dla polepszenia ich bytu i dla nauki kupiłem samochód ciężarowy, co kosztował 1600 argentyńskich pezów. Było wpłacone 1000 pezów i 600 trzeba było wpłacić ratami na trzy raty. Do tego nadarzyło się kupić motocykletę, za niedrogą cenę i to na wypłatę po 50 argentyńskich pezów miesięcznie w ciągu sześciu miesięcy. Dzięki temu, moje synowie nauczyli się jeździć motorami i potem motocykletę się sprzedało z małą stratą. Samochód ciężarowy pozostał aż do dziś dnia i stracił wszelką wartość. Prócz tego kupiłem maszynę do wulkanizacji gum samochodów. Z tą maszyną robiliśmy naprawy gum u przejeżdżających samochodów i z tem coś można było zarobić. Tak szło do 1930 roku. W tym roku rozpoczęła się wojna między Paragwajem i Boliwiją i położyła koniec wszelkim zarobkom. Życie zaczęło iść coraz gorzej, spadła bardzo nasza paragwajska waluta w porównaniu z argentyńską, a materjały trzeba było kupować na walutę argentyńską, za robotę zaś płaciło się walutą paragwajską, a więc traciło się na wszystkiem. Teraz jest spokój, ale w życiu ekonomicznem nie ma żadnego polepszenia w naszej republice i żyje się nadzieją, że dalej będzie lepiej. W 1933 roku był przy-

kaz przedstawić dokumenta jakiej kto narodowości, tak że ja miałem paszport wydany za ruskie czasy, na życie miejscowe był dobry, ale na przejazd granicy nie był zdatny bo nie był wizowany przez konsula argentyńskiego, a dla otrzymania wizy musiałem wyrobić paszport paragwajski i wizować u konsula arg. co mnie kosztowała wiza dwanaście pezów i pięćdziesiąt centów monetą arg. Ale musiałem zapłacić bo chciałem przejść do Rep. arg. bo już tam miałem trzech synów, Franciszka, Jana i Piotra w mieście Posadas, które wyemigrowali z powodu wojny i zamieszkali się. Ażeby im tam pomóc, musiałem przyjść do nich a będąc w Posadas musiałem wyrobić „Cedulę" narodowości i zapomocą agenta konsularnego, Bohdana Szmejko w Posadas co mnie zaświadczył jako jestem poddanym polskim. To mnie na tych podstawach wydali „Cedulę" i za poświadczenie konsularne zapłaciło się dwa i pół pezów monetą arg. Cedula poświadcza że jestem Polakiem i tak posiadam trzy paszporty. Pierwszy wydany przez gubernatora kowieńskiego za czasów rosyjskich, drugi od rządu paragwajskiego, a trzeci ze rządu argentyńskiego w Posadas, tak że ja często jestem w Posadas, bo tam pracują moje trzy synowie, a jestem zamieszkały na stałe w Encarnacionie w Paragwaju. W 1935 roku mój dom odwiedził pan major Lepecki w kompanji z innym młodym Polakiem i sfotografowali mój dom i mnie i moją rodzinę i też małpeczkę którą mamy w naszym domu. Jeden miał na ręku a drugi fotografował jeden drugiego którą fotografję oni muszą mieć i teraz. A w bieżącym roku nas odwiedził w Encarnacionie moją rodzinę pan korespondent warszawski Wrzos. Pan Wrzos i dwóch innych Polaków co byli z nim i wiele innych przejeżdżających Polaków nas odwiedzają. A co się tyczy do tutejszego rządu to jest nie najgorszy rząd tutejszy dobry, ale co się tyczy do urzędników to dla swojej własnej korzyści czasami mogą uszkodzić dla nas na swoją własną korzyść ale cóż poradzić bo to wszędzie może być. A co się tyczy do kolonizacji to tutaj teraz kolonizują dużą kolonję ukraińską i nazwana jest Nowa Wołyń i ja w niej znajduję się i obok druga kolonia starowierców kowieńskich co nazwano Bałtykiem, a ziemia ta jest kompanijna tak nazwanej kompanji arg. Ricardo Zavalle na której i ja mieszkam i druga kompanja Werrera y Vega co teraz nasielają narodowością różną a najwięcej Ukraińców. I ja zająłem jedną taką o dwudziestu hek-

tarach bo dają bardzo lekkie warunki, a na sześć lat na wypłatę i po trzydzieści sześć pezów hektar. Pierwszy rok nic nie płaci się, a się płaci po sześć pezów od hektara rocznie aż się wypłaci do ostatniego. Bo poprzednio kupowaliśmy po czterdzieści pezów za gotówkę i po pięćdziesiąt na pięć lat na wypłatę, a teraz o ile lżejsze warunki do wypłacania. A ziemię się znajduje pod lasem i dużo jest materjalnego drzewa co zdatne na budowę i ziemia urodzajna i równa, niema gór i kamieni i jest dużo rzeczek wodnych i źródeł jako na potrzeby kolonistów. Klimat jest tu zdrowy i dobry. Ja już jestem w dosyć podżyłem wieku, sobie liczę pięćdziesiąt trzy lata. Posiadam rodzinę składającą się z dziesięć osób co się tyczy do majątku mam własność o trzydzieści hektary ziemi i posiadam mały warsztat mechaniczny, który jest pędzony siłą parową i mam do tego mały młyn do mlecia kukurydzy i mały tartak do rznięcia drzewa dla swojej potrzeby. Mam wóz tutejszy dwukołowy, co jest ciągnięty przez woły. Bydła rogatego mam około dwadzieścia sztuk, cztery koni do wyjazdu i pod siodła i mam około dwadzieścia sztuk owiec które bardzo dobrze chowają się. Moje ziemię po największy części mam pod „Potrero" dla bydła i owiec, i mam około pięćdziesiąt kur do tego a pieniędzy żadnych nie posiadam. Zawsze mam jeden mały sklepik w mieście, który prowadzi żona, a drugi na kolonji gdzie ja sam zawiaduję wraz z córką. Zatem proszę o przebaczenie w razie jest nie dobrze ułożone, bo ja nie posiadam nauki, odyktowałem tak jak mogłem, a potem musiałem prosić o łaskę drugich żeby mnie to wszystko przepisali.

Dn. 10 października 1936 r.

Pamiętnik Nr. 27

Brukarz z Montevideo, syn gospodarza rolnego z Lubelszczyzny, ur. w 1899 r.

Na odezwe Szanownych Panów postanowiłem podzielić się z Szanownymi Panami ze swem życioryszem, najsampierw prosze mi wybaczyć o ile będę piszać z błędami ponieważ posiadam naukie polsko jedynie trzy lekcje wieczorowych kursów w roku 1906, na czwarto lekcje nasz nauczyciel pozostawiający nasz a sam uciekł oknem gdyż drzwiami wpadli żandarmi rusczy.

Urodziłem sie we wsi Milanow powiatu radzyńskiego ziemi lubelskiej w roku 1899 dnia 8 czerwcza. Jezdem synem rolnika gospodarki siedmiuch morgów, mającz jedynaście lat musiałem już koso machać po łącze i za pługiem chodzieć jak również w trzynastym roku życia wstompiłem do straży ogniowej ochotniczej w Milanowie gdzie byłem aż do chwili wstąpienia do organizacji P. O. W. i później do Legjonów. Z praczy P. O. W. przesłałem opisz do generała Juljana Stachiewicza w roku 1930. O ile będzie potrzeba prosze powiadomić mie to prześlc Sz. Panom. We wojsku służyłem w pierwszym pułku łączności pierwszej kompanji. Przed zwolnieniem dowódcza kompanji kapitan But. wezwał mie do kanczelarji i dającz mi projekt żebym wstąpił do szkoły oficerskiej która ma być w Bydgoszczu, iż jest rozporządzenie ministerstwa iż zdolni plutonowi mogą być dopuszczeni do owej szkoły która miała trwać cztery lata jednakowoż odmówiłem czego później nie mogłem odżałować. W cywilu w roku 1922 wstąpiłem do szeregów strzeleczkich, jako komendant na tem posterunku praczowałem do 1925 na-

stępnie byłem prezesem obwodu samodzielnego Kolna a obecnie Łuków, w roku 1926 kierownikiem wychowania fizycznego i w roku 1927 pozostałem instruktorem płatnym na powiat Radzyński związków strzeleckich jak również w trzeciej kadrówcze brałem udział doszłem 122 w czasie 17 god. 47 min. Teraz życie rodzinne stawało się dla mnie coraz ciężejsze gdyż ojciec mój poczynał mi coraz więczej dokuczać z braku swej świadomości i starości i stale robił wyrzuty przy każdem jedzeniu pomimo że nigdy nie reagowałem na to jednakowoż bolało mie strasznie to że ojcziec mi stale wymawiał jedzenie i wołał na mnie różne przeklony pomimo że gospodarka szła obrobiona w najlepszem porządku to też szanujący swe miejscze społeczne nigdy ręki nie podniesłem na ojcza. W roku 1927 przyprowadzony byłem do tego stopnia że gdy poszłem na polowanie to postanowiłem sobie odebrać życie na co wziełem sobie brownig i gdy obrałem sobie miejscze do swego spoczynku i napisałem kartkie do ojcza — ojcze zjedz smacznie moją kolaczje, i w tym momenczie jakaś wpadła mi myśl szalona, zerwałem sie z miejscza i rzuciłem owo kartkie z ołówkiem i zrobiło mi sie żal tyle młodzieży będącz ich sternikiem iż tak ich opuszczam i postanowiłem walczyć dalej ze swem przyznaczeniem losu. Otóż w tem samem roku moi bracia cioteczni postanowili udać się do Brazylji i proponującz mi żebym z niemi pojechał. W duszy mej uczułem jakoś jak gdybym jakimś pozostał miljonerem jednak hamującz swo radość i powiadam że nie mam pieniędzy a ojcziec mi nie da. Oni powiadajo że mi dadzo na podróż pieniędzy byleby jechać z nimi naczo odpowiedziałem znacie mie dobrze że każdy grosz jaki mi dacie to wam oddam z proczentem, w przeciągu trzech dni są pieniądze i papiery się wyrabiają. Po dziesięciu dniach są gotowe, ojcziecz milczy nicz nie mówi rodzina trzy siostry i brat i matka płaczo, ja jedynie myśle że sie stał jedyny ratunek mego życia. 11 października 27 r. odjazd, dnia dziesiątego jeszcze poszedłem na wioskie byleby poraz ostatni pochodzieć sobie, o godzinie 23 widze nadchodzącze wielki huragan z deszczem, złapałem brata i powiadam mu natychmiast wraczaj do domu i pojedziemy przywieziemy rzepak bo deszcz nadchodzi wielki i zniszczy sie rzepak co też pojechaliśmy i musieliśmy świecieć papierem się palączym gdyż nie mogliśmy trafić na pole jednakowoż trafiliśmy i poczeliśmy kłaść snopki, okazuje się że są

omiente i w drugiej kupcze nie świecimy ogień okazuje się że został spłoszony złodziej od swej praczy, zabraliśmy rzepak i przewieźliśmy do domu i położyliśmy się spać na wyskach jednakowoż na szczęście deszczu dużego nie było, to też ojczicc mój stający rano ujrzał wóz załadowany rzepakiem odrazu rozpoczął modlitwe poranne i począł wołać o pomste do Boga na mnie i przeklinający słowami ostatnimi ażebym tam zajechał gdzie kurzy głos nie dochodzi ażebym nie wstał stąd gdzie śpie i t. d. i t. d. Naco nie odpowiedziałem ani słowa jedynie somsiad brat czioteczny słysząc te bodajki przysedł do mego ojcza i powiada że bardzo ładnie błogosławiczie swego syna na drogie i czy nie jest wam wstyd tak przeklinać. Ja słysząc te słowa wstałem i powiadam Franku wycziog snopek z dołu i pokaż im żebym nie przywiózł toby był wsystek rzepak był omienty przez złodziei co natychmiast wyciągnął i pokazał memu ojczu i powiada że prawdziwie byłby wam rzepak nie zmókł ale bylibyście mieli tylko słome bo byliby wam wszystek omieli przez nocz, naco ojczicc dopiero przestał mie błogosławić na drogie. Otóż do tego stopnia byłem synem rolnika iż w ostatniej godzinie ubolewałem nad dobrem jej.

Wieczorem udałem się do świetlicz tam gdzie młodzież na mnie czekała by pożegnać sie ze mną otóż zastałem około 300 osób jak Strzelczy, Straż Ogniowa z naczelnikiem i sportowczy i orkiestra do której i ja też należałem, urządzili mi wielko owacje pożegnalno gdzie przemawiali komendant Strzelczów i naczelnik Straży Ogniowej i wielu innych jak również Strzelczynie zrobili mi niespodziankie, uczenicza gimnazjum Rózia Królówna w imieniu Strzelczyń wręczyła mi album z wpisami wszystkich Strzelczyń, powyższe wpiszy w albumie są tak patryotyczne iż nigdy ich nie zapomne praczo moich wychowanek i ich własnych utworów to też żegnający sie z młodzieżo zapewniałem ich że wkrótcze powrócze i rozpoczniemy dalszo naszo pracze, gdy powróciłem do domu by pożegnać rodzine ojczicc położył się chwilowo i tak zasnoł, gdy weszłem do mieszkania spał, żegnający sióstr i braci i matkie matka chce budzieć ojcza naczo przecze i powiadam że ojczicc mie już błogosławił ze samego rana i innych błogosławieństw już nie przyjme od ojcza i w tym momencie matka budzi ojcza, ja uciekam za progi domu i tak odjechałem od rodziny

w światy nieznane. Jeden z braci ciotecznych pozostaje nie jedzie gdyż pogodził sie z żono, jedziemy we dwóch, przyjechałem do Warszawy szwagier mój i siostra poczeli na mnie krzyczeć poczo opuszczam Polskie gdyż oni dla mnie wystarali sie o posade w Banku Rolniczem i chcieli mi zrobić niespodziankie na święta Bożego Narodzenia jednakowoż ja ich uprzedziłem i powiadam do brata ciotecznego o ile chcesz ty to pozostań na mojo posade co też tak sie stało, teraz jade już sam, dopiero uczułem na dworcu głównem jakieś żal wielki i łzów nie mogłem powstrzymać i poczełem zdawać sobie z tego sprawe co sie dzieje zemno i stawiam sobie pytania dokąd jade i do kogo. Tu dopełniono mi goryczy przez polsko obsługe pociągu i policje polsko czegoż nigdy w życiu nie można zapomnąć otóż zajełem przedział w wagonie jako przybyłem wcześniej pół godziny przed odjazdem konduktorzy pociągu przychodzo do mnie i każo mi wyjść z wagonu do drugiego, naco odpowiadam że nie wyjde i powiadam o ile majo tu wejść żydzi tak samo i ja opłaciłem podróż jak i oni i mam prawo jechać lepszym wagonem i ciepłem jak i oni, naczo wezwano policzje która mie wyrzuciła do zimnego wagonu a żydów natychmiast tam załadował. Otóż w ten sposób pożegnali mie polszczy urzędniczy co mie boli dziś jeszcze...

I ci sami żydzi na okręcie Flandrji poczeli sie śmiać że my goje mieliśmy gorzej w pociągu niż oni co też chwyciłem dzban ze stołu i omal nie zamordowałem owego żyda, gdyby nie marynarze, odprowadzono mie do kapitana powiedziałem co zaszło kapitan natychmiast zamknął tego żyda. Wylądowaliśmy w Rjodezanerjo dnia 8 stycznia 28 r., odwiezion na Kwiat Kiempe tam gdzie każdy emigrant być musi do dziesięciu dni jedynie stamtąd jado kto gdzie chce, ja prosiłem do Kurityby co też odjechałem mający jeszcze jedynie dwa dolary, w Paranaguw wysiedliśmy i tam jedna panna jadący z dzieciakiem do narzeczonego była już bez grosza i dzieciak jej zachorował co też dałem jej dolara ażeby coś zakupiła dla dzieciaka.

Zajechaliśmy do Kurytyby i tam spotkałem kolegi który miesiący pierwej wyjechał przedemno co też udaliśmy sie do niego, jednakowoż poczoł na mnie urągać poco ja przyjechał tutaj, no ja powiadam jakoś będziemy żyć wszyscy co też zabrał mie do swego mieszkania i powiada spimy tu na tej podłodze, ja powia-

dam to trudno będziemy jakoś spać i tak spaliśmy trzy tygodnie ja poszedłem później na kwatere, tam już sie stołowałem bo pracze znalazłem na piąty dzień na bruku ulicznym pomimo że pracza była tak ciężka jednakowoż ja czułem sie jakiś zadowolony i zdrów puszczałem kamieńmi jak orzechami i zarabiałem 8 milorejsów dziennie. Za pensjonat płaciłem miesiecznie sto milorejsów kompletna obsługa tak że bardzo mi mało pozostawało jednakowoż trza sie było zgodzić i na to bo człowiek jest jako niemowy bo mówieć nie umie po portugalsku, miesiącz pierwszy przesedł na rozglądaniu sie, w drugim miesiączu poczełem strasnie tęsknić za ojczyzno i poczełem żałować dlaczegoż nie uczyniłem tegoż na polowaniu i poczo tu być niemowo i rozpoczynać życie dziecinne i uczyć sie mowy i przesłałem list do komendanta Strzelczów p. K. Kierzkowskiego który znał mie osobiście i prosiłem go aby na podstawie mej położonej praczy społecznej żeby postarał sie w jaki sposób bym miał podróż bezpłatno ponieważ nie miałem najmniejszych widoków by zarobić za pare lat na podróż a odjeżdżający z Polski byłem pewny iż za dwa lata powrócze do rodziny niestety nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

W trzecim miesiączu zmieniam pracze i dostaje sie do Kompanji niemieczkiej do swego fachu do telefonów zakładać i tu mi płaczo osiem milorejsów. Pewnego dnia gdy przyjechał derektor niemieczki widząc mojo pracze natychmiast pyta kapatasa ile mi płaczo dziennie, powiada że osiem mil. Powiada cały ten wypłat co będzie żebyś mu zapisał po dziewięć mila dziennie, za siedem dni powtórzyło sie to samo i kazał podnieść na dziewięć i pół milorejsa i w następnym miesiączu poraz trzeci powtórzył to pytanie i kazał płaczić dziesięć mila dziennie. 28 czerwca zapisałem sie na członka towarzystwa polskiego, teraz rozpoczełem korespodencje ze znanymi co pojechali do Argientyny, ci piszo do mnie że majo pracze i ile zarabiajo tak że obliczyłem że lepiej niż ja co też postanowiłem zbierać pieniedze na podróż do Argientyny.

Już w październiku mam 500 milorejsów, teraz wyrabiam papiery, 5 października zostałem zabity prądem elektrycznym o sile 2000 volty, stałem na słupołazach na relsie przeciągający przewody po przez druty telegrafu kolejowego, w tym momencie burza zerwała przewód linji starej i zrobiło sie spiencie z głównem przewodem elektryczności, w tem momencie byłem rzuczony na dru-

ty telegrafu i w dwunastu miejsczach mi popaliło ręcze, pamiętam iż ostatnia myśl moja była że nie ujrze już rodziny i tak zawisłem na słupie na pasie bezpieczeństwa jakie używajo telegrafiści. Gdy sie oczknąłem leżałem w pogotowiu w karetcze co też prosiłem by mie wypuszczono co też mie i puścili pomimo że już do wieczoru nie robiłem i przez trzy dni miałem zwolnienie. Kilka dni potem spotkałem policjanta Polaka Piaseczkiego i on mi powiadał dlaczego nie oddałem te sprawe do sądu za uszkodzenie zdrowia co byłbym otrzymał co najmniej 7.000 milorejsów ale powiada że teraz już zapóźno bo prawo przysługuje do trzech dni robić wniosek skargi, teraz przepadło. W tym miesiączu derektor przenosi mie już na pensje miesieczne i na stało prace jednakowoż ja mu bardzo dziekuje i powiadam że po wypłacie odjeżdżam do Argientyny, on mi radzi bym nie jechał jednak ja nie zmieniam swego postanowienia i wyjeżdżam do Santosu i tam chce żeby dostać wize do Argientyny, wize były zamknięte, konsul argentyński radzi mi bym sie udał do Urugwaju, tu wjazd otwarty co też nie namyślający sie wiele jade do Urugwaju wszak i tu mam adresa do swych rodaków. Dnia 23 grudnia londuje w Urugwaju, pierwej odwieziono nasz do emigracji, rzeczy składam sam odnachodze swych rodaków, pracujo wszyscy i zarabiajo po dwa dolary i pół dziennie, teraz pomyślałem sobie że tu zarobie dziennie ponad 30 milorejsów brazylijskich, tak sie stało bo tu w tym czasie płaczono za peza jednego dolara 1,5 c. Na trzeci dzień ide do praczy to jest na ulicze lać betonowe. Pracza bardzo ciężka, pod wieczór ledwie stałem na nogach, po powrocie do domu powiadam że nie wytrzymam w tej praczy już mam na dłoniach 17 pęcherzy krwawych i 8 na nogach. Koledzy sie śmiejo powiadajo mi głupstwo to tylko pierwsze trzy dni a później nie będzies czuł. Drugiego dnia ledwie powstałem z łoża ale poszłem do praczy i znowuż dano mi pracze ze spadlem to ciężko nie mogłem wziąść spadla do rąk bo pęcherze. Porozgryzałem pęcherze schwyciłem spadel i poczełem rozgartać armigon i nie patrząc na nic i tak przezwecieżyłem sam siebie i tu praczowałem 11 miesieczy co też zarobiłem na podróż i odesłałem 200 dolary do matki żeby oddała moje długi mym braciom ciotecznym i z proczentami matka oddała i weksle moje popaliła, później miesiącz posłałem memu bratu Ignacowi 50 dolary by sie udał do Warszawy do szkół szofer-

skich, tak uczynił, pan major Kierszkowski wziął go pod swojo opiekie gdzie skonczył skołe i dziś jest w autokolumnie u Pana Prezydenta Rzeciposp. Polskiej. Dalej z tej pracy zostaję wyrzucony przez zazdrość mych kolegów że oni byli tu pierwej tyle czasu i nie mogli złożyć tyle pieniedzy i tak posłać jak ja posłałem i przez to stali mi sie zazdrośni, tak że dnia 5.X. 1929 r. byłem wydalony z tej praczy, ja natomiast po swem przyjeździe poczełem pytać o polskie towarzystwo czy są jakie, powiedziano mi że istnieje jakieś koło polskie. Dnia 15.V. 29 r. otrzymałem ulotkie z wezwaniem wszystkich Polaków robotników co też byłem pewny że to jest to samo towarzystwo co też sie udałem pod numer wskazanego domu, naturalnie że zastałem około 40 osób, weszłem do salonu ujrzałem sztandar komunistyczny, teraz zrozumiałem gdzie sie znachodze ale postanowiłem być do ostatku. Było to zebranie piersze stworzenie związku komunistów to też poczęto do otwarcia i przemów i wyboru zarządu co też wstawiono i mojo kandydature, spytano o moje godność co bez namysłu powiedziałem pseudo Jan Pnifiłowicz jeszcze z P. O. W. nie chcząc plamić prawdziwego nazwiska mego tak że kandydatura moja została wybrana do zarządu. Po wyjściu natychmiast napisałem artykuł i skrytykowałem ich zebranie. Dnia 29.VI. jest ogłoszenie w polskich gazetach że ma być tegoż dnia wielki wiecz wszystkich Polaków gdzie poszedłem i ja, tu był wiec czysto polski teraz stworzono towarzystwo im. Józefa Piłsudskiego, jak również wesłem do zarządu jako radny. Tu poznałem sie z czało tutejszo polonjo teraz po wydaleniu z praczy odpoczełem sobie siedem dni i powiadam do tych samych kolegów że ide do praczy do fabryki i poszedłem trza trafu że byłem przyjęty, praczowałem dwa miesieczy i pół. Z braku praczy zwolniono mie, teraz prezes towarzystwa J. Makowski a obeczny konsul daje mi pracze przy budowie tu praczuje do dnia 4.VIII. Podczas tej praczy były derektor Arturo Wilson Związku Rolniczego obserwującz mie przez czały czas praczy podszedł do mnie i pyta jakiej narodowości jezdem. Powiedziałem Polak, powiada mi czy chcze pozostać w tym parku na pensji miesiecznej, powiedziałem mu że z największo przyjemnościo ale powiada że płata jest tu mała 50 pezów. Ja mu odpowiedziałem że o płate ja nie pytam, on mi powiada podobałeś mi sie żeś porządny robotnik takich ludzi lubie. Dnia 4 sierpnia 1930

r. staje do praczy, teraz dwaj moi bracia cioteczni i inni koledzy śmiejo sie zemnie że pozostaje na tak marnej płaczy, ja powiadam zobaczemy kto sie będzie śmiał ostatni, weszłem jako robotnik dosztaje mieszkanie bezpłatne na mieszczu, w tym czasie znowuż przeszyłam rodzinie 50 dolarów. Dnia 18.VIII.31 r. tego kapatasa wydalajo za złe sie obejście, jednocześnie mie powiadamiajo że ja teraz będe na jego miejscu a tu jak raz dnia 25 sierpnia otwarcie wystawy rolniczej ale przy pomoczy mego szefa poszła pracza w porządku a nawet dostaje pochwałe od szefa że sie nie spodziewał że tak pójdzie pracze w porządku, jedynie walcze z mowo co też po wystawie rozpoczołem brać lekcje wieczorowe, zebrało sie nasz pieciu i pouczyliśmy sie przez cztery miesieczy co też poduczyliśmy sie bardzo dużo bo i w piszaniu miałem ostatnio lekcji cztery błędy tylko teraz już powiedziałem sobie że niema strach tak że przyszła wystawa to już sam prowadziłem czałe pracze a mój szef powiada że dopiero po 14 latach pierwszy raz podczasz wystawy odpoczywa bo ja sam już ustawiałem konie bydło barany świnie kury i t. d. bo tu rok rocznie urządzajo wystawe narodowe a co trzy lata jest międzynarodowa tak jak jest w Poznaniu taka sama jest i tu. Teraz w kraju sie pogorszyło brak praczy moi bracia i koledzy powiadajo pośli by praczować za połowe tej pensji co ja dostaje byleby była pracza stała, teraz ja sie śmieje, teraz pozwolono mi trzymać krowe kury świnie wogóle co chcze byleby nie prosić o podwyżkie ponieważ jest wielki kryzys teraz poczynam myśleć o żonie co też i ściognełem swo dawno narzecone z Polski. Podróż opłaciłem 300 pezów, przyjechała dnia 28.IV. 1933 r. wesele mie kosztowało 200, ponieważ było po amerykańsku sie bawiono ślub cywilny był dnia 11.V. 33 a ślub kościelny 3.VI. to był ślub specyjalnie dla rodziczów gdyż dla mnie był zbędny gdyż jezdem wolnomyślicielem od lat pietnastu mego życia. Dalej teraz pensje moje podwyszyli na 55 pezy czyli po odciągnieciu mi na emeryture i jak również opłaczam spital to pozostaje mi 48 pezy 82 centy. Mam dwie krów kur to ile chcze to hoduje, wiepsza co rok sobie upasze i zabije, w zesłym roku zabiłem to ważył 200 kila teraz znowuż taki sam rośnie, mam siedem pni pszczół, miodu niebrak mi a jeszcze sprzedaje, wina sobie sam robie rok rocznie 400 litrów i to mi starcza na czały rok, mleko też sie sprzedaje czaszami dziennie przewysza pensje naturalnie nie

jest tak zawsze bo kiedy krowy po uczieleniu, teraz kiedy był pan redaktor Wrzos biorącz wywiad u mnie to powiedziałem że gdyby mi ofiarowano w Warszawie posade 300 zł. miesieczno tobym sie nie zgodził jechać do Polski ponieważ tu mam bardzo dobro opinje w Związku Rolniczem i jezdem sobie swobodny zawsze. Teraz znowuż posłałem do szwagra do Warszawy 300 zł. gdyż potrzebował pomimo tego dzisiaj mam w banku zaoszczędzonych 950 pezów, mam radjo meblowe szafkowe zamykane marka Pilko siedmiolampowe, teraz mam czórkie Jadwiga 29 miesiecy, syn ma 14 miesieczy, nazywa sie Zbigniew chrzest cywilny. Dzisiaj o pracze sie już nie martwie, co do władz tutejszych nadzwyczaj so dobre. Co do mego zamiaru to dzisiaj jest trudno dać odpowiedź na to pytanie owszem narazie pragnołbym dziś jedno godzino bym sie mógł ujrzeć z rodzino bo tęsknie strasznie co też będe sie starał na przysły rok o urlop sześciomiesieczny i będe chciał odwiedzić Polskie o ile nie zajdo jakie zmiany nieprzewidziane pomimo że ojczciec dawniej mi piszał bym powraczał do domu naczo odpowiedziałem ojczu tak żeby mi ojczciec odpiszał czały majątek bez żadnych spłatków to też bym nie powrócził bo wiem dobrze jak żyjo dzisiaj nasi biedni rolniczy. Dalsze powiekszе czeszci so moje zamiary by gros zaoszczędzić i odesłać dzieci do polskich szkół do Warszawy ażeby mogli być ludźmi uczonymi co będo mieli zapewniony byt swego życia a ja również tu mam zapewniony bo po 30 latach praczy otrzymuje emeryture bo już mam osiem lat praczy i tak potrochu leci w razie jakiegoś wypadku również mam zapewnione odszkodowanie. W domu z dziećmi jedynie rozmawiam po polsku, pisma otrzymuje polskie z Argientyny Głos Polski i Kurjer Niezależny Polski. Do roku 1934 otrzymywałem Strzelcza z Warszawy, teraz co do obywatelstwa to jeszcze nie przyjełem tutejszego a o ile przyjmc to będe zmuszony by nie utraczić swej praczy bo już dużo tak poprzyjmało jedynie jakoś mie sie udaje nie wiem jak długo. Teraz co do interesowania sie polskościo to brak słów do opisania. Cieszy mie niezmiernie jak czytam w tutejszych pismach że Polako w balonach zwyciężyli lub Polako jakieś inne dokonał coś lub wynalazł coś pomimo że tutejsze pisma mało piszo o Polszcze a przeważniej jak żydzi majo coś złego to trzęso. Tu mało znajo Polskie, często opowiadam swym starszym ile Polska posiada narodu i jak kraj duży co bar-

dzo podziwiajo ale wiedzo że naród jest praczowity a nawet teraz chciałem zmienić swe radjo na krótkie falówkie i wziełem na próbe ale Polski nie słychać pomimo że nadajo, prawdopodobnie promienie słoneczne nie dopuszczajo fali, teraz powrócze do tutejszego towarzystwa. W roku 1930 byłem biblotekarzem, w r. 1931 byłem sekretarzem, 1932 i 1933 byłem prezesem i 1934 jeździłem jako delegat do Argientyny na zjazd federacji dnia 25 i 26 maja jaki sie odbył wszystkich towarzystw polskich. Teraz w dalszym ciągu należe do towarzystwa i wybudowaliśmy dom własny który ma wartości do 9.000 pezów. Na tem kończe swój opis i prosze mi wybaczyć że być może za długi ale i to wszystko po większej cześci.

O ile Szanowni Panowie życzo jakiego opisu ogólno patrzoczego na emigrantów jak żyjo i praczujo lub też jakie so widoki tu życia dla rolnika lub robotnika to prosze przesłać mi jakie żądania to chętnie postaram sie opisać.

W roku 1931 w lutym zostałem oznaczony medalem Bojownikom Niepodległości i tu mi przysłano do Urugwaju.

Jak droga jest dla nas Polskość to niech świadczy o tem wjazd Polskiego okrętu Pułaskiego. Przyjmuwali wszystkie Tow. Polskie a ja postanowiłem osobiście przyjąć. Ponieważ Tow. odrzuciło mój wniosek przyjęcia wobecz czego sam nie zrezygnowałem i wynajełem większo motorówkie sznur długości 80 metrów, ustroiłem w chorągiewki narodowe Polsko-Urugwajskie i zaciągnełem do masztu i zacepiłem do cuba i do tyłu i wokoło opasałem i wziełem około 80 ludzi i wyjechaliśmy na morze na spotkanie okrętu i tak towarzyszyliśmy do wjazdu do portu z okrzykami niech żyje Polska i Urugwaj i Polska Marynarka i t. d. tak że sam kapitan prosił pana Konsula w Montevideo ażeby mi podziękował w imieniu pana Kapitana bo był niezmiernie zadowolony i powiedział iż nigdzie nie był tak ładnie przyjęty jak tu w Urugwaju. Widno milsze mu były polskie chorągiewki niż Towarzystwa bukiety i delegacje, ludność tutejsza już była przyzwyczajona widzieć bukiety a tym razem widziano przystrojono motorówkie w narodowe chorągiewki poczeła pytać jeden drugiego co jest i co sie dzieje i dopiero powtarzano okręt Polski pierwszy dojeżdża.

Dn. 8 czerwca 1936 r.

Muzeum im. Kościuszki w Nowym Jorku Nr inw. 1636

MÉMOIRES DES ÉMIGRANTS POLONAIS DANS L'AMÉRIQUE DU SUD.

Les trois gros volumes de Mémoires des Chômeurs et de Mémoires des Paysans publiés par l'Institut d'Economie Sociale à Varsovie, présentent une image frappante, parfois même saisissante de la vie des ouvriers privés de leur travail, et des hommes de la terre qui ont tant souffert au cours de la longue crise mondiale. Ils nous apprennent comment ces hommes se débrouillent, ce qu'ils pensent et ce qu'ils éprouvent. C'est également par la voie d'un concours publié en automne de 1936, que l'Institut d'Economie Sociale vient de recueillir plusieurs volumes de matériaux sur la vie des émigrants polonais. Ces matériaux comprennent les mémoires écrits par des émigrants polonais habitant la France, l'Amérique Latine, les Etats Unis et le Canada, donc tous les principaux centres de l'émigration polonaise.

Bien que le titre de ce volume diffère du titre des volumes précédents, ses auteurs appartiennent tous à la même couche sociale, celle dont on a pu dire qu'elle „nourrit et défend". Ils sont également des travailleurs, des gens du peuple, — ouvriers et paysans. Si nous additionnons les voix de tous ceux qui ont pris part aux trois concours, nous obtiendrons le chiffre imposant de 1496 récits autobiographiques d'ouvriers et de paysans. La valeur de ces récits dépend entièrement de la sincérité et de la probité de l'auteur. L'Institut semble avoir trouvé la juste voie qui mène au coeur et à l'esprit de ces écrivains fortuits. Au lieu de leur présenter un simple questionnaire aride, gênant dans sa précision, l'Institut a publié un appel encourageant: „N'ayez pas honte de nous dire comment vous avez vécu. Racontez franchement, écrivez sincèrement, du fond de votre coeur, comme si vous vous entreteniez avec votre meilleur ami de vos peines et de vos soucis".

Eh bien, le ton cordial et encourageant de cet appel, la confiance qu'inspire une organisation sociale telle que notre Institut donnant la certitude que la sincérité des auteurs ne sera pas tournée contre eux-mêmes, enfin la joie inattendue de pouvoir communiquer leurs pensées à ceux qui s'intéressent à leur sort, tout cela a produit un effet inattendu. Les langues se sont déliées, le plus souvent d'ailleurs dans des conditions défavorables, étant données les difficultés techniques et les difficultés de la langue qu'eurent à surmonter ces émigrants peu habitués à écrire. En lisant ces mémoires, on a l'impression qu'une sorte de rage de sincerité et de véridicité a saisi toute cette foule d'hommes qui ont, pour la première fois, pris la parole. Quelquefois, ce travail abordé à contre-coeur, provoque un brusque jaillissement de souvenirs d'enfance, d'évocations d'aventures et de sensations qu'on croyait oubliées, il passionne l'auteur et finit par devenir pour lui un besoin quotidien, — besoin que l'on satisfait en rognant sur les heures de sommeil après un travail exténuant. „Ce que mon coeur a désiré, ce qu'il a avidement convoité, il l'a maintenant. J'ai voulu depuis des années qu'on apprenne quel malheureux sort nous avons trouvé ici, moi et toute ma famille, dans ce pays sauvage" — écrit un émigrant établi au Brésil.

„Après avoir lu l'annonce de votre concours — écrit une émigrante — j'ai pleuré, et j'ai pensé que, bien que ce soit dur de se rappeler tout cela... il faut vous envoyer le récit de ce que j'ai souffert depuis mon enfance... et à l'instant même je me suis mise à l'oeuvre... pas un seul mot de ce que j'ai écrit n'est inventé...".

Un récit commencé avec un tel élan, inspiré par le besoin passionné d'extraire toute la verité d'une existence — atteint quelquefois à une plastique extraordinaire et, par conséquent, au niveau d'un art authentique, bien qu'inconscient.

La sincérité et la véridicité — voilà les traits caractéristiques de tout ce que racontent les paysans et les ouvriers dans leurs Mémoires, dans lesquels ils décrivent leur vie en Pologne et dans les pays d'immigration. Par ces traits les Mémoires constituent un important recueil de matériaux sociologiques à l'usage des savants, de tous ceux qui s'occupent de la politique et de tous ceux qui gouvernent l'Etat. Conçus dans l'émotion, ces Mémoires décrivant la vie des humbles, peuvent être considérés, au point de vue artisti-

que, comme un essai d'une épopée collective de la Pologne au travail. C'est en pensant à cette sorte de Mémoires que Mme Marie Dąbrowska écrit: „Ce qui les distingue des autres ouvrages de ce genre littéraire, c'est le fait que les auteurs de ces Mémoires appartiennent à une classe sociale muette jusqu'à présent. Celui qui, par la voix de ces Mémoires, s'adresse aujourd'hui à tous ceux qui ont des oreilles pour entendre, c'est le Grand Inconnu, — le paysan, dont ce n'est pas assez de dire qu'il forme une classe sociale distincte. Il constitue en effet une majorité tellement énorme de la nation, qu'en lisant ses méditations, celle-ci s'y retrouve entièrement, se regarde et se juge".

C'est en cela que consiste l'importance générale des Mémoires publiés par l'Institut d'Economie Sociale. Quant aux Mémoires des Emigrants et plus particulièrement aux mémoires des émigrants d'outre-mer, nous voudrions attirer l'attention sur leur climat moral. Des gens, arrachés depuis des années et pour toujours à leur patrie, entreprennent une lourde tâche à laquelle ils n'étaient pas accoutumés, celle d'écrire une confession générale de leur vie. Ce qu'ils en font, ce n'est pas pour décrocher un prix au concours, mais presque toujours dans la conviction que cette description de leur propre existence possède la valeur d'un témoignage, d'un avertissement, — bref qu'elle sert ainsi une cause générale, dont l'importance dépasse la personne et le sort individuel de l'auteur. Cette idée de responsabilité morale chez les auteurs et le sentiment des liens qui continuent à les unir à leur pays d'origine, font que les Mémoires sont écrits d'une manière consciencieuse, qu'ils possèdent une grande valeur documentaire et, partant, une utilité considérable. On y reconnaît un effort réel pour réunir toute l'expérience acquise au prix de si grands risques et pour en faire profiter les autres. Même la fanfaronnerie — là où elle apparaît, — compréhensible d'ailleurs chez des selfmademen, est une sorte d'hommage rendu à une cause générale, comme si l'on voulait dire: „voilà ce que je suis devenu, à quoi je suis arrivé dans ma patrie d'adoption, moi, paysan obscur, méprisé dans la mienne. C'est à elle seule, inoubliable et toujours aimée que je viens offrir tous les honneurs dont on m'a comblé ailleurs". C'est justement ce climat des Mémoires des Emigrants qui nous fait apprécier la valeur de ce matériel humain que la misère a chassé de son pays natal.

Dans les mémoires des émigrants de l'Amérique Latine — parce que c'est d'eux que nous allons parler plus amplement — on distingue trois points principaux. D'abord c'est le premier contact de l'émigrant avec un monde tout différent de celui qu'il avait connu jusqu'alors: la traversée de l'océan, la quarantaine à l'Ille des Fleurs, que l'un des émigrants appelle „lieu de supplice pour les enfants polonais", l'étrangeté du climat et de toute la nature, une langue incompréhensible, la lutte contre la forêt vierge, contre les indigènes, contre les maladies inconnues et les parasites — tout cela forme une sorte de ronde infernale qui étourdit, qui sape la confiance qu'on a en ses propres forces, et fait que le premier réflexe de l'émigrant, c'est le désir de retourner immédiatement et à tout prix dans son pays. „Oh, avec quel sentiment étrange et douloureux — écrit un émigrant — nous avons vu cette terre bizarre. Je demande — est-ce une terre ça? Il n'y a que forêt, montagnes, broussailles, précipices, marais, fougères de plusieurs mètres de haut. J'ai pleuré comme un petit enfant sur mon sort amer. J'ai voulu tout de suite rentrer dans mon pays, mais j'avais trop peu d'argent et ma famille était là, auprès de moi — neuf personnes". Voici comment un autre émigrant décrit la première nuit dans une baraque: „Dormir?! C'était impossible, pas de lit dans la baraque, pas de place sur le plancher pour tant de personnes. Nous avons oublié que nous étions des hommes". La première nuit dans la forêt vierge: „Nous étions plusieurs familles et nous sommes arrivés sur cette terre, et là il n'y avait rien, pas même une hutte, rien que la forêt vierge, sans commencement ni fin. Nous fûmes là, misérables, et la nuit se mit à tomber. Alors nous avons coupé du bois, nous avons allumé un feu, et auprès de ce feu nous avons dormi".

Le deuxième stade — c'est celui où l'émigrant se met à lutter contre la situation affreuse où il s'est trouvé. Il n'a pas d'argent pour rentrer au pays où d'ailleurs il n'aurait pas de moyens d'existence. Il faut rester dans ce pays de „vermine" — comme ils écrivent. Serrer les dents et tenir tête. Les pages les plus instructives sont celles où les auteurs des mémoires décrivent comment ils se sont débrouillés et les différentes sortes de travail qu'ils entreprenaient pour ne pas mourir de faim, sans personne pour les guider et sans connaître la langue du pays. Et toujours la même course

après le travail, au hasard, les yeux fermés, pour gagner, pour ne pass succomber à la faim. „Les nouveaux-venus — écrit un émigrant établi en Argentine — allaient partout où on les envoyait. Ils ne connaissaient ni la langue ni le pays. Ils travaillaient où ils pouvaient. Bientôt ils s'enfuyaient, ils parcouraient à pied des centaines de kilomètres. Il en venait tout de suite d'autres pour occcuper les places qu'ils avaient abandonnées et, après quelques jours de travail ceux-ci s'en allaient à leur tour comme les premiers". Puis il ajoute: „C'est parce que nous sommes soumis et durs à la besogne que nous avons gagné l'estime des gens et qu'on nous embauche volontiers pour le travail" — ajoutons: le travail physique le plus dur. Outre cela, en faisant ses premiers pas dans un pays étranger, l'émigrant est exploité et triché.

Un autre point commun à tous les auteurs des Mémoires c'est leur croyance infléxible que le travail est leur unique salut. Pourvu qu'on en trouve. Et, depuis ce moment, ils nous dévoilent la lutte acharnée avec le sort tant de fois si cruel. Les descriptions de cette lutte ressemblent parfois aux extraits d'un roman d'aventures. Ce sont toujours des descriptions des souffrances inouïes, des peines continuelles, témoignant d'une patience et d'une endurance extraordinaires. Il arrive très rarement qu'un émigrant polonais trouve d'un premier coup un travail convenable qu'il pourrait garder plus longtemps. Voici une suite variée de travaux qu'accomplit en Argentine un paysan de Tarnów avant de s'embaucher chez un „Espagnol" dans une île; il construit des routes, arrache le maïs, creuse un tunnel (en qualité d'Allemand parce que les Allemands ne voullaient pas d'un Polonais), construit des „levadores", dans l'eau jusq'à la ceinture abat les saules, nourrit et soigne avec deux compagnons quatorze mille canards, „on dort pis que chez nous les chiens, car en bas sont les canards et en haut est le logement, une puanteur horrible... et les canards bavardent toute la nuit". La vie des autres émigrants n'est pas plus facile quoiqu'elle soit plus „pittoresque" que celle-là. Voici un jeune garçon qui „avant son départ de la Pologne n'avait jamais eu de chaussures". Il est vendu par son beau-père à un „faccendor", puis à un autre. Il travaille enfin chez un épicier, dans une grande ville. Puisqu'il „ne s'y connaissait pas en chiffres", il commence, ici, au Brésil à apprendre à lire et à écrire en portugais et... en polonais. Il accompagne enfin un mar-

chand ambulant, un Turc, qui fournit des marchandises aux collonies. Après la mort de son patron tué par des bandits, le jeune émigrant participe à une expédition qui trace la voie de chemin de fer à travers la forêt vierge, combat avec une bande d'indigènes, est forcé de se retirer, souffre la faim, rencontre un troupeau de sangliers, un tigre, voit le camp de cette partie de l'expédition qui avait été massacrée etc. Voici un autre émigrant qui fait le voyage de Parana à Sao Paulo en compagnie de deux Italiens qui, la nuit, lui enseignent la langue italienne et la langue portugaise. Il va à la recherche du travail. Ses compagnons l'abandonnent. L'un se marie, l'autre rentre dans son pays natal. Alors, abandonné, seul, il retourne à pied à Parana. Ce voyage qui durait plusieurs années est plein d'aventures dignes de la plume d'un Jack London. L'auteur termine la description de ses aventures par la réflexion suivante: „ce peuple est hospitalier, on peut voyager dans ce pays sans argent".

Un autre émigrant décrit ses aventures et ses luttes qu'on dirait tirées d'un livre de Fenimore Cooper. Il était encore petit garçon quand il quitta ses parents pour ne pas être à leur charge. Il s'embauche chez un „faccendor" en qualité de muletier. Une lutte continuelle contre la nature et les Indiens l'a rendu presque sauvage. Quand, après huit ans, il rentre chez ses parents et „franchit la porte de leur maison", „je me sentis — écrit-il — étranger... J'ai salué toutes les personnes présentes au nom de Dieu... et cela m'a rendu courage, j'ai été moins farouche". Un autre encore, un forgeron, un débrouillard, est forcé par deux fois de quitter le lieu de son séjour et d'abandonner les lots de terre qu'il avait achetés: une fois après un combat avec un crocodile, et l'autre — après l'attaque d'une bande d'Allemands forcenés. Dans un troisième endroit enfin, il ouvre une petite boutique et lorsque, après le pillage de celle-ci, sa femme lui conseille de fuir pour la troisième fois, c'est ainsi qu'il lui répond: „On ne peut fuir devant le mal, car le mal est partout". Et ils restent. „Et le temps continua son chemin — et un sixième fils m'est venu".

En lisant ces descriptions que nous venons de citer à titre d'exemple, on se demande: qu'est-ce qui sauve ces gens-là du découragement, de l'abattement, d'une ruine totale? Qu'est-ce qui leur prête la force qui fait qu'ils résistent, gagnent leur pain, arri-

veint souvent à un bien-être relatif et parfois, bien que très rarement, à une fortune considérable? Ce sont les auteurs des mémoires eux-mêmes qui nous répondent indirectement à ces questions. Laissons-les parler. „Nous vivions (dans la forêt vierge) avec juste de quoi ne pas mourir de faim. Nos pauvres gains (à la construction des routes), nous ne les avions que de décembre jusqu'en mai, et quand venait dimanche ou un jour de fête on s'en allait les uns chez les autres et on parlait de la Pologne". „Nous formions comme une seule grande famille (dans la forêt vierge), parce que c'est seulement dans un pays étranger que l'on a vraiment de l'amitié pour son prochain". „Les enfants allaient à l'école. Encouragé par eux, j'ai commencé à me rappeler l'art de lire. Quelquefois les coqs chantaient déjà et moi je lisais encore à la lueur d'un lumignon les romans de Sienkiewicz". „Je suis venu ici il y a quarante ans pour coloniser ce pays, mais je ne m'ennuie pas maintenant parce que j'ai déjà marié trois fils et une fille. Ma fille ainée a marié ses trois fils. Elle a maintenant neuf petits-fils, mon aîné a deux filles et un fils. Il a déjà quatre petits-fils, le troisième fils a marié un fils et une fille. Il a un petit-fiils. Mon cadet a onze enfants qui ne sont pas encore mariés... Tous les membres de ma famille savent le „brésilien" et le polonais, mes petits-enfants parlent aussi ces deux langues". Le plus malheureux des émigrants écrit ainsi: „Je suis le seul Polonais ici, je liis le journal „Kurier Polski w Argentynie" et j'ai une Bible — c'est mon unique distraction, autrement je deviendrais complétement abruti... Je termine mes mémoires, parce que je n'ai pas le temps d'écrire. Je travaille depuis la nuit jusqu'à la nuit. Le dimanche, je travaille jusqu'à midi, mais ensuite il faut laver la chemise, et c'est déjà le soir. C'est ça leur belle Amérique". La force vitale de cet élément polonais qui depuis des siècles repousse à la même souche populaire, est vraiment indestructible.

Nous avons essayé de caractériser brièvement le sujet de ces mémoires et l'esprit qui les pénètre en citant les paroles mêmes de leurs auteurs. Bien qu'on les lise avec un intérêt qui ne faiblit jamais et même une sorte d'émotion esthétique, cette lecture possède néanmoins un caractère sérieux et grave, puisque tels sont les problèmes qu'elle soulève. Et malgré cela, il s'en dégage une impression générale de réconfort et même de joie. Elle nous rend

en effet la foi en l'homme — ce qui est si rare à l'époque de „l'homme de masses", cet homme qui, isolé, ne présente aucune valeur, qui ne peut vivre, souffrir, être heureux et agir que dans la foule, par le nombre, comme un banc de poissons qui arrête un navire dans la mer. Les auteurs de ces mémoires sont des êtres détachés de leur sol natal, de leur milieu, solitaires et dispersés dans l'étendue d'un monde inconnu et hostile. Mais ils sont comme des soldats en débandade et laissés sans chef, qui portent en eux une boussole infaillible, une sorte de sagesse de l'espèce et une assurance qui leur vient de leur foi dans la toute-puissance du travail. Cette sagesse se fait sentir entre autres dans le souci qu'ils portent aux affaires de leur pays natal. „J'ai bien compris ce que sont les nations et ce qu'est la patrie. Mon coeur était parfois percé comme d'un coup de baïonnette par des paroles que prononçaient les hommes des autres nations. Partout on pouvait entendre (vers 1911) „polaco nao tei bandera — le Polonais n'a pas de drapeau à lui". Les mémoires sont remplis de conseils comment défendre les émigrants polonais contre la dénationalisation, d'avertissements et de plaintes. „Les livres polonais nous font défaut malgré les relations que nous entretenons avec la Pologne". On propose l'échange des collections de papillons, d'insectes, de tout ce qui pourrait intéresser les Polonais, contre les livres. „Nous ne voulons rien à titre gratuit de notre pays".

Enfin, un éclaircissement pour finir. Nous avons fait paraître dans le présent volume, en entier ou partiellement, presque tous les mémoires qui nous avaient été envoyés de l'Amérique Latine, et nous nous sommes gardés d'y faire les retouches demandées par les auteurs. Toutefois, le plus long de ces récits, comprenant 264 pages dactylographiées, a dû être excepté, car sa plus grande partie est une description des aventures de l'auteur pendant la guerre mondiale et la guerre polono-soviétique de 1920, et seule une faible fraction se rapporte à la vie des émigrants. Le récit tout entier est cependant écrit d'une manière si vivante et si pittoresque, avec un talent si réel, qu'il mériterait de paraître dans une autre série publiée peut-être ultérieurement par l'Institut d'Economie Sociale.

TREŚĆ

Str.

PROF. LUDWIK KRZYWICKI: PRZEDMOWA V

STANISŁAW STEMPOWSKI: PAMIĘTNIKI I PAMIĘTNIKARZE . . XI

ZAŁĄCZNIKI . . . . . .

1. Język pamiętników XVIII
2. Odezwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego w sprawie konkursu na pamiętnik emigranta . . . XXII

PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

ARGENTYNA 1 — 61

Pamiętnik Nr 1. Robotnik w prowincji Cordoba, syn małorolnego gospodarza z województwa kieleckiego, ur. w 1899 r. 1

„ Nr 2. Robotnik w Buenos Aires, z województwa tarnopolskiego, ur. w 1897 r. . . . 19

„ Nr 3. Robotnik przy kolei, działacz społeczny oraz korespondent pism w Buenos Aires, syn czteromorgowego gospodarza spod Borysławia, ur. w 1900 r. 24

„ Nr 4. Mechanik w Buenos Aires, syn naczelnika gminy z okolic Tarnopola, ur. w 1879 r. . 29

„ Nr 5. Robotnik z prowincji Buenos Aires, pochodzący z Tarnowa, ur. w 1883 r. . . 51

BRAZYLIA 62 — 448

Pamiętnik Nr 6. Rolnik w Paranie, syn gospodarza wiejskiego z województwa białostockiego, ur. w 1874 r. 62

„ Nr 7. Rolnik w Paranie, syn wyrobnika z ziemi siedleckiej, ur. w 1894 r. 73

„ Nr 8. Rolnik w Paranie, syn małorolnego gospodarza z województwa tarnopolskiego . . 77

„ Nr 9. Kowal w Paranie, syn rolnika z powiatu opatowskiego, ur. w 1882 r. . . . 111

Str.

Pamiętnik Nr 10. Rolnik w Paranie, pochodzący z byłej Galicji, ur. w 1882 r. 126
„ Nr 11. Rolnik w Paranie, syn robotnika rolnego z okolic Kalisza, ur. w 1879 r. . . . 140
„ Nr 12. Rolnik w Paranie, pochodzący z byłej Galicji, ur. w 1851 r. 151
„ Nr 13. Rolnik z Parany, syn gospodarza rolnego z województwa tarnopolskiego, ur. w 1879 r. 158
„ Nr 14. Rolnik w Santa Catharina, syn strycharza z byłej Kongresówki, ur. w 1878 r. . . 204
„ Nr 15. Nauczyciel w Santa Catharina, syn gospodarza rolnego z Radomskiego, ur. w 1891 r. 212
„ Nr 16. Rolnik w Santa Catharina, syn komornika znad Gopła, ur. w 1879 r. . . . 258
„ Nr 17. Rolnik w Paranie, syn dorożkarza z Warszawy 294
„ Nr 18. Rolnik w Santa Catharina, syn handlarza spod Mińska Mazowieckiego, ur. w 1895 r. 303
„ Nr 19. Rolnik w Santa Catharina, syn gospodarza wiejskiego z województwa lwowskiego, ur. w 1870 r. 317
„ Nr 20. Rolnik w Santa Catharina, syn pięciomorgowego gospodarza spod Pabianic, ur. w 1879 r. 332
„ Nr 21. Rolnik w Santa Catharina, syn rolnika z Krakowskiego, ur. w 1854 r. . . . 349
„ Nr 22. Rolnik w Rio Grande do Sul, syn gospodarza rolnego z powiatu złoczowskiego, ur. w 1895 r. 367
„ Nr 23. Rolnik w Rio Grande do Sul, syn gospodarza wiejskiego z okolic Łęczycy, ur. w 1870 r. 373
„ Nr 24. Robotnik w Rio Grande do Sul, syn robotnika z Łodzi, ur. w 1897 r. 386
„ Nr 25. Nauczyciel w Rio Grande do Sul, syn powstańca z 1863 roku z Łomżyńskiego. . . 417

PARAGWAJ 449—469

Pamiętnik Nr 26. Rolnik w Encarnacio, pochodzący z Kowieńszczyzny, ur. w 1883 r. . . . 449

URUGWAJ 470—479

Pamiętnik Nr 27. Brukarz z Montevideo, syn gospodarza rolnego z Lubelszczyzny, ur. w 1899 r. . . 470

RÉSUMÉ . . . . . 481—488

DOSTRZEŻONE OMYŁKI W DRUKU

Str.	*wiersz*	*jest*	*winno być*
4	10 od góry	dzwi	drzwi
24	11 „ dołu	mienia	imienia
38	9 „ „	kosulatu	konsulatu
103	14 „ „	Constestada	Contestada
120	6 „ „	żywnościsi	żywności
180	13 „ góry	nie było	mi było
218	12 „ dołu	Jadę	Jadą

Pomiędzy pamiętnikami napisanymi przez autorów zamieszkałych w stanie Santa Catharina omyłkowo umieszczono Pamiętnik Nr. 17 (str. 294 — 302), który winien być umieszczony wśród pamiętników ze stanu Parana.

WYDAWNICTWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TELEFON 511-19

R-K CZEKOWY w P. K. O. 12099

Białobłocki B. Szkice literackie, 1932, str. X + 135 . . . . . 3.—

Czerniewski K. Maszyny i narzędzia rolnicze, 1938, str. 8 nl + 84 . . . . 3.—

Derengowski J. Urlopy maszynistów kolejowych, 1922, str. 44 . . . . . 2.—

Drobny przemysł i chałupnictwo. T. I, 1931, str. 6 nl + 248; T.II, 1933, str. 4 nl. + 284 . . . . . 27.50

Fabierkiewicz W. Rosja współczesna, 1926, str. 154 + 6 nl. 5.50

Grynwaser H. Sprawa włościańska w 1861 — '62 r., 1938, str. 196 . . . . 5.—

Jastrzębski W. Organizacja pracy fizycznej, 1926, str. 4 nl. + 168 wyczerpane

Korman Ż. Materiały do bibliografii druków socjalistycznych, 1935, str. XVIII + 374 . . . . . 12.—

Korniłowicz K. Akcja społeczno-kulturalna w górnictwie angielskim, 1929, str. 96 . . . . . 3.—

Krahelska H. Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy, 1927, str. 46 + 1 nl. . . . . 1.—

— Praca dzieci i młodocianych w Polsce, 1928, str. 88 . . . . 2.50

— Praca kobiet w przemyśle współczesnym, 1932, str. VIII+151 5.—

Krieger A. Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce, 1931, str. 175 . . 10.—

Krzeczkowski K. Zarys życia i pracy Ludwika Krzywickiego, 1938, str. 179 5.—

Krzyczkowski J. i Sobierańska Z. Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej, 1931, str. 165 + 3 nl. . . . . 12.—

Kuropatwińska M. Ogrody działkowe a kultura miast, 1928, str. 96 . . . 3.50

Landau L. Gospodarka światowa — Produkcja i dochód społeczny w liczbach, 1939, str. VII + 151 . . . . . 5.—

Landau W. Izby pracy, 1932, str. 54 . . . . . 1.80

— Ośmiogodzinny dzień pracy, 1926, str. 4 nl. + 117 . . . . . 3.50

— Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich, 1930, str. 4 nl. + 92 . . . . . 2.70

— Walka o bezpieczeństwo pracy, 1930, str. 199 . . . . . 5.—

Minkowska A. Rodzina bezrobotna, 1935, str. 112 . . . . . 2.50

Moraczewska A. Wczasy robotnicze, 1931, str. 158 . . . . . 5.—

Niemyska M. Wychodźcy po powrocie do kraju, 1936, str. 143 . . . . . 5.—

Pamiętniki bezrobotnych, 1932, str. XXXVII + 604 wyczerpane

Pamiętniki chłopów. Seria I, 1935, str. XLVI + 714; Seria II, 1936, str. XVI + 895 36.—

Piltz F. Dochody mieszkańców Warszawy, 1929, str. 136 . . . . . 5.—

Praca zbiorowa poświęcona życiu i twórczości Ludwika Krzywickiego, 1938, str. CXXXVI + 350 . . . . . 12.—

Rosset E. Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych, 1930, str. 90 3.50

Rychliński St. Czas pracy w przemyśle polskim, 1929, str. 4 nl. + 103 . . 4.—

— Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim, 1930, str. 8 nl. + 164 . . . . . 6.50

Sterling H. Międzynarodowa Organizacja Pracy, 1928, str. 64 . . . . . 1.50

Struktura społeczna wsi polskiej, 1937, str. XVI + 322 . . . . . 8.—

Szturm de Sztrem T. Bezrobocie w Europie dzisiejszej, 1931, str. 45 . . . 4.—

— Płace zarobkowe w okresie dewaluacji, 1923, str. 60 . 2.—

— Walka o płace zarobkowe, 1922, str. 51 . . . . . 2.—

Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim w świetle ankiet 1927 roku, 1929, str. X + 332 . . . . . 15.—

Zacharzewska St. Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich, 1931, str. 85 6.—

Zdanowski A. Warunki mieszkaniowe robotników, 1935, str. 114 . . . . 4.—

Zieliński J. Higiena pracy, 1929, str. XV + 354 . . . . . 9.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH